

F. G. Bengtsson

Rudy Orm

Tytuł oryginału szwedzkiego: Röde Orm

Tłumaczył: Zygmunt Łanowski

TOM I

NA ZACHODNICH SZLAKACH

PROLOG

O TYM, JAK WIODŁO SIĘ GOLONYM GŁOWOM W SKANII ZA CZASÓW KRÓLA HARALDA SINOZĘBEGO

Wiele niespokojnych duchów wyruszyło ze Skanii, z Bue i Vagnem, by ponieść klęskę w Hjörungavaag, wiele innych znów poszło za Styrbjörnem do Uppsali i poległo tam wraz z nim. Gdy w ojczyźnie dowiedziano się, że nielicznych tylko można spodziewać się z powrotem, odśpiewano żałobne pienia i ustawiono pamiątkowe głązy, po czym wszyscy rozsądni ludzie orzekli zgodnie, że tak było właśnie najlepiej. Teraz bowiem można spodziewać się, że więcej będzie niż przedtem spokoju, no i mniej wypadków dokonywania zmian własności za pomocą oręża. Nadeszły lata urodzajne, obfitujące i w żyto, i w śledzia, i większość ludzi była zadowolona ze swego bytu. Ci zaś, którzy uważali, że zboża wschodzą zbyt wolno, szli na zyskowne wyprawy wojenne do Anglii i Irlandii i wielu z nich już tam pozostało.

Do Skanii zaczęli przybywać, tak z kraju Saksonów, jak i z Anglii, ludzie o ogolonych głowach, by głosić wiarę chrześcijańską. Mieli dużo do powiedzenia, a lud był zrazu ciekawy i słuchał ich chętnie, kobietom zaś przyjemnie było przyjmować z rąk przybyszów chrzest i otrzymywać przy tym w darze białe giezła. Wnet jednak przybyszom zabrakło giezeł, a ludzie przestali słuchać ich kazań, które wydawały się nudne i mało wiarygodne, zwłaszcza że głosiciele ich mówili chropawym językiem, jakiego nauczyli się w Hedeby lub na wyspach zachodnich, i robili skutkiem tego wrażenie niedorozwiniętych umysłowo.

Toteż chrześcijaństwo szerzyło się wolno. A ludzi o golonych głowach, którzy mówili dużo o miłości, a równocześnie pałali namiętną nienawiścią do bogów, chwyтали niekiedy ludzie prawdziwie nabożni, zawieszali na świętych jesionach i po naszpikowaniu strzałami oddawali na żer ptakom Odyna. Innych zaś, którzy dotarli na północ aż do lasów Goingii, gdzie mieszkańcy nie byli tak nabożni, witano tam z radością i prowadzono związanych na rynki w Smalandii, gdzie wymieniano ich na woły i skóry bobrowe. W niewoli u Smalandczyków niektórzy z ludzi o golonych głowach zapuszczali włosy, wyrzekali się Jehowy i przykładali się dobrze do pracy. Ale większość pałała dalej pragnieniem obalenia bogów i chrzczenia kobiet i dzieci, woląc to od pracy w kamieniołomach i mielenia jęczmienia na żarnach. Toteż przysparzali swoim panom tyle kłopotu, że mieszkańcy Goingii rychło nie mogli uzyskać nawet dwóch trzyletnich wołków za księdza bez żadnej wady, nie

dopłaciwszy dodatku w postaci soli czy wełnianych derek. Na pograniczu panowały wtedy nieprzychylnie dla golonych głów nastroje.

Pewnego lata rozniosła się po całym państwie duńskim wieść, że król Harald Sinozęby przyjął nową wiarę. W młodości swej zrobił on już raz taką próbę, ale szybko się rozmyślił. Teraz jednak krok przemyślany został poważniej, bo król Harald był już dobrze posiwiasty i od dawna męczyły go ciężkie bóle w krzyżu, tak że mało radości dawało mu piwo i kobiety. A mądrzy biskupi, przysłani doń przez cesarza, nacierali go sadłem niedźwiedzim, któremu mocy przydawały imiona apostołów, zawijali go w owcze skóry i zamiast piwa poili święconym naparem z ziół. Kreślili mu też na piersiach znak krzyża i wypędzili z niego wielu diabłów, aż wreszcie ból ustąpił i król przyjął chrześcijaństwo. Mężowie boży zapowiedzieli przy tym, że króla spotka jeszcze gorsza kara, jeśliby znów podjął krwawe ofiary lub okazał się mało gorliwy w wierze. Toteż gdy król Harald nabrał wigoru i mógł znowu wziąć do łoża młodą mauretańską niewolnicę, przyslaną mu w dowód przyjaźni przez króla Corku, Olofa z Klejnotami, rozkazał, by wszyscy dali się ochrzcić. I jakkolwiek mowa taka mogła wydawać się czymś dziwnym w ustach kogoś, kto sam wywodził się od Odyna, wielu usłuchało jego rozkazu, gdyż rządził długo i szczęśliwie i miał dlatego duży mir w kraju. Najsurowsze kary nałożył Harald na tych, co podnosili rękę na księży. W Skanii wzrosła też znacznie liczba tych ostatnich. Na równinach budowano kościoły, a starzy bogowie zaczęli tracić na znaczeniu, z wyjątkiem wypadków, gdy groziły burze na morzu lub choroby bydła.

Ale w Goingii śmiano się bardzo z tego wszystkiego. Albowiem ludność z lasów nadgranicznych bywa bardziej skłonna do śmiechu niż stateczny naród żyjący na gliniastych równinach. A już najbardziej śmiano się z rozkazów królewskich. W okolicach tych tylko nieliczni zdobywali władzę sięgającą poza długość ich prawego ramienia, a droga z Jellinge do Goingii była daleka nawet dla najpotężniejszych królów. W dawnych dniach, za czasów Harald Hildetanda oraz Ivara Długorękiego i jeszcze przedtem, królowie zwykli byli jeździć do Goingii, by w tamtejszych wielkich kniejach polować na tury, bardzo rzadko zaś w innych sprawach. Potem jednak tury znikły, a wraz z nimi skończyły się i królewskie odwiedziny. I jeśli któryś król, rozzłoszczony nieposłuszeństwem czy też zbyt chudymi wpływami z podatków, groził, że tam przyjedzie, otrzymywał zwykle odpowiedź, że żadne tury nie pojawiły się w tamtych okolicach, a w wypadku gdyby się ukazały, król będzie niezwłocznie powiadomiony i przyjęty przyjaźnie. Dlatego też u mieszkańców pogranicza utarło się powiedzonko, że dopóki nie powrócą tury, nie przyjedzie do nich żaden król.

W Goingii pozostało więc wszystko po staremu i chrześcijaństwo nie szerzyło się tam wcale. Księży, którzy się tam zapuszczali, sprzedawano w dalszym ciągu na drugą stronę

granicy. Niektórzy mieszkańcy Goingii uważali jednak, że właściwie należałoby księży zabijać na miejscu i rozpocząć wojnę z chciwymi ludźmi z Sunnerbo i Allbo, gdyż ceny płacone przez Smalandczyków nie dawały godziwego zysku.

CZEŚĆ PIERWSZA

DŁUGA PODRÓŻ

I.

O KMIECIU TOSTE I JEGO GOSPODARSTWIE

Na wybrzeżu ludzie żyli w wioskach, bo tak im się lepiej gospodarowało; a także dlatego, że dawało to poczucie większego bezpieczeństwa. Żeglarze bowiem, którzy opływali Skanię, podejmowali często próby napadów. Porywali się na nie zarówno ci, co na wiosnę wyruszali na dalsze wyprawy wojenne i chcieli się tanio zaopatrzyć w świeżą żywność, jak i ci, którzy w jesieni wracali po nieudanych wyprawach z pustymi rękami do domów. Gdy nocą zauważono gromady napastników, którzy wylądowali na wybrzeżu, dęto w rogi, zwołując na pomoc sąsiadów. I ludzie ze spokojnej wioski potrafili czasem sami odebrać nieostrożnym przybyszom jedną czy dwie łodzie i mogli potem pochwalić się okazałym łupem przed wyruszającymi na zamorskie wyprawy, gdy ich długie łodzie powróciły już na leże zimowe.

Lecz dumni i bogaci kmiecie, którzy mieli własne łodzie, niełatwo godzili się na bliskość sąsiadów i najchętniej żyli w samotnych sadybach. Nawet bowiem wtedy, kiedy przebywali na morzu, zagród ich broniła dzielna czeladź pozostawiona w domu. W Kullen wielu było takich zamożnych kmieci. Cieszyli się sławą butniejszych od ludzi z innych stron. Kiedy siedzieli w domu, waśnili się ze sobą nieraz, jakkolwiek między sadybami dosyć było wolnej przestrzeni. Często jednak wyruszali w świat, gdyż od dzieciństwa patrzyli na morze jak na własne obejście, uważając, że sam sobie winien ten, kto się tam na nich natknie.

Żył w tamtych stronach kmięć nazwiskiem Toste, człowiek powszechnie szanowany i doświadczony żeglarz. Choć już w podeszłym wieku, wciąż jeszcze sam przewodził swojej łodzi i co lato wypływał w świat. Miał on krewnych w Limerick w Irlandii, pośród wikingów, którzy się tam osiedlili, i zwykle się tam udawał, aby handlować lub dopomagać ich naczelnikowi, pochodzącemu z rodu Lodbroka*, w ściąganiu danin z Irów, a zwłaszcza z ich kościołów i klasztorów. Tłuste lata dla Wikingów w Irlandii zakończyły się od czasu, gdy Muirkjartach Skórzany Kołpak, Konung* Connaught, objechał wyspę dokoła z tarczą zwróconą ku morzu. Tubylcy bowiem bronili się teraz lepiej niż przedtem i bardziej słuchali swych królów, tak że zebranie danin kosztowało wiele zachodu. Nawet przy kościołach i klasztorach, tak łatwych dawniej do plądrowania, pobudowano wysokie, kamienne wieże,

* Lodbrok – duński wódz, który w IX wieku zdobył i złupił Paryż.

* Konung – król, władca.

w których księża zaszywali się ze swymi skarbami, tak że ich tam nie można było osiągnąć ani ogniem, ani żelazem. Wielu z ludzi Toste wolałoby dlatego wyprawiać się do Austrii czy do Francji, gdzie czasy były wciąż jeszcze dobre i można było zdobyć więcej łupu z mniejszym wysiłkiem. Toste jednak czuł się najlepiej tam, gdzie przywykł, i uważał, że jest za stary, aby szukać szczęścia w krajach, których jeszcze nigdy nie oglądał.

Żona jego nazywała się Osa i pochodziła z okolic leśnych. Miała ostry język i trochę klótniwe usposobienie, a Toste mawiał, że nie może jakoś zauważyć, aby z wiekiem charakter jej łagodniał, jak to zwykle dzieje się u mężczyzn. Osa była jednak dzielną gospodynią i dobrze zarządzała domem pod nieobecność męża. Urodziła mu pięciu synów i trzy córki. Z synami wszakże nie powiodło im się najlepiej. Najstarszy zginął w młodym wieku na jakimś weselu, kiedy w podchmielonym stanie chciał pokazać, że potrafi jeździć na byku. Drugiego morze zmyło z pokładu w czasie sztormu, kiedy po raz pierwszy wyruszył na wyprawę. Najgorsze jednak nieszczęście przytrafiło się z czwartym, który zwał się Are. Pewnego lata, w dziewiętnastym roku życia, zrobił dzieci żonom dwóch sąsiadów, w czasie gdy ci przebywali poza domem, i wywołał tym moc zamętu, stając się przedmiotem wielu kpin i drwin oraz dużych wydatków dla Toste, gdy zdradzeni mężowie wrócili do domów. Odtąd Are zmarkotniał i zaczął stronić od ludzi, aż wreszcie zabił człowieka, który za dużo pokpiwał sobie z jego dziarskości, i musiał uciec z kraju. Mówiono, że przyłączył się do swijskich** kupców i udał się z nimi na Wschód, aby nie spotykać tych, co znali jego przygody. Od tej chwili zaginął o nim wszelki śluch. Osie przyśnił się kiedyś później karykoń o okrwawionych łopatkach, co uznała za znak, że Are nie żyje.

Pozostało im zatem tylko dwóch synów. Starszy miał na imię Odd i był krępy, mocno zbudowanym mężczyzną o krzywych nogach, silnym, krzepkim i ostrożnym w mowie. Wcześniej zaczął wyruszać z ojcem na morskie wyprawy i miał zdatną rękę do łodzi i miecza. W domu chodził zwykle skwaszony i zrzędził, ponieważ czas zimą okropnie mu się dłużył. Wtedy też dochodziło do sporów między nim a Osą. Odd zwykł mawiać, że ma już taką naturę, iż stęchłe solone mięso w łodzi smakuje mu lepiej niż świąteczna pieczeń na łądzie. Osa natomiast twierdziła, że nie zauważyła nigdy, aby gardził przysmakami, które stawiała na stole. W ciągu dnia tyle sypiał, że potem skarżył się, iż nie może spać w nocy, utrzymując, że nawet gdy weźmie do łóżka dziewczkę, niedużo mu to pomaga. Osa nie lubiła, gdy sypiał z jej dziewczkami, gdyż od tego łatwo mogły stać się zarozumiałe i krnąbrne wobec swej

** Swijowie – dawna nazwa Szwedów.

chlebodawczyni. Mówiła, że Odd powinien się raczej ożenić. On jednak odpowiadał, że wcale mu się do żeniaczki nie śpieszy. Najlepsze dla siebie kobiety spotkał w Irlandii, ale żadnej z nich nie mógł przecież zabrać z sobą do domu, gdyż, jak przypuszczał, zaraz zaczęłyby sobie skakać do oczu z Osą. Matkę drażniły te słowa i pytała, czy chciałby może, aby już umarła, na co jednak Odd potrafił odpowiedzieć, że niech robi, jak uważa, on nie chce jej dawać w tej sprawie żadnych rad, ale zniesie wszystko, co się stanie. Mimo że Odd wolno obracał językiem, Osie niełatwo przychodziło utrzymać się zawsze przy ostatnim słowie. Toteż zwykła mawiać, że doprawdy ciężko doświadczył ją los, zabierając jej trzech dobrych synów, a zostawiając właśnie tego, bez którego najłatwiej mogłaby się obejść.

Z ojcem zgadzał się Odd lepiej. I gdy tylko nadchodziła wiosna i wokół mostków w przystani zaczynało śmierdzieć smołą, humor jego się poprawiał. Czasem nawet próbował wtedy, choć szło mu to niesporo, układać pieśni o tym, że pole czeka gotowe pod pług, albo o tym, że morskie rumaki niebawem już poniosą go do krajów Południa.

Nigdy jednak Odd nie zdobył wielkiej sławy jako skald^{*}, zwłaszcza zaś u będących na wydaniu córek okolicznych kmieci. Rzadko też widziano, aby oglądał się za siebie, wypływając na morze.

Jego brat był najmłodszym z wszystkich dzieci Toste i oczkiem w głowie matki. Nazywał się Orm. Szybko rósł i zrobił się wysoki i chudy jak szczapa, tak że Osa bardzo biadała nad jego mizernym wyglądem. Gdy tylko nie zjadł dużo więcej od kogoś z dorosłych, sądziła zaraz, iż go utraci, i lamentowała, że brak apetytu stanie się jego zgubą. Orm lubił jeść i nie narzekał zbytnio, gdy matka podsuwała mu najlepsze kąski. Za to Toste i Odd gderali niekiedy z powodu smakołyków, które tylko Ormowi przypadły w udziale. W dzieciństwie Orm parę razy chorował i Osa nie mogła odtąd nigdy uwierzyć, że zdrowiu jego nic nie zagraża, lecz stale krążyła wokół niego z lękiem i napomnieniami. Doprowadzała go też czasem do tego, że wierzył istotnie, iż dotknięty jest groźną chorobą, i domagał się świętej cebuli, zamawiań i podgrzanych glinianych naczyń, gdy tymczasem całą jego nieomogą było tylko przejedzenie jęczmienną kaszą i wieprzowiną.

Kiedy najmłodszy jej syn zaczął dorastać, Osie przybyło jeszcze trosk. Żywiła nadzieję, że zostanie znacznym człowiekiem i sławnym hövdingiem^{**}. Często też podnosiła z zadowoleniem wobec Toste, że Orm zapowiada się na wielkiego i silnego mężczyznę i że jest tak roztropny w mowie, jak gdyby we wszystkim wdał się w matkę. Przepelniała ją

* Skald – poeta, pieśniarz.

** Hövding – wódz.

jednak obawa przed niebezpieczeństwami, które mogą nań czyhać na męskich ścieżkach życia. Niejednokrotnie rozmawiała z nim o nieszczęściach, które spotkały jego braci, i musiał jej obiecywać, że się będzie wystrzegać byków, że będzie ostrożny na morzu i że nigdy nie będzie spać z kobietami należącymi do innych mężczyzn. Oprócz tego jednak było jeszcze tyle innych rzeczy, które mu się mogły przytrafić, że zatroskana matka nie umiała sobie znaleźć spokoju. Gdy Orm skończył lat szesnaście i miał wraz z innymi wyruszyć na morze, Osa zakazała mu tego, mówiąc, że jest jeszcze za młody i zbyt wątłego zdrowia. A kiedy Toste zapytał wówczas żonę, czy zamierza wychować syna na kuchennego hövdinga i babskiego bohatera, wpadła w taką furję, że Toste zląkł się i pozwolił jej robić, co się jej podoba, rad, że sam może jak najprędzej odpłynąć.

Owej jesieni Toste i Odd wrócili późno, straciwszy tyłu z załogi, że niemal zabrakło im ludzi do wiosła. Mimo to byli zadowoleni i dużo mieli do opowiadania. W Limerick niewiele zyskali, gdyż konungowie iryjscy w Munster stali się tak potężni, iż tamtejsi Wikingowie mieli pełne ręce roboty, aby się samym bronić. Ale przyjaciele Toste, którzy znaleźli się tam ze swymi łodziami, spytali go, czy nie zechciałby wraz z nimi spróbować szczęścia na wielkim czerwcowym jarmarku, który odbywał się na midsommar^{***} w Merioneth w Walii, w miejscu gdzie stopa wikingów nigdy jeszcze nie powstała, dokąd jednak teraz można by się udać przy pomocy kilku pewnych przewodników, którzy właśnie się nadarzyli. Odd namówił ojca do wzięcia udziału w tej wyprawie, a i załoga skłaniała się chętnie do tego. W siedem łodzi wylądowali w Merioneth, pociągnęli trudnymi drogami w głąb kraju i niepostrzeżenie przybyli na jarmark. Doszło do ostrej walki, w której padło dużo ludzi. Wikingowie zwyciężyli i zdobyli wielki łup zarówno w towarach, jak i w brańcach. Następnie popłynęli do Corku, gdzie sprzedali jeńców, gdyż tam spotykali się od dawien dawna handlarze z wszystkich kątów świata, by przebierać wśród niewolników przywożonych przez wikingów. Także król Corku, Olf z Klejnotami, wielce sędziwy i mądry, kupował, choć sam chrześcijanin, tych, którzy mu się nadawali, by potem pozwolić krewnym wykupić ich z dobrym dlań zarobkiem. Z Corku Wikingowie popłynęli do domu w dużej sile, aby nie natknąć się na rozbójników morskich, do walki z którymi mało mieli ochoty z uwagi na zdziesiątkowane załogi i wielkie bogactwa, jakie wieźli. Bez szkody opłynęli Skagen, gdzie mieszkańcy Vikenu i Vestfoldu czyhali zwykle na wracające do domu łodzie, obiecując sobie bogaty łup.

^{***} Midsommar – najdłuższy dzień roku, 24 czerwca – odpowiednik sobótek świętojańskich.

Kiedy załoga otrzymała już swoją część zdobyczy, pozostało jeszcze dużo dla Toste. A gdy zważył srebro w zaciszu komory, orzekł, że ostatnia podróż może być godnym zakończeniem jego wypraw i że w przyszłości zamierza nie opuszczać już domu, tym bardziej że kości zaczynają mu sztywnieć. Odd zajmie się wszystkim równie dobrze, jak on sam, zwłaszcza że będzie miał do pomocy Orma. Odd uznał słowa Toste za mądre, ale Osa powiedziała natychmiast, że wcale takimi nie są. Bo wprawdzie zdobyto dużo srebra, ale przy tylu gębach do wyżywienia w zimie – nie starczy tego na długo. A jak można przy tym zaufać Oddowi, czy nie przetrwoni całej zdobyczy na swoje irlandzkie kobiety, nie mówiąc już, że może w ogóle nie wrócić do domu? Toste powinien też zrozumieć, iż grzbiet mu zeszywniał od siedzenia przez całą zimę beczynnie przy ogniu, a nie z powodu wypraw morskich. I ona ma dosyć – mówiła – gdy musi się potykać o jego wyciągnięte nogi przez pół roku. Nie może wprost pojąć, co się teraz zrobiło z mężczyznami. Albowiem jej własny stryjeczny dziadek, Sven o Szczurzym Nosie, wielki bohater z Goingii, padł, jak przystało na męża, w boju ze Smalandczykami w trzy lata potem, jak przetrzymał wszystkich w picciu na weselu swego najstarszego prawnuka. Dzisiaj zaś ona musi wysłuchiwać głądzenia o niedomaganiach od mężczyzn w sile wieku, którzy nie wstydzą się przyznawać, że chcieliby umrzeć leżąc na słomie jak krowy. Na razie Toste i Odd, i wszyscy, którzy z nimi wrócili, dostaną na powitanie dobrego, świeżo nawarzonego piwa, które na pewno będzie im smakować, a Toste powinien sobie wybić z głowy te grobowe myśli i wypić na intencję równie pomyślnej wyprawy w przyszłym roku. Później zaś przeżyją ze sobą zgodnie zimę, byle tylko nikt jej nie złościł podobnie niemądrą gadaniną.

Kiedy Osa poszła przygotowywać piwo, Odd napomknął, że być może Sven o Szczurzym Nosie wybrał Smalandczyków jako mniejsze zło, jeśli wszystkie kobiety w tym rodzie tak się piekliły jak Osa. Ale Toste odparł na to, że wprawdzie przyznaje, iż w słowach Odda tkwi ziarnko prawdy, Osa ma jednak wiele zalet i on nie chce jej drażnić bez potrzeby, a i Odd nie powinien tego robić.

Owej zimy wszyscy zwrócili uwagę, że Osa chwilami chodziła koło swych zajęć blada i przygnębiona i że mniej mełła językiem niż zwykle. Dbała o Orma więcej niż kiedykolwiek, a czasem stawała wpatrzona w niego, jak gdyby ujrzała jakąś nadprzyrodzoną zjawę. Orm wyrósł już na wielkiego chłopca i mógł pod względem siły współzawodniczyć z wszystkimi swymi rówieśnikami, a nawet z wielu starszymi od siebie. Miał rude włosy i delikatną cerę, szeroko rozstawione oczy, płaski nos i szerokie usta. Ręce jego były długie, a kark nieco przygarbiony. Zręczny i szybki, władał łukiem i oszczepem sprawniej od wielu innych. Łatwo wpadał w furię i umiał wtedy jak szalony rzucić się na tego, kto go rozdrażnił. I nawet Odd,

który dawniej znajdował przyjemność w doprowadzaniu go do bladej wściekłości, stał się ostrożniejszy w obchodzeniu się z bratem, gdyż siła jego zaczynała stawać się niebezpieczna. Orm zazwyczaj jednak bywał spokojny i uległy, i wciąż jeszcze przyzwyczajony stosować się we wszystkim do woli matki, chociaż niekiedy kłócił się z nią, gdy uprzykrzyła mu się jej troskliwość.

Toste dał mu broń dojrzałego męża – miecz i szeroki topór – oraz dobry szłom, tarczę zaś Orm zrobił sobie sam. Gorzej było z kolczugą, gdyż żadna z tych, które mieli w domu, nie wchodziła na niego, a w kraju mało było teraz dobrych płatnerzy. Większość z nich bowiem wyjechała za granicę, do Anglii albo do jarla* w Rouen, gdzie im lepiej płacono. Toste był jednak zdania, że Orm może na razie zadowolić się skórzanym kaftanem, dopóki nie postara się o dobrą kolczugę w Irlandii, gdzie zawsze można we wszystkich portach tanio nabyć części zbroi po zabitych.

Gdy pewnego dnia siedzieli przy jadle, gwarząc o różnych sprawach, Osa położyła nagle głowę na skrzyżowanych ramionach i zaczęła płakać. Wszyscy zamilkli i patrzyli na nią, gdyż zaiste nieczęsto roniła łzy, a Odd zapytał, czy bolą ją zęby. Otarłszy zapłakaną twarz, zwróciła się do męża, wyrzucając mu, że wspomnianie zbroi zmarłych wydaje jej się złym znakiem i że jest całkiem pewna, iż Orm zginie, gdy tylko wypłynie na morze. Trzy razy bowiem widziała go we śnie skrwawionego na ławie łodzi, a wszyscy wiedzą, że na jej snach można polegać. Dlatego prosi Toste, aby był dla niej dobry i nie narażał życia Orma niepotrzebnie, lecz pozwolił mu tego lata pozostać jeszcze w domu. Jej bowiem zdaniem, niebezpieczeństwo grozi mu właśnie teraz i jeśli zdoła je przeżyć, będzie może potem mniej na nie wystawiony.

Orm spytał, czy zdążyła zobaczyć we śnie, gdzie go raniono, na co Osa odpowiedziała, że za każdym razem natychmiast się budziła ze zgrozy, pamięta jednak, iż miał zakrwawione włosy i bardzo bladą twarz. Sen ten przygnębiał ją ogromnie, coraz więcej za każdym nawrotem, lecz dopiero teraz zdecydowała się o tym opowiedzieć.

Toste siedział chwilę zamyślony, po czym rzekł, że nie zna się zbyt na snach i nigdy się ich nie bał.

– Albowiem starcy mówią – dodał – że tak jak Prządki przędą, tak być musi. Kiedy jednak ty, Oso, śniesz ten sam sen po trzykroć, może jest to istotnie ostrzeżenie. A już dosyć synów straciliśmy. Dlatego nie będę ci się sprzeciwiał i Orm może jeszcze zostać w domu

* Jarl – dygnitarz, zarządca prowincji, wódcz.

tego lata, jeśli sam tak zechce. Bo co do mnie, czuję teraz, że doskonale mogę wyruszyć jeszcze raz, i tak będzie może dla wszystkich najlepiej.

Odd poparł zdanie ojca, gdyż nieraz już zauważył, że sny Osy spełniały się. Tylko Orm nie był zachwycony tym, co postanowiono, ale przywykł słuchać matki w ważnych sprawach. A potem już o tym więcej nie mówiono.

Gdy nadeszła wiosna i dosyć mężczyzn z wiosek w głębi kraju dogadało się z Toste o miejsce w jego łodzi, odpłynął jak co roku z Oddem, a Orm został w domu. Boczył się na Osę i czasem udawał, że jest chory, aby ją nastraszyć, ale kiedy śpieszyła z pomocą i lekami, zaczynał powoli sam w to wierzyć, tak że całe to udawanie mało mu sprawiało uciechy. A Osa nie mogła zapomnieć swego snu i mimo wszystkich trosk, których jej przyczyniał, rada była, że ma go w domu.

II.

O WYPRAWIE KRUKA I O TYM, JAK ORM WYJECHAŁ W SWOJĄ PIERWSZĄ PODRÓŻ

W czterdziestym roku wladania króla Haralda Sinozębego, sześć lat przed najazdem Wikingów z Jomsborga na Norwegię, z Lister wypłynęły trzy łodzie o nowych żaglach i silnej załodze i skierowały się na południe, aby plądrować kraj Wenedów. Na czele wyprawy stał hövding nazwiskiem Kruk. Był to mąż czarniawy, wysoki, smukły i bardzo silny. Cieszył się dużym poważaniem w swoich okolicach, gdyż umiał snuć śmiałe plany, kpić z tych, którym się nie powiodło, i wyjaśniać, jak by to on sam lepiej dał sobie radę na ich miejscu. Choć dotąd nigdy niczego nie dokazał, czuł się w swoim żywiole, chełpiąc się tym, czego niebawem zamierza dokonać. Ale ostatnio dopóty podniecał okoliczną młodzież opowieściami o łupach, jakie sprawni mężowie mogą łatwo zdobyć na krótkiej wyprawie na Wenedów, dopóki nie skupiła się odpowiednia załoga, nie wyposażono należycie łodzi, a jego samego nie wybrano na przywódcę wyprawy. Opowiadał bowiem, że u Wenedów można zdobyć wiele łupów, a przede wszystkim dobrze się obłowić w srebro, bursztyn i niewolników.

Gdy Kruk i jego ludzie przybyli do wenedyjskich wybrzeży i znaleźli się u ujścia rzeki, popłynęli w górę pod wartki prąd, aż dotarli do drewnianego gródka strzegącego zapory zbudowanej z pali w poprzek rzeki. Tam o wczesnym świtaniu wysiedli na ląd i ruszyli do natarcia omijając gródek. Ale Wenedów było wielu i gęsto szyli z łuków, tak że ludzie Kruka zmęczeni uciążliwym wiosłowaniem musieli stoczyć zaciętą walkę, zanim zmusili ich do ucieczki. Toteż Kruk stracił tam wielu dzielnych mężów. Kiedy zaś zliczono łupy, okazało się, że składa się na nie zaledwie parę żelaznych garnków i kilka owczych skór. Popłynęli więc z powrotem w dół rzeki i spróbowali szczęścia w innym miejscu, dalej na zachód. Ale i tej osady dobrze broniono i po ostrej walce, w której znowu ponieśli straty, ludzie Kruka zdobyli tylko parę wędzonych pości wieprzowych, porwaną kolczugę i naszyjnik z niewielkich i wytartych monet srebrnych.

Pogrzebali więc zmarłych na wybrzeżu i odbyli naradę. Kruk miał dużo kłopotu z wyjaśnieniem, dlaczego wyprawa nie układa się tak, jak to zapowiadał. Ale udało mu się uspokoić swoich ludzi roztroprnymi słowy. Na różne przypadki i niepowodzenia – mówił – trzeba być zawsze przygotowanym. Prawdziwy wiking nie zraża się taką czy inną drobnostką. Wenedów trudniej teraz łupić niż dawniej i on, Kruk, pragnie obecnie przedstawić im dobry

pomysł, który przyniesie wszystkim korzyść. Trzeba spróbować szczęścia na wyspie Bornholm, która słynie z bogactw. A ponadto niewiele zostało tam zdatnej do boju ludności, ponieważ sporo wyjechało ostatnio do Anglii. Najazd na tamtejsze wybrzeże da przy niewielkim wysiłku bogatą zdobycz, zarówno w złocie, jak i w drogocennych makatach i pięknej broni.

Wikingowie uznali, że Kruk dobrze mówi, i odzyskali pewność siebie. Podnieśli żagle i skierowali się na Bornholm, dokąd przybyli wczesnym rankiem. W ciszy morskiej, wśród podnoszącej się mgły, powiosłowali wzdłuż wschodniego wybrzeża, szukając miejsca dogodnego do lądowania. Płynęli blisko obok siebie i byli dobrej myśli, ale zachowywali się cicho, aby dostać się na ląd niepostrzeżenie. Nagle usłyszeli przed sobą skrzyp wiosła w dulkach i równomierny plusk zanurzanych piór i ujrzeli we mgle samotny okręt, który wyłonił się zza przylądka i mknął prosto na nich, nie zwalniając pędu. Wszyscy wbili oczy w ów okręt, wielki i piękny, z czerwonym łbem smoka na dziobie i dwudziestu parami wiosła, i radowali się, że płynie samotnie. Kruk rozkazał, aby ci, którzy nie siedzieli przy wiosłach, chwycili za broń i czekali w pogotowiu, gdyż zdobycz może być wielka. A samotna łódź zbliżała się, jak gdyby niczego nie zauważając. Na jej dziobie stał otyły człowiek z szeroką brodą, widną spod wypukłego hełmu. Gdy łodzie zbliżyły się do siebie, przyłożył do ust rękę i zawołał chrapliwym głosem:

– Z drogi – albo bij się!

Kruk zaśmiał się, a załoga zawtórowała mu. Odkrzyknął:

– Czyś widział kiedy, aby trzy łodzie schodziły z drogi jednej?

– Nie takie rzeczy widziałem! – krzyknął niecierpliwie grubas! – Wszyscy bowiem zazwyczaj schodzą z drogi Styrbjörnowi. Ale wybierajcie, co chcecie!

Na to nie powiedział już Kruk ani słowa. Usunęli się na bok i przestali robić wiosłami, gdy obok nich przepływał obcy okręt. I na żadnej z łodzi Kruka nie dobyto miecza. Widzieli, jak rosty młodzieniec w niebieskim płaszczu, z jasnym meszkiem na brodzie, podniósł się z miejsca, na którym spoczywał koło sternika, i trzymając oszczep stał przypatrując się im przymrużonymi oczyma, po czym szeroko ziewnął, odłożył oszczep i znów ułożył się na spoczynek. Pojęli, że to właśnie był Björn, syn Olafa, zwany Styrbjörnem, wygnany bratanek króla Uppsali, który rzadko unikał sztormu a nigdy boju, i z którym niechętnie się spotykano na szlakach morskich. Łódź jego szła, nie zbaczając, aż zginęła w oparach mgły na południu. A Krukowi i jego ludziom niełatwo przyszło odzyskać dobry humor.

Wiosłując dobili do wschodniego szkeru^{*}, gdzie nie było żywej duszy. Wylądowali, uwarzyli strawę i odbyli długą naradę. Wielu sądziło, że najlepiej byłoby wrócić do domu, gdyż niepowodzenie idzie w ich ślady także i na Bornholm. Albowiem obecność Styrbjörna na tych wodach wskazywała, że na wyspie z pewnością jest pełno wikingów z Jomsborga, więc inni nie mają tam czego szukać. Kilku oświadczyło wręcz, że nie mają w ogóle co robić na morzu bez hövdinga takiego jak Styrbjörn, który nie ustępuje byle komu z drogi.

Kruk mówił zrazu mniej od innych, polecił tylko wynieść na ląd piwo dla wszystkich. I dopiero kiedy się napili, zaczął im dodawać ducha. Przyznawał, że poniekąd nieszczęśliwym trafem było napotkanie tu tego Styrbjörna. Ale z drugiej strony, spotkanie go na wodzie było dla nich pomyślne. Gdyby bowiem zdążyli wylądować i natknęli się na wyspie na jego ludzi lub na innych wikingów z Jomsborga, nie wyszłoby im to na zdrowie. Wszyscy jomscy wikingowie, a zwłaszcza ludzie Styrbjörna, byli berserkerami^{**}, nieczułymi na żelazo, szalonymi zawadiakami, którzy cięli obu rękami równie dobrze, jak najlepsi rębacze z Lister. Komuś bezmyślnemu mogło wydać się dziwne, że Kruk nie chciał napaść na łódź Styrbjörna, on jednak uważa, że miał słuszne do takiej powściągliwości powody, i niech się cieszą, iż się w porę opamiętał. Żeglarz bez ziemi nie mógł przecież uciuć aż tyle, aby warto było wdawać się o to w tak groźny bój. Oni zaś nie wybrali się na morze po to, aby zdobyć czyzy rozgłos, ale żeby obłowić się łupami. Dlatego też uważał, że słuszniej jest myśleć o zysku niż o własnej sławie. I rozważa powinna im wszystkim podpowiedzieć, że działał tak, jak przystało na hövdinga.

Gdy Kruk zaczął w ten sposób uśmierzać niezadowolenie swoich ludzi, poczuł się w końcu sam pokrzepiony własnymi słowami. Ciągnął więc dalej, odradzając powrót do domu. Przecież – mówił – ludzie w Lister mają ostre języki, a już szczególnie przykre mogło okazać się przywitanie z kobietami, które z pewnością zasypią ich pytaniami o bohaterskie czyny, łupy i zbyt szybki powrót. Żaden mężczyzna dbający o swoje dobre imię nie może chyba chcieć wystawić się na taką paplaninę. Dlatego też powinni poczekać z powrotem do domu, dopóki nie zdobędą czegoś, z czym warto będzie wrócić. Najważniejsze jest teraz przyrzec sobie, że będą się trzymać razem i wytrwają w swych zamiarach, oraz znaleźć jakiś dobry cel,

* Szkeru albo szery – małe skaliste wysepki u wybrzeży skandynawskich.

** Berserkerzy – sławni z dzikiej odwagi wojownicy, odziani tylko w skóry niedźwiedzie. W boju wpadali w rodzaj szaleństwa.

dokąd by się można było udać. A teraz, zanim powie coś więcej, chciałby posłuchać ich rozsądnej rady.

Jeden z załogi zaproponował więc, aby udać się do kraju Kurów i Liwów, gdzie podobno łatwo jest o bogaty łup. Nie zdobył jednak poklasku, gdyż bardziej świadomi tych spraw wiedzieli, że Swijowie co lata płądrowali te kraje w wielkich gromadach i krzywo patrzyli, gdy inni przychodzili w tym samym celu. Drugi znów słyszał, że nigdzie na całym świecie nie ma tyle srebra, co na Gotlandii, i sądził, że można by tam spróbować szczęścia. Ale inni, którzy znali się na tym lepiej, wyjaśnili, że Gutowie*, od czasu gdy się wzbogacili, mieszkają w warownych gródkach, które zdobyć można tylko wielką siłą zbrojną.

Potem zabrał głos trzeci mąż, imieniem Berse, rozważny i powszechnie ceniony za roztropność. Powiedział, że na Bałtyku zaczyna się już robić ciasno i skąpo, gdyż zbyt wielu wikingów grasuje tam i płąduje. Nawet Wenedowie nauczyli się już stawiać opór. A ponieważ nie mogą jeszcze wrócić do domu – gdyż w tym zgadza się w zupełności z Krukiem – należy rozważyć, czy nie popłynąć na zachód. On sam nie był jeszcze nigdy w tamtych stronach, ale ludzie ze Skanii, z którymi rozmawiał minionego lata na jakimś jarmarku, wyprawiali się do Anglii i Bretanii z Toke, synem Gorma, i jarlem Sigwaldem i nie mogli się dość nachwalić tych wypraw. Pyszni się zdobytymi pierścieniami i drogimi szatami, a według ich wypowiedzi wikingowie, którzy osiedlili się u ujścia rzek francuskich na stałe, aby płądrować wewnątrz kraju, miewali często w łożu hrabiowskie córki ku ucieshom, a burmistrzów i opatów za parobków. Berse przyznawał, że nie wie, czy Skanowie, na których się powołuje, ściśle trzymali się prawdy. Ze względu jednak na osławioną ich prawdomówność byłoby może najrozsądniej ująć z tego, co mówili, najwyżej połowę. Pewne jest natomiast, że ludzie ci po powrocie do domu sprawiali wrażenie ogromnie zamożnych, tak że nawet ugościli jego, przybysza z Blekingii, morzem mocnego piwa, nie kradnąc mu jego rzeczy, gdy usnął. I dlatego nie wszystko, co mówili, a co zresztą dobrze jest znane także skądinąd, musi być kłamstwem. Gdzie się tak dobrze wiodło Skanom, tam powinni się też dobrze czuć ludzie z Blekingii i dlatego – kończył Berse – chciałby spróbować wyprawy na zachód, gdyby większość załogi podzieliła jego zdanie.

Wielu przyklasnęło tym słowom, inni jednak mówili, że zapas żywności jest za szczupły, aby mogli dotrzeć do krajów na zachodzie.

* Gutowie – mieszkańcy wyspy Gotland.

Wtedy znów zabrał głos Kruk i rzekł, że Berse wystąpił z takim właśnie projektem, jaki i on zamierzał przedstawić. Do słów Berse o hrabiowskich córkach i bogatych opatach, za których można było zwykle otrzymać suty okup, chce on dodać tylko to, co jest powszechnie wiadome ludziom bywałym, a mianowicie, że w Irlandii jest nie mniej jak stu sześćdziesięciu większych i mniejszych konungów i wszyscy mają skarby i piękne kobiety, a ich woje walczą przyodziani jedynie w lniane koszule, co pozwoli łatwo się z nimi uporać. Jedyną trudność stanowi przeprawa przez Öresund, gdzie można natknąć się na różnych natrętów. Ale trzy dobrze obsadzone załogą łodzie, których sam Styrbjörn nie ważył się zaatakować, powinny wzbudzić szacunek nawet i tam. Poza tym większość wikingów z tamtych stron wyruszyła już o tej porze roku dalej na zachód, a oprócz tego mają przed sobą kilka bezksiężycowych nocy. O uzupełnienie zaś zapasów można z łatwością postarać się natychmiast po szczęśliwej przeprawie przez sund*.

Wszyscy nabrali otuchy, uważając plan za dobry, a Kruka za najlepszego hövdinga tak pod względem rozsądku, jak i różnych umiejętności. Rozpierała ich też duma, że nie brak im zuchwalstwa, by ważyć się na wyprawę na wody zachodnie, gdyż za ludzkiej pamięci żadna łódź z ich stron rodzinnych nie próbowała podjąć się takiej podróży.

Rozwinęli żagle i dopłynęli do Moen, gdzie przeczekali jedną dobę, wypatrując pomyślnego wiatru. Potem wyruszyli w burzliwą pogodę na przeprawę przez sund i prześliznęli się wieczorem przez gardło cieśniny nie napotykając żadnych wrogów. Koło północy dotarli do osłoniętego od wiatrów miejsca pod Kullen i postanowili rozejrzeć się tam za spyżą. Trzy gromady wyszły na ląd, każda w inną stronę. Gromada Kruka miała szczęście i natknęła się w pobliżu dużej zagrody na owczarnię. Udało im się zabić pasterza i psa, zanim zdążyli wszcząć alarm. Schwytali potem owce i zarżnęli ich tyle, ile zdołali unieść z sobą. Nie obyło się jednak przy tym bez beczenia i Kruk zaczął ponaglać swoich ludzi.

Powracali do łodzi ścieżką, którą przyszli, każdy z owcą przerzuconą przez ramię, jak tylko mogli najspieszniej. Za sobą słyszeli krzyk ludzi zbudzonych w sadybie, a niebawem doszło do ich uszu także donośne ujadanie psów puszczonego ich tropem. Później zaś rozległ się w oddali jakiś kobiecy głos, który przebił się przez zgiełk czyniony przez psy i ludzi i wołał: „Poczekaj! Zatrzymaj się!” – a potem jeszcze kilkakrotnie: „Orm!” i znów: „Zaczekaj!”, z przerażeniem i rozpaczą. Ludziom Kruka trudno było szybko iść z ich brzemieniem, gdyż kamienista ścieżka – spadała stromo w dół, noc zaś była mglista i na

* Sund – cieśnina; tu Öresund.

dworze panowała jeszcze prawie zupełna ciemność. Sam Kruk szedł na końcu, niosąc na ramieniu owcę, a w drugiej ręce trzymając topór. Chciał koniecznie uniknąć starcia z powodu owiec, gdyż nie opłacało się ryzykować życia i zdrowia o taką małą stawkę. Popędzał więc ostro swoich ludzi, gdy potykali się lub zwalniali kroku.

Łodzie leżały przy dwóch płaskich skalnych wystęпах odepchnięte od nich wiosłami i gotowe do odbicia, jak tylko Kruk się zjawi, gdyż inne gromady wróciły już, nie nie osiągnąwszy. Kilku wyszło na ląd, aby pomóc w razie potrzeby Krukowi. Gdy jego drużyna znalazła się w odległości zaledwie paru kroków od brzegu, ścieżką nadbiegły wielkimi skokami dwa duże psy. Jeden z nich skoczył na Kruka, który jednak uchylił się w bok i zdzielił go toporem. Drugi zaś przemknął koło niego wielkim susem i rzucił się na człowieka idącego tuż przed nim, wywracając go z rozpędu na ziemię i chwytając zębami za gardło. Kilku z czekających na brzegu na powrót Kruka pośpieszyło natychmiast na pomoc i zabiło psa. Kiedy jednak wraz z Krukiem pochylił się nad pogryzionym towarzyszem, zobaczyli, że miał tak poszarpane gardło, iż szybko wykrwawił się na śmierć.

W tejże chwili obok Kruka przeleciał oszczep i ze zbocza zbiegło na kamienne występy dwu mężczyzn, którzy pędzili tak szybko, że zostawili daleko za sobą resztę pościgu. Pierwszy z nich z gołą głową i bez tarczy, z krótkim mieczem w dłoni, poślizgnął się i upadł twarzą na przybrzeżne głązy. Nad leżącym śmignęły dwa oszczepy i ugodziły jego towarzysza, tak że padł i pozostał bez ruchu. Ale ten pierwszy z obnażoną głową stanął natychmiast na nogi i wyjąc jak wilk, runął na jednego z przeciwników, który rzucił się nań z podniesionym mieczem, gdy tamten padał – ciął go w skroń i obalił na ziemię, a potem skoczył ku Krukowi znajdującemu się najbliżej. Wszystko to odbyło się błyskawicznie. Obcy ciął Kruka szybko i mocno, ale ten wciąż jeszcze dźwigał owcę na ramieniu i udało mu się zasłonić nią przed ciosem. W tymże momencie sam uderzył przeciwnika obuchem topora w czoło, tak że tamten zwałił się bez zmysłów. Kruk pochylił się nad nim i zobaczył, że był to czerwonołosy młodzieniec z płaskim nosem i bladą cerą. Pomacał palcami miejsce, gdzie trafił topór, i stwierdził, że czaszka jest cała.

– Zabieram z sobą i owce, i tego cielaka – rzekł. – Będzie wiosłować w miejsce tego, którego zabił.

Podniósł nieprzytomnego, zaniósł do łodzi i złożył pod jedną z ław dla wiosłarzy. Po czym z całą załogą, z wyjątkiem dwóch zabitych, których zwłoki zostawiono na wybrzeżu, odbili od brzegu w chwili, kiedy dopadła tam wielka gromada ścigających. Zaczynało świtać i z brzegu ku łodziom poleciało kilka oszczepów, jednak nie wyrządziły nikomu szkody. Wiosłarze silnie robili wiosłami, radzi, że mają w łodzi świeżą żywność. A gdy odbili już

dobry kawałek od lądu, zobaczyli wśród postaci zgromadzonych na brzegu niewiastę w długim, niebieskim giele, z rozwianym włosiem, która wybiegła na cypel skalnego występu i coś krzyczała wyciągając ku nim ramiona. Przez dzielącą ich wodę krzyk jej dochodził do ich uszu tylko jako nikły ton, ale kobieta stała tam jeszcze długo potem, gdy już nie można było nic słyszeć.

W taki to sposób Orm, syn Toste, który z czasem zasłynął jako Rudy Orm albo Orm Bywały, wyruszył w swoją pierwszą podróż.

III.

O TYM, JAK POPŁYNEŁI NA POŁUDNIE I JAK ZNALEŻLI DOBREGO PRZEWODNIKA

Ludzie Kruka dotarli zgłodniali do Vaderon, zmuszeni do wiosłowania przez całą drogę. Tam przybyli do brzegu i wyszli na ląd, aby nazbierać opału i przygotować dobry posiłek. Na wyspie żyło tylko kilku starych rybaków, tak ubogich, że nie czuli obawy przed rabusiami. Ćwiartując owce, wikingowie wychwalali tłuste mięso i dobrą, wiosenną paszę, w którą widocznie musi obfitować Kullen. Powbijali poćwiartowane kawały na oszczepy i trzymali je nad ogniem pociągając nosami z lubością, kiedy tłuszcz zaczął skwierczeć, gdyż od dawna już nie czuli tak dobrego zapachu. Wielu opowiadało sobie, kiedy to ostatni raz widzieli tak smaczne kęski, a wszyscy byli zgodni co do tego, że wyprawa na zachód zapowiada się dobrze. Potem zaczęli zajadać, aż tłuszcz kapał im na brody. Orm odzyskał już przytomność, ale wcale nie czuł się dobrze i kiedy wyszedł na ląd, trudno mu było utrzymać się na nogach. Usiadł na ziemi, trzymając się oburącz za głowę, i nie odpowiadał, jak do niego mówiono. Po chwili jednak, gdy zwymiotował i napił się wody, poczuł się lepiej. I kiedy w powietrzu rozszedł się zapach pieczeni, podniósł głowę, jak człowiek świeżo zbudzony ze snu i rozejrzał się po otaczających go ludziach. Ten, który siedział najbliżej, uśmiechnął się do niego przyjaźnie, odkroił kawał mięsiwa i podał mu.

– Weź i jedz – powiedział. – Lepszej pieczeni nigdy nie jadłeś.

– Wiem o tym – odparł Orm. – To przecież moja owca.

Wziął mięso i trzymał je w palcach, nie jedząc. Powiódł wzrokiem po otaczających go mężczyznach, przyglądając się dokładnie każdemu po kolei, po czym spytał:

– Gdzie jest ten, którego ciąłem? Czy umarł?

– Nie żyje – odpowiedział jego sąsiad – ale nikt z nas nie ma obowiązku go pomścić, więc będziesz wiosłował na jego miejscu. Miał wiosło tuż przed moim i dlatego byłoby może najlepiej, abyśmy zostali przyjaciółmi. Nazywam się Toke. A jak brzmi twoje imię?

Orm powiedział, jak się nazywa, po czym zapytał:

– Czy ten, którego zwałem, to był jakiś poważny mąż?

– Z natury był trochę powolny, jak to zresztą sam zauważyłeś – rzekł Toke – i bronią nie władał tak dobrze jak ja. Ale tego byłoby już za dużo żądać, gdyż jestem jednym z najlepszych rębaczy. Był to jednak silny i odważny woj i cieszył się dobrą sławą. Zwał się

Aale, a ojciec jego sieje co roku dwanaście beczek żyta. Dwa razy wyprawiał się na morze i jeśli będziesz wiosłować tak dobrze jak on, okażesz się zaiste niezłym wiosłarzem.

Gdy Orm to usłyszał, humor mu się poprawił. Zaczął jeść, ale po chwili znowu zapytał:

– Kim jest ten, który mnie zwał?

Kruk siedział opodal i usłyszał to pytanie. Zaśmiał się, a skończywszy żuć kęs, który trzymał w ustach, odparł podnosząc topór:

– To on cię pogłaskał. Gdyby ugryzł, nie pytałbyś już o nic więcej.

Orm popatrzył na Kruka szeroko otwartymi oczyma, nie mrużąc ich ani na chwilę, a potem westchnął i rzekł:

– Nadbiegłem bez szłomu i zadyszany. W przeciwnym razie mogło to wyglądać inaczej.

– Zuchwały jesteś, Skanie – rzekł Kruk – i uważasz się już za wojownika. Ale jesteś jeszcze zbyt młody i nie masz rozsądku woja. Bo żaden rozsądny mąż nie biegnie bez szłomu w bój z powodu kilku owiec. Ba, nie powinien robić tego nawet, gdy mu porywają jego własną żonę. Wierzę jednak, że jesteś człowiekiem obdarzonym szczęściem i być może przyniesiesz je nam wszystkim. Twoje widzieliśmy trzy razy. Potknąłeś się na kamieniach i upadłeś w chwili, gdy mknęły ku tobie dwa oszczepy; nikt z nas nie ma obowiązku szukania pomsty po Aale, którego zabiłeś; a wreszcie nie zarąbałem cię, bo chciałem mieć wiosłarza na miejsce zabitego. Dlatego też uważam, że szczęście twoje jest wielkie i że możesz nam być pożyteczny, ofiarowuję ci więc pokój od nas wszystkich, dopóki będziesz robić wiosłem, którym robił Aale.

Wszyscy uważali, że Kruk dobrze powiedział. Orm zaś jadł i zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

– Przyjmuję twój pokój i myślę, że nie potrzebuję się z tego powodu wstydić, choć skradliście mi owce. Nie chcę jednak wiosłować jako niewolnik, ponieważ pochodzę z dobrego rodu. I choć młody, zaliczam się do ludzi szanowanych, gdyż zabiłem męża tak zacnego jak Aale. Dlatego też chcę, abyś mi oddał mój miecz.

Wywołało to żywą wymianę zdań. Kilku mniemało, że żądanie Orma nie bardzo jest stosowne i że powinien być zadowolony, iż darowano mu życie. Inni jednak mówili, że zuchwalstwo nie jest wcale wadą młodości i że należy okazać człowiekowi obdarzonemu szczęściem. A Toke, rżąc ze śmiechu, pytał, ilu to spośród załóg trzech łodzi może obawiać się młodzieniaszka uzbrojonego w miecz. Mąż zwany Ciołkiem, który przemawiał przeciw żądaniu Orma, chciał bić się z Toke za te jego słowa, ten zaś wyraził gotowość pojedynku, gdy tylko upora się ze smakowitym kęsem nerki, którą właśnie zjadał. Kruk zakazał jednak wszelkich bójek i skutek był taki, iż Orm odzyskał swój miecz,

a jego sprawowanie miało rozstrzygnąć o tym, czy w przyszłości uważany będzie za jeńca, czy za towarzysza. Za miecz jednak, który był cenną bronią, miał dać Krukowi zapłatę, gdy tylko zdobędzie coś w wyprawie.

Wiała lekka bryza i Kruk orzekł, że czas ruszać w drogę, aby wykorzystać pomyślny wiatr. Wsiedli do łodzi i z wydętymi żaglami weszli w Kattegat. Orm obejrzał się za siebie na morze i zauważył, że Kruk może mówić o szczęściu, iż o tej porze roku tak mało było tu ich łodzi. Gdyby bowiem było inaczej, to tak jak zna on dobrze swoją matkę, czatowałyby tu teraz na nich, mając z sobą połowę mieszkańców Kullen.

Potem obmył ranę na czole i zmył zakrzepłą na włosach krew, a Kruk orzekł, że blizna na czole będzie w przyszłości budzić podziw kobiet. Toke zaś wydobyl skądś stary, skórzany hełm z żelaznymi obręczami, mówiąc, że nie jest to co prawda hełm odpowiedni na dzisiejsze czasy, ale że znalazł go u Wenedów i nie ma lepszego do odstąpienia. Od topora wprawdzie nie uchroni, ale w każdym razie lepszy rydz niż nic. Orm przymierzył go i okazało się, że powinien dobrze siedzieć, gdy z czoła zniknie spuchlizna. Podziękował więc Toke i obaj wiedzieli już, że zostaną przyjaciółmi.

Opłynęli Skagen korzystając z pomyślnego wiatru i według starego zwyczaju złożyli tam Agirowi i całej jego rodzinie krwawą ofiarę z mięsa owczego, wieprzowiny i napoju. Długo potem towarzyszyły im krzyczące mewy, co uważali za dobry znak. Płynęli wzdłuż wybrzeża Jutlandii, gdzie kraj był pustynny, a na piaskach często można było zobaczyć wręgi rozbitych statków. Dalej na południu lądowali na paru niewielkich wysepkach, nie znalazłszy niczego prócz wody i jedzenia. Popłynęli potem dalej wzdłuż brzegu, przeważnie pędzeni pomyślnym wiatrem, tak że zachowali dobrego ducha, radzi iż udaje im się uniknąć mozolnego wiosłowania. Toke mówił, że Orm na dodatek ma także szczęście do pogody. Sprzyjała im bowiem tak, jak sobie można było wymarzyć. Orm może więc doprawdy mieć najlepsze nadzieje na przyszłość. Sam Orm uważał, że Toke ma może słuszość, Kruk jednak nie chciał się z tym zgodzić.

– Pogoda jest moja – mówił. – Od samego bowiem początku, jeszcze długo przedtem, zanim przyszedł do nas Orm, mieliśmy doskonałą pogodę i wiatry. I gdybym nie ufał w swoje szczęście do pogody, nie byłbym się nigdy ważył na tę wyprawę. Ale szczęście Orma jest również duże, nawet jeśli nie jest takie jak moje. A im więcej w łodzi szczęśliwców, tym lepiej dla nas wszystkich.

Roztropny Berse zgadzał się z tym, dodając, że ludziom pozbawionym szczęścia najgorzej wiedzie się na świecie.

– Bo mężów zwyciężają mężowie, a na broń znajdzie się broń, dla bogów są krwawe ofiary, a na czary skutkują zaklęcia. Niczego jednak nie można przeciwstawić niepowodzeniu.

Toke zauważył, że nie wie, czy szczęście jego jest duże, czy też nie, wie tylko, że zawsze wiodło mu się dobrze w rybołówstwie. Także i z ludźmi, z którymi miał coś na pieńku, dawał sobie zawsze radę, ale to przecież mogło raczej zależeć od jego siły i zręczności niż od szczęścia.

– Teraz jednak – ciągnął – ciekaw jestem, czy na tej wyprawie będzie mi się dobrze wiodło ze złotem i z kobietami. Bo wiele słyszałem o tych wszystkich pięknych rzeczach, które mają się znajdować na zachodzie, a i dawno już nie dotykałem złotego pierścienia czy kobiety. A nawet jeśli większość mego łupu stanowić będzie srebro, a nie złoto i jeśli nie znajdę, tak jak to zamierza zrobić Berse, żadnej hrabiowskiej córki, tylko same zwykłe frankońskie dziewczki, to i tak nie będę się skarżył. Nie jestem bowiem człowiekiem pyszałkowatym.

Kruk odrzekł, że Toke musi jeszcze przez jakiś czas mieć cierpliwość bez względu na to, jak bardzo dręczy go żądza tego czy owego, i Toke przyznał, że istotnie tak wygląda. Bo, jak mówił, nie wydaje się, aby złoto i kobiety były w tych okolicach pospolitym zjawiskiem.

Płynęli wzdłuż niskich wybrzeży, nie widząc nic prócz piasków i trzęsawisk, a tylko gdzieś tam mignęła jakaś samotna chata rybacka. Mijając przylądki, na których stały wysokie krzyże, domyślili się, że dotarli już do krajów chrześcijańskich i do brzegów frankońskich. Mądrzejsi z załogi wiedzieli bowiem, że krzyże te postawił po raz pierwszy wielki cesarz Karol, praszczur wszystkich cesarzy, aby odstraszały nordyckich żeglarzy od jego dziedzin. Lecz bogowie Normanów okazali się silniejsi od cesarskiego boga.

Gdy żeglarzom groziły nawałnice, wślizgiwali się w sundy i zatoczki, aby przenocować, oglądali wody bardziej słone i bardziej zielone od tych, które znali dotychczas, i widzieli, jak wznoszą się i opadają przy przyptywie i odpływie. Jak okiem sięgnąć, nie było nigdzie widać żadnych statków ani ludzi i tylko tu i ówdzie można było spostrzec ślady dawnych osiedli. Ongiś bowiem, przed przyjściem Normanów, było tu dużo wiosek. Wszystkie jednak od dawna już stały spustoszone i splądrowane i dopiero dalej na południe żeglarze mogli liczyć na zdobycz.

Dotarli aż do miejsca, gdzie morze zwęża się między Anglią a lądem, i na łodziach zaczęto przebąkiwać o wypadzie do Anglii. Wiedzieli bowiem, że angielski król Edgar niedawno zmarł pozostawiając dziedzictwo nieletnim synom, co zyskało dla tego kraju dobrą sławę wśród wikingów. Ale Kruk i Berse, i jeszcze kilku innych spośród najroztropniejszych

przypominali, że kraj Franków wciąż jeszcze jest najlepszy do plądrowania, jeśli tylko zapuścić się dostatecznie daleko na południe. Albowiem król Francji i cesarz Niemiec od niepamiętnych czasów swarzyli się wciąż z sobą o marchie graniczne, a dopóki trwały takie spory, okolice nadbrzeżne stanowiły znakomity teren dla Normanów.

Dlatego też pozostali po stronie frankońskiej, trzymając się jednak dalej niż przedtem od brzegu i popatrując bacznie na wszystkie strony. Dotarli bowiem do kraju, który Normanowie zdobyli od króla Francji. Tu i ówdzie widać było co prawda wciąż jeszcze stare krzyże na cyplach przylądków i u ujścia rzek, częściej jednak stały tam pale z zatkniętymi na nie brodatymi głowami, na znak, że panowie tego kraju niechętnie widzieli przy tych wybrzeżach żeglarzy ze stron ojczystych. Kruk i jego ludzie uważali, że taka niechęć do pobratymców stanowi wielką hańbę dla tych, którzy wzbogacili się w nowej ojczyźnie. Mówili jednak, że można się było tego spodziewać po ludziach, którzy przybyli ze Skanii i Zelandii*, i pytali Orma, czy ma w tym kraju krewnych. Orm odpowiedział, że nie przypuszcza, gdyż ród jego zawsze pływał do Irlandii. Natomiast zatykanie głów na palach to coś, czego nie zapomni po powrocie do domu, gdyż może to się okazać bardzo korzystne dla hodowli owiec. Na to wszyscy roześmieli się, uważając, że umie on zawsze znaleźć ciętą odpowiedź.

Przyczaili się u ujścia jednej z rzek i zagarnęli kilka łodzi rybackich, nie znaleźli jednak w nich nic, co przedstawiałoby większą wartość. Także i od pojmanych rybaków nie mogli wydobyć żadnej odpowiedzi na pytanie, czy w okolicy znajdują się jakieś bogate wsie. Kiedy po zabiciu kilku spośród nich pozostali dalej nie umieli odpowiedzieć tak, by można było ich zrozumieć, Wikingowie puścili ich z życiem, gdyż ludzie ci wyglądali nędznie i nie nadawali się ani do wiosła, ani na sprzedaż. Niejeden jeszcze raz wyruszali żeglarze nocą na ląd, niewiele jednak zdobyli w tych wyprawach. Ludność bowiem żyła w wielkich i zbyt dobrze bronionych osadach, tak że musieli śpiesznie wracać do łodzi, aby nie dać się okrążyć przeważającym siłom. Żyli więc nadzieją, że wnet wyminą już wybrzeża krajów rządzonych przez Normanów. Pewnego wieczoru spotkali cztery długie łodzie, które nadpłynęły z południa. Wyglądały na mocno obciążone ładunkiem i Kruk kazał swoim ludziom podejść blisko do nich, aby zobaczyć, jak silną mają załogę. Wieczór był spokojny i łodzie zbliżały się powoli do siebie. Obcy wywiesili na maszcie przedniej łodzi długą tarczę, zwróconą szpicem do góry na znak, że zbliżają się jako przyjaciele. Ludzie Kruka rozmawiali z nimi na odległość rzutu oszczepem, a w czasie rozmowy obie strony starały się policzyć siły

* Zelandia (Sjalland) – największa wyspa duńska, na której leży Kopenhaga.

przeciwnika. Przybysze opowiadali, że pochodzą z Jutlandii i wracają do domu z długiej wyprawy. W siedem łodzi plądrowali zeszłego lata Bretanię, a potem kraje leżące dalej na południe. Przeważając na wyspie u ujścia Loary popłynęli w górę rzeki. Potem jednak spadła na nich silna zaraza i teraz wracają do domu tylko z tymi łodziami, dla których starczyło załogi. Co do swego łupu opowiadali, że roztropny żeglarz nigdy się nie chępi zdobyczą, dopóki nie dostawi jej bezpiecznie na ląd. Tyle jednak mogli powiedzieć czując się przy tym spotkaniu dostatecznie silni do bronięcia tego, co zdobyli, że jeśli chodzi o nich, nie mogą narzekać. Dokądkolwiek by się teraz popłynęło, zawsze trzeba się liczyć, że czasy są gorsze w porównaniu z tym, co było dawniej. Kto jednak miał szczęście znaleźć niespustoszone okolice w Bretanii czy dalej na południu, temu się to zawsze sownie opłaci.

Kruk spytał, czy nie mają wina lub dobrego piwa na wymianę za wieprzowinę lub suszoną rybę, równocześnie zaś starał się zbliżyć bardziej do nich, gdyż kusilo go okropnie, aby spróbować z nimi szczęścia i w ten sposób za jednym zamachem zapewnić obfity łup dla całej wyprawy. Ale hövding Jutów skupił natychmiast swoje łodzie obok siebie dziobami w kierunku Kruka i odpowiedział, że zamierzają zachować wino i piwo na własny użytek.

– Ale jeśli chcesz skosztować czego innego – dodał – proszę bardzo bliżej.

Kruk ważył w ręku oszczep, niepewny, co robić. W tejże jednak chwili na jednej z obcych łodzi wszczął się ruch. Widać było, jak dwaj ludzie zmagają się z sobą przy burcie, a potem wpadają do morza szepieni w uścisku. Obaj zanurzyli się pod powierzchnię i jednego z nich nie zobaczono już więcej. Drugi jednak wypłynął opodal łodzi i znowu zanurkował, gdyż z łodzi, którą porzucił, rzucono za nim oszczepem. Na łodziach Jutów podniósł się zgielk i rwetes, kiedy jednak ludzie Kruka pytali, o co chodzi, nie otrzymywali żadnej odpowiedzi. Zapadał zmierzch i po krótkiej dalszej wymianie słów przybysze powiosłowali w tym samym co uprzednio kierunku, podczas gdy Kruk wciąż jeszcze nie umiał zdecydować się na walkę. Toke, który siedział obok Orma przy wiosle lewej burty w łodzi samego Kruka, zawołał nagle do niego:

– Chodź tu i spójrz! Moje szczęście rybackie staje się coraz lepsze.

Jakaś ręka czepiała się wiosła Toke, druga zaś trzymała za wiosło Orma, a między nimi majaczyła na powierzchni twarz z oczyma zwróconymi w górę ku łodzi. Wielkooka i bardzo blada, okolona była czarnymi włosami i kruczą brodą.

– To musi być nie lada zuch i dobry pływak! – wykrzyknął jeden z ludzi Kruka. – Dał nurka pod łodzią, aby ujść Jutom.

– Musi on też być mądry – dorzucił drugi – gdyż uciekł do nas jako do lepszych od tamtych.

– Jest czarny jak troll* i żółtobiały jak trup – mówił trzeci – i nie wygląda na takiego, który przynosi szczęście. Wziąć go do łodzi może być niebezpiecznie.

Odzywały się głosy za i przeciw i niejeden próbował zadawać pytania człowiekowi w wodzie. Ten jednak, trzymając się mocno wiosła, strzygł tylko oczyma, kołysząc się na falach. W końcu Kruk kazał wziąć go do łodzi, wyjaśniając niechętnym, że można go przecież zabić potem, gdyby okazało się to najlepszym wyjściem.

Toke i Orm wciągnęli wiosła i wydobyli nieznanego z wody. Żółtoskóry, silnie zbudowany mężczyzna był obnażony do pasa i tylko kilka szmat osłaniało jego nagość. Chwiał się i prawie nie mógł utrzymać się na nogach, lecz mimo to wygrażał pięścią znikającym w oddali łodziom Jutów, pluł w ich stronę i zgrzytał zębami, coś wykrzykując. Chybnięcie łodzi zbiło go z nóg, lecz podniósł się zaraz znowu i bijąc się w piersi oraz wyciągając ramiona ku niebu, wołał coś zmienionym głosem, ale nikt nie rozumiał jego słów. Orm zwykł był później mówić, opowiadając w starości swoje wspomnienia, że nigdy nie słyszał wściekłego zgrzytania zębami ani też bardziej żalosego i dźwięcznego głosu niż ten, którym nieznanemu zwracał się ku niebu.

Robił na nich wszystkich dziwaczne wrażenie. Dużo go wypytywali, kim jest i co mu się przydarzyło. Rozumiał coś niecoś z tego, o co pytali, i potrafił odpowiadać łamanymi słowy po nordycku. Zdawało im się, że zrozumieli, iż był Żydem i nie chciał wiosłować w soboty, i to właśnie stanowiło powód jego wściekłości na tych, od których uciekł. Ale nie mogli się w tym wszystkim połapać i niektórzy sądzili, że poraziło go szaleństwo. Dali mu jeść i pić, a on zajadał łączywie bób i rybę, z przerażeniem jednak odsunął od siebie soloną wieprzowinę. Kruk uznał, że przybysz przyda się im jako wiosłarz, a przy końcu podróży można go będzie sprzedać za ładny grosz.

– Berse – ciągnął dalej Kruk – potrafi może z przyrodzoną sobie mądrością zrozumieć go i wydobyć od niego jakieś pożyteczne wiadomości o okolicach, z których przybywa.

W ciągu następnych dni Berse przesiadywał dużo z nieznanym i rozmawiał z nim o tyle, o ile to się dało. Berse był to spokojny i cierpliwy mężczyzna, wielki żarłok i utalentowany skald, który udawał się na morze, aby uniknąć swarliwej żony. Miał zdrowy rozsądek i wiele różnych umiejętności i powoli udało mu się pojmować coraz więcej z tego,

* Trolle – w mitologii skandynawskiej nadprzyrodzone istoty zaludniające lasy i góry.

co miał do powiedzenia przybysz. To, czego się dowiedział, oznajmił Krukowi i innym towarzyszom.

– To wcale nie szaleniec, choć może na takiego wygląda – mówił. – Nie jest też Jutem, co przecież od razu widać. Mówi, że jest Żydem. To naród ze Wschodu, który zabił człowieka uważanego przez chrześcijan za boga. Zabójstwo wydarzyło się dawno temu, ale chrześcijanie żywią wciąż jeszcze z tego powodu wielką nienawiść do Żydów, chętnie ich zabijają i nie chcą słyszeć o pojednaniu czy też grzywnie. Dlatego też większość Żydów żyje u kalifa kordobańskiego, gdyż tam nie uważa się zabitego męża za boga.

Berse dodał, że sam słyszał już przedtem podobną opowieść, a i wielu innych przyznało, że dochodziły ich takie słuchy. Orm mówił, iż słyszał, że zabitego przybito gwoździami do drzewa, podobnie jak synowie Lodbroka zrobili w dawnych czasach z najwyższym kapłanem Anglii. Nikt jednak nie mógł zrozumieć, jak można było tego człowieka uważać za boga po tym, jak go Żydzi zabili. Bo przecież prawdziwy Bóg nie może być zabity przez ludzi. Potem Berse opowiadał dalej, co rozumiał ze słów obcego.

– Był niewolnikiem u Jutów przez rok i doznał tam wiele złego, ponieważ nie chciał wiosłować w soboty. Żydowski bóg bowiem gniewa się na każdego Żyda, który tego dnia coś robi. Jutowie nie umieli jednak tego zrozumieć, choć on wiele razy próbował im to wytłumaczyć. Bili go i kazali mu głodować, gdy wzbraniał się robić wiosłem. U nich to nauczył się tych paru słów naszego języka. Kiedy jednak mówi o Jutach, przeklina ich w swoim języku, gdyż nie zna dostatecznej ilości odpowiednich słów w naszym. Opowiada, że w niewoli u Jutów dużo płakał i błagał swego boga o pomoc. Pojął, że wołanie jego zostało wysłuchane, gdy nasze łodzie zbliżyły się do nich, wyskoczył więc zabierając z sobą do morza jednego z prześladowców, który najwięcej się nad nim znęcał. Prosił swego boga, aby był mu puklerzem i dał zginać tamtemu. Dlatego nie trafił weń żaden oszczep i starczyło mu sił, aby dać nurka pod naszą łódź. A imię tego boga ma taką moc, że nie chce go przede mną wymieniać bez względu na to, jak bardzo starałem się go do tego nakłonić. Oto wszystko, co opowiadał o Jutach i swojej od nich ucieczce. Ma jednak więcej do opowiadania o innych rzeczach, które, jak sądzi, mogą nam przynieść pożytek. Ale w słowach jego jest jeszcze wiele niejasności, których nie mogę dokładnie zrozumieć.

Kruk powiedział, że trudno mu uwierzyć, aby jakiś bóg zadawał sobie trud pomagania takiemu nędznemu oberwańcowi, choćby ten nie wiadomo jak wołał o pomoc, lecz przyznał, że człowiek ten wykazał niewątpliwie szybkość i zręczność w działaniu. Inni zaś chcieli się dowiedzieć, dlaczego dziwny nieznajomy odsunął od siebie z obrzydzeniem wieprzowinę, choć żarłocznie rzucił się na gorsze jadlo. Berse odparł, że wygląda na to, iż z wieprzowiną to

tak jak z wiosłowaniem w soboty. Bóg żydowski złości się widząc, że Żyd je wieprzowinę. Dlaczego jednak wpada on z tego powodu w gniew, tego Berse nie mógł w żaden sposób pojąć. Można by przypuszczać – mówił – że bóg ten tak bardzo sam lubi to jadlo, iż nie chce na nie pozwolić swemu ludowi. A wikingowie przyznali, że wytlumaczenie to brzmi prawdopodobnie, i cieszyli się, iż mają bogów, którzy nie mieszają się do takich spraw.

Wszyscy byli teraz ciekawi dowiedzieć się, co takiego Żyd ma jeszcze do powiedzenia, co mogłoby im przynieść korzyść. I w końcu Berse tak się wprawił, że udało mu się zrozumieć większość z tego, co mówił Żyd.

– Powiada, że jest bogatym człowiekiem w swoim kraju u kalifa Kordoby. Nazywa się Salaman i jest złotnikiem, a jak mówi, także i wielkim skaldem. Został wzięty do niewoli przez chrześcijańskiego wielmożę z Północy, który dokonał najazdu na jego okolice. Ten kazał mu postarać się o duży okup, po czym sprzedał go handlarzowi niewolników, gdyż chrześcijanie z powodu owego zabitego boga niechętnie dotrzymują słowa danego Żydom. Handlarz niewolników sprzedał go kupcom na morzu, a od tych zabrali go Jutowie i nieszczęściem jego było, iż natychmiast zasadzono go do wiosła w sobotę. Teraz naturalnie nienawidzi tych Jutów wielką nienawiścią. Ale i tak nienawiść ta jest nikła w porównaniu z tą, jaką czuje do owego chrześcijańskiego pana, co go oszukał. Pan ów jest bardzo bogaty i żyje o dzień drogi od brzegu morza. A Żyd mówi, że chętnie pokaże nam drogę, abyśmy złupili go z wszystkiego, co posiada, spalili jego dom i wykłuli mu oczy oraz wygnali go między kolczaste zarośla i głązy. Mówi też, że jest tam dość bogactw dla nas wszystkich.

Uznano, że były to najlepsze nowiny, jakie słyszeli od dawna, a Salaman, który siedział obok Berse i starał się coś niecoś zrozumieć, zaczął skakać i krzyczeć i wyglądał na bardzo uszczęśliwionego. Potem padł na twarz przed Krukiem i wetknąwszy sobie do ust kosmyk własnej brody, zaczął ją kasać. Następnie zaś postawił sobie na karku stopę Kruka, cały czas wykrzykując zapalczywie jakieś słowa, których nikt nie mógł zrozumieć. Gdy się nieco uspokoił, zaczął szukać słów zrozumiałych i powiedział, że chce wiernie służyć Krukowi i jego ludziom, dopóki nie zdobędą tych bogactw, a on sam nie doczeka się zemsty. Chce jednak, aby mu na pewno obiecali, że będzie mógł sam wykłuć oczy owemu chrześcijańskiemu panu. Zarówno Kruk, jak i Berse przyznali, że żądanie to było słuszne.

Na wszystkich trzech łodziach rozprawiano dużo o tym, czego się dowiedziano, i w ludzi wstąpiła otucha. Mówili, że obcy nie ma, być może, zbyt dużo własnego szczęścia, zważywszy wszystko, co musiał przecierpieć, ale może tym więcej szczęścia przyniesie im. A Toke uważał, że nigdy połów nie udał mu się lepiej. Odnosili się do Żyda życzliwie

i znaleźli dla niego jakąś odzież oraz dali mu się napić piwa, jakkolwiek niedużo im już pozostało. Kraj, do którego chciał ich zaprowadzić, nazywał się Leon i wiedzieli mniej więcej, gdzie się znajduje. Leżał on pomiędzy krajem Franków a włościami kalifa z Kordoby, o jakichś pięć dni żeglugi w południowym kierunku od cypla Bretanii, który teraz ukazał się ich oczom. Złożyli więc znowu ofiary bogom morskim i uzyskawszy pomyślny wiatr, skierowali się na pełne morze.

IV.

O TYM, JAK LUDZIE KRUKA DOTARLI DO PAŃSTWA RAMIRA I PRZYBYLI DO MIEJSCA, KTÓRE WARTO BYŁO ODWIEDZIĆ

Rudy Orm w starości opowiadał o swoich losach, zwykł mówić, że nie może się zbyt uskarżać na pobyt u Kruka, choć wbrew własnej woli wziął udział w tej wyprawie. Ból od ciosu w czaszkę utrzymywał się tylko przez krótki czas, a z załogą zgadzał się tak dobrze, że niebawem nikt nie pamiętał, iż był on właściwie ich jeńcem. Wspominali z lubością dobre owce, które od niego dostali, a przydawał im się także i w inny sposób. Umiał tyleż pieśni co Berse, a od matki nauczył się recytować je tonem skalda. Znał się również na sztuce opowiadania zmyślonych historii w sposób wzbudzający wiarę, choć sam przyznawał, że Toke przewyższał go pod tym względem. Dlatego też ceniono go jako dobrego i zręcznego towarzysza, który umiał uprzyjemnić im czas w długie dni, gdy utrzymywał się stały wiatr i wszyscy wolni byli od pracy przy wiosłach.

Kilku z załogi utyskiwało, że Kruk odpłynął od brzegów Bretanii, nie postarawszy się wpierw o zdobycie świeżego jada. To bowiem, które mieli ze sobą, zaczynało już się psuć. Wieprzowina stęchła, sztokfisz spleśniał, mąka skwaśniała, w chlebie roiło się od robaków, a woda cuchnęła. Ale Kruk i inni doświadczeni mężowie uważali to za jado najlepszego gatunku, na które żaden żeglarz nie może się uskarżać. Orm zjadał swoje porcje z dobrym apetytem, ale przy tym opowiadał często o smakołykach, do których przywykł w domu. Berse zaś mawiał, że mądrym i boskim wydaje mu się taki porządek rzeczy, który sprawia, że na morzu je się z upodobaniem i smakiem takie jado, jakiego na lądzie nie można by podać nawet niewolnym czy psom, ale co najwyżej świniom. Gdyby bowiem świat nie był tak urządzony, długie wyprawy morskie stałyby się zbyt uciążliwe.

Toke dodał, że dla niego najcięższe jest to, iż skończyło się już piwo. Nie ma zwyczaju wybredzać – mówił – i sądzi, że w razie potrzeby potrafiłby zjeść nie wiadomo co, choćby nawet swoje chodaki z foczej skóry, ale tylko wtedy, gdyby dostał do tego dobre piwo. Nie może – mówił – nawet wyobrazić sobie życia bez piwa, czy to na morzu, czy na lądzie. I zasypywał Żyda pytaniami o piwo w kraju, do którego zmierzali, nie mógł jednak wydobyć z niego jasnej odpowiedzi. Opowiadał więc o wielkich ucztach i pijaństwach, w których brał udział, ubolewając, że nie wykorzystał wtedy okazji, aby wypić jeszcze więcej.

W drugą noc pobytu na pełnym morzu złapał ich silny wiatr i wysoka fala i radzi byli, że niebo pozostaje czyste, gdyż sterowali teraz według gwiazd. Kruk zaczynał się obawiać, żeby nie dostali się na bezbrzeżny ocean, ale ludzie, znający się na morzu najlepiej, mówili, że jakkolwiek by się żeglowało na południe, zawsze ma się ląd po lewej ręce, z wyjątkiem cieśniny Njörva, którądy wiedzie szlak morski do Rzymu, miasta położonego w samym pępku świata. A Berse opowiadał, że ci, co pływali z Norwegii do Islandii, mieli trudniejsze zadanie, gdyż minąwszy Islandię nie mogli już spodziewać się żadnego innego lądu i mieli przed sobą tylko puste morze bez kresu.

Żyd znał się na gwiazdach i twierdził, że potrafi bezbłędnie określić właściwy kierunek. Niewiele jednak przy tym pomógł, gdyż gwiazdy jego miały obce nazwy, a on sam dostał morskiej choroby. Także i Orm zachorował na nią i obaj z Salamanem leżeli obok siebie, przegięci przez burzę; bardzo się męczyli sądząc, że już wnet ducha wyzioną. Żyd krzyczał dużo w swoim języku, gdy nie wymiotował, a Orm nakazywał mu, aby siedział cicho, nawet jeśli go boli. Ten jednak odparł, że woła do swego boga, który jest w nawałnicy. Wtedy Orm chwycił go za kark i zagroził, że mimo iż sam czuje się chory, starczy mu przecież sił, aby wyrzucić go za burzę, kiedy krzyknie choćby jeszcze jeden tylko raz. Bo jeśli chodzi o niego, to uważa, że dmie już dostatecznie silnie i nie trzeba przywoływać tego boga jeszcze bliżej.

Wtedy Salaman zamilkł. Nad ranem sztorm uciszył się i obu im zrobiło się lepiej. Żyd był zielony na twarzy, ale uśmiechał się do Orma życzliwie i nie wyglądało, żeby żywił doń jakąś urazę. Wskazywał w kierunku wschodu słońca i dobierając znanych sobie słów mówił, że to czerwone skrzydła jutrzeńki i że jego bóg jest tam. Orm zaś odparł na to, iż wydaje mu się, że najlepiej mieć go na taką odległość.

Rano zamajaczyły przed nimi w dali góry. Podpłynęli do brzegu i mieli dużo kłopotu ze znalezieniem dla łodzi osłoniętej od wiatru zatoki. Żyd mówił, że nie zna tych okolic. Wyszli na ląd i natychmiast wdali się w bój z miejscową ludnością, gdyż okolica była gęsto zamieszкана. Gdy tamci pierzchli, ludzie Kruka przeszukali chaty i wrócili na wybrzeże, pędząc kozy, przynosząc inną żywność oraz wiodąc kilku jeńców. Rozpalono ogniska i wszyscy radowali się, że dotarli do bezpiecznego lądu i znów mogą posmakować pieczonego mięsiwa. Toke szperał za piwem, ale znalazł tylko parę skórzanych pęcherzy pełnych wina, które było tak cierpkie i kwaśne, że twierdził, iż czuje, jak mu się ściąga brzuch, gdy je przetyka. Dlatego też nie zdołał sam wypić wszystkiego, lecz oddał innym to, co zostało, i siedział potem samotnie przez cały wieczór, śpiewając żałośnie i skrapiając obficie łzami brodę. Berse ostrzegał, że nie należy mu przeszkadzać, bo Toke stawał się niebezpieczny, gdy wypił tyle, że aż płakał.

Salaman rozmówił się z jeńcami, a potem oznajmił, że znajdują się w kraju hrabiego Kastylii i że miejsce, dokąd chce ich zaprowadzić, leży dalej na zachód. Kruk zauważył, że aby dotrzeć tam, muszą poczekać na zmianę wiatru i że tymczasem mogą odpocząć i dobrze się najeść. Był jednak zdania, że może być kłopotliwe, gdyby zostali napadnięci przez większą gromadę w czasie, gdy wiatr dmie ku lądowi, lub gdyby obce łodzie zamknęły ich w zatoce, w której stoją. Salaman wyjaśnił na to, tak dobrze jak umiał, że niebezpieczeństwo jest nikłe, gdyż hrabia Kastylii nie ma prawie statków na morzu i zabrałoby mu dużo czasu zgromadzenie sił, którymi mógłby narobić szkody. Dawniej – mówił – hrabia Kastylii był bardzo potężny. Teraz jednak uciska go mocno kalif, któremu musi płacić daninę. Bo oprócz cesarza Ottona niemieckiego i cesarza Bazylego w Konstantynopolu nie ma na świecie władcy równie potężnego jak kalif Kordoby. Wikingowie śmieli się z tego bardzo, mówiąc, że Żyd baje, jak umie, że jednak nie ma on widać zbyt dobrego rozeznania w tych sprawach. I pytali go: czy aby nigdy nie słyszał o królu duńskim Haraldzie? I czy nie wie, że król Harald jest najpotężniejszy ze wszystkich?

Orm czuł się jeszcze osłabiony po morskiej chorobie. Nie miał wcale apetytu i sądził, że się poważnie rozchoruje, gdyż często niepokoił się o swoje zdrowie. Zasnął też niedługo przy ognisku i spał dobrze. Koło północy jednak, gdy wszystko w obozie ucichło, przyszedł do niego Toke i zbudził go. Płakał i mówił, że Orm jest jedynym jego przyjacielem i że chce mu teraz zaśpiewać pieśń, która mu się właśnie przypominała. Mówi ona o dwóch niedźwiadkach, nauczył się jej od matki jeszcze jako małe dziecko i jest to najładniejsza pieśń, jaką zna. Potem usiadł obok Orma, otarł łzy i zaczął śpiewać. Ale Orm odznaczał się tym, że trudno mu było zachować uprzejmość, gdy go wyrwano z głębokiego snu. Nic jednak nie rzekł, tylko obrócił się na drugi bok i próbował zasnąć na nowo.

Toke nie pamiętał dobrze pieśni i znowu posmutniał. Skarżył się, że siedział samotnie przez cały wieczór i że nikt mu nie przyszedł dotrzymać towarzystwa. A już najbardziej go bolało, że Orm nie zajął nawet do niego w jego żalości. Od pierwszej chwili uważał go za swojego przyjaciela, a dopiero teraz zrozumiał, że z niego taki sam nicpoń i śmierdziuch jak wszyscy inni Skanowie. A kiedy taki szczeniak jak Orm zachowuje się niewłaściwie, to po prostu należy spuścić mu tęgie lanie.

To mówiąc podniósł się, aby rozejrzeć się za jakimś kijem, Orm zaś ocknął się zupełnie i usiadł na posłaniu. Gdy Toke to zobaczył, zamierzył poczęstować go kopniakiem, lecz w tejże samej chwili Orm chwycił z ogniska żagiew i cisnął mu ją w twarz. Toke uchylił się, nie zdążywszy kopnąć, i upadł na plecy, natychmiast jednak poderwał się znowu z twarzą białą od zapamiętałej wściekłości. Także i Orm zerwał się szybko na nogi. Świecił jasny

księżyc, ale Ormowi latały przed oczyma czerwone płatki, gdy w gniewie rzucił się na Toke, który usiłował dobyć miecza. Orm odłożył swój miecz na bok i nie zdążył go teraz chwycić. Toke był mężczyzną na schwał, silnym, o szerokiej piersi i olbrzymich rękach. Orm nie osiągnął wprawdzie jeszcze pełnej siły dorosłego męża, ale już był silniejszy od wielu innych. Zdołał objąć jedną ręką kark Toke, chwytając drugą za jego prawy przegub, tak aby ten nie mógł wyjąć miecza. Toke jednak złapał go mocno za kaftan, wyprostował się jednym szarpnięciem i przerzucił go nogami do góry przez ramię. Ale Orm nie wypuścił go całkiem z uchwytu, choć zdawało się, że przełamie się wpół. Przekręcił się i udało mu się założyć kolano na plecy Toke, po czym rzucił się w tył, pociągając go na siebie. Następnie i on chwycił przeciwnika z całej siły i zaczęli się tarzać koło ogniska, przy czym Toke znalazł się na spodzie z twarzą przyciśniętą do ziemi. Wielu spośród śpiących zbudziło się i w mig nadleciał Berse niosąc powróż i wołając, że można się było tego spodziewać, gdy Toke tak sobie podchmielił. Związali mu mocno ręce i nogi, choć gwałtownie się temu opierał; niebawem uspokoił się i wołał do Orma, że przypomniał sobie koniec swojej piosenki. Zaczął ją też śpiewać, ale Berse oblał go wodą, po czym Toke zapadł w sen.

Gdy zbudził się następnego dnia, uskarżał się, że go związano, i nic nie pamiętał. A kiedy się dowiedział, co zaszło w nocy, pełen był skruchy wobec Orma i mówił, że to już jego zły los robić innym przykrości po pijanemu. Bo piwo zmienia go doprawdy w innego człowieka, a wino, być może, robi to również. Pytał, czy Orm żywi doń urazę za to, co się stało, ten zaś odparł, że nie i że w przyszłości chętnie się z nim będzie mocował, gdyby Toke miał tylko na to ochotę. Jedno tylko musi mu przyrzec, a mianowicie, że nie będzie śpiewać, gdyż nawet śpiew lelka czy krakanie starej wrony na kupie gnoju jest o wiele piękniejsze od jego kołysanek. Toke zaśmiał się i przyobiegał, że się postara poprawić. Był to bowiem mąż dobroduszny, gdy piwo lub wino nie zmieniało jego usposobienia.

Wszyscy uważali, że Orm zachował się w tej sprawie ponad oczekiwanie, zważywszy jego młody wiek. Bo ci, którym się przytrafiło dostać w łapy Toke, gdy ten rozrzewniał się do łez, nosili zazwyczaj na sobie przykre ślady. Toteż Orm urósł dzięki temu bardzo zarówno we własnych oczach, jak i w oczach innych. Zaczęli go odtąd nazywać Rudym Ormem albo Ormem Bywałym z powodu jego czerwonych włosów oraz dlatego, że okazał się mężem, który potrafił odpowiedzieć ostrzem na ostrze i którego nie należy drażnić bez potrzeby.

Po kilku dniach przyszedł pomyślny wiatr i łodzie wyszły na morze. Trzymali się daleko od brzegu, aby uniknąć niebezpiecznych prądów, i sterowali na zachód wzdłuż granic państwa Ramira. Okrążyli wysunięty najdalej na zachód przylądek, a potem popłynęli na południe wzdłuż stromego i poszarpanego wybrzeża, a jeszcze dalej poprzez szkery podobne

do tych, które znali ze stron rodzinnych w Blekingii. W końcu dotarli do ujścia rzeki wypatrywanej przez Żyda. Weszli w nie z przyplływem i powiosłowali w górę, aż zatrzymały ich podwodne skały. Wtedy wysiedli na ląd i odbyli naradę, kazać Salamanowi opisać drogę, jaką jeszcze mieli do przebycia. Ten mówił, że szybcy mężowie mogliby w jeden dzień dostać się z miejsca, gdzie się znajdowali, do gródka człowieka, na którym chciał się pomścić, a który był jednym z markgrafów króla Ramira, nazwiskiem Ordone. Dodał, że jest to największy rabuś i złoczyńca na całym pograniczu chrześcijańskiego świata.

Kruk i Berse wypytywali go dokładnie o ów gródek, jego siłę i położenie, i o to, ile ludzi markgraf trzymał zwykle przy sobie. Gródek leżał, jak mówił Salaman, w okolicy tak skalistej i niedostępnej, że wojska kalifa, składające się głównie z jazdy, nigdy tamtędy nie chodziły. Dlatego też stanowił dobre schronienie dla rabusia i kryło się tam mnóstwo bogactw. Był zbudowany z dębowych bali i chroniony ziemnym wałem i palisadą, załogę zaś jego mogło stanowić najwyżej dwustu ludzi. Z uwagi na to, że gródek leżał w takim ustroniu, Salaman nie przypuszczał, aby strażę czuwały zbyt pilnie, a na dodatek większa część załogi wyruszała często na wyprawy łupieskie na Południe.

Kruk stwierdził, że liczebność załogi niepokoi go mniej niż wał i palisada, które mogą bardzo utrudnić szybkie dostanie się do gródka. Kilku wyraziło przypuszczenie, że chyba nietrudno będzie podpalić palisadę, ale Berse zauważył, że niewiele będą mieli radości z bogactw, gdyby wszystko się spaliło. W końcu postanowiono zaufać szczęściu i zdecydować się na najlepszy sposób natarcia po przybyciu na miejsce. Czterdziestu ludzi miało pozostać przy łodziach, inni zaś wyruszyć w drogę wieczorem, gdy zacznie się robić chłodno. Rzucili też losy, kto zostanie przy łodziach, gdyż wszyscy chcieli najchętniej być tam, gdzie można było zdobyć bogactwa.

Opatrzyli broń i przesпали najgorętsze godziny dnia w pobliskiej dąbrowie. Potem pokrzepili się jedzeniem i po zapadnięciu zmierzchu drużyna wyruszyła w drogę. Było ich razem stu trzydziestu sześciu. Na czele szedł Kruk z Żydem i Berse, a za nimi gęsiego inni. Niektórzy nosili kolczugi, inni skórzane kaftany. Większość uzbrojona była w miecze i oszczepy, a niektórzy w topory, wszyscy zaś mieli tarcze i szłomy. Orm szedł z Toke, który rad był, że może rozprostować nogi po tak długim siedzeniu przy wiosłach.

Szli przez głuszę, bez śladu jakichś ludzkich osiedli. Albowiem te ziemie graniczne między krajami chrześcijańskimi a Andaluzją od dawna już leżały odłogiem. Trzymali się prawego brzegu rzeki, przechodząc w bród przez wiele strumyków. Mrok zgęstniał, zatrzymali się więc, aby wytchnąć, i zaczęli na wschód księżyc. Potem skęcili na północ, przeprawili się przez wąwóz i poszli chyżo naprzód przez otwarty teren. Salaman okazał się

dobrym przewodnikiem, gdyż przed świtaniem dotarli w pobliże gródka. Zalegli cicho w zaroślach i odpoczywali przez chwilę, wypatrując, ile się dało, w bladym świetle księżyca. Zmarkotnieli na widok ostrokołów, gdyż były sporządzone z grubych bali wysokości dwóch sporych chłopów, brama zaś, mocno zbudowana, wyglądała bardzo potężnie.

Kruk powiedział, że niełatwo podpalić takie bierwiona i że najchętniej wzięłyby gródek bez ognia. Ale może nie będzie innego wyjścia. Trzeba naznosić pod palisadę chrustu, podłożyć ogień i mieć nadzieję, że nie spłonie przy tym cały gródek. Pytał też Berse, czy może zaproponować jakiś lepszy sposób, ale ten drapał się w głowę i wzdychał mówiąc, że nie przychodzi mu na myśl nic lepszego, jakkolwiek i on nie lubi używać ognia. Także i Salaman nie umiał niczego doradzić i mówił, że musi się zadowolić widokiem, jak niewierny spłonie, choć spodziewał się lepszej pomsty.

W tym momencie Toke podczołgał się do Kruka i Berse i spytał, na co czekają, dodając, że czuje pragnienie i że im prędzej uderzą na gródek, tym szybciej zdobędą coś do picia. Kruk odpowiedział mu, że trudność polega na dostaniu się do środka, na co Toke rzekł, że jeśli mu dadzą pięć oszczepów, to jak sądzi, potrafi udowodnić, że nadaje się do czegoś więcej niż wiosłowanie i picie piwa. Chcieli wiedzieć, co zamierza zrobić, ale powiedział im tylko, że jak wszystko pójdzie dobrze, otworzy im drogę do grodu i że właściciele oszczepów muszą się przygotować na konieczność dorobienia nowych drzewc do swojej broni, gdy ta im zostanie zwrócona. Berse, który znał go od dawna, radził, by dać mu te oszczepy. Tak się też stało i Toke odrąbał drzewca nieco powyżej okuć grotów, tak że pozostały przy grotach tylko długie na łokieć ułamki.

Następnie oświadczył, że wszystko gotowe, i wraz z Krukiem zaczął czółgać się ku palisadzie pod osłoną krzaków i głązów, mając za sobą wybranych mężów. Ciszy i spokoju nie zakłócały żadne odgłosy. Tylko w gródku słychać było pianie kogutów.

Opodał od bramy wczołgali się na obwałowanie. Przy samym ostrokole Toke podniósł się i wbił na dobry łokieć nad ziemią grot oszczepu pomiędzy dwa pnie, wciskając go z całą siłą tak, aby mocno siedział. Nieco powyżej, w najbliższą szczelinę palisady, wbił drugi grot, a gdy w końcu udało mu się bez hałasu umocować je na dobre, wspiął się ostrożnie na ułamki drzew i osadził trzeci grot jeszcze wyżej w następnej szczelinie. Wspinając się jednak, nie mógł umocować trzeciego grotu bez zrobienia hałasu i Kruk, który pojął, na czym polega jego plan, dał mu znak, aby zszedł na dół, szepcząc, że dalej nic się już nie da zrobić bez użycia obucha, choćby to nawet miało zakłócić sen mieszkańców gródka. Po czym wziął pozostałe grotty i zajął miejsce Toke na dwóch pierwszych szczelkach, umocowanych już na stałe. Paru uderzeniami topora wbił w ostrokół trzeci grot, a potem w ten sposób umocował czwarty

i piąty skośnie i coraz wyżej od ziemi. W miarę tego jak je wbijał, wstępował na nie i doszedł w końcu tak wysoko, że mógł już dosięgnąć korony palisady.

W tejże chwili w gródku wszczął się krzyk i alarm i zaczęto mocno dąć w trąby. Wikingowie wspinali się jednak po drabinie wymyślonej przez Toke, tak szybko jak tylko umieli, i przeleźli przez ostrokół tuż za Krukiem. Po wewnętrznej stronie palisady biegł drewniany pomost dla kuszników i łuczników. Kruk i ci, którzy szli tuż za nim, zbiegli nań i zarębali kilku zamoczonych jeszcze od snu ludzi nadbiegających z oszczepami i łukami, by im stawić opór. Z dołu obsypano ich strzałami i kilku trafiono, ale Kruk i jego towarzysze pobiegli pomostem do bramy i zeskoczyli tam na ziemię, aby jak najszybciej otworzyć wrota i wpuścić do wnętrza całą drużynę. Doszło do ostrego boju, gdyż wielu spośród obrońców zdążyło już także tam dobiec, a co chwila nadbiegało ich więcej. Jeden z towarzyszy Kruka zawisł na ostrokole ze strzałą w oku, a trzech innych zwały strzały na pomoście. Ale ci, którzy dosięgli ziemi, zwarli się w ciasną kupę, wznieśli bojowy okrzyk i rzucili się z oszczepami i mieczami w głąb bramy, gdzie było ciemno i panował wielki ścisk, gdyż teraz mieli wrogów tak przed, jak i za sobą.

Na swój okrzyk otrzymali odpowiedź z zewnątrz, gdy pozostali tam woje widząc, że próba się udała, podbiegli do obwałowania. Kilku z nich zaczęło rąbać toporami wrota, podczas gdy inni wspięli się po drabinie Toke i przybyli w samą porę na odsiecz walczącym w bramie. Walka była wciąż jeszcze nierozstrzygnięta, a swoi i wrogowie pomieszani z sobą nie do rozeznania. Kruk zwał toporem niejednego, sam został w końcu zdzielony w kark bojową maczugą przez rosłego męża o czarnej, splecionej w warkocz brodzie, który wyglądał na wodza. Szłom wytrzymał uderzenie, ale Kruk mimo to zachwiał się i padł na kolana. W gęstwie ludzi i puklerzy, gdzie nie można już było posłużyć się oszczepem, a stopy ślizgały się we krwi, dotarli wreszcie Toke i Orm z kilku innymi do wrót i odsunęli rygle, po czym znajdujący się w bramie wrogowie, którzy nie zdążyli się usunąć na bok, zostali natychmiast wybici do nogi.

Wielki strach padł teraz na chrześcijan i pierzchli mając na piętach śmierć. Salaman, który jeden z pierwszych przedostał się przez bramę, pędził przed siebie jak oszalały, potykając się o trupy, a podjawszy z ziemi jakiś miecz wywijał nim nad głową i krzyczał zagłuszając zgiełk walki, że wszyscy powinni teraz śpieszyć do zameczku. Kruk, jeszcze zamoczony od ciosu i niemogący się utrzymać na nogach, wołał to samo z miejsca, na którym leżał w bramie. Wielu z atakujących pobiegło do kleci* stojących wewnątrz

* Kleć – lepianka z plecionych gałęzi i gliny.

obwałowania, aby ugasić pragnienie czy też szukać kobiet. Większość jednak ścigała ludzi uciekających do stojącego na środku majdanu sporego zameczku, którego wejście przepełnione było pierzchającymi. Prześladowcy wpadli do wnętrza za ściganymi, zanim ci ostatni zdołali zawrzeć wrota. I wewnątrz doszło teraz znowu do walki, gdyż uciekający poczuli się zmuszeni do stawienia oporu. Rosły mąż z plecioną brodą bił się mężnie i obalił napierających nań dwóch ludzi. Zapędzono go jednak w róg, gdzie spadły nań ciosy, które zwały go ciężko rannego na ziemię. Salaman dopadł tam w chwili, gdy ów mąż padał, rzucił się na niego i chwycił go za brodę, plując mu w twarz i zapalczywie coś krzycząc. Ten jednak zdawał się niewiele z tego rozumieć, drgnął, zatrzepotał powiekami i zmarł.

Żyd zaczął lamentować, że stracił sposobność do wzięcia pełnej pomsty i nie mógł sam zadać śmiertelnego ciosu swemu wrogowi, a chrześcijanie widząc, że padł ich przywódca, zaprzestali obrony. Kilku z nich pozostawiono przy życiu, gdyż mogli okazać się przydatni. Zwycięzcy zabrali się zaraz ochoczo do jedzenia i picia, nie szczędząc sobie ni piwa, ni wina. Potem zaś przetrząsnęto gródek w poszukiwaniu łupu i wywiązały się kłótnie o kobiety wyciągane z różnych kryjówek i zakamarków, gdyż dawno już musieli się bez nich obywać. Całą zdobycz – monety, klejnoty, broń, odzież, makaty, pancerze, domowe naczynia, siodła, srebrne misy i dużo innych rzeczy – zniesiono na jedną kupę, a gdy już wszystko zebrano, okazało się, że było tego więcej, niż ktoś mógł pomyśleć. Albowiem – jak mówił Salaman – w grodzie znajdowały się łupy zdobyte na Andaluzjczykach w ciągu wielu lat. Kruk, który już stanął na nogi i któremu owinięto głowę szmatą umoczoną w winie, radował się na widok zdobyczy, obawiał się jednak, że trudno będzie załadować wszystko na łódzie. Ale Berse sądził, że to się da zrobić.

– Bo nikt – zawyrokował – nie skarży się na ciężki ładunek, kiedy go stanowi bogaty łup.

Zabawili się przez większą część dnia, ogromnie radzi z tego, co zdobyli, a potem poszli spać. W nocy zaś wyruszyli z powrotem, ku łodziom. Wszyscy jeńcy szli mocno objuczeni, a i sami wikingowie dużo mieli do niesienia. W lochach gródka znaleziono kilku andaluzyjskich więźniów. Płakali ze szczęścia, gdy ich oswobadzano, wyglądali jednak okropnie nędznie i nie mieli dość sił, by pomagać w dźwiganiu. Zwrócono im wolność i towarzyszyli pochodowi, aby razem z Salamanem udać się potem dalej na południe do swoich stron rodzinnych. Z gródka zabrano też kilka osiołków i na jednego z nich wsadzono Kruka, który jechał na czele z nogami zwisającymi aż do samej ziemi. Dalej prowadzono inne osły objuczone spyżą i piwem. Ich brzemię zmniejszyło się szybko, gdyż często popasali, by odświeżać spragnione gardzile.

Berse próbował ponaglać, chcąc jak najszybciej dostać się do łodzi. Niepokoił się bowiem, że będą ścigani, gdyż kilku z gródka uszło i z łatwością mogli zejść daleko, by sprowadzić odsiecz. Większość jednak drużyny była tak uradowana i podochocona trunkami, że mało uważała na jego napomnienia. Orm taszczył zwój jedwabiu, zwierciadło z brązu i wielką, szklaną czarę, z którą miał dużo kłopotu. Toke dźwigał na ramieniu dużą drewnianą skrzynię z pięknymi okuciami, wypełnioną mnóstwem rzeczy, oraz prowadził dziewczynę, która przypadła mu do gustu i którą chciał zachować możliwie najdłużej przy sobie. Zrazu śmiał się często i mówił do Orma, że ma nadzieję, iż dziewczka okaże się córką jakiegoś markgraфа, potem jednak pomarkotniał na myśl, że nie będzie dla niej miejsca w łodzi. Szedł trochę niepewnie, gdyż dużo wypił, ale wyglądało, że dziewczyna troszczy się już o niego, ponieważ podpierала go, gdy się potykał. Była rosła i bardzo młoda, a Orm mówił, że rzadko widział tak piękną jak ona dziewczynę i że warto by było mieć takie szczęście do kobiet jak Toke. Ale Toke odparł, że mimo iż są dobrymi przyjaciółmi, nie może się nią podzielić z Ormem, bo lubi ją za bardzo i jeśli tylko się da, chciałby zachować dla siebie samego.

Wrócili do łodzi, gdzie wśród pozostawionych na straży wikingów wybuchła wielka radość na widok obfitego łupu, który miano podzielić między wszystkich. Salaman otrzymał bogate dary i obsypany podziękowaniami ruszył w dalszą drogę wraz z uwolnionymi z niewoli jeńcami, śpiesząc bardzo, aby jak najszybciej wydostać się z granic chrześcijańskich. Toke, który przez cały czas pił, zaczął płakać, gdy się dowiedział o jego odejściu, żałując się, że teraz nie ma już nikogo, kto by mógł pomóc porozumieć się z dziewczyną, potem zaś wyciągnął miecz i chciał biec za Żydem. Ale Ormowi i innym udało się go uspokoić bez użycia siły, tak że w końcu usnął u boku swojej branki, przywiązawszy ją przedtem mocno do siebie, aby mu nie uciekła lub też nie została skradziona podczas snu.

Następnego ranka rozpoczął się podział łupów, co okazało się wcale niełatwe. Wszyscy mieli dostać po równej części, a Kruk, Berse, sternicy i jeszcze kilku innych trzy razy tyle, co pozostali. Ale mimo że do dzielenia zasadzono najrozsądniejszych, trudno było każdego zadowolić. Berse oświadczył, że ponieważ zdobycie gródka było w dużej mierze zasługą Toke, on również powinien otrzymać potrójny udział w zdobyczy, i wszyscy przyznali temu słusność. Sam jednak Toke oświadczył, że będzie zadowolony z pojedynczego podziału, jeśli za to pozwolą mu zabrać do łodzi dziewczynę i zostawią mu ją tam w spokoju.

– Chętnie wezmę ją z sobą do domu – mówił – jakkolwiek nie jestem pewny, czy jest hrabiowską córką. Już dziś czuję się z nią dobrze, a będzie jeszcze lepiej, gdy potrafiemy się z sobą porozumieć i ona nauczy się naszego języka.

Berse zauważył, że to ostatnie nie będzie może taką korzyścią, jak to przypuszcza Toke. Kruk zaś rzekł, że łodzie będą przeciążone dużą ilością zdobyczy, mimo iż można odliczyć jedenastu zabitych. Nie sądzi więc, aby znalazło się w nich miejsce dla dziewczyny. Raczej należałoby zostawić także pewną część mniej wartościowego łupu.

Wtedy Toke powstał, podniósł dziewczynę i poprosił wszystkich, aby się dobrze przypatrzyli, jaka jest ładna i dobrze zbudowana.

– Wydaje mi się, że może wzbudzić pożądanie u niejednego – ciągnął. – I jeśli jest tu ktoś, kto jej pragnie, chcę się z nim bić natychmiast w sposób, jaki on sam uzna za najlepszy, na miecze lub topory. Ten, kto zwycięży, zatrzyma dziewczynę, ten zaś, który zostanie zabity, odciąży łódź bardziej, niż ona ją obciąży. I w ten sposób będę mógł mimo wszystko zabrać ją ze sobą do domu.

Dziewczyna, czerwona po uszy, trzymała się jedną ręką mocno brody Toke, fikając nogami, drugą zaś przesłaniała oczy, lecz zaraz znów ją odjęła, jak gdyby rada, że tak się na nią gapią. A wszyscy uważali, że propozycja Toke była zręcznie pomyślana. Ale mimo piękności dziewczyny nikt nie chciał się z nim bić o nią, gdyż Toke bardzo był przez wszystkich lubiany, a oprócz tego obawiano się go z powodu jego siły i zręczności we władaniu bronią.

Po dokonaniu podziału i ułożeniu w łodziach całego łupu postanowiono, że Toke może zabrać z sobą dziewczynę do łodzi Kruka, mimo iż łódź ta była już mocno obciążona. Zasługiwał bowiem na taką nagrodę za to, czego dokonał przy zdobywaniu gródka. Potem odbyto naradę w sprawie drogi powrotnej. Zdecydowano, że w razie gdyby zmuszała ich do tego pogoda, płynąć będą wzdłuż brzegów, spróbują jednak dotrzeć do Irlandii i wracać do domu dokoła wysp szkockich. Bo z tak bogatym łupem zbyt niebezpiecznie byłoby płynąć do domu przez wąskie cieśniny, gdzie można się spodziewać rozmaitych spotkań.

Potem jedli i pili, ile się dało, gdyż mieli teraz pod dostatkiem jedła i napitków, tak że nawet trochę musieli zostawić. Wszystkich przepelniała radość i opowiadali sobie, co kupią za swoje skarby po powrocie do domu. Następnie odbili i powiosłowali w dół rzeki. Kruk powrócił już do sił, ale dowódca jednej z pozostałych łodzi padł przy zdobywaniu grodu i Berse objął dowództwo zamiast niego. Toke i Orm siedzieli jak dawniej przy wiosłach w łodzi Kruka nie mając dużo roboty, gdyż płynęli z prądem. Toke pilnował dziewczyny, która najczęściej siedziała skulona u jego kolan, i uważał, aby nikt się do niej nie zbliżał bez potrzeby.

V.

O TYM, JAK SZCZĘŚCIE KRUKA ODMIENIŁO SIĘ DWUKROTNIE I JAK ORM ZOSTAŁ MAŃKUTEM

Dotarli do ujścia rzeki w czasie odpływu morza i złożyli w ofierze miech wina i kociołek mięsiwa, prosząc bogów o szczęśliwy powrót. Potem wciągnęli wiosła, rozwinęli żagle i pędzeni słabym wiatrem, popłynęli przez długą zatokę. Obciążone łodzie, głęboko zanurzone w morzu, wolno posuwały się naprzód i Kruk zawyrokował, że będą się musieli nawiosłować aż do bólu ramion, zanim znów zobaczą rodzinne wybrzeże. Orm opowiadał w starości, że była to najgorsza wróżba, jaką kiedykolwiek słyszał. Wraz z nią bowiem przysło szczęście Kruka, które dotychczas służyło mu doskonale podczas tej wyprawy, jak gdyby jakiś bóg podsłuchał te słowa i natychmiast chciał spełnić jego przepowiednię.

Siedem statków wypłynęło z za południowego cypla lądu, kierując się na północ. Ale na widok łodzi Kruka skrzyły w głąb zatoki i szybko wiosłując zbliżały się gwałtownie. Były to statki odmienne od tych, które widzieli dotychczas, długie, o niskich burtach i lekko mknące po wodzie. Roilo się w nich od zbrojnych o czarnych brodach, w hełmach, z których zwisały kefie* i wisiory. Przy wiosłach zaś siedzieli po dwóch nadzy ludzie o lśniącej, czarnobrazowej skórze, wiosłujący w takt ochrypłych okrzyków i gwałtownego bicia w małe bębenki.

Łodzie Kruka ustawiły się natychmiast obok siebie, trzymając się możliwie jak najbliżej brzegu, aby nie dać się okrążyć. Kruk nie kazał jednak zwinąć żagli mówiąc, że gdyby wiatr przybrał na sile, mogłyby im być pomocne. Toke wepchnął śpiesznie swoją brankę między tłumoki z łupem i przykrył nimi dobrze, aby zabezpieczyć ją od strzał i oszczepów. Orm dopomógł mu w tym, po czym obaj stanęli z innymi przy burcie. Orm był teraz dobrze uzbrojony, gdyż zaopatrzył się w gródku w kolczugę, tarczę i dobry hełm. Ktoś zapytał, czy ci obcy to chrześcijanie, którzy przybywają, aby się pomścić, ale Orm uważał za bardziej prawdopodobne, że są to ludzie kalifa, albowiem na ich tarczach i sztandarach nie było widać krzyży. Toke mówił, że rad jest, iż może zacząć bój nie będąc spragniony, gdyż wygląda na to, że walka będzie gorąca.

* Kefia – opadająca na kark zasłona przy hełmie, noszona na Wschodzie dla ochrony przed słońcem i jako znak dostojeństwa.

– A ci, co przeżyją – dodał – będą mieli dużo do opowiadania, ponieważ ludzie ci wyglądają na zapalczywych i jest ich wielu przeciw nam.

Przybysze byli już blisko i ślali ku nim roje strzał. Wiosłowali zrećznie i okrążywszy łodzie Kruka uderzyli na nie z wszystkich stron, skąd tylko mogli ich dosięgnąć. Łódź, której przewodził Berse, płynęła najbliżej brzegu, tak że nie mogli się do niej natychmiast dobrać. Ale łódź Kruka leżała na prawym skrzydle i tam też doszło natychmiast do ostrego starcia. Dwa obce statki legły jeden za drugim bokiem po jej zewnętrznej stronie, a napastnicy zahaczyli je mocno łańcuchami i żelaznymi osękami i poszli do natarcia, z wyciem przeskakując z dalszego na bliższy. Nacierali z dużą przewagą liczebną i ogromną furią, rąbiąc szybko i nieprzerwanie, a łódź Kruka, ogromnie obciążona, zostawała coraz bardziej w tyle za dwiema innymi. Trzeci statek nieprzyjacielski wychynął po jej stronie wewnętrznej i zdołał też zahaczyć się o burtę. Bój ułożył się teraz tak, że łódź Berse oraz trzecia łódź wypłynęły z zatoki ścigane przez cztery statki nieprzyjacielskie, podczas gdy łódź Kruka została w niej, bijąc się samotnie z trzema innymi. Wiatr przybrał na sile i obie łodzie Berse, zostawiając po sobie szerokie, krwawe smugi, odpływały coraz dalej na pełne morze w wielkim zgiełku walki, która się na nich toczyła.

Załoga Kruka mało miała czasu na myślenie o tym, co się na łodziach Berse dzieje, i przyglądanie się, jak im się wiedzie, gdyż każdy dość miał roboty, by się uporać z nacierającymi nieprzyjaciółmi. Tylu ich wpadło naraz do łodzi przez burtę, iż łódź przechyliła się mocno i omal nie zatoneła. I choć wielu napastników spadło zarąbanych do wody albo strąconych zostało z powrotem na dno własnych statków, pozostało ich jeszcze dostatecznie dużo, a z obu stron wciąż przybywali nowi. Kruk walczył mężnie i ci, których ugodził, nie mieli już dużo do powiedzenia. Wnet jednak zrozumiał, że przewaga nieprzyjaciela jest zbyt wielka. Odrzucił wtedy tarczę, pobiegł wzdłuż burty, zamachnął się oburącz toporem i odciął dwa z łańcuchów, które trzymały łodzie skute ze sobą. Ale jeden z obalonych na dno wrogów chwycił go za nogę, a w tej samej chwili ktoś ugodził go oszczepem między łopatki, tak że upadł na twarz do nieprzyjacielskiego statku, gdzie mrowie napastników rzuciło się nań, schwyciło go i związało.

Po długiej walce wielu z ludzi Kruka padło i w końcu cała łódź oczyszczona została z obrońców z wyjątkiem kilku stłoczonych na dziobie. Wśród nich znajdował się też Toke i Orm. Toke miał udo przebite strzałą, ale mógł jeszcze utrzymać się na nogach. Orm otrzymał cios w czoło i źle widział z powodu krwi, która zalewała mu oczy. Obaj czuli wielkie zmęczenie. Toke złamał miecz na jakimś puklerzu, cofnął się więc i natknął przy tym

na beczkę zdobytą w gródku i ustawioną na dziobie łodzi. Wówczas odrzucił ułamek miecza i chwyciwszy oburącz beczkę podniósł ją wysoko nad głową.

– Jeszcze może z niej być jakiś pożytek! – wykrzyknął i cisnął beczkę na najbliższych nieprzyjaciół, miażdżąc kilku z nich i zbijając z nóg wielu innych.

Potem zawołał na Orma i resztę, że nie ma tu już więcej na co czekać, i rzucił się głową naprzód do wody, starając się przepłynąć na ląd. Orm i inni, którzy zdołali się wyrwać wrogom, skoczyli w ślad za nim. Posypały się oszczepy i strzały i kilku zostało trafionych. Orm to nurkował, to wynurzał się na powierzchnię, pływając co siłą. Opowiadał później w starości, że mało jest rzeczy bardziej uciążliwych od pływania w kolczudze, gdy jest się bardzo zmęczonym, a kolczuga ciasna. Niebawem też zarówno Toke, jak i Orm opadli zupełnie z sił i bliscy byli utonięcia. Jeden ze statków nieprzyjacielskich popłynął za nimi w pogoń i nie mogli nic poradzić na to, że ich w końcu wyciągnięto z wody i związane.

Obcy odnieśli zwycięstwo i popłynęli na ląd, aby obejrzeć zdobycz i pochować poległych. Uprzątnęli zdobytą łódź, wyrzucili za burtę trupy załogi i poczęli szperać i przeszukiwać ładunek. Jeńców wyprowadzono na ląd i pozwolono im usiąść na brzegu, ze związanymi rękami i pod silną strażą. Było ich ogółem dziewięciu i wszyscy byli ranni. Oczekiwali, że zostaną zabici, i siedzieli w milczeniu, patrząc na morze, gdzie nie było widać ani śladu po łodziach Berse, ani po statkach nieprzyjacielskich, które je ścigały. Toke westchnął i zaczął coś mruczeć pod nosem, a potem rzekł:

Spragniony, dużo Spijałem piwa.

Wkrótce pić będę Walhalli miód.

Orm, który leżał na grzbiecie, patrząc ku niebu, odezwał się na to:

W rodzinnym domu,

Gdziem zaczął żywot,

Mleka i chleba

Miałbym dziś w bród.

Najbardziej markotny był Kruk, który przez cały czas wyprawy uważał się za szczęśliwca i bohatera, a teraz przekonał się, że szczęście nagle go opuściło. Patrząc, jak wyrzucano za burtę poległych towarzyszy, rzekł:

Oraczy morza

Placę godziwą

Wziął przed powrotem

Śmiertelny trud.

Toke stwierdził, że trzech skaldów naraz to więcej, niż się można było spodziewać.

– I nawet jeśli wy obaj – dodał zwracając się od Orma i Kruka – nie jesteście tak biegli w układaniu wierszy jak ja, to i dla was niech będzie pewną pociechą, że na ucztach u Odyna skaldowie piją z największych rogów.

Wtem z łodzi dał się słyszeć krzyk i liczne nawoływania, gdyż obcy znaleźli dziewczynę w jej kryjówce. Wywlekli ją na ląd i zdawało się, że dojdzie do sporu, komu przypadnie, bo wielu ją sobie wrywało trzęsąc czarnymi brodami i przenikliwie skrzecząc. Toke rzekł: – Biją się wrony o kurę, gdy jastrząb siedzi ze złamanym skrzydłem.

Dziewczynę zaprowadzono do wodza przybyszów. Był to opasły mężczyzna z brodą przyprószoną siwizną i ze złotymi kolczykami w uszach. Nosił czerwony płaszcz, a w ręku trzymał srebrny toporek z długim, białym trzonkiem. Przyglądał się dziewczynie, gładząc brodę, a potem zagadał do niej i widać było, że mogli się wzajemnie zrozumieć. Dziewczyna miała dużo do powiedzenia i wielokrotnie pokazywała w kierunku jeńców. Ale przy paru pytaniach, kiedy także i on wskazywał w ich stronę, rozkładała ręce, trzęsąc przecząco głową. Wreszcie wódz obcych przybyszów skinął głową, a potem dał jej jakiś rozkaz, którego zdaje się nie chciała usłuchać, bo wyciągnęła ramiona ku niebu i coś wykrzyknęła. Kiedy jednak przemówił do niej ponownie surowym głosem, stała się uległa, zrzuciła szaty i stanęła przed nim nago. A wszyscy jego woje wzdychali, rwali brody i bełkotali w uniesieniu, gdyż bardzo była piękna od stóp do czubka głowy. Wódz kazał jej się obrócić dokoła i dokładnie się jej przypatrywał. Potem dotknął jej włosów, które były długie i brązowe, i pomacał skórę. W końcu powstał i przycisnął sygnet, który nosił na wskazującym palcu, do jej brzucha, piersi i warg. I mówiąc coś do swoich ludzi, zdjął z siebie czerwony płaszcz i zarzucił go na nią. Na jego słowa wszyscy przyłożyli ręce do czoła, wymamrotali coś z szacunkiem i ukłonili się w pas.

Dziewczyna ubrała się ponownie w swoje szaty, ale zachowała czerwony płaszcz. Podano jej jedzenie i napoje i wszyscy zdawali się odnosić do niej z wielkim szacunkiem.

Jeńcy przyglądali się temu w milczeniu. Po czym Orm zauważył, że jak się zdaje, to ona ma największe szczęście z załogi Kruka. Toke zgodził się z tym i oświadczył, że ciężko mu zobaczyć ją w pełnej krasie dopiero teraz, kiedy jest już w mocy innego. Bo mało miał czasu

i bardzo się z wielu sprawami śpieszył, a teraz – jak mówił – chce mu się płakać na myśl, że nigdy nie będzie mógł rozłupać łba temu grubasowi z siwą brodą, który ważył się ją obmacywać.

– Ale w tym pokładam nadzieję – dodał – że stary będzie miał z niej niewiele pociechy. Albowiem jakkolwiek nie umieliśmy z sobą rozmawiać, od pierwszej chwili zauważyłem, że jest dobra i rozsądna. I dlatego też chyba rychło potrafi wbić nóż w kaidun tego starego capa.

Kruk siedział cicho, przytłoczony swoim losem, odwrócony ku morzu, nie troszcząc się o to, co dzieje się na lądzie. Lecz nagle wydał okrzyk, a równocześnie obcy podnieśli wielki wrzask, gdyż w zatoce ukazały się cztery statki, które walczyły z łodziami Berse. Płynęły powoli, tylko o wiosłach, i szybko dało się zauważyć, że jeden z nich zanurza się głęboko w wodzie i jest uszkodzony. Jedna burta była wgnieciona przy samym owrężu*, a wiele wiosel połamanych.

Jakkolwiek jeńcy, osłabieni od odniesionych ran i bardzo dręczeni pragnieniem, siedzieli markotni z powodu swego losu, to jednak na ten widok wszystkim rozjaśniły się twarze. Natychmiast bowiem zrozumieli, że gdy na otwartym morzu wiatr przybrał na sile, jednej z łodzi Berse udało się uderzyć sobą jak taranem we wrogi statek, tak że nieprzyjaciel musiał zrezygnować z dalszej walki. Widząc, że mu pozostały już tylko trzy zdadne do boju statki, zawrócił ciągnąc za sobą uszkodzony. W niektórych zaczęła się budzić nadzieja, że Berse wróci, aby ich uratować, ale Kruk powiedział:

– Berse stracić musiał moc ludzi, gdyż kiedy ginął mi z oczu, miał na swej łodzi wrogów i pełne ręce roboty. Nietrudno mu też się domyślić, że tylko niewielu z nas pozostało jeszcze przy życiu, bo widział, że łódź nasza nie zdołała się wydostać na morze. Dlatego też raczej będzie próbował dostać się do domu z tym, co uratował, bądź to z obu łodziami, bądź też tylko z jedną, jeśli nie starczy mu załogi na obsadzenie obu. Ale jeśli dotrze do domu, choćby tylko z jedną, w Lister długo będą wspominać i zachowają w dobrej pamięci wyprawę Kruka. Nas zaś na pewno teraz zabiją z gniewu, że dwie nasze łodzie im uszły.

Te ostatnie słowa nie sprawdziły się jednak, gdyż w końcu dostali pić i jeść, po czym przyszedł do nich jakiś człowiek, który opatrzył im rany. Zrozumieli wtedy, że zostali niewolnikami. Niektórzy byli zdania, że lepsze to niż śmierć, inni natomiast mieli wątpliwości, co z dwojga złego jest gorsze. Wódz obcych przybyszów polecił sprowadzić na

* Owreż – najszersza, decydująca o szerokości statku wręga środkowa, czyli poprzeczne żebró drewniane lub później żelazne.

ład swoich wiosłarzy i kazał im porozumieć się z wikingami. Byli tam ludzie z różnych narodów i próbowali zagadywać do nich na różne sposoby. Nikt jednak nie mówił językiem, który zdołaliby zrozumieć. Obcy pozostali na miejscu przez kilka jeszcze dni, naprawiając przez ten czas uszkodzony statek.

Na statku tym zabitych zostało przy zderzeniu z łodzią Berse wielu wiosłarzy i na ich miejsce posadzono teraz jeńców. Przywykli do wiosłowania, nie uważali z początku swej pracy za zbyt ciężką, gdyż każde wiosło obsługiwało tu dwóch wiosłarzy. Musieli jednak wiosłować niemal nago, co zrazu pocztywali za wielką hańbę. Wszyscy mieli też jedną nogę przykutą do wspólnego łańcucha. Na początku bielą swoich ciał odcinali się bardzo od innych wiosłarzy. Od palącego słońca grzbiety oblażyły im ze skóry i każdy wschód przynosił z sobą coraz większą mękę. Po jakimś jednak czasie zahartowali się i zapomnieli liczyć dnie. Zapomnieli też o wszystkim innym z wyjątkiem wiosłowania, spania, pragnienia i głodu, pojenia i karmienia, a potem wiosłowania na nowo. W końcu doszli do tego, że gdy zmęczył ich wysiłek większy niż zwykle, potrafili zapaść na chwilę w sen przy wiosłach i mimo to wiosłować tak jak inni, nie wypadając z rytmu, tak że nie musiał ich budzić bicz nadzorecy. Wtedy stali się naprawdę dobrymi galernikami. Wiosłowali w upał i rześisty deszcz, czasem o przyjemnym chłodzie, ale nigdy w zimie. Byli niewolnikami kalifa, ale mało wiedzieli, dokąd płyną albo na co się zdają ich trudy i wysiłki. Pływali wzdłuż wybrzeży i bogatych nizin i ciężko harowali, gdy trzeba było prowadzić statki w górę szerokich rzek o silnym prądzie. Na brzegach widzieli ludzi czarnych i brunatnych, a czasem także kobiety o twarzach zasłoniętych welonem. Przepłynęli przez cieśninę Njörva i dotarli tak daleko, jak sięgała władza kalifa, oglądając bogate wyspy i piękne miasta, które wszystkie były dla nich bezimienne. Zawijali do wielkich portów, gdzie trzymano ich zamkniętych w zagrodach dla niewolników, aż znowu przyszła pora wiosłować. W pogoni za innymi statkami wiosłowali ostro, aż serca zaczynały im pękać, potem zaś leżeli twarzą na wiosłach, dysząc ciężko podczas abordaży, których nie mieli siły oglądać.

Nie odczuwali żadnego żalu ni żadnej nadziei i nie wzywali żadnych bogów. Mieli dość zajęcia z pilnowaniem swoich wiosł i wystrzeganiem się człowieka z biczem, który ich nadzorował. Nienawidzili go ogromną nienawiścią, gdy popędzał ich swoim biczem, ale jeszcze bardziej wtedy, gdy w czasie wytężonego wiosłowania obchodził ławy wtykając im w usta wielkie kawały chleba zmoczonego w kwaśnym winie. Wówczas bowiem wiedzieli, że będą musieli wiosłować bez wypoczynku, dopóki im tylko sił starczy. Nie rozumieli jego słów. Ale z dźwięku głosu nauczyli się wnet domyślać, iloma uderzeniami bicza zamierza obdzielić tych, którzy się zaniedbywali. I znajdowali szczęście w wyobrażaniu sobie dla niego

ciężkiej śmierci z rozdartym gardłem albo z grzbietem schłostanym do tego stopnia, że wśród krwi widać byłoby kręgi kręgosłupa.

Orm mówił w dniach starości o tym okresie, że był on długi do przeżycia, ale krótki, gdy przychodzi o nim opowiadać. Albowiem jeden dzień był bliźniaczo podobny do drugiego, tak że czas jak gdyby stał w miejscu. Sam on jednak miał pewne znaki, które wskazywały na bieg czasu. Jeden z nich stanowiła jego broda. Był jedynym, którego zasadzono do wiosła jako młodzika bez zarostu, niebawem jednak zaczęła mu rósć broda, jeszcze bardziej czerwona niż włosy na głowie, która w końcu stała się tak długa, że omiatała nią wiosło, gdy siedział zgięty nad nim. A potem broda nie stawała się już dłuższa, gdyż ruch wiosła utrzymywał ją w jednakowej długości. I Orm zwykł mawiać, że z wszystkich sposobów pielęgnowania brody ten wydał mu się najgorszy.

Drugim znakiem był wzrost jego siły. Był mocny, gdy go zasadzono do wiosła, i przyzwyczał się do wiosłowania na łodzi Kruka. Ale trud niewolnika cięższy jest niż wolnego człowieka i przy długim wiosłowaniu, które bardzo wyczerpywało siły, zdarzało się z początku, że nachodziło nań osłabienie i zawrót głowy. Widział, jak wiosłarzom pękały serca, na wargi występowała krwawa piana i jak w drgawkach padali w tył na ławy, by zemrzeć, po czym zwłoki ich wyrzucano za burtę. Ale wiedział, że ma tylko dwie rzeczy do wyboru. Albo wiosłować tak długo, jak to robili inni, choćby nawet miało to się skończyć dlań śmiercią, albo poczuć na swej skórze bicz nadzorcy. Zwykł mawiać, że zawsze wybierał to pierwsze, jakkolwiek nie było znów tak bardzo o co się ubiegać. Ale raz, na samym początku, posmakował bicza i potem już wiedział, że gdyby się to powtórzyło, dostałby ataku furii i wtedy czekałaby go niechybna śmierć.

Toteż wiosłował, jak umiał najlepiej, nawet gdy mroczyło mu się w głowie i ból szarpał ramiona i grzbiet. Po jakimś czasie jednak nie odczuwał już zbytnio zmęczenia. Siła jego wzrastała coraz bardziej, tak że musiał uważać, aby zbyt mocnym pociągnięciem nie złamać wiosła, które w jego rękach gięło się jak pręcik. Albowiem złamanie wiosła wywoływało ostrą naganę z użyciem bicza. Przez cały czas swojej niewoli u kalifa Orm wiosłował przy lewej burcie i w tym leży przyczyna tego osobliwego zjawiska, że posadzono go do wiosła praworękiem, odszedł zaś stamtąd jako mańkut. I potem już przez całe życie używał najchętniej lewej ręki tak do łyżki, jak i do miecza. Tylko do rzutu oszczepem posługiwał się zawsze prawym ramieniem. Siła zaś, którą nabył na galerach, a która była większa niż u innych, pozostała mu potem na długo i sporo z niej miał pożytku jeszcze w starości.

Ale prócz rośnięcia brody i wzrostu siły był jeszcze i trzeci znak, który uświadamiał mu, jak biegnie czas wśród trudów przy wiosle, a mianowicie to, że zaczął powoli, po trosze

rozumieć język obcy; najpierw pojedyncze słowa, a później coraz więcej. Niektórzy niewolnicy pochodzili z dalekich krajów i mówili językiem podobnym do szczekania psów, którego nie rozumiał nikt prócz nich samych. Inni byli jeńcami z chrześcijańskich krajów na północy i też mówili po swojemu. Ale wielu było Andaluzyjczykami, których przykuto do wiosła za rabunki czy bunty albo też dlatego, iż drażnili kalifa nowymi naukami o swoim bogu i swoim proroku. Ci ostatni mówili po arabsku tak jak ich panowie. Także nadzorca mówił tym językiem, a że dla każdego wiosłarza było zawsze pożyteczne zrozumieć, czego życzy sobie ten człowiek, stał się on dla Orma bez jakichkolwiek starań ze swej strony – dobrym nauczycielem języka.

Język to był trudny do zrozumienia, a jeszcze o wiele bardziej trudny do wymówienia, gdyż zawierał dźwięki, które siedziały głęboko w gardle i przypominały najbardziej krakanie kruków i kumkanie żab. Toteż Ormowi i jego towarzyszom wydawało się dziwne, iż obcym chce się trudzić i wykrztuszać tak trudne dźwięki, zamiast mówić po ludzku, jak to robili mieszkańcy Północy. Mimo to Orm okazał się pojętniejszy w tej mowie niż ktokolwiek inny z jego towarzyszy. Może dlatego, że był najmłodszy, a może także i z tego powodu, że zawsze łatwo mu przychodziło uczyć się trudnych słów, które zdarzały się w starych pieśniach skaldów, nawet gdy nie rozumiał ich znaczenia.

Dlatego też on pierwszy zaczął pojmować, co do nich mówiono, i on też jedyny umiał to czy owo odpowiedzieć. Dzięki temu stał się tłumaczem dla swoich współbraci i przemawiał w ich imieniu, tak że wszelkie polecenia zaczęto kierować do niego. Musiał też dowiadywać się wielu rzeczy dla swych towarzyszy, stawiając, najlepiej jak umiał, pytania wiosłarzom, którzy umieli po arabsku i znali się na sprawie. Choć więc był najmłodszy spośród Wikingów i był niewolnikiem tak jak inni, zaczął pomału uchodzić za hövdinga, gdyż ani Kruk, ani Toke nie mogli w żaden sposób nauczyć się obcego języka. Orm mawiał potem zawsze, że obok szczęścia, siły i zręczności we władaniu bronią nie ma dla człowieka rzuconego pośród obcych nic pożyteczniejszego jak pojętność.

Załoga statku liczyła pięćdziesięciu wojowników, wiosłarzy zaś było siedemdziesięciu dwóch przy osiemnastu parach wiosła. Od ławy do ławy krążyły gęsto szepty, jak by to uwolnić się z kajdan, obezwładnić zbrojnych i zdobyć wolność. Ale żelaza były silne i sprawdzano je starannie, kiedy zaś statek leżał na kotwicy, zawsze wystawiano strażę. I nawet w czasie boju ze statkami nieprzyjacielskimi kilku wojowników przydzielano zawsze do strzeżenia niewolników i zabijania każdego, kto by się niepokój. Gdy sprowadzano ich na ląd w którymś z wielkich portów wojennych kalifatu i zamykano w zagrodach dla niewolników na czas postoju statku w porcie, znajdowali się zawsze pod surową strażą

i nigdy nie pozwolono im zebrać się w gromadę. Toteż zdawało się im wszystkim, że nie ma żadnej nadziei i że pozostało im tylko wiosłować, dopóki starczy życia czy też dopóki jakiś nieprzyjacielski statek nie pokona ich i nie oswobodzi może wtedy niewolników. Ale statków kalifa było dużo i zawsze miały przewagę, tak że i na to nie bardzo można było liczyć. Tych, którzy próbowali opierać się czy złorzeczyć, chłostano na śmierć albo wyrzucano żywych za burtę, a czasem, gdy chodziło o silnych wiosłarzy, kastrowano, każąc potem dalej wiosłować. A choć niewolnicy i tak nigdy nie stykali się z kobietami, uważali tę karę za najgorszą z wszystkich.

Jeszcze w starości, gdy Orm opowiadał o swojej niewoli przy wiosle, pamiętał miejsca, które zajmowali na statku wszyscy jego rodacy, a nawet i większość innych. Potrafił w opowiadaniu przechodzić od wiosła do wiosła, opisując, jacy siedzieli przy nich ludzie i kto zmarł, a kto przeszedł na jego miejsce lub kogo najwięcej chłostano. Mówił, że nietrudno mu spamiętać to wszystko, gdyż w snach wraca często na galerę i widzi przed sobą zgięte, poznaczone śladami uderzeń bicza grzbiety, słyszy stękania wiosłarzy podczas ostrego wiosłowania i zawsze także słyszy za sobą zbliżające się kroki nadzorcy. I trzeba było łoża z tęgiego drzewa, aby nie trzasło, gdy w takim śnie zapierał się nogami, by robić wiosłem. Mawiał też, że nie może być większego szczęścia, jak zbudziwszy się uprzytomnić sobie, że był to tylko sen.

O dwa wiosła przed Ormem, również przy lewej burcie, miał swoje miejsce Kruk, który zmienił się teraz w całkiem innego człowieka. Orm i pozostali widzieli wyraźnie, że los niewolnika był dlań jeszcze cięższy niż dla każdego z nich, gdyż Kruk przywykł do rozkazywania i długo ufał swojemu szczęściu. Stał się cichy i rzadko odpowiadał na zwrócone do siebie słowa rodaków, którzy siedzieli najbliżej. A chociaż przy swojej dużej sile mógł robić wiosłem z łatwością, wiosłował jakby na pół we śnie i zdawał się wiecznie pograżony w myślach. Czasem zwalniał, wówczas wiosło jego wypadło z rytmu, a nadzorca wymierzał mu kilka ostrych uderzeń biczem. Nikt nie słyszał wtedy od Kruka słowa skargi czy też pomruku przekleństwa. Chwytał tylko mocniej za wiosło i znów wpadał w rytm. Ale wzrokiem wodził z namysłem za przechodzącym dalej nadzorcą, tak jak to robi człowiek obserwujący natrętnego szerszenia, którego nie może osiągnąć. Towarzyszem Kruka przy wiosle był mężczyzna zwany Gunne. Skarżył się on, że dostaje mu się wiele uderzeń bicza z powodu Kruka, ale ten prawie nie odpowiadał na te skargi. W końcu jednak pewnego razu, gdy nadzorca wychłostał ich obu bardzo mocno i narzekania oraz wściekłość Gunne przewyższyły zwykłą miarę, Kruk spojrział na niego tak, jakby go zobaczył po raz pierwszy w życiu, i rzekł: – Miej cierpliwość, Gunne, bo już niedługo będziesz znosić przykrości

z mego powodu. Jestem hövdingiem i nie zostałem stworzony do takiego losu. Ale mam jeszcze coś do dokonania, jeśli dopisze mi moje szczęście.

Nie rzekł potem ani słowa więcej i nikt nie mógł z niego wydobyć, co to była za sprawa, której chciał jeszcze dokonać. Tuż przed Ormem siedziało dwóch mężczyzn, o imionach Halle i Ogmund. Rozmawiali dużo o dobrych dniach, które przeżyli, o jedzeniu, piwie i o dziewczętach ze stron rodzinnych oraz wynajdywali najrozmaitsze rodzaje śmierci dla dozorczy. Ale sposobu, w jaki można by się było do niego dostać, nigdy nie potrafili wymyślić. Sam Orm siedział pospołu z czarnobrunatnym cudzoziemcem, któremu za jakieś przewinienie obcięto język. Człowiek ten zgrabnie robił wiosłem i rzadko tylko dosięgał go bicz dozorczy. Orm jednak wolałby raczej mieć obok siebie rodaka albo przynajmniej kogoś, z kim by mógł rozmawiać. Za najgorsze zaś uważał to, że człowiek z wydartym językiem, choć nie mógł mówić, tym więcej kaszłał, kaszlem gorszym od wszystkich, jakie Orm słyszał w swoim życiu. Stawał się wtedy szary na twarzy, dyszał jak ryba wyrzucona na piasek i wyglądał tak nędznie, iż nie można się było spodziewać, aby pociągnął długo. Toteż Orm zaczął się bać o własne zdrowie. Bo aczkolwiek życie przykutego do wiosła niewolnika nie wydawało mu się wiele warte, niemniej jednak od kaszlu nie chciał umrzeć; uświadamiał to sobie z całą pewnością, ilekroć słyszał, jak kaszle człowiek bez języka. Myśli o tym przygnębiały go i pragnął, by Toke był bliżej.

Ten siedział o wiele wiosła z tyłu za Ormem, tak że mogli z sobą rozmawiać tylko bardzo rzadko, kiedy ich wyprowadzano na ląd lub z powrotem na statek, gdyż w zagrodach dla niewolników siedzieli spętani po czterech w małych celach, według miejsc, jakie zajmowali przy wiosłach. Toke zachował dawną wesołość i wciąż jeszcze umiał znaleźć powody do śmiechu. Często kłócił się z towarzyszem ławy, niejakim Tume, który zdaniem Toke robił mniej, niż nań przypadało przy wiosle, natomiast więcej przy misie z jadem. Układał też niekiedy obelżywe wierszyki na Tume, a niekiedy na dozorcę i śpiewał je jako pieśni wioślarskie, tak aby Orm i inni mogli słyszeć.

Ale przede wszystkim zajmował się Toke wymyślaniem jakiegoś sposobu odzyskania wolności. I gdy po raz pierwszy udało mu się z Ormem porozmawiać, opowiedział, że ma już niemal gotowy dobry plan i trzeba mu tylko odpowiedniego kawałka żelaza. Żelazem tym można by odgiąć jedno z ogniw w łańcuchu skuwającym ich nogi. Trzeba by tego dokonać w ciemną noc, kiedy statek będzie leżeć w porcie i wszyscy prócz straży posną. Jeden po drugim uwolniliby się wtedy po cichu od okowów za pomocą owego żelaza. A gdy już wszyscy Normanowie byłiby wolni, pozostałoby tylko zadusić w ciemności strażników nie

robiąc przy tym hałas i zabrać im broń, dostawszy się zaś na ląd, zawsze znajdą jakieś dalsze wyjście.

Orm powiedział, że byłby to dobry plan, gdyby tylko dało się go wykonać. A przy dławieniu strażników, gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom udało im się dojść aż do tego, i on przyda się na coś – jak przypuszcza. Skąd jednak wziąć owo żelazo? I w jaki sposób ludzie nadzy, zawsze nadzorowani, potrafią przemycić takie żelazo niepostrzeżenie na statek? Toke wzdychał przyznając, że są to istotnie trudności, nad którymi trzeba się zastanowić. Ale ponieważ żadnego lepszego planu nie dało się wymyślić, pozostawało tylko nadal czekać i mieć nadzieję, że dopomoże im jakiś szczęśliwy przypadek.

Rozmawiał też o swoim planie z Krukiem, ale ten słuchał z roztargnieniem i niewiele odpowiadał.

W jakiś czas potem wyciągnięto statek na ląd przy stoczni kalifa, aby go oskrobać i oblać smołą. Do roboty postawiono wielu niewolników skutych po dwóch z sobą, a wśród nich i Normanów, którzy znali się dobrze na okrętowym rzemiośle. Pilnowali ich uzbrojeni strażnicy, a nadzorca kręcił się z biczem, naganiając do pracy. Dwóch uzbrojonych w łuki i miecze strażników chodziło za nimi wszędzie dla ochrony. W pobliżu statku grzano w wielkim kotle smołę, obok zaś znajdowała się beczka z wodą do picia dla niewolników.

Kruk i Gunne stali tam właśnie pijąc, gdy nadszedł jeden z niewolników niosąc towarzysza, który przy pracy pośliznął się i skaleczył w nogę, tak że nie mógł na niej ustać. Posadzono go na ziemi i dano wody, a nadzorca przyszedł, aby zobaczyć, co się stało. Ranny leżał jęcząc, a nadzorca, który był z natury nieufny, chłostał go, by sprawdzić, czy ranny istotnie nie może stanąć na nogi. Ten jednak nie podnosił się mimo bicia, a wszyscy w pobliżu przyglądali się temu.

Kruk stał o parę kroków z tyłu, po drugiej stronie beczki. Podsunął się teraz bliżej, pociągając za sobą Gunne i nagle skończyła się jego bierność. Gdy znalazł się już dość blisko i zobaczył, że starczy łańcucha, zrobił skok, chwycił nadzorcę za kark i za pas i wywinął nim w powietrzu. Ten zawył głośno, a strażnik, który stał najbliżej, odwrócił się i wbił miecz w Kruka. Ale Kruk zdawał się tego wcale nie zauważać, tylko odszedł parę kroków w bok i wsadził nadzorcę w gotującą się smołę głową w dół. W tej chwili drugi strażnik ciał Kruka mieczem w głowę. Kruk zachwiał się, lecz nie odwrócił oczu od tego, co działo się z nadzorcą. Zaśmiał się i wyrzekł: – Moje szczęście poprawiło się teraz trochę! Po czym padł i skonał. A wtedy z ust wszystkich niewolników, którzy to widzieli, wydarł się wielki okrzyk triumfu na widok haniebnego końca nadzorcy. Lecz ludzie Kruka odczuwali także i żal z powodu śmierci swojego wodza i rozmawiali odtąd często o jego czynach i ostatnich

słowach. Uważali zgodnie, że zachował się, jak na hövdinga przystało. I wyrażali nadzieję, że nadzorca stojąc na głowie w kotle żył dostatecznie długo, by dobrze poczuć smołę.

Toke ułożył na zgon Kruka strofę:

*Gorsze niż cios kańczuga
Dla tego, co dzierzył kańczug,
Gdy głową padł w kocioł smoły
Do mycia dziobów okrętów.
Kruk, co nieszczęsnym losem
Siadł, skuty, na ławie wiosłarzy,
Wziął razem pomstę i wolność
I los swój na lepszy odmienił.*

Gdy znów wypłynęli na morze, otrzymali nowego nadzorcę. I wszystkim się zdawało, że wyciągnął on naukę z tego, co zaszło, i obchodził się nieco ostrożniej z biczem.

VI.

O ŻYDZIE SALAMANIE I WŁADCZYNI ZUBAIDZIE ORAZ O TYM, JAK ORM DOSTAŁ MIECZ BLOTUNGE*

Pozbawiony języka niewolnik, który robił tym samym wiosłem co Orm, marniał coraz bardziej, aż w końcu niewiele z niego było pożytku. I gdy pewnego razu statek zawinął do jednego z południowych portów wojennych zwanego Malaga, wzięto go na ląd, a na jego miejsce miano posadzić kogoś innego. Orm, na którego ostatnio spadła lwia część wysiłku przy wiosłowaniu, był ciekaw, czy dostanie lepszego towarzysza. Następnego dnia zjawił się tenże wleczony przez czterech strażników, którzy niemało się natrudzili, aby zmusić opornego do przejścia trapu wiodącego na statek. Już z daleka słychać było, że nie brak mu języka. Był to młody i piękny mężczyzna, bez brody i delikatnie zbudowany, który krzyczał i przeklinał gorzej, niż kiedykolwiek słyszano na statku. Wepchnięto go na miejsce przy Ormie, przytrzymując mocno podczas zakładania kajdan na nogi. Kilka łez spłynęło mu wtedy po policzkach, odnosiło się jednak wrażenie, że wywołała je głównie złość. Zarówno dowódca statku, jak i nadzorca przyszli, aby mu się przypatrzeć. On jednak obsypał ich niezwłocznie gradem gróźb i obelg, nie szczędząc najbardziej wymyślnych przewisk. Wszyscy wiosłarze spodziewali się, że spotka go natychmiast chłosta. Ale dowódca statku i nadzorca niewolników gładzili się tylko poważnie po brodach i odczytywali raz po raz jakieś pismo, które przynieśli strażnicy. To potakiwali, to znów potrząsali przecząco głowami i rozmawiali z sobą z namysłem, podczas gdy nowo przybyły nie przestawał wrzeszczeć, wymyślając im od takich synów, wieprzjadów i obłapiaczy oślic. W końcu nadzorca pogroził mu kańczugiem i kazał być cicho, po czym odszedł w swoją stronę razem z dowódcą, a przybysz wybuchł na to płaczem na dobre, trzęsąc się na całym ciele.

Ormowi wszystko to wydało się niepojęte i nie sądził, by miał z tego człowieka wiele pomocy przy wiosle, dopóki nie zostanie on wychłostany. Niemniej jednak rad był, że zamiast tamtego niemowy dostał towarzysza mówiącego. Nowo przybyły nie kwapił się jednak zrazu do rozmowy, mimo iż Orm go przyjaźnie zagadywał, a i z wiosłowaniem było u niego nietęgo. Trudno mu było pogodzić się ze swoim losem i z początku wściekał się na jedzenie, które im dawano, jakkolwiek w oczach Orma było ono co prawda skąpo

* Blotunga (Blaatunga) – Błękitny Język.

wymierzone, lecz bardzo smaczne. Ale Orm miał do swego nowego towarzysza niedoli cierpliwość i robił wiosłem za dwóch. Pocieszał go też, jak umiał najlepiej, i nieraz wypytywał, kim jest i jak tu się dostał. Tamten patrzył na niego z góry i wzruszał ramionami, a w końcu odpowiedział, że pochodzi z dobrego rodu i nie przywykł, by wypytywali go niewolnicy nie umiejący nawet porządnie się wysławiać. Na to Orm odrzekł:

– Za to, coś powiedział, mógłbym cię wziąć za kark tak, żebyś poczuł. Lepiej jednak, abyśmy zachowali spokój i zaznajomili się z sobą. Niewolnikami jesteśmy tu wszyscy i na statku więcej jest ludzi z dobrych rodów prócz ciebie, a do nich należą i ja. Nazywam się Orm i jestem synem hövdinga. To prawda, że nie władam biegle twoją mową, ale ty wiesz jeszcze mniej o mojej, z której nie znasz ani słowa. Toteż wydaje mi się, że obaj jesteśmy równie dobrzy, a jeśli już ktoś z nas jest lepszy, to chyba nie ty, ale ja.

– Mówisz źle – odparł nowo przybyły – ale wygląda na to, że masz dobrze w głowie. Możliwe, że w swoim szczepie jesteś dobrego rodu, ale ze mną nie możesz się mierzyć w żadnym razie. Bo po kądzieli wywodzę się z tego samego szczepu co Prorok, pokój mu i chwała, i musisz wiedzieć, że mowa moja jest mową, której używał sam Allah, podczas gdy inne języki wymyślił szatan, aby przeszkodzić w rozpowszechnianiu prawdziwej wiary. Dlatego też nie jesteśmy równi – ty i ja. Nazywam się Khalid, syn Yazida. Ojciec mój sprawował wysoki urząd u kalifa, a ja mam duży majątek i zajmowałem się tylko swoimi wspaniałymi ogrodami, muzyką i sztuką poetycką. To prawda, że teraz muszę robić co innego, ale nie potrwa to długo, oby robaki wyjadły żrenice tym, którzy mnie tu posadzili! Ułożyłem pieśni, które śpiewa cała Malaga, i niewielu spośród żyjących pieśniarzy może mi dorównać.

Orm zauważył, że w państwie kalifa nie braknie widać skaldów, bo on spotkał już też niejednego. Na co Khalid odparł, że w rzeczy samej może wydawać się, że jest ich dużo, gdyż wielu próbuje sztuki poetyckiej. Prawdziwych pieśniarzy jest jednak niewielu.

Zaczęli się teraz dobrze z sobą zgadzać, jakkolwiek Khalid pozostał nadal kiepskim wioślarzem, a chwilami nie przydawał się w ogóle na nic, ponieważ wiosło obdzierało mu skórę na rękach. Niebawem opowiedział Ormowi, w jaki sposób doszło do tego, że znalazł się na galerach. Wiele rzeczy musiał powtarzać po kilka razy i tłumaczyć innymi słowami, gdyż trudno go było zrozumieć. W końcu jednak Orm pojął większą część opowiadania.

Khalid mówił, że nieszczęście jego wynikło stąd, iż najpiękniejsza dziewczyna w całej Maladze była córką namiestnika kalifa w tym mieście i że namiestnik ów był człowiekiem niskiego rodu i podłego usposobienia. Ale piękność jego córki była tak wielka, że nawet pieśniarz nie mógł wymarzyć czegoś piękniejszego, i ją to właśnie zobaczył raz Khalid

przypadkiem na święcie żniwa bez zasłony. Odtąd kochał ją najgoręcej z wszystkich kobiet i układał na jej cześć pieśni, które pieściły wargi tych, co je śpiewali. Z dachu domu położonego w pobliżu jej domostwa udało mu się ją zobaczyć, gdy siedziała samotnie na swoim tarasie. Pozdrowił ją wtedy żarliwie, wyciągając do niej ramiona, i nakłonił ponownie do uchylenia welonu, co było znakiem, że i ona go kocha. A z powodu jej wielkiej piękności ogarnęło go ogromne miłosne uniesienie.

Upewniwszy się, że dziewczę mu sprzyja, dał bogate dary jej służebnicy, dzięki czemu zdołał jej przekazać posłanie. A gdy potem namiestnik wyjechał, aby złożyć sprawozdanie kalifowi, dziewczyna przysłała mu czerwony kwiat. Khalid przebrał się wtedy za starą kobietę i z pomocą niewolnicy udał się do dziewczęcia, z którym zaznał wiele razy lubej rozkoszy miłości. Ale pewnego dnia na ulicach miasta rzucił się nań jej brat z obnażonym mieczem i w walce został ranny, gdyż Khalid zręcznie władał bronią. Potem zaś namiestnik wrócił do domu i Khalida schwytano i postawiono przed sądem.

W tym miejscu Khalid aż poczerniał z wściekłości. Parskał z nienawiści śliną i wykrzykiwał przekleństwa na namiestnika, potem zaś ciągnął dalej:

– Według prawa nic nie mógł mi zrobić. Co prawda uprawiałem miłość z jego córką, ale w zamian za to umieściłem jej imię w pięknych pieśniach. A że mężczyzna mojego pochodzenia nie może się żenić z córką Berbera niskiego rodu, to nawet sam ojciec powinien był zrozumieć. Syna jego zraniłem dlatego, że mnie napadł, i tylko wrodzona mi łagodność pozwoliła mu ujść z życiem. Za to powinien był namiestnik czuć dla mnie wdzięczność, gdyby był człowiekiem sprawiedliwym. Zamiast tego jednak dał się ponieść swojej złości, największej w całej Maladze, i oto co wymyślił. Posłuchaj, poganinie, a zadziwisz się!

Orm słuchał chętnie, jakkolwiek wielu słów nie rozumiał, a i ludzie na najbliższych ławach przysłuchiwali się opowiadaniu, gdyż Khalid wygłaszał je podniesionym głosem.

– Namiestnik polecił odczytać jeden z moich najpiękniejszych wierszy i spytał, czy to ja go ułożyłem. Ja zaś odpowiedziałem, że każde dziecko w Maladze zna ten wiersz i wie, iż jest moim dziełem.

Był to bowiem poemat pochwalny na cześć Malagi, najlepszy, jaki kiedykolwiek napisano. A w poemacie tym znajdowała się ta oto strofa:

*I jedno wiem na pewno, że jeśliby Prorok
Posmakował winogron, które ta kraina
Rodzi tu w obfitości, to pewnie na ślepo
Nie zakazałby wiernym pić naszego wina.*

*O, nie! Lecz szczęśliwy i z pełnym pucharem,
Z brodą spryskaną słodkim i czerwonym moszczem,
Od chwalby wina Koran by zaczynał.*

Wyrecytowawszy te słowa Khalid wybuchnął płaczem i oznajmił, że to za tę właśnie strofę skazany został na galery. Bo kalif, który jest stróżem prawdziwej wiary i zastępcą Proroka na ziemi, postanowił, że każdy, kto bluźni Prorokowi lub gani jego naukę, ma być surowo ukarany. A chciwy zemsty namiestnik uznał ten właśnie sposób za najlepszy, aby pod pozorem sprawiedliwości dobrać się do Khalida.

– Pocieszam się jednak, że nie potrwa to długo, gdyż ród mój możniejszy jest od jego rodu i cieszy się łaską u kalifa, toteż wnet winno nadejść moje wyzwolenie. I dlatego nikt na statku nie waży się tknąć mnie pletnią. Wiedzą, że nie podnosi się bezkarnie ręki na krewnego Proroka.

Orm zapytał, kiedy żył ów Prorok, a Khalid odpowiedział, że więcej niż trzysta pięćdziesiąt lat temu, na co Orm zauważył, iż musiał to być naprawdę mąż potężny, skoro jeszcze dziś chroni swoich krewnych i stanowi, co ludziom wolno pić. Nikt w Skanii nie miał nigdy tak wielkiej mocy, nawet sam król Ivar Długoręki, najpotężniejszy mąż, jaki żył w tamtych stronach.

– Choć co prawda – dorzucił – u nas nikt się nie miesza do tego, co pije ktoś drugi, czy to królowie, czy prości ludzie.

Orm nauczył się o wiele bieglej po arabsku, odkąd dostał Khalida za towarzysza. Ten bowiem stale dużo mówił i wiele miał do opowiadania. A po jakimś czasie zapragnął dowiedzieć się, gdzie leży ojczyzna Orma i w jaki sposób znalazł się on na galerze. Orm opowiedział mu wtedy o wyprawie Kruka, o tym, w jaki sposób on sam wziął w niej udział, i o tym, co przydarzyło się potem. A gdy skończył opisywać wszystko tak dobrze, jak umiał, rzekł:

– Wiele z tego czerpie zatem początek od spotkania z owym Żydem Salamanem. Może miał on rzeczywiście szczęście. Został bowiem oswobodzony z niewoli i dopóki był z nami, wszystko wiodło się jak najlepiej. Mówił, że jest moznym człowiekiem w mieście o nazwie Toledo, gdzie zajmuje się złotnictwem będąc zarazem najwybitniejszym spośród tamtejszych skaldów.

Khalid odrzekł, że dobrze zna Salamana, gdyż jego wyroby ze srebra sływały szeroko. No i jak na Toledańczyka był z niego także niezły pieśniarz.

– Dość niedawno temu – mówił – słyszałem jeden z jego poematów śpiewany przez wędrownego pieśniarza z Północy. Opisywał tam, jak wpadł w ręce asturyjskiego markgrafa i bardzo był przezeń męczony, jak się potem oswobodził i powiódł na jego gródek dzikich rabusiów, jak zdobył gródek szturmem, zabił markgrafa i zatknął jego głowę na słupie ostrokołu na żer dla kruków i jak potem odszedł do domu z jego skarbami. Był to w swym prostym rodzaju dobry utwór, choć pozbawiony tej miękkości tonu, której zwykli używać lepsi pieśniarze Malagi.

– W tej pieśni nie szczędzi pochwał dla swego męstwa – rzekł Orm – i jeśli zdołał dokazać tak wiele, aby zemścić się na nieprzyjacielu, powinien także zrobić coś niecoś, aby wynagrodzić przyjaciół, którzy mu w tym dopomogli. Zwolniliśmy go z niewoli, zdobyliśmy gródek i spełniliśmy jego pomstę. Jeśli więc jest możliwym człowiekiem w tym kraju, mógłby nam odplacić się przysługą w naszej niedoli. Bo doprawdy nie wiem, jak inaczej zdołamy odzyskać wolność.

Khalid wspomniał jeszcze, że Salaman słynie z bogactw i cieszy się dobrą sławą u kalifa, jakkolwiek nie wyznaje prawdziwej wiary, tak że w Ormie zaczęła się budzić nadzieja, lecz nie wspomniał nic swoim rodakom o tym, czego się dowiedział. W końcu Khalid przyobiegał mu, że jak tylko odzyska wolność, wyśle do Salamana w Toledo posłańca z wieścią o ich losie.

Gdy dni płynęły, a nic nie było słyhać o uwolnieniu Khalida, ten stawał się coraz bardziej niespokojny i wielce się piecił na obojętność swoich krewniaków. Rozpoczął też układać wielki poemat o szkodliwości wina, w nadziei, że uda mu się go w jakimś większym porcie napisać i wysłać do kalifa, aby w ten sposób dać poznać swoje prawdziwe poglądy w tej materii. Kiedy jednak doszedł do opiewania wody i soku cytrynowego jako rzeczy lepszych od wina, zaczęło mu iść niesporo z rymowaniem. Ale mimo że w chwilach przygnębienia dalej wykrzykiwał obelgi na dowództwo statku, kańczug nigdy nie dotknął jego skóry. I Orm uważał, iż jest to dobry znak i że Khalid nie pozostanie już długo na galerach.

Pewnego ranka w jednym ze wschodnich portów, gdy wrócili wraz z wielu innymi statkami z ostrego pościgu za afrykańskimi piratami, przyszło na ich statek czterech mężczyzn, a kiedy Khalid ich zobaczył, radość oszołomiła go tak dalece, że nie słyszał nawet pytań Orma. Jednym z owych mężczyzn był jakiś dygnitarz w wielkim turbanie na głowie i w płaszczu po kostki. Oddał on dowódcy statku list, którego ten dotknął wpierw czołem, a potem z wielką czcią przeczytał. Drugi z przybyłych wyglądał na krewnego Khalida, gdyż

jak tylko tego rozkuto z kajdan, rzucili się sobie w objęcia i zaczęli się całować mówiąc cały czas ogromnie szybko jeden przez drugiego. Dwaj pozostali byli służącymi i nieśli odzież i kosze z jedzeniem. Ubrali zaraz Khalida w piękne szaty i zastawili przed nim posiłek. Orm krzyknął nań, aby mu przypomnieć obietnicę, ale Khalid zajęty był już strofowaniem swego krewniaka, że ten zapomniał zabrać z sobą balwierza, i nic nie słyszał. A potem Khalid zszedł na ląd otoczony swoim towarzystwem, a dowódca statku i załoga kłaniali mu się z szacunkiem, gdy odchodził. On zaś skinął z godnością głową i zniknął idąc pod ramię z krewniakiem i zdając się nikogo nie zauważać.

Orm pomarkotniał, Khalid bowiem był dla niego dobrym towarzyszem, a mogło się zdarzyć, że na wolności wbije się zbyt w dumę i zapomni, co przyobiegał. Posadzono teraz koło Orma innego człowieka, tłustego handlarza, który dostał się na galery za używanie fałszywej wagi. Męczył się szybko i niewiele był wart jako wiosłarz, toteż posmakował czasem bata i bardzo wtedy lamentował mrużąc pod nosem pobożne litanie. Orm miał z niego mało pociechy, tak że ten okres pobytu na galerach wydał mu się najcięższy. Pokładał jeszcze nadzieję w Khalidzie i Salamanie, lecz malała ona w miarę, jak upływał czas.

Ale w Kadysie nadszedł w końcu i dla nich dzień radości. Na statek przyszedł dowódca z gromadą zbrojnych i wszystkich Normanów rozkuto z kajdan. Dostali odzież i obuwie i zaprowadzono ich na inny statek, którym popłynęli w górę wielkiej rzeki, ku Kordobie. W czasie drogi musieli pomagać przy wiosłowaniu, ale bez kajdan i bata i z częstymi zmianami. Wolno im też było siedzieć razem i rozmawiać z sobą bez przeszkód po raz pierwszy od długiego bardzo czasu. Dwa pełne lata i dużą część trzeciego roku spędzili na galerach i Toke, który dużo śpiewał i śmiał się, mówił, iż wprawdzie nie wie, co się z nimi teraz stanie, ale jedno wie na pewno, a mianowicie, że czas najwyższy ugasić pragnienie. Orm radził mu jednak, aby z tym raczej poczekał do odpowiedniejszej okazji, ponieważ byłoby niedobrze, gdyby teraz doszło do jakichś gwałtownych scen. A jeśli go pamięć nie myli, zwykło to się zdarzać, gdy Toke gasi pragnienie. Toke zgodził się z tym, że powinien poczekać, ale mówił, że to czekanie przyjdzie mu z trudnością. Wszyscy zastanawiali się, co się z nimi stanie, a Orm opowiadał swoje rozmowy z Khalidem o Żydzie Salamanie. Oni zaś wychwalali pod niebiosa Żyda, a także i Orma i choć był najmłodszy z nich, w nim widzieli wszyscy swego hövdinga.

Orm zapytał dowódcę zbrojnego oddziału, co z nimi zrobią i czy nie zna on przypadkiem Żyda Salamana, ale ten wiedział tylko, że kazano mu przywieźć ich do Kordoby, a o Żydzie wcale nie słyszał.

Przybyli do miasta kalifa i patrzyli, jak rozpościera się szeroko po obu stronach rzeki morze domów, wśród których wyróżniały się białe pałace, wieże i palmowe ogrody. Zachwycali się jego ogromem i pięknnością, która przechodziła ich najśmielsze wyobrażenia. A bogactwo miasta wydawało im się tak wielkie, że starczyłoby go na obfite płądrowanie dla wszystkich żeglarzy z całego państwa Dunów.

Gdy prowadzono ich przez miasto, przyglądali się ciekawie ludzkiemu mrowiu, a niekiedy skarżyli się, że kobiet widziało się tylko niewiele, a i z tych, które się pojawiały, niedużo można było rozróżnić, bo zawsze szły spowite i zasłonięte welonami.

– Dużo by trzeba było – mówił Toke – żeby jakaś niewiasta nie wydawała mi się teraz piękna, gdybym naturalnie mógł z którą bliżej porozmawiać. Trzy lata bowiem jesteśmy już u tego narodu i jeszcze nie zbliżyliśmy się do żadnej.

– Jeśli tylko odzyskamy wolność – rzekł Ogmund – nie zbraknie nam chyba kobiet, gdyż ich mężczyźni nie bardzo mogą się z nami mierzyć.

Orm wyjaśnił, że każdemu mężczyźnie w tym kraju wolno mieć cztery żony, jeśli wyznaje Proroka i jego naukę. Ale za to nie wolno mu wcale pić wina.

– Wybór nie jest łatwy – rzekł Toke – bo ich piwo to na mój smak cienkusz. Ale może nie kosztowaliśmy jeszcze najlepszego ich chmielu. A cztery kobiety to akurat tyle, ile mi potrzeba.

Doszli do wielkiego dworzyszczka, gdzie roilo się od zbrojnych i gdzie przespali noc. Następnego dnia rano przyszedł po nich jakiś obcy, który zaprowadził ich do położonego opodal domu. Tam wzięli się do nich łaźiebnicy i balwierze, a przy zabiegach podawano im chłodzące napoje w małych, pięknych czarkach. Następnie dostali miękkie szaty, które nie ocierały ich zbyt. Albowiem od tak dawna chodzili nago, że każda odzież wydawała im się szorstka. Oglądali się nawzajem, śmiejąc się z tego, jak bardzo się odmienili. I ogromnie zaskoczonych tym wszystkim poprowadzono na posiłek do sali, gdzie wyszedł im naprzeciw jakiś mężczyzna, który ich serdecznie powitał. Poznali w nim natychmiast Salamana, choć wyglądał teraz zupełnie inaczej, niż gdy go widzieli ostatnio. Dziś znać było po nim, że to człek bogaty i możny.

Okazywał im przyjaźń i zapraszał, by jedli, pili i czuli się jak u siebie w domu. Zapomniał jednak prawie wszystko, czego się nauczył z nordyckiego języka, i dlatego mógł rozmawiać tylko z Ormem. Mówił, że gdy się dowiedział, jaki zły obrót wzięły ich sprawy, zrobił dla nich, co tylko było w jego mocy. Wyświadczyli mu bowiem ongiś największą przysługę i przyjemnie mu teraz, że może się im za nią odplacić.

Orm podziękował mu najlepiej, jak umiał, dodając, że najbardziej chcieliby wiedzieć, czy są już wolnymi ludźmi, czy też dalej niewolnikami.

Salaman odparł, że w dalszym ciągu są niewolnikami kalifa i na to nie udało mu się nic poradzić. Teraz jednak służyć będą w straży przybocznej kalifa, składającej się z najlepszych jeńców wojennych i z niewolników zakupionych w obcych krajach. Kalifowie Kordoby zawsze mają taką straż – mówił – gdyż czują się pod jej ochroną bezpieczniej, niż gdyby trzymali przy sobie uzbrojonych własnych poddanych, których krewni czy też przyjaciele łatwo mogliby skusić do podniesienia ręki na władców, gdyby w kraju zapanowało niezadowolenie.

Zanim jednak zostaną wcieleni do straży przybocznej – dodał jeszcze Salaman – pozostaną najpierw przez kilka dni u niego jako jego goście, aby trochę odpocząć po wszystkich swych dotychczasowych trudach.

Tak też się stało i przez pięć dni mieszkali u Salamana i było im tam dobrze jak bohaterom u stołu Odyna. Jedli mnóstwo smakołyków, a napoje przynoszono im, gdy tylko zapragnęli; przygrywali im muzykanci, co wieczór zaś weselili się przy winie, gdyż Salamanowi żaden Prorok nie zakazał tego napitku. Ale Orm i inni mieli zawsze oko na Toke, bacząc, by nie wypił za dużo, nie nabrał skłonności do płaczu i nie stał się niebezpieczny. Gospodarz ich dał również każdemu po młodej niewolnicy do łoża i to ucieszyło ich najbardziej. Sławili go wszyscy jako męża wspaniałomyślnego i hövdinga tak dobrego, jak gdyby pochodził z nordyckiego rodu. A Toke powtarzał, że mało było tak udanych połowów jak wówczas, kiedy wyłowił z wody szlachetnego Żyda. Rankami długo wylegiwali się na poduszkach, których miękkość przechodziła wszystko, co znali, a przy stole spierali się pogodnie, komu z nich dostała się najpiękniejsza niewolnica, i żaden nie chciał swojej zamienić na inną.

Trzeciego wieczora Salaman dał Ormowi i Toke znak, aby mu towarzyszyli. Jest bowiem – mówił – jeszcze jedna osoba, której muszą podziękować za oswobodzenie i która być może zrobiła dla nich więcej od niego samego. Szli za nim przez wiele uliczek i zaułków, a Orm pytał, czy to przybył do Kordoby Khalid, wielki skald z Malagi, i czy to z nim mają się spotkać. Ale Salaman odrzekł, że osoba, na spotkanie z którą się udają, szlachetniejsza jest od Khalida.

– I tylko cudzoziemiec – dodał stanowczo – może uważać tego Khalida za wielkiego pieśniarza, nawet jeśli on sam podaje się za takiego. Kiedy bowiem policzę wielkich pieśniarzy żyjących dziś pod berłem kalifa, to jest nas razem wzięwszy tylko pięciu. I Khalid nigdy nie zostanie jednym z nas, choćby nie wiem jak pilnie bawił się rymowaniem. Słusznie

jednak robisz, Ormie, myśląc o nim przyjaźnie, gdyż bez jego posłania nie dowiedziałbym się nigdy o tobie i twoich druhach. Jeśli więc spotkasz go i on będzie się mienił pieśniarzem, nie powinienesz mu się sprzeciwiać. Orm odparł, że nabrał już dość rozumu, by nie sprzeciwiać się nigdy skaldom, gdy idzie o ich sławę. A Toke dopytywał się, dlaczego zabrali go z sobą na tę wędrówkę, skoro nie potrafi zrozumieć, o czym rozmawiają, a tak dobrze czuje się w domu. Salaman odpowiedział mu na to, że obecność jego jest konieczna, gdyż takie otrzymał polecenie.

Dotarli do otoczonego murem ogrodu i weszli doń przez wąską furtkę, którą dla nich uchylono. Szli wśród pięknych drzew i barwnych roślin, aż doszli do miejsca, gdzie bił wielki wodotrysk, a perlista woda płynęła wśród kwiecistych trawników małymi, krętymi strumyczkami. Z przeciwnej strony pojawiła się im na spotkanie lektyka niesiona przez czterech niewolników, a za nią kroczyły dwie niewolnice i dwóch czarnych z mieczami.

Salaman zatrzymał się, a wraz z nimi przystanęli Orm i Toke. Lektykę postawiono na ziemi, a niewolnice podbiegły, by stanąć z czcią po bokach, gdy wysiadła z niej zasłonięta welonem kobieta. Salaman pozdrowił ją trzykrotnym głębokim pokłonem, kładąc za każdym razem rękę na czole, a Orm i Toke zrozumieli, że ta niewiasta musi być królewskiego rodu. Stali jednak nadal wyprostowani, ponieważ zginanie karku przed kobietą wydawało im się niegodne mężów.

Niewiasta skinęła dostojnie głową Salamanowi i popatrzyła na Orma i Toke, mrucząc coś pod welonem, a w oczach jej odbijała się życzliwość. Salaman skłonił się przed nią ponownie, po czym rzekł:

– Woje z północy, dziękujcie jej wysokości Zubaidzie, gdyż to jej moc was uwolniła.

Wtedy Orm odezwał się do niej:

– Jeśli dopomogłaś nas oswobodzić, jesteśmy ci winni największe dzięki. Ale nie wiemy, kim jesteś ani też dlaczego okazałaś nam swoją łaskę.

– A jednak spotkaliśmy się już w życiu – odrzekła niewiasta – i może wy obaj nie zapomnieliście mnie jeszcze zupełnie od owego czasu.

To mówiąc uchyliła welonu i Żyd znów zgiął się w pokłonie. A Toke złapał się za brodę i rzekł do Orma:

– Toż to moja branka, jeszcze piękniejsza dziś niż wtedy. Musiało jej dopisać szczęście, skoro zdążyła od tego czasu zostać królową. I dobrze byłoby dowiedzieć się, czy jest rada, że mnie znów widzi.

Niewiasta spojrzała na Toke i spytała:

– Dlaczego to mówisz do swego przyjaciela, a nie do mnie?

Orm odparł na to, że Toke nie umie po arabsku, lecz że pamięta ją dobrze i uważa, iż piękność jej stała się jeszcze większa od czasu, gdy widział ją po raz ostatni.

– I obaj radujemy się – dodał – że osiągnęłaś szczęście i władzę, gdyż zdaje nam się, że zasługujesz na jedno i drugie.

Niewiasta popatrzyła nań z uśmiechem i rzekła:

– Ale ty, czerwonogłowy, zdążyłeś się już nauczyć tego języka, podobnie jak i ja. Kto z was lepszym jest wojownikiem – ty czy twój przyjaciel, który był ongiś moim panem?

– Obu nas uważają za dobrych – odpowiedział Orm. – Ja jednak jestem jeszcze młody i nie brałem udziału w tylu bojach co on. I on to przede wszystkim zdobył sobie wielką sławę wtedy, gdy wzięliśmy ów gródek, w którym wówczas przebywałaś. Dlatego uważam, że on jest lepszy z nas dwóch, jakkolwiek nie potrafi ci sam tego powiedzieć w języku tego kraju. Od nas obu jednak lepszy był Kruk, nasz hövding, który już nie żyje.

Niewiasta odparła, że przypomina sobie Kruka i że sławni hövdingowie rzadko tylko dożywają późnego wieku. Orm opowiedział jej, jak zginął Kruk, a ona wysłuchiwała go, kiwając głową, potem zaś rzekła:

– Moje i wasze losy dziwnie są ze sobą splecione. Zdobyliście gród mego ojca zabijając go i większość jego ludzi i za to powinnam właściwie nastawać na wasze życie. Ale ojciec mój był człowiekiem okrutnym, a najokrutniej obchodził się z moją matką, ja zaś nienawidziłam i bałam się go jak samego diabła włochatego. Uważałam, że dobrze się stało, iż go zabito, i nie żałowałam, że dostałam się między obcych ani też, że kochał mnie twój druh, choć przykre było, że nie mogliśmy z sobą rozmawiać. Nie bardzo lubiłam także zapach jego brody, ale miał wesołe oczy i przyjazny uśmiech i za to przywiązałam się do niego serdecznie. I dotykał mnie ostrożnymi rękami, nawet gdy był pijany i targała nim żądza. Kiedy z nim byłam, na ciele moim nie było żadnych sińców i w drodze do łodzi dał mi lekkie brzemię. Dlatego też chętnie byłabym z nim poszła do waszego kraju. Powiedz mu to!

Orm powtórzył Toke, co mówiła kobieta. A ten słuchał z zadowoleniem i rzekł:

– Tutaj widzisz najlepiej, jakie mam szczęście do kobiet. Ale ona jest najlepsza z wszystkich kobiet, jakie znałem, i to musisz jej ode mnie powiedzieć. Czy myślisz, że zamierza mnie zrobić wielkim człowiekiem w tym kraju?

Orm odparł, że kobieta nic o tym nie wspomniała. A powtórzywszy jej słowa Toke, poprosił, aby opowiedziała swoje losy od chwili, gdy ich rozdzielono.

– Dowódca statku zabrał mnie do Kordoby – mówiła niewiasta – i sam mnie nie tknął, mimo iż musiałam stanąć przed nim nago. Widział, że będę dobrym darem dla jego pana, wezyra. I dziś należę do Almanzora, wezyra kalifa i najpotężniejszego człowieka w tym

kraju. Kazał on uczyć mnie wiary Proroka, po czym podniósł z rzędu niewolnic do rangi pierwszej małżonki, ponieważ uznał, że piękność moja jest większa od wszystkich innych. I niech chwała będzie za to Allahowi! Tak to dzięki wam wszystko wyszło mi na dobre. Bo jeśli byście nie przybyli do grodu mojego ojca, siedziałabym tam wciąż jeszcze w strachu przed nim i mimo całej mojej piękności dostałabym złego męża. Dlatego też gdy Salaman, który robi dla mnie najpiękniejsze klejnoty, powiadomił mnie, że jesteście jeszcze przy życiu, chciałam wam dopomóc według mojej mocy.

– Trojgu ludziom winni jesteśmy wdzięczność – odrzekł Orm – za to, że dopomogli nam uwolnić się z ławy na galerach, tobie, Salamanowi i pewnemu mężczyźnie z Malagi, imieniem Khalid. Ale dziś wiemy, że to twoja moc była największa, i dlatego też tobie dziękujemy najbardziej. I to szczęście nasze sprawiło, iż spotkaliśmy ludzi takich jak ty i tych obu innych, gdyż inaczej siedzielibyśmy wciąż jeszcze przykuci do wiosł, nie mogąc się spodziewać niczego prócz śmierci. Chętnie pójdziemy więc na służbę do twego pana i będziemy mu pomagać przeciw jego wrogom. Dziwne jest jednak, że przy całej twojej mocy udało ci się namówić go, aby nas wypuścił. Bo nas, żeglarzy nordyckich, uważają tu przecież za wrogów jeszcze od czasów synów Lodbroka*.

– Mój pan, Almanzor, zrobił mi tę przysługę za to, że zdobyliście gród mego ojca i dostarczyliście mnie do jego rąk. I wiedzą u nas dobrze, że ludzie z waszego kraju są dobrymi wojownikami i dotrzymują słowa. Bo zarówno kalif Abderrachman Wielki, jak i jego ojciec emir Abdallah mieli w swej straży przybocznej wielu Normanów, którzy wówczas łupili ogromnie także hiszpańskie wybrzeża. Od tego czasu jednak tylko niewielu z nich przybywało tu na wyprawy i przed waszym przybyciem nie było w straży przybocznej ani jednego wikinga. I jeśli teraz będziecie wiernie służyć mojemu panu, Almanzorowi, czeka was hojna zapłata. A dowódca straży przybocznej wyda wam i waszym ludziom pełne uzbrojenie i dobrą broń. Dla was obu zaś ja mam tutaj podarek.

To mówiąc skinęła na jednego z niewolników przy lektyce, który podszedł niosąc dwa miecze w pięknie cyzelowanych pochwach, przypięte do pasów wybitych ciężkimi srebrnymi guzami. Zubaida wręczyła jeden z nich Toke, drugi zaś Ormowi, a oni przyjęli jej dar z wielką radością, gdyż wstyd im było chodzić bez broni u boku, tak jak to musieli robić dotychczas. Dobyli zaraz miecze z pochew i dokładnie obejrzeliklingi oraz sprawdzili, jak leżą w garści rękojści. A Salaman rzucił na nie okiem i rzekł:

* Synowie Lodbroka byli słynnymi wikingami, którzy napadali na wybrzeża Francji i Anglii.

– To miecze kute w Toledo, gdzie żyją najlepsi kowale tak stali, jak i srebra. Robią tam jeszcze miecze proste, jak za czasów królów gockich, zanim do tego kraju przybyli słudzy Proroka. Lepszych mieczy od tych nie wykuje nikt w naszych dniach.

Toke zaśmiał się głośno z zadowolenia, pomruczał coś pod nosem, po czym rzekł:

Długo dźrzyła dłoń woja

Wiosła drzewo.

Dzisiaj dobrze jest znowu

Poczuć w dłoni stal miecza.

Orm nie chciał się okazać gorszy od Toke w sztuce składania wierszy. Pomyślał więc przez chwilę i rzekł wyciągając miecz przed siebie:

Brzeszczot od pięknej dziewczyny

Wzniosłem lewą.

Jak Tyr między bogami*

Ostrzem znowu Orm siecze.

Zubaida zaśmiała się i rzekła:

– Dać mężczyźnie miecz, to tak jak dać kobiecie zwierciadło. Nie mają już wtedy oczu dla niczego innego. Miło jest jednak widzieć swoje dary przyjmowane takim sercem. Niech więc przyniosą wam szczęście!

Na to Orm odpowiedział:

– Teraz czujemy się obaj z Toke jak hövdingowie. Bo tak dobrych mieczów jak te nigdy nie widzieliśmy. I jeśli pan twój, Almanzor, jest do ciebie podobny, warto mu służyć.

Spotkanie było skończone, gdyż Zubaida oznajmiła, że czas jej się z nimi pożegnać i że może jeszcze kiedyś zobaczą się znowu. Po czym weszła do lektyki i dała się odnieść do pałacu.

Woje wrócili z Salamanem do jego domostwa, gdzie wszyscy szeroko podnosili cnoty Zubaidy i wychwalali jej cenne dary. Salaman opowiedział, że zna ją dłużej niż rok. Wiele razy sprzedawał jej kosztowności i spostrzegł od razu, że jest to ta sama dziewczyna, którą

* Tyr – w mitologii nordyckiej syn Odyna, bóg wojny i zwycięstwa.

Toke zdobył w gródkiem niedobrego markgraфа, chociaż piękność jej stała się od owego czasu jeszcze większa. Toke zaś rzekł:

– Ona jest piękna i dobra i nie zapomina o tym, kogo polubiła. Toteż ciężko mi było, zobaczywszy ją teraz znowu, dowiedzieć się, że jest żoną wielmoży. Jedno tylko w tym dobre, a mianowicie, że nie należy do tego grubasa z srebrnym toporkiem, który wziął nas do niewoli, to bowiem odczułbym jeszcze ciężiej. Tak zaś nie będę zbyt utyskiwał, gdyż i dziewczynie, którą mi podarował Salaman, nic nie brakuje.

Orm wypytywał o Almanzora, pana Zubaidy, dziwiąc się, że zwał go najmłodszym w kraju mężem, skoro powinien nim być kalif. A Salaman wyjaśnił mu, jak to się dzieje. Poprzedni kalif Kordoby, Hacham Uczony, syn Abderrachmana Wielkiego, był władcą potężnym, jakkolwiek większość swego czasu spędzał na czytaniu ksiąg i rozmowach z mędrkami. Umierając zostawił nieletniego syna imieniem Hischam, który jest obecnie kalifem. Do rządu państwem w okresie dzieciństwa Hischama wyznaczył Hacham pierwszego ze swoich dostojników oraz żonę – faworytę, matkę Hischama. Tych dwoje tak rozsmakowało się we władzy, że kazali zamknąć młodego kalifa w jednym z zamków pod pozorem, iż był zbyt pobożny, aby zajmować się sprawami ziemskimi. A dostojnik ów, jako regent państwa, odniósł wiele zwycięstw nad chrześcijanami na północy i stąd otrzymał imię Almanzor, co znaczy „Zwycięski”. Królowa, matka kalifa, długo kochała Almanzora ponad wszystko na świecie, on jednak znużył się nią, gdyż była od niego starsza, a czasem także trochę kłótniwa w sprawach władzy. Dlatego też i ona siedzi dziś w zamknięciu tak jak syn, a krajem rządzi samowładnie Almanzor jako regent w imieniu kalifa. Wielu nienawidzi go za to, co zrobił z Hischamem i jego matką, ale wielu innych kocha go znów z powodu jego zwycięstw nad chrześcijanami. Dla swojej straży przybocznej złożonej z cudzoziemców jest dobrym panem, gdyż uważa ją za ochronę przed wszystkimi, którzy mu zazdroszczą i żywią doń nienawiść. I dlatego należy przypuszczać, że Orm i jego ludzie będą wieść wygodne życie w pałacu Almanzora w czasie pokoju i że zaspokoją także swoje pragnienie walki. Bo co wiosny zwykł Almanzor wyruszać z wielką siłą albo na króla Asturii i hrabiego Kastylii, albo też na króla Nawarry i grafów aragońskich daleko na północ przy frankońskich marchiach granicznych. Jest on dla nich wszystkich postrachem, tak że wolą płacić mu haracz, aby tylko uniknąć jego odwiedzin.

– Trudno jest jednak wykupić się od niego – ciągnął dalej Salaman – a to dlatego, że jest to człowiek nieszczęśliwy. Jest potężny i zwycięski i powodzi mu się zawsze we wszystkich zamierzeniach, lecz mimo to wszyscy wiedzą, że prześladuje go stale wielki strach. Podniósł bowiem rękę na kalifa, który jest cieniem Proroka, i ukradł mu władzę, więc boi się gniewu

Allacha, a dusza jego nie może zaznać spokoju. Co roku próbuje przebłagać Allacha nową wyprawą wojenną na chrześcijan i dlatego nie przyjmuje nigdy haraczu od wszystkich ksiąząt chrześcijańskich naraz, lecz tylko na krótki czas od każdego. Albowiem zawsze chce mieć kilku na podporządku, aby móc nawiedzać ich ogniem i mieczem w zapale szerzenia wiary Allacha. Spośród wszystkich wojowników zrodzonych w tym kraju Almanzor jest największy I ślubował on uroczyście, że zemrze w polu zwrócony twarzą ku czcicielom wielobóstwa, którzy wierzą, że syn Józefa jest Bogiem. Mało troszczy się o poezję i muzykę, tak że smętne dni nastąpiły teraz dla pieśniarzy w porównaniu z tym, jak im się wiodło za czasów Hachmana Uczonego. Ale w swych wolnych chwilach znajduje Almanzor przyjemność w wyrobach ze złota, srebra i szlachetnych kamieni, toteż ja nie należę do jego potwarców i obgadywaczy. A nawet postarałem się o ten dom w Kordobie, aby lepiej móc prowadzić z nim handel. I niech długo żyje i zażywa wszelkiego powodzenia, bo dla złotnika jest on zaiste dobrym panem.

To i jeszcze wiele więcej opowiadał Salaman Ormowi, a ten powtarzał Toke i innym. I wszyscy byli zgodni co do tego, że ów Almanzor musi być wybitnym władcą. Trudno im było tylko zrozumieć jego lęk przed Allachem, gdyż Normanom nie znane jest uczucie strachu przed bogami.

Nim nadszedł czas na opuszczenie domostwa Salamana, ten udzielił im jeszcze wielu cennych rad w różnych sprawach. I doradził Toke, aby w przyszłości nigdy nie dał nikomu poznać, że był kiedyś panem Zubaidy.

– Albowiem księżęta nie więcej niż my, zwykli ludzie, lubią widok tych, którzy mieli kiedyś ich kobiety – mówił. – I zaiste dzielna była Zubaida ważąc się na spotkanie z wami, jakkolwiek miała świadków, że wszystko odbyło się, jak należy. Almanzor bowiem jest podejrzliwym panem zarówno w tych sprawach, jak i we wszystkich innych, i dlatego Toke powinien dobrze mieć się pod tym względem na baczności.

Toke odparł, że nie ma o to obawy. Myśli jego zaprzęta teraz najbardziej znalezienie odpowiedniej nazwy dla swego nowego miecza, bo miecz taki z pewnością jest równie dobrej kowalskiej roboty, co miecz Gram^{*}, który należał do Sigurda, lub Miming^{**} Dideryka albo Skofnung^{***} noszony przez Rolfa Krake. Dlatego też i ten miecz powinien mieć jakieś imię tak jak tamte. A on tymczasem nie umie wymyślić żadnego, które by mu się wydawało

* Gram – miecz, którym Sigurd (Siegfried z germańskich Nibelungów) zabił smoka.

** Miming – miecz Dideryka (Dietricha von Bern, czyli Teodoryka z Werony), króla Ostrogotów (445-526 n.e.)

*** Skofnung – legendarny miecz króla duńskiego Rolfa Krake (VI wiek).

dostatecznie dobre, choć długo się nad tym zastanawiał. Natomiast Orm nazwał swój miecz Blotunga.

Rozstali się z Salamanem, obsypując go podziękowaniami, po czym zaprowadzono ich do pałacu Almanzora, gdzie ich przyjął jeden z dowódców. Przyodziano ich w strój wojskowy i w pełni uzbrojono, a następnie wcielono do straży przybocznej. Orm zaś został hövdingiem swoich siedmiu ziomków.

VII.

O TYM, JAK ORM SŁUŻYŁ U ALMANZORA I JAK ODPLYNAŁ STAMTĄD Z DZWONEM ŚWIĘTEGO JAKUBA

Orm wstąpił do służby straży przybocznej w ósmym roku panowania kalifa Hischama, to znaczy na trzy lata przed najazdem Bue Digra i Vagna Aakessona na Norwegię. A w służbie tej spędził cztery lata.

Woje ze straży przybocznej cieszyli się wielkim poważaniem i chodzili wspanialej ubrani od innych. Ich kolczugi były lekkie i cienkie, ale lepiej kute i hartowniejsze niż wszelkie inne wyroby płatnerskie, jakie Orm i jego towarzysze oglądali poprzednio. Ich hełmy lśniły srebrnym połyskiem, a na pancerze zarzucali niekiedy szkarłatne płaszcze. Tarcze zaś cyzelowane były w zakrętasy pięknych znaków pisarskich. Takież znaki wyszyte były na wielkiej chorągwi Almanzora, którą zawsze przed nim noszono na wyprawach wojennych. A znaczyły one: „Allah wszystkich zwycięży”.

Gdy Orma i jego ludzi przywiedziono po raz pierwszy przed oblicze Almanzora, któremu chciał ich zaprezentować setnik, dowódca straży przybocznej, zdumieli się na widok wezyra, gdyż sądzili przedtem, że ujrzą kogoś na miarę bohatera. Zobaczyli zaś męża niepozornego, chudego i na wpół łysego, o żółtozielonej twarzy i ciężkich powiekach. Siedział na szerokim łożu pośród poduszek i drapiąc się w brodę, mówił coś ogromnie szybko do dwóch urzędników, którzy przykucnęli przed nim na podłodze i zapisywali jego polecenia. Na stoliku obok łoża stała miedziana szkatułka, obok zaś czara z owocami i wielka, pleciona klatka, w której kilka małych małpek igrało i biegało po kole. Podczas gdy zapisywano jego słowa, wezyr brał z czary owoce i wtykał je pomiędzy pręty klatki przypatrując się, jak małpki biją się o datek i wyciągają małe łapki prosząc o więcej. Ale nie śmiał się z ich sztuczek, tylko przyglądał się im z miną melancholijną i zatroskaną, podając im więcej owoców, po czym znów zaczynał dyktować pisarzom.

Po chwili zaprzestał dyktowania i kazał zbliżyć się do siebie setnikowi i jego ludziom. Oderwał przy tym oczy od klatki z małpkami i spojrzał na Orma i innych. Oczy miał czarne i żalodne, ale zdało się, że gdzieś głęboko na ich dnie coś płonie i migoce, i iskrzy się, tak że trudno było wytrzymać jego spojrzenie dłużej niż przez krótką tylko chwilę. Zmierzył wojów wzrokiem badawczym jednego po drugim i skinął głową, mówiąc do dowódcy:

– Wyglądają na dobrych wojowników. Czy znają nasz język? Setnik wskazał na Orma i odparł, że ten rozumie po arabsku, drudzy zaś niewiele albo zgoła nic. Podał też, że uważają Orma za swego hövdinga.

Almanzor zwrócił się wtedy do Orma:

– Jak się zwiesz?

Orm podał swoje imię i wyjaśnił, co ono znaczy, na co Almanzor spytał:

– Kto jest twoim królem?

– Harald, syn Gorma – odpowiedział Orm – który jest panem nad całym królestwem Dunów.

– Nigdy nie słyszałem jego imienia – rzekł Almanzor.

– I powinieneś się z tego cieszyć, panie – rzekł Orm – gdyż wszędzie, dokąd dotrą jego łodzie, królowie bledną na dźwięk tego imienia.

Almanzor popatrzył na Orma, po czym rzekł:

– Wyglądasz mi na obrotnego w języku i może słusznie nosisz swoje imię, co pono oznacza węża. Czy król twój jest przyjacielem Franków?

Orm uśmiechnął się i odparł:

– Był ich przyjacielem, gdy źle mu się wiodło we własnym kraju. Ale gdy szczęście mu sprzyja, pali ich miasta zarówno we Frankonii, jak i Saksonii. A jest to król o wielkim szczęściu.

– Może to i dobry król – mówił z namysłem Almanzor. – A jakiego masz boga?

– To pytanie jest trudniejsze, panie – odpowiedział Orm. – Moimi bogami są bogowie mojego ludu, uważani za równie silnych, jak my sami. Jest ich wielu, ale niektórzy z nich są tak starzy, że prócz skaldów nieliczni tylko o nich dbają. Najsilniejszy z nich nazywa się Thor. Jest on czerwonowłosy tak jak ja i uważany za przyjaciela wszystkich ludzi. Najmądrzejszy zaś nazywa się Odyn. Jest on bogiem wojów i mówią, że jego to zasługa, iż my, Normanowie, jesteśmy najlepszymi wojownikami. Nic mi jednak nie wiadomo, czy któryś z nich zrobił kiedyś co dla mnie. Całkiem zaś pewne jest, że ja zrobiłem dla nich niewiele. No i wydaje mi się, że są oni bardzo daleko stąd.

– Posłuchaj teraz, poganinie, co ci powiem – rzekł Almanzor. – Nie ma innego boga prócz Allacha. Nie mów, że jest wielu bogów, i nie mów też, że jest ich trzech. Wyjdzie ci to na dobre w dniu sądu ostatecznego, jeśli nie będziesz tego robić. Allach jest jeden, Wieczny, Najwyższy, a Mahomet jest jego Prorokiem. Taka jest prawda i w nią masz wierzyć. Gdy wyruszam na wyprawę przeciw chrześcijanom, robię to dla Allacha i jego Proroka. I źle

byłoby, gdyby moi wojownicy nie okazywali im czci. Dlatego nakazuję ci, aby od tej chwili ani ty, ani twoi ludzie nie wzywali innego boga oprócz prawdziwego.

Orm odpowiedział na to:

– My, Normanowie, nie mamy w zwyczaju wzywać naszych bogów bez potrzeby, ponieważ nie chcemy trudzić ich naszym krzykiem. W tym kraju nie wzywaliśmy jeszcze żadnego, od chwili gdy raz jeden złożyliśmy bogu morza krwawą ofiarę na intencję szczęśliwego powrotu. A i wtedy na nic się to nie przydało, bo zaraz potem nadpłynęły twoje okręty i wzięły nas do niewoli. Może być, że bogowie nasi niewiele mają do powiedzenia w tym kraju. I dlatego, panie mój, chętnie cię usłucham i będę tu wyznawać twego boga. A innych, jeśli zechcesz, zapytam o ich zdanie w tej sprawie.

Almanzor skinął przyzwalająco i Orm zwrócił się do swoich towarzyszy:

– On mówi, że musimy wyznawać jego boga. Ma tylko jednego, który nazywa się Allach, i nie cierpi innych. Sądzę, że bóg jego jest silny w tym kraju, podczas gdy nasi niewiele mogą zdziałać z dala od ojczyzny. Uzyskamy większe poważanie postępując tak, jak to tu jest w zwyczaju, a poza tym byłoby nierozsądne sprzeciwiać się woli Almanzora.

Uważali, że nie mają wielkiego wyboru, ponieważ istnym szaleństwem byłoby drażnić takiego jak Almanzor pana, po naradzie więc Orm zwrócił się znów do Almanzora i oświadczył, że wszyscy są gotowi wyznawać Allacha i nie wzywać żadnego innego boga.

Almanzor kazał na to przywołać dwóch kapłanów i sędziego. Wobec nich Orm i jego towarzysze musieli wyrzec owe święte słowa sług Mahometa, które Almanzor powiedział do Orma: że nie ma innego boga oprócz Allacha i że Mahomet jest jego Prorokiem. Wszystkim, oprócz Orma, trudno było je wypowiedzieć, jakkolwiek sylabizowano je im starannie.

Gdy było już po wszystkim, Almanzor przybrał zadowolony wygląd mówiąc do swoich kapłanów, że uważa, iż dobrze się przysłużył Allachowi, w czym oni się z nim zgodzili. Zanurzył potem rękę w miedzianej szkatułce stojącej obok na stoliku i zaczerpnąwszy garść złotych monet dał każdemu z wojów po piętnaście. Ormowi zaś dwa razy tyle. Podziękowali mu za to, po czym setnik odprowadził ich z powrotem na kwatery.

Toke zauważył:

– Wyrzekliśmy się naszych bogów i może tak trzeba w obcym kraju, gdzie rządzą inni. Ale gdybym jeszcze kiedyś wrócił do domu, będę się o nich troszczył więcej niż o tego Allacha. Uważam jednak, że tutaj on jest najlepszy, boć już i złoto dostaliśmy dzięki niemu. A będę go cenić jeszcze o wiele bardziej, gdy mi da także i kobiety.

Wkrótce potem wyruszył Almanzor z wojenną wyprawą na chrześcijan. Pociągnął ze strażą przyboczną i z wielkim hufcem na północ i przez trzy miesiące plądrował Nawarrę i hrabstwa aragońskie. Orm i jego ludzie zdobyli tam wiele łupu i kobiet i znaleźli zadowolenie w swojej służbie. Odtąd życie ułożyło się w ten sposób, że na wiosnę i w jesieni ruszali w pole z Almanzorem, podczas gdy najgorsze letnie upały i tę porę roku, którą południowcy nazywali zimą, spędzali w Kordobie. Usiłowali przywyknąć do miejscowych zwyczajów i nie mieli też wiele powodów do skarg na Almanzora, gdyż ten dawał im często bogate dary, aby podtrzymać ich wierność i przywiązanie. To zaś, co zdobyli w boju przy szturmach i plądrowaniu, wolno im było zachować dla siebie po odliczeniu piątej części dla wezyra.

Tylko czczenie Allacha i jego Proroka sprawiało im niekiedy pewne trudności. Gdy w czas wojny natrafili u chrześcijan na wino i świninę, nie wolno im było tego kosztować, mimo że mocno pragnęli obu tych rzeczy. I jakkolwiek zakaz ten wydawał się najgłupszy z wszystkiego, co im się kiedykolwiek obilo o uszy, rzadko kiedy ośmielali się go zlekceważyć, ponieważ Almanzor odznaczał się w tych sprawach ogromną surowością. Uważali też, że modły do Allacha i pokłony przed Prorokiem następują zbyt często po sobie. Bo kiedy Almanzor przebywał na wojnie, rano i wieczorem całe jego wojsko padało na kolana z twarzami zwróconymi w stronę, gdzie, jak mówiono, leżało miasto Proroka, i każdy musiał wiele razy skłonić się tak, by dotknąć ziemi czołem. Wikingom wydawało się to niegodne i tylko śmiechu warte, toteż nigdy nie mogli się do tego całkiem przyzwyczaić. Ale uważali, że trzeba się z tym w miarę możliwości pogodzić i postępować tak jak inni.

Jako woje górowali nad innymi i zdobyli sobie wielkie uznanie całej straży przybocznej. Sami uważali się za najlepszych z wszystkich i przy podziale łupów nikt też nie uwłaczał ich prawom. Było ich razem ośmiu: Orm i Toke, Halle i Ogmund, Tume, który na galerze wiosłował wespół z Toke, Gunne, który siedział przy wiosle z Krukiem, jednooki Rapp oraz Uli, najstarszy z wszystkich, któremu ongiś, dawno temu, w czasie świątecznej biesiady rozdarło kąt jednej wargi, tak że odtąd wołano go Grinulf Krzywogęby, ponieważ usta miał krzywe i szersze niż u innych. Szczęście dopisywało im teraz tak, że tylko jeden z nich stracił życie w ciągu tych czterech lat, które spędzili u Almanzora.

W tym czasie przyszło im odbywać dużo dalekich wypraw. W miarę bowiem tego, jak w brodzie Almanzora zaczęła się pojawiać siwizna, stawał się coraz bardziej niezmordowany w swej nienawiści do chrześcijan i coraz mniej czasu spędzał spokojnie w domu w Kordobie. Towarzyszyli mu, gdy dotarł najdalej na północ do Pampeluny w królestwie Nawarry i dwa razy na próżno szturmował to miasto, a za trzecim wziął je i oddał na plądrowanie. Tam to

zabity został kamieniem z katapulty Tume. Na własnym statku Almanzora popłynęli z nim na Majorkę, gdyż gubernator tamtejszych wysp zaczął wicherzyć przeciw wezyrowi, i stali przy Almanzorze jako straż, gdy ten kazał zdjąć głowy buntownikowi i trzydziestu jego krewniakom. Bili się w kurzu i w wielkim upale w ciężkim starciu pod Henares, gdzie lud hrabiego Kastylii nacierał na nich mocno, lecz został w końcu otoczony i zniszczony, i gdzie w wieczór po bitwie z trupów ubitych chrześcijan wzniesiono wielki stos, z którego szczytu jeden z kapłanów Almanzora nawoływał sługi Proroka do modlitwy. A potem znów wzięli udział w wielkiej wyprawie na królestwo Leonu, którego król Sancho Opasły popadł w ciężkie tarapaty. Gdy bowiem z powodu otyłości nie mógł już dłużej dosiadać konia, własni poddani uznali go za bezużytecznego, zrzucili z tronu i przyszli z haraczem do Almanzora.

Podczas wszystkich tych wypraw wojennych Orma i jego ludzi w zadziwienie wprawiała mądrość i potęga Almanzora i jego wielkie szczęście we wszystkich przedsięwzięciach. Największy podziw wzbudzała w nich jednak bojaźń, którą żywił przed Allachem, i sposób, jaki wymyślił po to, aby całkiem ugłaskać swego boga. Co wieczór służący zbierali kurz, który kładł się na jego odzieniu i obuwiu, kiedy znajdował się na wojnie, i składali w jedwabnym woreczku. I z każdej wyprawy zabierano ten kurz do Kordoby. Almanzor zarządził bowiem, aby pochowano go wraz z całym tym kurzem z jego wojen przeciw chrześcijanom. Albowiem powiedział Prorok: „Błogosławieni ci, którzy weszli na pełne kurzu drogi w wojnie przeciw niewiernym”.

Ale mimo tego wszystkiego bojaźń Almanzora przed Allachem nie ustępowała. I w końcu postanowił dokonać dzieła większego niż wszystkie dotychczasowe i zniszczyć święte miasto chrześcijan w Asturii, gdzie leżał pochowany wielki cudotwórca, apostoł Jakub. W dwunastym roku panowania kalifa Hischama, który był zarazem czwartym rokiem pobytu Orma i jego towarzyszy na służbie u Almanzora, zebrał ten ostatni w jesieni większą niż kiedykolwiek przedtem siłę i pociągnął na północny zachód poprzez Pusty Kraj, stanowiący dawną marchię graniczną między chrześcijanami andaluzyjskimi a asturyjskimi.

Doszli do ziem chrześcijańskich po drugiej stronie pustyni, dokąd za ludzkiej pamięci nie dotarł jeszcze żaden Andaluzyjczyk. Co dzień staczali teraz bitwy, gdyż chrześcijanie bronili się dobrze w górach i wąwozach. Pewnego wieczoru, gdy wojsko rozbiło już obóz, a Almanzor po wieczornej modlitwie odpoczywał w swym wielkim namiocie, chrześcijanie dokonali niespodziewanego napadu, który zrazu wieńczony był powodzeniem. Gromada ich wdarła się do obozu i powstał wielki zgiew bitewnych okrzyków i wołania o pomoc. Almanzor wybiegł śpieszno z namiotu w hełmie i z mieczem, lecz bez kolczugi, aby

zobaczyć, co się dzieje. Straż przy wejściu do namiotu pełnili w ów wieczór Orm i dwaj z jego ludzi, Halle i jednooki Rapp. W tejże chwili w kierunku namiotu nadjechało pełnym galopem kilku nieprzyjacielskich jeźdźców. A kiedy zobaczyli Almanzora, poznali go natychmiast po zielonej kefii spływającej z jego hełmu (gdyż on jedyny w całym wojsku odziany był w ten kolor) i wznosząc okrzyki wojenne rzucili weń oszczepami. Na dworze zrobiło się już na wpół ciemno, a Almanzor był stary i nie zdołał się na czas uchylić. Ale Orm, stojący najbliżej, podskoczył ku niemu i obalił go na ziemię twarzą naprzód, sam przyjmując oszczepy, z których dwa utkwiły w tarczy, a trzeci w ramieniu. Czwarty zadrapał lekko bok leżącego na ziemi Almanzora, tak że trysnęła krew. Halle i Rapp wpadli na napastników i rzucili w nich swoje oszczepy zwalając z konia jednego z wrogów. A tymczasem nadbiegli zewsząd ludzie i chrześcijan pozabijano albo odegnano.

Orm wyrwał oszczep, który go ugodził, i pomógł Almanzorowi podnieść się na nogi, nie bardzo będąc pewny, jak wezyr przyjmie to, że został obalony przez niego na ziemię. Ale Almanzor rad był ze swojej rany, pierwszej, jaką kiedykolwiek odniósł. Poczytywał bowiem za wielkie szczęście móc przelać krew za Allacha, zwłaszcza jeśli szkoda z tego była niewielka. Poleciał przywołać do siebie trzech spośród dowódców jazdy i czynił im przed frontem świty wyrzuty, że źle strzegli obozu. Ci rzucili się przed nim na twarz i całowali jego stopy oraz płacząc przyznali się do winy. Almanzor zaś dał im potem, jak to było w jego zwyczaju, gdy znajdował się w łagodnym usposobieniu, czas na odmówienie modlitw i podwiązanie bród, zanim odcięto im głowy.

Halle i Rapp dostali każdy po garści złota, po czym Almanzor kazał w obliczu wszystkich dowódców swego wojska wystąpić naprzód Ormowi. Zmierzył go spojrzeniem i rzekł:

– Podniosłeś rękę na swego pana, czerwonobrody, a tego nie wolno zrobić żadnemu wojownikowi. Uchybiłeś też mojej czci obalając mnie na ziemię. Cóż masz na to do powiedzenia?

– W powietrzu gęsto było od oszczepów i nic innego nie można było zrobić – odparł Orm. – A cześć twoja, panie, stoi w moich oczach tak wysoko, że zajście to nie może jej uwłaczać. Ponadto zaś upadłeś twarzą ku wrogom, tak że nikt nie może powiedzieć, żeś się cofnął.

– Uważam, że bronisz się dobrze. No i uratowałeś mi życie, co też przemawia za tobą.

To mówiąc kazał Almanzor wyjąć ze skrzyni ze skarbami ciężki złoty naszyjnik i dodał:

– Widzę, że oszczep ugodził cię w ramię, co chyba niemało daje ci się we znaki. Ale tu masz lekarstwo na swędzenie.

I zawiesił łańcuch na szyi Orma, co było szczególnym zaszczytem. Odtąd Orm i jego drużyna stali jeszcze wyżej w łaskach u Almanzora. Toke obejrzał naszyjnik dokładnie, ogromnie rad, że Orm zdobył tak kosztowny dar.

– To pewne – mówił – że Almanzor to najwspanialszy z książąt i panów i że dobrze jest mu służyć. Niemniej jednak uważam za wielkie szczęście zarówno dla ciebie, Ormie, jak i dla nas wszystkich, że nie obaliłeś go na wznak.

Wojsko pomaszerowało dalej i doszło w końcu do świętego miasta chrześcijan, gdzie leżał pochowany apostoł Jakub i gdzie nad grobem jego zbudowano wielką świątynię. Tam przyszło do walki, gdyż chrześcijanie ufni, iż dopomoże im ich apostoł, bili się, jak długo mogli. W końcu jednak zostali pokonani przez Almanzora, a miasto wzięto szturmem i spalono.

Chrześcijanie z całego kraju zebrali tam wielkie skarby, gdyż miastu temu nigdy przedtem nie zagroził żaden wróg. Toteż zdobyto tam ogromne łupy i mnóstwo jeńców. Ale najgorętszym pragnieniem Almanzora było zniszczyć wielki kościół, który wznosił się nad grobem apostoła, a który zbudowany z kamienia nie dał się spalić. Almanzor postawił więc jeńców i ludzi z własnych swoich oddziałów do pracy nad burzeniem. Na wieży kościoła wisiało dwanaście wielkich dzwonów, które wzięły swe imiona od apostołów. Słyszały one z pięknego dźwięku i były wśród chrześcijan wysoko cenione jako przedmioty cudowne. Najbardziej zaś ceniono największy z nich, zwany Jakubem.

Almanzor polecił, by jeńcy chrześcijańscy zanieśli te dzwony do Kordoby. Miano je tam postawić w wielkim meczecie kielichami do góry i napełnić wonnymi olejkami, by płonęły jak ogromne lampy na cześć Allacha i jego Proroka. Dzwony były ciężkie.

Przygotowano pod nie wielkie nosze, a przy dźwiganiu każdego miało się zmieniać sześćdziesięciu jeńców. Ale dzwon Jakuba okazał się za ciężki, tak że nie dało się zrobić dlań noszy ani też przywieźć go po górskich ścieżkach na wozie zaprzężonym w woły. Mimo to Almanzor, który zaliczał go do swoich najpiękniejszych łupów, nie chciał go zostawić na miejscu.

Kazał więc zrobić pomost, na którym miano postawić dzwon, by zaciągnąć go na klocach aż do pobliskiej rzeki, skąd statkiem przewieziono by go do Kordoby. Gdy pomost był już gotów i stał na podłożonych podeń okrągłakach, przesunięto przez ucho dzwonu żelazne drągi i wiele ludzi próbowało dźwignąć go na pomost. Ale południowcy nie mieli ani wzrostu, ani siły po temu, kiedy zaś brali długie drągi, aby więcej ich mogło naraz dźwignąć, drągi łamały się i pękały, a dzwon jak stał na ziemi, tak stał. Orm i jego ludzie przyszli tam także, przyglądali się i śmiali, a Toke rzekł:

– Sześciu dorosłych mężczyzn dźwignęłoby to w mig.

– A ja myślę – dorzucił Orm – że i czterech by wystarczyło. Potem zaś podeszli czwórką – Orm, Toke, Ogmund i Rapp Jednooki – wetknęli w ucho dzwonu krótki drąg i podnieśli dzwon na pomost.

Właśnie nadjechał konno Almanzor, zatrzymał się i przyglądał ich czynowi. Gdy skończyli, zawołał Orma i rzekł:

– Wielką siłę dał tobie i twoim ludziom Allah, błogosławione niech będzie imię jego! I wydaje mi się, że to wy właśnie nadajecie się najlepiej do tego, aby załadować ten dzwon na statek i przewieźć do Kordoby. Nikt inny bowiem nie potrafi sobie z nim poradzić.

Orm skłonił się przed wezyrem i odparł, że zadanie to nie wydaje mu się trudne.

Almanzor kazał następnie wybrać spośród jeńców gromadę zdatnych niewolników, którzy mieli zaciągnąć dzwon do rzeki, w miejsce, gdzie stawała się ona spławna, a potem pełnić funkcje wiosłarzy na statku, który stał tam na kotwicy, a który zdobyto na Asturyjczykach. Dwóch pisarzy z kancelarii Almanzora wysłano dla nadzorowania transportu.

Do pomostu przytwierdzono linę i Orm z towarzyszami udali się z dzwonem i ciągnącymi go niewolnikami na miejsce załadunku. Kilku niewolnych ciągnęło, inni zaś podkładali wałki. Transport był uciążliwy, ponieważ droga wiodła przeważnie w dół i dzwon zjeżdżał chwilami tak gwałtownie, iż na początku kilku spośród zmieniających wałki niewolników uległo zmiżdżeniu. Orm kazał jednak umocować linę także i z tyłu pomostu, aby można było hamować na stromiznach. Odtąd transport szedł też o wiele lepiej i dotarł w końcu do rzeki, na której stał statek.

Był to statek handlowy, nieduży, lecz dobrze zbudowany i z pokładem. Miał dziesięć par wioseł, a także maszt i żagle. Orm i jego ludzie wnieśli dzwon na pokład i przymocowali go tam na stałe za pomocą lin i kłoców. Potem posadzili niewolnych przy wiosłach i popłynęli w dół rzeki. Ta biegła w kierunku zachodnim, na północ od koryta rzeki, którą ongiś łódź Kruka podsunęła się pod gródek markgraфа. A Normanom przyjemnie było znowu poczuć się panami na statku.

Ludzie Orma zmieniali się przy nadzorowaniu wiosłarzy, których uważali za krnąbrnych i niezdatnych. Byli też źli, gdy spostrzegli, że na statku nie ma kajdan na nogi, tak że przez całe noce musieli czuwać nad niewolnikami. A i tak udało się zbiec kilku spośród nich, kiedy ich wychłostano różgami. Wszyscy byli zgodnej opinii, że podobnie marnych wiosłarzy nigdy jeszcze nie widziano i że nie można tak dalej płynąć do Kordoby.

Kiedy dotarli do ujścia, stało tam już wiele dużych okrętów wojennych Almanzora, które nie mogły popłynąć w górę rzeki. Większą część zbrojnych z ich załogi wysłano w głąb łądu na pomoc przy plądrowaniu Asturyjczyków. Ludzie Orma ucieszyli się wielce na ten widok, a Orm wysłał zaraz obu pisarzy, aby pożyczyci u dowódców statków żelaza do skuwania nóg. Gdy dostał to, czego potrzebował, przykuto niewolnych na dobre. Orm otrzymał tam także prowiant na dalszą drogę, gdyż podróż do Kordoby była długa. Potem stanął ze swym statkiem obok okrętów wojennych w zasłoniętej od wiatru zatoczce, wyczekując na pomyślniejsze wiatry.

Wieczorem Orm wraz z Toke i Gunne wyszli na łąd, pozostawiając innych do pilnowania statku. Poszli wybrzeżem w kierunku paru rybackich szop, w których urządzili swoje składy kupcy skupujący łup i sprzedający towar marynarzom. Gdy zbliżyli się do jednej z nich, wchodziło do niej właśnie sześciu ludzi z jednego z okrętów i na ten widok Gunne zatrzymał się jak wryty.

– Tam idą ludzie, z którymi mamy porachunki – rzekł stłumionym głosem. – Czy widzieliście tych na przedzie?

Ale ani Orm, ani Toke nie zwrócili na nich uwagi.

– To ci, co zarabali Kruka – wysapał Gunne.

Orm zbladł, a ciałem jego wstrząsnął dreszcz.

– W takim razie żyli już dostatecznie długo – wyszeptał z trudem.

Dobyli mieczów. Orm i Toke nosili te, które otrzymali w darze od Zubaidy, choć Toke nie znalazł jeszcze dla swojego imienia tak dobrego jak Blotunga.

– Kruk idzie przed Almanzorem – rzekł Orm – obowiązek zaś pomszczenia go obarcza nas wszystkich, a najwięcej mnie, który jestem po nim hövdingiem. Skoczcie obaj za szopę, aby nikt tamtędy nie uszedł.

Szopa miała drzwi w obu krótkich ścianach. Orm wszedł przez najbliższe i zastał wewnątrz owych sześciu marynarzy i handlarza. Gdy ten zobaczył Orma z nagim mieczem, wlaź między worki, ale marynarze, krzyżąc, dobyli broni. W szopie było ciasno i ciemno, Orm jednak poznał natychmiast jednego z tych, co zarabali Kruka.

– Czyś odmówił już wieczorną modlitwę? – spytał i ciał go przez gardło, że głowa odpadła od ciała.

Dwóch przeciwników rzuciło się na niego z mieczami, tak że miał z nimi niełatwe zadanie. Trzej pozostali pobiegli ku tylnym drzwiom, gdzie jednak natknęli się na Toke i Gunne. Toke zwałił natychmiast jednego i wołając imię Kruka stał się szybko z następnym. W przepelnionej towarami szopie zrobił się teraz wielki ścisk. Jeden z marynarzy skoczył na

ławę i zamachnął się na Orma. Ale klinga ugrzęzła w belce pułapu, a Orm cisnął mu w twarz swoją tarczę, tak że szpic bukła utkwiał w oku przeciwnika, który upadł bez życia. Potem walka nie trwała już długo. Gunne zabił drugiego z tych, którzy zarabali Kruka, Orm dwóch innych, a Toke trzech. Tylko kupiec, którego prawie nie było widać z kąta, gdzie się zaszył, nie odniósł szkody, ponieważ nie miał nic wspólnego z całą tą sprawą.

Gdy wyszli z szopy z zakrwawioną bronią, naprzeciw nich nadeszło kilku zbrojnych, ciekawych przyczyny zgiełku. Na ich widok zawrócili jednak i uciekli. Toke wyciągnął wtedy przed siebie swój miecz. Gęsta krew ciekła po klindze i spływała dużymi kroplami z ostrego końca.

– Nadaję ci teraz twe imię, bracie Blotungi – rzekł. – Odtąd będziesz się nazywać Rödnäbba*.

Orm patrzył za uciekającymi mężami.

– Najlepiej, abyśmy i my się pośpieszyli – powiedział – gdyż teraz staliśmy się w tym kraju ludźmi wyjętymi spod prawa. Ale pomsta była tego warta.

Poszli śpiesznie na statek i opowiedzieli innym, co zaszło. Natychmiast też odbili od brzegu, choć było już ciemno. Wszyscy cieszyli się, że Kruk został pomszczony, rozumiejąc dobrze, że pilno im teraz ujść z tego kraju. Pomagali też sobie, aby zmusić wioślarzy do pośpiechu. Sam Orm stał przy sterze, wypatrując w ciemnościach. Obaj pisarze Almanzora, którzy nie wiedzieli, co się stało, zasypywali go pytaniami, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Aż w końcu statek wyszedł szczęśliwie z zatoki i złapał wiatr z południa, tak że można było podnieść żagle. Płynęli na północ, oddalając się wciąż od lądu, aż nadszedł poranek. Ale nie było widać, by ścigały ich jakieś statki.

Po prawej stronie zobaczyli parę małych wysepek i Orm kazał przybić do jednej z nich. Wysadził tam na ląd obu pisarzy i przekazał za ich pośrednictwem pozdrowienia dla Almanzora.

– Nie chcemy uciekać od takiego pana, nie powiadamy go o tym, jak przystało – mówił. – Dlatego też powiedzcie mu od nas wszystkich, że los zrządził, iż zabiliśmy sześciu z jego wojowników, ponieważ musieliśmy pomścić Kruka, naszego hövdinga. A życie sześciu mężów to nie za dużo za życie Kruka. Zabieramy z sobą statek i tych niewolników, ale strata ta niewiele znaczy dla Almanzora. Zabieramy także dzwon, gdyż daje on stateczność naszemu statkowi, a mamy przed sobą niebezpieczne morza. Wszyscy uważamy,

* Rödnäbba – Czerwony Dziób.

że Almanzor był dla nas dobrym panem i gdyby nie weszła pomiędzy nas sprawa pomsty, chętnie służylibyśmy mu dłużej. Wobec tego jednak, co się stało, jedyne to dla nas wyjście, aby ujść z życiem.

Pisarze obiecali powtórzyć słowo w słowo to, co mówił Orm. On zaś dodał jeszcze:

– Dobrze by było także, gdybyście po powrocie do Kordoby zechcieli zanieść pozdrowienia od nas bogatemu Żydowi nazwiskiem Salaman, który jest tam złotnikiem i skaldem. Podziękujcie mu od nas za to, że był dla nas dobrym przyjacielem. Bo chyba już nigdy go nie zobaczymy.

– A władczyni Zubaidzie powiedzcie – dorzucił Toke – że dwaj Normanowie, których zna, ślą jej dzięki i pozdrowienia.

I powiedzcie jej też, że miecze, które nam ofiarowała, bardzo się nam przydały i że nie ma na ich ostrzach ani jednej szczerbki, jakkolwiek dzielnie się napracowały. To jednak powinno być powiedziane tak, by nie usłyszał Almanzor.

Pisarze wydobyli swoje przybory i zapisali wszystko starannie. Potem zaś pozostawiono ich na wyspie, dając tyle strawy, ile mogli potrzebować, zanim jakiś statek ich nie znajdzie lub sami nie dostaną się na ląd. Niewolni przy wiosłach wymachiwali rękami i głośno wrzeszczeli, gdy statek skierował się na pełne morze i widać było wyraźnie, że i oni woleliby, aby ich pozostawiono tam, gdzie pisarzy. Ludzie Orma musieli obchodzić statek z różgami i kawałkami lin, aby ich uspokoić i zmusić do wiosłowania. Na morzu bowiem panowała teraz zupełna cisza, a należało jak najspieszniej wydostać się z tamtych wód.

– Dobrze, że mają skute nogi – mówił Gunne – gdyż bez tego wyskoczyliby wszyscy za burtę, mimo naszych mieczy. Ale źle się stało, że starając się o kajdany, nie pożyczylismy także i pletni, bo zdaje mi się, że różgi i kawałki liny nie wystarczą na tak krnąbrnych ludzi.

– To doprawdy dziwne, ale masz słuszość – rzekł Toke. – Bo kiedy sami siedzieliśmy na galerach, nigdy byśmy nie przypuszczali, że chwalić kiedyś będziemy pożytek, jaki daje pletnia.

– To prawda, że najbardziej boli własny grzbiet – odparł Gunne. – Ale jeśli chcemy stąd umknąć, to tych ludzi muszą grzbiety boleć jeszcze więcej.

Toke zgodził się z Gunne i poszli wzdłuż burty, smagając co siły w rękę wiosłarzy, aby wydobyć ze statku większą szybkość. Lecz mimo to z wiosłowaniem szło niesporo, gdyż wiosłarze nie umieli utrzymać rytmu. Spostrzegł to Orm i powiedział:

– Samym tylko chłostaniem nie nauczymy ich wiosłować, skoro do tego nie przywykli. Ale może dzwon pomoże nam w tym trochę.

Chwycił topór przy dzwonie, bijąc weń obuchem w takt wiosła. Dzwon wydał głośny dźwięk, a wiosłarze nastawili uszu i zaraz zaczęło się im lepiej wiosłować. Orm polecił więc swoim zmieniać się przy wybijaniu taktu. Stwierdził też, że kiedy bili w dzwon drewnianą pałką owiniętą w skórę, dźwięk był najlepszy. I mieli z tego wiele rozrywki.

Niebawem jednak znów złapali pomyślny wiatr, tak że nie trzeba już było wiosłować. Ale wiatr przybierał na sile, aż w końcu przerodził się w orkan, tak że sprawy zaczęły wyglądać groźnie. Grinulf Krzywogęby powiedział wtedy, że można się było tego spodziewać, gdyż rozpoczęli tę podróż nie składając ofiary morskim bogom. Kilku jednak sprzeciwiło mu się, przypominając ofiarę, jaką złożyli ongiś, kiedy to zaraz potem napadły na nich okręty Almanzora przynosząc nieszczęście. Gunne zauważył, że może najpewniej byłoby złożyć ofiarę Allachowi, i paru innych poparło go w tym. Ale Toke powiedział, że nie wierzy, by Allach miał dużo do powiedzenia na morzu. Po czym Orm rozstrzygnął:

– Ja zaś sądzę, że nikt nie może dokładnie wiedzieć, jak potężny jest taki bóg i jaki może nam przynieść pożytek. Toteż najlepiej może będzie nie zanieczyścić ani tego, ani tamtego. To zaś jest całkiem pewne, że z jednego już mieliśmy dużo pożytku w tej podróży, a jest nim święty Jakub. Bo dzwon jego daje statkowi stateczność, a ponadto pomógł nam też przy wiosłowaniu. Dlatego i o nim nie powinniśmy zapominać.

Uznali te słowa za słuszne i złożyli zaraz ofiary z mięsa i napoju Agirowi, Allachowi i świętemu Jakubowi, po czym natychmiast poczuli się podniesieni na duchu.

Nie orientowali się dokładnie, gdzie się znajdują, poza tym, że są o spory kawał drogi od Asturii. Ale wiedzieli, że jeśli będą płynąć na północ w kierunku, w którym pędził ich orkan, a nie oddalą się przy tym zbyt na zachód, zawsze w końcu natrafią na ląd, czy to na Irlandię, czy na Anglię, czy na Bretanię. Dlatego też nie tracili ducha, porając się ze sztormem. Parę razy widzieli gwiazdy i wierzyli, że dotrą tam, gdzie trzeba.

Najgorszy kłopot mieli z jeńcami. Bo jakkolwiek ci nie mieli teraz żadnej pracy przy wiosłach, znajdowali się w okropnie nędznym stanie z powodu przerażenia i morskiej choroby, wilgoci i zimna, tak że wszyscy pozielenieli i szcękali zębami, a paru nawet zmarło. Na statku mało było ciepłej odzieży, z dnia na dzień zaś robiło się coraz zimniej, gdyż nastąpiła już późna jesień.

Orm i jego ludzie trapił się kiepskim stanem niewolników i pielęgowali ich, jak umieli najlepiej. I gdy tylko jeńcy zdołali coś przełknąć, Wikingowie dawali im najlepszą strawę, jaką mieli. Gdyby bowiem udało im się dowieźć tych niewolników szczęśliwie na ląd, dużo by za nich dostali.

W końcu burza uspokoiła się i przez jeden dzień mieli piękną pogodę i dobry wiatr. Trzymali się wciąż kierunku na północ, a niewolnicy poprawili się na zdrowiu w ciepłych promieniach słońca. Pod wieczór jednak wiatr zamarł zupełnie i spadła mgła, która gęstniała coraz bardziej. Była przenikliwie zimna i wilgotna, tak że wszyscy ogromnie marzli, a najwięcej jeńcy. Najmniejszy podmuch wiatru nie mącił ciszy i statek leżał bezwładnie na wodzie, kołysząc się na długich falach. Orm powiedział:

– Źle z nami teraz. Jeśli bowiem będziemy czekać na wiatr, niewolni pomrą z zimna, jeśli zaś każemy im wiosłować, pomrą tak samo, w tak nędznym są stanie. A dopóki nie widać ani słońca, ani gwiazd, nie wiemy też, dokąd sterować.

– Moim zdaniem najlepiej kazać im wiosłować – rzekł Rapp – bo od tego się rozgrzeją. Sterować zaś powinniśmy tak, jak idą fale, bo wiatr mieliśmy z południa. I dopóki panuje mgła, nie mamy nic innego, według czego moglibyśmy się kierować.

Radę Rappa uznano za dobrą i kazano niewolnikom wziąć się do wiosł, jakkolwiek bardzo biadali i mieli mało sił. Woje zmieniali się znowu przy wybijaniu taktu na dzwonie i wydawało im się, że brzmiał on teraz jeszcze piękniej niż przedtem. Po każdym uderzeniu rozlegał się przeciągły dźwięk, tak że dzwon był dla nich dobrym towarzyszem we mgle. Od czasu do czasu pozwalali niewolnym przez chwilę odpocząć i zdrzemnąć się, poza tym jednak wiosłowali całą noc, sterując według fal. A przez cały czas nad morzem leżała jednakowo gęsta mgła.

Rano Orm stał przy sterze, a Rapp uderzał w dzwon. Inni spali. Nagle obaj zaczęli nasłuchiwać spoglądając na siebie ze zdumieniem, a potem znów wyżej uszy. Z daleka biegł ku nim słaby dźwięk. Zdumienie ich nie ustępowało. Zbudzili śpiących i wszyscy razem słuchali. Dźwięk słyhać było wciąż i wydawało się, że dochodził on od przodu.

– To brzmi tak, jakbyśmy nie tylko my wiosłowali przy dźwiękach dzwonu – odezwał się Toke.

– Musimy być ostrożni – radził Grinulf Krzywogęby – bo może to Ran* ze swymi córkami próbuje zwabić żeglarzy śpiewem i grą.

– A mnie wygląda to raczej na kuźnię karłów – zauważył Halle – a do czegoś takiego także niebezpiecznie się zbliżać. Może znajdujemy się w pobliżu jakiejś wyspy, na której żyjątrolle.

* Ran – w mitologii nordyckiej bogini morza, żona Agira.

Słaby dźwięk z oddali rozlegał się w dalszym ciągu, a oni czuli się wszyscy bardzo strwożeni i czekali na to, co powie Orm. Także i niewolnicy nasłuchiwali i zaczęli żywo szwargotać między sobą. Ale Orm i jego ludzie nie znali ich języka.

– Nikt nie może wiedzieć, co to takiego – powiedział w końcu Orm. – Źle by było jednak z nami, gdybyśmy się bali takiej drobnostki. Wiosłujmy zatem dalej tak jak poprzednio i wypatrujemy, jak tylko potrafiemy najlepiej. Jeśli chodzi o mnie, to nigdy nie słyszałem, by czary objawiały się rano.

Zgodzili się z nim co do tego i powiosłowali dalej. Obcy dźwięk brzmiał teraz coraz głośniej. Potem poczuli na twarzach nagle podmuchy wiatru, a mgła zaczęła rzednieć. Aż naraz wszyscy zawołali jednym głosem, że widzą ląd. Był to skalisty brzeg, który robił wrażenie wyspy czy przylądka. Dźwięk dochodził całkiem wyraźnie stamtąd, teraz jednak umilkł. Ujrzeni zieleń murawy i kilka pasących się kóz, a potem parę chatek, przy których stali jacyś ludzie patrzący w ich stronę.

– To nie wygląda ani na czary, ani na córy bogini Ran – rzekł Orm. – Wylądujemy tu, aby zobaczyć, dokądśmy dotarli.

Tak też zrobili. A wyspiarze nie okazywali żadnej bojaźni na widok ubranych jak woje mężów lądujących na brzegu, lecz wyszli im na spotkanie i pozdrowili ich przyjaźnie. Było ich sześciu, samych starców, z białymi brodami i w długich, brązowych płaszczach. Nikt nie mógł zrozumieć, co mówili.

– Do jakiego to kraju przybyliśmy? – spytał Orm. – I kim wy jesteście, mężowie?

Jeden ze starców zrozumiał jego słowa i zawołał do swych towarzyszy: „Lochlannach! Lochlannach!”, po czym odpowiedział Ormowi w jego własnej mowie:

– Przybyliście do Irlandii, a my jesteśmy sługami świętego Finniana.

Gdy Orm i jego ludzie usłyszeli te słowa, nie posiadali się z radości i poczuli się niemal jak w domu. Zobaczyli teraz, że wylądowali na małej wysepce, poza którą w dali mogli rozróżnić brzegi Irlandii. Na wysepce nie było żywej duszy prócz starców i ich kóz.

Staruszkowie dyskutowali z sobą żywo i wyglądali na zaskoczonych. Ten, który rozumiał mowę nordycką, odezwał się potem do Orma:

– Mówisz językiem Normanów, który rozumiem. Wiele bowiem przestawałem z Normanami za moich młodych dni, nim przybyłem na tę wyspę. Ale z całą pewnością nigdy nie widziałem mężów z Lochlann ubranych tak jak ty i twoi ludzie. Skąd przybywacie? Czy jesteście białymi, czy czarnymi Lochlannach? I jak to się stało, że płyniecie przy dźwiękach dzwonu? Mamy dziś dzień świętego Brandana, biliśmy więc w nasz dzwon, aby uczcić jego pamięć, a tu słyszymy, że z morza odpowiada nam inny dzwon. Myśleliśmy, że to może głos

samego świętego Brandana, gdyż był on wielkim żeglarzem. Ale na imię Jezu Chrysta, jesteście chyba wszyscy ochrzczeni, skoro płyniecie przy świętym dźwięku?

– Stary umie gadać – rzekł Toke – i ty masz, Ormie, dużo do opowiadania.

Orm odparł starcowi:

– Jesteśmy czarnymi Lochlannach, z państwa króla Haralda, jakkolwiek nawet nie wiemy, czy król Harald jeszcze żyje, bo długo byliśmy poza domem. Ale nasze płaszcze i odzież są hiszpańskie, gdyż przybywamy z Andaluzji, gdzie służyliśmy wielkiemu panu, imieniem Almanzor. Nasz dzwon zaś nazywa się Jakub i pochodzi z asturyjskiego kościoła, w którym spoczywa pochowany święty Jakub, a był największy z tamtejszych dzwonów. Za długo byłoby opowiadać, w jaki sposób znalazł się on z nami w tej podróży. Jezu Chrysta znamy, ale tam, skąd przybywamy, nie cieszy się on wielką czcią, a ochrzczeni nie jesteśmy. Skoro jednak wy sami jesteście chrześcijanami, to dobrze będzie, jeśli się dowiecie, że mamy tu chrześcijan przy wiosłach. To nasi niewolnicy z tego samego miejsca co dzwon, bardzo teraz strudzeni przeprawą i niewiele warci. Dlatego byłoby dobrze, gdyby mogli tutaj trochę odpocząć przed dalszą drogą. Nas zaś nie potrzebujecie się obawiać. Wyglądacie bowiem na dobrych ludzi, my zaś nie jesteśmy żadnymi gwałtownikami wobec tych, co się nam nie sprzeciwiają. Kilka waszych kóz pójdzie wprawdzie pod nóż, ale to będzie najgorsza krzywda, jaka was spotka z naszej strony. Nie zamierzamy tu zostawać długo.

Gdy starcy zrozumieli to wszystko, kiwali potakująco głowami i uśmiechali się życzliwie. Ten zaś, który mówił w ich imieniu, rzekł, że często goszczą żeglarzy na swojej wyspie i że nikt nie zwykł nigdy czynić im krzywdy.

– Albowiem my sami nigdy nie robimy nikomu nic złego – mówił – i nie mamy żadnego mienia prócz kóz, zagonów rzepy i naszych chatek. Poza tym cała wyspa należy do świętego Finniana, który ma duży głos u Boga i osłania nas swą dłonią. Pobłogosławił obficie naszym kozom w tym roku, tak że jadała nie zabraknie. Witajcie więc i przyjmijcie nasze skromne dary. A dla nas starych, którzy przeważnie siedzimy tu samotnie, prawdziwą radością będzie móc posłuchać opowiadań mężów, co się tyle napodróżowali. Wyprowadzono teraz na ląd niewolników i wyciągnięto statek na brzeg. A Orm i jego towarzysze odpoczywali na wyspie świętego Finniana w zgodzie i przyjaźni z mnichami. Łowili z nimi ryby, których tu była wielka obfitość. Karmili też dobrze niewolników, tak że ci zaczęli wyglądać mniej nędznie. Musieli opowiadać mnichom dużo ze swych przygód, gdyż jakkolwiek z przekładaniem ich słów był kłopot, starzy zawsze chciwie słuchali wieści z dalekich krajów. Najbardziej z wszystkiego jednak mnisi zachwycali się dzwonem, który był większy niż wszystkie inne znane im w Irlandii, mówili, że to ogromny cud, iż święty Jakub i święty Finnian wołali do

siebie z daleka głosem swoich dzwonów. A czasem przy nabożeństwach bili w dzwon świętego Jakuba zamiast w swój własny i cieszyli się, gdy donośny dźwięk niósł się po morzu.

VIII.

O POBYCIE ORMA U MNICHÓW ŚWIĘTEGO FINNIANA I O TYM, JAK W JELLINGE ZDARZYŁ SIĘ CUD

W czasie pobytu u mnichów świętego Finniana Orm i jego ludzie naradzali się, jak byłoby dla nich najlepiej postąpić, gdy niewolni poprawią się już na tyle, że będą mogli wytrzymać trudy dalszej drogi. Wszyscy chcieli co rychlej wracać do domu. Zwłaszcza że w tej porze roku nie groziło im wielkie niebezpieczeństwo ze strony morskich rabusiów, gdyż niewiele tylko statków wychodziło na morze. Ale podróż w zimową pogodę zapowiadała się ciężka i obawiali się, że niewolni im wyginą. Dlatego też najmądrzej byłoby ich jak najprędzej sprzedać. W tym celu mogli się udać albo do Limerick, gdzie dobrze znano ojca Orma, albo do Corku, gdzie Olof z Klejnotami z dawien dawna prowadził wielki handel niewolnikami. Zapytali więc mnichów, co lepiej zrobić.

Kiedy mnisi zrozumieli, o co chodzi wikingom, zaczęli się z sobą naradzać i uśmiechać, po czym ten, który mówił w ich imieniu, rzekł:

– Widać, że przybywacie z bardzo daleka i niewiele wiecie, co się obecnie dzieje w Irlandii. Ani w Limerick, ani w Corku niełatwo wam będzie handlować. W Irlandii ma teraz władzę Brian Borhumba, o którym może słyszeliście, jakkolwiek jesteście przybyszami z dalekich stron.

Orm odrzekł, że często słyszał, jak ojciec jego opowiadał o królu Brianie, który toczył wojny z wikingami w Limerick.

– Już więcej z nimi nie wojuje – rzekł na to mnich. – Naprzód był hövdingiem Dalkasów. Wtedy wikingowie z Limerick prowadzili przeciw niemu wojny. Potem został konungiem Thomondu i wtedy on prowadził wojny przeciw wikingom w Limerick. Ale później został królem całego Munsteru i wówczas uderzył na Limerick i pozabijał większość tamtejszych wikingów, reszta zaś puciekąła. Dziś jest największym bohaterem w Irlandii, królem Munsteru, panem Leinsteru i ściąga daniny z wszystkich obcych, którzy siedzą jeszcze w grodach na wybrzeżu. A obecnie prowadzi wojnę przeciw Malachi, królowi królów irlandzkich, aby odebrać mu jego małżonkę i państwo, Olof z Klejnotami płaci Brianowi daninę i musi mu posyłać wojowników na wyprawy wojenne przeciw Malachi. I nawet sam Sigtrygg Jedwabnobrody z Dublina, najpotężniejszy z obcych przybyszów w Irlandii, zapłacił mu dwukrotnie okup.

– Zaiste wielkie to nowiny – rzekł Orm. – I musi być potężnym władcą ten król Brian, mimo że my widzieliśmy może jeszcze potężniejszego. Ale nawet jeśli wszystko to, co opowiadasz, jest prawdą, to dlaczego nie mielibyśmy sprzedać mu naszych niewolników?

– Król Brian nie kupuje żadnych niewolników – odparł mnich – lecz sam sobie bierze ich tylu, ilu potrzebuje. I to zarówno od swoich sąsiadów, jak i od mężów z Lochlann. Oprócz tego zaś wiemy także, że istnieją trzy rzeczy, które kocha on więcej od wszystkiego innego, i trzy rzeczy, których najbardziej nienawidzi. I te ostatnie mogą być dla was groźne. Trzy rzeczy, które kocha, to: największa władza, i tę już posiada, najwięcej złota, i to także ma już w swoim ręku, i najpiękniejsza kobieta. Cały świat wie, że jest nią Gormlaith, siostra Maelmora, króla Leinsteru. A jej Brian jeszcze dotąd nie zdobył. Pierwszy raz była zamężna za królem Olofem Kvaran z Dublina, który przepędził ją z powodu jej ostrego języka. A teraz wyszła za Malachi i ten swawoli w jej alkowie tak, że już prawie nie ma siły, by ruszyć w pole. A kiedy Brian pokona Malachi, zdobędzie Gormlaith, gdyż co sobie zamierzył, to zawsze osiąga. To zaś, czego nienawidzi najbardziej, to: niechrześcijaństwo, ludzie z Lochlann oraz skaldowie, którzy sławią innych królów. Jego nienawiść zaś jest równie silna, jak jego miłość i nic nie zdoła go ułagodzić w tych sprawach. A ponieważ wy nie jesteście chrześcijanami i pochodzicie z Lochlann, nie radzimy wam zbliżać się doń zanadto, gdyż nie życzymy wam zguby.

Wikingowie słuchali z uwagą i orzekli, że nie oplaca się handlować z królem Brianem. A Orm dodał jeszcze:

– Zdaje mi się, że dzwon świętego Jakuba dobrze nas prowadził, skoro doprowadził nas do tej wyspy, a nie do państwa króla Briana.

– Dzwon świętego Finniana także ma w tym trochę zasługi – odrzekł mnich – i kiedy już przekonaliście się, co mogą zdziałać święci nawet dla niechrześcijan, czy nie byłoby rozsądnie, abyście zaczęli wierzyć w Boga i zostali chrześcijanami?

Orm odparł, że nie zastanawiał się jeszcze nad tym zbyt wiele i że nie wydaje mu się, aby to było aż tak pilne.

– To może bardziej pilne, niż przypuszczasz – mówił mnich – albowiem tylko jedenaście lat* pozostało dziś do chwili, w której nastąpi koniec świata i Chrystus pojawi się na niebie, aby sądzić wszystkich ludzi. A nim to nastąpi, wszyscy poganie muszą zostać ochrzczeni

* Według rozpowszechnionego we wczesnym średniowieczu wierzenia koniec świata miał nastąpić w tysiąc lat po narodzeniu Chrystusa.

i byłoby niemądrze znaleźć się wśród ostatnich, którzy to robią. Przychodzą oni teraz do Boga większą rzeszą, niż zwykli to robić dawniej, tak że niebawem niewielu już tylko pozostanie pogrążonych w ciemnocie. I zaiste przyjście Chrystusa musi już być bliskie, skoro nawet najgorszy z wszystkich pogan, król Harald duński, też przyjął chrzest. Dlatego też powinniście i wy wyrzec się swoich fałszywych bogów i zacząć prawdziwą wiarę.

Wszyscy patrzyli nań ze zdumieniem, kilku zaś wybuchnęło śmiechem, bijąc się z uciechy po udach.

– Dlaczego nie powiesz jeszcze, żebym tak jak ty został mnichem i ogolił sobie głowę? – zapytał z drwiną Toke.

– To myśmy podróżowali po szerokim świecie, a ty siedzisz tu z twymi braćmi na tej opuszczonej wyspie, a mimo to ty właśnie masz do powiedzenia największe nowiny – rzekł Orm. – Niemało jednak od nas żądasz, jeśli chcesz, żebyśmy uwierzyli, że król Harald został chrześcijaninem. Już bardziej wiarygodne wydaje mi się, że to jakiś żeglarz wbił ci to w głowę, aby zakpić z twej łatwowierności.

Mnich upierał się jednak, że mówi prawdę, a nie jakąś żeglarską blagę. Tę wielką bowiem wiadomość usłyszeli od własnego biskupa, gdy ten odwiedził ich przed dwoma laty. I przez siedem niedziel składali dziękczynienia Bogu z powodu tak wielkiej wygranej dla wszystkich nawiedzanych przez Normanów chrześcijan.

Po tym twierdzeniu wikingowie uwierzyli w to, co starzec mówił, lecz ciągle jeszcze trudno im było pojąć tak wielką nowinę.

– Przecież król Harald jest potomkiem samego Odyna – mówili patrząc na siebie ze zdumieniem – jakże więc może wzywać pomocy u kogoś innego?

– I przez całe życie sprzyjało mu przecież szczęście, które spływało nań od Azów* – dodawali. – A floty jego wyprawiały się na chrześcijan i wracały z tych wypraw z bogatym łupem. Cóż więc ma wspólnego z bogiem chrześcijan?

I trzęśli głowami, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

– Harald jest już stary – mówił Grinulf – i może stał się na nowo dzieckiem, podobnie jak to było w dawnych czasach z królem Ane z Uppsali. Bo królowie piją mocniejsze piwo niż inni ludzie i wiele mają kobiet. To zaś może z czasem utrudzić ich tak, że umysł im się zaciemnia i już nie wiedzą więcej, co czynią. Ponieważ zaś są królami, więc i tak robią to, co

* Azowie – w mitologii nordyckiej najwyżsi bogowie.

chęcią, nawet gdy opuści ich rozsądek. Być może, że w taki właśnie sposób król Harald zaplątał się w wiarę chrześcijan.

Woje pokiwali głowami i zaczęli opowiadać historie o starcach ze stron rodzinnych, którzy w podeszłym wieku dziwaczeli i przyczyniali swym rodzinom wiele kłopotu szaleńczymi pomysłami. I wszyscy byli zdania, że nie warto już żyć, kiedy człowiekowi wypadną zęby, a rozsądek zacznie w nim zanikać. Mnisi wspomnieli, że przydarzą im się rzeczy jeszcze gorsze, gdyż przy sądzie ostatecznym, za lat jedenaście, zabrani zostaną gwałtownie z tej ziemi. Ale oni odpowiadali, że to nie może się odnosić do nich i że nie zamierzają z tego powodu przejść na stronę Chrystusa.

Ormowi wszystko to dało dużo do myślenia. Trzeba było bowiem postanowić, co począć, skoro nie można udać się na targ do Irlandii. W końcu powiedział do swoich:

– Dobrze być hövdingiem, gdy przychodzi dzielić łupy i kiedy krąży róg z piwem, gorzej jednak, gdy trzeba układać plany. Niewiele też potrafię wymyślić. Ale musimy stąd odpłynąć, gdyż niewolni poprawili się już o tyle, o ile mogło to sprawić jedzenie i odpoczynek, a im dłużej będziemy zwlekać, tym trudniejsza będzie podróż. Wydaje mi się, że najlepiej udać się do króla Haralda. Są tam bogaci wielmoże, którzy powinni dać nam dobrą cenę za naszych niewolników. A jeśli on sam został istotnie chrześcijaninem, to zdaje mi się, że i dla niego mamy dobry podarek, aby natychmiast zaskarbić sobie jego łaski. Wolałbym bowiem raczej zostać jego wojem niż siedzieć w domu jako najmłodszy syn w ojcowskiej zagrodzie, jeżeli naturalnie stary i brat mój Odd jeszcze żyją. Wam zaś, jeśli ciągnie was do domu, łatwo będzie dostać się do Blekingii po sprzedaniu łupów i podzieleniu zysków. Najgorzej będzie tylko z uchronieniem niewolnych, aby nam nie poginęli z zimna, kiedy wyjedziemy na morze.

Potem zwrócił się do mnichów i rzekł, że chce z nimi zrobić handel. Mieli mu oddać wszystkie kozie skóry, jakie tylko posiadali, oraz całą odzież, bez której mogli się obejść. Za to on skłonny był odstąpić im dwóch najsłabszych niewolników, ponieważ ci w innym razie pomarliby w podróży, mnichom zaś mogli przynieść pożytek, gdyby wyzdrowieli. Ponadto chciał im dodać jeszcze kilka andaluzyjskich srebrnych monet. Mnisi uśmiechali się półgębkiem, mówiąc, że byłby to lepszy handel od tego, który zazwyczaj Irowie prowadzili z ludźmi z Lochlann, ale że jednak oni najchętniej chcieliby dostać dzwon świętego Jakuba. Ale Orm odparł, że nie może odstąpić dzwonu, zgodzili się więc na to, co proponował, i niewolnicy zostali jako tako odziani na zimę.

Potem uwędzili ryby i kozinę jako prowiant na drogę. Zabrali też ze sobą rzepy z mnisich zagonów. Mnisi pomagali im we wszystkim i, zawsze przyjaźni, wcale się nie skarżyli, że ich stada kóz ogromnie zmalały podczas wizyty Normanów. Jedynym ich

zmartwieniem było to, że święty dzwon miał pozostać w rękach pogańskich i że Orm i jego ludzie nie chcieli zrozumieć swego własnego dobra i zostać chrześcijanami. Przy rozstaniu mówili mnisi raz jeszcze o Chrystusie i świętym Finnianie, o dniu sądu i o wszystkim, co przytrafi się odjeżdżającym, jeśli nie przejdą na prawdziwą wiarę. Orm odpowiedział im, że niewiele ma teraz czasu na słuchanie o tych sprawach, potem jednak dodał, że złym byłby hövdingiem, gdyby przy odjeździe okazał się skąpy wobec takich gospodarzy, jakimi byli dla niego i jego drużyny. To mówiąc wysuwał z pasa trzy złote monety i dał je mnichom.

Gdy to zobaczył Toke, śmiał się zrazu z takiej rozrzutności, potem jednak powiedział, że i jego na tyle stać co Orma. Kiedy bowiem nadejdzie odpowiedni czas, zamierza wzenieć się w jedno z najlepszych gospodarstw w Lister i stać się znacznym człowiekiem w swej osadzie. Z tymi słowy wręczył i on trzy złote monety mnichom oszołomionym taką szczodrością. Pozostałym wikingom nie poszło to, jak się zdaje, bardzo w smak, ze względu jednak na swoje dobre imię każdy także coś dał. Wszyscy, z wyjątkiem Grinulfa Krzywogębego. Drwili też potem z jego skąpstwa, ale on śmiał się tylko szeroko swoją krzywą gębą, drapał się w brodę i bardzo był z siebie zadowolony.

– Nie jestem hövdingiem – mówił – a poza tym zaczynam już być stary. I za mnie nie wyjdzie żadna dziewczyna ani baba z zagrodą w wianie. Dlatego też moje dobre prawo być skąpym.

Zabrawszy niewolnych na statek i przykuwszy ich mocno do ław, odpłynął Orm od wyspy świętego Finniana i pożeglował w dół dokoła Irlandii. Złapali silny, pomyślny wiatr i mieli dobrą podróż. Ale mimo że owijali się szczelnie w kozie skóry, cierpieli wszyscy bardzo od jesiennego chłodu. Bo Orm i jego towarzysze żyli tak długo na Południu, że zimne pogody dokuczały im teraz o wiele bardziej niż dawniej. Niemniej jednak wszyscy byli dobrej myśli, znalazłszy się tak blisko stron ojczystych, bali się jedynie swych żeglujących po morzach rodaków, których też stale bacznie wypatrywali. Mnisi bowiem powiedzieli im, że coraz większe roje duńskich wikingów gromadzą się wokół brzegów Anglii od czasu, gdy moc króla Briana zamknęła przed nimi większość dziedzin irlandzkich, a w to miejsce Anglia zyskała sławę kraju najlepszego pładrowania. Z obawy pościgu ze strony ziomków Orm prowadził statek w znacznej odległości od lądu, gdy przeprawiali się przez cieśninę angielską. Szczęście ich nie opuszczało i uniknęli wszelkich spotkań. Wyszli potem na pełne morze, poczuli, że bryzgi fal stają się coraz chłodniejsze, i płynęli, dopóki nie ujrzeli w dali brzegów Jutlandii. Wtedy wybuchnęli wszyscy śmiechem radości, bo dobrze było znowu zobaczyć ląd należący do państwa Dunów. I pokazywali sobie nawzajem znaki graniczne, które oglądali po raz ostatni, wpływając w świat z Krukiem dawno temu.

Opłynęli Skagen i poszli na południe, znajdując zacisze pod osłoną lądu. Niewolnym przyszło teraz znów wiosłować z całych sił, podczas gdy dzwon świętego Jakuba wydzwaniał im takt. Normanowie rozmawiali z napotykanymi rybakami i dowiedzieli się, ile im jeszcze pozostało drogi do Jellinge, gdzie znajdowała się siedziba króla Haralda. Wyczyścili też broń i odzież, aby stanąć przed królem, jak na zacnych mężów przystało.

Wczesnym rankiem dopłynęli o wiosłach do Jellinge i przybili do jednej z przystani. Widać było stamtąd dworzyszcze królewskie, położone na wzgórzu o kawałek drogi w głębi lądu, otoczone ziemnym wałem i częstokołem. W dole u przystani stało kilka chat. Wyszli z nich ludzie i gapili się na Orma i jego towarzyszy, sprawiających wrażenie cudzoziemców. Ci zaś znieśli na ląd dzwon wraz z pomostem i wałkami, których używali w Asturii. Skupiło się zaraz wokół wielu ciekawskich z najbliższych chałup, by się przypatrzeć tej niezwyklej osobliwości i dowiedzieć się, skąd przybywają obcy. Dla Orma zaś i jego ludzi czymś zupełnie szczególnym było usłyszeć po tylu latach spędzonych na obczyźnie, że wszyscy dokoła mówią ich własną mową. Rozkuli niewolnych i zaprzęgli ich do pomostu, zamierzając zaciągnąć dzwon do króla.

Nagle usłyszeli krzyk i rwetes dolatujący z królewskiego dworzyszczca i ujrzeli, jak w dół zbocza zbiega na łeb, na szyję jakiś gruby człowiek w długim płaszczu. Głowę miał ogoloną, a na piersiach srebrny krzyż, na twarzy zaś jego malowało się przerażenie. Bez tchu dobiegł do chatek u przystani i zawołał rozkładając ręce:

– Pijawki! Pijawki! Czyż nie znajdzie się żaden miłosierny człowiek, który mi da pijawki? Muszę je dostać natychmiast, świeże i mocne!

Głos jego zdradzał cudzoziemca, ale obracał językiem żwawo w duńskiej mowie, jakkolwiek z trudem tylko łapał oddech.

– Nasze pijawki pochorowały się i nie chcą już ssać. A pijawki to jedyne, co pomaga, gdy zaczyna go boleć ząb. W imię Ojca i Syna, i Świętego Ducha, czyż nie ma nikogo, kto miałby pijawki?

Żaden z mieszkańców chat nie miał pijawek w domu i gruby ksiądz jęczał rozglądając się bezradnie dokoła. Doszedł właśnie do mostka, gdzie przybił statek Orma, i nagle zobaczył dzwon i skupionych dokoła niego ludzi. Wybałuszył na nich oczy zdumiony i szybko podszedł bliżej.

– Co to takiego? – wykrzyknął. – Dzwon, święty dzwon! Czyżbym śnił? Czy to mamiące nasz wzrok dzieło szatana, czy też istotnie prawdziwy dzwon? Jakże dostał się tutaj, do tego kraju ciemności i diabłów? Nigdy w życiu nie widziałem tak ogromnego dzwonu, nawet w Wormacji we własnym kościele cesarza.

– Dzwon nazywa się Jakub po jednym z apostołów – odparł Orm – i przywieźliśmy go tutaj z kościoła tegoż apostoła w Asturii. Słyszeliśmy, że król Harald stał się chrześcijaninem, i myśleliśmy, że dar taki mógłby go ucieszyć.

– Cud! Cud! – wołał ksiądz z łkaniem w głosie, wyciągając ramiona ku niebu. – Anieli niebiescy zmiłowali się nad nami w naszej potrzebie, gdy zachorowały pijawki. Toż to jeszcze lepszy środek niż pijawki. Ale śpieszcie się, śpieszcie, śpieszcie! Niebezpiecznie zwlekać, gdy go bardzo boli.

Niewolni pociągnęli dzwon ku królewskiemu dworzyszczu, a ksiądz napominał wikingów, aby poganiali ich co siły. Gęba mu się nie zamykała ani na chwilę, jakby zupełnie stracił rozum. Wciąż tylko ocierał oczy z łez, zwracał twarz ku niebu i coś wykrzykiwał w księżym języku.

Orm i reszta towarzyszy pojęli, że król cierpi na ból zębów, nie mogli jednak zrozumieć, jaki pożytek mógł w tej sprawie przynieść ich dzwon. Ksiądz jednak paplał z radości trzy po trzy, nazywając ich wysłannikami niebios i mówiąc, że teraz wszystko będzie dobrze.

– Niewiele już tylko zębów ma on w gębie, dzięki niech będą Wszechmogącemu – mówił – ale te, które są, sprawiają nam tyle kłopotu, co wszystkie inne diabelstwo w całym tym kraju razem wzięte. Bo mimo podeszłego wieku odczuwa jeszcze często ból w nich, z wyjątkiem tych obu sinych. A kiedy zaczyna go boleć, niebezpiecznie doń się zbliżać i bluźnić bez miary. Pewnego razu w lecie, gdy bolał go jeden z trzonowych, niewiele brakowało, by zrobił z braciszka Willibalda męczennika. Uderzył go bowiem wtedy w głowę naszym dużym krucyfiksem, który miał przynieść mu ulgę w bólu. Braciszek Willibald już ozdrowiał, niech będzie Bóg błogosławiony, musiał jednak długo leżeć w mękach i z ciężkim szumem w głowie. Gdy szliśmy za biskupem Popponem do tego kraju ciemności, by szerzyć Ewangelię i naszą sztukę lekarską, ofiarowaliśmy obaj z braciszkiem Willibaldem nasze życie Bogu. Ale mimo to okropne wydaje się być zagrożonym męczeństwem z powodu kilku starych zębów. A nie wolno nam wyrwać żadnego. Zakazał nam tego pod groźbą utraty żywota. Bo mówi, że nie chce zostać takim jak pewien stary król u Swijów, który w starości ssał mleko z rogu. W takich to trudnościach i opresjach żyjemy u tego króla, aby krzewić królestwo niebieskie, braciszek Willibald, który jest najlepszym lekarzem w całej archidiecezji bremeńskiej, i ja, com jest zarazem kantorem i lekarzem i nazywam się brat Mateusz.

Zaczerpnął tchu, starł pot z twarzy i zakrzyknął na niewolnych, aby szli śpieszniej. Potem zaś ciągnął:

– Najgorsze dla nas, lekarzy, w tym kraju, to to, że nie mamy do pomocy żadnych relikwii. Nie mamy tutaj ani jednego zęba świętego Łazarza, które są zupełnie niezawodne przy bólu zębów i których tyle jest w różnych stronach chrześcijańskiego świata. Nam bowiem, którzy udajemy się do pogan, nie wolno zabierać z sobą relikwii, ponieważ mogłyby wpaść w ręce pogańskie i zostać zbezczeszczone. Musimy ufać w nasze modły i w krzyż, i w ziemskie środki lecznicze, a chwilami nie chce to wystarczyć. Dlatego też wśród Dunów nikt nie może leczyć cudownymi lekami, dopóki w kraju tym nie staną się dostępne relikwie, a to jeszcze potrwa. Bo co prawda ludność zabiła tu już trzech biskupów i wielu zwykłych kaznodziejów, a zwłoki kilku spośród tych męczenników uratowano i dano im chrześcijański pochówek, tak że wiemy dziś, gdzie spoczywają, ale Kościół Święty zarządził, że kości biskupów i męczenników nie wolno wygrzebywać w celu użycia ich na lekarstwa przed upływem trzydziestu sześciu lat od ich, śmierci. I do tej chwili źle się będzie tutaj wiodło nam, lekarzom. Potrząsnął głową i pomruczał coś ze zmartwienia pod nosem, ale potem znowu się rozpromienił.

– Od kiedy jednak Bóg pozwolił dokonać się temu wielkiemu cudowi, będzie nam lepiej, braciszku Willibaldowi i mnie. To, prawda, że nigdy nie zauważyłem w dziełach uczonych wzmianki, że właśnie święty Jakub ma jakąś moc przeciw bólowi zębów. Ale we własnym jego dzwonie, który dopiero co przybył od jego świętego grobu, musi przecież kryć się wielka siła przeciw wszelkim bólom, a więc i przeciw bolącym zębom. I dlatego ty, hövdingu, z całą pewnością jesteś wysłannikiem Boga dla braciszka Willibalda i dla mnie, i dla całego chrześcijańskiego dzieła w tym kraju.

– Mądry mistrzu – zapytał Orm – powiedz, jak leczysz ból zęba za pomocą dzwonu? Bo ja i moi ludzie byliśmy w dalekich krajach i widzieliśmy wiele dziwnych rzeczy, to jednak wydaje mi się najdziwniejsze z wszystkiego.

– Dwa są na to różne sposoby, których się nauczyliśmy – odparł brat Mateusz – i oba dobre. Myślę jednak – a i braciszek Willibald z pewnością się ze mną w tym zgodzi – że najlepsza jest tu stara recepta świętego Grzegorza. A jaka ona jest, wnet zobaczysz.

Doszli już do wału z częstokołem i stary strażnik otworzył im wielkie wejściowe wrota, podczas gdy drugi zadął w róg na znak, że przybyli obcy. Brat Mateusz wysunął się teraz na czoło pochodu i zaintonował wielkim głosem świętą pieśń: *Vexilla regis prodeunt**. Za nim

* *Vexilla regis prodeunt* (łac.) – chorągwie Króla postępują. Wyjątek z pieśni kościelnej.

kroczyli Orm i Toke, a potem szli niewolnicy z dzwonem, popędzani przez pozostałych wikingów.

Wewnątrz częstokołu stało wiele domów należących do królewskiego gospodarstwa. Król Harald bowiem żył w większym przepychu i bogactwie niż jego ojciec. Kazał rozbudować wielką hallę do biesiad dla króla Gorma i uczynić ją jeszcze wspanialszą, a dla swojej drużyny i dla służby wznosił duże przybudówki. Kuchnia i piwowarnia królewska opiewane były przez skaldów, gdy tylko je zbudowano, a ludzie świątli i bywali uważali je za większe od tych, które miał swijski król w Uppsali. Brat Mateusz prowadził pochód do dworzyszczu, w którym mieściła się królewska komora i gdzie król teraz w dniach starości najwięcej spędzał czasu wśród swych kobiet i skrzyń ze skarbami.

Była to budowla z wielkich bierwion, o dużych pomieszczeniach. Teraz jednak nie mieszkało tam już tyle osób co dawniej. Albowiem od czasu, gdy biskup Poppon często prawił Haraldowi kazania, że musi się starać, aby we wszystkim wieść żywot chrześcijański, król pozbył się większości swoich kobiet, zatrzymując tylko kilka najmłodszych. Te spośród starszych, które urodziły mu dzieci, żyły teraz w innych domach. Ale tego ranka rojno było koło królewskiego dworzyszczu i dużo mężczyzn i kobiet biegało tam bezładnie w strachu i popłochu. Wielu zatrzymywało się, by popatrzeć na nadchodzących, pytając, co to za jedni. Lecz brat Mateusz przerwał nagle śpiew i przeleciał żywo obok nich wszystkich, szybko zmierzając do królewskiej komory, a za nim szli Orm i Toke.

– Bracie Willibaldzie! Bracie Willibaldzie! – wołał. – Jeszcze jest balsam w Gilead! Królu panie, ciesz się i chwal Boga, gdyż cud zdarzył się dla ciebie i wnet przepędzony zostanie twój ból. Jestem jak Saul, syn Cisa. Albowiem wyszedłem poszukać pijawek do puszczenia krwi, a znalazłem rzecz świętą.

I podczas gdy ludzie Orma z wielkim trudem wnosili dzwon do izby, brat Mateusz zaczął opowiadać, jak to z tym było.

Orm i jego ludzie pozdrowili króla Haralda z wielką czcią, patrząc nań z ciekawością. Słyszeli bowiem opowiadania o nim, odkąd sięgali pamięcią, i dziwne wydawało im się widzieć go teraz w męce i nędznym stanie.

Łoże jego stało w głębi komory przy krótkiej ścianie, naprzeciw drzwi. Było ono mocno zbite z tęgiego drzewa, wysokie i pełne pierzyn i podbitych futrem der, przestronne, że trzy, a nawet cztery osoby mogłyby tam leżeć obok siebie i wcale nie byłoby im za ciasno. Król Harald siedział na jego brzegu podparty wielu poduszkami. Na głowie miał kapuzę utkaną z żółtej wełny, ciało zaś owinięte długim futrem z wydry. Na podłodze u jego nóg siedziały

przykucnięte dwie kobiety, a między nimi stała miska z żarzącym się węglem. Trzymając każda po jednej z królewskich stóp na kolanach, rozcierały je, aby utrzymać w nich ciepło.

Od pierwszego wejrzenia widać było, że król Harald to wielki król, choć gdy tak siedział, pozbawiony był królewskiego majestatu i we wzroku jego czał się strach. Dużymi, okrągłymi oczami patrzył z niewesołym wyczekiwaniem na ludzi kręcących się po izbie i na dzwon, który do niej wniesiono. Nie wyglądało jednak na to, by go zbyt zajmowało to, co widział. Oddychał szybko, lekko sapiąc, tak jakby miał zadyszkę. Ból bowiem uspokoił się na chwilę i król czekał momentu, kiedy zacznie go znowu szarpać. Był to człek ogromny i mocny, o szerokiej piersi i grubym brzuchu. Twarz miał wielką i czerwoną, o skórze lśniącej i bez zmarszczek. Włosy jego były siwe, ale broda, szeroka i puszysta, spadająca mu dwoma szpicami na piersi, była żółtobiała. A na samym środku, na wąskim kosmyku, który wyrastał z dolnej wargi, utrzymał się czysty żółty kolor bez żadnej siwizny. Od wszystkich mikstur, jakie połknął przeciw bólowi, na wargach jego pozostała wilgoć, tak że oba sine kły, słynne nie tylko z powodu swego koloru, ale i dla swej długości, sterczały lśnić jeszcze bardziej niż zwykle, zupełnie jak szable u starego odyńca. Wyłupiaste oczy nabiegłe były krwią i podobnie jak w jego szerokim czole i w grubych, szpakowatych brwiach zdawała się w nich mieszkać groźna moc. Takim był król Harald Sinozęby, kiedy Orm i jego ludzie zobaczyli go po raz pierwszy. A Toke opowiadał później, że pomyśleli sobie, iż niewielu tylko królów z bólem zębów robiłoby tak królewskie jak on wrażenie.

Biskupa Poppona nie było w izbie, ponieważ czuwał przy królu przez całą noc, zanosząc o niego modły i wysłuchując bluźnierstw i pogrózek, gdy ból przybierał na sile, tak że w końcu musiał udać się trochę na spoczynek. Ale braciszek Willibald, który przez całą noc wspólnie z bratem Mateuszem próbował różnych leków, wciąż jeszcze krzątał się rześko. Był to mały, wysuszony człowieczek, łysy jak kolano, z wielkim nosem i zaciśniętymi wargami. Przez ciemność biegła mu czerwona blizna. Potakiwał gorliwie, słuchając słów brata Mateusza, i wyciągnął ręce ku niebu, gdy do izby wniesiono dzwon.

– Zaiste to cud – odezwał się ostrym i zapalczywym głosem. – Podobnie jak kruki niebieskie przyniosły stawę prorokowi Eliaszowi, gdy znalazł się sam w pustyni, tak i ci podróżnicy przybyli nam na pomoc ze świętą siłą. Ziemskimi środkami umielibyśmy odpędzić ten ból jedynie na małą chwilę, gdyż jak tylko nasz pan król w niecierpliwości swojej otworzył usta, ból powracał natychmiast. Tak było przez calušką noc. Teraz jednak wyleczenie jest pewne. Obmyj, bracie Mateuszu, dzwon święconą wodą! Wydaje mi się, że najlepiej będzie położyć go na boku i zmyć ścianę wewnętrzną, na zewnętrznej bowiem nie widzę tego pyłu, który jest nam potrzebny. Ja zaś tymczasem przygotuję i zmieszam resztę.

Przewrócono dzwon i brat Mateusz omył jego wnętrze gałgankiem umoczoną w święconej wodzie, który potem wykręcił do sucha nad czarką. Wewnątrz dzwonu nazbierało się sporo starego pyłu, tak że woda wyciśnięta z gałganka była czarna, z czego bardzo się cieszył brat Mateusz. Tymczasem zaś braciszek Willibald zaczął krzątać się koło swoich leków, które trzymał w wielkim skórzanym puzdrze. Przez cały czas mówił przy tym pouczająco do wszystkich obecnych, którzy chcieli go słuchać:

– Stara gregoriańska recepta jest w takich jak ten wypadkach najlepsza – prosta i bez żadnych tajemnic. Sok z tarniny, żółć świńska, saletra i krew wołowa, szczypta chrzanu i kilka kropel jałowcowego olejku. Wszystko to mieszać z taką ilością święconej wody, w jakiej obmyto świętą relikwię. Trzymać w ustach przez czas potrzebny na odmówienie trzech wierszy psalmu. Powtórzyć to trzy razy. Taki jest najpewniejszy środek na ból zęba, jaki zna sztuka lekarska. Gdy relikwia jest dostatecznie silna, lek ten nie zawodzi nigdy. Apulijscy lekarze starego cesarza Ottona brali chętnie krew żabią zamiast wołowej, teraz jednak zarzucono te pomysły. I dobrze, gdyż w zimie trudno jest dostać żabiej krwi. Wyjął ze swojej skrzynki parę małych metalowych flaszeczek, odkorkował je i powąchał. Potem potrzęsnał głową i posłał sługę do kuchni po świeżą krew wołową i po świńską żółć.

– Bo tylko najlepsze rzeczy są skuteczne w takim jak ten wypadku – mówił. – I nawet jeśli relikwia jest najsilniejsza, powinno się poświęcać wielką troskę także i dodatkom.

Minęła chwila i wyglądało, że król Harald mniej już się lęka swego bólu. Zatrzymał wzrok na Ormie i Toke i zdawał się dziwować widokowi przybyszów w cudzoziemskich strojach wojennych. Mieli bowiem na sobie czerwone płaszcze i nosili cyzelowane tarcze Almanzora, a hełmy ich miały ochronę na nosy i zachodziły im głęboko na kark i policzki. Harald dał znak, aby podeszli bliżej.

– Czyimi ludźmi jesteście? – zapytał.

– Twoi woje jesteśmy, panie królu – odparłOrm – ale przybywamy z Andaluzji. Służyliśmy tam Almanzorowi z Kordoby, potężnemu panu, dopóki nie weszła pomiędzy nas krew. Hövdingiem naszym był zrazu Kruk z Listeru i z nim to wyruszyliśmy na wyprawę w trzy łodzie. Ale on już nie żyje i wielu innych także, ja zaś jestemOrm, syn Toste, z Kullen w Skanii, hövding tych, którzy pozostali przy życiu. Przybyliśmy tu z dzwonem, sądząc, że dobry to będzie dar dla ciebie, panie królu, bo dowiedzieliśmy się, że dałeś się ochrzcić. Nic mi nie wiadomo, czy ma on jakąś moc przy bólu zębów, ale na morzu był nam dobrą pomocą. A jest to największy dzwon z grobu świętego Jakuba w Asturii, gdzie znajduje się wiele osobliwości, dokąd dotarliśmy z panem naszym, Almanzorem, który uznał go za wielki skarb.

Król Harald skinął głową bez słowa, lecz jedna z młodych kobiet siedzących w kucki u jego stóp odwróciła głowę, podniosła oczy na Orma i Toke i rzekła bardzo szybko po arabsku:

– Na Allacha Miłosiernego i Litościwego! Azaliście mężami Almanzora?

Obaj spojrzeli na nią zdumieni, że słyszą tę mowę na dworze króla Harald. Kobieta była piękna i miała wielkie, brązowe oczy osadzone szeroko w bladej twarzy. Czarne włosy spływały jej dwoma długimi warkoczami ze skroni. Toke nigdy nie zdążył stać się bardzo wymowny po arabsku, teraz jednak od tak dawna już nie rozmawiał z kobietą, że odpowiedź jego nie kazała długo na siebie czekać.

– Musisz być z Andaluzji. Tam widziałem kobiety podobne do ciebie, choć niewiele tylko mogło dorównać ci pięknocią.

Uśmiechnęła się doń przelotnie, pokazując białe zęby, natychmiast jednak znowu przybrała strapioną minę.

– Przecież widzisz, o obcy, który mówisz moim językiem, co mi przyniosła moja uroda – odezwała się miękkiem głosem. – Oto siedzę tutaj, ja, Andaluzyjka z plemienia Kelbitów, jako niewolnica wśród pogan z najgęstszego mroku, bezwstydnie nieosłonięta welonem, i rozcieram stare, zgrzybiałe stopy tego Sinozębego. W kraju tym nie ma nic prócz ciemności i zimna, kożuchów i wszy, a jadlo dają takie, że psy w Sewilli by go nie chciały. Zaiste jedynie u Allacha szukam ucieczki od tego, co mi przyniosła moja pięknocią.

– Wydaje mi się, że to zajęcie, które wykonujesz obecnie, jest ciebie niegodne – rzekł przyjaźnie Toke. – Powinnaś chyba znaleźć mężczyznę, który zapragnie od ciebie czegoś innego niż rozcierania stóp.

Znów uśmiechnęła się doń słonecznie, choć dopiero co w oczach jej szklily się łzy. Ale teraz poruszył się król Harald i odezwał się ze złością:

– Kim jesteś, ty, co pozwalasz sobie rozmawiać z moimi kobietami językiem kruków?

– Jestem Toke, syn Graagulle z Listeru – odparł Toke – i wszystko, co posiadam, to miecz i ślina w gębie. A mówiąc z tą kobietą nie zamierzałem ci okazać żadnej obrazy, panie królu. Pytała mnie o dzwon i odpowiedziałem jej, a ona rzekła, iż uważa to za równie dobry dar dla ciebie, jakim była ona sama, i że przyniesie ci dużo pożytku.

Król Harald otworzył usta do odpowiedzi, ale w tej samej chwili twarz mu pociemniała, wydał głośny okrzyk i rzucił się w tył na pierzyny tak, że obie młode kobiety u jego stóp przewróciły się na podłogę. Uczuł bowiem znowu ostry, ćmiący ból w chorym zębie.

W komorze wybuchł popłoch i ci, co stali najbliżej łoża, odsunęli się w tył, aby uniknąć królewskiego gniewu. Ale braciszek Willibald skończył już przygotowywać swoją miksturę, podszedł więc śmiało naprzód z ożywioną miną i zachęcającymi słowy.

– Nuże, panie królu! Nuże, panie królu – napominał robiąc znak krzyża najpierw nad królem, a potem nad czarką z miksturą, którą trzymał w drugiej ręce. Po czym wziął małą, rogową łyżkę i ciągnął dalej uroczystym głosem:

Žre, pali, kluje
W ustach i brodzie.
Ulgi spróbuje
W kojącej wodzie
I wnet poczujesz,
Že ból przechodzi.

Król gapił się na niego i na czarkę, prychnął ze złością, potrząsał głową i jęczał, potem zaś zrobił w swym bólu gest odtrącający i wykrzyknął potężnym głosem:

– Precz, klecho! Precz z twoim zażegnywaniem i z twoją lurą! Hallbjörn, Arnkel, Grim! Nuże do toporów, rozdusić mi tego wszarza!

Ale jego ludzie, którzy często go takim słyszeli, nic sobie nie robili z tych nawoływań, a braciszek Willibald nie dał się przestraszyć i ciągnął podniosłym głosem:

– Miej cierpliwość, panie królu, usiądź i weź to do ust. Tylko trzy łyżeczki, panie, i nie potrzebujesz nawet łykać. Obficie w tym siły świętej i wszystkich innych potrzebnych dodatków. Śpiewaj, bracie Mateuszu!

Brat Mateusz, który z wielkim krucyfiksem w ręku trzymał się za braciszkiem Willibaldem, zaintonował świętą pieśń:

Solve vincla reis
projer lumen caecis,
mala nostra pelle
bona cuncta posce^{*}.

^{*} Łacińska pieśń kościelna:

Rozwiąż winnym pęta, Ślepym przywróć światło, Zło odegnaj od nas, Dóbr wszelakich żądaj.

Śpiew ten zdawał się ujarzmiac króla Haralda, który cierpliwie pozwolił podnieść się i usadowić. Braciszek Willibald wsunął mu zręcznie między wargi łyżkę mikstury i zaczął natychmiast wtórować bratu Mateuszowi, podczas gdy zebrani w komorze przyglądali się tej scenie z wielkim napięciem. Król zsiniał na twarzy od mocy lekarstwa, lecz mimo to trzymał usta zamknięte i wypluł posłusznie to, co mu dano, dopiero po odśpiewaniu trzech wierszy, a braciszek Willibald nie przerywając śpiewu podał mu zaraz nową dawkę.

Wszyscy, którzy się temu przypatrywali, byli potem zgodni co do tego, że w krótką tylko chwilę po wlaniu w usta króla drugiej łyżki lekarstwa, zanim jeszcze księża zdążyli odśpiewać jeden cały wiersz psalmu, król zamknął nagle oczy i zeszywniał, potem zaś znowu je otworzył, wypluł trzymany w ustach płyn, głęboko westchnął i zawołał o piwo. Braciszek Willibald przerwał natychmiast śpiewanie i żywo pochylił się ku niemu.

– Czy lepiej ci, panie? Czy ból ustąpił? – spytał.

– Ustąpił – rzekł król i znowu splunął. – Twoja mikstura była kwaśna, ale pomogła.

Braciszek Willibald ze szczęściem w oczach wyciągnął ramiona ku niebu.

– Hosanna! – zawołał. – Dokonało się! Święty Jakub z Hiszpanii nas nie opuścił. Chwal Boga, panie królu, bo idą lepsze czasy. Ból zęba nie będzie ci już dłużej zamraczał umysłu ani wywoływał bojaźni w piersiach twoich sług.

Król Harald skinął głową i odsunął na bok zwisający mu z wargi kosmyk brody. Potem uchwycił oburącz spory garniec przyniesiony przez dworskiego pachołka i przechylił go do ust. Zrazu pił ostrożnymi łykami, bojąc się, aby ból nie zaczął się na nowo, potem jednak z coraz większym zaufaniem, dopóki nie opróżnił dzbana do dna. A wypiwszy, natychmiast kazał go napełnić na nowo i wręczył Ormowi ze słowami:

– Witajcie! I dziękuję za pomoc!

Orm przyjął wręczony dzban i napił się. Było to najlepsze piwo, jakiego kiedykolwiek kosztował, mocne i smakowite, takie, na jakie może sobie pozwolić tylko król, Orm pił więc chciwie. Toke zaś przyglądał się temu i wzdychał, aż w końcu rzekł:

*Gość z daleka ma, do bólu,
Język suchy, gardło suche,
Mądry i potężny królu.
Każ dzban jeden dać i Toke.*

– Jeśliś skaldem, dostaniesz piwa – odparł król Harald – ale musisz snuć wiersz przy napitku.

Napełniono dzban dla Toke, a ten przyłożył go do ust i pił przechylając głowę coraz bardziej w tył. A zebrani w królewskiej komorze zgodnego byli zdania, że niewiele tylko dzbanów piwa wychylono szybciej niż właśnie ten. Ocierając pianę z brody, Toke zastanowił się przez chwilę, a potem rzekł mocniejszym niż przedtem głosem:

*Wiele już zniosłem bez piwa,
W walce, nad wiosłem bez piwa,
Cześć, synu Gorma, boś miłościwie
Nie męczył mnie postem bez piwa.*

Wiersz spodobał się zebrany w komorze, a król Harald rzekł: – Zaczyna braknąć skaldów, a już wcale nie widzi się dziś takich, którzy potrafią złożyć wiersz bez długiego namysłu.

IX.

O TYM, JAK OBCHODZONO JUL* U KRÓLA HARALDA SINOZĘBEGO

Do Jellinge przybyli z różnych stron wielmoże, aby święcić gody zimowe u króla Haralda, i ciasno zrobiło się zarówno w sypialnych komorach, jak i przy stołach. Ale Orm i jego ludzie nie skarżyli się na tłok, gdyż dzięki temu otworzył im się dobry zbył na niewolników, których z sobą przywieźli, tak że posprzedawali ich wszystkich, jeszcze nim nastały święta. Po podzieleniu przez Orma sum uzyskanych ze sprzedaży wszyscy jego ludzie poczuli się bogaczami i bardzo byli zadowoleni. Tęsknili teraz do Lister, aby pokazać, co zdobyli, i dowiedzieć się, czy obie łodzie Berse zdołały dotrzeć do domu, czy też z całej wyprawy Kruka oni tylko jedni ocaleli. Ale przez święta pozostali chętnie w Jellinge. Albowiem spędzenie świąt u stołu króla Dunów było dużym zaszczytem, który na zawsze dawał wielkie poważanie temu, kto go dostąpił.

Najdostojniejszy z gości, syn króla Haralda, król Sven Widłobrody, przybył z wielkim orszakiem z Hedeby. Jak wszystkie dzieci króla Haralda, był to bastard i stosunki między nim a ojcem układały się kiepsko, tak że obaj najchętniej unikali wzajemnego widywania się. Na Jul jednak zwykł był król Sven zawsze przyjeżdżać do Jellinge i wszyscy dobrze wiedzieli, dlaczego to robi. W święta bowiem, kiedy w bród było jedzenia, a i trunki pito najmocniejsze, często się zdarzało, że starsi ludzie umierali szybko i gwałtownie w łóżu albo i przy biesiadnym stole. Tak było ze starym królem Gormem, któremu odjęło mowę, gdy przejadł się świąteczną wieprzowiną, i który w dwa dni potem zmarł. Król Sven pragnął więc być na miejscu, gdzie znajdowały się skrzynie ze skarbami, w chwili gdy odejdzie jego ojciec. Wiele razy jednak przyjeżdżał już na Jul na próżno i niecierpliwość jego stawała się z roku na rok coraz większa. Jego drużyna składała się z ogromnych wojaków, butnych i zadzierzystych, którym trudno przychodziło żyć w zgodzie z domownikami króla Haralda. A jeszcze gorzej zrobiło się z tym obecnie, od czasu gdy Harald i wraz z nim wielu z jego ludzi przeszło na chrześcijaństwo. Król Sven bowiem trzymał się starej wiary i gniewnie wyśmiewał nawrócenie się ojca, mówiąc, że Dunowie uniknęłyby całej tej szopy, gdyby stary miał tyle rozumu, aby w czas umrzeć.

* Jul – święta Bożego Narodzenia.

Nie mówił jednak tego głośno w czasie pobytu w Jellinge, ponieważ król Harald łatwo wpadał w pasję i stawał się wtedy groźny dla otoczenia. Ojciec i syn nie mieli sobie na ogół dużo do powiedzenia po przywitaniu się, a i w halli biesiadnej nie przypijali do siebie ze swych podwyższonych miejsc więcej, niż to było konieczne.

W przeddzień świąt szalała śnieżycą, potem jednak uspokoiło się i wziął mróz. W sam zaś dzień Bożego Narodzenia, gdy księża śpiewali świąteczną mszę, a dworzyszcze królewskie leżało otulone w smakowitą parę zapachów dolatujących z kuchennych przygotowań, z południa nadpłynęła wielka łódź bojowa i podeszła do mostków przystani z porwanym przez sztorm żaglem i oblodzonymi wiosłami. Król Harald drzemał na mszy i zbudziła go wiadomość o tym. Ciekaw, co to mogą być za goście, wyszedł na krużganek, aby zobaczyć statek. Była to łódź o wysokich burtach, a czerwona głowa smoka na dziobie tkwiła wysoko na krzywej szyi z soplami lodu zwisającymi z zaciśniętych szczęk po ciężkiej przeprawie na wzburzonym morzu. Widać było, jak ludzie z lodową skorupą na odzieży schodzą na ląd, wśród nich zaś wyróżniał się rosły hövding w niebieskim płaszczu i drugi w czerwonym, który wzrostem prawie nie ustępował pierwszemu.

Król Harald przyglądał się temu wszystkiemu, o ile dało się coś rozróżnić z oddali, i mówił:

– To wygląda na okręt z Jomsborga albo ze swijskich stron. Mężni na nim pływają ludzie, bo przybywają do króla Dunów w pojedynkę, nie wywiesiwszy nawet tarczy pokoju. Trzech tylko znam, którzy odważyliby się na to, a są nimi Skoglar-Toste, Vagn Aakesson i Styrbjörn. Okręt wpłynął do przystani nie zdejmując głowy smoka, choć wiadomo, że szczury lądowe nie lubią tego widoku. A dwóch tylko znam takich, którzy nie dbają o to, co się nie podoba szczurom lądowym – Vagna i Styrbjörna. I widać też po łodzi, że nie szukała zacisza przed burzą, jednego zaś tylko znam, co się nie ulęknie pogody takiej jak dziś w nocy. Dlatego sądzę, że to mój zięć Styrbjörn, którego nie widziałem od czterech lat. I to się może zgadzać z niebieskim płaszczem, bo postanowił nosić takowy, dopóki nie odzyska od króla Eryka swego dziedzictwa po ojcu. Kim jest ten drugi, prawie tak rosły jak on, tego nie mogę powiedzieć całkiem na pewno. Ale synowie Strutharalda są wszyscy trzej rośniejsi od innych i są też przyjaciółmi Styrbjörna. Nie może to być jarl Sigvald, ponieważ nie czuje się on teraz dobrze na ucztach świątecznych z powodu pośmiewiska, jakie ściągnął na siebie uciekając spod Hjörungavaag. Hemming zaś, brat jego, siedzi w Anglii. Trzecim jednak jest Thorkel Wysoki i to może być on.

Tak mówił król Harald, którego mądrość była wielka. A kiedy przybysze podeszli bliżej do królewskiego dworzyszcza i okazało się, że król miał słuszność, ożywił się bardziej niż

kiedykolwiek przedtem od czasu przybycia króla Svena. Powitał Styrbjörna i Thorkela, polecił natychmiast napalić dla nich w łaźni oraz kazał podać wszystkim grzanego piwa.

– Bo nawet najwięksi woje mogą tego potrzebować po takiej przeprawie – rzekł. – I prawdą jest, co mówią, starzy, że:

*Grzane piwo dla mężów w mróz setny,
Grzane piwo, gdy zmęczenia pora,
Grzane piwo druh ciała szlachetny
I umysłu piąta klepka i podpora.*

Niektórzy z ludzi Styrbjörna byli tak zmordowani podróżą, że z wyczerpania drżał im każdy mięsień. Kiedy jednak wręczono im dzbany z grzanym piwem, natychmiast nabrali pewności dłoni, tak że nie uronili nawet kropli.

– A kiedy już wyjdziecie z łaźni i trochę odpoczniecie, zaczniemy święcić Jul – mówił król Harald. – Większą mam teraz na to ochotę, niż gdybym miał patrzeć poprzez stół tylko na swego syna.

– Czyżby Widłobrody był tutaj? – spytał Styrbjörn rozglądając się dokoła. – Chętnie porozmawiałbym z nim.

– Żyje nadzieją, że umrę z przepicia piwem, i dlatego tu siedzi – odparł król Harald. – Ja jednak sądzę, że jeśli już kiedyś zemrę przy świątecznej biesiadzie, to głównie ze znużenia jego złowieszczymi minami. Przyjdzie czas i na waszą rozmowę, ale jedno chcę wiedzieć. Jestli krew między tobą a nim?

– Krwi między nami nie ma, ale łatwo być może. Obiecał mi pomoc w ludziach i statkach przeciw memu krewniakowi z Uppsali, a nikogo nie przysłał.

– Takie obowiązuje u mnie obecnie prawo – rzekł na to król Harald – że w okresie świąt nie wolno występować z żadnym sporem. Chcę też, abyś natychmiast przyjął to do wiadomości, choćby nawet zachowanie spokoju przychodziło ci z trudnością. Bo trzymam się teraz Chrystusa, który wiele mi pomógł, a Chrystus nie cierpi żadnych waśni w święto Jul, które jest dniem jego urodzenia, ani też w święte dni, które idą zaraz potem.

– Jestem człkiem bez ziemi – rzekł Styrbjörn – i nie bardzo mogę sobie pozwolić na pokojowość. Tak się bowiem ze mną ma sprawa, że wolę być krukiem niż tym, kogo dziobią kruki. Kiedy jednak znajduję się w gościnie u ciebie, myślę, że potrafię dotrzymać spokoju równie dobrze jak ktokolwiek inny, bez względu na to, na cześć jakich bogów jest uroczystość. Byłeś bowiem dla mnie dobrym teściem i nigdy nie miałem z tobą sporu. A teraz

muszę ci powiedzieć, że twoja córka, Tyra, nie żyje i że wolałbym doprawdy lepsze przynieść ci nowiny.

– Żałobna to wiadomość – odrzekł król Harald. – A na co zmarła?

– Pomarkotniała, gdy wzięłam sobie wenedyjską nałożnicę – odparł Styrbjörn – i wpadła w taki gniew, że aż pluła krwią. Potem zaś zaczęła gasnąć, aż i zmarła. Poza tym jednak była to dobra żona.

– Już od dawna zauważyłem, że młodzi ludzie umierają łatwiej niż starzy – rzekł król Harald. – Ale nie pozwólmy, aby nas to zbyt gnębiło, gdy przed nami Jul. Wciąż jeszcze mam wiele córek, z którymi nie wiadomo, co począć. Wszystkie zadzierają nosa i chcą poślubić tylko mężów wysokiego rodu i o wielkiej sławie. Tak że nie potrzebujesz długo siedzieć jako wdowiec, jeśli któraś z nich przypadnie ci do gustu. Zobaczysz je i może z tego powodu nie będzie wśród nich spokoju w czasie tych świąt. – Co innego mam teraz w głowie niż małżeństwo – odparł Styrbjörn. – Ale możemy o tym pomówić później.

Wiele spojrzeń szło za Styrbjörnem zza uchylonych drzwi i z ganków, gdy kroczył ze swymi ludźmi do łaźni. Gość to bowiem był rzadki i niezwykle, największy na całej Północy wojownik od czasów synów Lodbroka. Miał jasną, krótko przyszyroną brodę i bładoniebieskie oczy. A ci, co go jeszcze dotąd nie widzieli, po cichu wymieniali między sobą zdziwione uwagi, znajdując go mężem smukłym i zgrabnym. Wszyscy bowiem wiedzieli, że obdarzony był taką siłą, iż swoim mieczem, który zwał Kołysanką, rozłupywał tarcze, jakby były bochnami chleba, i rozcinał mężów w bojowym rynsztunku od szyi do pasa. Ludzie świątli mówili, że siedzi w nim stare szczęście rodu uppsalskiego i że to ono właśnie daje mu siłę i powodzenie we wszystkich śmiałych poczynaniach. Ale było też powszechnie wiadomo, że przypadło mu w udziale także coś z ciężącego nad tym rodem przekleństwa i dawnego nieszczęśliwego losu. Dlatego właśnie był hövdingiem bez ziemi i stąd też zdarzało się, że niekiedy opadało go zmęczenie i wielka tęsknica. Zwykł był wtedy zamykać się na osobności i leżeć samotnie przez szereg dni, wzdychając i mrużąc niejasne słowa i nie znosząc w pobliżu siebie nikogo prócz kobiety, która cesała mu włosy, oraz starego harfiarza, który lał mu w dzban piwo i śpiewał smętne pieśni. Gdy tylko jednak odchodziła od niego ponurość, śpieszno mu było zawsze znowu wyruszać na morze i na wojenne wyprawy. I potrafił wtedy nawet najtwardszych swoich ludzi doprowadzić do zmęczenia i strachu szaleńczą odwagą i brakiem szczęścia do pomyślnej pogody.

Toteż otaczał go postrach większy niż ten, który wzbudzali inni hövdingowie, jak gdyby żyło w nim coś z groźnej mocy samych bogów. A niektórzy wierzyli, że kiedyś uda się on

przecie w całej pełni swej siły do Miklagrodu^{*}, obwoła się tam cesarzem i będzie żeglował po całym ziemskim kręgu z olbrzymimi flotami. Inni jednak mówili, że z oczu patrzy mu śmierć rychła, i to w nieszczęściu.

Wszystko było już gotowe do świątecznej biesiady, w wielkiej halli króla Haralda, gdzie zasiedli mężczyźni. Niewiasty nie brały udziału w tak wielkiej pijatyce, gdyż zdaniem króla Haralda dostatecznie trudno było zachować spokój między mężczyznami, nawet gdy ucztowali sami, a byłoby jeszcze o wiele trudniej, gdyby podchmieleni mieli przy sobie kobiety, przed którymi chcieliby popisywać się zuchowatością. Gdy wszyscy zajęli już miejsca, królewski koniuszy obwieścił donośnym głosem, że w halli panuje mir Chrystusa i króla Haralda i że nie wolno używać innego ostrego żelaza jak tylko do krajania jadła. Rany zaś cięte i klute i wszelkie inne krwawe obrażenia, które jeden zadałby drugiemu łagwią od piwa czy też kością po mięsiwie, drewnianym talerzem, łyżką czy też kułakiem, liczyć się będą za pełne zabójstwo, za nieposzanowanie Chrystusa i za zbrodnię nie dającą się zmyć grzywną, a winnemu przywiązany zostanie kamień do szyi, po czym utopi się go w głębokiej wodzie. Całą broń z wyjątkiem noży do jadła złożono w przedsionkach i tylko wysoko postawieni, którzy siedzieli przy stole samego króla Haralda, mieli swe miecze przy boku. Uważano, że potrafią utrzymać się w ryzach nawet po pijanemu.

Halla była tak zbudowana, aby mogła pomieścić bez tłoku ponad siedmuset biesiadników. Pośrodku stał stół króla Haralda, przy którym siedziało trzydziestu najbardziej dostojnych gości. Stoły dla innych ustawiono w poprzek po obu końcach halli. Przy królewskim stole sześć było miejsc podwyższonych, po trzy po każdej stronie. Po prawicy króla Haralda siedział Styrbjörn, po lewicy zaś biskup Poppon. Naprzeciwko zajmował miejsce król Sven, który na prawo od siebie miał Thorkela Wysokiego, a po lewej starego, rumianego i łysego jarła z Wysp Małych, imieniem Sibbe. Potem siedzieli inni według znaczenia, bo przy stole tym sam król Harald wyznaczył każdemu miejsce. Orm nie mógł się zaliczać do wielkich hövdingów, dostał jednak, a wraz z nim i Toke, miejsce lepsze, niż się spodziewali, ponieważ król Harald był im wdzięczny za wielki dzwon i lubił kunszt rymowania Toke. Orm siedział trzeci od biskupa, a Toke czwarty, gdyż Orm rzekł królowi Haraldowi, że niechętnie się z nim rozstaje, ponieważ Toke może stać się uciążliwy po piwie. Naprzeciw nich zajmowali za stołem miejsca hövdingowie z drużyny króla Svena.

Biskup odmówił modlitwę, przy czym król Harald prosił, aby trwało to możliwie krótko, a potem wypito trzy puchary na cześć Chrystusa, na powodzenie króla Haralda i na powrót

^{*} Miklagród – Konstantynopol.

słońca. Także i niechrześcijanie wypróżnili puchary na cześć Chrystusa, ponieważ było to pierwsze zdrowie, a ich dręczyło pragnienie piwa. Niektórzy z nich jednak robili nad dzbanem znak młota i mruczeli przed wypiciem imię Thora. Gdy pito na powodzenie króla Haralda, król Sven zakrzuszył się piwem i kaszłał tak, że aż Styrbjörn zapytał go, czy łyk ten był dla niego za mocny.

Wniesiono świąteczną wieprzowinę i woje oraz hövdingowie zamilkli na ten widok i wciągnęli głęboki oddech, szczerząc z radości zęby. Wielu z nich rozluźniło pasy, aby od samego początku być w pełnej gotowości. Bo choć zdarzali się ludzie, którzy utrzymywali, że u króla Haralda daje się na starość zauważyć pewne skąpstwo, co się tyczy srebra i złota, to jednak nikt nigdy nie zarzucał mu tego, jeśli chodzi o jedzenie i picie, a już najmniej ci, którzy ucztowali kiedyś u niego na Jul.

Czterdzieści osiem dobrze utuczonych świń kazał król Harald zazwyczaj bić na Jul, przy czym mawiał, że jeśli nawet nie wystarcza tego na całe święta, to jednak zawsze starczy na dobry kęs dla każdego, po czym trzeba się już zadowolić baraniną i wołowiną. Długim sznurem weszli parami kuchenni pacholankowie niosący między sobą wielkie, dymiące kotły. Inni znów dźwigali koryta z krwawą kiszka. Obok szli kucharze z długimi widełkami. Wtykali je w zawartość kotłów, które ustawiono obok stołów, wyławiając z sosu wielkie kawały mięsa i kładąc na stół przed gośćmi, po kolei i porządku tak, aby nikt nie czuł się pokrzywdzony. Każdy dostawał też dobry łokieć krwawej kiszki albo i więcej, jeśli sobie tego życzył. Placki chleba i góry pieczonej rzepy leżały w glinianych misach na stołach, a beczki piwa ustawiono przy ich końcach, tak że rogi i dzbany zawsze były napełnione.

Gdy wieprzowina dostała się do Orma i Toke, ci siedzieli nieporuszenie, zwróceniem twarzami ku kotłowi, bacznie śledząc, jak kuchcik łowi w sosie widełkami. I westchnęli z ulgą, gdy wyłowił dla nich ładne kawałki od przednich łopatek. Przypominali też sobie nawzajem, ile czasu już upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni siedzieli przy podobnym daniu, i dziwili się, że przez tyle lat potrafili wytrzymać w kraju, gdzie nie znano wieprzowiny. Kiedy zaś na stół przyszła krwawa kiszka, obu stanęły łzy w oczach i zdawało im się, że od czasu kiedy odpłynęli z Krukiem na wyprawę, nigdy nie dostali nic porządnego do jedzenia.

– To najlepsza woń, jaką znam – rzekł cicho Orm.

– W tym jest macierzanka – dodał Toke łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Wetknął kiszkę do ust, jak tylko mógł najgłębiej, odkąsił spory kawał i zaczął gryźć. Potem odwrócił się szybko znowu, chwycił za ramię kuchcika, który chciał już odchodzić ze swym korytem, i trzymając go za koszulę, rzekł:

– Daj mi od razu więcej kiszki, jeśli nie będzie to wbrew zakazom króla Haralda. Bo długo źle mi się wiodło w kraju Andaluzyjczyków, gdzie nie ma wcale jadła dla mężów, i dziś mija siedem lat, od kiedy tęsknię za świąteczną kiszka, a nie było mi dane jej posmakować.

– I ze mną jest tak samo – dodał Orm.

Sługa zaśmiał się i odparł, że u króla Haralda starczy kiszki dla wszystkich. Po czym dodał im po kawale najgrubszego gatunku, tak że poczuli się spokojni i zabrali się poważnie do jedzenia. Przez dobrą chwilę nie mówiono teraz dużo ani przy stole królewskim, ani przy innych, gdyż biesiadnicy odzywali się tylko, aby zażądać więcej piwa lub chwalić, między kęsami, królewski poczęstunek.

Po prawicy Orma siedział młodzieniec, który krajał mięsivo nożem o rękojeści cyzelowanej w srebrze. Był jasnolicy i nosił długie i piękne włosy, rozczesane niezbyt starannie. Należał do drużyny Thorkela Wysokiego i widać było wyraźnie, że pochodzi z dobrego rodu, skoro, mimo że jeszcze gołowąs, siedział tak wysoko przy królewskim stole. Widać to było także po jego pięknej odzieży i po srebrnym pasie, do którego przypięty był miecz. Gdy zaspokoili już pierwszy głód, zwrócił on się do Orma i rzekł:

– Przy uczcie dobrze jest siedzieć z mężami, którzy daleko podróżowali. A zdaje mi się, że słyszałem, iż ty i twój sąsiad dotarliście dalej niż wielu innych.

Orm odpowiedział, że istotnie tak było i że on oraz Toke przebywali przez siedem lat w Hiszpanii.

– Bo z wielu różnych przyczyn podróż nasza przeciągnęła się dłużej, niż się spodziewaliśmy. A wyruszyło w nią wielu, którzy nigdy już nie wrócą.

– Macie w takim razie dużo do opowiadania – mówił tamten. – Jakkolwiek nie byłem tak daleko jak wy, i ja także wziąłem udział w podróży, z której tylko niewielu wróciło do domu.

Orm zapytał go, kim jest i o jakiej podróży mówi.

– Pochodzę z Bornholmu – rzekł młodzieniec – i nazywam się Sigurd, a ojcem moim był Bue Digr. Możeś o nim słyszał, choć długo żyłeś w obcych krajach. Brałem udział w wyprawie do Hjorungavaag, gdzie Bue padł, a ja dostałem się do niewoli wespół z Vagnem i innymi. I nie siedziałbym dzisiaj tutaj, i nie rozmawiał z tobą, gdyby nie moje długie włosy. To one bowiem uratowały mi życie, kiedy miano jeńców uśmiercić.

Coraz więcej biesiadników zaczynało odczuwać sytość i nabierać ochoty do rozmowy. Wmieszał się do niej i Toke, przyznając, że słowa Bornholmczyka brzmią dziwnie i ciekawie, musi to więc być dobre opowiadanie. Sam on bowiem zawsze dotąd uważał, że długie włosy przynoszą wojownikowi więcej szkody niż pożytku. Thorkel Wysoki dłuubał w zębach

w dworski sposób, który zaczął właśnie wchodzić w użycie wśród bywałych w świecie wielmożów. Robił to tak, że zwróciwszy się bokiem do stołu, osłaniał usta jedną dłonią. Usłyszawszy, o czym mówiono, zauważył, że długie włosy niejedną już raz przyniosły wojom nieszczęście i rozsądni mężowie podwiązują je dlatego pod hełmem. Ale z opowiadania Sigurda Buessona – dodał – można się nauczyć, że długie włosy przynoszą czasem korzyść mądrym mężowi, toteż ma nadzieję, iż wszyscy w halli posłuchają tego opowiadania.

Król Sven też się rozochocił, jakkolwiek zrazu siedział mroczny, zahaczywszy przy stole Styrbjörna. Przechylony w tył na swoim podwyższeniu, ogryzał świńską nogę, wypluwając kości na słomę rozścieloną na podłodze i przyglądając się przy tym z zadowoleniem, jak król Harald, który rozmawiał ze Styrbjörnem o kobietach, wciąż jeszcze je i pije więcej niż ktokolwiek inny. Usłyszawszy, co mówiono o długich włosach, Sven zabrał głos, mówiąc, iż mądry wojownik musi także myśleć o swojej brodzie. Bo przy walce w wietrzną pogodę broda łatwo może przysłonić oczy właśnie w chwili, gdy się trzeba wystrzegać miecza czy oszczepu. I dlatego – ciągnął dalej – on sam właśnie przyjął za zwyczaj nosić zawsze w boju brodę splecioną w warkoczyki. Teraz jednak chętnie posłucha, jaką to korzyść miał Sigurd, syn Bue, ze swych włosów. Albowiem mężowie, którzy byli na wyprawie do Hjorungavaag, mają zwykle dużo do opowiadania.

Biskup Poppon nie dał rady zjeść wszystkiego, co przed nim postawiono, i siedział porając się z czkawką po piwie. Ale i on nabrał ochoty do zabrania głosu. Oświadczył, że chętnie by opowiedział o synu królewskim Absalomie, który popadł w nieszczęście z powodu długich włosów. Jest to – jak mówił – ciekawa i pouczająca historia, opisana w Piśmie Świętym. Ale król Sven odparował natychmiast, że coś takiego może opowiadać kobietom i dzieciom, jeśli zechcą go słuchać. Na ten temat doszło między nim a biskupem do sprzeczki, aż w końcu zabrał głos król Harald, który rozsądził:

– Dla wielu znajdzie się czas na opowiadania przy biesiadzie, która tak jak ta świąteczna uczta trwać będzie przez sześć dni. I mało jest rzeczy lepszych od słuchania dobrych opowieści, gdy się jest do syta najedzonym i ma przed sobą dzban z piwem. W ten bowiem sposób czas biegnie szybciej między posiłkami i mniej bywa kłótni przy stole. A muszę też powiedzieć na pochwałę biskupa, że zna on dobre gadki, sam bowiem słuchałem z zadowoleniem wielu z nich o świętych i apostołach jak i o dawnych królach ze Wschodu. Opowiadał mi dużo o królu zwanym Salomonem, który był kochany przez Boga i podobny we wszystkim do mnie, choć pono miał więcej ode mnie kobiet. I uważam, że biskupowi powinno się dać pierwszy głos, zanim zmęczy się jedzeniem i piwem. Przy świątecznej bowiem pijatyce nie czuje się on tak dobrze jak my, ponieważ nie zdążył się do tego w czas

przyzwyczajaić. Po nim zaś opowiadać będą inni, którzy byli w Hjorungavaag albo ze Styrbjörnem wyprawiali się na Wenedów albo gdzie indziej. A siedzą tu także mężowie, co zawędrowali aż do Hiszpanii i przyплыnęli stamtąd do mnie ze świętym dzwonem, który przyniósł mi wielki pożytek. Także i ich opowieści chętnie posłucham podczas trwania tej uczty.

Wszyscy byli zdania, że król Harald mówi mądrze, i stało się też tak, jak powiedział. I tego wieczoru, gdy do halli wniesiono pochodnie, opowiadał biskup Poppon o królu Dawidzie i jego synu Absalomie. Mówił głośno, tak że mogli go słyszeć nawet najdalej siedzący, a mówił bardzo mądrze. I wszystkim prócz króla Svena podobała się jego historia. A gdy biskup skończył, król Harald zauważył, że może warto by było, aby ten i ów zakarbował sobie dobrze w pamięci to opowiadanie. Styrbjörn zaś śmiał się i przypijał do króla Svena, przygadując:

– Dobrze by może było, abyś po tym, cośmy tu usłyszeli, obciął sobie włosy równie krótko jak biskup.

Królowi Haraldowi spodobało się to powiedzenie tak, że uderzył się po udzie i wybuchnął grzmiącym śmiechem, od którego aż zatrzęsła się ława na podwyższeniu. A gdy jego i Styrbjörna drużyna ujrzała, że ich panowie śmieją się, zawtórowali im wszyscy, nawet ci, którzy nic nie słyszeli, tak że grzmot śmiechu poniósł się po całej halli. Ale ludziom króla Svena nie poszło to w smak, a on sam aż pobielał z pasji, mrucał coś pod nosem, gryzł wąsa i wyglądał tak groźnie, jak gdyby gotów był zerwać się i wszcząć awanturę. A Styrbjörn siedział lekko pochylony naprzód i przyglądał mu się swymi wypłowiałymi, bladymi oczyma, bez zmrużenia powiek, i drwiąco się uśmiechał. W halli zapanował teraz wielki ruch i niepokój, tak że wyglądało, iż kiepsko będzie ze świętecznym mirem. Biskup rozkładał ręce i krzyczał coś, czego nikt nie słuchał, woje zaś, nie spuszczać z siebie oczu poprzez stoły, szukali po omacku jakiejś najbliższej leżącej broni. Lecz oba błazny króla Haralda, dwa irlandzkie karły, szeroko słynące ze swoich umiejętności, wskoczyły nagle na królewski stół, w pstrych kaftanach i z piórami we włosach i zaczęły wymachiwać długimi ramionami, puszyć się i górnio stąpać, wyciągając szyje i piejąc do siebie jak koguty tak udatnie, że nikt nigdy nie słyszał, by coś podobnego udało się jakiemuś prawdziwemu kogutowi. Zaraz też wszyscy zapomnieli o gniewie, zupełnie obezwładnieni śmiechem z ich sztuk i kawałów. I na tym skończył się pierwszy dzień świętecznej biesiady.

Następnego dnia, gdy już się najedli i do halli wniesiono pochodnie, opowiadał Sigurd Buesson o tym, co przeżył w Hjorungavaag, i o pożytku, jaki miał ze swoich długich włosów. Znali dobrze tę wyprawę wojenną i dobrze wiedzieli, jak to wikingowie z Jomsborga i ludzie

z Bornholmu i Skanii wypłynęli dużą flotą pod przywództwem Strutharalda i Bue Digra, i Vagna, syna Aake, aby odbić Norwegię od jarla Haakona. A niewielu tylko wróciło z tej próby. Sigurd nie rozwodził się też dużo nad tym, a już wcale nie wspominał nic o tym, jak Sigvald uciekł ze swymi okrętami, nie czekając na koniec bitwy. Źle bowiem byłoby wspominać o Sigvaldzie, gdy wśród słuchaczy siedział Thorkel Wysoki, jakkolwiek wszyscy wiedzieli, że Thorkel był mężnym wojem i że dostał w bitwie wielkim kamieniem w głowę, gdy walczące z sobą floty uderzyły na siebie, tak że nie był przy zmysłach, gdy brat jego uciekł z boju.

Sigurd pływał na łodzi ojca i trzymał się w opowiadaniu tylko tego, w czym sam brał udział. Opowiadał o śmierci ojca, o tym, jak Bue po ciężkiej walce, gdy na łodzi jego zrobiło się tłoczno od atakujących Norwegów, otrzymał cios mieczem w twarz, od którego stracił nos i prawie całą brodę, i jak wtedy dźwignął nad głową swą skrzynię ze skarbami i wyskoczył z nią za burtę. A także o tym, jak sternik Bue, Aslak Holmskalle, wpadł w berserkerską furię i bez hełmu i tarczy, co nieczęsto można zobaczyć w dzisiejszych czasach, runął na przeciwników, tnąc z obu rąk, nieczuły na żelazo, dopóki pewien islandzki skald z drużyny Eryka, syna jarla Haakona, nie podjął z dna statku kowadła i nie rozbił mu nim czaszki.

– My, którzy jeszcze pozostaliśmy przy życiu na łodzi mego ojca – ciągnął Sigurd – niewiele już mogliśmy zdziałać, była nas bowiem garstka i wszyscy bardzo utrudzeni. A i inne nasze łodzie też ogołoco z wyjątkiem okrętu Vagna, na którym jeszcze trwała walka. Stłoczono nas na dziobie, gdzie niebawem utworzył się taki ścisk, że nie można już nawet było ruszyć ręką ni nogą. W końcu zostało nas dziewięciu, samych rannych, i ścisnawszy między tarczami wzięto nas żywcem. Bez broni wyprowadzono nas na ląd, dokąd niebawem przybyły także niedobitki z łodzi Vagna, a wraz z nimi sam Vagn. Niosło go dwóch ludzi i znać było na nim ślady i miecza, i oszczepu. Był zmęczony i blady i nic nie mówił. Kazano nam usiąść na kłodzie leżącej na brzegu, po czym związano nam razem nogi długą liną, zostawiając tylko ręce wolne. I tak siedzieliśmy tam czekając, podczas gdy pytano się jarla Haakona, co z nami począć. Haakon rozkazał swoim natychmiast nas zabić i syn jego, jarl Eryk, przyszedł wraz z wielu innymi przyglądać się temu. Norwegowie byli bowiem ciekawi, jak zachowują się Jomswikingowie, gdy mają umrzeć. Było nas trzydziestu na owej kłodzie – dziewięciu z łodzi Bue, ośmiu z łodzi Vagna, a reszta z pozostałych. Sam Vagn siedział najdalej na prawo, o innych zaś, których znałem spośród tych, co tam siedzieli, zaraz opowiem.

Po czym wyliczył wszystkich, których imiona znał, w kolejności, w jakiej siedzieli na kłodzie. A zebrani słuchali uważnie, gdyż wielu z tych, których wymienił, było znanych i miało pośród słuchaczy krewniaków.

– Przyszedł teraz mąż z szerokim toporem – mówił dalej Sigurd Buesson – zatrzymał się przed Vagnem i spytał: „Czy ty wiesz, kim ja jestem?”. Vagn spojrział na niego, ale zachował całkowitą obojętność i nic nie odrzekł, gdyż bardzo był zmęczony. Wtedy tamten rzekł: „Jestem Thorkel Leira i może przypominasz sobie, żeś ślubował, iż mnie zabijesz i pójdziesz do łoża z córką moją Ingeborgą”. To, co mówił, było prawdą, gdyż Vagn istotnie zrobił taki ślub przed wyprawą, dowiedziawszy się, że córka Thorkela jest jedną z najpiękniejszych dziewczek w Norwegii, a do tego jedną z najbogatszych. „Teraz jednak – ciągnął Thorkel szczerząc przy tym szeroko wszystkie zęby – wygląda raczej na to, że to ja zabiję ciebie”. Vagn skrzywił twarz w uśmiechu i odparł: „Jeszcze nie wszyscy Jomswikingowie zginęli”. „Tak jednak wnet się stanie – odrzekł na to Thorkel – i ja sam się już postaram, aby to zostało załatwione bez żadnego partactwa. Zobaczysz, jak wszyscy twoi zginą z mojej ręki, a potem sam pójdziesz w ślad za nimi”. To mówiąc podszedł do drugiego końca kłody i zaczął odrąbywać głowy jeńcom, jednemu po drugim kolejno, tak jak siedzieli. Miał dobry topór i brał się z zapalem do dzieła, tak że nigdy nie potrzebował dwa razy ugodzić tego samego. Myślę, że ci, co się przyglądali, musieli uznać, że ludzie Vagna i Bue dobrze się zachowują w obliczu śmierci. Dwaj, którzy siedzieli niedaleko ode mnie, rozmawiali o tym, czy można jeszcze coś odczuwać, gdy głowa zostanie odrąbana, i zgodzili się w końcu, że trudno z góry coś o tym wiedzieć. Wtedy rzekł jeden z nich: „Oto mam tu w ręku kłamrę i jeśli potem, jak stracę głowę, będę jeszcze coś wiedział, wetknę tę kłamrę w ziemię”. Wtedy właśnie podszedł doń Thorkel, a gdy ciął, kłamra natychmiast wypadła zabitemu z ręki. A potem pozostało już tylko dwóch, zanim Thorkel podszedł do mnie.

Sigurd Buesson uśmiechnął się do słuchaczy, którzy siedzieli w napięciu, cicho jak makiem zasiał, podniósł dzban z piwem i zaczerpnął głęboki łyk. A król Harald rzekł:

– Widzę, że masz głowę na karku, a słysząc po łykaniu, że i gardłu twojemu nic nie brakuje. Tak jednak, jak przedstawiłeś sprawy tam na owej kłodzie, trudno jest pojąć, w jaki sposób potrafiłeś te rzeczy uratować, bez względu na to, jaką długość miały twoje włosy. Dobra jest twoja opowieść i nie pozwól nam długo czekać na dalszy ciąg.

Wszyscy byli tego zdania, co król Harald, i Sigurd Buesson ciągnął dalej opowiadanie:

– Gdy tak tam siedziałem na owej kłodzie, nie odczuwałem chyba strachu większego niż inni. Ale wydawało mi się przykre umrzeć nie zdążywszy dokonać niczego, co przeszłoby do opowieści. Dlatego, gdy Thorkel podszedł do mnie, odezwałem się: „Uważaj na moje włosy.

Nie chcę, aby się pokrwawiły”. To mówiąc zgarnąłem je na czoło. A jakiś mąż, który szedł z tyłu za Thorkelem – powiedziano mi później, że był to jego szwagier – zrobił krok naprzód, owinał sobie moje włosy dokoła dłoni i rzekł do Thorkela: „Teraz tnij”. Co też tamten zrobił, ja zaś w tym samym momencie pociągnąłem głowę w tył najszybciej, jak tylko mogłem, tak że topór spadł między mnie i szwagra Thorkela obcinając tamtemu obie dłonie. Jedna z nich zawisła na moich włosach.

Zebrani w halli wybuchnęli grzmiącym śmiechem, a Sigurd śmiał się także i mówił dalej:

– Śmieście się, ale to nic w porównaniu z tym, jak śmiali się Norwegowie widząc, jak szwagier Thorkela wije się po ziemi, a Thorkel gapi się nań i nie wierzy własnym oczom. Kilku z nich aż przewróciło się ze śmiechu. Jarl Eryk zaś podszedł do mnie i spytał: „Kim jesteś?” Odparłem: „Nazywam się Sigurd, a Bue był moim ojcem, i widzisz, że jeszcze nie zginęli wszyscy Jomswikingowie”. Jarl rzekł na to: „Widać, żeś z rodu Bue. Czy chcesz przyjąć ode mnie życie?”. „Od męża takiego jak ty przyjmuję” – odrzekłem, po czym odwiązano mnie od liny. Ale Thorkelowi to się nie spodobało i krzyknął: „Jak się zaczyna już coś takiego, to lepiej nie zwlekać dłużej z Vagnem!” To mówiąc podniósł topór i pobiegł w kierunku Vagna, który siedział w końcu kłody. Lecz jednemu z ludzi Vagna, czwartemu z rzędu od niego, wydało się niesłuszne, aby Vagn został zarąbany, zanim przyjdzie nań kolej. Rzucił się więc pod nogi biegnącego Thorkela, który przewalił się przez niego, padając twarzą naprzód prosto przed Vagnem. Ten schylił się i chwycił za topór. I nie widać było na nim ani śladu zmęczenia, gdy spuszczał ostrze topora na głowę Thorkela. „I tak byłaby połowa ślubu spełniona – rzekł przy tym – a jeszcze nie wszyscy Jomswikingowie zginęli”. Norwegowie śmieli się jeszcze więcej niż przed chwilą, a jarl Eryk spytał: „Chcesz przyjąć ode mnie życie, Vagn?”. „Chcę – odparł na to Vagn – jeśli darujesz je nam wszystkim”. „Niech i tak będzie” – zgodził się jarl, po czym uwolniono resztę i było nas dwunastu, którzyśmy z tej kłody uszli z życiem.

Sigurd Buesson zyskał wielkie uznanie za swoją opowieść i wszyscy wielce wychwalali jego sposób wyciągnięcia korzyści ze swoich włosów. Przy stołach wywiązała się teraz ożywiona rozmowa na temat opowiadania i dużego szczęścia, jakie sprzyjało Sigurdowi i Vagnowi. Orm zaś odezwał się do Sigurda:

– Wiele rzeczy, o których wiedzą inni, nieznanych jest mnie i Toke, ponieważ długo przebywaliśmy poza krajem. Gdzież to obraca się teraz Vagn i jakie były jego losy potem, jak uszedł z życiem z owej kłody? Z opowiadania tego wydaje mi się, że szczęście jego musi być większe od wszystkiego, o czym dotąd słyszałem.

– Chyba słuszne są twoje słowa – odparł Sigurd – i szczęście Vagna istotnie nie zatrzymuje się w pół drogi. Wzbił się wysoko w łaskach u jarla Eryka i po pewnym czasie odszukał córkę Thorkela Leira i znalazł ją jeszcze piękniejszą, niż sądził. A i ona nie miała nic przeciwko temu, by mu dopomóc w spełnieniu drugiej połowy ślubu, tak że dziś są małżeństwem i powodzi im się dobrze. Vagn zamierza wrócić z nią do domu na Bornholm, jak tylko znajdzie odpowiednią po temu porę. Gdy jednak ostatnio przyszły odeń wieści, był jeszcze w Norwegii i uskarżał się, że dużo trudu zabiera mu wydostanie się stamtąd. Tyle bowiem dostał ziemi za dziewczynę i tyle przy tym wszelakiego dobra, że nie może się szybko uporać ze sprzedaniem tego wszystkiego za dobrą cenę. Vagn zaś nie ma w zwyczaju sprzedawać czegoś taniej bez potrzeby.

– Jedna jest rzecz w twoim opowiadaniu, o której nie mogę przestać myśleć – rzekł Toke do Sigurda – a mianowicie skrzynia ze skarbami twego ojca, którą zabrał z sobą, wyskakując za burtę. Czyś wydostał ją z morza przed odjazdem z Norwegii, czy też zabrał ją stamtąd ktoś inny? Jeśli bowiem leży jeszcze na dnie morza, wiem, co zrobiłbym, gdybym przybył do Norwegii. Zaraz zacząłbym ją łowić, bo srebro Bue jest chyba warte zachodu.

– Niemaló się już naszukali tej skrzyni – odparł Sigurd – zarówno Norwegowie, jak i ci, co zostali przy życiu z ludzi Bue. Wielu próbowało wyłowić ją, włócząc żelazną łapą po morskim dnie, nic jednak nie zdziałali. A jeden człowiek z Viken zanurkował z liną, nie wypłynął jednak więcej na powierzchnię. I odtąd wszyscy są przekonani, że nawet tam na dnie Bue nie daje sobie odebrać skrzyni i ostro bierze się do każdego, kto by spróbował jej tknąć. Był to bowiem mąż silny i bardzo dbający o swoje srebro. Ludzie świątli zaś zgodnego są zdania, że siła tych, co żyją w górze nad nami, większa jest niż siła żywych i że tak samo może być i z Bue, jakkolwiek nie przebywa on w górze, ale na dnie morza obok swej skrzyni.

– Szkoda tego srebra – zauważył Toke. – Prawdą jest jednak, że nawet najsilniejszy wszystkiego życzyłby sobie bardziej niż znaleźć się pod wodą w ramionach Bue.

Tak skończył się ten wieczór. Następnego dnia zaś król Harald chciał usłyszeć coś o przygodach Styrbjörna wśród Wenedów i Kurów. Styrbjörn oświadczył, że kiepski z niego opowiadacz, tak więc głos zabrał jeden Islandczyk z jego drużyny. Nazywał się Björn Osbrandsson i był głośnym wojem, a także wielkim skaldem, podobnie jak wszyscy, którzy przybywali z Islandii. I choć był już trochę pijany, wygłosił wprzód z wielką swadą odę na cześć króla Harald, wierszem zwanym toglag. Była to ostatnia nowość poetycka i najtrudniejsza stopa używana przez islandzkich skaldów, a wiersze były tak kunsztownie ułożone, że niewiele tylko dało się zrozumieć z ich treści. Wszyscy słuchali ich jednak z mądrymi minami, gdyż wstyd było nie rozumieć się na poezji. A król Harald wychwalał odę

i dał skaldowi złoty pierścień. Toke, który siedział oparty o stół, przypatrywał się temu wzdychając, z głową podpartą rękami. Mruzczał przy tym zmartwiony, że to jest zaiste prawdziwa poezja. Teraz rozumie – mówił – iż sam nigdy nie potrafi ułożyć wiersza, który by mu przyniósł złoty pierścień.

Islandczyk, którego niektórzy nazywali Björn Bredvikingakappe i który już przez dwa lata był w drużynie Styrbjörna, opowiadał potem o wyprawach tego ostatniego i o osobliwych wydarzeniach, które się w tym czasie zdarzały. Mówił dobrze i długo snuł opowiadanie nie nużąc nikogo ze słuchaczy. A wszyscy wiedzieli, że to, co opowiada, jest prawdą, gdyż sam Styrbjörn przysłuchiwał się jego słowom. Skald nie szczędził słów o śmiałych przedsięwzięciach i wielkim szczęściu Styrbjörna, a także o bogactwach zdobytych przez jego ludzi. Zakończył starym wierszem o przodkach Styrbjörna, poczynając od bogów, a kończąc na jego stryju Eryku, który obecnie panował w Uppsali. Ostatnia strofa, którą ułożył już sam Islandczyk, brzmiała:

Wkrótce już

Po swą puścizną

Pójdzie Styrbjörn

W sto okrętów.

Zwycięscy

Dzielni mężowie

Pić będą

W dworcu Eryka.

Słowa te powitano wielką wrzawą i wielu biesiadników poderwało się z ław, pijąc za zdrowie i pomyślność Styrbjörna. Ten zaś kazał przynieść cenny puchar i dał go skaldowi mówiąc:

– Nie starczy tego, by wynagrodzić cię za twą poezję, ale dostaniesz więcej, gdy zasiądem już na stolcu królewskim w Uppsali. Dostaniesz tam dobrą nagrodę dla każdego z mojej drużyny. Bo stryj mój Eryk jest oszczędny i odłożył wiele przydatnego dobytku. Na wiosnę udam się tam, aby otworzyć jego skrzynie, ci zaś, którzy chcieliby mi towarzyszyć, mile są widziani.

Zarówno w drużynie króla Haralda, jak i króla Svena wielu było takich, których słowa te podnieciły i którzy wykrzyknęli natychmiast, że chcą iść za Styrbjörnem, bo skarby króla Eryka słynęły szeroko, a Uppsali nie plądrowano jeszcze od czasów Ivara Długorękiego. Jarl

Sibbe z Wysp Małych, pijany i z trudnością tylko panujący nad swoją głową i dzbanem piwa, wołał głośno, że zamierza towarzyszyć Styrbjörnowi z pięciu łodziami. Zaczyna bowiem czuć się chory i zmęczony – mówił – i woli umrzeć pośród wojów niż zdechnąć leżąc na słomie jak krowa. Król Harald oświadczył, że jeśli chodzi o niego, to jest już za stary, by ruszać na wojenne wyprawy. Ludzi zaś swoich potrzebuje u siebie w domu, aby trzymać w ryzach niespokojne duchy. Dodał jednak, że nie ma nic przeciwko temu, gdyby Sven chciał dać Styrbjörnowi do pomocy swoją drużynę i łodzie.

Król Sven splunął w zadumie i pociągnął z dzbana, bawiąc się przy tym brodą, po czym rzekł, że trudno mu obejść się bez wojów i łodzi, gdyż ma dobre zastosowanie wszystkich swoich sił przeciw Sasom i Obodrzycom.

– I wydaje mi się też stosowniejsze – dodał – aby pomocy tej udzielił mój ojciec. Bo teraz, gdy się postarzał, ludzie jego mało mają do roboty prócz pilnowania pory posiłków i słuchania księżowskiej gadaniny.

Król Harald wpadł na te słowa w taki gniew, że w halli powstał wielki niepokój, i zawołał, że łatwo zmiarkować, iż Sven chciałby, aby stary ojciec znalazł się w swoim kraju bezbronny.

– Będzie jednak tak, jak ja powiem! – krzyczał cały czerwony na twarzy. – Bo to ja jestem królem Dunów i nikt inny, a ty, Svenie, dasz Styrbjörnowi swoich ludzi i okręty.

Sven siedział cicho, gdyż zląkł się gniewu ojca. A widać było także, że wielu z jego ludzi chętnie poszłoby ze Styrbjörnem do Uppsali.

Wtedy odezwał się Styrbjörn:

– Cieszy mnie, gdy widzę, jak wielki zapal ożywia was obu, aby udzielić mi pomocy. I najlepiej chyba będzie dla mnie, jeśli ty, Haraldzie, postanowisz, co ma posłać Sven, a ty, Svenie, powiesz, jaka winna być pomoc od twego ojca.

Na te słowa wielu wybuchnęło śmiechem i wnet nastąpiła zgoda, a w końcu postanowiono, że Harald i Sven dopomogą Styrbjörnowi, każdy dwunastu dobrze obsadzonymi łodziami, nie licząc łodzi i załóg, które miał dostać od Skanów. A za to Styrbjörn miał im odstąpić część skarbów króla Eryka. I na tym skończył się ten wieczór.

Następnego dnia nie stało już świątecznej wieprzowiny i zamiast tego wszedł na stół kapuśniak z baraniną, a wszyscy byli zdania, że to dobra odmiana. Tego wieczoru opowiadał pewien Hallandczyk o weselu, na którym był w Finnveden u dzikich Smalandczyków. Wybuchła tam zwada o jakiś handel końmi i wnet doszło do noży. A panna młoda i drużyna śmiały się, klaskały w dłonie i zachęcały kłócących się. Kiedy jednak panna młoda, która pochodziła z szanowanej rodziny, zobaczyła, że krewniacy pana młodego wybili oko jej

stryjowi, porwała ze ściany pochodnię i uderzyła nią w głowę pana młodego tak, że temu zapaliły się włosy. Ale jedna rezolutna druhna zarzuciła mu natychmiast kieckę na głowę przyciskając mocno, czym mu uratowała życie, choć bardzo krzyczał i ciężko był poparzony i osmolony, gdy znów wyjął głowę na wierzch. Z tego wszystkiego ogień zaprószył się w słomę pokrywającą podłogę i spaliło się jedenastu pijanych i poranionych. Tak że wszyscy w Finnveden uważają to wesele za pierwszorzędne i warte wspomnienia. A panna młoda żyje obecnie szczęśliwie ze swoim panem młodym, jakkolwiek temu nigdy nie odrosły nowe włosy na miejscu spalonych.

Po tej opowieści król Harald powiedział, że lubi słuchać uciesznych historii o życiu Smalandczyków, którzy z natury są szelmy i łobuzy. A biskup Poppon powinien, gdy tylko znajdzie wolną chwilę, dziękować Bogu, że dostał się do przyzwoitych ludzi w Danii, a nie do tej niecnej bandy zbójów w Finnveden czy Varend.

– A teraz – ciągnął dalej król – chcę, abyśmy jutro posłuchali o kraju Andaluzyjczyków i o przygodach Orma, syna Toste, i Toke, syna Graagulle, w czasie podróży, którą odbyli. Przypuszczam bowiem, że opowiadanie o tym może nas wszystkich ucieszyć.

Na tym skończył się ten wieczór. Następnego ranka Orm i Toke naradzali się, kto z nich ma opowiadać przy uczie.

– Ty jesteś hövdingiem – mówił Toke – i dlatego ty powinienes mówić.

– A ty znów brałeś udział w wyprawie od początku, jeszcze zanim ja się wśród was znalazłem – oponował Orm. – No i lepiej obracasz językiem niż ja. Toteż najwyższy czas, abyś się nagadał do syta, bo zdawało mi się, że chwilami trudno ci było usiedzieć cicho, kiedy inni opowiadali.

– Nie boję się mówić – odparł na to Toke – i zdaje mi się, że jestem równie wytrwały w gębie jak większość innych. Niemniej jednak jest w tym dla mnie pewna trudność. Nie umiem bowiem dużo gadać bez piwa, bo zasycha mi wtedy łatwo w gardle. To zaś będzie długie opowiadanie. Cztery wieczory upłynęły dotąd jakoś szczęśliwie, tak że wstawałem od królewskiego stołu niepijany i spokojny. A i tak niełatwo mi to przyszło, choć niewiele miałem do powiedzenia. Źle zaś stałoby się, gdybym teraz wpadł w ten swój zły humor i gdyby przyłgnęło do mnie jakieś przewisko z powodu niedobrych obyczajów przy królewskim stole.

– Spodziewajmy się, że do tego nie dojdzie – uspokajał go Orm – i gdybyś nawet upił się przy opowiadaniu, nie możesz chyba od tak dobrego piwa wpaść w złość i zacząć się awanturować.

– Niech się dzieje, co chce – rzekł Toke z pewnym powątpiewaniem w głosie i potrząsnął niepewnie głową.

Wieczorem Toke opowiadał o wyprawie Kruka i wszystkich przygodach, o tym, jak Orm przyłączył się do wyprawy i jak wyłowili Żyda z morza. A także o wielkim plądrowaniu gródka w państwie Ramira i o bitwie z Andaluzyjczykami oraz jak męczyli się na galerach, jak również o śmierci Kruka. Potem zaś mówił o oswobodzeniu z galer i przyjaźni Żyda Salamana i o tym, jak dostali od Zubaidy miecze.

Gdy doszedł do tego miejsca, zarówno król Harald, jak i Styrbjörn zapragnęli obejrzeć te miecze i Orm i Toke podali im Blotungę i Rödnabbę. Król Harald i Styrbjörn wyjęli miecze z pochew i wazyli w dłoni, dokładnie oglądając. Obaj też doszli do wniosku, że nigdy nie widzieli lepszej broni. Potem miecze powędrowały dokoła całego królewskiego stołu, bo wielu było ciekawych broni takiej jak ta. A Orm niepokoił się, dopóki miecze do nich nie wróciły, gdyż czuł się samotny i na wpół nagi bez swojej Blotungi.

Nieco na ukos naprzeciw Orma i Toke siedziało dwóch braci imieniem Sigtrygg i Dyre, ludzi króla Svena, na którego łodzi Sigtrygg był sternikiem. Był to chłop wielki i zwalisty, o szerokiej, nastroszonej brodzie, która sięgała mu aż do oczu. Jego brat, Dyre, choć młodszy wiekiem, także zaliczał się do najlepszych wojów Svena. Orm zwrócił uwagę, że Sigtrygg od pewnej chwili ponuro wpatruje się w niego i w Toke, przy czym parę razy wyglądało, jak gdyby chciał coś powiedzieć. A gdy obecnie miecze doszły przy oględzinach do niego, obejrzał je oba dokładnie i wydawało się, że trudno mu jest się z nimi rozstać.

Król Sven, który lubił słuchać opowiadań o dalekich krajach, wezwał Toke do podjęcia opowieści i Toke, który korzystając z chwili odpoczynku skwapliwie pokrząpiał się piwem, odparł, że gotów jest mówić dalej, gdy tylko siedzący naprzeciwko napatrzą się do syta na ich miecze. Na to Sigtrygg i Dyre oddali je bez słowa i Toke podjął znowu przerwane opowiadanie.

Mówił teraz o Almanzorze, jego potędze i bogactwie oraz o tym, jak dostali się do straży przybocznej i musieli wielbić Proroka, bijąc pokłony i wyrzekając się wielu rzeczy. Dalej zaś opowiadał o wojennych wyprawach, w których brali udział, i o łupie, który zdobyli. A gdy doszedł do opisu pochodu przez Pusty Kraj do grobu świętego Jakuba i opowiadał, jak to Orm uratował Almanzorowi życie i otrzymał za to w podzięcie wielki, złoty łańcuch, odezwał się król Harald.

– Jeżeli masz jeszcze ten łańcuch, Ormie, chciałbym, abyś go nam pokazał. Bo jeśli zajmuje on wśród kosztowności miejsce równe temu, co wasze miecze wśród broni, to wart jest zaiste oglądania.

– Mam go jeszcze – odrzekł Orm – i zamierzam zachować na zawsze. Dotąd wydawało mi się najchętniej pokazywać go możliwie jak najmniej. Bo łańcuch ten jest wystarczająco piękny, aby wzbudzać pożądanie u wszystkich z wyjątkiem królów i najznakomitszych wielmożów. Źle byłoby jednak, gdybym wzbraniał się pokazać go tobie, panie królu, i królowi Svenowi, i królowi Styrbjörnowi, i zebranym tu jarlom. Byłoby jednak dobrze, by nie przechodził potem z rąk do rąk wokół stołu między innymi biesiadnikami.

To mówiąc Orm rozwiązał kaftan i wydobyl łańcuch noszony na szyi, po czym wręczył go Sigurdowi Buessonowi. Ten zaś podał go koniuszemu Hallbjörnowi, który z kolei przechyliwszy się przez miejsce biskupa Poppona wręczył go królowi Haraldowi. Albowiem miejsce biskupa stało puste, gdyż zmęczony świąteczną pijatyką legł do łoża, gdzie pielęgnował go braciszek Willibald.

Król Harald oglądał naszyjnik podnosząc go pod światło, by lepiej nasycić się widokiem jego piękności. Mówił, że przez całe życie zbiera kosztowności i klejnoty, lecz mimo to nie widział przedmiotu piękniejszego od tego. Łańcuch był sporządzony z grubych, podłużnych płytek z jasnego złota. Płytki miały długość dobrego cala, a szerokość paznokcia kciuka pośrodku, gdzie były najszersze, potem zaś z wolna zwężały się ku obu końcom, przy których znajdowały się małe pierścienie łączące płytki z sobą. Łańcuch zawierał łącznie trzydzieści sześć takich płytek, które na przemian ozdobione były pośrodku raz czerwonym, to znów zielonym szlachetnym kamieniem.

Gdy naszyjnik przeszedł w ręce Styrbjörna, ten stwierdził, że musi to być zaiste dzieło Vaulundera, ale że, jak sądzi, w skrzyniach jego stryja nie brak równie pięknych klejnotów. Król Sven zaś zauważył wzięwszy łańcuch do ręki, że jest to taki skarb, za jaki woje chętnie oddają krew, a królewskie córki cnotę.

Potem oglądał naszyjnik Thorkel Wysoki i pochwaliwszy go tak jak inni, podał przez stół Ormowi. W tym momencie wychylił się naprzód Sigtrygg i sięgnął po klejnot. Orm był jednak szybszy i dostał do rąk swój łańcuch.

– Czego sięgasz? – spytał Sigtrygga. – Nie słyszałem, byś był królem czy jarlem, innym zaś nie wolno go dotykać.

– Chcę się z tobą bić o ten klejnot – odburknął Sigtrygg.

– Być może, że chcesz – rzekł Orm – bo wyglądasz mi na człowieka chciwego i bez wychowania. Radzę ci jednak trzymać palce przy sobie i zostawić statecznych ludzi w spokoju.

– Ty się mnie boisz! – wykrzyknął Sigtrygg. – Ale musisz się bić albo oddać łańcuch. Bo od dawna mam już sprawę przeciw tobie i żądam tego łańcucha jako grzywny.

– Źle musisz znosić piwo, bo mówisz jak zamroczony – odparł Orm. – Nigdy bowiem przedtem ciebie nie widziałem do czasu tej biesiady, tak że nie możesz mieć przeciw mnie żadnej sprawy. A teraz – ciągnął dalej, zaczynając się już niecierpliwić – zrobisz najmądrzej siedząc cicho i zachowując się spokojnie, zanim poproszę króla Haralda, aby ci utarł nosa. Jestem spokojnym człowiekiem i niechętnie tykam pysków podobnych do twego. Wydaje mi się jednak, że możesz potrzebować nauczki nawet od najcierpliwszego.

Sigtrygg był potężnym wojem, którego się lękano z powodu jego siły i gwałtowności, i nie przywykł, by tak do niego przemawiano. Poderwał się więc z ławy, rycząc jak byk i wykrzykując obelżywe słowa, lecz jeszcze głośniejszym zagrział głos króla Haralda, gdy z gniewem nakazał ciszę, pytając o powód zamieszania.

– Temu oto człowiekowi, panie królu – wyjaśnił Orm – uderzyło nagle do głowy twoje znakomite piwo i własna chciwość. Domaga się bowiem mego łańcucha, mówiąc, że ma przeciw mnie sprawę, jakkolwiek nigdy przedtem go nie widziałem.

Utyskując, że ludzie Svena zawsze narobią jakichś przykrości, król Harald zapytał ostrym głosem Sigtrygga, dlaczegoż to nie potrafi utrzymać się w ryzach, skoro przecie słyszał, że w halli ogłoszono mir Chrystusa i króla Haralda.

– Panie królu – rzekł na to Sigtrygg – pozwól, że opowiem, jak to wszystko wygląda, a zobaczysz, że jestem w swoim dobrym prawie. Przed siedmiu laty poniosłem bowiem szkodę, a dziś dowiedziałem się, że to ci dwaj nowo przybyli przyczynili się do wyrządzenia mi jej. Owego lata znajdowaliśmy się w drodze do domu z południowych krajów, płynąc w cztery łodzie, Bork z Hvenu, Silverpalle, Faravid Svensson i ja. Spotkaliśmy wtedy trzy inne łodzie wypływające na wyprawę i rozmawialiśmy z nimi, a z opowiadania Toke wiem teraz, co to były za łodzie. A miałem ja u siebie niewolnika z Hiszpanii, czarnowłosego i o skórze zupełnie żółtej. Człowiek ten wyskoczył z łodzi w morze w czasie naszej rozmowy, pociągając za sobą do wody mego szwagra Oskela, zacnego męża. I nigdy ich już potem nie widziałem. Obecnie zaś wszyscy słyszeli, że ów niewolnik został wyłowiony przez ich łodzie i że był to ten, którego nazywali Salamanem, a z którego mieli wielkie korzyści. Ci zaś dwaj, którzy tu siedzą z nami, Orm i Toke, wyciągnęli go właśnie z morza, co słyszeliśmy z własnych ust jednego z nich. Za niewolnika takiego jak Salaman mogłem być dostać dobrą cenę, a ten tu Orm jest obecnie hövdingiem tych, co ocalili z łodzi Kruka, dlatego też wypada, aby zapłacił za szkodę, którą poniosłem. Toteż żądam od ciebie, Ormie, abyś dał mi łańcuch w odpłatę za niewolnika i za szwagra, czy to po dobrej woli, czy też, jeśli chcesz, potykając się ze mną w pojedynku przed hallą na udeptanej ziemi, z mieczem i tarczą, i to zaraz. Bo zabić cię muszę i tak, od kiedyś powiedział, że chcesz mi utrzeć nosa. Albowiem

jeszcze nie zdarzyło się, aby dożył końca dnia ten, kto ośmielił się powiedzieć podobnie obelżywe słowa do mnie, Sigtrygga, syna Stigandda i sternika króla Svena.

– Dwie rzeczy stanowią dla mnie pociechę, gdy słucham twoich słów – odparł Orm. – Jedno to to, że łańcuch jest i pozostanie moim, choćby nie wiadomo kto wyskoczył z twojej łodzi w morze siedem lat temu. Druga zaś to to, że ja sam i moja Blotunga także mamy coś niecoś do powiedzenia o tym, kto z nas dwóch dłużej pożyje. Ale teraz posłuchajmy wpierw, co powie król Harald.

Zebrani radzi byli, że zanosi się na pojedynek. Bo można było się spodziewać, że walka dwóch wojów takich jak Orm i Sigtrygg warta będzie oglądania. Tak król Sven, jak i Sigtrygg uważali, że będzie to dobre urozmaicenie w świątecznej pijatyce. Król Harald siedział jednak w zadumie, gładząc brodę, i wyglądał na niezdecydowanego. W końcu rzekł:

– Nielatwa to sprawa do sprawiedliwego rozsądzenia i nie wydaje mi się pewne, czy Sigtrygg może żądać od Orma odplaty za szkodę, którą poniósł bez udziału Orma. Ale prawdą jest także, że nikt nie traci chętnie dobrego niewolnika, no i szwagra na dokładkę, lecz pragnie odplaty za swą szkodę. A z chwilą gdy już padły obelgi, to i tak dojdzie na pewno do walki między tymi dwoma, jak tylko znajdą się poza zasięgiem moich oczu. Łańcuch zaś taki, jak nosi Orm, musiał być przyczyną niejednego zabójstwa i będzie chyba powodem jeszcze wielu. Dlatego też nie zrobi to żadnej różnicy, jeśli pozwolimy im stoczyć ten pojedynek teraz ku uciesze nas wszystkich. Ty więc, Hallbjörnie, dopilnuj, aby udeptano pole przed hallą i otoczono je szrankami w miejscu, gdzie grunt jest najrówniejszy. Każ też powtykać dokoła łuczywa i pochodnie i zawiadom nas, gdy wszystko będzie już gotowe.

– Panie królu – odezwał się na to Orm zatroskanym głosem. – Ja nie chcę brać udziału w takim pojedyńku.

Wszyscy zwrócili na niego oczy, a Sigtrygg i wielu innych spośród ludzi króla Svena parsknęło pogardliwym śmiechem. A król Harald potrząsnął głową i rzekł:

– Jeśli boisz się bić, to nie widzę innego wyjścia, jak tylko, żebyś oddał jemu łańcuch. Jakież bowiem możesz mieć z niego pożytek? Ale zdawało mi się, żeś przed chwilą butnie śpiewał?

– To nie o pojedynek chodzi – odrzekł Orm – lecz o zimno. Zawsze miałem delikatne gardło, a już najgorzej z wszystkiego znoszę zimno. Nic nie jest dla mnie bardziej niebezpieczne, jak odejść od piwa z ciepłej izby na wieczorny chłód, szczególnie teraz, gdy tak długo żyłem w południowych krajach i odwykłem od mrozów. I wydaje mi się też mało właściwe, abym z powodu tego Sigtrygga miał się nosić z kaszlem przez całą resztę zimy. Bo przeziębienie lubi siedzieć we mnie długo i matka mówiła mi zawsze, że kaszel będzie moją

zgubą, jeśli nie będę na siebie uważać. Gdyby więc wolno mi było coś doradzić, panie królu, to najlepiej, aby walka odbyła się tu w halli, przed twoim stołem, gdzie dosyć jest miejsca. W ten sposób mógłbyś i ty sam oglądać ją bez wszelkiej niewygody.

Wielu śmiało się z obaw Orma, ale Sigtrygg nie śmiał się już więcej, lecz wołał wściekły, że oszczędzi Ormowi wszelkiego zmartwienia o kaszel. Orm jednak nie zwracał na niego zupełnie uwagi, lecz siedział zwrócony twarzą do króla Haralda i czekał na jego decyzję. A król rzekł:

– To niedobrze, że młodzież zaczyna słabnąć i nie jest już taka jak dawniej. Synowie Lodbroka nie myśleli o zdrowiu i pogodzie, a i ja sam nie robiłem tego za młodych lat. Obecnie jednak nie znajdę wnet wśród młodzieży nikogo prócz Styrbjörna, kto byłby z takiego jak ja gatunku. Ale prawdą jest także, że w moim wieku najlepiej oglądać walkę z miejsca, na którym siedzę. Dobrze też, że biskup leży w łóżku, bo on byłby temu przeciwny. Myślę, że mir ogłoszony dla tej halli nie zostanie złamany, skoro ja sam dam na to pozwolenie, a nie przypuszczam, aby Chrystus mógł potępić pojedynek, gdy wszystko dzieć się będzie według prawa i zwyczaju. Dlatego też niech będzie tak, że Orm i Sigtrygg bić się będą tutaj, na wolnym miejscu przed moim stołem, uzbrojeni w miecze i tarcze, hełmy i kolczugi. I nikomu nie wolno dawać im pomocy innej jak tylko przy nakładaniu zbroi i doręczaniu oręża. I jeśli jeden zostanie zabity, wszystko będzie w porządku. Jeśli zaś jeden z nich nie będzie mógł już dłużej ustać na nogach i rzuci miecz lub ucieknie pod stół, niech drugiemu nie będzie wolno więcej go rąbać, walkę jednak przegrał, a wraz z tym i łańcuch. I ja sam, i Styrbjörn, i Hallbjörn, mój koniuszy, baczyć będziemy, aby wszystko odbyło się sprawiedliwie.

W halli podniósł się na te słowa zgiełk i biesiadnicy zaczęli się przekrzykiwać od stołu do stołu, podczas gdy kilku poszło po zbroje dla Orma i Sigtrygga. Ludzie króla Haralda uważali Orma za lepszego z obu przeciwników, natomiast ludzie króla Svena wychwalali Sigtrygga mówiąc, iż zabił w pojedynku dziewięciu przeciwników nie odnosząc przy tym sam najmniejszej nawet rany, która by wymagała opatrunku. Do najgadatliwszych należał Dyre, który pytał drwiąco Orma, czy nie boi się, że go kaszel będzie dręczyć w grobie, a potem zwrócił się do brata prosząc, aby przy podziale łupu zadowolił się łańcuchem, a jemu, Dyre, pozwolił wziąć miecz.

Od chwili gdy przerwano mu opowiadanie, Toke siedział zaszępioty, mrużąc coś pod nosem i pijąc. Kiedy jednak usłyszał, co powiedział Dyre, wstąpiło weń na nowo życie. Wbił nóż, którego używał do jedzenia, w stół przed Dyre, tak że ostrze utkwilo pionowo głęboko w drzewie, a obok noża cisnął na stół swój miecz razem z pochwą. Potem zaś rzucił się całym

ciałem naprzód poprzez stół tak szybko, że Dyre nie zdążył się uchylić, chwycił go za ucho i brodę pokrywającą mu policzki i przyciskając jego twarz do broni rzekł:

– Oto oręż równie dobry jak Orma. Musisz jednak zdobyć go sam, jeśli go chcesz posiadać, a nie zebrać on u innych.

Dyre był silnym mężem, chwycił więc ręce Toke w przegubach i mocno szarpnął. Ucho i broda zabolowały go jednak od tego tak, że zajęczał nie umiejąc się oswobodzić.

– Prowadzę tu z tobą rozmowę z całą uprzejmością – ciągnął tymczasem Toke – bo nie chcę zakłócać miru nakazanego przez króla Haralda w halli. Ale nie puszczę cię, dopóki nie przyobiecasz, że będziesz bić się ze mną, bo Rödnäbba nie lubi próżnować, gdy siostra jej pracuje.

– Puść mnie – wyrzeźił z trudem przyciśnięty twarzą do stołu Dyre – abym mógł cię zabić, jak tylko cię dosięgnę.

– A więc obiecałeś – rzekł Toke puszczając go z uchwytu, po czym zdmuchnął z dłoni sporo kłaków wyrwanych z brody Dyre.

Temu zaś poczerwieniało ucho, ale poza tym był śmiertelnie blady z gniewu i zrazu robił wrażenie, jak gdyby zupełnie zaniemówił. Potem podniósł się i wycharczał:

– Załatwię to z tobą natychmiast. I tak też będzie najlepiej, bo w ten sposób i ja, i mój brat otrzymamy każdy po hiszpańskim mieczu. Wyjdźmy więc razem, aby załatwić potrzebę, ale nie zapomnijmy wziąć z sobą broni.

– Słusznie mówisz – odparł Toke – bo nam nie potrzeba wszak żadnych uroczystych przygotowań. I będę ci za to wdzięczny, dopóki będziesz żyć. Wnet zaś zobaczymy, jak to długo potrwa.

Poszli więc, najpierw idąc każdy po swojej stronie stołu, a potem obok siebie wzdłuż przejścia za poprzecznym stołem i znikli w jednych z drzwi na krótkiej ścianie halli. A król Sven patrzył w ślad za nimi z uśmiechem, lubił bowiem, gdy jego ludzie wyróżniali się i powiększali swój rozgłos oraz postrach, jaki szerzyli wokół siebie.

Orm i Sigtrygg ubierali się tymczasem do walki, a w miejscu, gdzie miała się ona odbyć, zamiatano podłogę, aby walczący nie ślizgali się w słomie i nie potykali na ogryzionych kościach, które tam rzucano dla psów króla Haralda. Biesiadnicy z obu oddalonych krańców halli cisnęli się naprzód, aby lepiej widzieć, ustawiając się gęsto stłoczeni na ławach i stołach po obu stronach wolnej przestrzeni za stołem króla Haralda i wzdłuż ścian po czwartej stronie. Król Harald rozochocił się teraz ogromnie i pełen był zapału do oglądania walki. A gdy odwróciwszy się przypadkiem zauważył, że kilka spośród jego kobiet uchyła nieznacznie drzwi i zagląda ciekawie do halli, polecił, by wraz z jego córkami przyszły

przypatrywać się walce. Uważał bowiem, że zbytnią byłoby surowością odmawiać im takiego widowiska. Dla paru sam zrobił miejsce u swego boku, na podwyższeniu i na pustym miejscu biskupa. Dwom zaś najładniejszym jego córkom przypadło usiąść obok Styrbjörna i wcale się nie skarżyły, że było im tam ciasno. Śmiały się tylko zalotnie, gdy ten częstował je piwem, i dzielnie dotrzymywały mu pola w picu. Dla kobiet, dla których nie starczyło miejsca na podwyższeniu, ustawiono ławę za stołem w miejscu, gdzie nic nie zasłaniało widoku.

Koniuszy Hallbjörn kazał zadać w trąby i zarządził ciszę, po czym obwieścił, że w czasie walki wszyscy mają się zachowywać spokojnie i że nikomu nie wolno wykrzykiwać rad dla walczących ani też rzucać żadnych przedmiotów na miejsce boju. Obaj przeciwnicy byli już gotowi, weszli więc na wolną przestrzeń i stanęli naprzeciw siebie. I gdy spostrzeżono, że Orm dzierży miecz w lewicy, po halli rozszedł się ożywiony szmer. Albowiem walka między praworękim i mańkutom jest cięższa dla obu, ponieważ ciosy przychodzą z odwrotnej strony, tak że tarcze gorzej osłaniają walczących.

Obaj wyglądali na wojowników, z którymi niewielu tylko zechciałoby się zmierzyć dobrowolnie, i żaden z nich nie okazywał najmniejszej obawy co do wyniku spotkania. Orm był o głowę wyższy od Sigtrygga i dłuższe miał ramiona. Sigtrygg za to tęższej był budowy i wyglądał na silniejszego. Trzymali tarcze przed sobą na piersiach, dostatecznie wysoko, aby szybko móc zakryć szyję, a oczy mieli zwrócone na miecz przeciwnika, by być gotowym na każdy jego cios. Gdy tylko zbliżyli się do siebie, Orm ciał mierząc w nogi Sigtrygga. Ten jednak szybko uskoczył i odplacił mu się mocnym cięciem, które spadło z brzękiem na hełm. Obaj stali się potem ostrożniejsi i parowali wszystkie ciosy tarczami, a król Harald tłumaczył kobietom, że dobrze jest mieć do czynienia z doświadczonymi wojownikami, którzy nie dają się porwać uniesieniu ani też nie odsłaniają się zanadto, ponieważ w ten sposób przyjemności starczy na dłużej.

– I nawet temu, który wiele widział, trudno zgadnąć, kto zwycięży w tej walce – dodał. – Ale czerwonowłose wydaje mi się jednym z najbardziej niezawodnych szermierzy, jakich widziałem, choć tak się boi chłodu. I może być, że po tej walce Sven będzie uboższy o jednego sternika.

Król Sven, który podobnie jak i obaj jarle usiadł przy swoim brzegu stołu, aby mieć twarz zwróconą ku walczącym, uśmiechnął się pogardliwie i odparł, że nikt, kto zna Sigtrygga, nie potrzebuje się o to martwić.

– I choć moi ludzie nie boją się pojedynków – ciągnął – nieczęsto się zdarza, abym któregoś z nich stracił w taki sposób, z wyjątkiem wypadków, gdy biją się między sobą.

W tym momencie wrócił do halli Toke. Kulał i słyhać było, że mruży jakiś wiersz, a gdy przełaził przez ławę na swoje miejsce, widać było, że jedno udo ma całe zakrwawione.

– No i jak tam załatwiliście się z Dyre? – spytał Sigurd Buesson.

– Trwało to trochę – odparł Toke – ale już załatwione. Nikt nie odwracał oczu od walczących, gdyż wyglądało na to, że Sigtrygg dąży do szybkiego rozstrzygnięcia. Nacierał gwałtownie i usiłował dobrać się do nóg i twarzy Orma i do palców zaciśniętych na mieczu. Orm bronił się zręcznie przed ciosami, ale i sam nie mógł dużo zdziałać i widać było, że ma trudności z tarczą Sigtrygga. Była ona większa od jego własnej i sporządzona z twardego drzewa obitego grubą skórą i tylko środkowy bukiel miała z żelaza. Niebezpieczeństwo kryło się w tym, że gdyby miecz ugrzązł w jej brzegu, łatwo mógł ulec złamaniu lub wypaść z ręki. Tarcza Orma sporządzona była cała z żelaza, a ze środka jej sterczał ostry szpic.

Sigtrygg szczyrzył zęby do Orma i pytał drwiąco, czy mu dostatecznie ciepło. Po pierwszym ciosie, który spadł na hełm, po policzku Orma spływała krew. Ponadto dostał on pchnięcie w nogę i skaleczony został w rękę. Sigtrygg zaś walczył jeszcze nietknięty. Orm nie odpowiadał nic na przycinki, lecz cofał się tylko krok za krokiem wzdłuż jednego ze stołów. Sigtrygg, przykurczony i schowany za tarczą, nacierał coraz gwałtowniej naprzód i na boki dla większości widzów zwycięstwo jego wydawało się bliskie.

Nagle Orm skoczył naprzód i złapał cios Sigtrygga na miecz, sam zaś pchnął z całą siłą tarczą w tarczę przeciwnika, tak że zaostrzony szpic przebił skórę i drzewo i utkwił mocno w tarczy Sigtrygga. Orm pocisnął teraz w dół tak silnie, że oba uchwyty tarczy trzasły, a walczący odskoczyli uwalniając miecze ze zwarcia i obaj równocześnie cięli znowu. Cios Sigtrygga przeszedł bokiem, robiąc dziurę w kolczudze Orma i raniąc go głęboko. Natomiast cios Orma trafił w szyję i ogromny krzyk podniósł się w halli, gdy głowa Sigtrygga odpadła od tułowia, odbiła się o brzeg stołu i plusnęła do beczki z piwem stojącej przy jego końcu.

Orm zachwiał się na nogach i oparł o stół. Otarł miecz o udo i wsadził go do pochwy, potem popatrzył na bezgłowe ciało leżące u jego nóg i rzekł:

– Widzisz teraz, do kogo należy łańcuch.

X.

O TYM, JAK ORM STRACIŁ NASZYJNIK

Szeroko rozpowiadano o pojedynku na dworze króla Haralda, tak w halli, jak i w kuchni, i w kobiecych komorach. Ci, którzy przyglądali się walce, starali się dobrze zapamiętać wszystko, co tam mówiono i co się działo, aby w przyszłości móc opowiadać innym. Wielce sławiono sposób, w jaki Orm wychwycił tarczę przeciwnika. A islandzki skald Styrbjörna już następnego wieczoru deklamował dźwięcznym ljadahattrem* wiersze o tym, jak to źle stracić głowę w beczce piwa. I wszyscy zgodnie uważali, że nawet u króla Haralda nie co roku bywa taki Jul.

Ale Orm i Toke musieli z powodu ran położyć się do łóża i mało mieli przez jakiś czas uciechy, jakkolwiek braciszek Willibald nacierał ich najlepszymi driakwiami. Rana Toke obrzmiała tak, że chwilami dostawał zawrotów głowy i stawał się niebezpieczny dla otoczenia. Czterech ludzi musiało go trzymać przy zmianie opatrunku. Orm zaś, który miał przerąbane dwa żebra i stracił wiele krwi, czuł się obolały i bardzo osłabiony i nie odczuwał zwykłego sobie apetytu. Uważał to też za zły znak i nie opuszczały go posępne myśli.

Król Harald kazał ich położyć w dobrej komnacie, gdzie ciepło było od murowanego paleniska i gdzie w łóżach rozścielono zamiast słomy siano. Wielu spośród ludzi króla i Styrbjörna przyszło tam pierwszego dnia po ucztę, aby gawędzić o walce i naśmiewać się z gniewu króla Svena. W komorze zrobiło się tak gęsto od ludzi, tyle było gwaru i rwetesu, że aż w końcu braciszek Willibald ostrym głosem musiał wszystkich wygonić. A Orm i Toke wcale nie byli pewni, czy czują się lepiej, gdy mają towarzystwo, czy też gdy są sami. Odeszli od nich teraz także i własni towarzysze, wszyscy z wyjątkiem Rappa, który wyjęty spod prawa w rodzinnych stronach, pozostał w Jellinge. Innym, kiedy minął Jul, zachciało się do domów. Po kilku dniach, gdy sztorm się uspokoił, a lody rozproszyły i król Sven z mrocznym obliczem wyruszył na morze, nie mówiąc do nikogo ani słowa, także i Styrbjörn pożegnał się z królem Haraldem, ponieważ śpieszno mu było w dalszy objazd w celu zbierania ludzi na swoją wyprawę wojenną. I ludzie Orma dostali przejazd na jego okręcie w zamian za to, że podjęli się pomagać przy wiosłowaniu. Styrbjörn chętnie by widział w swojej drużynie Orma i Toke. Sam też przyszedł do ich komory, by im powiedzieć, że bardzo się przyczynili do

* Ljadahattr – staroislandzka stopa poetycka.

przyjemnego spędzenia świąt i że nie powinni zbyt długo się wylegiwać i cackać z swymi zadraśnięciami.

– A pokażcie się na Bornholmie, gdy zaczną ciągnąć żurawie – dorzucił żegnając się – bo dla tak walecznych mężów mam zawsze miejsce na dziobie własnej łodzi.

Po czym odszedł nie czekając odpowiedzi, zaprząnięty pilnymi sprawami. Tak wyglądała ich rozmowa z Styrbjörnem.

Przez chwilę leżeli cicho, a potem Toke rzekł:

*Z radością ten dzień powitam,
Kiedy z pokładu ujrzą Żurawie, bociany, gęsi
Powracające z wyraju.*

Na co Orm melancholijnie odpowiedział po krótkim namyśle:

*Zanim ta chwila zaświta,
Nie mów o gęsiach, ja pójdę,
Gdzie trupa krety i myszy
Wilgotnym nosem trącają.*

Gdy większość gości już się rozjechała i w kuchni mniej było pilnej roboty, braciszek Willibald nakazał gotować dla obu rannych trzy razy dziennie rosół z mięsa, aby pokrzepić ich na siłach. Wtedy to kilka królewskich kobiet zajrzało do ich komory pod pozorem przyniesienia rosółu. A mogły to uczynić bez przeszkód, albowiem król Harald leżał w łóżu z świątecznego przejedzenia i braciszek Willibald oraz brat Mateusz musieli dużo przesiadywać u jego wezglowia wraz z biskupem, aby odmawiać modlitwy i podawać mu środki przeczyszczające kiszki i krew.

Pierwsza wetknęła głowę do komory młoda Mauretanka, którą poznali, gdy po raz pierwszy stanęli przed obliczem króla Haralda.

Toke krzyknął głośno, gdy ją zobaczył, i poprosił, aby podeszła bliżej. Weszła z dzbanem i łyżką i usiadłszy obok Toke, zaczęła go karmić. A z nią przyszła i druga, która usiadła przy Ormie. Była to młoda dziewczyna, wysoka i dobrze zbudowana, o bladej cerze i szarych oczach oraz wydatnych, pięknych ustach. Miała ciemne włosy ujęte w bursztynową przepaskę. Orm nie widział jej przedtem, ale poznać było od razu, że nie należy do służby.

Ormowi trudno było przełknąć rosół, gdyż z powodu rany nie mógł usiąść. Zakrztusił się więc i zaczął kaszleć, a wtedy zabolalo go tak, że poczuł się źle i jęknął. Dziewczyna uśmiechnęła się wówczas i Orm spojrzal na nią ponuro, a kiedy kaszel ustąpił, rzekł:

– Nie leżę tu po to, aby się ze mnie śmiano. Kim jesteś?

– Nazywam się Ylva – odparła dziewczyna – i aż do tej chwili nie wiedziałam, że zasługujesz, by się z ciebie śmiać. Jakżeż możesz stękać z powodu łyżki gorącej zupy, ty, coś zwałił najlepszego woja mego brata Svena?

– To nie zupa – odrzekł Orm. – I nawet kobieta powinna pojmować, że rana taka jak moja sprawia ból. Jeśli jednak jesteś siostrą króla Svena, to może i zupa, którą przyniosłaś, nie jest dobra. Nie podoba mi się jej smak. Czy przysłałaś tu, aby się zemścić za szkodę, jaką wyrządziłem twemu bratu?

Dziewczyna podniosła się i cisnęła łyżkę i dzban na palenisko, tak że zupa rozprysła się na wszystkie strony, sama zaś stała patrząc z gniewem na Orma. Po chwili jednak złagodniała, roześmiała i znowu usiadła na brzegu łoża.

– Nie boisz się pokazać, żeś w strachu – rzekła – i to muszę ci przyznać na pochwałę. Ale jeszcze nie wiadomo, kto z nas dwojga ma bystrzejszy rozum. Widziałam, jak walczyłeś z Sigtryggem, i dobra to była walka. A wiedz, że nikt nie stanie się moim wrogiem robiąc szkodę memu bratu Svenowi. Sigtrygg zaś zbyt już długo chodził po świecie. I choć śmierdziało mu z gęby na milę, między nim a moim bratem wciąż szły rozmowy, że ma mnie dostać za żonę. Gdyby doszło do takiego nieszczęścia, niewiele nocy przeżyłby w tym małżeństwie, bo ja nie zadowolę się pierwszym lepszym. Tak jednak, jak się stało, winna ci jestem wielkie dzięki za twoją pomoc.

– Jesteś zarozumiała i bezczelna i trudniej może porać się z tobą niż z innymi. Ale tak już chyba jest z królewskimi córkami. I nie przeczę, że szkoda by cię było dla takiego jak Sigtrygg. Sam jednak odniosłem w tej walce wiele szkody i nie wiem, jak się to wszystko dla mnie skończy.

Ylva przytakiwała tym słowom, przygryzając koniuszek języka jak gdyby w zamyśleniu.

– Być może, że nie tylko ty i Sigtrygg, i Sven ponieśliście szkodę w tej walce – odezwała się. – Słyszałam o naszyjniku, który ci chciał zabrać Sigtrygg. Mówią, żeś dostał go od króla Południa i że jest najpiękniejszy z wszystkich klejnotów. Chcę, abyś mi go pokazał. I nie potrzebujesz się obawiać, że ci go zabiorę i ucieknę, choć naszyjnik mógłby być mój, gdyby Sigtrygg zwyciężył.

– To istne nieszczęście mieć coś, czego wszyscy chcą dotykać – żalił się smutno Orm.

– Dlaczegoż więc nie pozwoliłeś go wziąć Sigtryggowi? – spytała Ylva. – Pozbyłbyś się wtedy tego kłopotu.

– Jedno już wiem – odparł Orm – jakkolwiek nie znam ciebie długo. Nieczęsto zdoła utrzymać się przy ostatnim słowie ten, kto się z tobą ożeni.

– Nie sądzę, aby cię proszono o wypróbowanie, czyś dobrze zgadł – odparła Ylva. – A już na pewno nie z takim wyglądem jak obecnie, choćbyś nawet miał i pięć naszyjników. Dlaczego nie każesz komuś, by ci obmył włosy i brodę? Wyglądasz gorzej od Smalandczyka. Powiedz no jednak, pokażesz mi naszyjnik czy nie?

– To nieładnie wobec chorego porównywać go ze Smalandczykiem – odpowiedział Orm. – Jestem z dobrego rodu tak po ojcu, jak po matce. Sven o Szczurzym Nosie z Goingii był stryjecznym bratem mego pradziada ze strony matki, po babce zaś pochodzę po kądzieli z rodu Długorękiego. I tylko choroba sprawia, że ciebie tak cierpliwie znoszę i jeszcze nie przepędziłem. Ale i to prawda, że chciałbym, aby mnie umyło, choć w nędznym jestem stanie. A jeśli oddasz mi tę przysługę, zobaczę, czy potrafiśz to lepiej niż karmić mnie zupą. Może jednak królewskie córki nie nadają się do tak pożytecznych rzeczy?

– Narzucasz mi obowiązki dziewczki służebnej – odrzekła Ylva – a nikt przed tobą nie ważył się jeszcze na to. To chyba dlatego, że masz Długorękiego w rodzie. Ale i to prawda, że z przyjemnością zobaczyłabym, jak wyglądasz umyty. Przyjdę więc jutro wcześniej rano i wtedy poznasz, że nadaję się do tego równie dobrze, jak kto inny.

– Chcę też, abyś mnie uczesała – dodał Orm. – A gdy wszystko będzie zrobione ku memu zadowoleniu, pokażę ci naszyjnik.

Tymczasem na sąsiednim łóżu, gdzie leżał Toke, wynikło poruszenie. Mógł on siadać w łóżu, a zupa i bliskość kobiety mocno go teraz rozochociły. Rozmawiali z sobą w jej języku, co jemu szło kulawo. Tym zręczniejszy był za to w posługiwaniu się rękami i coraz to próbował przyciągnąć ją do siebie. Ona zaś broniła się bijąc go łyżką po palcach, nie uchylając się jednak więcej, niż to było konieczne, i wcale nie wyglądała na rozgniewaną. Toke sławił jej piękność, jak tylko umiał, przeklinając swoją chorą nogę, która trzymała go w pozycji siedzącej.

Gdy igraszki ich stały się zbyt głośne, Orm i Ylva odwrócili się do nich. Ylva uśmiechnęła się, ale Orm rozgniewał się i krzyknął na Toke, by zachowywał się rozsądnie i zostawił kobietę w spokoju.

– Jak myślisz – pytał – co powie król Harald dowiedziawszy się, żeś zbyt śmiało pieścił jedną z jego kobiet?

– Może powie tak jak ty, Ormie – wtrąciła Ylva – że to nieszczęście mieć coś, czego każdy chce dotknąć. Ode mnie jednak nie dowie się niczego, ponieważ posiada aż za dużo kobiet jak na swoje lata, a ona, biedaczka, mało ma wśród nas rozrywki i często płacze tak, że trudno ją pocieszyć. Niewiele bowiem rozumie z tego, co się do niej mówi. Toteż nie rób sobie nic z tego, że trochę sobie pożartuje z kimś, z kim potrafi porozmawiać i kto wygląda na dziarskiego chłopca.

Ale Orm upierał się przy swoim, mówiąc, że Toke musi być w takich sprawach ostrożny, dopóki są gośćmi króla Haralda.

Toke uspokoił się tymczasem i trzymał tylko kobietę za jeden warkocz. Tłumaczył przy tym, że Orm niepokoi się całkiem niepotrzebnie.

– Nie ma bowiem tak bardzo o czym gadać – mówił – dopóki z moją nogą jest tak jak obecnie. A ty sam, Ormie, słyszałeś przecież, co powiedział mały księżulo, że król polecił robić wszystko, abyśmy się dobrze czuli, w nagrodę za przykrość, jaką sprawiliśmy królowi Svenowi. Ze mną zaś jest tak, o czym zresztą wszyscy wiedzą, że źle się czuję bez kobiet. A ona wydaje mi się niezrównana mimo mojej choroby i najlepiej mi pomoże wyzdrowieć, bo już poczułem się lepiej. Powiedziałem jej, aby przychodziła tu jak najczęściej, by pomóc mi stanąć na nogi, i nie sądzę, aby się mnie bała, choć ją trochę poklepałem.

Orm burczał niechętnie dalej, w końcu jednak wyszło na to, że obie kobiety przyjdą następnego ranka, aby obmyć im włosy i brody. Tymczasem zaś nadbiegł w wielkim pośpiechu braciszek Willibald, aby opatrzyć im rany. Zwymyślał kobiety za rozlaną zupę i wyгнаł je z komory, i nawet Ylva nie ważyła mu się przeciwstawić, ponieważ wszyscy bali się go, jako że miał moc nad życiem i zdrowiem.

Gdy Orm i Toke zostali już sami, leżeli przez jakiś czas cicho, rozmyślając. Potem Toke się odezwał:

– Szczęście znów nam sprzyja, od kiedy kobiety znalazły do nas drogę. Zaraz i duch wstąpił we mnie lepszy.

A na to Orm:

– Nieszczęście blisko, jeśli nie potrafisz poskromić swej chuci. I chciałbym zaiste mieć trochę pewności, że to potrafisz.

Toke odrzekł, że ma nadzieję, że mu się to uda, jeśli tylko poważnie spróbuje.

– Ale to prawda – ciągnął – że ona nie miałaby chyba zbytnej ochoty mi się opierać, gdybym był zdrow i bardziej natarczywy. Stary król to niewiele dla takiej kobiety jak ona, zwłaszcza że ostro była trzymana od czasu, kiedy się tu znalazła. Nazywa się Mirah i pochodzi z Rhonda, z dobrego rodu. Została porwana przez Normanów, którzy przyszli

nocą, zabrali ją i wiele innych i sprzedali królowi Corku. Ten zaś posłał ją z powodu rzadkiej piękności w darze swemu przyjacielowi królowi Haraldowi. Mirah mówi, że przykładałaby większą wagę do tego zaszczytu, gdyby podarowano ją komuś młodszemu i z kim mogłaby rozmawiać. Nieczęsto widziałem kobietę tak bujną jak ona, tak pięknie zbudowaną i tak gładką. Ale i ta, co siedziała przy tobie, godna jest pochwały, jakkolwiek wydała mi się może trochę za smukła i za chuda. Robi wrażenie, że ci sprzyja. A tu widać, jakimi to jesteśmy mężami, skoro zdobywamy względy takich kobiet nawet na łożu boleści.

Ale Orm odparł, że nie myśli wcale o miłości kobiet, gdyż czuje się coraz bardziej zmęczony i nędzny i może niedużo mu już pozostało do życia.

Następnego dnia rano, gdy tylko zrobiło się jasno, kobiety przyszły, tak jak zapowiedziały, przynosząc z sobą gorący ług, wodę i ręczniki. Z wielkim staraniem umyły Ormowi i Toke włosy i brody, co było szczególnie trudne u Orma, który nie mógł usiąść. Ale Ylva podparła go ramieniem, chodziła koło niego ostrożnie i wywiązała się z zadania świetnie, tak że ług nie zaszedł mu ani do oczu, ani do ust, a mimo to Orm zrobił się czysty i schludny. Usiadła potem u wezłowia, wzięła jego głowę na kolana i zaczęła go czesać. Pytała przy tym, czy nie jest mu tak niewygodnie leżeć, ale Orm odrzekł, że musi przyznać, iż bardzo mu przyjemnie w tej pozycji. Trudno było rozczesać jego włosy, grube, nastroszone i poskręcane po myciu. Ale poradziła sobie z tym z taką cierpliwością, że uważał, iż nigdy nie był lepiej uczesany. Rozmawiała z nim tak poufnie, jak gdyby od dawna już byli przyjaciółmi, i Orm czuł, że mu dobrze, gdy ma ją przy sobie.

– Jeszcze raz będziecie chyba musieli dać sobie zmożyć głowy, zanim staniecie na nogi – mówiła – bo biskup i jego pomocnicy lubią chrzcić tych, co leżą chorzy. I to nawet dziwne, że jeszcze dotąd do was z tym nie przyszli. Tak właśnie zrobili z moim ojcem, gdy leżał ciężko chory i już prawie nie wierzył, że wyzdrowieje. Ludzie uważają też przeważnie, że w porze zimowej najlepiej zostać ochrzczone na łożu podczas choroby. Wtedy bowiem księża leją wodę tylko na głowę, podczas gdy kiedy indziej trzeba się skąpać w morzu całkowicie, a niewielu jest takich, którzy lubią, gdy woda jest lodowato zimna. Jest to ciężka przeprawa dla samych księży, sinieją na twarzach, zmuszeni stać po kolana w wodzie, i dzwonią zębami tak, że prawie nie mogą wybełkotać swoich błogosławieństw. Dlatego też chrzczą, dopóki trwa zima, najchętniej tych, co leżą w łożu. Mnie jednak biskup ochrzcił na midsommar, które oni nazywają dniem Chrzciciela, i wtedy nie było to wcale przykre. Wraz z siostrami przykucnęłyśmy dookoła niego w wodzie, ubrane w same tylko koszule, a on czytał nad nami modlitwy. A kiedy podniósł rękę, zacisnęłyśmy nosy i zanurzyłyśmy się z głową. I ja wytrzymałam pod wodą najdłużej z nas wszystkich, tak że mój chrzest uważają

za jeden z najlepszych. Potem zaś dostałyśmy pobłogosławioną odzież i każda z nas otrzymała po małym krzyżyku na szyję. I nie przyniosło to nam żadnej szkody.

Orm odpowiedział, że dobrze zna przeróżne dziwne zwyczaje, ponieważ przebywał na Południu, gdzie nikomu nie wolno było spożywać wieprzowiny, i u mnichów w Irlandii, którzy również nagabywali go usilnie, aby się ochrzcił.

– Trudno mi przychodzi zrozumieć – mówił – jaka z tego może być korzyść dla ludzi albo radość dla bogów. I chciałbym zobaczyć takiego biskupa lub jakiegokolwiek innego kapłana, który by mnie zmusił do włożenia z głową do zimnej wody, bez względu na to, czy to byłoby w lecie, czy w zimie. Nie odczuwam też najmniejszej ochoty, aby pozwolić im lać sobie wodę na głowę podczas wygłaszania modlitw. Bo jestem głęboko przekonany, że trzeba się dobrze wystrzegać wszelkiego rodzaju zaklinań i zamawiań.

Ylva opowiadała, że kilku z ludzi króla Haralda skarżyło się po chrzcie na postrzał w krzyżach i że domagali się za to grzywny od biskupa, ale że poza tym nie zauważono żadnych szkodliwych skutków i że obecnie wielu jest takich, co wręcz przeciwnie, uważają, iż chrzest przynosi korzyść dla zdrowia. Księża nie mają też nic przeciwko wieprzowinie, o czym zresztą Orm mógł sam się przekonać podczas świąt, i nie mieszają się też zbytnio do tego, co ludzie jedzą. Tylko w wypadku gdy się ich częstuje koniną, spluwają i zegnąją się krzyżem z obrzydzeniem. Czasem słyszy się także, jak burczą, że ludzie nie powinni jadać mięsa w piątki. Ale ojciec jej oświadczył im, że nie chce więcej słyszeć takiego gadania. A ona sama nie może powiedzieć, by zauważyła jakieś niedogodności nowej wiary, choć niektórzy twierdzą, że zbiory stały się gorsze, a mleko krowie rzadsze od czasu, kiedy zaczęto zaniedbywać starych bogów.

Przeciągnęła grzebieniem wolno przez kłęb włosów, który rozczesywała, po czym podniosła grzebień pod światło, dokładnie go oglądając.

– Nie wiem, jak to możliwe – rzekła – ale wygląda, że w twoich włosach nie ma ani jednej wszy.

– Nie może być! – obruszył się Orm. – To grzebień musi być do niczego. Czesz mocniej.

Odpowiedziała, że wzięła grzebień doskonały na wszy, po czym szarpnęła tak mocno, aż go zapiekła skóra na głowie. Ale i teraz nie można było odkryć żadnej wszy.

– W takim razie źle ze mną – zasmucił się Orm – i to nawet jeszcze gorzej, niż przypuszczałem. Widać choroba weszła w krew.

Ylva zauważyła, że może niebezpieczeństwo nie jest aż tak groźne, ale Orm wziął to sobie bardzo do serca. Leżał w milczeniu przez cały czas czesania i tylko chrząkał żałośnie na

paplanie dziewczyny. Za to Toke i Mirah mieli sobie tymczasem wiele do powiedzenia i wyglądało na to, że czują się z sobą coraz lepiej.

Skończywszy wreszcie czesać włosy i brodę Orma Ylva z zadowoleniem przyglądała się swemu dziełu.

– Nareszcie przypominasz trochę mniej stracha na wróble, a trochę więcej hövdinga – powiedziała. – Niewiele kobiet uciekłoby teraz przed tobą, a wszystko to mnie masz do zawdzięczenia.

Wzięła tarczę, wytarła ją ramieniem w miejscu, gdzie powierzchnia była najmniej uszkodzona od ciosów, i podsunęła mu ją przed oczy. Orm zaś przyjrzał się swemu odbiciu i skinął z uznaniem głową.

– Dobrze mnie uczesałaś – rzekł. – Lepiej, niż przypuszczałem, że potrafi to zrobić królewska córka. Być może jednak, że i ty lepsza jesteś od innych. Więc zasłużyłaś sobie, abym spełnił twoją prośbę.

Rozwiązał kaftan u szyi, wy dobył z zanadrza naszyjnik i wręczył go Ylvie. A ona wydała okrzyk, gdy klejnot znalazł się w jej dłoniach, ważyła go w ręku i przyglądała się jego piękności. Także i Mirah odeszła od Toke i szybko przybiegła, aby przyjrzeć się kosztowności, wydając okrzyki zachwytu. Orm zaś rzekł do Ylvy:

– Włóż go na szyję!

Zrobiła jak kazał. Naszyjnik był długi i zwisał jej aż na piersi, na pętliczki stanika. Jej zaś aż ręce się trzęsły z pośpiechu, gdy ustawiała tarczę na stojącej pod ścianą ławie, aby przyjrzeć się w niej swemu odbiciu.

– Jest taki długi, że można go dwa razy okręcić dokoła szyi – zachwycała się nie mogąc oderwać odeń oczu ani palców. – Jak to trzeba nosić?

– Almanzor trzymał go w skrzyni – odparł Orm – i nikt go tam nie mógł oglądać. Od kiedy zaś stał się moją własnością, nosiłem go pod kaftanem, aż otarł mi skórę, i nie pokazywałem bez potrzeby aż do tych świąt. A jak tylko go teraz pokazałem, zaraz wynikła z tego dla mnie bieda. Ale nikt nie może zaprzeczyć, że teraz znalazł się wreszcie na lepszym miejscu. Tak więc, Ylvo, jest teraz twój i możesz go nosić, jak tylko ci się będzie podobało.

Oburącz trzymając naszyjnik wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami.

– Czyś stracił rozum? – spytała. – Cóżem zrobiła takiego, abyś mi dawał taki dar? Najszlachetniejsza królowa przespałaby się z berserkerem za klejnot mniejszej wartości.

– Dobrze mnie uczesałaś – odparł Orm uśmiechając się. – A my, z rodu Długorękiego, dajemy drogocenne dary w odpłatę albo nie dajemy żadnych.

Mirah chciała także przymierzyć naszyjnik, lecz Toke kazał jej wracać i nie zajmować się klejnotem. I taką miał już nad nią władzę, że usłuchała. A Ylva rzekła:

– Może i ja będę musiała chować go za pazuchę. Bo moje siostry i wszystkie inne kobiety na dworze zechcą mi z tego powodu wydrapać oczy. Ale choćbyś nawet nie wiadomo jak blisko był spokrewniony z Długorękim, nie rozumiem wciąż jeszcze, dlaczego mi go dajesz.

Orm westchnął na to i odparł:

– Cóż mi po nim, gdy wyrosnie na mnie trawa? Wiem, że muszę umrzeć, skoro nawet wszy nie czują się na mnie dobrze. A już i przedtem miałem złe przeczucie. Może być, że dostałabyś go ode mnie także, gdybym nie był naznaczony śmiercią, wtedy jednak chciałbym za to coś w zamian. Wydajesz mi się godna nosić taki klejnot i wierzę, że potrafisz się obronić, gdyby ci ktoś chciał wydrapać oczy. A sam chciałbym żyć i widzieć ciebie w tym naszyjniku.

XI.

O GNIEWIE BRACISZKA WILLIBALDA I O TYM, JAK ORM PRÓBOWAŁ SIĘ JAKO ZALOTNIK

Nie minęło wiele czasu i tak jak przepowiadała Ylva, biskup zaczął rannych nachodzić i namawiać, aby się ochrzczili. Nie miał jednak powodzenia u żadnego z nich. Orm zniecierpliwiał się szybko i oświadczył, że nie chce o tych sprawach słuchać, ponieważ i tak niebawem umrze. A Toke powiedział, że jeśli chodzi o niego, to nie potrzebuje niczego podobnego, gdyż czuje, że niedługo wyzdrowieje. Biskup polecił bratu Mateuszowi zjednać ich cierpliwością i dawać im nauki. A kiedy ten kilkakrotnie usiłował nauczyć ich wyznania wiary, nie bacząc na prośby, aby zostawił ich w spokoju, Toke kazał sobie przynieść oszczep o wąskim i dobrze wyostrzonym grocie i przy najbliższym pojawieniu się brata Mateusza podniósł się w łóżu, opierając się na łokciu, i rzekł wając oszczep w wolnej ręce:

– Źle jest łamać mir na królewskim dworze, lecz nikt nie może nic zarzucić, gdy robią to chorzy w obronie własnej. I brzydko jest także zapaskudzić podłogę w komorze, a wygląda na to, że taki grubas jak ty dużo ma krwi. Myślę jednak, że jeśli przygwożdżę cię tym oszczepem mocno do ściany, rozlew krwi nie będzie może tak wielki. Niełatwa to sprawa dla leżącego w łóżu, ale zrobię, co tylko będzie w mej mocy. I stanie się to natychmiast, gdy tylko otworzysz usta, by pleść te bzdury, których nie chcemy słuchać.

Brat Mateusz stał blady, zasłaniając się wysuniętymi przed siebie dłońmi, i wyglądało, że chce coś powiedzieć. Potem wstrząsnął nim dreszcz i szybko wycofał się z komory, zamykając za sobą drzwi. Odtąd nie zakłócił im już spokoju. Natomiast braciszek Willibald, który nigdy nie okazał najmniejszej oznaki strachu, przychodził jak zwykle i opatrywał ich rany, surowo wyrzucając im, że wystraszyli brata Mateusza.

– Tęgi z ciebie chłop, choć jesteś taki mały – rzekł do niego Toke. – I dziw, że lubię ciebie bardziej od innych tobie podobnych, mimo że jesteś niegrzeczny i zrzędny. Ale to może dlatego, że nie próbujesz nas przekonać do chrześcijaństwa, lecz zadowalas się opatrywaniem naszych ran.

Braciszek Willibald odrzekł, że żyje dłużej od innych w tym kraju ciemności i dlatego zdążył już oduczyć się dziecinady.

– Z początku – mówił – byłem równie gorliwy jak każdy inny braciszek reguły świętego Benedykta i chciałem chrzcić wszystkich pogan. Teraz jednak wiem, co przynosi pożytek, a co jest próżną tylko marnością. W tym kraju powinno się chrzcić dzieci, a także i kobiety,

które nie wytarzały się jeszcze zbytnio w grzechu, jeśli da się takowe znaleźć. Natomiast dorośli mężczyźni wpadli tu już zupełnie pod panowanie diabła i dla sprawiedliwości boskiej muszą płonąć w ogniach piekielnych, choćby nie wiadomo jak ich chrzczono. Żadne bowiem odkupienie nie może być dla nich wystarczające. Głęboko w to wierzę, ponieważ dobrze ich znam, i dlatego nie trwonię czasu na próby przekonywania was obu. – Mówił coraz żywiej, wlepiając gniewnie oczy to w jednego, to znów w drugiego, po czym zaczął wymachiwać rękami i krzyżeć: – Krwawe wilki, zabójcy i złoczyńcy, rozpustnicy i wieprze gadareńskie*, oczka w głowie Belzebuba, chwasty szatana, potomstwo żmij i bazyliiszków, czyżbyście mogli zostać obmyci z winy przez chrzest i stanąć biali jak śnieg pośród świętych pańskich? Nigdy, mówię, przenigdy! Od dawna już żyję na tym dworze, za wiele widziałem, znam was, znam was zbyt dobrze. Żaden biskup i żaden ojciec Kościoła nie zmusi mnie, bym uwierzył w coś podobnego. Co by to było, gdyby wpuścić Normanów do królestwa niebieskiego? Zaczepialibyście święte dziewice nieprzystojną mową, podnosilibyście wojenny zgiek przeciw serafinom i archaniołom i wrzeszczelibyście o piwo przed obliczem samego Pana Boga. Nie i nie, ja wiem, co mówię, piekło – to jedyne dla was miejsce bez względu na to, czyście chrzczeni, czy nie, chwała niech będzie Wszechmogącemu na wieki wieków, amen!

Rozgoryczony, gmerał wśród swoich puzderek i opatrunków, po czym podszedł do Toke, aby przyłożyć mu driakiew na ranę.

– Dlaczegoż więc robisz, co tylko potrafisz, żeby nas wyleczyć – spytał Orm – skoro twoja złość na nas jest aż tak wielka?

– Robię to dlatego, bom chrześcijanin i umiem odpłacać dobrem za zło – odpowiedział Willibald. – A to więcej, niż wy kiedykolwiek zdołacie się nauczyć. Czyż nie noszę jeszcze na głowie znaków w miejscu, gdzie król Harald ugodził mnie świętym krucyfiksem? A przecież mimo to pielęgnuję co dzień z wielką starannością jego stare, zepsute cielsko. Ponadto zaś z pożytkiem może być utrzymywanie w tym kraju przy życiu wielkich wojów takich jak wy. Albowiem pošlecie wielu jeszcze sobie podobnych do piekła, zanim sami tam pójdziecie, jak widziałem, żeście to już uczynili w czasie świątecznej uczyty. Niech wilk rozszarpie wilka, to owieczkom Bożym lżej będzie na tej ziemi.

Kiedy pozostawił ich samych, Toke rzekł, że na jego rozum mały człowieczek oszalał od uderzenia w czerep, kiedy to król zdzielił go krucyfiksem, albowiem nie można było pojąć większej części tego, co wykrzykiwał. A Orm zgodził się z nim co do tego. Obaj jednak

* Wieprze gadareńskie, o których Pismo Święte mówi, że zostały opętane przez diabła.

przyznali, że był on ogromnie gorliwy w sztuce lekarskiej i że przykładał wiele starań do ich pielęgnowania.

Toke poczuł się lepiej i niebawem mógł już kuśtykać po komorze, a nawet i poza jej obrębem. Orm leżał więc teraz sam i nudził się bardzo z wyjątkiem chwil, kiedy przychodziła doń Ylva. Gdy siadała na jego łożu, mniej myślał o umieraniu, bo zawsze była rozmowna i wesoła, tak że bardzo lubił jej słuchać. Wpadał jednak w zły humor, gdy mówiła, że wygląda coraz zdrowiej i że wnet wydobrzeje zupełnie. Zwykł wtedy odpowiadać, że sam wie najlepiej, jak z nim jest źle. Niebawem jednak mógł istotnie usiąść w łożu, nie odczuwając zbyt wielkiego bólu. A gdy Ylva następnym razem go czesała i znalazła na grzebieniu dużą, zdrową i opitą krwią wesz, zamyślił się i powiedział, że teraz to już nie wie, co ma o tym sądzić.

– Nie martw się tylko z powodu naszyjnika – powiedziała Ylva. – Dałeś mi go, sądząc, że umrzesz, i to ci obecnie ciąży, gdy widzisz, że będziesz żyć. Ale chętnie ci go oddam, jakkolwiek jest piękniejszy od wszystkiego, co widziano w tym kraju. Nie chcę bowiem, abyś mówił, że wyłudziłam od ciebie twoje złoto, kiedy byłeś słaby od ran. A już od wielu to słyszałam.

– To prawda, że dobrze byłoby zachować taki klejnot w rodzinie – odparł Orm – ale najlepiej dla mnie, gdybym mógł zatrzymać i ciebie, i naszyjnik, którego bez ciebie nie chcę mieć z powrotem. Zanim jednak zapytam o to twojego ojca, chciałbym wiedzieć, co ty o tym sądzisz. Albowiem pierwszy raz, kiedy rozmawialiśmy z sobą, dowiedziałem się, że zamierzałaś wbić nóż w Sigtrygga w małżeńskim łożu, gdyby mu ciebie oddano. I chciałbym wiedzieć, czy dla mnie żywiłabyś lepsze myśli i uczucia.

Ylva śmiała się do rozpuku mówiąc, że nie powinien być zbyt pewnym siebie.

– Jestem bowiem gorszą złością, niż przypuszczasz, i trudno ze mną dojść do ładu. A królewskie córki są jeszcze gorsze od innych dziewcząt, gdy wydane zostaną za męża, i potrafią nawet uśmiercić królów, jeśli nie czują się z nimi dobrze. Czy słyszałeś, co się stało w dawnych czasach z Agne, królem Swijów, gdy zdobył sobie za żonę niechętną mu córkę królewską z zamorskich krain Wschodu? Spał z nią pierwszej nocy w namiocie pod drzewem. A kiedy już zasnął na dobre, uwiązała sznur do łańcucha, który nosił na szyi – a był to dobry, mocny łańcuch – i powiesiła go na drzewie, choć był to wielki król, a ona miała do pomocy w swym dziele tylko dziewczkę służebną. Dlatego też dobrze się zastanów, zanim popróbujesz szczęścia ze mną.

Pochyliła się naprzód i pogładziła go po czole oraz uszczypnęła w ucho, patrząc mu z uśmiechem w oczy. A Orm poczuł się od tego zaraz lepiej, jak nie czuł się od dawna.

Potem jednak dziewczyna spoważniała, jak gdyby nad czymś się zastanawiając, i rzekła, że wszystko to jest czczym gadaniem, dopóki ojciec jej nie powie, co myśli o tej całej sprawie. Ona zaś przypuszcza, że trudno będzie uzyskać jego zgodę, jeśli Orm nie ma więcej posiadłości, bydła i złota niż inni.

– Ojciec skarży się często na to, że ma tyle niezamężnych córek – mówiła – ale jakoś wolno mu idzie ze znalezieniem dla nas małżonków, którzy byliby według jego mniemania dostatecznie bogaci i poważni. To nie tak wesoło, jak sądzą ludzie, być królewską córką. Bo wielu dzielnych, młodych ludzi robi do nas miny po kryjomu i łapie nas za spódnice, gdy nikt tego nie widzi, ale niewielu tylko odważa się mówić z naszym ojcem. Ten zaś, który się na to odważy, wychodzi z tej rozmowy jak zmyty. To wielka szkoda, że ojcu tak zależy, aby wydać nas za mąż bogato, jakkolwiek prawdą jest może, że biedak nie nadawałby się dla mnie na męża. Ale ty, Ormie, który możesz podarować taki naszyjnik i który pochodzisz z rodu Długorękiego, musisz chyba należeć do najbogatszych wielmożów w Skanii?

Orm odrzekł, że ma nadzieję, iż dogada się z królem Haraldem, ponieważ cieszy się jego życzliwością tak z powodu dzwonu świętego Jakuba, jak i owego pojedynku.

– Sam jednak nie wiem – dodał – jakie bogactwo czeka na mnie w domu, w Skanii, ponieważ na siódmy rok już idzie od chwili, gdy stamtąd wyszedłem. Dlatego też nic mi nie wiadomo o moich krewnych. Być może, że mniej ich żyje niż wtedy, kiedy widziałem ich po raz ostatni, i że mój udział w spuściźnie polepszył się od tego czasu. Prócz naszyjnika przywiozłem jednak z Południa jeszcze więcej złota. I nawet gdybym nie posiadał nic oprócz tego, com przywiózł stamtąd, nie byłbym biednym człowiekiem. A więcej mogę jeszcze przecież zdobyć, tak jak zdobyłem tamto.

Ylva smutna przytakiwała, ale powiedziała, że nie brzmi to zbyt obiecująco, zważywszy, jak srogi jest jej ojciec. A Toke, który nadszedł w czasie ich rozmowy, też był tego zdania i orzekł, że trzeba tutaj koniecznie zasięgnąć jeszcze czyjejs dobrej rady.

– A tak się złożyło – ciągnął – że właśnie ja mogę wam powiedzieć, jak najpewniej zdobyć dziewczynę bogatą i wysokiego rodu, wbrew woli ojca, lecz nie samej dziewczyny. Dziadek mój po kądzieli zwał się Tonne z Przylądka i żył z handlu, który prowadził ze Smalandczykami. Miał niewielką zagrodę i tuzin krów oraz dużo sprytu. I kiedy pewnego razu, w czasie handlowej wyprawy, zobaczył w Varend dziewczynę imieniem Gyda, córkę tamtejszego znaczniejszego kmiecia, postanowił ją zdobyć, zarówno by zyskać na znaczeniu, jak i dlatego, że zachwycił się jej piękną postawą i grubymi, rudymi warkoczami. Ale ojciec dziewczyny, który nazywał się Glum, był człowiekiem pysznym i wyniosłym i oświadczył, że Tonne nie jest godny zostać jego zięciem, choć sama dziewczyna innego była zdania. Gyda

i Tonne postanowili nie trapić się złością starego, lecz poszukać innego wyjścia. Wnet też znaleźli radę i spotykali się w lesie, dokąd Gyda chodziła ze służebnymi dziewczkami zbierać orzechy. I z tego spotkania się zaszła w ciążę, a Tonne bił się dwukrotnie z jej bratem, tak że potem aż do śmierci nosili po tym ślady. A kiedy Gyda urodziła bliźniaki, stary zmiarkował, że nie opłaca się dłużej opierać. Pobrali się więc i zawsze żyli z sobą w zgodzie i mieli potem jeszcze siedmioro dzieci. A wszyscy w naszych stronach sławili spryt i szczęście mojego dziadka, tak że mir, którym się cieszył, bardzo się zwiększył, zwłaszcza od chwili gdy Tonne otrzymał po starym Glumie okazały spadek. I gdyby dziadek mój nie potrafił sobie tak sprytnie poradzić ze swoim małżeństwem, ja nie siedziałbym dziś tutaj i nie dawał wam pożytecznych rad, bo matka moja była właśnie jednym z owych bliźnięt z orzechowych krzaków.

– Jeśli to już koniecznie muszą być bliźnięta, aby był z tego jakiś pożytek – zauważyła na to Ylva – to radę tę łatwiej pochwalić niż wykonać. Oprócz tego zaś jest różnica między kmieciem z Vorend a królem Dunów i wcale nie jest pewne, czy próba taka okazałaby się równie pomyslna dla nas.

Orm był zdania, że można wiele mówić tak za, jak i przeciw radzie Toke, jakkolwiek nie bardzo ma tu czego słuchać człowiek chory i pozbawiony sił.

– Najpierw jednak – zdecydował – chcę stanąć na nogi i rozmówić się z królem Haraldem.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim do tego doszło, ale w końcu Orm wyzdrowiał, rana wygoiła się i zaczął przychodzić do sił. Miało się wtedy już ku końcowi zimy. Król Harald czuł się znów rześki i dobrej myśli i wiele miał roboty z przygotowaniem statków. Zamierzał bowiem wyprawić się do Skanor na pobór podatku od śledzia, a nadto chciał posłać Styrbjörnowi obiecane łodzie.

Kiedy Orm udał się do króla Haralda i wyłuszczył mu swoją sprawę, król, usłyszawszy o jego pragnieniu, nie okazał żadnej niechęci. Zapytał tylko natychmiast, jak stoją jego sprawy, skoro waży się myśleć o tak dobrym ożenku. Orm opowiedział mu na to o swym rodzie i pochodzeniu, o posiadłościach swego ojca oraz o tym, co sam przywiózł z obcych krajów.

– Oprócz tego zaś są jeszcze grunta w Goingii, których matka moja spodziewa się w spadku – dorzucił – ale o tym niewiele potrafię powiedzieć. Nie wiem też, jak powodzi się obecnie mojej rodzinie ani kto jeszcze z nich żyje, ponieważ przez siedem lat wiele się mogło u mnie w domu wydarzyć.

– Klejnot, który dałeś dziewczynie, jest darem wielmoży – rzekł na to król Harald. – A i mnie samemu wyświadczyłeś usługi, których nie zapominam. Lecz małżeństwo z córką króla Dunów jest najwyższym celem, do którego może dążyć każdy mąż. I dotychczas nikt nie przyszedł do mnie mając mniej niż to, coś ty tutaj wyliczył. A w dodatku od zagrody twoich ojców oddziela cię jeszcze twój brat. Jeśli żyje on lub jego synowie, jak zamierzasz wtedy wyżywić moją córkę? Zaczynam się powoli starzeć, choć nie widać tego zbytnio po mnie, i bardzo chciałbym widzieć moje córki dobrze powydawane za mąż, kiedy jeszcze sam mogę się o nie zatroszczyć. Bo Sven nie zrobi dla nich dużo, gdy zamknę oczy.

Orm musiał przyznać, że niewiele ma na poparcie swoich starań w tak poważnej sprawie.

– Równie dobrze jednak może tak się złożyć, że gdy przybędę do domu, cały spadek okaże się moim – zauważył. – Ojciec zaczynał się starzeć już siedem lat temu, a brat mój, Odd, co lata wyprawiał się do Irlandii i nie miał ochoty osiąść na stałe w domu. Ja zaś słyszałem, że w ostatnich latach złe przyszły czasy na naszych ludzi w Irlandii, odkąd władzę objął tam król Brian.

Król Harald potaknął i rzekł, że król Brian wytępił w Irlandii wielu Dunów jak również wielu morskich rabusiów krążących koło jej wybrzeży, co nawet niekiedy było z korzyścią, ponieważ niejeden z nich stanowił zakałę Danii.

– Ale temu Brianowi, królowi Munsteru – ciągnął dalej król Harald – urosły teraz rogi od zbytku powodzenia, tak że nie tylko żąda podatków od króla Olofa z Corku, który jest moim przyjacielem, ale również i od króla Sigtrygga z Dublina, który jest moim krewniakiem. Nie do twarzy takie nadymanie się irlandzkiemu królikowi i gdy przyjdzie po temu czas, pošlę na tę wyspę okręty, które poskromią jego butę. Nieźle byłoby schwytać go, przywieźć tutaj i posadzić w dybach u wrót halli, nie tylko ku uciesze mojej drużyny przy piwie, ale także aby jemu samemu dać lekcję chrześcijańskiej pokory oraz ku przestrodze innym. Zawsze bowiem byłem zdania, że król Dunów jest pośród królów tym, którego powinno się szanować najwyżej.

– Wierzę mocno, że jesteś największym spośród wszystkich królów – rzekł Orm. – I nawet wśród Andaluzyjczyków i Maurów są tacy, co znają twe imię i twe czyny.

– Ładnie to powiedziałeś – odparł król Harald. – Poza tym jednak mało mi okazujesz szacunku przychodząc prosić o jedną z moich najpiękniejszych córek, a nie wiedząc przy tym nawet, jak stoją sprawy z twoim dziedzictwem i mieniem. Niemniej jednak nie wezmę ci tego za złe, kładąc to na karb twojej młodości i braku zastanowienia. Ale w sprawie, o którą mnie prosisz, nie odpowiem ci ani tak, ani nie, lecz decyzja moja będzie następująca. Wróć

w jesieni, kiedy znowu tu zawitam i kiedy będziesz już lepiej wiedział, co z twoim majątkiem. Jeśli wtedy uznam twoje bogactwo za wystarczające, dostaniesz dziewczynę dzięki przyjaźni, jaką dla ciebie żywię. W innym razie możesz zawsze liczyć na dobrą służbę w mojej drużynie. Do tego zaś czasu musisz uzbroić się w cierpliwość.

Gdy Orm opowiedział o przebiegu rozmowy, Ylva wpadła w złość. Łzy stanęły jej w oczach i zaczęła krzyczeć, że wydrze staremu brodę za jego skąpstwo i upór, potem zaś natychmiast pójdzie za radą Toke. Kiedy jednak zdołała się trochę opamiętać, uznała, że lepiej tego zaniechać.

– Nie boję się jego gniewu – mówiła – nawet gdy ryczy jak byk i rzuca we mnie dzbanem od piwa. Jestem bowiem dla niego za zwinna i jeszcze nigdy nie udało mu się mnie trafić, a złość przechodzi mu szybko. Tak już jest z nim jednak, że gdy mu się poważnie opierać w czymś, co już raz postanowił, wtedy zakarbowuje to sobie w pamięci na długo i nigdy nie zaniecha okazji do zemsty. Dlatego też najroztropniej jest nie drażnić go, ponieważ wówczas mógłby nabrać urazy dla nas obojga i wydać mnie za pierwszego lepszego tylko po to, aby zrobić na złość i pokazać, kto ma władzę. Wiedz jednak, Ormie, że nie chcę nikogo prócz ciebie i że jesteś dla mnie wart, aby poczekać na ciebie do jesieni, choć będzie mi się cknęło. A jeśli i wtedy ojciec będzie nadal nieprzejednany, nie będę dłużej czekać, lecz pójdę za tobą, dokąd zechcesz.

– Po tym, coś powiedziała, nabrałem znowu otuchy – rzekł Orm z ulgą w głosie.

XII.

O TYM, JAK ORM WRÓCIŁ Z DŁUGIEJ PODRÓŻY DO DOMU

Król Harald zbroił dwadzieścia okrętów na swoją wyprawę. Dwanaście z nich miało pójść do Styrbjörna, z pozostałymi zaś zamierzał zawinąć do Skanor, gdzie potrzebował silnej eskorty przy ściąganiu podatków od śledzia. Wybierał załogi pieczołowicie, wszyscy zaś chcieli dostać się na statki przeznaczone dla Styrbjörna, tam bowiem można było spodziewać się bogatego łupu.

Dużo narodu zjechało do Jellinge, aby zgłosić się na wyprawę króla Haralda, i Orm i Toke rozglądali się wśród tych, którym to się nie udało, chcąc wynająć wioślarzy na powrót do domu na własnym statku. Wioślarze byli jednak drodzy i zdobyć się na taki wydatek było niełatwo, im bliżej bowiem Orm i Toke czuli się domu, tym bardziej skąpili na wszelkie koszty związane z podróżą. Aby uniknąć płacenia, ułożyli się w końcu z pewnym człowiekiem z Fyn, imieniem Aake, że zakupi od nich statek, a w zamian za to postara się o załogę i odwiezie ich obu do domu, Orma do Kullen, a Toke do Lister. Ponadto w czasie podróży mieli być na jego utrzymaniu. Długo targowali się o to wszystko i groziło nawet, że targ skończy się bójką między Toke i Aake, ponieważ Toke chciał jeszcze pewnej sumy pieniędzy, utrzymując, że statek jest prawie nowy, stateczny i żegluje dobrze, mimo że jest mały. Aake jednak nie chciał nic dać; twierdził, że statek jest pochodzenia cudzoziemskiego, źle zbudowany i mało warty, tak że on i bez dopłaty obawia się, iż straci na tym handlu. Poprosił w końcu na rozjemcę koniuszego Hallbjörna i zakończyli handel bez bójkę, lecz z niewielką tylko dopłatą dla Orma i Toke.

Żaden z nich nie miał ochoty iść do Styrbjörna, obaj bowiem mieli co innego w głowie. W dodatku siły wracały Ormowi bardzo powoli, tak że obawiał się, iż będzie cherlał przez całe życie. Ciężyła mu także konieczność rozstania się z Ylvą. A król Harald przydzielił teraz do jej pilnowania parę dworskich kumoszek, aby nie mogli się zbyt często spotykać. Choć jednak babiny były jeszcze dosyć zwawe, skarżyły się mocno, że król dał im zadanie za trudne na ich stare nogi.

Gdy flota stała już gotowa do odpłynięcia, król Harald polecił biskupowi pobłogosławić wszystkie okręty, nie chciał jednak wziąć go z sobą na morze z powodu tego, że księża przynoszą zawsze złą pogodę. Biskup pragnął wybrać się do Skanii, aby zlustrować tamtejszych księży i kościoły i policzyć nawróconych, król jednak oświadczył, że musi to

odłożyć do następnego razu, kiedy jakiś statek uda się w tamte strony. On bowiem nie zamierza nigdy zabierać ze sobą na morze biskupa ani nawet całkiem zwykłego księdza.

– Bo jestem już za stary, aby igrać z nieszczęściem – mówił. – A wszyscy żeglarze doskonale wiedzą, że morskie trolle i wodniki oraz wszystkie inne morskie siły do nikogo nie żywią tak wielkiej nienawiści jak do golonych głów. Tych usiłują potopić, jak tylko znajdą się oni na morzu. Bratanek mój, Harald Złoty, wracał pewnego razu z Bretanii z wielu świeżo schwytanymi niewolnikami przy wiosłach i choć była to zaledwie wczesna jesień, trafił na gwałtowną burzę. A gdy statek jego był już o włos od zatonięcia, zauważył pośród wiosłarzy dwie golone głowy. I po wyrzuceniu ich za burtę miał przez całą resztę podróży wymarzoną pogodę. Ale tak mógł zrobić on, który jest poganinem. Mnie jednak nie licowałoby wyrzucić za burtę biskupa dla uspokojenia pogody i dlatego musi on pozostać tu, gdzie jest.

Owego ranka, gdy flota, a wraz z nią Orm i Toke mieli odpłynąć, król Harald w białym płaszczu i srebrnym hełmie nadszedł wzdłuż mostków z wielką świtą, udając się na swój okręt, a przed nim niesiono jego znak. Kiedy zaś doszedł do miejsca, gdzie leżał statek Orma, zatrzymał się i kazał czekać drużynie, sam zaś zaszedł do Orma, aby zamienić z nim parę słów.

– Chciałem okazać ci ten zaszczyt – mówił – aby widziano naszą przyjaźń i aby nikt nie sądził, że istnieje między nami jakaś uraza dlatego, że ci nie dałem mojej córki Ylvy. Siedzi ona teraz zamknięta u niewiast i robi im piekło. Bo przy jej naturze łatwo mogłoby wpaść jej do głowy przybiec tu, skoro tylko odwrócę się tyłem, i skusić cię do zabrania jej z sobą. To zaś skończyłoby się źle tak dla ciebie, jak i dla niej. Obecnie rozstajemy się na jakiś czas i nie mam dla ciebie żadnego daru, aby wynagrodzić cię za dzwon. Ale to odmieni się chyba na lepsze w jesieni. Wstał piękny wiosenny poranek, niebo było czyste, wiatr łagodny, a król w dobrym humorze. Dokładnie oglądał statek i zwrócił uwagę na jego cudzoziemską budowę. Biegły był we wszystkim i znał się na układaniu pokładu i dulkach od wioseł niczym jakiś budowniczy okrętów. Dojrzał też wiele szczegółów, które uznał za godne podkreślenia. Tymczasem na statek przyszedł Toke zgięty pod ciężarem wielkiej skrzyni, którą niósł na plecach. Zdziwił się mocno na widok króla Haralda, postawił skrzynię na pokładzie i pozdrowił króla.

– Z wielkim przychodzisz ciężarem – zauważył król. – Cóż to tam masz w tej skrzyni?

– To trochę drobiazgów, które powymieniałem dla staruszki matki, na wypadek jeśli jest jeszcze przy życiu – odparł Toke. – Trzeba przywieźć coś z sobą, gdy się było poza domem tak długo jak ja.

Król Harald przytaknął i powiedział, że to dobrze, gdy młodzi ludzie myślą z troską i życzliwie o rodzicach. W stosunku do siebie – dodał – niestety, nie doznał jednak dotąd nigdy niczego podobnego.

– A teraz – rzekł i przysiadł przy tym na skrzyni – jestem spragniony i chcę łyku piwa, zanim się rozstaniemy.

Skrzynia aż jęknęła pod ciężarem i Toke, wyraźnie zaniepokojony, postąpił o krok bliżej. Ale skrzynia wytrzymała. Orm natoczył piwa z beczki i podał królowi, który przypił do nich na pomyślną podróż. Otarł potem pianę z brody i zauważył, że to dziwne, iż piwo smakuje zawsze najlepiej na morzu. Dlatego chce, aby mu ponownie napełnili dzban. Co też się stało i Harald, wypiwszy powoli, kiwnął im głową na pożegnanie i zszedł na ląd zmierzając do swego wielkiego korabia, na którym zatknęto już jego znak z czerwonego jedwabiu, z wyhaftowanymi czarną nicią dwoma krukami o szeroko rozwiniętych skrzydłach.

Orm spojrzął na Toke.

– Dlaczegoś taki blady? – spytał.

– I ja mam swoje troski tak jak inni – odrzekł Toke. – Ty też niezbyt kwitnąco wyglądasz.

– Wiem, od czego odjeżdżam – odparł Orm. – Ale nawet najmądrzejszy nie może mi powiedzieć, kiedy i do czego wrócę.

Wszystkie statki wyszły już na morze i rozplynęły się w różne strony. Król Harald popłynął z flotą w dół pomiędzy wyspy, natomiast statek Orma poszedł o wiosłach w górę wzdłuż wybrzeża, aby wydostać się na pełne morze na północ od Zelandii. Wiatr sprzyjał królewskim statkom i wnet oddaliły się bardzo. Toke patrzył w ślad za nimi, dopóki żagle nie zrobiły się maleńkimi plamkami, po czym rzekł:

Ciężko było,

Gdy król Dunów

Rozsiadł się

Na kruchej skrzyni.

Wierzyć trudno,

Że tobolek

Strzymał zad Sinozębego.

Podszedł do skrzyni, otworzył ją i wyjął z niej swój tobolek, który okazał się Mauretanką Mirah. Wyglądała nędznie i mizernie, bo w skrzyni było ciasno i duszno, a przebywała w niej

przez dobrą chwilę. Gdy Toke postawił ją na nogi, osunęła się z osłabienia na pokład i leżała dysząc i trzęsąc się na wpół martwa, dopóki znowu nie dopomógł jej się podnieść. Wtedy zaczęła płakać rozglądając się dokoła.

– Nie potrzebujesz się więcej bać – uspokajał ją Toke. – On jest już daleko.

Siedziała blada, wpatrując się szeroko rozwartymi, nic niewidzącymi oczyma w statek i otaczających ją ludzi. A wioślarze także rozwierali szeroko oczy, pytając się nawzajem, co to wszystko ma znaczyć. Najbliższy jednak był i najbardziej rozwierał oczy Orm, który wyglądał tak, jakby spadło nań jakieś wielkie nieszczęście.

Szyper Aake zasępiony szarpał brodę.

– Kiedy – zawieraliśmy naszą umowę – odezwał się po chwili do Orma – nic nie wspominałeś, że ma z nami płynąć kobieta. Żądam więc teraz, abys mi przynajmniej powiedział, kim ona jest i dlaczego przybyła na statek w skrzyni.

– Nic cię to nie obchodzi – odrzekł Orm posepnie. – Zajmuj się statkiem, a nam pozwól zajmować się naszymi sprawami.

– Ten, co nie chce odpowiedzieć, ma, być może, nieczyste sprawy do ukrywania – rzekł Aake. – Obcym jestem w Jellinge i niewiele wiem o tamtejszych sprawach. Każdemu jednak nietrudno się domyślić, że coś tu jest nie w porządku i że łatwo może z tego wyniknąć szkoda. Komuście ją ukradli?

Orm siedział na zwoju lin, obejmując rękami kolana, zwrócony grzbietem do Aake. Równym głosem i nie odwracając głowy odpowiedział:

– Daję ci do wyboru dwie rzeczy. Albo zamilknieš, albo też wyrzucę cię na pysk do morza. Wybieraj, co wolisz, i to zaraz. Bo ujadasz jak kundel i zakłócasz mi tym spokój.

Aake odwrócił się i odszedł mrużąc coś pod nosem i spluwając za burtę. I widać było, gdy stanął przy sterze, że dręczą go ponure myśli i że mu ciężko na duchu. A Orm siedział tak jak przedtem wpatrzony prosto przed siebie i pogrążony w myślach.

Gdy kobieta otrząsnęła się już trochę z osłabienia i dostała coś na pokrzepienie, natychmiast zaczęła chorować na morską chorobę i zwiśla przegięta przez burtę, lamentując i nie zwracając uwagi na słowa pociechy, których nie szczędził jej Toke. W końcu zostawił ją tam, przywiązując tylko liną, by nie wypadła, po czym podszedł i usiadł obok Orma.

– Najgorsze jest już za nami – odezwał się – to pewne jednak, że staranie się o kobietę w ten sposób przysparza i strachu, i kłopotu. Niewielu ważyłoby się na coś podobnego, ale może szczęście moje większe jest od innych.

– W każdym razie większe od mojego, i w tym chętnie przyznaję ci słuszność – rzekł Orm.

– To jeszcze nie wiadomo – odparł Toke – bo twoje zawsze było dobre. I lepiej zdobyć córkę królewską niż to, co ja zdobyłem. A nie powinieneś się martwić, że mogłeś zrobić tak jak ja. Twoja dziewczyna była na pewno tak dobrze strzeżona, że nic by się nie dało zrobić.

Orm zaśmiał się przez zęby. Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym polecił Rappowi wziąć ster z rąk Aake, aby ten nie mógł ich podsłuchiwać.

– Sądziłem – odezwał się potem do Toke – że przyjaźń między nami obu jest mocna, jeśli trzymaliśmy się razem tak długo. Ale prawdą jest, co mówią starzy, że długo trzeba wypróbować przyjaciela. I w tym szaleństwie, któreś teraz rozpętał, działałeś tak, jak gdyby mnie w ogóle nie było lub jakby nie warto było nawet o mnie pomyśleć.

– Masz jedną cechę, która nie przystoi hövdingowi – odrzekł Toke – a mianowicie popędliwość. Wielu chwaliłoby mnie za to, że ukradłem kobietę na własną rękę, nie obciążając nikogo moimi kłopotami w tej sprawie. Ty jednak uważasz, iż uchybiono ci w szacunku, boś nie był powiadomiony o wszystkim od początku. Tę przyjaźń nazywam najlepszą, której nie może skazić gniew o takie rzeczy.

Orm, blady z pasji, wlepił w niego oczy.

– Ciężko rozmawiać z takim głupcem jak ty – wyrzeźbił przez zaciśnięte zęby. – Co mnie obchodzi, jak sobie dałeś radę, aby ukraść tę kobietę, albo też czemu trzymałeś to w tajemnicy. O jedno się tylko trapię, żeś zrobił króla Haralda naszym zaciekłym wrogiem i postawiłeś nas poza prawem w jego państwie. Wziąłeś sobie swoją kobietę, mnie zaś przez to samo odciąłeś od mojej. Nie trzeba być popędliwym, aby odkryć wady w takiej przyjaźni.

Toke niedużo miał na swoją obronę, musiał bowiem przyznać, że o tym nie pomyślał. Próbował ułagodzić Orma mówiąc, że król Harald jest już zgrzybiały i że długo nie pożyje, ale dla Orma było to tylko słabą pociechą i im więcej upływało czasu, tym bardziej czuł się odcięty od Ylvy i tym silniejszy kipiał w nim gniew. Gdy na nocleg przybyli do brzegu w osłoniętej od wiatru zatoczce, rozpalili dwa ogniska. Przy jednym siedział Orm ze swymi towarzyszami, przy drugim zaś Aake i jego załoga. Przy ognisku Orma nikt nie kwapił się zbytnio do rozmowy, za to przy drugim Aake i jego ludzie dużo mieli sobie do powiedzenia. Rozmawiali po cichu, tak że przy ognisku Orma nic nie można było dosłyszeć. Po posiłku kobieta usnęła przy ogniu okryta płaszczem. W zapadającym zmierzchu Orm i Toke siedzieli w milczeniu, z dala od siebie. Morze poszarzało od zimnego wiatru, a na zachodzie pojawiły się wielkie zwały chmur. Orm coraz to wzdychał i ciągnął się mocno za brodę. Toke dłużył w zębach. Obaj wrzeli od gniewu.

– Dobrze byłoby już z tym zrobić koniec – odezwał się Orm.

– Powiedz tylko, jak chcesz to załatwić – odparł Toke.

Rapp odszedł trochę na bok, by zebrać drzewo na ogień, a wróciwszy usłyszał ich słowa. Był to mąż milczący, który rzadko tylko mieszał się do cudzych spraw. Teraz jednak rzekł:

– Dobrze byłoby, abyście poczekali z biciem się, ponieważ wnet będzie dla nas inna robota. Ich jest czternastu, a nas trzech, a to dostateczna różnica.

Zaczęli go wypytywać, jakie przynosi nowiny.

– Zamierzają na nas napaść z powodu tej kobiety – opowiadał Rapp. – Obiecują sobie po tym dużo. Usłyszałem to, gdy zbierałem między drzewami chrust na ognisko.

Orm zaśmiał się.

– Coraz lepiej przedstawia się to, coś narobił – rzekł do Toke.

Toke potrząsnął tylko głową i z zatroskaną miną patrzył na śpiącą kobietę.

– Co się stało, to się stało – odpowiedział – i trzeba teraz koniecznie znaleźć na to jakąś radę. Wydaje mi się, że najlepiej będzie natychmiast na nich uderzyć, gdy tak siedzą w spokoju, knując przeciw nam spisek. Jest ich wielu, ale jeszcze nie dorośli, aby takim jak my poradzić.

– Wygląda, że pogoda się psuje – zauważył Orm – a w takim razie nie możemy zabić wielu z nich. Będziemy ich bowiem potrzebować na statku, jeśli nie mamy zamiaru tu utknąć. Najlepiej jednak załatwić zaraz to, co musi być zrobione, bo inaczej kiepsko będzie z naszym nocnym spoczynkiem.

– To prości ludzie z Fyn – rzekł Toke. – I gdy tylko zabijemy Aake i jeszcze paru, inni natychmiast gotowi będą nas słuchać. Ale to twoja sprawa, Ormie, rozstrzygnąć, co robić. Bo może najlepiej będzie napaść na nich podczas snu.

Orm poczuł ulgę, gdy znalazło się coś do zrobienia. Podniósł się od ognia i poszedł na stronę, by nie zwracając uwagi zobaczyć, co się dzieje przy drugim ognisku.

– Siedzi ich koło ognia dwunastu – szepnął siadając po chwili znowu. – To zaś może oznaczać, że niepostrzeżenie dla nas posłali dwóch w głąb łądu, aby wezwać pomocy. W takim razie niebawem będziemy mieli na głowie większą kupę i dlatego najlepiej załatwić się z nimi natychmiast. To ludzie głupi i niezbyt przedsiębiorczy, w innym razie bowiem próbowaliby się dobrać do Rappa, kiedy przed chwilą kręcił się tam samotnie. Ale pokażemy im, że trzeba się pilnować, mając z nami do czynienia. Wy obydwaj podkradniecie się cicho w ślad za mną, gdy pójde z nimi pomówić i oczy ich będą zwrócone na mnie. I jak wszystko pójdzie dobrze, tniście i rąbcie szybko i co siły. Sam muszę iść bez tarczy, ale na to nie ma rady.

Wziął w rękę stągiew, w której trzymali piwo do wieczery, i poszedł do ogniska Aake, aby napełnić ją z beczki wytoczonej tam na łąd. Paru ludzi z załogi ułożyło się już do snu,

większość siedziała jednak nie śpiąc, z oczyma skierowanymi na Orma. Kiedy napełnił stągiew, zdmuchnął z wierzchu pianę i pociągnął łyk piwa.

– Złe drzewo w twojej beczce – rzekł zwracając się do Aake. – Piwo trąci już drzewem.

– Piwo, które znalazło uznanie u króla Haralda, musi wystarczyć i dla ciebie – odparł gniewnie Aake. – Ale przyrzekam ci, że nie będziesz już musiał pić więcej z tego gatunku.

Jego ludzie wybuchnęli śmiechem na te słowa, lecz Orm podał mu stągiew jak gdyby nigdy nic.

– Spróbuj sam, czy nie mam słuszności – powiedział. Aake wziął stągiew nie wstając. A gdy przyłożył ją do ust, Orm kopnął mocno w jej dno tak, że rozdarł szczęki pijącemu, któremu broda opadła na pierś.

– Czujesz smak drzewa? – spytał Orm. I w tejże samej chwili dobył miecza i ciął siedzącego najbliżej, który właśnie poderwał się na nogi.

Ludzi przy ognisku zaskoczyło to wszystko, tak że niemal nie zdążyli chwycić za broń, jak już wpadli na nich z tyłu Toke i Rapp. Potem zaś nie mieli zbyt dużo czasu, aby pokazać, co są warci. Oprócz samego Aake zabito jeszcze czterech, dwóch uciekło w las, pięciu zaś pozostałych zagnano na statek, gdzie z trudem się bronili. Orm zawołał, by rzucili broń, obiecując im darować życie. Zrazu wahali się.

– Nie wiemy, czy dotrzymasz słowa – mówili.

– Chyba tak – odpowiedział im. – Możecie mieć nadzieję, że nie jestem równie wiarołomny jak wy.

Naradzili się z sobą i doszli do wniosku, że nie daje im to zbyt wielkiej gwarancji. Woleliby, jak mówili, raczej odejść z bronią w swoją stronę, zostawiając Ormowi statek i wszystko inne.

– W takim razie gwarantuję, że jeśli nie posłuchacie, zabijemy was na miejscu. I może to będzie wam lepiej odpowiadało – odparł Orm.

To mówiąc wskoczył na statek i nie czekając na Toke i Rappa rzucił się na nich jak na psy, które zasłużyły na chłostę. Szedł z gołą głową, z której hełm spadł strącony kamieniem, z oczyma pałającymi gniewem i zakrwawionym mieczem w dłoni. Zaraz go też posłuchali i rzucili broń, przeklinając Aake. Stracili bowiem ducha widząc, że wszystko poszło zupełnie inaczej, niż im mówił.

Zmierzch już zapadł i dał mocny wiatr, Orm jednak uznał za wskazane nie zabawiać zbyt długo na tym miejscu. Inaczej bowiem – mówił – niedługo mieć będą na karku pół opola Zelandczyków, którzy napadną na nich, aby odebrać własność króla Haralda. Dlatego musieli spróbować szczęścia na morzu, w ciemnościach i burzliwej pogodzie i niewiele mając rąk do

wioseł, a wszystko z powodu sprawy, której następstwa z pewnością długo jeszcze będą odczuwać.

Zbierali się w pośpiechu i wnieśli na statek skrzynię z żywnością i beczkę z piwem. Kobieta płakała cicho, szcękając zębami ze strachu przed taką podróżą, ale weszła na statek nie skarżąc się i nie narzekając. Orm stał z mieczem nad jeńcami, którzy siedzieli przy wiosłach, podczas gdy Toke i Rapp wnosili piwo. Przy tym Toke porał się niezdarnie i powoli. Orm zawołał na nich, żeby się śpieszyli.

– Jakkolwiek chwycę, beczka ślizga mi się w rękach i wymyka z palców – tłumaczył się zmartwiony Toke – bo mam dłoń rozciętą na dwoje.

Orm nigdy jeszcze nie słyszał w jego głosie tyle przygnębienia. Prawa dłoń Toke rozcięta była istotnie wzdłuż najdłuższego palca, tak że palce zwisały w różnych kierunkach.

– Krew ze mnie nie ujdzie – mówił Toke – ale do wiosła ręka ta kiepsko się dziś nadaje. A to niedobrze, bo tego trzeba się przyłożyć, by wyjść z zatoki na morze.

Obmył rękę w wodzie i zwrócił się do kobiety:

– Wiele już bigosu pomogłaś mi dotąd narobić, biedaczko, choć może mniej w tym twojej winy niż mojej. Pokaż, że potrafisz mi pomóc także i w tym.

Kobieta otarła łzy i podeszła do niego. Aż jęknęła cicho, zobaczywszy, jak wielka była rana, ale okazała się zręczna przy opatrunku. Zażądała wina do przemycia rany i pajęczyny na okład, ale z braku tego poradziła sobie wodą, trawą i przezutym chlebem, po czym owinęła mocno rękę paskami płótna oddartymi od własnej koszuli.

– Nawet i najbardziej nieużyteczne stworzenie może przynieść czasem pożytek i teraz jesteśmy już obaj mańkutami – rzekł Orm, a w głosie jego słychać było, że gniew na Toke przycichł w nim nieco.

Odbili z siedmiu ludźmi przy wiosłach i Toke przy sterze. I to wyjście z zatoki oraz opłynięcie przylądka, aby dostać się w zacisze od wiatru, było najcięższym trudem, jaki przeżył Orm od czasu, gdy siedział jako niewolnik na galerach. Trzymał pod ręką oszczep, aby dzielić nim pierwszego spośród jeńców, który by nie spełniał należycie swego obowiązku. Toteż gdy jedno z wiosel wyślizgnęło się z dulki uderzone falą, a ten, który nim robił, upadł na grzbiet, podniósł się zaraz szybko i żwawo wziął się na nowo do wiosłowania. Kobieta skuliła się u stóp Toke zasłaniając ręką oczy ze strachu i wyczerpania. Toke trącił ją nogą i kazał zabrać się do czerpania wody. Ale choć próbowała go usłuchać, nie mogła sobie z tym dać rady. Toteż statek był do połowy wypełniony wodą, gdy w końcu opłynęli cypel przylądka i mogli wreszcie podnieść żagiel i wziąć się do jej wylewania.

Przez całą noc dali się pędzić burzy i sam Orm stał przy sterze. Jedno, co mógł zrobić, to trzymać kierunek na północny wschód w nadziei, że statek nie roztrzaska się o brzeg, nim się rozjaśni. Ale nikt nie sądził, by istniała duża nadzieja przeżycia takiej pogody, jeszcze gorszej od tej, jaką mieli w podróży do Irlandii. A Rapp rzekł:

– Mamy pięciu jeńców, bezbronnych i całkiem w naszej mocy. Nie wiadomo, czy jeszcze będziemy mieli z nich jakąś korzyść przy wiosłach, natomiast mogą przydać się do ułagodzenia pogody, jeśli złożymy ich w ofierze morskim bogom.

Toke przyznał, że plan wydaje mu się dobry i słuszny, że jednak lepiej może tylko zadowolić się wyrzuceniem naprzód jednego lub dwóch, by zobaczyć, czy to się na coś przyda.

Lecz Orm oświadczył, że nie ma nawet o czym mówić, gdyż on obiecał pięciu jeńcom życie.

– I jeśli ty, Toke, chcesz dać coś bogom morza w ofierze – dodał – to nie widzę innej rady jak to, że ofiarą tą musi być twoja kobieta. I może byłoby też najlepiej dla nas wszystkich pozbyć się kogoś, kto spowodował już tyle nieszczęść.

Ale Toke odparł, że nic z tego nie będzie, dopóki on żyje i ma jedną rękę zdatną do udźwignięcia miecza.

Więcej już o tym nie mówili. O brzasku spadł duży deszcz, który otoczył ich jakby nieprzeniknioną zasłoną dymu, i burza zaczęła się uspokajać. A gdy się rozjaśniło, zobaczyli przed sobą wybrzeża Hallandii i zmęczeni dotarli w końcu do ujścia rzeki ze statkiem wypełnionym po brzegi wodą i z czerwonym żaglem zupełnie porwanym.

– Te deski przewiozły mnie od grobu świętego Jakuba aż tutaj – rzekł Orm – i niedaleko jest już do domu. Ale wracam bez naszyjnika i bez dzwonu Jakuba. I niewiele mi przyszło z tego, że rozdałem je po drodze.

– Miecz i statek przywozisz z sobą z tej podróży – odrzekł na to Toke – ja zaś mam miecz i kobietę. A nie dla wszystkich, którzy wyruszyli z Krukiem, podróż skończyła się tak dobrze.

– Wieziemy też do domów gniew wielkiego króla – rzekł Orm. – A gorszego nabytku nie można sobie wyobrazić.

Trudy podróży były już za nimi. Wyszadzili na ląd pięciu jeńców pozwalając im odejść wolno. Potem zaś, odpocząwszy i doprowadziwszy do porządku statek i żagiel, doczekali pięknej pogody i popłynęli w dół wybrzeża przy łagodnym wietrze. Nawet i kobieta nabrała otuchy i pomagała w tym i owym, tak że Orm stwierdził, iż może wytrzymać z nią lepiej, niż przypuszczał.

Wieczór już zapadał, gdy dobili do skalnych występów koło obejścia Toste, przy których leżał statek Kruka, gdy oglądali te strony po raz ostatni. Poszli pod górę ścieżką wiodącą ku zagrodzie, a na czele szedł Orm. Trochę powyżej ścieżka przechodziła przez bystry strumyk. Leżała tam kładka zrobiona z trzech kłód drzewa i Orm powiedział:

– Uważajcie na lewą stronę. Kłoda jest tam zgniła i dziurawa. I wpatrując się w kłodę ciągnął:

– Zgniła jeszcze na długo przed moim wyjazdem i za każdym razem, kiedy ojciec mój tędy przechodził, mówił, że musi to jak najprędzej naprawić. I jeszcze do dziś nie zostało to naprawione ani też nie zapadło się, a przecież zdaje mi się, że długo byłem poza domem. W takim razie może i stary jeszcze żyje.

Nieco dalej ujrzeli na wysokim drzewie bocianie gniazdo, a w nim bociana. Orm zatrzymał się i zagwizdał, a bocian odpowiedział mu biciem skrzydeł i klapaniem dzioba.

– Poznał mnie – ucieszył się Orm – to ten sam bocian, co dawniej, i zdaje mi się, jak gdybyśmy rozmawiali z sobą nie dalej jak wczoraj.

Przeszli potem przez ogrodzenie i Orm rzekł znowu:

– Zamknijcie dobrze wrota. Matka bowiem gniewa się, gdy owce wymykają się z zagrody, a wieczerza jest gorsza, gdy matka jest zła.

Gdy zbliżali się do domu, psy zaczęły ujadać, a w drzwiach stali, wypatrując, ludzie. Jakaś kobieta precisnęła się między mężczyznami i wyszła im naprzeciw. Była to Osa. Choć blada, wyglądała równie żwawo jak dawniej.

– Wróciłem – rzekł Orm.

– Orm – wyrzekła kobieta drżącym głosem. A potem dodała: – Bóg mnie wysłuchał, jakkolwiek długo to trwało.

– Wielu ma teraz do wysłuchiwania – odparł Orm. – Ale nie spodziewałem się, że zostaniesz chrześcijanką.

– Byłam samotna – odpowiedziała Osa. – Ale teraz jest już wszystko dobrze.

– Czy mężczyźni wypłynęli na morze? – spytał Orm.

– Nie mam już żadnych mężczyzn – odpowiedziała. – Odd przepadł w rok po tobie, a Toste zmarł przed trzema laty, tej samej zimy, kiedy to przyszła wielka zaraza na bydło. Ale odkąd poznałam prawdę chrześcijan, mogłam żyć dalej. Wiedziałam bowiem, że wrócisz do mnie dzięki moim modlitwom.

– Dużo jest do omówienia – rzekł Orm. – Dobrze byłoby jednak najpierw coś zjeść. To są moi ludzie. Kobieta zaś jest cudzoziemką i nie należy do mnie.

Osa odparła, że Orm jest teraz panem gospodarstwa i że wszyscy jego przyjaciele są i jej przyjaciółmi. A potem ugościła ich wspianale. Miała łyzy w oczach podając potrawy, o których wiedziała, że Orm lubi je najbardziej. Dużo też było do opowiadania i starczyło tego na wiele wieczorów. Nic jednak nie mówiono o tym, w jaki sposób Toke zdobył swoją kobietę, ponieważ Orm nie chciał martwić matki zaraz po powrocie do domu. Osa polubiła Toke od razu i pielęgnowała jego rozciętą dłoń tak pieczołowicie, że rana niedługo zaczęła się goić. Dla Mirah zaś była czuła jak matka, choć nie bardzo mogły się porozumieć. Chwaliła jej piękność i jej krucze włosy. Żałowała, że Orm i jego towarzysze nie chcieli razem z nią dziękować Bogu za szczęśliwy powrót do domu. Zbyt jednak była szczęśliwa, by się gniewać z tego powodu, i mawiała, że i Orm, i inni zrozumieją to kiedyś lepiej, jak staną się starsi.

Orm czuł się z początku w domu trochę obco, nie przywykł bowiem do radości i łagodności Osy. Dopiero gdy szóstego dnia usłyszał, jak rozpuściła swój ostry język na dziewczki, pomyślał, że zaczyna się znowu robić podobna do siebie.

Między nim i Toke panowała zgoda i nic nie wspominali o Ylvie. Gdy opowiadali Osie o tym, co przeżyli od czasu wyjazdu z Krukiem, Orm odczuwał dawną przyjaźń do Toke i nie szczędził mu pochwał. Kiedy jednak zaczynał myśleć o Ylvie, nastrój jego zmieniał się i widok Toke i jego kobiety wydawał mu się wtedy trudny do zniesienia. Mirah stawiała się z dnia na dzień piękniejsza, śmiała się i śpiewała. Oboje z Toke czuli się z sobą tak wyśmienicie, że prawie nie zauważali trosk innych. Osa była zdania, że powinni mieć z sobą piękne dzieci, na co Mirah uśmiechała się promiennie, mówiąc, że robią, co mogą, by się do tego przyczynić. Osa mawiała też, że zamierza rozejrzeć się jak najszybciej za jakąś żoną dla Orma, ale on odpowiadał z ponurą miną, że pośpiech wcale nie jest potrzebny.

Tak jak sprawy obróciły się obecnie, Toke nie mógł jechać dalej do domu drogą morską, gdyż król Harald stał z flotą koło Skanfir. Postanowił więc jechać lądem do Lister, samowtór z kobietą, bo Rapp został u Orma. Kupił już nawet konie na tę podróż. Pewnego dnia wczesnym rankiem wybrali się w drogę, podziękowawszy uprzednio gorąco Osie za gościnność. Orm odprowadził ich kawałek, aby pokazać miejsce, gdzie droga ich odłączała się od głównego traktu.

– Tu się rozstajemy – rzekł, gdy dotarli do rozstaju. – Życzę ci szczęśliwej podróży. Trudno jednak dobrze wróżyć na przyszłość. Król Harald bowiem będzie ciebie szukać, gdziekolwiek byś się znajdował.

– Już taki nasz los – odparł Toke – że nie mamy szczęścia do władców, choć mamy charakter równie łagodny jak inni. Almanzor i król Sven, i król Harald, z wszystkimi nimi

skończyło się dla nas jednak. I ten, co przyniósłby im nasze głowy, sownie by został wynagrodzony. Ale mimo to zamierzam dobrze strzec swojej.

Potem rozstali się. Toke i Mirah pojechali na wschód i niebawem zniknęli między drzewami. Orm zaś wrócił do zagrody, aby opowiedzieć Osie o groźbie, jaka nad nimi zawisła z powodu gniewu króla Haralda.

CZEŚĆ DRUGA

W PAŃSTWIE KRÓLA ETELREDA

I.

O BITWIE POD MAELDUN I O TYM, CO Z TEGO WYNIKŁO

1

Owej wiosny wiele budowano statków na wybrzeżach Północy i smołowano dna takich, które od dawna już schły wyciągnięte na brzeg. Zatoki i przesmyki wypluwały całe chmary okrętów z królami i ich gniewem, a latem na morzu panował wielki niepokój.

Styrbjörn popłynął wczesną porą w górę Bałtyku z wielu okrętami o załogach z Jomsborga, Bornholmu i Skanii. Zawinął do Malaren i dotarł do równiny koło Uppsali. Tam doszło między nim a królem Erykiem do starcia. I tam też Styrbjörn padł zaraz na początku bitwy, a mówiono, że padł śmiejąc się. Kiedy bowiem ujrzał nacierające wojsko Swijów, uszykowane starodawnym sposobem za końskimi łbami, niesionymi wysoko na drągach, z samym królem Erykiem jadącym pośrodku szyku w starym, świętym wozie zaprzężonym w woły, odrzucił głowę wstecz i wybuchł donośnym śmiechem. W tym momencie nadleciał oszczep, który go trafił pomiędzy brodę i brzeg tarczy i przebił mu gardło. Złamało to ducha u jego ludzi i niektórzy z nich natychmiast rzucili się do ucieczki. A król Eryk osiągnął wtedy wielkie zwycięstwo.

Potem zaś król Sven Widłobrody zapędził się między wyspy duńskie z okrętami z Fyn i Jutlandii, aby pojmać króla Haraldą, który siedział tam licząc wpływy z podatku śledziowego w Skanor. Bo król Sven miał już powyżej uszu tego, że ojcu wcale nie śniło się umierać. Ale król Harald umknął na Bornholm, gdzie udało mu się skupić swoje okręty. Tam też doszło między nimi do ostrych bojów, aż wreszcie król Harald zraniony uciekł do Jomsborga. W wielu stronach duńskiego państwa zapanował wtedy zupełny chaos i rozprężenie. Bo jedni trzymali za królem Haraldem, drudzy za królem Svenem, inni zaś chcieli dopomóc własnemu szczęściu, gdy kraj leżał bezpańsko rozdarty między walczących z sobą królów.

Kiedy jednak lato doszło do zenitu, nadpłynął z Uppsali król Eryk z siłą, jakiej Swijowie dotychczas jeszcze nigdy nie zdołali wystawić, pędząc przed sobą niedobitki floty Styrbjörna, które pładowały swijskie wybrzeże, aby pomścić śmierć swego pana. Eryk chciał się zemścić tak na królu Haraldzie, jak i na królu Svenie za pomoc udzieloną Styrbjörnowi. I wielu uważało, że nie warto opierać się temu, który pokonał Styrbjörna i którego zaczęto teraz

nazywać „Zwycięskim”. Eryk ciągnął w ślad za Svenem, gdy ten wycofywał się z powrotem na wyspy i do Jutlandii, i gdzie tylko przyszedł, osadzał swoich własnych jarłów. Wkrótce też rozeszły się słuchy, że król Harald zmarł z ran w Jomsborgu jako bezdomny wygnaniec bez ziemi, opuszczony przez szczęście, które mu dawniej tak sprzyjało. Ale walka toczyła się dalej między dwoma pozostałymi. Król Eryk miał przewagę, lecz król Sven twardo mu się opierał. Mówiono, że dworzyszcze w Jellinge przechodziło kilka razy z rąk do rąk.

Powszechnie jednak przypuszczano, że to najprawdopodobniej król Sven zdążył pierwszy dobrać się do skrzyń ze srebrem króla Haralda.

W Skanii siedzieli wielmoże, którzy niewielką mieli ochotę mieszać się do tego wszystkiego i raczej woleli, aby królowie załatwili swoje spory na własną rękę, tak aby oni sami mogli zajmować się sprawami, które się bardziej opłacały. Wśród nich znajdował się Thorkel Wysoki, który niezbyt pragnął zostać wasalem króla Svena, a jeszcze mniej chciał się pogodzić z tym, aby z mniejszą niż dotąd władzą siedzieć pod panowaniem króla Eryka. Rozesłał więc między hövdingów i wielkich kmieci zapowiedź, że zamierza wypłynąć w świat do Fryzji i Anglii, jak tylko zbierze dobrą drużynę. Wielu przypadł ten pomysł do smaku, ponieważ Thorkel był bardzo lubianym hövdingiem, a od czasu gdy uszedł z życiem z Hjörungavaag, uważano też, że szczęście mu sprzyja. Pozbawieni wodza woje z wyprawy Styrbjörna, którzy uszli przed królem Erykiem, przyłączyli się do niego także i niebawem w cieśninie pod Hven stały pod jego dowództwem dwadzieścia dwa okręty. Lecz mimo to nie uważał jeszcze się za dostatecznie silnego, aby wypłynąć na morze.

Jednym z tych, co się tam do niego przyłączyli, był Rudy Orm, syn Toste z Kullen, który przywiódł wielki i dobrze obsadzony załogą okręt. Thorkel znał go jeszcze z uczyli święteckiej u króla Haralda i powitał go z radością.

Ormowi szybko znudziło się siedzieć w domu i porać z krowami i parobkami. Trudno mu było także wytrzymać przez dłuższy czas w zgodzie z Osą, jakkolwiek ta pragnęła zawsze tylko jego dobra. Uważała go wciąż jeszcze za niedojrzałego chłopca i stale zasypywała dobrymi radami, jak gdyby nie miał własnego zdrowego rozsądku. Niewiele się przydawało tłumaczenie, że od dawna już przywykł decydować nie tylko o sobie, ale i o innych, a gorliwość, z jaką starała się nakłonić go do ochrzczenia się i ożenku, nie przyczyniała się również do poprawienia humoru i do zadowolenia z pobytu w domu.

Wiść o zgonie króla Haralda przyniosła im obojgu wielką ulgę. Kiedy bowiem Osa usłyszała po raz pierwszy, jak to właściwie było z Toke i jego kobietą, ogarnął ją strach. Sądziła, że powinni sprzedać zagrodę i przenieść się do jej ojcowizny na północy w lasach nad granicą Smalandii, aby czuć się bezpieczniej przed gniewem króla Haralda. Strach ten

skończył się wraz ze śmiercią Haralda. Ale Orm nie mógł się jednak pozbyć myśli o Ylvie i to właśnie było stałym źródłem jego trosk. Często zastanawiał się, jak jej się powodzi po śmierci ojca. Czy król Sven stanowi teraz o jej przyszłości i zamierza wydać ją za jednego ze swoich berserkerów, czy też może wpadła w ręce Swijów, co nie wydało mu się wcale dużo lepsze. Wobec wrogich uczuć, jakie żywił do niego Sven, nie widział Orm żadnego sposobu jej odzyskania, a przynajmniej dopóty, dopóki na wyspach panował zamęt.

Osie nie powiedział dotychczas nic o Ylvie, aby uniknąć wszelkiego niepotrzebnego gadania, którego można się było wtedy spodziewać. Ale niewiele na tym zyskał, Osa знаła bowiem w okolicy wiele dziewcząt, które mogły się dla niego nadawać. A ich matki nosiły się też z tymi samymi co ona myślami i zjawiały się z córkami w odwiedziny, aby pokazać je świeżo wymyte, z czerwonymi nitkami jedwabiu wplecionymi w warkocze. Dziewczęta przychodziły ochoczo i siedziały odziane w brzęczące ozdoby wypinając strome piersi i ukradkiem wielce mu się przyglądając. U Orma jednak nie można było zauważyć zbytniego zapалу, bo żadna z nich nie przypominała mu Ylvy ani też nie była tak żywa i wygadana jak ona. I Osa zaczęła się wnet niecierpliwić, uważając, że nawet samemu Oddowi nie było chyba trudniej dogodzić.

Dlatego też, gdy przyszła zapowiedź, że Thorkel zamierza wybrać się w obce strony na wielką wyprawę, Orm nie dbając wiele o jej lzy, natychmiast postarał się o dobrą łódź i powiadomił o swoich planach sąsiadów. Wszyscy wiedzieli, że był doświadczonym żeglarzem i że przywiózł do domu dużo złota ze swoich wypraw, toteż nie było mu trudno zebrać doborową załogę. Osie powiedział, że tym razem nie będzie chyba poza domem tak długo jak poprzednio i że potem ustatkuje się już i zostanie na dobre kmieciem. Ona zaś płakała mówiąc, że nie potrafi żyć w takiej tropce i opuszczeniu, ale Orm odpowiedział jej na to, że pożyje dużo dłużej od niego i będzie jeszcze pomagać chłostać jego wnuki. Wtedy rozplakała się jeszcze bardziej, po czym się rozstali i Orm odpłynął do Thorkela.

Podczas gdy Thorkel ociągał się jeszcze z wyruszeniem na morze, czekając na pomyślny wiatr, z południa nadpłynęła o wiosłach flota złożona z dwudziestu ośmiu okrętów, a po znakach i stewach łodzi widać było, że to Swijowie. Pogoda była spokojna, dobra do boju, i obie strony przygotowywały się do bitwy. Thorkel oznajmił jednak obcym, kim jest i że chciałby pomówić z ich hövdingami. Tych było dwóch o jednakowej władzy. Jeden nazywał się Jostein i pochodził z Uplandii, drugi zaś, Gudmund, był Ostrogotem. Płynęli do króla Eryka, aby pomóc mu w plądrowaniu Danii, i pytali Thorkela, czego jeszcze chciałby się od nich dowiedzieć.

– Jeśli dojdzie między nami do boju – rzekł Thorkel – mało zyska na tym ten, który zwycięży, a wszyscy doznamy wielkich strat w ludziach. I nie zmieni tego fakt, że to przypuszczalnie ja uzyskam przewagę.

– Mamy o pięć łodzi więcej od ciebie – odparli przybysze.

– Ludzie moi są wypoczęci i dopiero co zjedli poranny posiłek – odparł Thorkel – wasi zaś zmęczeni są wiosłowaniem, a wtedy trudniej władać oszczepem i mieczem. Moglibyśmy jednak postąpić inaczej, co przyniosłoby korzyść nam wszystkim. Istnieją bowiem kraje, gdzie pładrowanie opłaca się lepiej niż w Danii.

– Przybyliśmy tu, aby dopomóc królowi Erykowi – rzekł Uplandczyk.

– Niech i tak będzie – odrzekł Thorkel. – I jeśli będę się z wami bić, to i tak król Sven z tego skorzysta. Natomiast jeśli nie będziemy się bić, lecz razem popłyniemy tam, gdzie wiele można zyskać, wtedy zrobimy dla naszych królów tyle samo, jak gdybyśmy się tu nawzajem wybili do nogi. Bo wówczas wszyscy będziemy z dala stąd, a przecież różnica polegać będzie na tym, że pozostaniemy przy życiu, mając nadto widoki na wzbogacenie się.

– Dobrze dobierasz swoje słowa – powiedział Gudmund – i to, co mówisz, jest rozsądne. Warto może, abyśmy porozmawiali o tym bliżej.

– Słyszałem o was obydwóch jako o wielkich hövdingach i uczciwych ludziach i dlatego nie boję się zdrady, jeśli się spotkamy.

– Znam twego brata Sigvalda – zauważył Jostein – ale od wielu słyszałem, że ty, Thorkelu, nie jesteś taki jak on.

Ustalono więc, że się spotkają na wyspie, na widocznym z wszystkich statków skrawku wybrzeża u stóp stromizny. Josteinowi i Gudmundowi miało towarzyszyć po trzech ludzi, Thorkelowi zaś pięciu, wszyscy przy mieczach, lecz bez oszczepów. Tak się też stało i z łodzi widziano, jak z początku trzymali się od siebie z daleka ze swymi ludźmi skupionymi poza sobą. Potem jednak Thorkel kazał podać piwo, a także wieprzowinę i chleb i wnet zobaczono, jak usiedli społem i zaczęli poufnie rozmawiać. Im bardziej Jostein i Gudmund zastanawiali się nad pomysłem Thorkela, tym lepszy im się wydawał. Gudmund szybko przychylił się do niego. Jostein zrazu wzbraniał się i mówił, że król Eryk potrafi być przykry dla tych, co okazują mu nieposłuszeństwo. Ale Thorkel dużo mówił o dobrych czasach dla śmiałków, którzy wypływają na zachodnie szlaki. Gudmund zaś był zdania, że czas będzie bać się humorów króla Eryka, gdy zajdzie tego potrzeba. Porozumieli się więc, kto ma sprawować władzę i dowodzić podczas wyprawy i jak podzielone zostaną pomiędzy nich łupy, tak aby potem nie doszło do żadnych waśni. A Gudmund mówił, że wieprzowina i rozmowa wywołały w nim silne pragnienie, i wychwalał piwo Thorkela. Thorkel kiwał głową,

przyznając, iż jest to co prawda najlepsze piwo, jakim może w danej chwili poczęstować, ale jednak nie może się ono równać z piwem w Anglii, gdzie rośnie najlepszy chmiel. I Jostein musiał przyznać, że kraj ten wart być musi poznania.

Uścisnęli sobie prawice na znak zawarcia przymierza i dochowania wiary. A gdy powrócili na okręty, na dziobach łodzi hövdingów zabito trzy owce na ofiarę bogom morza, by użyczyli dobrej pogody i szczęśliwej przeprawy. Cała flota zadowolona była z zawartego układu. A poważanie dla Thorkela, już przedtem duże pośród jego ludzi, wzrosło teraz jeszcze bardziej z powodu mądrości, jaką wykazał.

Jeszcze kilka łodzi ze Skanii i Hallandii przyłączyło się do Thorkela i gdy nastał pomyślny wiatr, flota wyruszyła w sile pięćdziesięciu pięciu żagli. Tej jesieni płądrowali Fryzję i tam też przezimowali.

Orm dopytywał się u Thorkela i innych, czy nie wiedzą czegoś o domownikach króla Haralda. Kilku z nich obilo się o uszy, że Jellinge spłonęło, inni znów słyszeli, jakoby biskup Poppon uciszył fale śpiewem psalmów i uciekł potem przez morze, mimo że król Sven bardzo chciał go pojmać. Nikt jednak nie wiedział nic o królewskich kobietach.

2

Od chwili dojścia do władzy króla Etelreda, w Anglii zaczęło wszystko znowu wyglądać tak jak dawniej za czasów synów Lodbroka. Gdy Etelred osiągnął dojrzały wiek i sam objął rządy, wnet się stał znany pod mianem Bezradnego, a trudniący się łupiestwem na morzach Normanowie gromadzili się wokół jego wybrzeży, aby dopomóc mu uzasadnić to miano.

Zrazu przybywali tam w niewielkich tylko gromadach i szybko ich odpędzano. Gdy bowiem na wybrzeżach, gdzie się pojawiali, zapalono sygnałowe ogniska, natychmiast stawała zbrojna odsiecz i odpierała ich, tnąc zaciekle spoza szerokich tarcz. Lecz król Etelred ziewał tylko przy zastawionym stole, zarządzał przeciw Normanom modlitwy i sypiał pilnie z żonami swoich wielmożów. Ryczał gniewnie w komorze, gdy mu donoszono, że długie łodzie wracają znowu mimo modłów. Ze znużeniem wysłuchiwał licznych rad, skarżył się na wielkie wysiłki i nie bardzo wiedział, co począć. Wówczas zaczęły gęstnieć gromady najeźdźców i przybywały coraz częściej, aż w końcu nie bardzo wystarczały przeciw nim siły pospolitego ruszenia. I zdarzało się nawet niekiedy, że większe drużyny wikingów wdzierały się dobry kawałek w głąb kraju i wracały do łodzi, uginając się pod ciężarem łupów. Rozeszła się fama, która dotarła do wielu uszu, że jeśli chodzi o tłuste jądło i srebro, to dla dzielnych śmiazków morskich, przybywających w dobrej sile, żadne państwo nie może równać się

z państwem króla Etelreda. Albowiem od dawna już w Anglii nie plądrowali inaczej, jak na samych tylko wybrzeżach.

Dotychczas nie dotarła tam co prawda żadna wielka flota i hövdingowie nie nauczyli się jeszcze pobierać okupu w srebrnej monecie ze skrzyń króla Etelreda. Ale w Roku Pańskim 991 chwila ta nadeszła i odtąd nie miało im już braknąć pojętności w tej mierze, dopóki nie brakło króla Etelreda do płacenia.

Niedługo po Wielkanocy owego roku, który był piątym panowania króla Etelreda jako pełnoletniego monarchy, zapłonęły ognie sygnałowe na wybrzeżach Kentu. O szarym świetle bladzi ludziska wypatrywali, co dzieje się na morzu, biegali, by ukryć, co się dało, zagnać bydło do lasu i wraz z nim zaszyć się tam w niedostępne kryjówki. A gońcy pędzili co sił w koniach, aby donieść królowi Etelredowi i jego jarlom, że do wybrzeża podeszła największa flota, jaką widziano tam od wielu lat, i że poganie zaczynają już brodzić ku lądowi.

Pospolite ruszenie nie zdołało niczego dokazać wobec przybyszów, którzy wdzierali się wielkimi gromadami, plądrując i grabiąc, gdzie się dało. Wielki strach padł na cały kraj i arcybiskup z Canterbury pojechał do króla po pomoc dla swego miasta. Obcy przybysze jednak nabroiwszy przez pewien czas do woli w nadbrzeżnych okolicach i zabrawszy na swoje łodzie wszystko, co tylko wydało im się godne zagrabienia, odpłynęli znowu na morze, kierując się w górę wybrzeża. Po czym wylądowali u wschodnich Saksonów i zrobili u nich dokładnie to samo.

Król Etelred i jego arcybiskup Sigerik nakazali teraz modły jeszcze dłuższe niż kiedykolwiek przedtem. A gdy wkrótce potem dowiedzieli się, że poganie spustoszywszy wiele wsi znów odpłynęli na morze, kazali rozdać dary tym księżom, którzy modlili się najgorliwiej, uważając, że na ten raz pozbyli się Bożego dopustu. Niedługo potem Normanowie dotarli do miasta Maeldun położonego tuż u ujścia rzeki Panta, stanęli obozem na wyspie między dwiema odnogami rzeki i zaczęli przygotowywać się do ataku na miasto.

Jarl wschodnich Saksonów zwał się Byrthnoth. Był to mąż słynny w całym kraju, przerastający wzrostem innych, dumny i nieustraszony. Zebrał silne pospolite ruszenie i ruszył przeciw Normanom, aby popróbować innego na nich środka niż modły. Dotarł do Maeldun, minął miasto i pociągnął w kierunku obozu Normanów, tak że tylko ramiona rzeki dzieliły oba wojska. Było mu jednak ciężko przeprowiać się do nich, za rzekę, a im było również niełatwo dostać się do niego. Tymczasem nadszedł przypływ morza, który wypełnił rzeczną odnogę, nie szerszą niż na rzut oszczepem, tak że można było przekrzykiwać się

głosem przez wodę. Ale nie wyglądało na to, by dało się dokazać czegoś więcej, i wojska stały wyczekująco naprzeciw siebie w zmiennej wiosennej pogodzie.

Herold z drużyny Thorkela, mąż biegły w mowie, podszedł wtedy na skraj wody, podniósł w górę tarczę i zawołał na drugą stronę:

– Nieustraszeni żeglarze wysłali mnie, abym wam powiedział te słowa. Dajcie nam srebro i złoto, a pozostawimy was w spokoju. Jesteście bogatsi od nas i lepiej jest kupić pokój za swoje skarby aniżeli potykać się z takimi jak my na miecze i oszczepy. Jeśli jesteście dostatecznie bogaci, nie potrzebujemy się nawzajem zabijać. A gdy się wykupicie, uzyskując w ten sposób pokój dla siebie samych i dla waszych rodzin, i gospodarstw, i dla wszystkiego, co wasze, wtedy staniemy się waszymi druhami, wrócimy z wykupem do swoich statków i odpłyniemy, dotrzymując danego słowa.

Wówczas wystąpił naprzód sam Byrthnoth, pogroził oszczepem i zawołał:

– Słuchajcie, morscy rabusie, naszej odpowiedzi! Oto są skarby, które chcemy wam dać – groty oszczepów i ostre miecze. Źle byłoby, gdybym ja, jarl Byrthnoth, syn Byrthelma, na którego czci nie ma jednej plamy, nie bronił mego kraju i mojego króla. Tylko groty i ostrza mogą nas rozsądzić i mocno musicie ciąć, zanim znajdziecie tu co innego.

Tak stali naprzeciw siebie, aż przyszedł odpływ i wody zaczęły opadać. Wtedy herold wikingów zawołał poprzez rzekę:

– Dostyc już staliście beczynnienie! Chodźcie do nas, damy wam tu pole. Albo wy dajcie nam pole na waszym brzegu, to my tam przyjdziemy!

Jarlowi Byrthnothowi wydawało się nierozsądnie brodzić na drugą stronę rzeki. Woda w rzece była bowiem zimna i jego ludzie łatwo mogli zeszywnieć, a przemokły rynsztunek mógł stać się ciężki. Śpieszno mu było wszakże rozpocząć bój, zanim odczują głód i zmęczenie. Dlatego też zawołał:

– Daję wam pole, przybywajcie więc natychmiast na bój! Jeden Bóg wie, kto z nas je utrzyma.

I tak opowiadał potem skald Byrthnotha, który brał udział w walce i uszedł z życiem:

*Wojsko żeglarzy nie zlekło się fal,
Wilki przebrnęły na zachodnią stronę
Przez Pantę, której wody migocą jak stal,
Przenieśli na brzeg drugi puklerze plecione.*

Ludzie Byrthnotha stali jak żywopłot z tarcz, a on kazał im w pierw rzucić na wroga oszczepy, a potem ruszyć naprzód i mieczami zepchnąć pogan do rzeki. Ale Normanowie szybko ustawiali się w szyki wzdłuż brzegu, w miarę jak się przeprawiali, przy czym załoga każdej łodzi stanowiła osobną drużynę. A potem podnieśli okrzyk bojowy i pobiegli pędem naprzód z hövdingami swoich statków na czele. Spadł na nich rój oszczepów i niejednen z Normanów padł i został na polu bitwy, inni jednak doszli szybko do przeciwników i starli się z nimi tarcza o tarczę. Nastąpiła tęga rąbanina i podniosła się ogromna wrzawa. Na prawym i lewym skrzydle zatrzymano natarcie Normanów i zaczęto na nich mocno naciskać. Ale Thorkel Wysoki i dwaj hövdingowie, którzy znajdowali się najbliżej niego – jednym z nich był Orm, a drugim Faravid Svensson, słynny hövding z Zelandii, którego król Harald wyjął spod prawa w całym państwie duńskim i który chodził ze Styrbjörnem do Fryzji – uderzyli na drużynę samego Byrthnotha i złamali jej szyki. Thorkel zawołał na swoich, aby zwalili wysokiego męża w srebrnym hełmie, a zwycięstwo będzie ich. Tam też wywiązała się najostrzejsza walka i powstał wielki tłok i ciżba, w której trudno sobie było dać radę ludziom niewielkiego wzrostu. Faravid przedarł się naprzód i obalił męża, który niósł proporzec Byrthnotha, po czym ciął w jarła i zranił go, lecz w tejże chwili sam runął z oszczepem sterczącym mu z piersi spośród rozłożystej brody. Po obu stronach padali teraz gęsto ludzie z pierwszych szeregów i Orm potknął się na porzuconej, śliskiej od krwi tarczy i upadł twarzą naprzód na męża, którego dopiero co zabił. W chwili gdy padał, dostał maczugą w kark, lecz natychmiast przykryły go tarcze rzucone nań przez najbliższych z jego drużyny po to, aby osłonić mu grzbiet.

Gdy się ocknął i przy pomocy Rappa znów dźwignął na nogi, walka przeniosła się już dalej i Normanowie mieli przewagę. Byrthnoth zginął i wielu z jego ludzi uciekło, inni jednak zwarli się w krąg i, zewsząd otoczeni, wciąż jeszcze walczyli.

Thorkel zawołał do nich, przekrzykując zgiełk walki, że daruje im życie, jeśli rzucą broń, z koła okrążonych odkrzyknięto mu jednak:

– Im mniej nas będzie, tym lepiej będziemy mierzyć, tym mocniej rąbać i tym zuchwalej stawać!

Walka trwała więc, dopóki nie legli wszyscy, pomieszani z wielu przeciwnikami, dokoła zwłok swego wodza. Normanowie wielce sławili ich męską odwagę. Ale bitwa pod Maeldun, stoczona na trzy tygodnie przed Zielonymi Świątkami w owym 991 roku, była wielką porażką króla Etelreda i wielkim nieszczęściem dla jego kraju. Jak szeroko sięgnąć, kraj stał teraz otworem dla najazdu obcych.

Normanowie pochowali swoich poległych i wypili na ich cześć i na chwałę swego zwycięstwa. Zwłoki Byrthnotha wydali pogrążonym w żałobie posłom, którzy przybyli, aby zabrać je i wyprawić im chrześcijański pogrzeb, po czym wysłali do Maeldun i innych miast wezwanie o złożenie okupu, który należało zapłacić szybko dla uniknięcia jeszcze gorszych następstw. Cieszyli się wielce na myśl o bogactwach, które już uważali za swoje, i opanowała ich wściekłość, gdy dni mijały, a nikt nie przychodził z poddaniem się i pieniędzmi. Podpłynęli więc pod Maeldun i podłożyli ogień pod palisadę od strony rzeki, po czym przypuścili szturm do miasta, zdobyli je i spustoszyli doszczętnie, wielce się potem martwiąc, że tak dużo spłonęło i niewiele tylko zostało do podziału. Postanowili, że w przyszłości ostrożniejsi będą z ogniem, gdyż przedmiotem ich pożądania było przecież srebro, a nie spustoszenie, w którym srebro przepadało. Z całą gorliwością poświęcili się obecnie ściąganiu z okolicy koni, aby móc szybko dostać się tam, gdzie się ich nie spodziewano. Niebawem zagony rozbiegły się we wszystkich kierunkach, przywożąc z sobą z powrotem do obozu mnóstwo wszelakiego dobra. A w całym kraju panował tak wielki strach przed nimi, że po śmierci Byrthnotha nie znalazł się ani jeden hövding, który wyzwiałby ich do boju. Jeńcy mówili, że król Etelred siedział blady za murami, mamrotał razem z księżmi modlitwy i nie umiał znaleźć żadnej rady.

W zbudowanym z kamienia kościele w Maeldun znajdowali się jeszcze ludzie – księża, kobiety i inni – którzy uciekli tam podczas szturmów i znaleźli schronienie w kościelnej wieży, wciągnąwszy za sobą wiodącą do niej drabinę, tak że nikt nie mógł się do nich dostać. Wśród Normanów panowało przekonanie, że w wieży nagromadzono wiele skarbów, toteż nie szczędzili zachodów, aby skłonić ludzi do wyjścia stamtąd, by dobrać się do tego, co mieli oni z sobą. Ale ani ogniem, ani mieczem nie udało się nic wskórać. Oblężeni w wieży mieli wodę i jedzenie, śpiewali psalmy i wydawali się być dobrego ducha. Gdy Normanowie podchodzili do wieży, aby przemówić im do rozsądku i nakłonić do wyjścia i oddania skarbów, oblężeni ciskali na nich kamieniami, obrzucali przekleństwami i wylewali im na głowy nieczystości, dając głośno upust swojej radości, gdy ktoś został trafiony. Toteż Normanowie byli wszyscy zgodnej opinii, że kamienne kościoły i ich wieżycy należą do najprzykrzejszych rzeczy, na jakie można się natknąć.

Jostein, człowiek twardy i bardzo chciwy skarbów, mówił, że zna tylko jeden sposób, który mógłby tu pomóc. Powinno się zebrać przed kościołem jeńców i zabijać ich jednego po drugim, aż ci, co siedzą na górze w wieży, poddadzą się na ten widok. Kilku innych poparło

go, gdyż dla swej mądrości cieszył się wielkim poważaniem. Ale Gudmund i Thorkel uważali, że byłoby to nie bardzo godne wojowników i nie chcieli się na to zgodzić. Raczej – mówił Thorkel – należy próbować podstęp. Zna on dobrze księży i wie, jak z nimi postępować, aby postawić na swoim.

Po czym kazał zdjąć wielki krzyż, który wisiał, w kościele nad ołtarzem. Dwóch ludzi niosło go przed nim, on zaś stanąwszy u stóp wieży zawołał, że potrzebuje księży do pielęgnowania rannych, a jeszcze bardziej po to, aby samemu poznać naukę chrześcijańską. Ostatnio zaczął odczuwać silne tego pragnienie – tłumaczył. Chce też postępować z nimi tak, jak gdyby już był chrześcijaninem, i pozwoli wszystkim z wieży pójść wolno, dokąd zechcą, bez szkody na życiu i ciele.

Gdy doszedł do tego miejsca, z wieży wyleciał kamień, który trafił go w prawe ramię, tak że upadł ze złamaną ręką. Ludzie niosący krzyż upuścili go na ziemię i dopomogli Thorkelowi usunąć się spod wieży. I słysząc było, jak oblężeni wznoszą radosne okrzyki zadowolenia. Jostein, który stał opodal, przyglądając się temu, skrzywił twarz w uśmiechu i zauważył, że stosowanie wojennych podstępów nie zawsze jest takie proste, jak to sobie wyobrażają nierozważne młodziki.

Ludzi Thorkela ogarnęła wściekłość, że hövding ich został raniony, i zaczęli zaraz gęsto szyć z luków do okienek w ścianach wieży. Ale nie było z tego żadnego pożytku i sytuacja stała się kłopotliwa. Orm rzekł, że na Południu widywał niekiedy, jak ludzie Almanzora wykurzali chrześcijan z wieżyc kościelnych dymem. Natychmiast tego spróbowano. Zarówno w samym kościele, jak i wokół wieży nagromadzono stosy drzewa oraz słomy i podpalono. Lecz wieża była wysoka, a wiatr odpędzał dym, tak że w końcu wszystkim się to uprzykrzyło i postanowili cierpliwie poczekać, aż głód da się we znaki zamkniętym na górze.

Thorkel zły, że jego plan zawiódł, bał się kąśliwych docinków. Oprócz tego gnębiło go też, że przez jakiś czas nie będzie mógł jeździć z innymi, lecz będzie musiał siedzieć w Maeldun i pilnować obozu. Zażądał, aby znający się na lekach przyszli obejrzyć jego ranę. Także Orm odwiedził go przy ognisku, przy którym siedział ze zwisającą, złamaną ręką pijąc grzane piwo. I wielu obmacywało tę rękę, ale nikt nie umiał powiedzieć, jak najlepiej ująć ją w łupki.

Thorkel krzywił się okropnie przy tym obmacywaniu i mówił, że dość już ma tej sztuki lekarskiej. Niech obwiążą mu rękę, jak się da, z łupkami albo i bez.

– No i stało się prawdą to, co mówiłem – dodał – że bardzo potrzebuję księdza. Bo księży znają się na takich sprawach.

Orm skinął potakująco głową i przyznał, że księża są znakomitymi lekarzami. Po uczcie świątecznej u króla Haralda, kiedy odniósł o wiele cięższe rany niż Thorkel obecnie, został wyleczony przez księdza – mówił. – A i teraz potrzebowałby jakiegoś tak samo jak Thorkel, bo cios okutą pałką w głowę sprawia mu wciąż jeszcze dolegliwości i bóle, tak że chwilami przypuszcza, że coś mu w głowie pękło.

– Uważam cię za najmądrzejszego z moich hövdingów – rzekł Thorkel, gdy zostali sam na sam – a od chwili gdy padł Faravid, także i za najlepszego wojownika. Ale należysz do takich, którzy łatwo upadają na duchu, gdy natrafiają na jakieś przeciwności, choćby nawet szkoda nie była zbyt wielka.

– To wszystko dlatego – odparł Orm – że jestem człowiekiem, który stracił szczęście. Dawniej sprzyjało mi i przeszedłem nietknięty przez więcej przygód niż większość ludzi i jakoś z nich wybrnąłem. Odkąd jednak wróciłem z Południa, wszystko obraca się przeciw mnie. Straciłem złoty naszyjnik, narzeczoną oraz człowieka, z którym czułem się najlepiej. Doszło nawet do tego, że nie mogę niemal wyciągnąć miecza w walce, żeby nie narazić się na ranę. A i teraz, kiedy doradziłem, aby wykurzyć obłączonych z kościelnej wieży, nawet i to się nie udało.

Thorkel wyraził zdanie, że widział ludzi prześladowanych przez los gorzej od Orma, lecz ten potrząsnął tylko głową i kazał drużynie wyruszyć na plądrowanie pod wodzą Rappa, sam zaś został z Thorkelem w mieście, trzymając się chętnie na osobności i rozmyślając nad swymi troskami.

Pewnego ranka dzwony na wieży dzwoniły długo, a ludzie w niej zamknięci śpiewali psalmy tak gorliwie, że aż woje zaczęli do nich wołać i pytać, dlaczego tak hałasują. Obłączonym nie pozostało już zbyt dużo kamieni do rzucania w pogan. Ale odkrzyknęli w odpowiedzi, że nadchodzą Zielone Świąta i że jest to dla nich dzień radości.

Wszystkich zdziwiła ta odpowiedź, a niektórzy pytali, z czego tu się cieszyć i jak tam stoją z zapasami mięsa i piwa.

Oblężeni odpowiedzieli, że ta sprawa jest im obojętna i że cieszą się i tak, ponieważ Chrystus króluje na niebie i stamtąd im dopomoże.

Ludzie Thorkela piekli na ogniu tłuste owce i zapach pieczonego mięsiwa szedł w stronę wieży, gdzie wszyscy byli głodni. Woje wołali do nich, aby postąpili jak rozsądni ludzie, zeszli na dół i pokosztowali pieczeni. Oni jednak nie zwracali na to uwagi i zaczęli na nowo śpiewać.

Thorkel i Orm siedzieli razem, jedząc i przysłuchując się śpiewom z wieży.

– Śpiewają bardziej chrypliwie niż zwykle – zauważył Thorkel. – Zaczyna im widocznie wysychać w gardle. W takim razie nie potrwa już zapewne długo i zejdą na dół, jeśli skończyła im się woda.

– Jest im gorzej niż mnie, a jednak śpiewają – rzekł Orm oglądając melancholijnie piękny kawałek baraniny przed włożeniem go do ust.

– Mów, co chcesz – odparł Thorkel – ale ty nie nadawałbyś się na śpiewaka w wieży kościelnej.

4

Tego samego dnia około południa powrócił Gudmund z łupieskiej wyprawy w głąb kraju. Był to mąż rośli i wesoły, o obliczu zrytym starymi bliznami po niedźwiedzich pazurach. Wjechał do obozu pijany i gadatliwy, w drogocennym, szkarłatnym płaszczu narzuconym na ramiona, z dwoma ciężkimi, srebrnymi pasami zapiętymi na brzuchu i z szerokim uśmiechem w gąszczu żółtej brody.

– Oto – zawołał, skoro tylko ujrzął Thorkela – kraj, który mu się podoba, a którego bogactwa przechodzą wszelkie wyobrażenie. Do końca życia będzie wdzięczny Thorkelowi za to, że go tutaj zwabił. Splądrował dziewięć wsi i jeden wóz kupiecki, a stracił tylko czterech ludzi. Konie uginają się pod ciężarem łupów, choć tylko co najlepsze zabierali, a za nim ciągną jeszcze wozy zaprzężone w woły z tego syconym piwem i innymi różnościami. Trzeba by – mówił – zawczasu już rozejrzeć się za większą ilością statków z dobrym pomieszczeniem na ładunki, aby zabrać z sobą do domu wszystko, co z tak niewielkim trudem udało im się zebrać w tym kraju.

– Ponadto spotkałem na drodze zmierzający do nas orszak – ciągnął dalej Gudmund. – Byli to dwaj biskupi z towarzyszącą im świtą. Mówią, że są posłami od króla Etelreda, zaprosiłem ich więc na piwo i zabrałem z sobą. Biskupi są starzy i jadą powolutku, niebawem jednak tu przybędą. Niełatwo pojąć, czego mogą od nas chcieć. Powiadają, że przynoszą nam od swojego pana pokój, ale to przecież my, a nie on, decydujemy o tym, kiedy ma nastąpić pokój. Być może, że chcą nas uczyć chrześcijańskiej wiary, ale nie będzie zbyt wiele czasu na słuchanie ich nauk przy tak dobrych możliwościach plądrowania, jakie ma się tu wszędzie.

Thorkel ucieszył się i oświadczył, że księża to właśnie to, czego on potrzebuje teraz najbardziej. Chce bowiem, aby mu dobrze opatrzyli złamaną rękę. A Orm także chętnie poradziłby się któregoś co do swej chorej głowy.

– Ale właściwą sprawą, która ich tu sprowadza, jest może zamiar wykupienia ludzi z wieży – snuł przypuszczenia Thorkel.

Biskupi wjechali do obozu w chwilę później. Byli to czcigodni mężowie z pastorałami i w kapuzach, otoczeni wielkim orszakiem giermków i księży, ochmistrzów, podczaszych i muzykantów. Błogosławili wszystkich, których spotkali na swej drodze. Ludzie Thorkela, ilu ich tylko było w mieście, zbiegli się, aby ich oglądać. Ale niektórzy cofali się z bojaźnią, gdy biskupi podnosili ku nim błogosławiącą rękę. Natomiast zamknięci w wieży podnieśli na ich widok wielki krzyk i zaczęli znowu bić w dzwony.

Thorkel i Gudmund okazali biskupom wielką gościnność. A gdy ci ostatni odpoczęli i podziękowali Bogu za szczęśliwą podróż, przedstawili Normanom swoją sprawę.

Ten z biskupów, który wyglądał na najstarszego i którego nazywano biskupem Grobu Świętego Edmunda, zabrał głos przed Thorkelem i Gudmundem oraz gronem innych Normanów, którzy przyszedli się przysłuchiwać. Powiedział, że nastały złe czasy i że Chrystusa i jego Kościół boli to, iż ludzie nie potrafią żyć z sobą w spokoju, zgodzie i miłości. W Anglii złożyło się jednak tak szczęśliwie, że kraj ten ma króla, który kocha pokój całym sercem i mimo swej wielkiej mocy i hufców wojowników, jakie mógłby zwołać pod swoje rozkazy, raczej pragnie pozyskać sobie przyjaźń swoich wrogów aniżeli unicestwić ich mieczem. Król Etelred uważa Normanów za zapalczywych młodzików bez nauczyciela, nieświadomych swego własnego dobra i po wysłuchaniu mądrych doradców uznał dlatego za słuszne tym razem nie karać ich surowo, lecz naprostować ich ścieżki łagodną perswazją. Dlatego właśnie wysłał posłów, aby zobaczyli, w jaki sposób można by zaspokoić szlachetnych hövdingów z północnego kraju i ich wojowników i skłonić do porzucenia niebezpiecznych dróg, którymi kroczą. Życzeniem króla Etelreda jest, aby Normanowie wrócili do swoich łodzi, opuścili jego kraj i żyli we własnej ojczyźnie w szczęściu i spokoju. Aby zaś uczynić to dla nich łatwiejszym i zyskać na zawsze ich przyjaźń, chce dać im takie dary, aby radość i wdzięczność przepełniła ich wszystkich. Być może zmiękcy to również ich serca tak, że nauczą się kochać prawa boskie i Ewangelię Chrystusową. Wtedy radość dobrego króla Etelreda byłaby zaiste ogromna, a jego miłość do nich wzrosłaby w dwójnasób.

Biskup był przygarbiony od starości i bezzębny i niewielu tylko pojęło, co mówił. Ale słowa jego tłumaczył biegły księżyk ze świty i wszyscy, co się temu przysłuchiwali, spojrzeli na siebie, usłyszawszy takie posłanie. Gudmund siedział na beczce od piwa, pijany i zadowolony, i tarł w rękę niewielki złoty krzyżyk, aby nadać mu połysk. Kiedy zrozumiał słowa biskupa, zaczął kołysać się tam i z powrotem z wielkim zadowoleniem i zawołał na Thorkela, że powinien odpowiedzieć na tak piękną przemowę.

Thorkel zabrał głos po dworsku i rzekł, że to, co obecnie usłyszeli, warte jest zaiste przemyślenia. W państwie Dunów głośny jest już król Etelred, ale teraz wydaje się, że jest on jeszcze lepszy, niż można było sądzić. I królewski zamiar ofiarowania im darów zgadza się doskonale z tym, co sami zamyślali od początku.

– Mówiliśmy bowiem Byrthnothowi, gdy rozmawialiśmy przez rzekę, że wy w tym kraju jesteście bogaci, my zaś, biedni żeglarze, chcemy zostać waszymi przyjaciółmi, jeśli podzielicie się z nami waszymi skarbami. Dobrze jest usłyszeć, że sam król Etelred myśli tak samo. A że jest on bogaty i potężny, a przy tym pełen mądrości, okaże się z pewnością szczodry. Nie dowiedzieliśmy się jeszcze, ile zamierza nam dać. Dużo jednak trzeba, aby napęłnić nas radością, jesteśmy bowiem szczepem posępnym. I najlepiej by było, abyśmy wszystko dostali w złocie i w srebrnej monecie, gdyż w ten sposób łatwiej wam będzie policzyć, a nam zabrać z sobą do domu. Dopóki zaś wszystko nie będzie załatwione, pragniemy tu pozostać i chcemy, aby nas nie niepokojono. I będziemy sobie brać z okolicy wszystko, czego potrzebujemy do swego utrzymania i aby czuć się dobrze. Lecz oprócz Gudmunda i mnie jest wśród nas jeszcze jeden, co ma do powiedzenia tyle co my, a jest nim Jostein. Płądruje on kraj z wielu ludźmi i dopóki nie powróci, musimy poczekać z ustaleniem, jak wielkie mają być dary. Jedno tylko chcę wiedzieć już, a mianowicie, czy w waszym orszaku nie ma jakiegoś księdza biegłego w sztuce lekarskiej. Mam bowiem uszkodzone ramię, które wymaga opatrunku.

Drugi z biskupów odpowiedział, że mają z sobą dwóch biegłych w sztuce lekarskiej, którzy chętnie opatrzą ranę Thorkela. W zamian jednak za to prosi, aby zamkniętym w wieży wolno było zejść na dół i nietkniętym udać się, dokąd zechcą.

– Ciężko jest bowiem – mówił – wiedzieć, że siedzą w tej wieży dręczeni głodem i pragnieniem.

– Jeśli chodzi o mnie, mogą zejść z wieży, kiedy tylko sami zechcą – odparł Thorkel. – Do tego właśnie usiłowaliśmy ich nakłonić od chwili, kiedy zdobyliśmy miasto. Ale mimo naszych rad upierali się jak kozły i to oni właśnie rozbili mi ramię. Połowę skarbów z wieży mają zostawić nam. To niewielka zapłata za moje ramię i wszystkie przykrości, które nam wyrządzili. Potem zaś mogą iść, dokąd chcą.

Niebawem zeszli na dół wszyscy zamknięci z wieży, bladzi i wynędzniali. Kilku z nich z płaczem rzuciło się biskupom do stóp, inni znów wołali o wodę i jedzenie. Ludzie Thorkela spochmurnieli stwierdziwszy, że w wieży niewiele było wartościowych rzeczy, dali jednak obłączonym jeść i nie wyrządzili żadnej szkody.

Orm przechodził obok koryta z wodą, przy którym gasiło pragnienie wielu obłądzonych z wieży. Wśród nich znajdował się mały, łysy człowieczek w księżej sutannie, o długim nosie i z czerwoną blizną na ciemieniu. Na jego widok Orm wytrzeszczył oczy w zdziwieniu, podszedł doń i złapał go za ramię.

– Rad ciebie widzę – wykrzyknął – i jestem ci winien wdzięczność od ostatniego naszego spotkania! Ale to niespodzianka spotkać tutaj lekarza króla Haralda. Jakes się tu dostał?

– Z wieży – odparł z gniewem braciszek Willibald, bo on to był – w której musiałem siedzieć przez dwa tygodnie z powodu gwałcicieli i pogan.

– Mam z tobą sporo do omówienia – rzekł Orm. – Pójdź ze mną, a dostaniesz jeść i pić.

– Nie mam z tobą nic do omawiania – odpowiedział Willibald. – Im mniej widzę Dunów, tym lepiej, nauczyłem się już tego. A jedzenie i picie dostanę gdzie indziej.

Orm zląkł się, że mały księżuło ucieknie od niego i zniknie. Dźwignął go więc w górę i ponióśł z sobą, obiecując przy tym przez cały czas, że nic złego mu się nie stanie. Braciszek Willibald opierał się zapalczywie i wrzeszczał, aby go wypuszczono i że trąd oraz brzydka choroba są najmniejszą karą na tego, co podnosi rękę na księdza. Lecz Orm zaniósł go do domu, który wybrał sobie na mieszkanie po zdobyciu szturmem miasta, a w którym obecnie znajdowało się tylko paru rannych z jego drużyny i kilka starych kobiet.

Widać było po małym księdzu, że jest wygłodzony. Kiedy jednak postawiono przed nim mięso i piwo, przez chwilę siedział bez ruchu przed talerzem, patrząc na jadło z rozgoryczoną miną. Potem westchnął, zamruczał coś pod nosem, zrobił nad posiłkiem znak krzyża i zaczął żarłocznie zajadać. Orm napełnił mu dzban piwem i czekał cierpliwie, dopóki nie zaspokoił głodu. Dobre piwo nie zdołało jednak złagodzić wyrazu twarzy Willibalda i głos jego nie stracił nic ze swojej ostrości. Ale raczył teraz odpowiadać na pytania Orma i niebawem rozgadał się na dobre.

Uszedł z Danii razem z biskupem Popponem, kiedy zły i niechrześcijański król Sven podszedł do Jellinge, aby wymordować tam sługi boże. Biskup siedział obecnie słaby i zgrzybiały u opata Westminsteru i opłakiwał zmarnowane dzieło swego życia wśród Dunów. Ale zdaniem Willibalda nie miał tak bardzo nad czym biadać, gdyby się dobrze zastanowił. Z pewnością bowiem wszystko, co zaszło, było znakiem danym od Boga, że ludzi Północy nie powinno się wcale nawracać, lecz raczej pozostawić ich własnemu losowi, aby sami unicestwili się wzajemnie swoją złością, która doprawdy jest bez granic. I on sam nie zamierza osobiście nigdy więcej zajmować się nawracaniem tego ludu i zaklina się na mękę

i krzyż Chrystusa, że gotów jest to głośno oświadczyć każdemu, kto chciałby to usłyszeć, nawet gdyby był nim sam arcybiskup z Bremy.

Błyskając oczyma, opróżnił dzban, mlasnął językiem i powiedział, że dla tego, kto długo głodował, piwo jest pożyteczniejsze niż mięso. Orm dodał mu więcej i Willibald opowiadał dalej.

Gdy biskup Poppon usłyszał, że duńscy Wikingowie wylądowali na wschodnim wybrzeżu Anglii, zapragnął wiarygodnych wieści z Danii, a w szczególności, czy zostali tam jeszcze przy życiu jacyś chrześcijanie i czy prawdziwe są słuchy o śmierci króla Haralda i inne tym podobne wiadomości. Biskup czuł się jednak sam zbyt słaby, aby podjąć tak niebezpieczną podróż, i dlatego musiał pojechać braciszek Willibald.

– Albowiem biskup powiedział, że mnie nie grozi wśród pogan wielkie niebezpieczeństwo, nawet gdyby władała nimi zwykła ich furia. Powitają mnie życzliwie jako lekarza, którego może już niejednen z nich nauczył się cenić na dworze króla Haralda. Osobiście miałem własne odmienne poglądy na ten temat, ponieważ znam was lepiej niż on, który jest zbyt dobrym człowiekiem dla tego podłego świata. Nie jest jednak właściwe sprzeciwiać się w takich sprawach biskupowi, toteż zrobiłem tak, jak sobie życzył. Zmęczony przybyłem pewnego wieczoru do tego miasta i po wieczornej modlitwie ległem spać w klasztornej gospodzie. Tam też zbudził mnie krzyk i gęsty dym pożaru. A ludzie biegali w blasku płomieni na wpół nadzy, wołając, że napadły na nas diabły. Nie były to jednak żadne diabły, lecz coś jeszcze gorszego. I nie wydawało mi się, że opłaci się iść im naprzeciw z pozdrowieniami od biskupa Poppona. Razem z innymi więc uciekłem na wieżę. I zginąłbym tam wraz z wszystkimi, gdyby Bóg nie wybawił nas z biedy w ten uroczysty dzień Zielonych Świąt.

Skinął głową, pociągnął łyk piwa i spojrzał na Orma zmęczonymi oczyma.

– Było to czternaście dni temu i od owego czasu niewiele zaznałem snu. A ciało jest mdłe... nie, nie jest mdłe, jest silne, silne tak jak duch, lecz są granice tej siły.

– Spać będziesz później – rzekł Orm niecierpliwie. – Czy wiesz coś o Ylvie, córce króla Haralda?

– Tyle wiem – odparł braciszek Willibald bez najmniejszego wahania – że pójdzie do piekła za swój upór i krnąbrność, jeśli szybko się nie poprawi. Któż zaś może oczekiwać poprawy od córki króla Haralda?

– Czy gniewasz się także i na kobiety? – spytał Orm. – Cóż złego ona ci zrobiła?

– To nieważne, co ona zrobiła mnie – odrzekł mały księżyk gorzko – jakkolwiek prawdą jest, że nazwała mnie łysą, starą sową, gdy groziłem jej gniewem boskim.

– Groziłeś jej, księżu? – wybuchnął Orm podnosząc się z ławy. – A dlaczegoż to jej groziłeś?

– Bo krzyczała, że zrobi tak, jak zechce, i wyjdzie za mąż za poganina, choćby nawet wszyscy biskupi na świecie sprzeciwiali się temu.

Orm złapał się za brodę, wpatrując się w Willibalda szeroko rozwartymi oczami, po czym opadł ciężko na ławę.

– To za mnie chce wyjść za mąż – powiedział cicho. – Gdzie ona jest?

Ale na to pytanie nie otrzymał już odpowiedzi tego wieczoru, ponieważ braciszek Willibald osunął się wolno na stół i zasnął tak, jak siedział, z głową opartą na ramionach. Orm próbował go rozbudzić, ale mu się to nie udawało, tak że w końcu zaniósł go na posłanie, ułożył tam i przykrył. Ze zdziwieniem spostrzegł przy tym, że polubił tego małego, zjadliwego księdza. A kiedy przez dobrą chwilę posiedział samotnie nad piwem, nie odczuwając wcale senności, niecierpliwość jego stała się zbyt wielka. Podszedł więc znowu do ławy i mocno potrząsnął śpiącym.

Lecz braciszek Willibald obrócił się tylko we śnie na drugi bok i wymamrotał zrzędlwym głosem:

– Gorszi od diabłów.

5

Gdy mały księżuło przebudził się wreszcie następnego dnia rano, złagodniał nieco i nie wyglądało na to, by źle się czuł w swoim obecnym położeniu. A Orm nie zwlekał z dowiedzeniem się wszystkiego, co tamten tylko wiedział o Ylwie. Uciekła z biskupem, woląc to niż siedzieć w domu pod władzą swego brata Svena. I obecnie zimowała z biskupem w Anglii, nie mogąc doczekać się chwili, by móc wrócić do Danii, gdy tylko nadejdą stamtąd dobre nowiny. Ostatnio jednak rozeszły się słuchy, że król Harald zmarł na wygnaniu, i Ylva zaczęła przemyślać, aby udać się na północ do swojej siostry Gunhildy, zamężnej za duńskim jarlem Pallingiem w Northumberlandii. Poppon nie chciał, aby puszczała się w tak niebezpieczną podróż, i doradzał, aby wyszła raczej za mąż za któregoś z angielskich wielmożów, obiecując jej przy tym pomoc w wyborze. Na takie słowa jednak Ylva bladła z gniewu i obrzucała przezwiskami każdego, na kogo popadło, choćby to był nawet sam biskup.

Tyle miał mały księżułek do powiedzenia o Ylwie. Orm dowiedział się ku swej radości, że uszła z rąk króla Svena i jego ludzi, ale smuciło go wielce, że nie widział żadnego sposobu,

by do niej dotrzeć. Cierpiał także z powodu owego ciosu w głowę i bólu, który wciąż jeszcze mu dokuczał, ale doświadczony Willibald wydymał tylko na to pogardliwie wargi, mówiąc, że takie czerepy wytrzymują o wiele więcej. Potem postawił Ormowi pijawki za uszami i ten natychmiast poczuł się lepiej. Myśli o Ylwie zaczęły go wtedy nachodzić coraz bardziej. Miał największą ochotę skłonić Thorkela i innych do wielkiej wyprawy łupieskiej na Londyn i Westminster, aby w ten sposób móc dotrzeć do Ylvy. Lecz pomiędzy hövdingami a posłami toczyły się obecnie długie pertraktacje w sprawie daru króla Etelreda. Całe wojsko siedziało beczynnie w oczekiwaniu wyników układów, pijąc, jedząc i tracąc mnóstwo śliny na rozprawianie, ile właściwie tak wielki król powinien zapłacić.

Obaj biskupi walczyli mężnie w obronie swojej sprawy i wygłaszali wielkie mowy przeciw sumom, które hövdingowie wymieniali. Bardzo chcieliby ich nauczyć – mówili do hövdingów – że są rzeczy cenniejsze od srebra, rzeczy nie z tego świata i, że trudniej jest człowiekowi o wielkim bogactwie dostać się do królestwa niebieskiego niżli wołu prześliznąć się przez dymnik. Hövdingowie słuchali tego i odpowiadali, że chętnie wezmą na siebie to ryzyko i że niech już pozostanie przy sumie, której zażądali. A jeśli sprawa istotnie ma się tak, jak to mówili biskupi, – opowiadając o królestwie niebieskim i dymniku, to oni uważają, że przyjdą królowi Etelredowi z wielką pomocą, biorąc na siebie część obciążających go bogactw. Wielce wzdychając, biskupi zmuszeni byli do podwyższenia proponowanych sum i w końcu pogodzone się co do wysokości wykupu. Każdy zwykły woj miał otrzymać po sześć marek srebrem oprócz tego, co już zdobył przy plądrowaniu. Każdy sternik miał dostać po dwanaście marek, a każdy hövding po sześćdziesiąt. Thorkel, Gudmund i Jostein mieli otrzymać każdy po trzysta marek srebrem. Biskupi mówili, że jest to dla nich dzień żałoby i że doprawdy nie wiedzą, co powie król na taką sumę, tym bardziej że inni jego wysłannicy układają się równocześnie z norweskim hövdingiem Olofem, synem Trygve, który ze swoją flotą plądruje wybrzeże południowe. Nie wiadomo – powątpiewali biskupi – czy nawet skarbów króla Etelreda wystarczy na to wszystko.

Na tę wiadomość złąkli się hövdingowie, że zażądali za mało i że Tryggvesson otrzyma wykup wcześniej od nich. Naradziwszy się więc pomiędzy sobą, oświadczyli biskupom, że stoją twardo przy tym, co postanowiono, ale biskupi powinni teraz śpieszyć do króla, aby przywieźć srebro, gdyż wzięliby to mocno za złe, gdyby Norweg otrzymał swój okup przed nimi.

Biskup Londynu, człek uprzejmy i uśmiechnięty, skinął na to głową i obiecał, że zrobi wszystko, co w ich mocy.

– To dziwne jednak – dodał – że tak dzielni hövdingowie jak wy niepokoją się z powodu tego norweskiego hövdinga, którego flota jest mniejsza od waszej. Czy nie byłoby dla was korzystniej popłynąć na wybrzeże południowe, gdzie przebywa on obecnie, szybko na niego napaść i zdobyć wszystkie jego skarby? Przybył tu z Bretanii pięknymi statkami i mówią, że wiele tam zdobył. Byłby to dobry sposób, aby jeszcze bardziej powiększyć ową miłość, którą król mój żywi dla was. A potem byłoby mu lekko przydzielić wam wielkie dary, gdyby nie musiał zadowolić jeszcze i tego Norwega.

Thorkel przytaknął mu z pewnym wahaniem, a Gudmund zaśmiał się i oświadczył, że warto się nad tym zastanowić.

– Nigdy jeszcze nie starłem się z Norwegami – mówił – powszechnie jednak wiadomo, że przy spotkaniach z nimi zawsze dochodzi do ostrej walki i jest potem dużo do opowiadania. U nas, koło Braaviken, wielu twierdzi, że oprócz wschodnich Gotów nie ma prawie nikogo, kto by ich przewyższał. I dobrze byłoby może sprawdzić to twierdzenie. A mam ja wśród swoich ludzi berserkerów z Wysp Alandzkich, którzy zaczynają napomykać, że wyprawa ta dała im dobry łup i najlepsze piwo, ale za mało sposobności walki. A to dla nich rzecz niezwykła – mówią.

Thorkel powiedział, że ścierał się już z Norwegami, ale że nie ma nic przeciw temu, aby spotkać się z nimi znowu, gdy tylko wyzdrowieje mu ręka. Można tu bowiem zdobyć zarówno sławę, jak i bogactwo.

Ale Jostein wybuchnął głośnym śmiechem, zdjął z głowy kapelusz i cisnął go na ziemię przed sobą. Gdy nie był w boju, nosił zawsze stary, czerwony kapelusz z szeroką kresą, ponieważ hełm ocierał mu głowę.

– Spójrzcie na mnie! – wykrzyknął. – Jestem stary i łysy. A tam gdzie jest wiek, jest i mądrość, jak o tym zaraz się przekonacie. Was obu, Thorkel i Gudmund, może ten klecha omamił swą chytrą, ale nie mnie. Bo ja jestem tak samo mądry jak on. Jemu i jego królowi w to graj, żeby nas skłonić do boju z Norwegiem i wzajemnego wyniszczenia się. Przez to pozbyliby się nas i nie potrzebowaliby płacić srebra tym, którzy pozostali przy życiu. Ale nic z tego nie będzie, jeśli posłuchacie mojej rady.

Zarówno Gudmund, jak Thorkel musieli przyznać, że o tym nie pomyśleli i że Jostein był z nich najmądrzejszy. A posłowie uznali, że nic więcej nie da się zdziałać. Toteż przygotowali się do powrotu do króla Etelreda, by zdać mu sprawę z przebiegu rokowań i możliwie jak najszybciej złożyć srebro na wykup.

Zanim jednak odjechali, wdziali najpiękniejsze ornaty i z całym orszakiem poszli na pobojowisko. Tam odprawili modły nad zabitymi, którzy leżeli na wpół przykryci bujną

trawą, podczas gdy wrony i kruki krążyły w przestworzach niezliczonym stadem i chrapliwym krakaniem protestowały przeciwko temu, że się im przeszkadza.

II.

O SPRAWACH DUCHA

1

Wielka radość zapanowała w całym wojsku, gdy rozeszła się wieść o układzie, jaki hövdingowie zawarli z posłami. Wszyscy wychwalali ich za ten handel i sławili króla Etelreda, mieniając go najlepszym z wszystkich króli dla biednych żeglarzy z Północy.

W obozie wesoło gawędzono i pito, przy czym panował wielki popyt na tłuste owce i młode kobiety. A doświadczeni mężowie zbierali się z namaszczeniem przy obozowych ogniskach, gdzie piekły się baranie combry, i usiłowali wyliczyć, jaka suma przypadnie na każdy statek, a potem na całą flotę. Znajdowali to zadanie trudnym i nierzadko dochodziło między nimi do sprzeczek, czyje obliczenie jest dokładniejsze. Wszyscy jednak zgadzali się co do jednego – że nikt nie mógłby nawet przypuścić, iż na świecie jest aż tyle srebra z wyjątkiem może tylko skarbów cesarza Miklagrodu. Niektórzy mieli jedno zastrzeżenie, a mianowicie, że sternikom przypadł zbyt duży udział w łupie, mimo że ich zajęcia były lekkie i nigdy nie musieli pocić się przy wiosłach. Ale sami sternicy uważali, że każdy sprawiedliwy człowiek powinien zrozumieć, iż jedynie oni zasługują na wyróżnienie.

Mimo że piwo było tęgo sycone i mocne, a zgiełk w obozie wielki, nieczęsto dochodziło do poważniejszych sporów. Wszyscy bowiem czuli się bogaci i uważali, że życie jest piękne, toteż byli mniej niż kiedy indziej skorzy do chwytania za broń.

Tylko Orm w mrocznej zadumie przesiadywał wciąż z małym księżulkiem, uważając, że niewiele ludzi ma większe od niego kłopoty.

Dla braciszka Willibalda znalazło się roboty pod dostatkiem, ponieważ dużo było rannych do oglądania, czemu poświęcał się z powagą i zapałem. Obejrzał też ramię Thorkela i mocno skrytykował biskupich lekarzy i zalecony przez nich sposób leczenia.

Trudno mu było bowiem uwierzyć, że ktoś inny prócz niego może mieć rozsądek i biegłość w sztuce lekarskiej. Mówił, że zamierza odjechać razem z biskupami, Orm nie chciał jednak puścić go od siebie.

– Dobrze bowiem mieć pod ręką lekarza – tłumaczył – a może i prawda, że, jak utrzymujesz, jesteś spośród nich najlepszy. Prawdą jest też, że chętnie wysłałbym cię z posłaniem do Ylvy, córki króla Haralda, albowiem jesteś jedynym posłem, który się do tego nadaje. Ale wtedy już bym cię nigdy więcej nie oglądał z powodu nienawiści, jaką żywisz do nas, Normanów, i nigdy też nie otrzymałbym jej odpowiedzi. I dlatego nie umiem znaleźć wyjścia, tak że zaczynam tracić sen i apetyt.

– Czy zamierzasz mnie tu zatrzymać jako jeńca? – pytał kwaśno braciszek Willibald. – Wszak często mówi się u was, że na waszym słowie można polegać w równej mierze, jak na waszym męstwie, a wszystkim, cośmy siedzieli w wieży, przyrzeczone, że wolno nam udać się, dokąd zechcemy. Ale może już o tym zapomniałeś?

Orm wpatrywał się szeroko rozwartymi oczami w przestrzeń i powiedział, że on nie tak łatwo zapomina.

– Ale trudno mi ciebie wypuścić – ciągnął – bo sama twoja obecność jest jak gdyby pomocą dla mnie, mimo że nic nie możesz tu poradzić. Ale mądry jesteś, mały księżulu, posłuchaj więc, co teraz powiem. Co byś począł, gdybyś był w mojej skórze i gdyby ci się sprawy ułożyły tak jak mnie?

Braciszek Willibald uśmiechnął się, spojrział przyjaźnie na Orma i potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że jesteś mocno przywiązany do tej młodej dziewczyny mimo jej trudnego usposobienia – odparł. – A to rzecz dziwna, ponieważ wy, bezbożni gwałciciele, chętnie bierzecie kobiety, gdzie popadnie, nie zaprzatając sobie głowy jakąś jedną. A może to dlatego, że to córka królewska?

– Tak jak potoczyły się sprawy jej ojca, nie może ona spodziewać się żadnego posagu – odrzekł Orm. – I wiedz, że to nie o bogactwo się ubiegam, ale o nią samą. Wcale jednak nie szkodzi, że jest z dobrego rodu, bo i ja sam jestem z takiego.

– Musiała ci zadać lubczyku – rzekł braciszek Willibald – i to właśnie nadaje taką stałość twoim dla niej uczuciom.

– Raz tylko napoiła mnie – odpowiedział Orm – i już nigdy potem. Było to wtedy, gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy, a napojem tym był rosół. Niedużo jednak zdołałem z niego przełknąć, gdyż wpadła w złość i prasnęła miską z rosółem o podłogę. I to ty sam kazałeś zgotować ten rosół dla mnie.

– Nie było mnie przy tym, jak go gotowano i podawano – odparł braciszek Willibald z zadumą. – A młodzieńcowi nie trzeba dużo tego napitku, gdy kobieta sama jest młoda i kształtna. Jeśli jednak zadała ci lubczyku w rosole, to nic się już nie da na to poradzić. Bo na

lubczyk nie ma innego lekarstwa jak miłość, tak mówią wszyscy najuczcieńsi lekarze od najdawniejszych czasów.

– To właśnie tego lekarstwa szukam! – zawołał Orm. – I pytam, czy możesz mi tu coś poradzić.

Braciszek Willibald podniósł po mentorsku palec i powiedział z ojcowską miną:

– Jedno tylko da się zrobić, gdy człowiekowi ciężko i nie umie sobie znaleźć rady. Ale u ciebie, biedny bałwochwalco, jest z tym kiepsko. Bo jedyne, co można zrobić, to modlić się do Boga o pomoc, a tego nie potrafisz.

– Czy często ci on pomaga? – pytał Orm.

– Zawsze pomaga mi, gdy go proszę o rozsądne rzeczy – odparł zdecydowanie braciszek Willibald – a to więcej, niż potrafią zrobić twoi bogowie dla ciebie. Nie słucha, gdy skarzę się na drobne sprawy, które, jak sądzi, mogę łatwo wytrzymać. Sam widziałem, jak święty mąż boży, biskup Poppon, w czasie gdy uciekaliśmy przez morze, wołał żarliwie do Boga i do świętego Piotra o pomoc na morską chorobę i nie został wysłuchany. Kiedy jednak ja i inni wraz ze mną zostaliśmy zamknięci tutaj w wieży i groził nam głód, pragnienie i miecze pogańskie i wołaliśmy do Boga w naszej niedoli, zostaliśmy wysłuchani, jakkolwiek nie było pośród nas nikogo, kto byłby w obliczu Boga tak zasłużony jak biskup Poppon. Bo wtedy przybyli nam na ratunek posłowie. Zgadzam się, że przyszli z misją od króla Etelreda do hövdingów, ale Bóg wysłał ich również nam na pomoc, wysłuchawszy naszych żarliwych modlitw.

Orm przytaknął i przyznał, że istotnie tak być mogło, bo sam widział, jak to się wszystko stało.

– I teraz już lepiej rozumiem, dlaczego nie udało się nam wykurzyć was z wieży – mówił dalej. – Może Bóg albo ktoś inny, kogo wzywaliście, zesłał wiatr, który rozpędził dym.

Braciszek Willibald odpowiedział, że istotnie było dokładnie tak, jak mówi Orm, i że to palec Boży udaremnił ten szatański pomysł.

Orm siedział, pogrążony w myślach, szarpiąc w rozterce brodę.

– Matka moja na starość przeszła na chrześcijaństwo – odezwał się w końcu. – Nauczyła się dwóch modlitw i używa ich często, uważając je obie za dobre. Mówi, że to modlitwy sprawiły, iż wyniosłem głowę cało i wróciłem do niej, do domu, z tylu niebezpieczeństw, jakkolwiek może Blotunga i ja sam też się coś niecoś do tego przyczyniliśmy, a i ty, mały księżyku, także. Miałbym teraz ochotę sam poprosić Boga o pomoc, skoro mówią, że tak chętnie jej udziela. Nie wiem jednak, czego żąda on w zamian, i nie wiem też, jak z nim rozmawiać.

– Nie możesz prosić Boga o pomoc, dopóki nie zostaniesz chrześcijaninem – rzekł braciszek Willibald. – A chrześcijaninem nie możesz zostać, dopóki nie ochrzcisz się. A ochrzcić się nie możesz, dopóki nie wyprzesz się swoich fałszywych bogów i nie zaczniesz wyznawać Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

– Aż tylu sztuczek nie trzeba było, aby rozmawiać z Allachem i jego Prorokiem – zauważył posepnie Orm.

– Z Allachem i jego Prorokiem? – wykrzyknął ze zdziwieniem mały ksiądz. – A cóż ty wiesz o nich?

– Dłużej od ciebie podróżowałem po świecie – odrzekł Orm. – A kiedy byłem u Almanzora w Andaluzji, wzywaliśmy Allacha i jego Proroka dwa razy dziennie, a czasem i trzy. I te modlitwy jeszcze pamiętam, jeśli chcesz ich posłuchać.

Braciszek Willibald zasłonił się z przerażeniem rękami.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – zawołał. – Uchowaj nas, Boże, przed dziełem diabła i wymysłami przeklętego Mahometa! To gorsze niż wszystko inne, ponieważ wyznawać Mahometa to największe zło! Czy jesteś jeszcze w sidłach jego nauki?

– Trzymałem się jej, dopóki byłem u Almanzora, dlatego że on tak kazał – odpowiedział Orm. – Nikomu bowiem nie doradzałbym sprzeciwiać się Almanzorowi. Potem nie miałem już żadnego boga i może właśnie dlatego wiodło mi się gorzej.

– To dziwne, że biskup Poppon nie dowiedział się tego w czasie twego pobytu na dworze króla Haralda – rzekł braciszek Willibald. – Gdyby doszło do jego uszu, żeś wyznawał naukę tego czarnego oszusta, ochrzciłby cię natychmiast, choćby nawet musiał przywołać na pomoc tuzin wojów króla Haralda, aby cię trzymali. Taką wielką bowiem wyróżnia się nasz biskup pobożnością i zapałem do nawracania. Dobrze to i błogosławione dzieło wybawić zwykłą duszę z ciemności i ślepoty i, być może, że dusze Normanów powinno się też do tego zaliczać, aczkolwiek trudno mi w to uwierzyć po tym, co przeżyłem. Wszyscy jednak święci mężowie zgodnego są zdania, że siedemkroć lepiej zbawić takiego, co wyznawał Mahometa. Nic bowiem nie sprawia diabłu takiej przykrości jak właśnie to.

Orm zaczął go wypytywać o diabła, a Willibald pouczał go z zapałem.

– Wygląda na to – zasmucił się Orm – że bezwiednie drażniłem diabła, nie trzymając się nauki Allacha i jego Proroka. I stąd wszystkie moje nieszczęścia.

– Tak to i jest – potwierdził mały ksiądz – i dobrze, że zaczynasz to rozumieć. Jak sprawy stoją obecnie, nikt chyba nie jest w tak złym położeniu jak właśnie ty. Albowiem diabeł nastaje na ciebie z gniewem, a nie masz żadnej ochrony w Bogu. Dopóki jednak

wyznawaleś Mahometa – niech imię jego będzie przeklęte! – diabeł był twoim przyjacielem i dlatego wtedy wiodło ci się chyba dobrze.

– To tak jak przypuszczałem – mówił Orm. – Mało kto ma takie kłopoty jak ja. Oj, za wiele to przeciwności na jednego człowieka – nie umieć dogodzić ani Bogu, ani diabłu. – Przez chwilę siedział pogrążony w zadumie, po czym podnosząc się rzekł: – Chodźcie ze mną do posłów. Chcę pomówić z tymi, którzy są mocni u Boga.

2

Biskupi powrócili z pobjowiska, gdzie błogosławili zabitych, a następnego dnia zamierzali wyruszyć w drogę powrotną do domu. Najstarszy z nich, zmęczony wyprawą, położył się na spoczynek. Ale biskup Londynu zaprosił do swojej gospody Gudmunda i siedział z nim pospołu, jedząc i pijąc, i usiłując po raz ostatni nakłonić go, aby dał się ochrzcić.

Od chwili przybycia do Maeldun obaj biskupi dokładali wszelkich wysiłków, aby pozyskać hövdingów dla chrześcijaństwa. Tak nakazał im król Etelred i jego arcybiskup, ponieważ chwała królewska powiększyłaby się przez to bardzo, zarówno przed Bogiem, jak i w oczach ludzi. Z Thorkelem nie zaszli daleko. Odpowiadał im po prostu, że szczęście wojenne sprzyja mu bardziej niż chrześcijanom i że dlatego nie ma on najmniejszej ochoty szukać nowych bogów. Także i z Josteinem nie poszło im o wiele lepiej. Siedział w milczeniu i słuchał z rękami opartymi na bojowym toporze, który zawsze nosił z sobą i który nazywał „Żałobą Wdów”, wpatrując się w biskupów spod zmarszczonych brwi, gdy opowiadali mu o Chrystusie i królestwie Bożym. Potem zatrzęsł nim śmiech, cisnął kapelusz o ziemię i zapytał, czy uważają go za głupca.

– Przez dwadzieścia siedem lat byłem kapłanem przy wielkich krwawych ofiarach w Uppsali – mówił – i dowodem lekceważenia jest, gdy ktoś przychodzi do mnie z bajeczkami dobrymi w sam raz dla dzieci i bab. Tym oto toporem, który tu widzicie, ścinałem tych, których składano w ofierze dla wymodlenia dobrych zbiorów i których potem zawieszano wysoko na świętym drzewie przed świątynią. A byli wśród nich także i chrześcijanie, nawet księża, którzy nadzy tarzali się przede mną na kolanach w śniegu i lamentowali. I powiedzcie mi, jaką korzyść mieli ci ludzie ze swego Boga!

Wzdrygnęli się biskupi na te słowa i przeżegnali krzyżem, zrozumiawszy, że nie warto przekonywać takiego człowieka.

Jeśli jednak chodzi o Gudmunda, księcia żywili nadzieję do ostatka, ponieważ był on życzliwy i wesoły i chętnie wysłuchiwał, co mieli mu do powiedzenia. Czasem, gdy napił się dużo piwa, dziękował im ze wzruszeniem, że tak pięknie przemawiają i że tak im zależy na jego powodzeniu. Mimo to dotychczas nie chciał im jeszcze nic obiecać. Toteż teraz biskup Londynu kazał zastawić na stole wszystko, co tylko miał najlepszego do jedzenia i picia, aby go skłonić do zdecydowania się.

Gudmund chętnie przyjmował wszystko, czym go podejmowano, a gdy po chwili muzykanci biskupa pięknie dlań zagrali, wzruszył się tak, że aż łzy kapały mu na brodę. Potem biskup zaczął go przekonywać i namawiać najłagodniejszym głosem i jak najstaranniej dobranymi słowami.

Gudmund słuchał, potakując, i przyznał, że wiele jest u chrześcijan rzeczy, które mu się podobają.

– Jesteś dobrym człowiekiem – rzekł w końcu do biskupa. – Gościnnieś, dużo umiesz i pijesz, jak przystało na mężczyznę, a także przyjemnie jest posłuchać, jak przemawiasz. Dlatego chętnie chciałbym ci dogodzić, ale to, o co mnie prosisz, to nie drobnostka. Żle byłoby bowiem bardzo, gdyby po powrocie do domu wyśmieli mnie domownicy i sąsiedzi, że dałem się nabrać na księżą gadaninę. Mimo to osobiście wierzę, że taki mąż jak ty musi mieć wielką moc i znać wiele tajemnic. Oto masz tu coś, co niedawno znalazłem i co chciałbym, abyś pobłogosławił.

To mówiąc wyjął z zanadru mały złoty krzyżyk i podsunął go biskupowi pod oczy.

– Znalazłem to w domu pewnego bogacza. Ta zabawka kosztowała życie dwóch mężczyzn i piękniejszej nie widziałem nigdy dotąd. Gdy wrócę, dam ją synowi. Chłopak ma na imię Folke, a kobiety nazywają go Drapichrust. To dzielny pędrak, bardzo łasy na srebro i złoto, i mocno trzyma to, co złapie. Do tego krzyżyka będzie wyciągać obie rączki. I gdybyś potrafił wlać w ten przedmiot szczęście, byłoby dobrze. Chcę bowiem, aby syn mój był potężny i bogaty tak, aby mógł siedzieć na swojej zagrodzie otoczony poważaniem i widzieć, jak wschodzą plony i porasta w tłuszcz bydło, aby nie musiał wałęsać się dla łupu po morzach, wpadać w tarapaty na obczyźnie i być narażonym na szkody od broni cudzoziemców.

Biskup uśmiechnął się, wziął krzyżyk i pomamrotał coś nad nim, a Gudmund schował go z zadowoleniem.

– Dzięki wielkiej szczodroblewości króla Etelreda wrócisz do domu jako bogacz – rzekł biskup. – Ale wierz mi, że szczęście twoje byłoby jeszcze większe, gdybyś nawrócił się na wiarę Chrystusową.

– Nigdy nie ma się za dużo bogactwa – odpowiedział Gudmund skubiąc w zamyśleniu brodę. – Wiem już, od którego z sąsiadów dokupię ziemi i jak wyglądać będzie mój nowy dom.

Zbuduję go obszerny i z najlepszego dębowego drzewa. Dużo srebra pójdzie, aby wszystko było tak, jak sobie umyśliłem. I bez względu na to, jak teraz postąpię, może i nikt nie będzie się ze mnie śmiał w domu, skoro tylko wrócę dostatecznie bogaty i jeśli pozostanie mi dość srebra w skrzyni. Dlatego też niech będzie, jak chcesz. Możesz mnie ochrzcić i będę na przyszłość trzymał się Chrystusa, jeśli powiększysz mój udział w wykupie o sto marek srebra.

– To nie jest sposób myślenia właściwy dla tego, kto ma zostać przyjęty do grona wyznawców Chrystusa – rzekł biskup łagodnie. – Ale nie będę cię potępiał, albowiem nie możesz wiedzieć, że jest powiedziane: „Błogosławieni ubodzy”. I dużo czasu zajęłoby wytłumaczenie ci tej prawdy. Powinieneś jednak zważyć, że i bez tego masz dostać od króla Etelreda wielkie bogactwo, większe, niż mógłby ci dać ktokolwiek inny. Jest on co prawda wielkim i potężnym monarchą, ale nawet jego skrzynie mają dno. Dlatego też jest dlań niemożliwością dać ci tyle, ile pragniesz, choćby nawet chciał to uczynić. Chrzestny prezent w wysokości dwudziestu marek mogę ci obiecać, boś wielki hövding, ale na tym koniec. A i to król może uznać za zbyt wiele. Teraz jednak skosztuj napoju, który nam podają, a który nie jest zapewne znany w twoim kraju. To grzane wino, zaprawione miodem, a oprócz tego rzadkimi korzeniami ze Wschodu – cynamonem i kardamonem. Znający się na rzeczy uważają, że nie ma napitku przyjemniejszego dla podniebienia ani pożyteczniejszego, gdy chodzi o złagodzenie trosk i rozproszenie smutku.

Gudmund uznał napój za dobry i zdrowy. Lecz suma ofiarowana przez biskupa wydała mu się zbyt niska. Za taką sumę nie chciał narażać na szwank swego dobrego imienia w rodzinnych stronach.

– Z uwagi jednak na wielką przyjaźń, jaką odczuwam dla ciebie – ciągnął zwracając się do biskupa – zrobię to za sześćdziesiąt marek. Taniej nigdy mnie nie dostaniesz.

– I ja żywię dużą przyjaźń do ciebie – odparł biskup – a tak wielkie jest moje pragnienie, abyś się ochrzcił i mógł dostać do królestwa niebieskiego, że chętnie podarowałbym ci coś swego własnego, aby cię zadowolić. Nie posiadam jednak dużo dóbr doczesnych, tak że dziesięć marek srebra to wszystko, co mogę dołożyć.

Gudmund potrząsnął na to przecząco głową, mrugając sennie oczyma. W tejże chwili za drzwiami dał się słyszeć hałas i do izby wszedł Orm ciągnąc za ramię braciszka Willibalda

i uczeponych do jego odzieży dwóch służących, którzy strzegli drzwi i krzyczeli na natręta, że biskupowi nie wolno przeszkadzać.

– Świętobliwy biskupie – odezwał się – jestem Orm, syn Toste, z Kullen w Skanii, jeden z hövdingów w flocie Thorkela. Chcę, abyś mnie ochrzcił i pozwolił towarzyszyć sobie do Londynu. Biskup wybałuszył oczy na niego ze zdziwienia i z początku wyglądało na to, że się zląkł. Kiedy jednak spostrzegł, że Orm ani nie jest pijany, ani szalony, zapytał, co to ma właściwie znaczyć. Nie przywykł bowiem jeszcze do tego, aby Normanowie napraszali mu się z takimi sprawami.

– Chcę znaleźć się pod Boską opieką, bo gorzej ze mną niż z kimkolwiek innym. Ten oto ksiądz wytłumaczy ci to lepiej niż ja sam.

Braciszek Willibald prosił biskupa o przebaczenie za wtargnięcie. Doszło do tego bez jego woli – tłumaczył – lecz zmuszony został barbarzyńską porywcznością i siłą, przywleczony gwałtem obok zagrządzających drogę odźwiernych, mimo że słyszał, iż w komnacie pertraktowano o ważnych sprawach.

Biskup odpowiedział życzliwie, aby się tym nie przejmował. Wskazał przy tym na Gudmunda, który zmorzony ostatnim kielichem grzanego wina, usnął tak, jak siedział przy stole.

– Wiele miałem z nim trudu, aby namówić go na chrzest – ciągnął – lecz mimo to nie udało mi się, ponieważ dusza jego przywiązana jest bez reszty do rzeczy doczesnych. A oto Bóg zsyła mi innego, który przychodzi sam, niewołany. Witaj mi, hövdingu! Czyś w pełni gotów na to, co zamierzasz uczynić?

– O, tak – odparł Orm. – Albowiem uprzednio służyłem Mahometowi i jego bogu, teraz zaś zrozumiałem, że nie ma nic groźniejszego od tego.

Biskup wybałuszył oczy i trzykrotnie przeżegnał się krzyżem wołając, aby mu podali święconą wodę.

– Mahomet i jego bóg? – zwrócił się do braciszka Willibalda. – Jakżeż to możliwe?

Jeden przez drugiego zaczęli mu wszystko tłumaczyć. Gdy skończyli, rzekł, że wiele już widział grzechu i ciemnoty, ale nigdy jeszcze człowieka, który by służył Mahometowi. A kiedy przyniesiono święconą wodę, umoczył w niej niewielkie kropidło i spryskał Orma, szepcząc modlitwy w celu wypędzenia złych duchów. Orm aż zbladł przy tym i opowiadał później, że to kropienie trudno było wytrzymać, gdyż przeszedł go dreszcz po całym ciele i doznał uczucia, jak gdyby zjeżyły mu się wszystkie włosy na głowie. Biskup opryskiwał go wodą przez dobrą chwilę, w końcu jednak dał spokój i oświadczył, że więcej już nie trzeba tego robić.

– Skoro ani piana nie występuje ci na usta, ani nie padasz w drgawkach i konwulsjach na ziemię, ani nawet nie czuć od ciebie złego zapachu, świadczy to, iż zły duch już cię opuścił, za co powinienesz dziękować Bogu.

Przy okazji biskup prysnął odrobiną wody także i na Gudmunda, który natychmiast poderwał się, wołając, żeby zwijać zagle, po czym znów obsunął się na ławę i dalej chrapał.

Orm otarł z twarzy krople wody i zapytał, czy ma to takie samo korzystne działanie jak chrzest, na co biskup odpowiedział, że zachodzi tu wielka różnica i że wcale nie tak łatwo otrzymać chrzest, a już szczególnie temu, kto służył Mahometowi.

– Najpierw musisz wyrzec się fałszywych bogów – tłumaczył – i oświadczyć, że wierzysz w Ojca i Syna, i Świętego Ducha. Oprócz tego zaś trzeba cię będzie pouczyć o wierze chrześcijańskiej.

– Nie mam żadnych bogów, których bym musiał się wyrzekać – odparł Orm – i chcę odtąd trzymać się Boga i jego syna, i ich ducha. Co do pouczenia zaś w wierze chrześcijańskiej – nasłuchałem się tego dużo. Najpierw u mnichów w Irlandii, potem u króla Haralda i u siebie w domu od starej matki, która pouczała mnie tak dobrze, jak umiała, a w końcu teraz od tego małego księżyka, który jest moim przyjacielem i nauczył mnie wiele o diable. Tak że w tej sprawie uważam się obecnie za równie biegłego jak wszyscy.

Biskup przyznał mu rację mówiąc, że przyjemnie mu to słyszeć i że nieczęsto spotyka się wśród pogan kogoś, kto by nasłuchał się tylu nauk w świętych sprawach. Potarł się potem po nosie, zamyślił się, rzucił okiem na Gudmunda śpiącego spokojnie na ławie i znów przeniósł wzrok na Orma.

– Pozostała jeszcze jedna sprawa – rzekł w końcu powoli i z powagą. – Grzązłeś w gorszym grzechu niż jakikolwiek inny człowiek, którego oglądałem, przez to, żeś służył fałszywemu prorokowi, będącemu najczarniejszym wysłannikiem diabła. I kiedy teraz po takiej okropności chcesz znowu dostać się pod opiekę Boga żywego, wypada, abyś przyniósł z sobą jakiś dar dla niego i dla jego kościoła, aby pokazać, że twoje postanowienie jest poważne i że serce twe uległo poprawie.

Orm odpowiedział na to, że uważa ten warunek za zupełnie słuszny i że chętnie da coś, aby poprawić swoje szczęście i zyskać opiekę u Boga. Zapytał, jaki dar byłby godziwy.

– To zależy od urodzenia i od bogactwa, no i od tego, o jak wielkiego grzesznika w danym wypadku chodzi – wyjaśnił mu biskup. – Chrzciłem raz pewnego duńskiego hövdinga, który odziedziczył spadek w naszym kraju. Dał za to pięć wołów, beczkę piwa i dwadzieścia funtów wosku dla kościoła Bożego. W starych pismach jednak można wyczytać o mężach wysokiego rodu, którzy dawali po dziesięć, czasem dwanaście marek srebra,

a oprócz tego budowali kościół. Wtedy jednak kazali zwykle chrzcić się z wszystkimi swymi domownikami.

– Nie chcę być gorszy od innych – rzekł Orm. – Jestem z rodu Długorękiego. Zbuduję kościół, gdy wrócę do domu, a ty ochrzcisz całą moją załogę i dostaniesz za to ode mnie piętnaście marek srebra. Ale chcę w zamian, abyś przemówił za mną dobrze u Boga.

– Jesteś doprawdy wielkim hövdingiem – odpowiedział biskup zadowolony – i zrobię dla ciebie, co tylko w mej mocy.

Obaj bardzo byli radzi. A biskup zapytał jeszcze, czy Orm myśli poważnie, mówiąc, iż cała jego załoga da się ochrzcić.

– Gdy zostanę chrześcijaninem – odrzekł Orm – nie mogę mieć w łodzi pogan. Cóż pomyślałby sobie wtedy o mnie Bóg? To już musi być jednakowo dla wszystkich. A jak ja powiem moim ludziom, tak i będzie. Mam już zresztą u siebie takich, co są ochrzczeni raz albo i dwa razy. Ale jeszcze jeden raz nie może przecież zaszkodzić.

Zaczął też prosić, aby biskupi wsiedli z całą świtą na jego łódź, a on zawiezie ich do Londynu i Westminsteru, gdzie dokonano by ceremonii chrztu.

– Mam duży i dobry okręt – mówił. – Przy tak wielu gościach będzie naturalnie trochę ciasno, ale podróż jest krótka, a pogoda ustalona i piękna.

Bardzo się zapalił do tego pomysłu i mocno nalegał, ale biskup odpowiedział mu, że nie może sam stanowić w tak ważnej sprawie, lecz musi wpierw się poradzić ze swym współtowarzyszem i z innymi. Ormowi przyszło więc uzbroić się w cierpliwość do następnego dnia i rozstawszy się wśród licznych podziękowań z biskupem, powrócił do swej kwatery z braciszkiem Willibaldem. Ten ostatni niewiele mówił w obecności biskupa, za to teraz idąc obok Orma aż dławił się od cichego śmiechu.

– Cóż to sprawia ci tak wielką uciechę? – spytał go Orm.

– Nie szczędzisz zachodów, aby dostać córkę króla Haralda – odparł mały ksiądz. – I wydaje mi się, że dobrze robisz.

– Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, nie pozostaniesz i ty bez nagrody – rzekł Orm. – Zdaje mi się bowiem, że szczęście moje zaczęło się poprawiać od chwili, kiedy ciebie tutaj spotkałem.

Gdy biskup pozostał sam, siedział przez chwilę w zadumie, uśmiechając się do swoich myśli, po czym rozkazał służbie zbudzić Gudmunda. Po pewnej chwili udało się tego dokonać, jakkolwiek hövding burczał, że mu nie dają spać.

– Wiele myślałem nad tym, o czym rozmawialiśmy – zagadał do niego biskup. – I przy Boskiej pomocy mogę ci przyrzec czterdzieści marek srebra, jeśli dasz się ochrzcić.

Gudmund otrzeźwiał na te słowa natychmiast. I po chwili stanęła między nimi umowa o czterdzieści pięć marek srebra i funt korzeni, które biskup dodawał do grzanego wina.

3

Następnego dnia doszło do rokowań u Thorkela na temat pomysłu Orma i odjazdu biskupów. Gudmund oświadczył, że i on zamierza z nimi popłynąć. Królewscy posłowie dają bowiem dobry glejt, a gdy w dodatku ma już teraz nastąpić pokój między Normanami a królem Etelredem, chciałby być obecny przy odważaniu królewskiego srebra, aby wszystko odbyło się porządnie i prawidłowo.

Thorkel uznał to za rozsądne i powiedział, że sam chętnie by był przy tym, gdyby ramię mniej mu dokuczało. Ale Jostein rzekł, że wystarczy, gdy jeden z dowódców wyruszy na taką wyprawę, ponieważ coś takiego może zawsze skusić wroga do dokonania napadu. Nie powinni też osłabiać się w obozie, dopóki srebro nie znajdzie się w ich ręku.

Pogoda była piękna, tak że biskupi nie mieli nic przeciwko podróży morzem, byle tylko mogli czuć się bezpieczni przed napaścią morskich rabusiów. W końcu więc postanowiono, że Gudmund i Orm odstawią biskupów do Westminsteru. Tam mają robić, co w ich mocy, aby przyspieszyć wypłatę okupu. A gdy spotkają króla, mają mu podziękować za dary i powiedzieć, że zaczną plądrować na nowo i jeszcze bardziej, gdyby ociągał się z zapłatą.

Orm zwołał potem całą załogę i oznajmił, że wybiera się do Westminsteru w pokojowej misji, zabierając z sobą na statku świątobliwych posłów króla Etelreda.

Wielu z jego drużyny zaniepokoiło się na te słowa. Mówili, że ryzykownie jest zabierać księży na okręt, o czym dobrze wiedzą żeglarze, i że z biskupami sprawa ta może wyglądać jeszcze gorzej.

Orm uspokajał ich, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Albowiem ci kapłani są tak świątobliwi, iż nie mogą przynieść żadnej szkody bez względu na zakusy, do jakich uciekliby się bogowie morza. Potem zaś ciągnął dalej:

– Gdy przybędziemy do Westminsteru, każę się ochrzcić. Albowiem po rozmowie z świątobliwymi mężami uznałem, że najlepiej trzymać się Chrystusa, co też zamierzam odtąd robić. Na okręcie takim jak nasz najlepiej jest, gdy panuje jednomyślność i gdy w wielu sprawach warunki są dla wszystkich jednakie. Dlatego też pragnieniem moim jest, abyście dali się ochrzcić wraz ze mną. Będzie to też najlepiej dla was samych i możecie zaufać moim

słowom, bo wiem, co mówię. A jeśli ktoś się z tym nie zgadza, niech powie to od razu. Musi wtedy opuścić łódź z wszystkim, co do niego należy, i przestanie być członkiem mojej załogi.

Na te słowa kilku spojrzęło z wahaniem na siebie, skrobiąc się za uchem. Lecz na samym przedzie stał Rapp Jednooki, który był sternikiem i którego większość się bała. Spokojnie przytaknął głową słowom Orma, ponieważ był raz poprzednio w podobnej sytuacji. Po czym nikt już nie podnosił żadnych zastrzeżeń.

– Wiem, że są pośród was tacy, co już byli chrzczeni w Skanii – mówił dalej Orm – i którzy być może dostali za to koszulę albo kaftan, albo i mały krzyżyk do noszenia na wstążce u szyi. I słyszy się niekiedy, jak tacy mówią, że niewielki pożytek z tego, że się zostaje ochrzczonym. Tamto jednak to były tanie chrzty, przeznaczone przeważnie dla kobiet i dzieci. Obecnie zostaniemy ochrzczeni inaczej i przez bardziej świątobliwych mężów, tak że uzyskamy opiekę u Boga i poprawi nam się szczęście na całe życie. I nie miałyby to sensu, gdyby takie korzyści otrzymywało się za darmo. Ja sam zapłacę za siebie dużo, z was zaś każdy da po dwa öre srebrem.

Na to rozległo się wśród wojów szemranie. A kilku odezwało się, że to coś zupełnie nowego, aby jeszcze płacić za takie rzeczy, i że dwa öre to całkiem niemała suma.

– Nikogo nie zmuszam – odpowiedział Orm. – Każdy, kto uważa za niesłuszne to, co teraz powiedziałem, może oszczędzić sobie pieniędzy mierząc się ze mną w pojedynku, gdy tylko zostaniemy ochrzczeni. Jeśli zwycięży, nie będzie musiał nic zapłacić. No, a jeśli przegra, to i w tym wypadku uniknie zapłaty.

Większość uznała, że dobrze mówi, i zaczęto gromko nawoływać dusigroszów, aby wystąpili naprzód. Ale wywoływani szczerzyli tylko wstydliwie zęby w uśmiechu, uważając, że trzeba pogodzić się z tą stratą.

Gudmund i Orm podzielili księży pomiędzy siebie tak, że starszy biskup ze świtą wsiadł na łódź Gudmunda, a biskup Londynu na łódź Orma. Był z nim też braciszek Willibald. Biskupi pobłogosławili statki, odprawili modły o szczęśliwą podróż i polecili wciągnąć swoje proporce. Po czym łodzie wyszły w morze przy pomyślnym wietrze i pięknej pogodzie, tak że ludzie zaczęli patrzeć na biskupów z większym szacunkiem. Z przyplływem morza dopłynęli do Tamizy, w której ujściu przenocowali, a następnego dnia rano w jasnych promieniach wschodzącego słońca zaczęli o wiosłach posuwać się w górę rzeki.

W nadbrzeżnych zaroślach stali przy swoich lepiankach mieszkańcy przyglądając się im podejrzliwie, a rybacy na rzece zabierali się w wielkim pośpiechu do ucieczki na widok obcych łodzi, uspokajali się jednak ujrzawszy znaki biskupie. W paru miejscach można było dostrzec spalone wsie, ziejące pustką po najeździe Normanów. Wyżej zaś dotarli do miejsca,

gdzie rzekę przegradzała palisada z czterema rzędami ostrokołów. Tylko pośrodku pozostawiono otworem wąski kanał, gdzie stały w pogotowiu trzy duże okręty wartownicze, pełne uzbrojonych mężów. Zatrzymano ich tam i okręty wyszły zaraz na środek kanału z całą załogą gotową do boju.

– Czyście ślepi, czy nierozumni? – zawołał do nich Gudmund. – Nie widzicie, że przybywamy z tarczą pokoju, wioząc świątobliwych biskupów?

– Nas nie nabierzecie – odpowiedziano mu z przeciwnej strony. – Tu nie przepuszcza się żadnych piratów.

– Wieziemy posłów waszego własnego króla! – wołał Gudmund.

– Znamy was – przyszła odpowiedź. – Pełni jesteście podstępów i diabelskich pomysłów.

– Przybywamy, aby się ochrzcić! – ryknął niecierpliwie Orm. Na te słowa na okrętach wartowniczych wybuchł potężny śmiech, a jakiś głos zawołał:

– Czyżby wam się sprzykrzył diabeł, wasz pan i ojciec?

– Tak – odparł rozzłoszczony Orm, na co rozległ się śmiech jeszcze większy.

Zanosilo się na bitwę. Orm bowiem nie lubił, gdy się z niego naigrawano, i kazał Rappowi podpłynąć i przybić do najbliższego okrętu, na którym śmiano się najgłośniej. Ale biskupi zdołali wreszcie w pośpiechu włożyć na się ornaty i z podniesionymi pastorałami wołali o spokój. Orm posłuchał wezwania niechętnie i Gudmund też, uważając to wszystko za trudne do wytrzymania. Biskupi zaczęli rozmawiać ze swymi ziomkami i przemawiali do nich tak władczo, że ci wnet spostrzegli, iż świątobliwi mężowie są tymi, na których wyglądają, a nie jeńcami czy też przebranymi rabusiami. Łodzie normandzkie przepuszczono przez zaporę i gdy przepływały, nie doszło do żadnych incydentów prócz wymiany ostrych przycinków między załogami.

Orm patrzył z oszczepem w dłoni na okręty wartownicze, jeszcze blade z gniewu.

– Chętnie bym ich nauczył rozumu – odezwał się do braciszka Willibalda, który stał obok niego i wcale nie okazywał niepokoju, gdy zanosilo się na bój.

– Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie – odpowiedział teraz Ormowi. – Tak mówi Pismo Święte, gdzie zawarte są wszystkie dobre nauki. Jakże byś mógł dotrzeć do córki króla Haralda, gdybyś wszczął walkę z okrętem króla Etelreda? Ale ty jesteś gwałtownikiem i już takim zostaniesz, choć to najgorzej dla ciebie samego.

Orm westchnął i odłożył oszczep.

– Kiedy ją dostanę, stanę się spokojnym człowiekiem – rzekł. Ale mały ksiądz potrząsnął głową z powątpiewaniem.

– Czyż ryś może zmienić swoje cętki? – spytał. – Albo Murzyn skórę? Tak też i jest napisane w Piśmie. Ale dziękuj Bogu i świątobliwym biskupom, którzy ci pomogli.

Wkrótce minęli zakręt rzeki i przed sobą po prawej ręce ujrzeli Londyn.

Był to widok, któremu przyglądali się z zapartym tchem. Miasto było bowiem tak wielkie, że z rzeki nie można było dosięgnąć okiem jego krańców. A księża mówili, że znający się na rzeczy twierdzą, iż mieszka tam nie mniej jak trzydzieści tysięcy ludności. Niektórzy nie mogli wcale pojąć, z czego wszyscy ci ludzie mogą żyć w takim ścisku, bez roli i bez krów. Mądrzejsi jednak opowiadali, że mieszkańcy miast to złe i podstępne plemie. Potrafią oszukańczo zbierać dobre żniwo z poczciwego ludku wiejskiego bez tego, by samym kiedykolwiek wziąć się za pług czy stapor. Dlatego też słusznie mówiono, że śmiali żeglarze winni nawiedzać niekiedy ludzi tego gatunku i zabierać im to, co nagromadzili oszustwem. Toteż wszyscy wpatrywali się poważnie w miasto, wiosłując powoli pod prąd i uważali, że tu zaprawdę musi być wiele do zabrania.

Lecz Orm i Rapp Jednooki oświadczyli, że widzieli już większe miasta i że to tutaj nie może się nawet mierzyć z Kordobą.

Przypłynęli do wielkiego mostu, zbudowanego z potężnych bali. Mogły pod nim przepływać największe statki, położywszy wprzód swoje maszty. Na ich widok zbiegło się tam mnóstwo ludzi i wielu zbrojnych, którzy głośno krzyczeli o poganach i diabłach. Cały jednak ten tłum wybuchł wielką radością, kiedy biskup zawołał potężnym głosem, że wszystko jest w porządku i że zawarty został pokój z przybyszami zza morza.

Gdy łodzie podpłynęły bliżej, na moście stała już gęsto zbita ciżba, która chciała przyjrzeć im się z bliska. A gdy żeglarze zobaczyli w tłoku kilka ładnych młodych kobiet, zaczęli żarliwie nawoływać, by korzystały z okazji i zeskoczyły do nich. Na łodziach jest bowiem pod dostatkiem podarków i srebra, wesela i żwawych mężów, a także księży, aby natychmiast udzielili im błogosławieństwa w najbardziej chrześcijański sposób. Kilka z nich śmiało się wesoło i odchrzyknęło, że miałyby ochotę spróbować, ale że za wysoko skakać. Na co zaraz porwało je za włosy paru nasępionych krewniaków, obiecując im tęgie lanie za takie nieprzystojne żarty z poganami.

Braciszek Willibald potrząsnął głową mówiąc, że w obecnych czasach młodzież staje się niesforna także i wśród chrześcijan. A siedzący przy sterze Rapp przytakiwał głową, gdy łódź wsunęła się pod most, i zauważył ponuro, że kobiety zawsze są takie same ze swoim niepotrzebnym paplaniem.

– Powinny były trzymać język za zębami i od razu skakać z mostu, gdy tylko na nie zawołano – twierdził.

Zbliżali się do Westminsteru i zza drzew z wolna ukazały się ich oczom wysokie wieże zamku. Biskupi znowu przybrali się w pełne szaty pontyfikalne, a księża z ich świty zaintonowali starodawny hymn, który święty Kolumbanus zwykł być śpiewać przy chrzczeniu pogan:

*Oto nadpływa strwożona rzesza.
Przyjm ją, o dobry Boże!
Ona niedawno pływała biedna
Przez grzechu mroczne morze.
Do krzyża, który rządzi tym światem,
Wznoszą modlitwy czyste.
Dusze, co były we władzy diabła,
Przyjm dziś, o dobry Chryste!*

Śpiew niósł się pięknie przez rzekę w ciszy pogodnego wieczoru, a gdy wiosłarze uchwycili takt pieśni, nadążali za nim dobrze i mówili, że melodia jest nie najgorsza i do wiosłowania.

Kiedy pieśń się skończyła, skręcili znów w prawo i przybili do mostków u stóp czerwonych murów Westminsteru.

III.

O ŚLUBIE I CHRZCIE ORAZ O SREBRZE KRÓLA ETELREDA

1

Król Etelred Bezradny siedział smutnie w Westminsterze w otoczeniu wielu doradców i czekał na wieść o wyniku rokowań z Normanami. Ściągnął wiele wojska tak dla własnej obrony, jak i po to, aby mieć oko na ludność Londynu, która zaczynała sarkać po klęsce pod Maeldun. Miał też obok siebie do pomocy i dla pociechy arcybiskupa, ale ten niewiele tylko mógł zdziałać. I niepokój królewski stał się po wyjeździe wysłanników tak wielki, że król nie wyruszał nawet na łowy i stracił ochotę do słuchania mszy i do kobiet. Najwięcej czasu spędzał teraz z packą na muchy, w posługiwaniu się którą bardzo celował.

Ocknął się z przygnębienia, dowiedziawszy się, że posłowie wrócili i że pokój z Normanami został zawarty, a radość jego stała się jeszcze większa na wiadomość, że z poselstwem przybyli hövdingowie i ich drużyny, aby się ochrzcić. Natychmiast rozkazał bić we wszystkie dzwony i podjął przybyszów jak najgościnniej. Potem jednak znowu o władnął nim niepokój, gdy usłyszał, że to przybyły załogi dwóch silnych okrętów wojennych, nie wiedział bowiem, czy się bać, czy też cieszyć. Szarpał brodę, wypytując księży, dworzan i pacholków, co o tym myślą. Aż w końcu postanowiono, że Normanowie rozbiją obóz na łące poza miastem i nie zostaną wpuszczeni w obręb murów, a straż na murach ulegną wzmocnieniu. Równocześnie zaś miano ogłosić we wszystkich kościołach, że poganie przybywają całymi gromadami z intencją chrztu i poprawy, za co ludność powinna złożyć solenne dzięki i chwałę Bogu oraz swemu królowi.

Etelred obwieścił też, że następnego ranka, gdy tylko trochę odpocznie i uspokoi się, posłowie mogą zjawić się przed jego obliczem, wiodąc z sobą hövdingów, którzy przybyli, aby się ochrzcić.

Normanowie udali się do swego obozowiska, a królewscy urzędnicy zaczęli śpiesznie się krzątać, aby dostarczyć im wszystkiego, czego potrzebowali jako goście króla Etelreda. Wnet zapłonęły ogniska i rozległo się ryczenie pędzonego na ubój bydła, a także liczne wołania o biały chleb, tłusty ser, miód i ciasto jajeczne, świeżą wieprzowinę i piwo takie, jakie pijali zazwyczaj tylko król i biskupi. Najgłośniej hałasowali ludzie Orma i najtrudniej było ich

zadowolić. Uważali bowiem, że skoro mają się ochrzcić, zasługują na to, aby ich dobrze podejmowano.

Orm jednak miał co innego na głowie niż wyżywienie swoich ludzi i śpieszo mu było udać się w inną stronę wraz z braciszkiem Willibaldem, z którym nie chciał się rozstawać. Czuł się okropnie nędznie z niepokoju o Ylvę i trudno mu było uwierzyć, że ona rzeczywiście się tu znajduje, mimo wszystkiego, co mu Willibald opowiadał. Bał się bowiem, że może wyszła za mąż, uciekła lub została porwana czy też wpadła w oko Etelredowi – który, jak mówiono, bardzo był łasy na kobiety – i że król wziął ją dla siebie.

Weszli do miasta przez bramę w murach, nie zatrzymywani, ponieważ straż nie chciała zaczepiać obcego, idącego w towarzystwie księdza.

Braciszek Willibald poprowadził Orma do wielkiego klasztoru, gdzie jako gość opata mieszkał biskup Poppon. Biskup właśnie wrócił z wieczornego nabożeństwa. Wyglądał starzej i był szczuplejszy niż wtedy, gdy Orm widział go u króla Haralda, ale twarz jego rozjaśniła się radością na widok Willibalda.

– Dzięki niech będą za to Bogu – rzekł. – Długo cię nie było i myślałem, że jakieś nieszczęście spotkało cię w podróży. Wiele nazbierało mi się pytań do ciebie. Ale kimżeż to jest twój towarzysz?

– Siedzieliśmy z tobą przy jednym stole u króla Haralda – odparł Orm – kiedyś opowiadał o owym synu królewskim, co to zawisł na swoich wiosłach. Ale wielu tam wtedy uczowało i wiele też wydarzyło się od owego czasu. Nazywam się Orm, syn Toste, i dowodzę w tej wyprawie okrętem w flocie Thorkela Wysokiego. Tu zaś przybywam, aby się ochrzcić i zabrać moją narzeczoną.

– Służył dawniej Mahometowi – wyjaśnił z ożywieniem brat Willibald. – Obecnie jednak chce uciec od diabła. To ten sam, którego wyleczyłem po ostatniej uczcie wigilijnej u króla Haralda, wtedy kiedy to bili się na miecze w halli przed pijanymi królami. I to on i jego towarzysz grozili bratu Mateuszowi oszczepem, nie chcąc słuchać nauk Chrystusowych. A teraz pragnie się ochrzcić.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – wykrzyknął biskup. – On służył Mahometowi?

– Egzorcyzmował go już i pokropił biskup Londynu – uspokajał mały księżyk. – Ale już wtedy nie było w nim żadnego złego ducha.

– Po Ylvę, córkę króla Haralda, tu przybywam – rzekł Orm. – Mam ją obiecaną i od niej samej, i od króla Haralda.

– Który już nie żyje – dorzucił mały ksiądz – a poganie żrą się między sobą w Danii.

– Świątobliwy biskupie – nalegał Orm – czy mógłbym się z nią zobaczyć natychmiast?

– Z wielu rzeczami przychodzicie – powiedział biskup i poprosił ich, by usiedli.

– To dla niej przybył tutaj z całą załogą, aby się ochrzcić – tłumaczył braciszek Willibald.

– A przedtem służył Mahometowi – mówił biskup. – Wielki to zaiste i przedziwny znak. Bóg zsyła mi zatem jeszcze radość, choć siedzę tu jako wygnaniec, a całe dzieło mojego życia poszło na marne.

Kazał przynieść piwa i zaczął ich wypytywać o nowiny z Danii i o szczegóły układu zawartego pod Maelduin.

Braciszek Willibald nie szczędził słów, a Orm pomagał mu, jak umiał, w złożeniu sprawozdania pomimo swej niecierpliwości. Albowiem biskup był łagodnym i godnym szacunku człowiekiem i trudno było nie zaspokoić jego ciekawości w sprawach, których tak gorąco chciał się dowiedzieć.

W końcu biskup wysłuchał wszystkich nowin, jakie przywieźli. Zwrócił się wtedy do Orma ze słowami:

– Więc przychodzisz, aby zabrać mi moją chrześniaczkę, Ylvę. Niemała to rzecz starać się o królewską córkę. Ale coś już o tym słyszałem i od niej samej. A ona doprawdy wie, czego chce, niech Bóg dopomoże nam wszystkim!

Potrząsnął głową i uśmiechnął się łagodnie.

– To taka wychowanica, co może sprawić, że stary człowiek osiwieje szybciej, niż tego wymagają lata – ciągnął. – I jeśli dasz sobie z nią radę, potrafisz zaprawdę więcej, niż umiał sam król Harald, i więcej, niż ja potrafię. Ale Pan Bóg działa różnymi dziwnymi sposobami i skoro się ochrzczisz, nie będę się temu sprzeciwiał. A z jej zamęściem ciężkie brzemię spadnie z moich starych barków.

– Długo trwała nasza rozłąka – mówił Orm. – Pozwól mi więc ją zobaczyć.

Biskup zawahał się mówiąc, że taki zapal jest przywilejem młodości, ale że już późno i najlepiej może poczekać z tym spotkaniem, dopóki nie odbędzie się chrzest. Dał się jednak ubłagać i przywołał diakona ze swej świty, każąc mu wziąć czterech ludzi i zanieść w jego imieniu pozdrowienia dla pani Ermentrudy i poprosić ją, by pomimo późnej godziny przysłała tu córkę króla Harald.

– Postarałem się, by miała dobrą opiekę – ciągnął po odejściu diakona. – A jest to zaiste potrzebne dla dziewczyny takiej jak ona, w miejscu takim jak to, zwłaszcza od czasu, gdy przybył tu król z całym dworem i wojskiem. Mieszka w pobliżu, u mniszek błogosławionej królowej Berty, i jest dla nich kłopotliwym gościem, choć wszystkie ją kochają. Dwa razy

próbowała uciekać, ponieważ, jak mówiła, nudzi się zanadto. A raz, całkiem niedawno temu, zwabiła dwóch młodzieńców dobrego rodu – którzy zobaczyli ją w ogrodzie u mniszek i rozmawiali z nią przez mur – aby we wczesnych godzinach porannych przeleźli wraz z służbą i drużyną do ogrodu i stoczyli z sobą na klasztornych grządkach walkę na miecze o to, któremu wolno będzie się do niej zalecać. Sama zaś siedziała w oknie śmiejąc się i przyglądając starciu, aż obu wyniesiono krwawiących z wielkich ran. Niedobrze doprowadzać do czegoś podobnego w klasztorze dla mniszek, ponieważ mogą z tego odnieść poważną szkodę dusze pobożnych siostrzyczek. Ale prawdą jest, że u niej wywodzi się to raczej z płochości niż ze złej woli.

– Czy obaj umarli? – spytał Orm.

– Wylizali się, choć rany były ciężkie – odparł biskup. – Sam brałem udział w modłach na ich intencję. Czuję się wtedy zmęczony i chory, i ciężka wydawała mi się opieka nad taką jak ona wychowanką. Toteż bardzo ją strofowałem i ogromnie prosiłem, aby wyszła za jednego z nich, jako że tak zapalczywie o nią walczyli i pochodzili z dobrego rodu. Tłumaczyłem jej, że spokojnie zamknę oczy wiedząc, iż wyszła za męża. Ale uniosła się, mówiąc, że skoro obydwaj zostali przy życiu, to znaczy, że walka ich była mało poważna. I ona nie chce o nich słyszeć. Dodała, że woli takich mężczyzn, którzy, gdy rąbną, to już nie trzeba modłów ani opatrunków. I to chyba wtedy właśnie usłyszałem coś niecoś o tobie.

Tu biskup skinął przyjaźnie w stronę Orma, prosząc, by nie zapominał o swoim piwie.

– Miałem także i inne kłopoty z jej przyczyny – ciągnął potem – ponieważ ksieni, pobożna pani Ermentruda, chciała z powodu tego pojedynku wychłostać ją na gólkę. Ale z uwagi na to, że moja nieszczęsna chrześniaczka jest tylko gościem w klasztorze i że przy tym jest córką królewską, udało mi się temu zapobiec, jednak nie bez wielkiego trudu. Albowiem ksienie niechętnie słuchają rad i mało mają zaufania do męskiej mądrości, nawet w wypadkach, gdy chodzi o biskupa. W końcu skończyło się na trzydniowych modlitwach i poście i jestem przekonany, że tak się stało najlepiej. Bo co prawda pobożna pani Ermentruda jest osobą o silnej woli i dużej sile i szersze ma bary od niejednego chłopa, niemniej jednak Bóg tylko jeden wie, kogo by potem swędziała skóra, gdyby przeparła swoją wolę i spróbowała różeczki. I łatwo mogła wtedy ostatnia okropność być gorsza od pierwszej.

– Gdyśmy po raz pierwszy z sobą rozmawiali – wyznał Orm – przyszło mi na myśl, że ona zapewne nigdy nie kosztowała różgi, jakkolwiek może tego więcej od innych potrzebuje. Później jednak nigdy już o tym nie myślałem patrząc na nią. I sądzę, że w przyszłości potrafię nią kierować, nawet jeśli niekiedy będzie mi sprawiać kłopoty.

– Mądry król Salomon powiedział: „Piękna kobieta nietrzymana w karbach jest jak świnia ze złotym pierścieniem w ryżu” – rzekł sentencjonalnie biskup. – I może to prawda, bo mądry król Salomon znał się na kobietach. Czasem w przygnębieniu rozpamiętywałem te słowa, gdy Ylva sprawiała mi kłopoty. Ale znamienne jest, że mimo to nigdy nie czułem do niej złości. Toteż chcę wierzyć, że to wszystko to tylko płynąca z młodości płochość i brak zastanowienia. I może być, że potrafisz kierować nią bez chłosty, nawet kiedy się już pobierzecie.

– Jeszcze jedno należy tu wziąć pod uwagę, o czym wspominałem niejednokrotnie – wtrącił braciszek Willibald. – Po trojgu czy czworgu pierwszych dzieciach wiele kobiet nabiera łagodniejszego usposobienia. Nieraz słyszałem, jak żonaci mówili, że gdyby Bóg tak tego nie urządził, trudno byłoby doprawdy wytrzymać.

Orm i biskup przytaknęli jego słowom, a w tejże chwili dały się słyszeć kroki i weszła Ylva. W komorze było ciemno, nie zapalono bowiem jeszcze żadnych świateł. Ona jednak natychmiast spostrzegła Orma i rzuciła się z krzykiem do niego. Lecz biskup poderwał się mimo swego wieku szybko na nogi i stanął pomiędzy nimi z rozpostartymi ramionami.

– No no, tylko nie tak! – zawołał energicznie. – Uspokójcie się, na Boga! Nie wieszaj mu się na szyi na oczach księży w poświęconej klasztornej celi. I pamiętaj, że on jeszcze nie chrzczony!

Ylva usiłowała odsunąć biskupa na bok, ale ten trzymał się dzielnie, a i braciszek Willibald podbiegł mu na pomoc i chwycił ją za ramię. Podała się więc, uśmiechając się błogo do Orma przez ramię Poppona.

– Orm! – powiedziała. – Zobaczyłam nadpływające łodzie z wojami z naszych stron. Na jednej koło sternika ujrzałem rudą brodę. Zaczęłam wtedy płakać, bo wyglądało, że to ty, a tak łatwo mogło się okazać, że to jednak nie ty. A babsko nie chciało mnie wypuścić.

Przyłożyła twarz do ramienia biskupa i trzęsła się cała od łkania.

Orm podszedł bliżej i pogładził ją po włosach. Nie wiedział jednak, co powiedzieć, ponieważ nie rozumiał się zbyt dobrze na kobiecym płaczu.

– Wychłuszczę to babsko, jeśli chcesz – rzekł – bylebyś tylko nie była smutna.

Biskup usiłował go odsunąć i skłonić Ylvę, aby usiadła, mówiąc przez cały czas pocieszające słowa.

– Biedne dziecko, no nie płacz już więcej – uspokajał. – Byłaś samiutka wśród obcych, ale Bóg okazał się dobry dla ciebie. Usiądź na ławie, dostaniesz zaraz grzanego wina z miodem. Brat Willibald przyniesie je natychmiast. Dostaniesz dużo miodu, a także ładną

świecę. I skosztujesz przedziwnych orzeszków z Południa, zwanych migdałami, które mi dał mój brat opat. Możesz zjeść, ile tylko zechcesz.

Ylva usiadła, otarła ramieniem twarz i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Starowinka jest równie niemądry, jak ty – zawołała – choć to najlepszy z wszystkich kapłanów! Myśli, że jestem smutna, i chce mnie pocieszyć orzeszkami. Ale nawet w królestwie niebieskim nie może być wielu takich, co byliby tak uszczęśliwieni jak ja w tej chwili.

Wniesiono zapalone woskowe świece, bardzo piękne i dające dużo światła. A braciszek Willibald przyszedł z grzaniem winem. Nalał je do kielichów z zielonego szkła, oznajmiając surowym głosem, że trzeba pić szybko, aby poczuć pełnię jego mocy i dobrego smaku. I nikt nie odważył się okazać mu nieposłuszeństwa w takich sprawach.

Orm rzekł:

Piękne: blask

Płonących świec,

Włoskich szkieł,

Sług Bożych dobroć.

Najpiękniejszy

Blask, co teraz

Zalśnił łzą

W oku dziewicy.

I dodał:

– To pierwszy wiersz, jaki przyszedł mi do głowy od dawna.

– Gdybym i ja umiała składać rymy, ułożyłabym także jakiś wiersz o tej chwili – rzekła Ylva. – Ale nie umiem, a wiem to stąd, że gdy pewnego razu posadzono mnie na trzydniowe modlitwy i post, przez cały czas próbowałam ułożyć obelżywą piosenkę na ksienię i nie potrafiłam. A przecież ojciec usiłował mnie czasem tego nauczyć, gdy był w dobrym humorze. Sam nie umiał wprawdzie układać wierszy, ale wiedział, jak to się powinno robić. Wtedy okropnie mnie to gniewało, że nie potrafiłam złożyć żadnej obelżywej piosenki. Ale teraz nie ma to już znaczenia, ponieważ nigdy więcej nie będę pilnowana przez żadne staruchy.

– Nie będziesz – potwierdził Orm.

Wiele pytań cisnęło mu się na usta, a biskup i Ylva niejedno mieli też do opowiedzenia o wszystkim, co się zdarzyło w ostatnich dniach ich pobytu w Danii w czasie ucieczki przed królem Svenem.

– Jedno muszę ci wyznać – opowiadała Ylva. – Gdy Sven był już blisko, a ja nie wiedziałam, czy przed nim ujdę, ukryłam naszyjnik. Bo wszystko wydawało mi się lepsze, niż żeby wpadł w jego ręce. Potem zaś nie było już czasu, aby go zabrać przed udaniem się na statek. Może sprawi ci to przykrość, Ormie, ale nie umiałam nic lepszego wymyślić.

– Lepiej mieć ciebie bez naszyjnika niż naszyjnik bez ciebie – odpowiedział. – Ale królewski to klejnot i myślę, że sama odczuwasz jego stratę ciężiej ode mnie. Gdzie go ukryłaś?

– Chętnie ci powiem – odrzekła – ponieważ nie ma tu nikogo, kto by to wypaplał. O kawałek drogi poza wielką bramą wznosi się niewielkie wzgórze porośnięte jałowcem i wrzosem, na prawo tuż obok drogi wiodącej w dół do mostu. Na wzgórzu tym wśród krzaków jałowca leżą obok siebie trzy głązy. Dwa z nich są ogromne i spoczywają głęboko wryte w ziemię, tak że niewiele z nich widać. O nie zaś oparty leży trzeci, nie tak znów wielki, abym nie mogła go poruszyć. Owinęłam naszyjnik w chustkę, tę zaś z kolei w skórę i włożyłam zawiniątko pod kamień. Ciężko go tam było zostawić, ponieważ to jedyna rzecz, jaką miałam od ciebie. Ale myślę, że tam leży bezpiecznie, bezpieczniej, niż gdyby towarzyszył mi w obcych krajach. Albowiem na to wzgórze nie zachodzi nikt, nawet nie pasą się tam krowy.

– Znam te głązy – odezwał się braciszek Willibald. – Chodziłem tam zrywać kocanki i macierzankę, kiedy zbierałem zioła przeciw zgadze.

– Może to i dobrze, żeś go ukryła poza obwałowaniem – zauważył Orm. – Choć i tak trudno zapewne zabrać go stamtąd, tak blisko wilczej jamy.

Zrzuciwszy to z serca, Ylva stała się jeszcze szczęśliwsza. Nagle objęła biskupa za szyję i wtykając mu do ust migdały zaczęła go błagać, aby natychmiast, w tej samej chwili, pobłogosławił ich i dał im ślub.

Biskup zakrztusił się z przerażenia migdałem i zaczął się odżegnywać obu rękami.

– I ja jestem tego zdania co ona – poparł Ylvę Orm. – Sam Bóg pomógł nam się spotkać znów z sobą i nie zamierzamy się więcej rozstawać.

– Nie wiecie, co mówicie – bronił się biskup. – To diabelskie poduszczenie.

– Do starej z powrotem nie pójde – uparła się Ylva – tutaj zaś nie mogę zostać. Pójde z Ormem, a w takim razie lepiej, żebyś nas wprzód pobłogosławił.

– Ale on jeszcze nie ochrzczony! – wykrzyknął w rozpaczy biskup. – Czyż mogę dać ślub tobie, mojej chrześniaczce, z poganinem? To doprawdy bezwstydne, aby dziewczica takim płonąła zapalem. Czy nigdy cię nie uczono ani odrobiny wstydu?

– Nie – odparła zdecydowanie Ylva. – Mój ojciec uczył mnie różnych rzeczy, ale o wstydzie sam niewiele wiedział. Cóż jednak złego w tym, że chcę wyjść za mąż?

Orm wyjął z pasa sześć złotych monet, które wywiózł z sobą z Andaluzji, i położył je na stole przed biskupem ze słowami:

– Jednemu biskupowi płacę za to, by mnie ochrzcił, a stać mnie jeszcze, aby zapłacić drugiemu za to, by mnie ożenił. I jeśli przemówisz za mną dobrze u Boga i kupisz za te pieniądze świece do jego kościoła, nie może to mieć wielkiego znaczenia, jeśli naprzód się ożenię, a dopiero potem ochrzczę.

– On ma Długorękiego w rodzie – dodała Ylva dumnie. – I jeśli trudno ci dawać ślub nieochrzczonemu mężczyźnie, możesz chyba ochrzcić go przedtem sam. Każ przynieść wody i ochrzcij go tak, jak zwykle to robiłeś z chorymi u nas w domu. Co to szkodzi, że później zostanie ochrzczony po raz drugi razem z innymi przed królem? Dwa razy nie może być gorzej niż jeden raz.

– Nie wolno nadużywać sakramentu – mówił biskup. – I nie wiem też, czy Orm jest dobrze przygotowany.

– Przygotowany jest – wtrącił braciszek Willibald. – I można by go może teraz ochrzcić z wody, jakkolwiek nie praktykuje się tego w naszych czasach. Ale z mężczyzną chrzczonym z wody może chrześcijańska kobieta wstąpić w związek małżeński.

Orm i Ylva spojrzeli na niego z podziwem, a biskup złożył ręce i wyraźnie poweselał.

– Zaczynam tracić pamięć ze starości – stwierdził. – A może to działanie tego dobrego wina, choć tak zdrowe jest ono pod wielu względami. Dawniej zwykłą było rzeczą, że chrzczono z wody tych, którzy nie chcieli dać się porządnie ochrzcić, a którzy jednak poważali Chrystusa. I dobrze dla nas wszystkich, że mamy takiego pomocnika jak brat Willibald.

– Od dawna już odczuwałem przyjaźń do niego – rzekł Orm – i nie zmniejsza jej to, co zaszło. A od chwili gdy go spotkałem, sprzyja mi szczęście.

Biskup posłał gońca po opata i paru komorników, a ci przyszli chętnie, aby mu pomóc i zobaczyć przy tym obcego hövdinga. Potem zaś włożył na siebie ornat, umoczył dłoń w święconej wodzie i nakreślił znak krzyża na czole, piersi i dłoniach Orma, szepcząc słowa błogosławieństwa.

– Zaczynam się przyzwyczajając – rzekł Orm po skończonej ceremonii. – Nie było to bowiem już tak ciężkie, jak wtedy gdy tamten biskup mnie pokropił kropidłem.

Wszyscy byli zgodni, że nieochrzczonemu nie można dawać ślubu w kaplicy klasztornej i że może się to odbyć jedynie w komorze biskupa.

Ormowi i Ylwie kazano więc uklęknąć na dwóch klęcznikach przed biskupem.

– Do tego chybaś nie przywykł? – spytała Ylva.

– Spędziłem na klęczkach więcej czasu niż inni, podczas pobytu u Andaluzyjczyków – odparł Orm. – Dobrze jednak, że nie muszę bić czołem o podłogę.

Kiedy biskup doszedł do napomnień i polecił im rozmnażać się i żyć z sobą w zgodzie przez całe życie, oboje żwawo kiwnęli na znak zgody. Kiedy jednak nakazał Ylwie być swemu mężowi we wszystkim posłuszną, spojrzeli na siebie.

– Zrobię, co w mojej mocy – rzekła w końcu Ylva.

– Niech już tak będzie z początku – powiedział Orm – bo z tym to chyba u niej kiepsko. Ale pomogę jej pamiętać o tym nakazie, gdy zajdzie tego potrzeba.

Kiedy było już po wszystkim i obecni złożyli im życzenia szczęścia i wielu dzieci, biskup zaniepokoił się o ich noc poślubną. Nie mogli jej bowiem spędzić ani w klasztorze, ani nawet w klasztornej gospodzie, nie znał zaś w całym mieście żadnego miejsca, gdzie by ich przyjęto na noc.

– Idę z Ormem – rzekła Ylva beztrąsko. – To, co dobre dla niego, dobre i dla mnie.

– Nie możesz przecież spać z nim wśród mężczyzn przy obozowych ogniskach – zatrwożył się biskup.

Orm jednak rzekł:

Wędrowiec

Przychodzi z morza,

Oracz wśród łąk,

Gdzie alki leże,

Dla młodej żony

Ma ślubne łoże

Lepsze od słomy

I miękkich pierzyn.

Braciszek Willibald odprowadził ich do bram miasta, aby dopomóc w wydostaniu się boczną furtką za mury. Tam rozstali się z nim wśród wielu podziękowań i zeszli w dół do

mostków przystani. Rapp zostawił w łodzi dwóch ludzi, aby pilnowali jej przed złodziejami. Wartownicy popili sobie tęgo w swej samotności, tak że chrapanie ich słyhać było z daleka. Orm dobudził się ich i kazał pomóc w wyprowadzeniu łodzi na rzekę. I choć szło to niesporo, udało się im w końcu. Na środku rzucili kotwicę i łódź legła na nurcie.

– A teraz nie potrzebuję was już więcej – powiedział Orm.

– Jakżeż dostaniemy się stąd na ląd? – spytali.

– Nie tak to daleko, by nie można przepłynąć – odrzekł krótko.

Tłumaczyli, że są pijani i że woda zimna.

– Nie mogę czekać, aż otrzeźwiejecie – rzekł Orm.

To mówiąc chwycił jednego z nich za kark i za pas i rzucił go głową do rzeki, a drugi wyskoczył już sam, nie czekając na dalsze namowy... W ciemnościach słyhać było, jak kaszłąc i prychnając płynęli w kierunku lądu.

– Teraz już nam nikt nie przeszkodzi – powiedział Orm.

– Oto łoża ślubne, na które nie będę się skarżyć – odparła Ylva.

Zasnęli tej nocy późno i spali dobrze.

2

Gdy biskupi stanęli następnego dnia przed królem Etelredem, mając w swym orszaku Gudmunda i Orma, król przyjął ich wszystkich przyjaźnie i życzliwie. Chwalił obu hövdingów za ich pragnienie chrztu i wypytywał, jak się czują w Westminsterze. Gudmund cierpiał ogromnie z przepicia i mówił jeszcze bardzo ochryple, ale obaj uważali, że mogą z czystym sumieniem odpowiedzieć na królewskie pytanie, iż czują się doskonale.

Biskupi opowiedzieli o swojej wyprawie i o tym, jak potoczyły się układy między nimi a obcymi przybyszami, a wszyscy na sali słuchali ich w skupieniu.

Król zasiadł pod baldachimem, mając na głowie koronę, a w ręku berło. Orm zmiarkował, że po Almanzorze i królu Haraldzie dane mu zobaczyć tutaj władcę nowego rodzaju. Był to wysoki i okazały mężczyzna, owinięty w aksamitny płaszcz, o bladej, okolonej rzadkim, brązowym zarostem twarzy, z której wyzierały wielkie oczy.

Gdy biskupi doszli w swym opowiadaniu do srebra, które miano zapłacić Normanom, król Etelred uderzył nagle berłem o poręcz tronu tak, że wszyscy zebrani wzdrygnęli się.

– Patrz! – rzekł do siedzącego obok na niższym krześle arcybiskupa. – Cztery muchy od jednego uderzenia. I to mimo, że klapka jest niedobra.

Arcybiskup odpowiedział, że nie sądzi, aby wielu królów dokazało czegoś podobnego i że świadczy to zarówno o zręczności, jak i o szczęściu, a król zaśmiał się na to z zadowoleniem. Po czym posłowie zaczęli dalej opowiadać, a wszyscy znowu ich słuchali.

Kiedy skończyli, król podziękował im, podnosząc ich mądrość i gorliwość w wypełnianiu misji, a potem zapytał arcybiskupa o jego zdanie o zawartym układzie. Ten odpowiedział, że układ stanowi co prawda ciężkie brzemie, jest jednak z pewnością najlepszy, jaki można było osiągnąć. A król przytaknął jego słowom.

– I jest rzeczą dobrą – mówił biskup – przyjemną dla wszystkich chrześcijan i wysoce miłą Bogu, że nasi pobożni posłowie zdołali pozyskać dla Chrystusa wielkich hövdingów nieprzyjacielskiego wojska i wielu spośród ich ludzi. Z tego powinniśmy się też wszyscy radować.

– Tak jest – rzekł król.

Biskup Londynu szepnął teraz Gudmundowi, że przyszła jego kolej wypowiedzieć się, i ten wystąpił chętnie naprzód. Dziękował królowi za gościnność i szczodrość, mówiąc, że sława jego będzie odtąd wielka i sięgnie aż do Ostergorland albo i jeszcze dalej. Ale aby nie doszło do żadnych nieporozumień, chciałby się dowiedzieć jednego, a mianowicie, jak długo potrwa, zanim srebro przejdzie w ich ręce.

Gdy mówił, król przyglądał mu się uważnie, po czym spytał, co to za znaki ma na twarzy.

Gudmund odpowiedział na to, że są to znaki po niedźwiedziu, którego raz podchodził nieostrożnie. Zwierz skruszył drzewce tkwiącego mu w piersi oszczepu i poszarpał go pazurami, zanim on zdążył zarębać go toporem. Król Etelred spochmurniał na te słowa.

– U nas nie ma wcale niedźwiedzi – rzekł – i wielka to szkoda. Lecz mój brat Hugo, król Francji, przysłał mi dwa, które umieją tańczyć ku wielkiej uciechu widzów, i te chciałbym ci pokazać. Tymczasem jednak na nieszczęście mój najlepszy poskramiacz wyruszył z Byrthnothem i zginął w boju. I niemała była dla mnie strata, bo gdy teraz inni starają się je do tańczenia nakłonić, niedźwiedzie czynią to niechętnie albo i wcale nie chcą.

Gudmund zgodził się z nim, że to wielkie nieszczęście.

– Ale wszyscy mają swoje troski – dorzucił. – A dla nas największą z nich jest niepewność, kiedy dostaniemy srebro.

Król Etelred nic nie odpowiedział, tylko szarpnął brodę i patrzył na arcybiskupa.

– To wielka suma – rzekł tenże – i nawet potężny król Etelred nie ma dziś tyle w swych skrzyniach. Dlatego też trzeba wysłać gońców po całym kraju, aby zebrano tyle, ile potrzeba. A to może potrwać ze dwa miesiące albo nawet i trzy.

Gudmund potrząsnął na to głową.

– Pomóż mi teraz, Skanie – rzekł – bo takie wyczekiwanie będzie za długie, a mnie już wyschło w gardle od gadania.

Orm wystąpił naprzód i oświadczył, że jest jeszcze młody i nie tak wysoko postawiony, aby móc mówić przed tak wielkim władcą i tak mądrymi mężami, ale że postara się to, o co mu chodzi, przedstawić tak dobrze, jak potrafi.

– Niebezpieczna to sprawa – ciągnął – kazać hövdingom i wojsku czekać tak długo na to, co im przyobiecano. Są to bowiem ludzie o zmiennym usposobieniu i niezbyt pobożni i może się zdarzyć, że wnet sprzykrzy im się czekać beczynnie, zwłaszcza że sprzyja im powodzenie i wiedzą, iż w jakąkolwiek stronę się obróca, mają widoki na dobre plądrowanie. Ten Gudmund, którego tu widzicie, jest łagodny i wesół, dopóki wszystko idzie po jego myśli. Gdy jednak wpadnie w gniew, staje się postrachem nawet dla najodważniejszych na całym Bałtyku i potrafi zwalić z nóg nawet niedźwiedzia. A ma on w swej drużynie berserkerów niemal tak niebezpiecznych, jak i on sam.

Wszyscy spojrzeli na Gudmunda, który zaczerwienił się i chrząknął, Orm zaś ciągnął dalej:

– Thorkel i Jostein to ludzie tego samego pokroju i ich drużyny są równie nieokiełznane co Gudmunda. Dlatego też byłoby dobrze, aby połowę sumy złożono nam natychmiast. Wtedy cierpliwości starczyłoby na dłużej, dopóki nie zostanie zebrana reszta.

Na to król skinął głową, spojrział na arcybiskupa, po czym skinął głową ponownie.

– A ponieważ i Bóg, i ty sam, panie królu, radujecie się z powodu tych, co tu przybyli, aby się ochrzcić, byłoby może roztropnie dać im ich udział w całości od razu. Bo wtedy wielu spośród pozostałych opamiętałoby się, że dobrze być chrześcijaninem.

Gudmund wykrzyknął w tym miejscu głośno, że słowa te oddają jego własne myśli.

Arcybiskup zauważył, że to brzmi rozsądnie i że natychmiast pośle zdolnych nauczycieli, aby przygotowali tych, co się chcą ochrzcić. A potem postanowiono, że wszyscy, co przyszli do króla, otrzymają swoje srebro po chrzcie, do wojska zaś w Mealdun posłana zostanie trzecia część od razu, a reszta za sześć tygodni.

Gdy już było po spotkaniu, Gudmund po drodze dziękował Ormowi bardzo za pomoc, której ten mu udzielił.

– Nie słyszałem jeszcze mądrzejszych słów z ust tak młodego męża – mówił – i widać, żeś się urodził na hövdinga. Wielki to dla mnie zysk, że dostanę swoje srebro teraz, bo może się okazać, że pod koniec zabraknie tego dla wielu. Dlatego chciałbym jakoś cię za to wynagrodzić i kiedy otrzymam swoją część dam ci pięć marek.

– Zauważyłem jedno – odparł Orm – a mianowicie, że mimo swojej sławy jesteś zbyt skromnym człowiekiem. Gdybyś był zwykłym hövdingiem z pięciu czy sześciu łodziami i bez wielkiego rozgłosu, mógłbyś mi wtedy dać pięć marek za taką przysługę. Imię twoje jest jednak tak głośne daleko poza granicami twego kraju, że nie przystoi ci to, a i mnie nie wypada tego przyjąć, bo zmniejszyłoby to twoją dobrą sławę.

– Może i słusznie mówisz – zastanowił się Gudmund. – Cóż byś zatem zrobił będąc na moim miejscu?

– Znałem takich, którzy daliby za taką przysługę piętnaście marek – odrzekł Orm – i tak zrobiliby Styrbjörn. A Thorkel dałby dwanaście. Ale znam i takich, co nie daliby ani grosza. Nie chcę ci jednak doradzać. I zostaniemy równie dobrymi jak przedtem przyjaciółmi bez względu na to, jak postąpisz.

– Niełatwo samemu dobrze wiedzieć, jak się jest głośnym – rzekł markotnie Gudmund i odszedł w swoją stronę, pogrążony w myślach.

Następnej niedzieli zostali wszyscy ochrzczeni w wielkiej świątyni. Większość księży chciała, aby uroczystość odbyła się nad rzeką, tak jak to było w dawnym zwyczaju przy chrzczeniu pogan. Ale zarówno Gudmund jak i Orm oświadczyli, że jeśli chodzi o nich, nie ma mowy o zanurzeniu w rzece. Obaj szli pierwsi, z gołymi głowami i przyodziani w długie, białe płaszcze z wyszytymi na przodzie czerwonymi krzyżami. Za nimi zaś postępowali ich ludzie, także w płaszczach, o tyle, o ile ich starczyło dla tak wielkiej gromady. Żaden z nich nie odłożył broni, ponieważ Gudmund i Orm oświadczyli, że rzadko tylko rozstają się ze swoją bronią, a już zgoła nie w obcym kraju. Sam król siedział na chórze, a kościół pełen był ludu. Wśród widzów znajdowała się także Ylva. Orm bał się ją pokazywać, ponieważ uważał, że jest teraz piękniejsza niż kiedykolwiek, i obawiał się, aby mu jej nie uprowadzono. Ona jednak uparła się, że chce iść do kościoła, aby zobaczyć, jak bogobojnie będzie wyglądać Orm, gdy woda będzie mu spływać po karku. Siedziała z braciuzkiem Willibaldem, który jej pilnował i nie pozwalał śmiać się z owych białych płaszczy. Także biskup Poppon był obecny i brał udział w ceremonii chrztu, jakkolwiek trochę niedomagał. To on właśnie ochrzcił Orma, biskup Londynu zaś Gudmunda. Potem zaś wzięło się do roboty sześciu księży chrzcząc resztę tak szybko, jak tylko się dało.

Po chrzcie poszli Gudmund i Orm na chór do króla. A on dał każdemu po złotym pierścieniu, życząc, aby w przyszłości Bóg był z nimi. A potem zaprosił, aby przyszli obejrzeć niedźwiedzie, które ostatnio zaczęły wyraźnie poprawiać się w tańcu.

Nazajutrz królewscy skarbnicy i skryby wypłacili srebro tym, którzy się ochrzcili, i wszyscy wielce się ucieszyli. Najmniejsza radość panowała u ludzi Orma, którzy musieli oddać mu po dwa öre za chrzest. Żaden z nich jednak nie wybrał tańszej drogi, to jest potykania się z nim.

– Zbuduję za to u siebie kościół – mówił Orm chowając te pieniądze osobno do skrzyni.

Potem włożył piętnaście marek srebra do woreczka i poszedł z nimi do biskupa Londynu, od którego otrzymał uroczyste błogosławieństwo. Po południu zaś zawitał do łodzi Orma Gudmund z tym samym woreczkiem w garści, mocno pijany i wesół na umyśle. Opowiadał, że właśnie skończył przeliczać i układać wszystko, co dostał, i że była to porządna robota.

– Myślałem też o twoich słowach – ciągnął – i uważam, że miałaś słuszną mowę, iż przy moim znaczeniu nie mogę ci dać pięciu marek. Masz więc piętnaście. Tak wygląda to lepiej, odkąd nie stało już Styrbjörna.

Orm odrzekł, że się tego nie spodziewał, ale że nie będzie się wzbraniał przyjąć daru od takiego męża. W odpłatę podarował Gudmundowi andaluzyjską tarczę, tę samą, której używał w walce z Sigtryggiem w halli króla Haralda.

Ylva wyznała, że cieszy się, iż Orm ma taką szczęśliwą rękę do zbierania srebra. Nie sądziła bowiem, by ona sama miała te zdolności, a przypuszcza, że będą mieli dużo dzieci.

Tego wieczoru Orm z Ylvą poszli do biskupa Poppona, aby się z nim pożegnać, ponieważ śpieszno im już było odpłynąć do domu. Ylva płakała, bo trudno jej było rozstać się z biskupem, którego nazywała drugim ojcem, a i staruszkowi stanęły łzy w oczach.

– Gdybym był mniej wątpy – mówił – pojechałbym z wami, ponieważ w Skanii mógłbym chyba wciąż jeszcze na coś się przydać. Ale te stare nogi nie mają już na nic siły.

– Masz tęgiego pomocnika w Willibaldzie – odezwał się Orm – i z nim czujemy się oboje z Ylvą doskonale. Może więc byłoby dobrze, aby pojechał z nami, skoro ty sam nie możesz, i umacniał nas, a także i innych w wierze chrześcijańskiej. Szkoda tylko, że nie czuje się on dobrze wśród Normanów.

Biskup przyznał, że Willibald jest najmędrszym z jego księży i że zawsze przynosi dużo pożytku w tym, co robi.

– Najlepszy jest przy nawracaniu – ciągnął – jakkolwiek w swym wielkim zapale i gorliwości łatwo burczy na grzech i słabostki. Najlepiej chyba będzie, jeśli jego samego o to zapytamy, ponieważ nie chcę go wam dać wbrew jego woli.

Gdy przyszedł Willibald i dowiedział się, o co chodzi, spytał poirytowanym głosem, kiedy zamierzają odpłynąć. Orm odpowiedział mu, że nazajutrz, jeśli tylko pogoda się utrzyma.

Brat Willibald potrząsnął głową.

– To źle, że dajecie mi tak mało czasu, aby wszystko przygotować – rzekł. – Chcę bowiem mieć z sobą pod dostatkiem maści i leków, udając się do kraju ciemności i gwałtu. Ale wszystko będzie z Boską pomocą gotowe, jeśli się pośpieszę. Bo z wami obojgiem pojedę chętnie.

IV.

O TYM, JAK BRACISZEK WILLIBALD NAUCZYŁ KRÓLA SVENA SŁÓW PISMA

Orm poszedł do Gudmunda i prosił go o przekazanie Thorkelowi pozdrowień i zawiadomienie go, iż nie wróci do floty, lecz zamierza popłynąć do domu. Gudmund zmartwił się z tego powodu i próbował skłonić go do zmiany postanowienia, ale Orm odparł, że szczęście zbyt sprzyja mu ostatnio, aby mogło to trwać długo.

– Nie mam tu już nic więcej do roboty – mówił. – A ty sam, jeśli miałbyś w łodzi taką kobietę jak Ylva, nie wyprowadzałbyś jej chętnie na ląd pośród rzesze bezczynnych mężczyzn, którzy gonią z wywieszonym jęzorem za każdą kobietą, jaką tylko zobaczą. Za dużo bym się musiał bić, a ja chcę mieć teraz spokój i ona też go chce.

Gudmund przyznał, że każdy mężczyzna łatwo mógł stracić głowę patrząc na Ylvę choćby tylko przez krótką chwilę. I dodał, że dobrze się zastanowiwszy i on sam najchętniej popłynąłby do domu do Braaviken, ponieważ ma trochę stracha o całe to srebro w łodzi. Musi jednak wrócić do swych ludzi i przekazać wiadomości dla Thorkela i Josteina, jak to będzie z wypłatą srebra.

– Moich wojów grabią tu sprytnie kobiety, które zbiegają się całymi kupami do ich bogactw i obierają ich do suchej nitki, wysuplując im ostatni grosz ze spodni i kaftanów, gdy już ich dostatecznie spiją. Dlatego będzie może najlepiej, żebym odpłynął wraz z tobą, jeśli tylko pozbieram ich na czas.

Poszli więc do króla Etelreda i do arcybiskupa i pożegnali się z nimi, a przy tej sposobności zobaczyli, jak niedźwiedzie tańczyły bardzo cudacznie na tylnych łapach. Potem zaś kazali zadać w rogi, aby się ludzie wzięli do wiosł. Ale wielu spośród nich wiosłowanie szło zrazu ogromnie niesporo z powodu zmęczenia i przepicia. Szybko spłynęli w dół rzeki, a okręty wartownicze nie zagrażały im tym razem drogi, choć załogi przekrzykiwały się wzajemnie dając sobie wiele dobrych rad. Przenocowali przy ujściu rzeki i tam też rozeszły się drogi Gudmunda i Orma. Każdy z nich pożeglował w swoją stronę.

Ylva znosiła morze dobrze. Lecz mimo to pragnęła, aby podróż nie trwała zbyt długo, ponieważ w łodzi było jej ciasno. Orm pocieszał ją, że o tej porze roku bywa zwykle doskonała pogoda, tak że nic ich nie opóźni.

– Poza tym mamy tylko do załatwienia naszą sprawę na wzgórzu z głazami koło Jellinge, a to nie będzie zbyt wielkim zboczeniem z drogi.

Ylva powątpiewała, czy jest z ich strony rozsądnie wykopać naszyjnik już teraz, kiedy nikt nic nie wie, co się dzieje w Jutlandii ani nawet, kto rządzi obecnie w Jellinge. Orm jednak odpowiedział, że chce wszystko załatwić za jednym zachodem.

– I bez względu na to, kto włada w Jellinge – mówił – czy będzie to król Sven, czy król Eryk, mało jest prawdopodobne, że siedzi tam o tej porze roku, kiedy wszyscy królowie najchętniej wojują. Wyjdziemy na ląd w nocy i jak wszystko pójdzie dobrze, nikt nie powinien nam przeszkodzić.

Braciszek Willibald czuł się dobrze w łodzi, jakkolwiek nie udało mu się wykryć u nikogo dolegliwości, którymi mógłby się zajmować. Siedział chętnie obok Rappa przy sterze i wypytywał go o kraje Południa i jego tam przygody. A choć Rapp nigdy nie mówił dużo na raz, wyglądało, że obaj zaczynają się stawać wielkimi przyjaciółmi.

Opłynęli cypel Jutlandii i skierowali się na południe wzdłuż wybrzeża nie napotykając żadnych łodzi. Teraz mieli jednak przeciwny wiatr i musieli wiosłować z całych sił, a raz nawet wylądowali, by poczekać na lepszą pogodę. Wśród ciemnej nocy płynęli o wiosłach do ujścia rzeki koło Jellinge, ale zaczynało już po trosze świtać, gdy Orm polecił przybić do brzegu o kawałek drogi od samego ujścia. Wziął z sobą Willibalda oraz Rappa z dwoma dzielnymi wojami, a Ylwie kazał zostać w łodzi. Nie była co prawda z tego zbytnio zadowolona, lecz powiedział jej, że tak być musi.

– W takich sprawach stanowią ja – rzekł – bez względu na to, jak to się później ułoży z czym innym. Brat Willibald zna to miejsce równie dobrze jak ty. A jeśli spotkamy ludzi i dojdzie do walki, ponieważ zaczyna już dzień, lepiej będzie mieć ciebie tutaj. Niedługo zresztą wrócimy.

Poszli do wybrzeża w górę ku królewskiemu dworzyszczu, a potem dalej przez pola po jego południowej stronie. Braciszek Willibald mówił, że mają już niedaleko do wzgórza, gdy od mostka po lewej stronie rozległ się tupot i męskie głosy.

Obok przechodziło stado bydła pędzone przez kilku mężczyzn.

– Najlepiej będzie ich pozabijać – odezwał się Rapp ważąc w dłoni oszczep.

Braciszek Willibald chwycił go jednak natychmiast za ramię, zakazując najsurowiej takiego gwałtu wobec ludzi, którzy im w niczym nie zawinili. I Orm przyznał, że chyba bez tego się obejdzie, jeśli się pośpieszą.

Pobiegł więc co tchu ku wzgórzu, a ludzie otaczający stado zatrzymali się patrząc na nich zdziwieni.

– Czyimi ludźmi jesteście? – wołali.

– Króla Haralda! – odkrzyknął Orm.

– Mały księżyk! – zawołał jeden z poganiaczy wołów. – To mały księżyk, co był u króla Haralda! To nieprzyjaciele! Biegnijcie zbudzić ludzi!

Rapp i obaj woje puścili się za pastuchami, ale weszło im w drogę stado, tak że ci sporo ich wyprzedzili. Orm zaś pobiegł na wzgórze z braciszkiem Willibaldem, który natychmiast wskazał mu owe trzy głazy. Naszyjnik leżał tam istotnie, tak jak go położono.

– A teraz trzeba będzie przez chwilę biec – rzekł Orm chowając go w zanadru.

Z królewskiego dworzyszczka słycać już było zgiełk i krzyki. A kiedy zrównali się z Rappem i dwoma jego towarzyszami, ten burczał i narzekał, że nie zgładził zawczasu pastuchów. W złości rzucił nawet za jednym z nich oszczepem, dosięgając go już u samej bramy.

– Ale nie na wiele się to przydało – mówił – i straciłem przy tym taki dobry oszczep.

Biegli co sił w nogach z powrotem przez pola i wnet usłyszeli za sobą głośnie wołania i tętent kopyt. Rapp, choć jednooki, miał bystry wzrok. On i Orm obejrzeni się za siebie przez ramię, nie przestając biec.

– To sam król Sven! – zawołał Orm. – Niemały to dla nas zaszczyt.

– I widać bardzo mu się śpieszy – dodał Rapp – bo zapomniał zapleść brodę w warkocz.

Braciszek Willibald nie był taki młody jak inni. Biegł jednak dzielnie na swoich krótkich nogach, trzymając księżą sutannę wysoko podkasaną.

– Oto oni! – krzyknął w pewnej chwili Orm. – Oszczepem w nich!

Zatrzymał się i cisnął oszczepem w najbliższego ze ścigających, mężczyznę pędzącego na wielkim rumaku przed królem Svenem. Jeździec wspiął konia na zadnie nogi widząc nadlatujący oszczep, tak że ten wbił się w pierś zwierzęciu, które upadło tarzając się i biorąc jeźdźca pod siebie. Rapp i obaj pozostali rzucili swoje oszczepy mierząc w króla Svena, ale chybili. W jednej chwili król znalazł się tuż obok nich, a oni nie mieli już więcej oszczepów.

Wtedy braciszek Willibald schylił się i podniósł z ziemi spory kamień, po czym rzucił go z całej siły w Svena krzycząc przy tym:

– Miłuj bliźniego!

Kamień trafił Svena w same usta, aż mlasnęło, i z rykiem bólu król opadł na koński kark i zsunął się na ziemię.

– To się nazywa dobry ksiądz! – krzyknął z uznaniem Rapp.

W drużynie królewskiej wszczął się popłoch i wszyscy zbiegli się do Svena, aby zobaczyć, co mu się stało. A Orm i jego ludzie dotarli tymczasem do łodzi zdyszani, ale żadnego uszczerbku. Orm krzyknął do wioślarzy, aby natychmiast odbijali, a sam wraz z towarzyszami pobrodził do łodzi, gdzie ich zaraz wciągnięto. Odpłynęli już spory kawałek,

gdy na brzegu ukazali się jeźdźcy. Rozwidniło się na dobre i zaczął wiać znowu wiatr, tym razem pomyślny, tak że umykali szybko, pędzeni i żaglem, i wiosłami.

Orm oddał Ylwie naszyjnik i opowiedział, jak wszystko się odbyło. A Rapp zapomniał o swojej zwykłej małowówności wychwalając rzut kamieniem małego księdza.

– Mam nadzieję, że dostał tak, iż poczuł – mówiła Ylva.

– Całą gębę miał zakrwawioną, gdy spadał z konia – zapewniał Rapp. – Sam to widziałem wyraźnie.

– Mały księżyku – powiedziała Ylva. – Mam wielką ochotę pocałować cię za ten rzut.

Orm śmiał się.

– Zawsze najwięcej się tego bałem – mówił – że w twojej pobożności zaczniesz się łączyć do księży.

Braciszek Willibald oświadczył wszakże z całą stanowczością, że nie życzy sobie, aby go całowano. Wcale jednak nie wyglądał na zagniewanego za wszystkie pochwały, którymi go obsypano.

– Tego całusa, który otrzymał król Sven, nie zapomni on chyba tak prędko – mówił Orm. – I nie jest jego zwyczajem zostawiać takie sprawy niepomszczone. Jeśli więc dotrzemy szczęśliwie do domu, matka będzie musiała zabrać się szybko do pakowania. Bo spokojniej będzie dla nas w lasach na Północy, dokąd nie sięga władza króla. I chyba już tam postawię kościół, który obiecałem Bogu.

TOM II

W DOMU I NA WSCHODNICH BEZDROŻACH

CZEŚĆ PIERWSZA

PAN NA GRÖNING

I.

O TYM, JAK ORM ZBUDOWAŁ SOBIE DOM I KOŚCIÓŁ, I O JEGO CZERWONOWŁOSYCH CÓRKACH

Trzeci już rok mijał od chwili, gdy Orm, aby uniknąć gniewu króla Svena, sprzedał ojcowiznę w Kullen i udał się na pogranicze z całym dobytkiem, żoną, matką, małym księdzem i czeladzią oraz końmi i bydłem, i wszystkimi ruchomościami, które dało się wjuczyć na końskie grzbiety. Posiadłość odziedziczona przez Osę nazywała się Gröning i stała opuszczona i niszcząca, z pozapadanymi strzechami zabudowań i pozarastanymi chwastem grzędami i zagonami. A jedyne żywe istoty całego obejścia stanowili: zniedołężniały dozorca i jego stara żona oraz stado chudych gęsi. Widok ten przygnębił Orma, który uważał, że zagroda nie bardzo jest odpowiednia dla męża takiego jak on i dla córki króla Haralda. A Osa biegała po wszystkich kątach i biadała nad całą nędzą i upadkiem, wzywając Boga na świadka i łając ostrymi słowy oboje starych. Nie oglądała bowiem tej zagrody od swoich młodych dni, kiedy ojciec jej siedział tam w dobrobycie, zanim go nie zabito wraz z obu synami w rodowej waśni.

Lecz Ylva uważała, że sadyba leży dostatecznie daleko od króla Svena i jego popleczników.

– I chyba będę tu czuć się dobrze – mówiła – jeśli tylko ty, Ormie, okażesz się równie sprawny w budowaniu domostw, jak w boju i w prowadzeniu łodzi.

Pierwszej zimy żyło im się chudo przy skąpym wyżywieniu dla ludzi i dobytku i wśród nieprzyjaznych sąsiadów. Orm posłał swych ludzi do zamożnego kmiecia w sąsiedztwie, Gudmunda z Uvaberg, zwanego też Gudmundem Rykałą, słynnego zarówno z wojowniczości, jak i z wielkiego bogactwa, aby zakupili siano i jęczmień. Ale ci wrócili z oschłą odmową i pustymi rękami, ponieważ Gudmund nie uważał, by mąż taki jak on musiał poważnie się liczyć z nowym przybyszem, o którym mówiono, że trzyma z Chrystusem. Wówczas Orm pojechał do niego sam, biorąc Rappa Jednookiego i trzech innych tęgich wojów. Przybył do Uvaberg o wczesnym brzasku. Bez zbyteń trudu dostał się do wnętrza domu, dźwignął Gudmunda z łoża i wyniósł go na dwór, gdzie zaczął z nim rozmawiać trzymając go zawieszonoego za jedną nogę nad głęboką studnią, podczas gdy Rapp i jego towarzysze podpierali barami drzwi, aby nikt z wnętrza domu nie przeszkadzał. A po chwili takiej rozmowy nad studnią sprawa kupna siana i jęczmienia po godziwej cenie została

załatwiona, po czym Orm odwrócił Gudmunda znowu głową do góry i postawił na nogi. I nie doszło z tego powodu do żadnej bójkii, gniew Rykały bowiem nie był większy niż szacunek, jakiego nabrał teraz dla Orma, a już wcale nie dorównywał zdziwieniu, że Orm puścił go żywym.

– Musisz wiedzieć – mówił – że jestem człowiekiem niebezpiecznym, choć może minie trochę czasu, zanim się o tym przekonasz, przewyższasz mnie bowiem siłą. Niewielu tylko ważyłoby się puścić mnie z życiem, uczyniwszy mi to, coś ty uczynił. I nie wiem nawet, czy sam bym się na to odważył, gdybym był w twojej skórze. Ale może po prostu nie jesteś równie mądry jak silny.

– Nauczyłem się czegoś więcej niż ty – odparł Orm. – Trzymam się bowiem Chrystusa i znam dobrze jego naukę. A on każe, aby postępować łagodnie z bliźnimi, nawet gdy są uprzykrzeni i gdy robią nam na złość. Toteż jemu powinieneś dziękować, jeśli ci starczy rozumu. Studnia twoja bowiem wygląda na głęboką. Ale jeśli po tym, co zaszło, zamierzasz zostać moim wrogiem, i na to znajdę radę. A wtedy strzeż się! Bo gorszych spotykałem wrogów od ciebie i nie ja odniosłem najwięcej szkody w tych spotkaniach.

Gudmund narzekał, że ludzie będą się teraz z niego naśmiewać z wielkim uszczerbkiem dla jego miru. Naderwał też sobie boleśnie ścięgno w nodze, gdy wisiał nad studnią, a na dobytek nieszczęścia dowiedział się, że jeden z jego domowników, który biegł na pomoc z mieczem, gdy Orm wynosił jego pana z domu, leży z ramieniem skruszonym przez Rappa obuchem topora, tak że kobiety muszą się przy nim krzątać. Pytał więc Gudmund, co Orm i Chrystus myślą o tym wszystkim i czy tak wielkie szkody mają się w ogóle nie liczyć.

Orm odpowiedział po zastanowieniu, że ów domownik ze złamanym barkiem sam sobie jest winien i że za tę szkodę nic mu się nie należy.

– Bo było dla niego szczęściem w jego nierozwadze – mówił – że Rapp jest równie dobrym chrześcijaninem jak ja sam. W innym razie twoje kobiety nie potrzebowałyby go już pielęgnować. Niech więc będzie zadowolony, że się tanio wykpił. Ale co do reszty, to może i słuszne, żebym ci dał godziwe odszkodowanie. Jedź więc ze mną do świątobliwego męża, który u mnie mieszka. To jeden z najlepszych lekarzy i w mig uleczy twoje uszkodzenie, a świątobliwość jego jest tak wielka, że noga, którą nadwerżyłeś, będzie odtąd sprawniejsza od drugiej. I wyjdzie ci też na największą chwałę oraz znacznie zwiększy powagę, którą się cieszysz, jeśli zostaniesz wyleczony przez kogoś, kto tak długo opiekował się królem Haraldem we wszystkich jego dolegliwościach i dokazywał przy tym istnych cudów.

Rozmawiali o tym jeszcze przez dobrą chwilę i koniec był taki, że Gudmund pojechał z Ormem do jego domu. Ojciec Willibald posmarował nogę maścią i owinął starannie,

a Gudmund przez cały czas wypytywał go wiele o króla Haralda. Kiedy jednak ksiądz chciał mówić z Gudmundem o Chrystusie i o korzyściach, jakie płyną z chrztu, ten ogromnie się zaniepokoił i krzyczał, że nie chce nic o tym słyszeć. Albowiem gdyby mu się coś takiego przytrafiło, byłoby to dlań jeszcze bardziej haniebne i wyśmiewano by się z niego jeszcze więcej niż z powodu tego, że wisiał nad studnią.

– I źle jest – mówił – że ktoś może przypuszczać, iż jestem taki głupi, aby dać się na to nabrać.

A kiedy otrzymawszy zapłatę za siano i jęczmień rozstawał się z Ormem, powiedział:

– Nie będzie między nami rodowej waśni, ale gdyby się kiedyś tak zdarzyło, że trafi mi się sposobność odplacić ci za wstyd, któregoś mi przysporzył, to jej nie zaniedbam. Przyjdzie na to poczekać, ale ja mam dobrą pamięć.

Orm popatrzył na niego i lekko się uśmiechnął.

– Wiem, że jesteś niebezpieczny – odparł – boś mi to sam powiedział. Mimo to jednak nie przypuszczam, abym stracił sen z powodu tej obietnicy. I jedno wiedz, że jeśli będziesz ze mną zadzierał, nie minie cię chrzest, choćbym cię miał przy nim trzymać za uszy czy za nogi.

Willibald martwił się, że mu się nie udało nawrócić Gudmunda, i uważał, że niewiele będzie pożytku z całej jego misji, ale Ylva pocieszyła go, że pójdzie mu z pewnością lepiej, gdy Orm zbuduje kościół. A Orm mówił, że kościół, tak jak obiecał, postawi, ale że najpierw musi zbudować nową zagrodę, a z tym nie może zwlekać. I niebawem zabrał się też do tego poważnie i posłał ludzi do ścinania drzew i zwożenia okrzęsanych z gałęzi pni, które sam ociosywał toporem. Wybierał wszystko z największą starannością, biorąc tylko najgrubsze kłody bez żadnej skazy i wady. Mówił bowiem, że jego dom musi być mocny i okazały, a nie może to być jakaś tam leśna buda. Sadyba leżała nad dużym zakrętem rzeki, z trzech stron chroniona wodą, na trwałym i mocnym gruncie, którego nigdy nie zalewała powódź. Było tam pod dostatkiem miejsca na wszystko, co Orm chciał zbudować. A robota ta podobała mu się tak bardzo, że im więcej zbudował, tym więcej chciał dalej stawiać. Postawił sobie domostwo z podmurowanymi paleniskami i z zasuwaną luką na dymnik, na wzór tego, co widział u króla Haralda. Położył na nim strzechę z odartych z kory pędów młodego jesionu, pokrytych matą z brzozonej kory, a na wierzchu młodą darnią. Potem zbudował piwowarnię, kurnik i spizarkę, obszerne i nieoglądane dotąd w puszczańskich okolicach. A wtedy uznał, że najważniejsze jest już zrobione i że niebawem przyjedzie kolej i na kościół.

Owej wiosny nadszedł dla Ylvy czas porodu, a pomagali jej przy tym Osa i Willibald. Mieli oboje dużo krzątaniny i coraz to wpadali na siebie, zbijając się w zapale z nóg. Poród

był ciężki i Ylva bardzo krzyczała, klnąc się, że chyba już lepiej zostać mniszką niż rodzić dzieci. Ale Willibald przyłożył jej do brzucha krucyfiks i mamrotał nad nią modły w swym księżym języku, aż w końcu wszystko poszło dobrze i Ylva urodziła bliźnięta. Były to dwie dziewczynki, co zarówno Osa, jak i Ylva wzięły sobie z początku bardzo do serca. Kiedy jednak noworodki zanesiono do Orma i położono mu na kolanach, ojciec nie znalazł powodu do niezadowolenia. Wszyscy zgodnie uważali, że bliźniaczki darły się i kopały nogami nie mniej dziarsko niż jaki chłopak. I gdy tylko Ylva się do nich przyzwyczała, poweselała i obiecała Ormowi, że następnym razem będzie syn. Kiedy okazało się, że obie dziewczynki będą rude, Orm wyraził obawę, że przyszłość źle się zapowiada dla biednych maleństw. Jeśli bowiem odziedziczyły jego kolor włosów, to może i pod innymi względami wdadzą się w niego co do urody, a tego wcale nie życzy swoim córkom. Ale i Osa, i Ylva beształy go, by nie wygadywał i przestał krakać, gdyż jak mówiły, tak źle chyba nie będzie, a czerwone włosy wcale nie szkodzą.

Kiedy przyszło do nadawania dziewczynkom imion, Orm postanowił, że jedna będzie się nazywać Oddny po jego babce ze strony matki, co ogromnie uradowało Osę.

– Ale drugą nazwiemy po kimś z twojej rodziny – rzekł Orm do Ylvy. – I to imię możesz wybrać sama.

– To niełatwa rzecz wybrać imię dobrze i tak, aby przyniosło dziecku szczęście – odparła. – Matką moją była kobieta porwana na wojennej wyprawie. Zmarła, gdy miałam lat siedem. Nazywała się Ludmiła i była córką wodza Obodrzyców, a porwana została ze swego własnego wesela. Albowiem woje, co zapuszczają się w tamte strony, utrzymują, że najlepiej jest napadać na Obodrzyców i na innych Wenedów w czasie, gdy odbywa się tam jakieś wielkie wesele i wszyscy są pijani. Mężczyźni nie mogą wtedy udźwignąć broni, a ci, których wystawiono, aby czuwali, śpią zazwyczaj, odurzeni silnym piwem, tak że bez wielkiego trudu można wtedy zdobyć bogaty łup, skarby i młode kobiety. Nie widziałam nigdy kobiety piękniejszej od mojej matki, a ojciec mój twierdził, że miała szczęście, jakkolwiek umarła młodo. Albowiem przez trzy lata lubił ją najlepiej ze wszystkich swoich kobiet i – jak powiadał – wielki to był zaszczyt dla obodrzyckiej dziewczyny dostać się do łoża króla Dunów i urodzić mu córkę. Możliwe jednak, że sama ona innego była zdania, bo już po jej śmierci słyszałam, jak dziewczki szeptały pomiędzy sobą, że zaraz po przybyciu do nas próbowała się powiesić. Mówiły też, że to dlatego, iż widziała, jak zabijano jej narzeczonego wtedy, gdy ją porwano i niesiono do łodzi. Bardzo ją kochałam, ale nie wiem, czy to szczęśliwie nazywać po niej dziecko.

Osa nie chciała nawet o tym słyszeć. Nic bowiem nie może być straszniejszego od porwania przez najeźdźców. A jeśli dziecku nada się imię porwanej, los podobny łatwo może stać się jego udziałem.

Ale Orm zauważył, że sprawa nie jest taka prosta. – Sam zostałem ongiś porwany – mówił – i wcale sobie tego nie poczytuję za nieszczęście. Gdyby bowiem nie to, nigdy nie zostałbym tym, kim jestem, nie zdobyłbym miecza i złotego łańcucha, a także i Ylvy. A gdyby Ludmiła nie została porwana, to i król Harald nie miałby córki, co tu siedzi przed nami.

Trudno im było się pogodzić. I jakkolwiek Ylva pragnęła, aby imię jej pięknej i dobrej matki żyło dalej w rodzinie, nie chciała zgotować swojej córce podobnego losu, aby porwali ją Smalandczycy czy jacyś inni najeźdźcy. Kiedy jednak przyszedł ojciec Willibald i przyłączył się do narady, zaraz powiedział, że Ludmiła to imię dobre i szczęśliwe, noszone ongiś przez świętą księżniczkę z morawskiej krainy za czasów starego cesarza Ottona. Zostało więc na Ludmile i wszyscy domownicy przepowiadali dziwną przyszłość dziecku, które nazwano tak szczególnym imieniem, nigdy przedtem przez nich nie słyszany.

Kiedy dziewczynki wzmocniły się na tyle, że mogły to wytrzymać, ojciec Willibald ochrzcił je, choć wiele przy tym było krzyku. Rosły potem w zdrowiu i niebawem turlały się już po podłodze, baraszkując z wielkimi irlandzkimi psami, które Orm zabrał z sobą z domu, albo wydzierały sobie lalki i zwierzątka wycinane dla nich z drzewa przez Rappa i Willibalda. Osa kochała je ogromnie i miała do nich więcej cierpliwości niż ktokolwiek inny. A Ormowi i Ylvie trudno było czasem orzec, która z córek zapowiada się na bardziej upartą i porywczą. W miarę jak czas upływał, Ludmile często powtarzano, że nosi imię świętej, ale nie można było zauważyć, aby sobie to zakarbowała w pamięci. Obie dziewczynki lgnęły do siebie bardzo, jakkolwiek często się kłóciły. A kiedy jedna z nich brała w skórę, druga stała obok i krzyczała równie głośno, jak ukarana.

W rok później, w samo lato, Orm skończył budować kościół. Wzniósł go pod osłoną innych zabudowań, na samym cyplu nad rzeką, i zrobił go tak wielkim, że sześćdziesiąt osób mogło usiąść w ławkach, choć nikt nie wyobrażał sobie, skąd wzięłoby się tam kiedykolwiek tyle ludzi. Postawił też teraz w poprzek przez całe pasmo łądu, na którym znajdowała się sadyba, mocny wał z podwójnym częstokołem na szczycie i silną bramą w środku. Im więcej bowiem upływało czasu i im więcej budował, tym bardziej bał się o bezpieczeństwo sadyby i chciał być w pogotowiu, aby odeprzeć zarówno rabusiów z pogranicza, jak i siepaczy króla Svena.

Kiedy wszystko było już skończone, Ylva zgotowała wszystkim i sobie samej ogromną radość rodząc syna. Osa twierdziła, że jest to błogosławieństwo boskie dla Orma za budowę kościoła, a i sam Orm uważał to za wysoce prawdopodobne.

Noworodek nie miał żadnej wady na ciele i od urodzenia obdarzony był potężnym głosem. Wszyscy zgodnie uważali, że z małego wyrośnie z pewnością wielki hövding, jako że pochodzi z rodu króla Haralda i Ivara Długorękiego. A kiedy malca wyniesiono z komory, aby pokazać ojcu, Orm zdjął z haka na ścianie swój miecz Blotungę, wyjął go z pochwy i posypał na ostrze trochę mąki i kilka ziarek soli. Osa podniosła potem ostrożnie dziecko, aż wargi i język malca dotknęły tego, co mu podano na mieczu. Ojciec Willibald przyglądał się tej scenie z mroczną miną i kreślił nad dzieckiem znaki krzyża, zrzędząc, że taki niechrześcijański zwyczaj z obnażoną morderczą bronią to dzieło złe i wielce godne nagany. Ale nikt go w tym nie podtrzymał. I nawet Ylva, choć zmęczona i osłabiona, wołała z łoża gwałtownie, że ksiądz nie ma w tej sprawie słuszności.

– To zwyczaj u szlachetnie urodzonych – mówiła – dzięki temu powstaje natura władcza, nieustrasżoność i szczęście w boju, a także i dar układania słów. I nie wydaje mi się po wszystkim, coś o nim opowiadał, aby Chrystus nie życzył takich darów ludzkiemu dzieciątku.

– To zwyczaj odwieczny – dorzucił Orm – a wiele mądrości mieli nasi przodkowie, choć nic nie słyszeli o Chrystusie. Ja sam dostałem do lizania miecz na pierwszy posiłek i mój syn, a wnuk króla Haralda, nie będzie gorszy ode mnie.

I na tym zostało, choć ojciec Willibald kręcił wciąż jeszcze głową i mruczał pod nosem, jaki to uparty jest diabeł w tym kraju.

II.

O PRZYGOTOWANIACH DO CHRZCIN WNUKA KRÓLA HARALDA

W owym czasie Orm lepszej był myśli niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ szczęściło mu się we wszystkim. Pola przynosiły obfite plony, bydło szybko się rozmnażało, spiżarnie i stodoły pełne były wszelkiego dobra. Doczekał się syna i mógł się ich spodziewać więcej, a Ylva i dzieci cieszyły się dobrym zdrowiem. Sam Orm starannie uczył parobków, aby nie lenili się od wczesnego świtania, a Osa czujnie doglądała dziewczek w oborze i przy krosnach. Rapp okazał się zręcznym stolarzem i kowalem, zastawiał też przemyślnie sidła na ptaki i dziką zwierzynę. A ojciec Willibald prosił Boga co wieczór o błogosławieństwo dla nich wszystkich. Jedyne, co smuciło czasem Orma, to to, że mieszkał z dala od morza. Mówił bowiem, że takiemu jak on bywa niekiedy tęskno, gdy ze wszystkich stron otacza go tylko szum lasu, nigdy zaś nie słyszy poszumu morza ani nie czuje jego słonego powiewu.

Bywało też, że Orma nawiedzały złe zmyry. Miotał się wtedy we śnie tak niespokojnie, że Ylva targała go za ramię, aby dowiedzieć się, co go gnębi. Zbudzony, opowiadał pokrzepiwszy się mocnym piwem, że we śnie znalazł się z powrotem na mauretańskim statku w czasie ostrego wiosłowania, wśród świstu pletni i jęków wiosłarzy, zgiętych nad wiosłami z grzbietami poznaczonymi od bicia. A na drugi dzień po takim śnie chętnie zasiadał do stolarki, wspominając owe czasy w rozmowach z Rappem, któremu się nigdy nic nie śniło.

Jeszcze gorsze jednak wydawały mu się sny o królu Svenie. Albowiem mauretański statek był już tylko wspomnieniem, ale z królem Svenem i jego zemstą sprawa miała się całkiem inaczej. Sny o nim mogły stanowić ostrzeżenie o grożącym nieszczęściu. Toteż ilekroć przyśnił mu się taki sen, Orm odczuwał zawsze wielką obawę. Opowiadał wszystko dokładnie Osie i ojcu Willibaldowi i prosił ich o pomoc w tłumaczeniu snów. Raz widział króla Svena na dziobie potężnego okrętu, jak zbliżał się coraz bardziej ze złym śmiechem, podczas gdy on, z niewielu tylko ludźmi przy wiosłach w łodzi, usiłował na próżno uciec. Innym razem znów leżał bezsilnie w ciemności i słyszał krzyki i biadania uprowadzonej Ylvy. To znów jawił mu się król Sven nadchodzący ku niemu w łunie pożarów z mieczem Blotungą w ręku, i wtedy budził się obłany potem.

Osa i ojciec Willibald uważali zgodnie, że sny takie mogą istotnie coś oznaczać, a Osa wybuchnęła nawet płaczem, gdy usłyszała ostatni z nich. Ale kiedy się zastanowiła, uspokoiła się nieco.

– Być może – mówiła – żeś odziedziczył po mnie dar widzenia prawdy we śnie, co wcale nie wydaje mi się godnym pozazdroszczenia dziedzictwem, bo ja sama nigdy nie miałam z tego żadnego pożytku, a tylko więcej męki i strachu niż inni. Jedno mnie tylko pociesza, że sama nic dotąd nie odczułam, co by mogło stanowić dla nas ostrzeżenie o jakimś nieszczęściu. Albowiem twoje nieszczęście byłoby zaiste moim własnym i gdyby groziło coś tobie i twojemu domowi, to i ja bym o tym wiedziała z moich snów.

– Sądzę – rozważał ojciec Willibald – że król Sven ma pod dostatkiem roboty gdzie indziej i zbyt mało czasu, aby ciebie szukać na tych kresach. A pomyślcie także, że to ze mną ma on najwięcej na pieńku, bo moja ręka zwała go z konia kamieniem, podobnie jak ręka męża bożego Dawida poraziła poganina Goliata. A mimo to nic mi się nie śniło. Prawdą jednak jest, że drogi zła są kręte i długie i że najlepiej jest być przygotowanym na wszystko.

Orm zgadzał się z nim co do tego i starannie doglądał, aby częstokół stawiany na obwałowaniu był mocny i wytrzymały, a wielkie wrota zamknięte tęgimi zasuwami, tak aby można było spokojnie spać. I niebawem nie myślał już o snach, ale tylko o wielkich chrzcinach, które zamierzał wyprawić swojemu pierworodnemu synowi.

Wybór imienia dla nowo narodzonego nie nastroczał Ormowi żadnych kłopotów. Syn miał się nazywać Harald.

– Może być – mówił – że nakładam na niego wielki obowiązek, nadając mu królewskie imię. Mało kto jednak miał takie powodzenie jak król Harald i mało kto zdobył taki rozgłos. A spośród wszystkich hövdingów, z którymi się zetknąłem, jednego tylko znam – a jest nim Almanzor z Andaluzji – co dorównał mu mądrością. Toteż nie przysłużyłbym się memu synowi, odmawiając mu imienia, które nosił jego dziadek.

– Jednego się tylko obawiam, gdy słyszę, że mu chcesz nadać to imię – powiedziała Ylva – a to, że nie będzie zachowywał umiaru z kobietami podobnie jak mój ojciec, który nigdy nie miał ich dość. To zaś godzi się może królowi, ale nie innym.

– Już teraz widać, że będzie silny i rośli – mówiła Osa. – A jeśli jeszcze do tego mieć będzie wesołe usposobienie, i bez królewskiego imienia kobiety będą za nim przepadały. Tak było z moim synem Are, który aż wpadł z tego powodu w ciężkie tarapaty. Kobiety nie mogły mu się nigdy oprzeć, gdy na nie mrugnął czy pociągnął za warkocz. Mówiły mi to same. Miał oczy, które się zawsze śmiały, i beztruską naturę, a był po Ormie najlepszym z moich synów. I niech cię Bóg broni, Ylvo, przed taką żalobą, jaką ja miałam, gdy Are wpadł z powodu kobiet w nieszczęście i uciekł do Miklagrodu, po czym słuch o nim zaginął.

– I ja bym tego nie chciała – odparła Ylva. – Ale mimo wszystko wolałabym, aby mój syn, kiedy dorośnie, swobodnie zbliżał się do kobiet, niż żeby wobec nich zapominał języka w gębie i na nic się nie odważał.

– O to możesz być zupełnie spokojna – zapewnił ją Orm – bo niewiele znajdziesz lęklivosti w rodzie twego syna.

Na chrzciny dziecka przygotowywano wielką ucztę, na którą miano sprosić wszystkich znanych ludzi z bliższej i dalszej okolicy. Orm polecił nie szczędzić niczego, czy to jeśli chodzi o pieczywo, czy o napitki, czy wreszcie o mięsiwo. Mówił, że chce trzydniową ucztą pokazać mieszkańcom lasów, jak wygląda gościnność hövdinga. Salę biesiadną stanowić miał kościół, gdzie najwięcej było wolnej przestrzeni. A trzeciego dnia, gdy wszyscy już sobie podochocą i będą się czuli błogo po obfitym poczęstunku, ojciec Willibald miał wygłosić do gości kazanie, po którym wielu zechce się może ochrzcić.

Ojciec Willibald nie chciał zrazu słyszeć o tym, aby uczta z udziałem rozwrzeszczanych pogan miała się odbyć w jego nowym kościele, gdzie dopiero co wykończył ołtarz i ustawił piękny krzyż.

Ustąpił jednak namowom na myśl, że może w ten sposób da się pozyskać wiele dusz dla prawdziwej wiary. Ylva natomiast obawiała się dwóch rzeczy. Nie chciała, aby warzono zbyt mocne piwo, gdyż gośćmi ich mieli być dzicy ludzie z puszczy, a przy stole mieli zasiadać mężczyźni pospołu z kobietami. A po drugie, nie wiedziała, co począć ze swoim złotym naszyjnikiem – czy odważyć się go włożyć na chrzciny, czy też nie.

– Kiedy bowiem ongiś pokazano go przy uczcie, doszło do walki na miecze – mówiła – a tutaj chciwość złota jest chyba jeszcze większa niż w Jellinge.

– Ja ci radzę, abyś go włożyła – rzekł Orm. – Chcę bowiem, aby było widać, żeś przedniejsza od innych. I mało też daje radości klejnot, który stale leży schowany w skrzyni.

Wszyscy mieli pełne ręce roboty w związku z przygotowaniem do chrzciny. Warzono i pieczono na potęgę, a Orm co dzień obmacywał bydło przeznaczone na ubój i kazał je dobrze tuczyć.

Pewnego dnia z lasu położonego na południu wychynął jakiś człowiek, wiodący dwa juczne konie, i zbliżył się do Ormowego gródka. Został dobrze przyjęty i zaproszono go do wnętrza. Był to staruch imieniem Ole, który od dawna już wędrował po całym pograniczu od zagrody do zagrody, handlując skórą i solą. Stąd nazywano go Słonym Ole. Znany był wszędzie doskonale i nikt go nie niepokoił, jakkolwiek Ole zawsze podróżował samotnie, bo był dziwakiem i uważano go nawet po trosze za wariata. Ale na skórkach rozumiał się

znakomicie i niełatwo dawał się oszukać. Zawsze też był dobrze widziany ze swoją solą u tych, co mogli sobie pozwolić na zakup tak drogiego towaru. Brytany czekały, ale ani on, ani jego stare szkapy niewiele sobie z tego robili. Dopiero przy drzwiach domu stary zatrzymał się odmawiając przestąpienia progu, dopóki nie dowiedział się, że księdza nie ma w domu. Przed nim bowiem jednym miał stracha.

– Nasz ksiądz nie gryzie – mówiła uszczypliwie Osa stawiając przed Ole jedzenie. – Poszedł dzisiaj z Rappem na ryby, więc się z nim nie zobaczysz. Boć trzeba zaiste takiego jak ty nieboraka, aby bać się księdza. Ale mniejsza z tym. Witaj w naszym domu! Siadaj i jedz, staruszk. To pewne, żeś przybył z swoją solą w samą porę. Nasza jest już na ukończeniu, a niemało potrzeba na chrzciny, jeśli wszystko ma być tak, jak sobie tego życzy Orm.

Chce on, aby każdemu wolno było wziąć trzema palcami szczyptę białej soli do mięsa i kiszki, a także odrobinę do kaszy, jakkolwiek większość uzna to za przesadę nawet u tak zamożnych ludzi jak my, gdyż masło i miód zupełnie wystarczą do kaszy nawet na najwystawniejszej uczcie.

Stary siorbał kwaśne mleko maczając w nim chleb. Na słowa Osy potrząsnął głową i rzekł:

– Sól to najlepsza rzecz i człowiek powinien jej zjadać tyle, ile tylko może. Daje to zdrowie, siły i długie życie, wypędza z ciała chorobę i odświeża krew. Wszyscy lubią sól. Patrzcie no!

Bliźniaczki trzymając się za ręce wpatrywały się w niego poważnie. On zaś wyjął z pasa dwie grudki soli i podał je dzieciom, przyjaźnie coś do nich mamrocząc. Podeszły z wahaniem bliżej, wzięły podawane sobie kryształki soli i natychmiast zaczęły je ssać.

– Widzicie? – ucieszył się staruch. – Tak to jest. Nikt nie odmawia soli.

Ale kiedy się już najadł i postawiono przed nim piwo oraz zaczęto wypytywać o nowiny, a Ylva chciała załatwić zakupy, dowiedzieli się, że Ole nie ma już prawie nic soli w workach. Białej, nazywanej cesarską, którą Orm chciał częstować swoich gości, nie było wcale, a i brunatnej zostało staremu tylko niewiele.

Osa pogroziła mu ręką.

– Nie mogłeś tego powiedzieć od razu – wykrzyknęła – to i przyjęcie zgotowałabym ci odpowiednie! Ale czy to nie mówię; zawsze, że ze staruchów, trollów i połamańców nie ma żadnego pożytku za to, co się w nich wpakuje.

Lecz Ole syty i zadowolony odparł, że na wszystko znajdzie się rada.

– Ciągną tu bowiem i inni kupcy – mówił. – Minąłem ich wczoraj, gdy popasali przy Gokliden, jedenastu mężczyzn, jeden mały chłopak i czternaście koni. Wiozą gwoździe,

sukno i sól. Powiadają, że przybyli tu przez Laanga Stockar i zmierzają do Smalandii. To jacyś obcy, jakkolwiek dotąd zdawało mi się, że znam wszystkich. Ale zaczynam się już starzeć i przychodzą tu coraz to nowi ludzie. Wiem jednak na pewno, że zdążają tutaj, bo ich przywódca pytał o ciebie, Ormie.

Orm skończył właśnie popołudniową drzemkę i wyszedł z komory, aby posłuchać starucha.

– O mnie? – zdziwił się. – A co to za jeden?

– Nazywa się Östen z Ore i pochodzi z ziemi Finnvedingów, ale nigdy jeszcze nie był w tych okolicach. Długo przebywał na morzu w obcych stronach, teraz zaś umieścił wszystko, co zdobył, w tym wozie z towarem, aby podróż do domu opłaciła mu się sownie.

– Ale dlaczego pytał o mnie? – zastanawiał się Orm.

– Słyszał o tobie jako o człoku bogatym i znanym, a takich chętnie odwiedzają kupcy. Mówił, że wśród swoich towarów wiezie także srebrne ozdoby, doskonałe strzały i cięciwy do łuków.

– Czy tylko o mnie pytał? – dowiadywał się Orm.

– Rozpytywał także i o innych znacznych kmieci, nie takich, co to kupują lada drobnostkę targując się przy tym i stękając. Najwięcej jednak było mowy o tobie, bo słyszał, żeś najbogatszy.

Orm siedział przez chwilę cicho i zastanawiał się.

– Jedenastu ludzi? – zagadnął potem.

– I chłopiec, mały chłopak. Trzeba tęgich mężczyzn do obrony takiego kupieckiego wozu, chłopca zaś mieli do pomocy przy koniach.

– Niech i tak będzie – rzekł Orm. – Ale mimo to dobrze mieć się na baczności, gdy obcy przybywają w takiej sile.

– Nie zauważyłem u tego Östena nic złego – mówił Ole. – Ale musi to być mąż nieustraszony, bo gdy mu powiedziałem, że trzymasz w zagrodzie księdza, nic sobie z tego nie robił.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– A ty czego się boisz księdza? – zagadnął Orm.

Ale staruch nie umiał na to nic odpowiedzieć. Trząsł tylko głową, robiąc chytrą minę i mruczał cichym głosem, że nie jest taki głupi, aby nie wiedzieć, że księża gorsi są od trollów. Potem zaś zaczął śpiesznie zbierać się do odjazdu.

– Za siedem tygodni będą u mnie chrzciny – powiedział do niego Orm na odjeźdźnym. – Jeśli będziesz wtedy w okolicy, przyjeżdżaj. Być może bowiem, żeś mi wyświadczył wielką przysługę.

III.

O OBCYCH Z WOZEM SOLI I O TYM, JAK KRÓL SVEN NIE DOSTAŁ JEDNEJ GŁOWY

Następnego wieczoru przybyli do Gröning obcy jeźdźcy. Właśnie zaczął padać deszcz. Zatrzymali się z wozem kawałek od bramy, a jeden podjechał i zapytał o Orma prosząc o nocleg. Psy zaczęły ujadać w porę, tak że Orm stał już przed bramą z Rappem, księdzem i pięciu ludźmi z czeladzi, wszyscy dobrze uzbrojeni prócz ojca Willibalda. Obcy, który podjechał pod bramę, mąż wysoki i chudy, owinięty w szeroki płaszcz, otarł z twarzy krople deszczu i odezwał się:

– Taki deszcz przykry bywa dla kupców, bo nie ostoją się przed nim łuby i wory skórzane. Ja zaś wiozę sól i sukno, które źle znoszą wilgoć. Choć więc jestem obcy, proszę cię, Ormie, o suche miejsce dla towarów i o dach nad głową dla mnie i moich ludzi. Jestem Östen, syn Ugge, z Orestad w Finiwenen, z rodu Długiego Grima. A moim wujem był Styr Roztropny, o którym słyszeli wszyscy.

Gdy mówił, Orm przypatrywał mu się uważnie.

– Dużą masz drużynę – zauważył.

– A mimo to czasem myślę, że może jest jeszcze za mała – odpowiedział Östen. – Wiozę bowiem cenne towary, a te okolice nie należą do najbezpieczniejszych dla kupców. Dotąd jednak szło mi wszystko dobrze, i oby tak było dalej. W moich łubach mam może to i owo, co ty lub twoja żona chętnie byście kupili.

– Czyś chrzczony? – spytał ojciec Willibald.

– O, nie, nie – odpowiedział szybko Östen. – Ani ja, ani nikt z mojej drużyny. Wszyscy jesteśmy uczciwi ludzie.

– Mówisz tak, jak ci na to pozwala twój rozum – przerwał mu surowo Orm. – Wszyscyśmy tutaj ochrzczeni, a ten, kto cię pytał, to ksiądz Chrystusa.

– Nielatwo o czymś takim wiedzieć przybyszowi – przyznał ustępliwie Östen. – Ale przypominam sobie teraz, że pewien podróżnik powiedział mi, iż masz tu w gródku księdza. Wypadło mi to z głowy, gdyż najwięcej opowiadał o tobie, Ormie, o twojej gościnności i wielkiej sławie, którą się cieszysz.

Deszcz lał coraz silniej, a w dali słychać było burzę. Östen zerknął w kierunku swego wozu i robił wrażenie bardzo strapionego. Ludzie jego stali przy koniach, czekając na

rozkazy, odwrócenie plecami do wiatru, z kapturami naciągniętymi na głowy, a deszcz otaczał ich coraz bardziej nieprzeniknioną zasłoną.

Rapp skrzywił wargi w uśmiechu.

– Można będzie chyba tanio kupić sól – zauważył.

Ale Orm odezwał się w te słowa:

– Może i jesteś z dobrego rodu, Smalandczyku, i nie chcę ci przypisywać złych zamiarów. Ale jedenastu zbrojnych na noclegu w moim gródku to zbyt wiele, jakkolwiek nie chciałbym okazać się niegościnnie. I nie sądzę, abyś mógł mnie ganić za to, co mówię. A teraz możesz wybierać z dwojga. Albo pojedziesz dalej i rozłożysz się na nocleg gdzie indziej, albo też umieszczę cię w łaźni razem z ludźmi i towarem, ale broń oddacie mi tu przy bramie.

– Ciężkie to warunki – odrzekł Östen – gdyż tym samym oddaję w twoje ręce siebie i swoje bogactwo, a tego nikt chętnie nie robi. Ale wyglądasz mi na zbyt szlachetnego, żebyś myślał o oszukaniu mnie, no i tak się składa, że nie mam innego wyboru. Toteż niech będzie, jak chcesz.

To mówiąc, odpiął miecz i oddał go Ormowi, wołając równocześnie na ludzi, aby śpieszyli z towarem pod dach. Natychmiast zaczęła się wielka krzątanina i wszyscy musieli oddawać broń, zanim wpuszczono ich do gródka. Konie spętano i puszczono na łąkę nad rzeką, gdyż o tej porze roku nie było niebezpieczeństwa wilków.

Gdy wszystko się już uspokoiło, Orm zaprosił przybyszów na posiłek i piwo. Potem zaś ubijał z Östenem handel o sól i sukno i stwierdził przy tym, że ma do czynienia z kupcem honorowym, który nie żąda za swój towar dużo więcej niż to, co każdy rozsądny człowiek mógłby uznać za uzasadnione. Dogadawszy się wypili na zgodę, po czym Östen i jego ludzie oświadczyli, że czują się znużeni długą podróżą. Podziękowali więc za poczęstunek i udali się na spoczynek.

Burza przybierała coraz bardziej na sile, a po chwili dało się słyszeć ryczenie bydła, które zamykano na noc w ogrodzeniu koło domu.

Rapp z wolarzem wyszli zaraz, aby zobaczyć, czy niespokojne z powodu burzy bydła nie wyłamały się z ogrodzenia. Na dworze było ciemno i tylko od czasu do czasu mrok rozjaśniały błyskawice. Obszedłszy ogrodzenie dokoła, Rapp i stary wolarz stwierdzili, że jest nie uszkodzone. Wtem z ciemności odezwał się jakiś głos:

– Czy to ty jesteś Rudy Orm?

– Niezupełnie – odparł Rapp – ale drugi po nim. A czegoż ty chcesz od niego?

W świetle błyskawicy zobaczyli, że był to mały chłopak z kupieckiego orszaku.

– Chcę się dowiedzieć, co mi zapłaci za swoją głowę – odrzekł chłopak.

Rapp pochylił się szybko i chwycił go za ramię.

– Coś ty za kupiec? – zapytał.

– Gdy mu powiem wszystko, co wiem, może mi coś za to da – mówił z przejęciem chłopak. – Östen sprzedał jego głowę królowi Svenowi i przybył po nią aż tutaj.

– Chodź ze mną! – powiedział Rapp.

Śpiesznie poszli do domu. Orm, który ze względu na burzę i obecność obcych w gródku legł spać w odzieży, rozbudził się natychmiast, usłyszawszy, o co chodzi. Zabronił zapalać światło i szybko wdział kolczugę.

– Czyżby mnie mimo wszystko oszukali? – pytał. – Oddali nam przecież broń.

– Mają miecze i topory pochowane w łubach – wyjaśnił chłopak. – Mówią, że twoja głowa warta zachodu. Tylko mnie nic nie dają i wypędzili na deszcz, abym pilnował koni. Nie należę do nich i chciałbym, aby się oszukali na tym handlu. Niebawem nadejdą.

Wszyscy ludzie Orma byli już zbudzeni i uzbrojeni. Wraz z Ormem i Rappem było ich razem dziewięciu, w tym kilku starszych, nie bardzo już zdatnych do walki.

– Najlepiej, abyśmy nie zwlekali – rzekł Orm. – Jak dobrze pójdzie, może nam się uda ich zaskoczyć, zamknąć w środku i podkurzyć.

Rapp uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Mamy szczęście – rzekł. – Przejaśnia się. Łatwiej będzie domacać ich oszczepem, gdyby chcieli się wydostać na dwór.

Burza poszła dalej i spomiędzy chmur wyjrzał księżyc o niepewnym blasku.

Gdy wychodzili z domu, Ylva stanęła u drzwi.

– Dobrze byłoby mieć to już za sobą – niepokoili się.

– Nie trać otuchy – uspokajał ją Orm – i zagrzej nam tymczasem piwa. Może niejeden będzie tego potrzebował, gdy wrócimy do domu.

Cicho poszli przez podwórze w kierunku łaźni. Właśnie doszli do drwalni, która leżała tuż obok, gdy drzwi łaźni uchyliły się lekko. Wyjrzeli z nich ludzie i błysnęła broń. Ludzie Orma rzucili na nich natychmiast oszczepy, ale źle wycelowali. Rozległy się bojowe okrzyki i w drzwiach łaźni zrobił się wielki tłok, gdyż obcy usiłowali szybko wydostać się na zewnątrz. Wtedy Orm schylił się i chwyciwszy stojący obok drwalni pniak do rąbania drewna, podniósł go w górę, aż mu trzasło coś w ramionach, skoczył naprzód i rzucił go z całej siły w otwarte drzwi łaźni. Ci, co stali na przodzie, zdążyli się jeszcze usunąć, ale inni, trafieni, powywracali się wyjąc z bólu.

– To było dobre – zauważył Rapp.

Choć sprawy przybrały inny obrót, niż to sobie obcy zamysłili, nie dali się nastraszyć. Ci, co trzymali się na nogach, runęli natychmiast naprzód i wydostali się z łaźni. Doszło do ostrego boju i powstało wielkie zamieszanie. Kiedy bowiem księżyc znów schował się za chmury, niełatwo można było odróżnić przyjaciela od wroga. Orma opadło aż dwóch. Szybko zwałił jednego. Drugi jednak, mały, krępy i barczysty mężczyzna rzucił się na niego z głową pochyloną naprzód jak odyniec i obalił go z nóg wbijając mu przy tym w udo długi nóż. Orm wypuścił miecz, chwycił przeciwnika za szyję, odepchnął drugą ręką nóż i ścisnął co siły. Przez długą chwilę tarzali się w kałużach po deszczu, bo przeciwnik Orma był silny jak niedźwiedź i krótką miał szyję niczym jaki troll. W końcu potoczyli się pod ścianę łaźni. Orm zdołał wtedy znaleźć dobre oparcie dla nóg i poprawił uchwyt, a tamten zaczął charczeć, aż wreszcie chrupnęło mu coś w karku i legł bez ruchu. Orm zaś szybko podniósł się znów na nogi i odszukał miecz, wściekły z odniesionego ciosu nożem. Trudno mu bowiem było się poruszać, a słyszał, że paru z jego ludzi woła o pomoc.

Ale wszystkie odgłosy walki przygłuszyło nagle gwałtowne ujadanie i zza węgła domu wybiegł ojciec Willibald z oszczepem w ręku, otoczony czterema brytanami, które spuścił z uwięzi. Rozwścieczone z pianą na pyskach rzuciły się olbrzymimi susami na obcych, których chwycił strach, gdyż psy wielkości dużych cielaków stanowiły dla nich widok zgoła nieoczekiwany. Zaczęli więc uciekać ku rzece ścigani przez brytany i przez ludzi Orma. Kilku dognano i zabito, trzem jednak udało się skoczyć do wody. Sam Orm kuśtykał z tyłu, jak mógł, niespokojny, że wśród tych, którzy uszli, może znajdować się Östen. Ale kiedy wrócił na podwórze, zastał tam Rappa, który siedząc na pniaku oparty o drzewce topora przyglądał się jakiemuś człowiekowi leżącemu przed nim na ziemi.

– Masz tu samego kupca! – zawołał zauważywszy zbliżającego się Orma. – Nie wiem tylko, czy jeszcze zipie. Ale niezły był z niego przeciwnik.

Östen leżał na wznak blady i pokrwawiony, w hełmie pękniętym od ciosu topora. Orm usiadł obok Rappa i patrzył na powalonego. I na ten widok zrobiło mu się tak dobrze na duchu, że zapomniał zupełnie o ranie. Nadbiegły Ylva i Osa miotane na przemian trwogą i radością i chciały, aby Orm natychmiast szedł do domu, by dać się opatrzyć i przewiązać, on jednak nie wstawał i wciąż tylko wpatrywał się w Östena, mrucząc coś pod nosem. A w końcu rzekł:

Wreszcie wiem,

Jaki dar drużby

Dostać ma

Sven, ten mój szurzy.*

Kupcze mój,

Będzie to głowa

Własna twa,

A nie Ormowa.

Nadszedł ojciec Willibald i obejrzał ranę Orma, po czym kazał mu natychmiast iść do domu albo dać się zanieść Rappowi i kobietom. Pochylił się potem nad Östenem pomacał miejsce, gdzie trafił topór Rappa.

– Żyje – rzekł. – Ale nie wiadomo, jak długo pociągnie.

– Poślę jego głowę Svenowi – oświadczył Orm.

Lecz ojciec Willibald odpowiedział ostro, że ani słyszeć nie chce o podobnych szaleństwach i że Östena należy zanieść pod dach podobnie jak innych rannych.

– I wiele będę tu miał do roboty przez dłuższy czas – dodał. Ojciec Willibald był człowiekiem stanowczym, szczególnie tam gdzie chodziło o chorych i rannych, toteż nikt nie odważył mu się przeciwstawić. Natychmiast więc kto żyw wziął się do pomocy przy przenoszeniu i opatrywaniu rannych.

Orm dostawszy się z pomocą swych ludzi do domu, zapadł po opatrzeniu mu rany w odrętwienie, stracił bowiem dużo krwi. Ale już następnego dnia poczuł się o wiele lepiej, niż się tego można było spodziewać. Z zadowoleniem rozmyślał nad przebiegiem całego zajścia i oświadczył, że przygarnie małego chłopca od Östena, który ma być odtąd traktowany tak, jakby należał do rodziny. Dowiedział się, że stracił dwóch ludzi, a dwu innych, a także jeden brytan, ciężko było porąbanych. Ojciec Willibald sądził jednak, że przy boskiej pomocy zarówno ludzie, jak i pies wylizają się z ran. Orm żałował zabitych, uważał jednak, że wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej. Spośród przybyszów przy życiu został tylko Östen i jeszcze dwóch oprócz tych trzech, którym udało się skoczyć do rzeki. W łaźni znaleziono po boju dwóch, których dosięgnął rzucony przez Orma pniak do rąbania. Jeden z nich leżał martwy ze zgniecioną klatką piersiową, drugi zaś miał złamaną nogę i zmiądzoną stopę. Ojciec Willibald polecił zanieść rannych do kościoła i poukładać ich na słomie. Otaczał ich tam później najlepszą opieką i widać było po nim co dzień, że bardzo jest zadowolony

* Szurzy – staropolskie słowo oznaczające: szwagier.

z trudów, jakie pociągało dogłądanie rannych. Ostatnio bowiem mały ksiądz nie miał dużo zajęcia w sztuce leczenia, toteż czas dłużył mu się niekiedy.

Orm szybko podniósł się na nogi, bez większego uszczerbku po ciosie, który otrzymał. A pewnego dnia ojciec Willibald przyszedł do stołu radośniejszy niż zwykle i oświadczył, że nawet Östen, który doznał największych obrażeń, zaczyna wracać do zdrowia. Rapp potrząsnął głową ze zdziwienia na te słowa i powiedział:

– W takim razie ciąłem gorzej, niż mi się zdawało.

A Orm był zdania, że nie ma się co tak bardzo cieszyć z tej nowiny.

IV.

O TYM, JAK ORM WYGŁOSIŁ KAZANIE DO HANDLARZA SOLI

Utarczka w Gröning stała się rychło głośna w okolicy i Gudmund z Uvaberg, z kupą najdalszych sąsiadów, których Orm jeszcze na oczy nie oglądał, przyjechali konno, aby usłyszeć, jak się to wszystko odbyło. Opili się Ormowego piwa i hałaśliwie dawali upust swojej radości, słuchając opowiadania o walce. Oto – wołali – jak trzeba postępować, aby podtrzymać dawną dobrą sławę okolicy! Nie mieli też dość słów na pochwałę wielkich brytanów i domagali się potomstwa po nich. A na widok dużej ilości soli i sukna oraz innego dobra, które zdobył Orm, wzdychali z żalem, że takie szczęście nie przypadło im w udziale. Doszło także do handlu końmi, który odbył się w wielkiej zgodzie, albowiem Orm miał teraz o wiele więcej koni, niż potrzebował, i uważał, że nie powinien się zbytnio drożyć tam, gdzie chodzi o łup wojenny. Najsilniejsi próbowali potem swoich sił na pniaku do rąbania drzewa. I chociaż ci, którzy stali kręgiem dokoła, wspominali imiona zmarłych mężów, których pamiętali z dzieciństwa, a którzy z łatwością dokonywali czynów stanowiących większą próbę siły niż to, o co tu chodziło, nikomu nie udało się dokładnie powtórzyć rzutu Orma. Jego zaś wprawiło to w najlepszy humor i prosił gości, aby się tym zbytnio nie przejmowali.

– Bo i ja sam nie przepuszczam, abym potrafił to zrobić po raz drugi – mówił – chyba że w wielkiej złości.

Wszyscy byli ciekawi Östena i bardzo się dziwili, że Orm pozostawił go przy życiu. Nożem po gardle – wyrokowali jednogłośnie – to najlepszy sposób na tego rodzaju zbójów. I radzili Ormowi poważnie, aby nie gotował nieprzyjemności sobie samemu i innym, puszczając Östena z życiem. Zapewniali go, że może to się później srodze zemścić, znali bowiem Smalandczyków, którzy są plemieniem pamiętliwym. Paru z gości chciało wejść do kościoła, aby popatrzeć na Östena i porozmawiać z nim. Mówili, że pragną go spytać, co myśli obecnie o zdobywaniu głów wśród mieszkańców Goingii. Ale ojciec Willibald nie dał się ubłagać i trzymał drzwi kościoła zaparte mówiąc, że wejdą tam, kiedy przyjdzie na to pora, to znaczy, kiedy Bóg tak zechce. Ale i wtedy nie po to, aby natrzęsać się z rannego, który jeszcze ledwie może unieść głowę.

Musieli na tym poprzestać. Ale zanim odjechali, wołali przy strzemiennym jeden przez drugiego, że teraz nie ma już dla nikogo wątpliwości, iż Orm jest godnym Goińczyków hövdingiem, godnym potomkiem z krwi Svena o Szczurzym Nosie, mimo że się ochrzcił. I zapewniali, że chętnie mu dopomogą w sporze, który mógłby z tego wyniknąć.

Orm dał każdemu na pożegnanie miarkę soli w imię sąsiedzkiej zgody. A potem cwałem odjechali z Gröning w radosnej wrzawie, chwiejąc się w siodłach i skrzeczając jak sojki.

Mały chłopak, który przybył z obcymi napastnikami, zaniepokoił się, gdy się dowiedział, że Östen przychodzi do zdrowia. Bał się bowiem, że sprawy źle się dla niego ułożą i że Östen pozbawi go życia, gdy tylko będzie miał ku temu sposobność. Ale Orm uspokoił go, że włos mu z głowy nie spadnie i że może czuć się zupełnie bezpieczny bez względu na to, co sobie myśli Östen. Chłopak nazywał się Ulf i od razu stał się ulubieńcem Ylvy i Osy, które wprost nie wiedziały, jak mu się odwdziaczyć za wielką przysługę wyświadczoną im wszystkim. Osa zabrała się zaraz sama do uszycia mu lepszej odzieży i oboje z ojcem Willibaldem uważali zgodnie, że palec Boży przejawiał się w tym, co zrobił dla nich ten biedny chłopczyzna, który jakby zesłany został przez Boga, aby ich uratować przed złym zamachem. Wypytywali go, w jaki sposób zszedł się z kupcami, a on opowiadał, że uciekał od niedobrego krewniaka na wybrzeżu, gdzie nacierpiał się wiele biedy po śmierci rodziców, którzy oboje utonęli w czasie połowów, kiedy był jeszcze zupełnie maleńki. Östen wziął go za koniucha.

– Ale skąpił mi jadła – mówił – tak że aby najeść się do syta, musiałem kraść po zagrodach. Po nocach zaś kazano mi pilnować koni i dostawałem baty, gdy coś się z nimi przytrafiło. Najgorsze jednak, że nigdy nie wolno mi było jechać wierzchem, choćbym nie wiem jak był zmęczony od marszu za wozem. Mimo to było mi u kupców lepiej niż przedtem, ale nie czułem żadnego przywiązania do Östena i jego towarzyszy i dobrze, że się od nich uwolniłem. Tutaj bowiem dostałem to, czego nigdy przedtem nie miałem – pod dostatkiem jedzenia i łóżko do spania. I dlatego jeśli mnie nie wygonicie, chcę u was zostać na zawsze. I nie boję się też chrztu, jeśli uważacie, że to może być potrzebne.

Ojciec Willibald oświadczył, że co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości i że Ulf zostanie ochrzczony, skoro tylko go trochę oświecą w nauce Chrystusowej. Ylva kazała chłopcu pilnować Oddny i Ludmiły, które zaczęły się już żwawo poruszać i często znikwały poza domem, a kilka razy ku ogromnemu przerażeniu wszystkich odnalezione nawet zostały na dole nad samą rzeką. Chłopak wywiązywał się z tego zadania chlubnie i chodził jak cień za dziewczynkami. Uważał, że zajęcie to jest o wiele lepsze od doglądania koni. Umiał niezrównanie gwizdać na różne sposoby, a także naśladować głosy ptaków, i małe dziewczynki od razu go bardzo polubiły. Z powodu pogodnego usposobienia zaczęto go z czasem nazywać Ulf Wesoły.

Östen i jego dwaj towarzysze wydobrzelili już do tego stopnia, że mogli się sami poruszać. Przeniesiono ich teraz do łaźni i postawiono na straży nad nimi uzbrojonego człowieka, a ojciec Willibald próbował z nimi rozmawiać o wierze chrześcijańskiej. Przyszedł

potem do Orma i wyznał, że serca tych ludzi stanowią zaiste ogromnie nieurodzajną glebę pod siew łaski. Ale czego innego nie można się też było po nich spodziewać.

– Nie jestem człowiekiem pysznym – ciągnął – i nie gonię za chwałą i rozgłosem. Ale nie przeczę, że czułbym się sownie wynagrodzony za trudy, gdybym był pierwszy, któremu udało się ochrzcić Smalandczyka. Nikt bowiem dotąd nie słyszał, aby dokonano czego podobnego, tak że wielka byłaby z tego radość w niebie. Nie wiem jednak, czy poszczęści mi się z tymi ludźmi, złość ich bowiem jest ponad wszelką miarę. I dobrze by było, gdybyś ty, Ormie, zechciał mi pomóc i powiedzieć słowo przestrogi Östenowi.

Orm uznał pomysł księdza za trafny i zgodził się mu dopomóc.

– I mogę ci przyobiecać – dodał – że zanim ich wypuszczę z Gröning, ochrzczą się, i to wszyscy trzej.

– Wpierw jednak muszą wysłuchać moich nauk – trapił się ojciec Willibald – i właśnie pod tym względem natrafiłem na opór.

– Moich nauk wysłuchają – zapewnił Orm.

Poszli razem do łaźni i Orm i Östen zobaczyli się wtedy po raz pierwszy od chwili walki. Östen spał, ale przebudził się, gdy weszli. Głowę miał omotaną szmatami, które ojciec Willibald zmieniał mu codziennie. Usiadł na posłaniu i podpierając głowę rękami, patrzył na Orma.

– Dobre to dla mnie spotkanie – zagadnął Orm – bo moja głowa ma się lepiej niż twoja. I chcę ci też podziękować za tyle bogactwa, coś mi przywiózł do samych drzwi. Ale ty nie tak chyba wyobrażałeś sobie tę sprawę.

– Inaczej by to się skończyło, gdyby chłopak mnie nie zdradził – odrzekł Östen.

Orm zaśmiał się.

– Zabawnie słyszeć, jak o zdradzie mówi taki jak ty. Ale jeszcze w jednym chciałbym zasięgnąć twego zdania. Próbowalesz zabrać mi głowę, kto więc ma teraz największe prawo do twojej?

Östen milczał przez chwilę, a potem rzekł:

– Szczęście mi z tobą nie dopisało i nie ma tu nic więcej do powiedzenia.

– A mimo to mogło twoje szczęście okazać się jeszcze bardziej zawodne – powiedział Orm – gdyby nie ten oto święty mąż, któremu winienesz największą wdzięczność. Kiedy się dowiedziałem, że król Sven życzy sobie głowy z tych okolic, chciałem mu posłać twoją. Ale ten sługa Chrystusowy mi to odradził. Ocalił ci życie i uleczył twe rany, lecz jeszcze mu tego nie dosyć. Chce zbawić także twoją złą smalandzką duszę. Toteż postanowiliśmy, że

zostaniecie ochrzczeni, ty i twoi ludzie. I nie masz tu nic do powiedzenia, bo głowa twoja należy do mnie i zrobię z nią to, co mi się żywnie spodoba.

Östen wpatrywał się posepnie w nich obu.

– Ród mój jest wielki i potężny – rzekł po chwili – i nikt, kto się doń zalicza, nie zostanie niepomszczony. Toteż wiedz, że będzie cię to drogo kosztowało, a najdrożej to, że zamierzasz mnie zmusić do rzeczy podłych.

– Nikt cię nie zmusza – odparował Orm – sam możesz swobodnie wybierać. Mów, czy chcesz, aby ten święty mąż połał ci głowę świeconą wodą, co ci tylko wyjdzie na dobre, czy też wolisz, abym zapakował twój łeb do worka i posłał do króla Svena? Obiecuję ci, że zrobimy to starannie i że dojdzie na miejsce w dobrym stanie, tak aby widział, do kogo łeb należał. Najlepiej będzie może posłać go w soli, której mam teraz pod dostatkiem.

– Nikt z mego rodu nie był nigdy chrzczony – opierał się Östen. – Tylko wśród naszych niewolników znajdują się chrześcijanie.

– Wiedz – rzekł Orm – że sam Chrystus powiedział, iż wszyscy zostaną ochrzczeni, nawet Smalandczycy. Ojciec Willibald zna te słowa.

– Zaiste tak powiedział – potwierdził ojciec Willibald. – „Idźcie w świat i nauczajcie mojej wiary wszystkich ludzi chrzcząc ich”. A także powiedział: „Ten, kto wierzy i zostanie ochrzczone, będzie zbawiony, ale ten, kto nie wierzy, pójdzie do piekła”.

– No słyszysz? – rzekł Orm. – Czy nie mówiłem?

Albo do piekła

Bez głowy,

Albo cię skropi

Chrztu woda.

– Wielki jest twój grzech i czarne zło w tobie siedzi – rzekł ojciec Willibald – ale tak jest u większości ludzi w tym kraju. Jeśli się jednak ochrzcisz, możesz być zaliczony do dobrych dzięki łasce Chrystusa, kiedy przyjdzie w chmurze, aby sądzić wszystkich. A już do tej chwili niedaleko.

– I jeszcze to wiedz – dodał Orm – że ręka Boga będzie z tobą, kiedy się ochrzcisz. A ręka ta jest silna, jak to sam miałeś sposobność zauważyć przy próbie porwania się na mnie i moje dobro. Nigdy jeszcze nie wiodło mi się tak dobrze jak teraz, od kiedy zacząłem się trzymać Chrystusa. A wszystko, co potrzebujesz zrobić, to wyrzec się starych bogów i w to miejsce powiedzieć tak: „Nie ma boga prócz Boga, a Chrystus jest jego prorokiem”.

– Nie jego prorokiem, ale jego synem – wtrącił surowo ojciec Willibald.

– Jego synem – poprawił się śpiesznie Orm. – Tak to ma być. Dobrze to wiem. Mówiłem w pośpiechu i język mi się pokręcił z powodu fałszywej nauki, którą wyznawałem ongiś u mego pana, Almanzora z Kordoby, kiedym mu służył w kraju Andaluzyjczyków. Ale to było dawno temu i mija już czwarty rok, odkąd jestem ochrzczony przez świątobliwego biskupa w Anglii. I odtąd też Chrystus ogromnie mi pomaga. Oddaje mi w ręce moich wrogów, tak że bezsilni są wobec mnie nie tylko ludzie tacy jak ty, ale nawet i sam król Sven. I wiele innego dobra jeszcze doznałem. Wprawdzie już się ze szczęściem urodziłem, ale mimo to teraz widać dużą różnicę.

– Nie mogę zaprzeczyć – przyznał Östen – że twoje szczęście większe jest od mego.

– Ale dopiero odkąd się ochrzcilem, sprzyja mi ono tak jak obecnie – ciągnął Orm. – Przedtem bowiem, kiedy znałem tylko starą wiarę, często wpadałem w wielkie opały i nawet spędziłem dwa lata jako niewolnik na galerach u Almanzora, przykuty łańcuchami do wiosła. Co prawda dostałem tam potem ten miecz, który tu widzisz i który jest najlepszą z broni. Sam Styrbjörn, znający się najlepiej na mieczach, wzięwszy go do ręki u króla Haralda przyznał, że nigdy nie oglądał lepszego. Ale nie mogę tego chyba nazwać wystarczającą zapłatą za tak ogromne trudy. Gdy później przyjąłem wiarę Andaluzyjczyków, jak mi to nakazał mój pan, Almanzor, zdobyłem naszyjnik, wielki skarb. Ale z powodu tego naszyjnika zostałem ranny, prawie śmiertelnie, w pojedynku w halli u króla Haralda, mimo że nosiłem dobrą andaluzyjską kolczugę. I bez pomocy tego oto biegłego w sztuce lekarskiej księdza umarłbym z ran. Aż wreszcie ochrzcilem się i dostałem pod panowanie Chrystusa. I wtedy spotkałem córkę króla Haralda, którą zaliczam do swoich największych skarbów. A teraz sam się przekonałeś, że Chrystus pomógł mi zdobyć wszystko, coś tu przywiózł na swoim wozie. I jeśli jesteś człowiekiem rozsądnym, zdołasz wyrozumieć, że nie stracisz, gdy się ochrzcisz, ale przeciwnie, dużo na tym zyskasz, choćby nawet nie liczyć za wielką rzecz tego, że zatrzymasz głowę na karku.

Było to najdłuższe kazanie, jakie Orm kiedykolwiek wygłosił, i ojciec Willibald chwalił go później, że zrobił to wcale nieźle jak na nowicjusza w tym zawodzie.

Wysłuchawszy słów Orma, Östen siedział przez dobrą chwilę pogrążony w myślach. Potem zaś rzekł:

– Jeśli prawdą jest to, co mówisz, zgodzę się z tobą, że wiara chrześcijańska nie przyniosła ci szkody, ale raczej pożytek. Albowiem już samo pozyskanie córki króla Haralda to bardzo wiele, a i ode mnie zdobyłeś niemało. Lecz chrześcijańscy niewolnicy w moich stronach nie mogą czegoś podobnego o sobie powiedzieć. I nie wiadomo jeszcze, jak to

będzie ze mną. Jedno chcę teraz wiedzieć. Co zamierzasz ze mną zrobić, jeśli zgodzę się na twoje życzenie?

– Puszczę cię wolno i pozwolę jechać, dokąd chcesz – odparł Orm. – A z tobą i twoim ludziami.

Z twarzy Östena nie znikła nieufność, w końcu jednak skinął głową na znak zgody.

– Muszę ci wierzyć, bo mówisz to przy świadkach – powiedział. – Niech więc będzie, jak chcesz. Ale w żaden sposób nie mogę zrozumieć, jaką korzyść możesz mieć z tego, że mnie ochrzczisz.

– To chyba słuszne, abym zrobił jakąś radość Bogu i Jego Synowi, skoro oni zrobili tyle dla mnie – odrzekł Orm.

V.

O WIELKICH CHRZCINACH I O TYM, JAK OCHRZCZONO PIERWSZYCH SMALANDCZYKÓW

Gdy pszczoły już się wyroiły i z łąk zwieziono pierwsze siano, nadszedł czas na wielką ucztę, którą Orm wydał na chrzciny syna. Uczta trwała przez trzy dni, tak jak sobie tego Orm życzył, i zyskała niebywały rozgłos, ponieważ przez cały czas jej trwania broń nie splamiała się krwią, i to pomimo iż wszyscy goście byli co wieczór pijani, tak jak to bywa tylko na przyjęciu u znacznego wielmoży. Jedyny wypadek, jaki się wydarzył, przytrafił się dwu młodzieńcom, którzy podchmieliwszy sobie pierwszego wieczoru, udali się do wielkich brytanów, aby się z nimi pobawić. Jeden z nich szybko wyszedł z powrotem, nie odnosząc innej szkody prócz paru zadrapań i porwanej odzieży. Drugiego natomiast, obalonego z nóg i srodze krzyczącego, wybawiły z tarapatów służebne dziewczki, z którymi psy były oswojone. Z trudem wywlokły go z zagrodzenia z pokaleczonymi ramionami i dłońmi i z odgryzionym jednym uchem. Bardzo się z tego śmiano, wychwalając ogromnie psy jako chlubę całej okolicy. Ale nikt już nie kwapił się więcej do zabawy z brytanami.

Osa i Ylva miały wiele kłopotu z przygotowaniem dla wszystkich noclegu, bo na chrzciny przybyło więcej gości, niż się spodziewano, a w tym dużo podrastającej młodzieży. I choć wielu ze starszych zasypiało co wieczora przy stołach albo na podłodze pod nimi i leżało tam później jak kłody przez noc, nie sprawiając żadnego kłopotu, mimo to wszędzie było bardzo ciasno. Młodzież radziła sobie dobrze. Albowiem dziewczyny chodziły spać na świeże siano do jednej stodoły, młodzieńcy zaś do drugiej. I choć niektórym trudno było znaleźć drogę do właściwej stodoły lub wytrzymać w niej przez całą noc, gdy już tam trafili, to jednak nie słyszano żadnych skarg w tej sprawie. Rankami dziewczęta zwierzały się cnotliwie szeptem matkom, jakie pomyłki przydarzyły im się w sianie, i otrzymywały od nich napomnienia, aby następnej nocy dobrze uważały, by nie kto inny potknął się o nie w mroku, bo mogłoby to ściągnąć na nie złą sławę. Potem zaś między rodzicami młodych odbywały się liczne rozmowy i układy, i siedem czy osiem nowych małżeństw zostało tak jakby postanowionych, jeszcze zanim skończyły się chrzciny. Orm i Ylva bardzo się z tego cieszyli, świadczyło to bowiem, że goście czują się u nich dobrze, i to zarówno młodzi, jak starzy. Tylko ojciec Willibald burczał cicho pod nosem, ale nie mieszał się wcale do tych spraw.

Poza tym jednak miał ojciec Willibald dużo do powiedzenia na tej uczcie. I od razu pierwszego dnia, gdy wszyscy zasiedli już przy stołach ustawionych w kościele i gdy

rozniesiono powitalne piwo, Willibald zapalił przed ołtarzem, gdzie ustawiono krzyż, trzy piękne, woskowe świece, odlane własnoręcznie przy pomocy Osy, i przemówił do zebranych o świętości miejsca, w którym się znajdują.

– Bóg, który tu włada – mówił – i który jest jedyny prawdziwy, jest Bogiem mądrości, siły i szczęścia. A dom Jego, do którego dane wam było wstąpić, jest Domem Pokoju. Jest to bowiem Bóg, który przynosi z sobą wielki spokój i daje z niego tym, co doń przychodzą. Przybyliście tu z mroków zabobonu, aby przez chwilę znaleźć się w Jego pobliżu. I do mroków zabobonu powrócicie znowu, wyszedłszy stąd, by tarzać się w grzechu i bujnie obrastać diabelstwem aż do końca waszych dni. I będziecie się zaliczać do obcych dla Boga. Ale choć co dzień robicie Mu na przekór w wielu rzeczach, nawet wobec was żywi Chrystus, Syn Boży, najdalej posuniętą miłość. I dlatego wolno wam było przyjść tutaj do Jego domu. Albowiem zaprawdę powiadam wam, że życzy On dobrze wszystkim ludziom i kiedy wędrował po tym padole, przemieniał wodę w szlachetny trunek, aby sprawić swoim przyjaciółom radość. Teraz jednak nadchodzi już niedługo kres Jego przyjaźni i dobroć Jego skończy się wnet dla tych, co się odeń odwrócili. A kiedy odczują Jego gniew, złe przyjdą na nich chwile. Gorsze niż dla owego wodza, o którym opowiadają pieśniarze, a który skończył w dole z węzami. I wszyscy chyba rozumiecie, że byłoby dla was dobrze uniknąć tego losu. Teraz jeszcze mówi On do wszystkich, aby oddali się w Jego opiekę i zostali przyjęci w poczet Jego sług przyjmując chrzest. Ale ci, którzy tego nie zechcą, sami będą sobie winni.

Zebrani słuchali słów ojca Willibalda ze skupieniem i szeptali pomiędzy sobą, że sporo z tego, co mówi, brzmi rozsądnie, choć co do innych znów rzeczy trudno się w tym wyznać. Najlepiej słuchali go starsi. Młodszy bowiem, i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie odwracali niemal oczu od Ylvy. A warto było doprawdy na nią patrzeć, bo rozkwitła teraz pełnią urody, zadowolona z wszystkiego i pełna życzliwości dla wszystkich. Nosila nową suknię, ze stanikiem wyszywanym srebrem i jedwabiem najlepszego gatunku, znalezionym w łubach Östena. A na szyi miała swój andaluzyjski klejnot. I z wielu spojrzeń można było odczytać, że taka kobieta i taki klejnot to coś, co nieczęsto można oglądać, a Orm widząc to promieniał z zadowolenia.

Gdy ksiądz skończył, Orm próbował nakłonić rozsądniejszych gości do przyznania, że ludzie mądrzy czynią najlepiej dając się ochrzcić. Ale jedyne, co osiągnął, to to, że kilku z nich przyznało, iż sprawa godna jest zastanowienia. A i później w ciągu dnia, kiedy już sobie podchmielili, nie chcieli powiedzieć nic więcej.

Następnego dnia wypadła niedziela. I ojciec Willibald pouczał znowu zebranych o boskiej pracy i odpoczynku, co uznali wszyscy za ciekawą opowieść, i o zmartwychwstaniu

Chrystusa w ten dzień święty, w co trudniej przychodziło im uwierzyć. Potem zaś ochrzczono w kościele Haralda, syna Orma. Podawała go do chrztu Osa, a ojciec Willibald dokonał całego obrzędu tak uroczysto, jak to było tylko możliwe, wygłaszając łacińskie modlitwy, które zagłuszyły krzyk dziecka i wprawiły zebranych w drżenie zgrozy. A po skończonej uroczystości wypito zdrowie na powodzenie nowochrzczeńca i ku pamięci wielkich bohaterów – Haralda Sinozębego, Svena o Szczurzym Nosie i Ivara Długorękiego, których krew płynęła w żyłach tego dziecka.

Wyszli potem całą gromadą z kościoła, aby przyglądać się chrztowi Smalandczyków, który miał się odbyć na dole nad rzeką. Östena i obu jego ludzi wypuszczono z łaźni i kazano im wejść do rzeki. Stali jeden obok drugiego po pas w wodzie, z obnażonymi głowami i ponurymi minami, a ojciec Willibald – na mostku przed nimi, mając obok siebie Rappa, który z dwoma oszczepami w ręku pilnował, aby nikomu nie przyszło do głowy uciekać.

Ojciec Willibald odmówił modlitwy głosem drżącym od szczęścia i zapału, był to bowiem dla niego wielki dzień. Następnie kazał im schylić głowy i polał jednego po drugim wodą nabieraną z rzeki czerpakiem. A potem pobłogosławił ich kolejno, jak stali, kładąc im obie dłonie na głowach, i pochyliwszy się, wycisnął każdemu pocałunek na czole.

Godzili się na wszystko bez szemrania i nie drgnął im nawet żaden mięsień w twarzy, jak gdyby mało uwagi zwracali na to, co robi Willibald. A już zupełnie nie zauważyli zebranych na brzegu rzeki widzów.

Kiedy po skończonej ceremonii wyszli z rzeki, Orm oświadczył im, że są wolni i mogą iść, dokąd chcą.

– Zanim mnie jednak opuścicie – dodał – pokażę wam jeszcze raz, jak postępuje prawdziwy chrześcijanin. Jest bowiem takie przykazanie, abyśmy my, którzy słuchamy Chrystusa, okazywali dobre serce także naszym nieprzyjaciołom, nawet takim, co nastawiali na nasze życie. I ja nie chcę być w tym gorszy od innych.

To rzekłszy polecił wydać im na drogę żywność ze stołu dla gości i dał też każdemu po jednym z ich własnych pociągowych koni.

– A teraz ostatecznie w spokoju – zakończył – i nie zapominajcie, że odtąd należycie do Chrystusa.

Östen spojrział na niego spode łba i po raz pierwszy tego dnia otworzył usta.

– Nie tak łatwo zapominam – rzekł powoli, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby bardzo był zmęczony.

Wsiadł na konia i bez słowa wyjechał ze swymi ludźmi za bramę, po czym znikli w lesie.

Goście rozsiedli się teraz znowu na ławach i uczta trwała dalej w radości i wielkim zgiełku, a gdy ojciec Willibald chciał opowiadać jeszcze więcej o wierze chrześcijańskiej, trudno mu było nakłonić zebranych do słuchania. Wołali, że teraz chcą posłuchać o przygodach Orma w obcych krajach i o jego zatargu z królem Svenem. I Orm zastosował się do ich życzenia.

Król Sven mało był lubiany w tych okolicach. Albowiem już tak było z ludźmi na pograniczu, że chętnie sławili zmarłych królów, lecz rzadko tylko znajdowali coś pochlebnego do powiedzenia o żyjących. Kiedy więc Orm opowiedział, jak to ojciec Willibald cisnął pewnego razu kamień w twarz królowi Svenowi, tak że rozbił mu usta do krwi i powybijał zęby, radość była ogromna i wszyscy śpiesznie napełniali dzbany, aby wypić na cześć małego księżyka. Wielu kołysało się w ławach, rycząc do łez i rozdziawiając gęby, inni znów nie mogli ze śmiechu przełknąć piwa, lecz prykali nim przed siebie i parskali. A wszyscy darli się wniebogłosy, że jeszcze nigdy nie słyszano, aby czegoś takiego dokonał taki mały nieborak.

– Duch boży działał przeze mnie – mówił ojciec Willibald. – Król Sven jest nieprzyjacielem Boga i dlatego został obalony moją słabą ręką.

– Słyszeliśmy – powiedział Ivar Smed, mąż otoczony powszechnym szacunkiem – że król Sven nie lubi wszystkich chrześcijan, a już najgorzej księży, i że zabija ich, gdzie tylko dopadnie. Łatwo to zrozumieć, gdy się wie, że dostał takiego łupnia z ręki księdza. Najgorsza to bowiem chyba obraza dla króla i trudna do zapomnienia.

– Szczególnie jeśli stracił przy tym zęby – dorzucił drugi poważny kmieć, imieniem Czarny Grim z Fjale. – Za każdym bowiem razem, gdy żuje skórkę od chleba lub ogryza barani udziec, przypomina sobie o szkodzie, której doznał.

– To prawda – wtrącił trzeci, niejaki Uffe Kuternoga. – Tak samo było ze mną, gdy stracił stopę pokłóciwszy się z sąsiadem, Thorvaldem z Laangaled. Rąbnął mnie w czasie rozmowy, a ja nie zdążyłem uskoczyć dość wysoko. I jeszcze długo potem, jak kikut się zaleczył, a ja już nauczyłem się chodzić o drewnianej kuli, czułem się stale zmęczony i bezsilny – czy to stojąc, czy siedząc, a nawet leżąc w łóżku. Może o tym zaświadczyć także i moja żona, bo przez długi czas żywot jej był tak smutny, jak gdyby była wdową. Ale kiedy w końcu szczęście się odwróciło i zobaczyłem Thorwalda leżącego przede mną na ścieżce z moją strzałą w gardzieli, poczułem natychmiast taki przypływ siły, że zrobiłem nad nim wielkiego susa, aż mało sobie nie złamałem zdrowej nogi. I odtąd nic mi już nie dolegało.

– To nie z powodu ojca Willibalda mój brat Sven zabija chrześcijan – odezwała się Ylva. – Zawsze żywił do nich wielką nienawiść, a już najbardziej od czasu, kiedy ojciec mój zaczął

ich chronić i sam dał się ochrzcić. Nawet na świątobliwego biskupa Poppona, najłagodniejszego ze wszystkich ludzi, nie mógł patrzeć, by nie szemrać przeciw niemu. Ale dopóki władzę miał ojciec, Sven nie ważył się na nic więcej. Dziś natomiast zabija biskupów i innych chrześcijan, gdzie ich tylko dopadnie, co dało się zresztą odczuć aż tutaj. I dobrze by było, aby dni jego nie trwały długo.

– Czasy zła często trwają długo – rzekł ojciec Willibald – ale na jeszcze dłużej starczy kara boska.

Przy drugim końcu stołu, gdzie siedziała młodzież i panował huczny gwar i paplanina, zaczęto teraz składać wiersze. I w ten to właśnie wieczór ułożono urągliwą piosenkę śpiewaną przez długi czas w leśnych okolicach tak na ucztach, jak i przy młócce i przewiewaniu zboża, a którą z czasem zaczęto nazywać starą pieśnią o królu Svenie. Rozpoczął młodzieniec zwany Gisle, syn Czarnego Grima. Był to rostry chłopak o ciemnych włosach i bladej twarzy, który, choć nic mu nie brakowało w głowie, odznaczał się nieśmiałością wobec dziewcząt, jakkolwiek te wcale odeń nie stroniły. Wszystkim jego krewnym wydawała się bardzo dziwna ta przypadłość, na którą nikt nie umiał znaleźć rady. Także i obecnie siedział Gisle cichy i onieśmielony, przykładając się głównie do jedzenia i picia, choć dobrze wiadano, że kiedy indziej potrafi obracać językiem nie gorzej od innych. Naprzeciw niego zajmowała miejsce dziewczyna imieniem Rannvi, kwitnąca dziewoja z zadartym noskiem i dołkiem w brodzie. Na jej widok młodzi ludzie łatwo wpadali w zamyślenie. Także i Gisle od samego początku uczyt wciąż rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, nie ważył się jednak do niej odezwać, okropnie zalękniony, gdy spojrzenia ich czasem się spotkały. Dziewczyna parę razy zadrwiła sobie z jego małomówności, ale nawet i to nic nie pomagało. Teraz jednak tęgie piwo dodało mu widać ducha i naśmiawszy się do rozpuku przy słuchaniu opowieści o bójce między królem Svenem a ojcem Willibaldem, zaczął kołysać się na ławie w przód i w tył, aż nagle rzekł donośnym głosem:

*Walczyłeś z księdzem raz
I z koniaś, królu Svenie,
Na głowę ciężko spadł,
Na ziemię, królu Svenie.*

– A to ci nowina! – zawołali najbliżsi. – Gisle jest skaldem. Układa piosenkę o królu Svenie. Ale to dopiero początek. Mów, jaki będzie dalszy ciąg!

Wielu zaczęło mu pomagać, ale niełatwo przychodziło ułożyć słowa tak, aby wszystko się zgadzało. I znów Gisle wpadł w końcu na to, jak ma być dalej, aby wszystko dało się śpiewać na nutę starej, dobrze znanej melodii:

*Wielkie mocarstwo twe,
Gdzie władasz, królu Svenie.
Potężnyś niczym Tyr,
Podobno, królu Svenie.
Lecz rozgniewany ksiądz
Kamieniem, w ciebie prastł
I z koniaś marnie spadł
Na ziemię, królu Svenie.*

– To skald! Ułożył prawdziwą piosenkę! – krzyтели ci, co siedzieli najbliżej. A najgłośniej z wszystkich krzyчала Rannvi.

– Słuchajcie, co się dzieje u młodych – mówili starsi. – Odkryli tam skalda pośród siebie. Syn Czarnego Grima ułożył piosenkę o królu Svenie. Kto by to się spodziewał? Czy to po tobie, Grim, ma on takie zdolności? A może to po kim innym?

– Posłuchajmy tej piosenki – powiedział Orm.

Gisle musiał więc podnieść się i powtórzyć swój utwór przed wszystkimi. I zrazu głos jego brzmiał niepewnie. Ale kiedy zauważył, że słuchaczom podoba się to, co stworzył, i że sam Orm kiwa do niego głową z zachętą, strach opadł z niego zupełnie i zdołał nawet spojrzeć w oczy Rannvi poskromiwszy nieśmiałość.

– Potrafię ułożyć więcej, i to jeszcze lepszych od tej – powiedział do niej z dumą, siadając.

Czarny Grim, jego ojciec, siedział uśmiechnięty i bardzo zadowolony i opowiadał sąsiadom, że i on za młodu czuł chwilami powołanie na skalda, choć potem inaczej wyszło.

– Niemniej – ciągnął dalej – dziwna to zaprawdę rzecz, bo chłopak jest nieśmiały, a najbardziej wystraszony bywa, gdy w pobliżu są dziewczęta, choć sam chciałby, żeby było inaczej.

– Dziewcząt nie będzie się potrzebował odtąd bać, wierzaj mi, Grimie – zauważyła Ylva. – Gdy bowiem okazało się, że jest skaldem, nie będzie się mógł teraz od nich opędzić. Nieraz słyszałam z ust mojego ojca, a był on pełen mądrości, że tak jak muchy krążą wokół

wszelakiego jadła i chętnie wszystkiego posmakują, ale wnet porzucają każdą rzecz, gdy tylko poczują dzban z miodem, tak samo jest i z dziewczętami, gdy w pobliżu znajdzie się skald.

Orm siedział z zatroskaną miną, wpatrzony w dno swego dzbana i głuchy na to, co wokół niego mówiono. Osa zapytała go, czy mu coś dolega, ale on tylko mruczał z roztargnieniem i nic nie odpowiadał na jej pytania.

– Jeśli go dobrze znam, układa wiersze – uspokajała Ylva – bo wtedy zazwyczaj tak wygląda. Już tak bowiem jest ze skaldami, że gdy ich się zejdzie dwóch, a jeden coś stworzy, drugi nie zazna spokoju, dopóki nie złoży czegoś, co zdaniem jego jest jeszcze lepsze.

Orm opierał się rękami o kolana i kołysał na ławie w przód i w tył. Wzdychał przy tym ciężko i mruczał coś głucho pod nosem. W końcu widocznie wszystko mu się zgodziło, bo kiwnął z ulgą głową i uderzył pięścią w stół, aby uciszyć wrzawę. Potem zaś wypowiedział następujący wiersz:

*Nie zowiesz ponoć mnie
Swym druhem, królu Svenie,
Źle pono życzysz mi
Wciąż jeszcze, królu Svenie.
Lecz radą na to mam,
Co Bóg i ostry miecz
W przyjaźni trwałej swej
Mi dali, królu Svenie.*

Ci, co jeszcze potrafili zrozumieć jego słowa, przyjęli je wielkim poklaskiem, on zaś łyknął głęboko z dzbana i znów odzyskał dobry humor.

– Zrobiliśmy dobrą rzecz – powiedział – piosenkę, która cieszy nas wszystkich, a która niezbyt by cieszyła króla Svena. Przy tym godne zapamiętania jest, że przy uczcie tej zasiada dwóch skaldów, choć nie wygląda na to, by było ich w tych okolicach zbyt wielu. A jeśli nawet my obaj nie jesteśmy jeszcze sobie równi jako skaldowie, to jednak ty, Gisle, też dobrze sobie dawałeś radę i dlatego piję do ciebie.

Kiedy jednak poprzez dym łuczywa zaczął wypatrywać Gisle przy końcu stołu, nie można go tam było odnaleźć i nie było go także pośród tych, co się stoczyli pod stół. Ponieważ jednak także i miejsce dziewczyny Rannvi stało puste, rodzice ich uznali za prawdopodobne, że obojgu im równocześnie zachciało się spać, i jako dobrze wychowana młodzież, odeszli od stołu, nikomu nie przeszkadzając.

Tegoż wieczoru ojciec Willibald uzyskał przy pomocy Osy i Ylvy obietnicę czterech kobiet z sąsiedztwa, że niedługo pozwolą mu ochrzcić swoje niemowlęta, jeśli chrzest odbędzie się uroczyście i w tej samej chrzcielnicy, w której chrzczono Haralda, syna Orma. Jednak nikt z gości nie chciał nic pewnego przyrzec co do własnego chrztu, mimo że dobrze sobie podochocili na uczcie. Toteż jakkolwiek Willibald spodziewał się czegoś więcej, musiał na razie się tym zadowolić.

Następnego, ostatniego dnia chrztu doszło do największego pijaństwa. Orm miał bowiem dużo jeszcze wędzonej baraniny i sporą część świeżo bitego wołu oraz dwie kadzie piwa dla gości, jak również małą beczułkę mocnego lipowego miodu, i zapowiedział, że ani jemu, ani gościom nie przyniesie zaszczytu, gdyby coś z tego zostało po zakończeniu biesiady. Gościom bardzo zależało na honorze własnym i gospodarza, obiecali więc zrobić co w ich mocy i wzięli się do tego ostro już od najwcześniejszych godzin porannych. I jak to dufnie zapowiedzieli, wytknęli sobie za cel, że i gospodarz, i ksiądz znajdą się pod stołem, nim wysączona zostanie ostatnia kropelka.

Orm wziął wtedy księdza na stronę, aby się poradzić, czy godzi się przed Bogiem ochrzcić pogan nieprzytomnych od pijaństwa.

– Gdy bowiem widzę, jak się zapowiada ten dzień – mówił – wydaje mi się, że pod wieczór dałoby się dzisiaj zrobić dużo dobrego.

Ojciec Willibald odpowiedział, że to ogromnie zawile pytanie, które już nieraz było przedmiotem wątpliwości wśród świątobliwych mężów przy dziele nawracania.

– Niektórzy podnoszą – mówił – że jest to dopuszczalne, gdy diabeł nazbyt jest uparty. I opierają się na tym, że gdy wielki cesarz Karol ochrzcił dzikich Sasów, którzy uporczywie trwali w swoich starych zabobonach, kazał nieraz pałąką ogłuszać najbardziej opornych, kiedy ich wleczono do chrztu, aby ukrócić ich gwałtowność i zapobiec bluźnierczemu wyciu. Nikt nie może zaprzeczyć, że i w ten sposób diabłu przysparza się przecież dużej przykrości, a to, czy opornych ogłusza się pałąką, czy też piwem, nie może robić znów tak wielkiej różnicy. Ale świątobliwy biskup Piligrim z Salzburga, który żył za czasów starego cesarza Ottona, inny miał pogląd na tę sprawę i pisał o tym w swym pełnym mądrości liście pasterskim. A mój bogobojny mistrz, biskup Poppon, zawsze powiadał, że to Piligrim ma słuszość. Gdyż może i prawdą jest – mawiał – że diabłu wyrządza się przykrość także i przez chrzczenie takich pogan, których ogłuszono, ale przykrość ta jest tylko chwilowa. Gdy bowiem przyjdą oni do przytomności i dowiedzą się o tym, co zaszło, to mimo mocy świętego sakramentu nikt nie potrafi się u nich dopatrzyć najmniejszej choćby oznaki miłości do Boga. Zamiast tego zaś otwierają natychmiast swoje serca diabłu jeszcze szerzej niż przedtem i pienią się na

Chrystusa i jego sługi jeszcze bardziej. Tak więc w końcu nie ma z tego korzyści ani błogosławieństwa i dlatego świątobliwi mężowie, których wymieniłem – a jest ich jeszcze wielu poza tym – powiadają, że chrzest nie powinien się odbywać przy użyciu takich środków.

– Musi chyba być tak, jak mówisz, skoro wiesz to od samego biskupa Poppona – zmartwił się Orm. – On bowiem rozumie się na tym najlepiej. Ale wielka szkoda, że tak jest.

– To wola boża – rzekł ojciec Willibald kiwając w zamyśleniu głową. – Za łatwym byłoby dla nas zadaniem chrzczenie pogan, gdybyśmy mogli to zrobić przy pomocy piwa. Potrzeba tu czegoś więcej – przekonywania, dobrych uczynków i ogromnej cierpliwości, a z tą ostatnią jest najtrudniej.

– Pragnę służyć Bogu najlepiej, jak potrafię – rzekł Orm. – Ale zupełnie nie wiem, jak można będzie wobec tego krzewić jego dzieło wśród moich sąsiadów.

Więcej już o tym nie mówili. A pijatyka trwała dalej w weselu i radości. Koło południa, gdy większość gości trzymała się jeszcze jako tako na nogach, zamężne kobiety udały się do syna Ylvy, aby według prastarego zwyczaju zanieść mu dary i złożyć życzenia. Mężczyźni zaś, którzy uznali, że trzeba się trochę przewietrzyć, rozpoczęli gry i zapasy na łączce przed domem. Przeciągali się więc, szepiwszy się zakrzywionymi palcami, brali za pasy, podnosili nawzajem na wyprostowanych przegubach i przekrzykiwali się wesoło, baraszkując i fikając koziołki. Nikt jednak nie podźwignął się przy tym ani nie skręcił sobie karku.

Wtedy to właśnie do Gröning przybyło czterech dziwnych żebraków.

VI.

O CZTERECH DZIWNYCH ŻEBRAKACH I O TYM, JAK MISTRZOWIE ERYNU DOPOMOGLI OJCU WILLIBALDOWI

Podeszli do wrót i poprosili o wodę i jedzenie. Wyglądali tak, jak przeważnie wyglądają żebracy wędrujący pieszo z workiem i o kiju. Ylva siedziała właśnie przed domem pogrążona w ważnej rozmowie z matkami Gisle i Rannvi. Tych dwoje bowiem przyszło do niej rankiem, wyznając z wielkim zadowoleniem, że jest im z sobą dobrze, i prosząc, by wstawiła się za nimi u rodziców, aby mogli się jak najszybciej pobrać. A Ylva chętnie obiecała im w tym pomóc. Gdy doniesiono jej, że przed wrotami stoją żebracy, poleciła przywołać Orma. Z jego rozkazu bowiem nie wolno było wpuszczać do gródka nikogo obcego, dopóki on sam na to nie zezwolił.

Orm wypytywał wędrowców dokładnie, a oni chętnie odpowiadali na jego pytania. Nie wyglądali mu jednak na zwyczajnych żebraków. Przewodził im rostry, szeroki w barach mężczyzna o dobrej tuszy, z siwiejącą brodą i kłującymi jak szpilki oczyma, bystro patrzącymi spod szerokiego kapelusza. Gdy się poruszał, pociągał za sobą jedną nogę, jak gdyby była sztywna w kolanie. Mówił głosem tubalnym i poznać było po akcencie, że pochodzi ze swijskich okolic. Powiadał, że przybywają z Zelandii i zmierzają na północ, na drugą stronę granicy. Jakiś rybak przewiózł ich przez Sund, a od Landore wędrują żebrząc o chleb na drogę.

– Ale dziś nic jeszcześmy nie jedli – ciągnął – bo daleko tu od osiedla do osiedla. Tam zaś, gdzie popasaliśmy ostatnio, nie dostaliśmy nic do worka na drogę.

– Mimo to niezły masz brzuch jak na żebraka – zauważył Orm.

– Dużo jest siły w duńskich i skańskich naleśnikach – odrzekł z westchnieniem grubas – ale chyba chudszy będzie dla mnie dalszy ciąg wędrówki. I zapewne stanę się o wiele szczuplejszy, nim dotrę do Malaren.

Tuż za grubasem stał młody, smukły mężczyzna, o bladej cerze. Policzki i brodę pokrywał mu czarny i krótki, ale bardzo gęsty zarost. Orm przyjrzał mu się bliżej.

– Można by myśleć, żeś był golony na księdza – rzekł w końcu. Szczupły mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Osmaliłem sobie brodę piekąc raz rybę na wietrze – tłumaczył się – i jeszcze mi dotąd nie odrosła.

Najdokładniej lustrował Orm dwóch pozostałych przybyszy i w żaden sposób nie mógł się w nich rozeznac. Wyglądali na braci, obaj bowiem byli dziwnie mali i chudzi, mieli długie uszy i wydatne nosy i obaj patrzyli nań mądrymi, brunatnymi jak u wiewiórki oczami. Mimo że tacy niewielcy, robili wrażenie silnych i żylastych. Z przekrzywionymi głowami przysłuchiwali się ujadaniu wielkich brytanów i nagle jeden z nich wsadził do ust palec i wydał z siebie gwizd, miękki i wibrujący jakimś szczególnym tonem. Na ten dźwięk psy natychmiast przestały ujadać i słychać było tylko ich przyjazne skomlenie.

– Czyście trolle, czy tylko czarnoksiężnicy? – spytał Orm.

– Nie tacy znów, jak byśmy chcieli – odparł jeden – bo jedzenia nie potrafimy wyczarować, choćbyśmy byli nie wiadomo jak głodni.

Orm nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Jadła wam nikt nie odmówi – rzekł – a wasza sztuka czarnoksięska nie może być zbyt niebezpieczna w biały dzień. Ale takich żebraków, jak wy, tom jeszcze nigdy nie oglądał. Uciszyć moich psów nie potrafi nikt obcy, a czasem nawet ja sam.

– Nauczmy cię tej sztuki – rzekł drugi karzeł – gdy dostaniemy jeden suty posiłek do żołądka, a dwa do worka na drogę. Włóczyliśmy bez pana i ziemi i dlatego rozumiemy się na psach lepiej od innych.

Orm zapewnił ich, że nie odejdą od niego z pustymi torbami, i zaprosił, aby weszli do wnętrza.

– Przychodźcie tu w szczęśliwej dla siebie chwili – mówił – w toku wielkiej biesiady. Powinno więc znaleźć się dla was pod dostatkiem wszelkiego jadła. Ale dobrze by było dla biesiadników, gdybyś ty, który umiesz tak dobrze gwizdać, umiał także grać na jakimś instrumencie.

Obaj mali ludkowie spojrzeli na siebie i mrugnęli, ale nie rzekli ani słowa. Następnie wszyscy czterej weszli za Ormem do gródka, on zaś zawołał do Ylvy:

– Przyprawiam ci podróżnych, wielkich i małych, którzy nie wzgardzą miską twego świętecznego jadła!

Ylva oderwała się na chwilę od rozmowy i z roztargnieniem skinęła głową. Wzrok jej padł przy tym na obu karłów. Zrobiła ze zdziwienia wielkie oczy i poderwała się z ławy.

– Toż to mistrzowie Erynu! – wykrzyknęła. – Felimid i Ferdiad! Kuglarze mego ojca! A więc jeszcze żyjecie?! Na miłość boską, biedni moi przyjaciele, dlaczego to wędrujecie żebrząc? Czyście już za starzy na wasze sztuczki?

Także i obu karłów zaskoczyło to spotkanie. Ale zaraz się uśmiechnęli, odrzucili kije i żebracze torby, zrobili kilka kroków w kierunku Ylvy i obaj naraz fiknęli kozła. Jeden stanął

na rękach i skakał tam i nazad, popiskując wesoło, drugi zaś zwinął się w kłębuszek i potoczył pod stopy Ylvy. Potem szybko stanęli znowu na nogi i z niewzruszonym spokojem uklonili się jej po dworsku.

– Nie jesteśmy jeszcze za starzy – odezwał się jeden z nich – jak to możesz sama ocenić, ty najpiękniejsza z córek króla Haralda. Musisz bowiem wiedzieć, że wiek oszczędza takich jak my mistrzów. A przecież dość sporo już upłynęło czasu od chwili, kiedy siedząc na kolanach swego ojca przyglądałaś się po raz pierwszy naszym sztukom. Tylko że dzisiaj jesteśmy o wiele bardziej głodni niż wtedy.

Tymczasem zaczęli się zbiegać goście – mężczyźni i kobiety – aby zobaczyć tych dziwnych żebraków, co umieli skakać na rękach. Ylva jednak oświadczyła, że przybysze muszą się najpierw w spokoju najeść i napić do syta i że będą podejmowani tak jak inni goście. Zaprowadziła ich od razu do domu i kazała przed nimi postawić wszystko, co było najlepszego z jadła i napojów, a ich nie trzeba było zbytnio zapraszać, aby się zabrali do jedzenia. Także obie bliźniaczki wraz z swoim towarzyszem zabaw wcisnęły się za nimi do izby i cała trójka, stłoczona w kącie, cicho oczekiwała, by mali ludkowie znowu rozpoczęli swoje sztuczki.

Orm zaś wyjaśnił zebranym przed domem gościom, kim są owi dziwni żebracy.

– To kuglarze króla Haralda – mówił – ludzie dziś bezpańscy. Pochodzą z Irlandii i wielkie mają imię w świecie. Oglądałem ich, gdym święcił Jul u króla Haralda, ale wtedy wystrojeni byli w pióra i błyskotki i dlatego ich zrazu nie poznałem. Nie wiadomo, dlaczego włączą się po świecie, udając żebraków, ale kiedy znów zasiądziemy do piwa, opowiedzą nam pewnie o tym.

Gdy przybysze najedli się już do syta, kuglarze nie mieli nic przeciwko temu, aby wziąć udział w pijatyce, która po chwili wytchnienia miała zacząć się na nowo. Obaj ich towarzysze siedzieli jednak osowiali przy pustych miskach i mówili, że odczuwają wielkie zmęczenie po trudach wędrówki i obfitym posiłku. Toteż ojciec Willibald zaprowadził ich do swojej izby, żeby się tam wyspali w spokoju. Potem zaś wziął obu kuglarzy na bok i rozmawiał z nimi poważnie przez dobrą chwilę, a nikt im nie przeszkadzał w rozmowie. Znał ich od dawna, jeszcze z dworu króla Haralda, i wszyscy trzej radzi byli ogromnie, że znów mogli się zobaczyć.

Gdy biesiadnicy zasiedli z powrotem przy stołach w kościele, obu kuglarzom przypadło miejsce obok ojca Willibalda. Od razu skupili na sobie powszechną uwagę. Wszyscy pałali ogromną chęcią zobaczenia ich sztuczek, i to możliwie jak najrychlej. Ale oni siedzieli w milczeniu i siorbali piwo, nie troszcząc się wcale o prośby, którymi ich zasypywano.

Orm rzekł wówczas:

– Nieładnie by było, abyśmy nalegali na was, żeby zobaczyć jakieś dowody waszej sztuki. Macie bowiem prawo być zmęczeni po wędrówce, tutaj zaś nie żąda się żadnej odpłaty za gościnność. Ale to prawda, że chcielibyśmy nacieszyć się tym, że tacy mistrze przybyli na naszą biesiadę. Wiem dobrze, że obaj słyniecie szeroko. I zawsze słyszałem, że nikt na świecie nie może się mierzyć z irlandzkimi kuglarzami.

– Dobrze słyszałeś, hövdingu – odparł na to jeden z karłów. – I mogę ci jeszcze powiedzieć, że nawet w Irlandii nie znajdziesz słynniejszych sztukmistrzów niż my obaj – ja, Felimid O’Flann, i mój brat Ferdiad, który mi we wszystkim dorównuje. Tradycja królewskich kuglarzy utrzymuje się w naszym rodzie od czasów, gdy nasz praszczur Flann Długouchy ongiś pokazywał sztuczki kuglarskie przed konungiem Conchobarem Mac Nessą z Ulster i przed rycerzami Czerwonej Gałęzi z Emain Macha. I dla wszystkich nas z rodu Flanna Długouchego stało się z czasem zwyczajem i prawem, że od chwili gdy kończymy wykształcenie w naszej sztuce i nabywamy prawo nazywania się mistrzami kuglarstwa, wolno nam błaznować tylko przed ludźmi królewskiej krwi. A wieżcie wszyscy, że rozweselenie królów to nie tylko najcięższy z wszystkich zawodów, ale także i taki, który na tym świecie przynosi ludziom największy pożytek. Albowiem ponury król i jego drużyna dręczeni nudą stają się niebezpieczni dla otoczenia. Kiedy jednak zręczni kuglarze dają im rozrywkę i uciechę, król z drużyną siedzą śmiejąc się przy piwie i idą zadowoleni spać zostawiając w spokoju sąsiadów i poddanych. Po księżach więc – na nas to właśnie spada najważniejsze zadanie, bo księża dają szczęście niebiańskie dzięki swojej pomocy u Boga, my zaś dajemy ziemskie dzięki naszej władzy nad humorem królów. A ponieważ w Irlandii wielu jest królów, toteż i kuglarze są tam najlepsi na świecie i najrozmaitszego rodzaju. Są tam więc trefnisie i błazny, brzuchomówcy i naśladowcy zwierząt, sztukmistrze, magicy i tacy, co umieją wykręcać ciało i oblicze, połykacze mieczy i mistrze w sztuce tańczenia wśród rozsypanych jajek, a także i tacy, co umieją wypuszczać ogień przez nozdrza. Prawdziwym jednak mistrzem kuglarstwa jest ten, który zna nie jedną lub dwie sztuczki, lecz wszystkie. A mądrzy ludzie w Irlandii uważają, że najlepsi spośród nas prawie w niczym nie ustępują trzem kuglarzom króla Canairesa z dawnych dni, o których wieść głosi, że kto ich oglądał, nie mógł powstrzymać się od śmiechu, choćby nawet miał przed sobą zwłoki ojca lub matki.

Cisza zrobiła się przy stole i wszyscy słuchali chciwie słów mówiącego lub też gapili się na jego brata, który siedział z obojętną miną, poruszając wolno długimi uszama. I wszyscy byli zgodnego zdania, że ludzi do nich podobnych nigdy jeszcze nie oglądano w tych okolicach.

– Dobrze mówisz – odezwał się w końcu Gudmund z Uvaberg – ale niemniej trudno uwierzyć w twoje słowa. Skoro bowiem obaj jesteście tak wielkimi mistrzami w swoim kraju, to dlaczego przybyliście tu, na Północ, gdzie mało jest królów?

Felimid uśmiechnął się i skinął z uznaniem głową.

– Słusznie pytasz – rzekł – gdyż Irlandia to kraj, którego nikt nie porzuca dobrowolnie. I chętnie opowiem, jak wywędrowaliśmy stamtąd, jakkolwiek to, co opowiem, może wyglądać na samochwalstwo. Wiecie zatem, że my obaj, mój brat i ja, jesteśmy wygnańcami z powodu wielkiego czynu, którego nikt prócz nas może nie zdołałby dokonać. Kiedy jeszcze byliśmy zupełnie młodzi, ale już w pełni biegli w naszej sztuce, przebywaliśmy jako kuglarze u zacnego króla Domnala z Leighlin. Był to mąż, który lubił żart i muzykę, słowo Boże i sagi bohaterskie, sztukę skaldów, powaby kobiece i mądrość starców. A nam okazywał wiele zaszczytów i wynagradzał sownie, dając srebro i krowy oraz znakomite pastwiska. Toteż kochaliśmy go wielce i dobrze nam było u niego, a naszą jedyną troskę stanowiła obawa, aby nie wpaść w otyłość z dobrobytu, bo to jest najgorsze, co się może przytrafić w naszym fachu. Sąsiadem króla Domnala był król Colla z Kilkenny, człek niebezpieczny, pełen pychy i biegły w knuciu spisków przeciw sąsiadom. Nadeszły Zielone Święta, hucznie obchodzone u króla Domnala, i wiele spadło roboty na jego księży, skaldów, a także i na nas. Król bowiem wchodził w związki małżeńskie z Emer, córką konunga Cashelu. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać królewska narzeczona. Oczy jej były jasne, cera jak krew z mlekiem. Piersista, wąska w pasie jak osa i szeroka w biodrach. Warkocze miała tak długie, że mogła na nich siadać. Nawet ty, Ylvo, nie wiedziałabyś, która z was piękniejsza, gdybyście się z sobą spotkały. Cieszyli się z tego ożenku nie tylko król, ale cała jego drużyna, i uczta była ogromnie wesoła. A na drugi dzień wieczorem, gdy wszyscy już byliśmy pijani, napadł na nas król Colla. Król Domnal został zabity, gdy nago odcinał się napastnikom przy drzwiach swej alkowy, a wielu z jego drużyny padło wraz z nim. Królową zaś porwano ze ślubnego łoża i uprowadzono wraz z resztą łupu. Także i nas obu zabrali ze sobą napastnicy, gdyż sława nasza była wielka.

Na widok Emer mlasnął król Colla wargami i uśmiechnął się szeroko. A nas kazał zamknąć w swoim grodziszczu do czasu, gdy wyprawiać będzie wesele z tą, którą porwał. Mieliśmy, jak nam oświadczył, pokazywać sztuczki kuglarskie na uczcie weselnej. Zrazu odmówiliśmy, ponieważ ciążyła na nas żałoba po naszym zamordowanym panu. Kiedy jednak dowiedzieliśmy się, że za nieposłuszeństwo będą nas chłostać kolczastymi różgami, zgodziliśmy się i przyrzekliśmy pokazać najlepsze nasze sztuczki. I nikt nam chyba nie zaprzeczy, że przyrzeczenia dotrzyaliśmy.

Tu Felimid uśmiechnął się do swoich myśli i pokrzepił łykiem piwa. A zebrani przypili do niego wołając, że dobrze opowiada i że płoną z ciekawości, aby usłyszeć o tym znacznym czynie. On zaś skinął głową i ciągnął dalej:

– Kiedy stanęliśmy przed nim, król Colla siedział na swoim tronie już trochę pijany. I nigdy nie widziałem człowieka, który by tak bardzo był zadowolony z siebie i z wszystkiego, co go otaczało. Gdy nas zobaczył wchodzących, zawołał głośno do zebranych na sali, że oto teraz dwaj mistrzowie z Leighlin pokażą, na co ich stać w żartach i krotchwili. A młoda niewiasta, co siedziała obok niego w narzeczeńskim stroju, nie wyglądała również na smutną. Młode kobiety bowiem przywykają szybko do nowego mężczyzny, a król Colla wydawał się jej może jeszcze lepszym małżonkiem niż nasz pan, król Domnal. Zaczęliśmy od prostych, choć dobrze wypowiedzianych żartów i od sztuk, które stanowiły dla nas chleb powszedni. A król Colla w tak świetnym był humorze, że natychmiast wybuchnął śmiechem, a za nim cała sala. I gdy Ferdiad stanął na głowie i zaczął w tej postawie grać na flecie, podczas gdy ja skakałem dookoła niego jak niedźwiedź wydając głośne pomruki, zgiełk zrobił się ogromny, a król z szeroko otwartą gardzielą przechylił się w tył na swym krześle i oblał królową miodem z swego dzbana. Łapał powietrze jak ryba i wołał, że nigdy jeszcze nie widział podobnych kuglarzy. Wtedy nastawiliśmy uszu i opadły nas dziwne myśli, które mrucząc wymieniliśmy z sobą po kryjomu. Bo jeśli on nie widział jeszcze nigdy takich jak my kuglarzy, to my znów nigdy nie słyszeliśmy, aby ktoś się śmiał tak jak on przy takich łatwych sztukach, jakie dotychczas zdążyliśmy pokazać. Wzięliśmy się więc do trudniejszych, a król śmiejąc się rechotał jak całe gniazdo srok w maju, gdy słońce wyrzy z deszczowych oparów. Wówczas poczuliśmy się lepiej na duchu i zaczęliśmy pokazywać najtrudniejsze sztuczki i najbardziej zabawne krotchwile, od których brzuchy się trzęsą i szczęki wyskakują z zawiasów nawet ludziom przytłoczonym ciężką troską lub żalobą czy też dręczonym chorobą. A śmiech króla Colla rósł i wzmagał się coraz bardziej, aż w końcu brzmiał jak huczenie dziewiątej fali przypiływu przy wybrzeżu Donagal. I król poczerniał na twarzy i coś mu pękło we wnętrzu, tak że opadł na krzesło i już się nie podniósł. Wtedy spojrzeliśmy z Ferdiadem na siebie, kiwając porozumiewawczo głowami, i pomyśleliśmy o naszym panu, królu Domnalu, i o tym, że zrobiliśmy dla niego, co tylko było w naszej mocy. Królowa wykrzyknęła głośno z przerażenia. A gdy wszyscy rzucili się na pomoc – w stronę tronu, my zaczęliśmy się nieznacznie posuwać w kierunku drzwi. Zanim jednak do nich dotarliśmy, usłyszeliśmy wołanie, że król Colla nie żyje. Wtedy nie czekaliśmy już dłużej, lecz wymknęliśmy się i uciekli na północ, przez łąki i pastwiska tak szybko, jak ongiś biskup Asaph umykał przez pola koło Magh Slecht, gdy go ścigały

czerwone duchy. Dotarliśmy do króla Sigtrygga w Dublinie i sądziliśmy, że nic już nam nie grozi. Ale wysłańcy królowej Emer przybyli w pościgu za nami z jej posłannictwem. Oświadczyła Sigtryggowi, że stanowimy jej własność, gdyż odziedziczyła nas po swym poprzednim mężu, królu Domnalu, i że złością i diabelskimi sztuczkami pozbawiliśmy życia jej nowego małżonka przysparzając tym wiele szkody jej i jej dobrej sławie. Powinniśmy więc dać gardło. Ale udało się nam uciec na statek handlowy, którym dostaliśmy się do króla duńskiego Haralda. U niego zostaliśmy na stałe i wiodło nam się dobrze. I dopóki żył, nikomu nie opowiadaliśmy o tym, co się stało z królem Colla, gdyż nie chcieliśmy, aby się o tym król Harald dowiedział. Wtedy bowiem mógłby go oblecieć strach, że i jego skusimy do niebezpiecznego śmiechu.

Wielki gwar wszczął się dokoła stołu, gdy Felimid skończył swoje opowiadanie. Goście byli już pijani i wołali, że choć dobrze opowiada, nie tego pragną, lecz woleliby ujrzeć parę takich sztuczek, przy których król Colla zadławił się od śmiechu. A sam Orm też popierał tych, co się tego domagali.

– Wiecie dobrze, że od pierwszej chwili wzbudziliście ogromną ciekawość – powiedział do kuglarzy – a jeszcze bardziej wzrosła ona przez wasze opowiadanie. Więc nie potrzebujecie się niczego obawiać, gdyby ktoś udławił się od śmiechu. Taki bowiem byłby sam sobie winien, a moja ucztą godnie by się dzięki temu zakończyła i długo by o niej wspomniano na całym pograniczu.

– Jeśli zaś istotnie jest tak, jak mówicie – wtrąciła Ylva – że wolno wam pokazywać sztuki tylko przed osobami krwi królewskiej, to chyba ja powinnam wam wystarczyć równie dobrze, jak te małe irlandzkie króliki.

– Ale naturalnie – rzekł szybko Felimid. – Nikt nie ma więcej królewskiego majestatu od ciebie. Jest jednak coś, co stoi nam na przeszkodzie, i jeśli zechcecie mnie cierpliwie wysłuchać, opowiem, co to takiego. Musicie wiedzieć, że jeden z moich przodków, Felimid Koziobródka, po którym noszę swoje imię, zażywał największej sławy pośród kuglarzy w czasach, gdy konung Finachta Hulajdusza był królem królów Irlandii. On też pierwszy z naszego rodu przyjął chrześcijaństwo. Razu pewnego zdarzyło mu się, że będąc w podróży spotkał w oberży świętego Adamnana i zapalał wielką czią i podziwem dla tego świątobliwego męża przekonawszy się, że jest zaniejszy od niejednego króla. Zaczął więc błaznować na jego cześć i chwałę i podczas spożywania posiłku przez świętego męża pokazywał najlepsze i najtrudniejsze ze swoich sztuczek, aż z wielkiego zapału skręcił kark. A gdy tak leżał jak martwy, świątobliwy mąż domyśliwszy się, co się stało, podszedł doń i dotknąwszy jego szyi modlił się zań tak żarliwie, że przodek mój odzyskał przytomność

i przyszedł zupełnie do siebie, choć głowa siedziała mu już odtąd zawsze krzywo na karku. I z wdzięczności za to stało się odtąd zwyczajem w naszym rodzie, że oprócz królów i tych, co się od królów wywodzą, wolno nam pokazywać kuglarskie sztuki także przed arcybiskupem Cashelu i arcybiskupem Armaghu oraz przed opatem Clonmacnoise. Ale za to nigdy nie wolno nam pokazywać sztuk przed kimś, kto nie jest ochrzczony. Toteż nie możemy niestety spełnić waszej prośby, choćbyśmy nawet nie wiadomo jak chcieli.

Na te słowa Orm wybałuszył oczy na Felimida, wiedział bowiem dobrze, że to, co on mówił, jest kłamstwem, jako że pamiętał Jul u króla Haralda. Właśnie chciał coś powiedzieć, gdy ojciec Willibald rzucił nań tak groźne spojrzenie, że Orm nie odezwał się już ani jednym słówkiem.

– To chyba sam Bóg tak chciał – dorzucił spokojnie drugi kuglarz. – Możemy bowiem bez chępliwości powiedzieć, że wielu z najlepszych wojów króla Haralda przyjmowało chrzest głównie po to, aby nie byli zmuszeni wychodzić z halli, gdy pokazywaliśmy nasze sztuczki przed królem.

Ylva chciała coś wtrącić, ale Orm, ojciec Willibald i obaj kuglarze wpadli jej natychmiast w słowo, a przy stole panował już taki rwetes i zgiełk pijackich głosów, wyrażających wielki zawód, że nikt jej nie słuchał.

Orm powiedział:

– Mam nadzieję, że pozostaniecie u nas przez jakiś czas, abyśmy mogli napatrzeć się waszych sztuczek do syta, gdy goście się rozjadą. Bo my, domowi, jesteśmy już wszyscy dobrymi chrześcijanami.

Ale młodzież zaczęła coraz głośniejszą domagać, że chce zobaczyć kuglarzy, choćby nie wiadomo co trzeba było w tym celu zrobić.

– Ochrczycie nas, skoro nie ma innej rady – wołał jeden – i to natychmiast!

– Tak, tak! – przyłączyli się do niego inni. – Tak będzie najlepiej i niech to się stanie jak najprędzej.

Starsi śmieli się z tej młodzieńczej zapalczywości, niektórzy jednak jak gdyby się nad czymś zastanawiali i patrzyli na siebie z wahaniem.

Wtedy wskoczył na ławę Gisle, syn Czarnego Grima, i krzyknął:

– Ci, co nie chcą się ochrzcić, niech zaraz się wynoszą spać do stodoły, aby nie przeszkadzali!

Zapał rósł, a wołania przybierały coraz bardziej na sile. Ojciec Willibald siedział pochylony nad stołem i mrucał coś pod nosem, a obaj kuglarze z spokojnymi minami siorbali swoje piwo. Czarny Grim odezwał się:

– Nie wydaje mi się teraz, aby chrzest był czymś wielkim, i nie sędzę, by było tu się czego obawiać. Ale dzieje się tak dlatego, że wypilem dużo mocnego piwa i jestem rozochocony ucztą i rozgrzany wesołością przyjaciół. Inaczej może będzie, gdy wywietrzeją mi z głowy opary chmielu, a co dopiero, gdy pomyślę o śmiechu i docinkach sąsiadów.

– Twoi sąsiedzi są też tutaj – rzekł na to Orm. – Któż więc się będzie z ciebie śmiał i docinał, jeśli wszyscy zrobią tak jak ty? To już raczej wy wszyscy wyśmiewać się będziecie z ludzi nieochrzczonych, kiedy zobaczą, o ile poprawiło się wasze szczęście dzięki temu, żeście się dali ochrzcić.

– Może masz i słuszność – przyznał Grim. – Nikt bowiem nie może zaprzeczyć, że twoje szczęście należy do największych.

Podniósł się teraz ojciec Willibald i z rozpostartymi rękoma zaczął nad nimi odmawiać modlitwy po łacinie, a oni siedzieli cicho i bez ruchu słuchali jego słów. Wiele spośród kobiet pobladło i zaczęło drzeć. Dwóch pijanych mężczyzn powstało od stołu, nakazując żonom, by natychmiast wraz z nimi opuściły te gusła. Kiedy jednak one, wpatrzone i wsłuchane w ojca Willibalda, nie ruszyły się z miejsc, tak jak gdyby ich wcale nie słyszały, obaj mężowie usiedli i znowu zaczęli pić z pogrzebowymi minami, uznawszy widocznie, że zrobili wszystko, co było w ich mocy.

Wszyscy odczuli wielką ulgę, gdy ojciec Willibald skończył ze swoją łaciną, która brzmiała jak jakieś straszliwe zaklęcia. Zaczął on teraz mówić normalnym językiem o Chrystusie i jego mocy i dobroci oraz o jego gotowości przygarnięcia pod swoją opiekę wszystkich ludzi, nie wyłączając nawet ładacznic i rozbójników.

– Toteż – ciągnął – nie ma tutaj nikogo, kto miałby być wykluczony ze szczęścia, jakie daje Chrystus, gdyż jest to hövding, który zaprasza wszystkich do swojego stołu i dla wszystkich ma bogate dary.

Słuchacze bardzo się z tego ucieszyli, a niektórzy wybuchnęli śmiechem, każdy bowiem uważał za zabawne i bardzo słuszne, gdy sąsiadów nazywano rozbójnikami i ładacznicami, nie uważając oczywiście, że to się może odnosić i do niego.

– Mam więc nadzieję – mówił dalej ojciec Willibald – że gotowicie trzymać się Chrystusowej nauki przez całe wasze życie i rozumiecie, o co tu chodzi, a wasze postępowanie zmieni się odtąd na lepsze, stosownie do woli Chrystusa. No i że nigdy nie zwrócić się do innego boga.

– Tak, tak – rozległy się liczne niecierpliwie głosy. – Rozumiemy wszystko. A teraz śpiesz się, aby wreszcie można było zacząć sztuki.

– Jedno zobowiązanie przyjmujecie teraz na siebie, o którym zawsze musicie pamiętać – ciągnął niewzruszenie ojciec Willibald. – W przyszłości będziecie przychodzić do mnie, tu do tego kościoła Bożego, co drugą niedzielę albo przynajmniej co trzecią, słuchać woli Bożej i uczyć się nauki Chrystusa. Czy mi to obiecujecie?

– Obiecujemy! – odkrzyknięto gromko. – I dość już tego gadania! Czas ucieka i wnet zacznie się ściemniać.

– Dla waszych dusz byłoby najlepiej, gdybyście przychodzili co drugą niedzielę. Ci jednak, którzy mieszkają daleko, mogą przychodzić co trzecią.

– Stul już gębę, księżo, i ochrzczij nas! – darli się najbardziej niecierpliwi.

– Cicho! – ryknął na nich ojciec Willibald potężnym głosem. – To stare, podstępne diabły zabobonu kuszą was do wrzasków i wpadania mi w słowo. Spodziewają się bowiem, że przez to wyrządzą Bogu szkodę i potrafią zachować was w swojej mocy. Jeśli jednak wam mówię o przykazaniach Boga i Chrystusa, to wcale nie jest to jakieś niepotrzebne gadanie, tylko coś, czego musicie słuchać uważnie i w skupieniu. A teraz niech odejdzie od was wszelka nieczysta siła, tak abyście godni byli przyjąć chrzest.

Znów zaczął modlić się po łacinie, wolno i z taką surowością w głosie, że kilka starych kobiet zaczęło zawodzić i płakać. Nikt z mężczyzn nie ważył się wymówić słowa. Wszyscy siedzieli z otwartymi gębami, bojaźliwie wlepiając w księdza szeroko rozwarte oczy. Tylko dwóch zaczęło się niebawem kiwać i opuszczać głowy coraz niżej nad dzbanami, po czym obaj osunęli się pod stół, skąd natychmiast rozległy się przeciągłe pochrapywania.

Ojciec Willibald kazał teraz wszystkim podejść do chrzcielnicy, w której ochrzczono Haralda, syna Orma, po czym ochrzcił tam dwudziestu trzech mężczyzn i dziewiętnaście kobiet starszych i młodszych. Orm i Rapp wyciągnęli spod stołu nawet obu śpiochów i usiłowali doprowadzić ich do przytomności. Kiedy jednak to się nie udawało, zanieśli ich do chrzcielnicy i przytrzymali nad nią, dopóki pijacy nie zostali polani wodą tak jak inni, po czym złożyli ich w spokojnym kącie pozwalając dalej spać. Po skończonej ceremonii zapanowała powszechna wesołość. Mężczyźni i kobiety wykręcali wodę z włosów, wracając do stołu. A kiedy ojciec Willibald usiłował zakończyć swoje dzieło ogólnym błogosławieństwem, niewiele z jego słów można było usłyszeć w rozgwarze i hałasie.

– Nie ma tu takich, co by się bali paru kropel wody! – krzyczeli biesiadnicy dumnie i uśmiechali się z zadowoleniem.

– Już po wszystkim!

– Dawajcie kuglarzy! Niech skaczą dla nas, jak tylko potrafią! Kuglarze uśmiechnęli się nieznacznie do siebie i podnieśli się chętnie na to wezwanie, a w sali natychmiast zrobiła się

głęboka cisza. Oni zaś wystąpili naprzód i skłonili się dwornie przed Ylvą, jak gdyby była dla nich jedynym widzem. A potem przez długą chwilę trzymali zebranych w osłupieniu albo też wprawiali w niepohamowany śmiech. Fikali kozły w przód i w tył, bez pomocy rąk, spadając przy tym zawsze na nogi. Naśladowali głosy ptaków i zwierząt. Tańcząc na rękach, dęli w małe fujarki. Żonglowali dzbanami od piwa, nożami i mieczami. Ze swoich torb wydobyli też dwie wielkie pstrokato przyodziane lalki o zgrabnie rzeźbionych w drzewie twarzach starych bab. Wzięli je za ręce, Felimid jedną, a Ferdiad drugą, lalki nagle zaczęły z sobą rozmawiać, najpierw bardzo uprzejmie, potem miotając się i sycząc, a wreszcie łącząc się okropnie i obrzucając zniewagami wypowiedzianymi skrzeczącym głosem. Dreszcz przeszedł przez zebranych, gdy lalki zaczęły mówić. Kobiety szczękały zębami, a mężczyźni bledli i chwyтали za broń. Ale Ylva i ojciec Willibald, którzy znali te sztuczki od dawna, uspokajali gości, że to tylko zręczność kuglarzy i że nie ma w tym krzty niebezpieczeństwa. Sam Orm przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale szybko się opanował. I kiedy kuglarze przysunęli kukły bliżej do siebie, a te zaczęły wymachiwać ramionami i coraz krzykliwiej się lżyć, jak gdyby zaraz miały chwycić się za łby, porwał go taki śmiech, że aż Ylva przechyliła się ku niemu prosząc, aby się opamiętał i pomyślał, co się przytrafiło królowi Colla. Wtedy otarł łzy z oczu, popatrzył na nią i rzekł:

– Nielatwo myśleć o wszystkim, gdy człowiekowi wesoło. Ale nie sądzę, aby Bóg dopuścił, żeby mi się stało coś złego teraz, gdy tyle ma ze mnie pożytku.

Widać było jednak, że wziął sobie do serca przestrogę Ylvy. Zawsze bowiem łatwo wpadał w strach o swoje zdrowie.

Wreszcie kuglarze zakończyli swoje sztuki, mimo że widzowie wciąż ich bardzo zachęcali. Obeszło się też bez tego, aby ktoś udławił się ze śmiechu. Ojciec Willibald podziękował Bogu za łaskę i za wszystkie duszyczki, które mu było dane przywieść na łono Chrystusa. I na tym skończyły się wielkie chrciny u Orma. A następnego dnia o świtaniu wszyscy goście rozjechali się z Gröning do domów wśród rozmów o smakołykach, którymi ich podejmowano, i o wesołych sztuczkach kuglarzy.

VII.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY NOSIŁ MIECZ ZA KRÓLEM SWIJÓW, I O MAGISTRZE Z AKWIZGRANU I JEGO GRZECHACH

W gródku znowu zapanował spokój i cisza, jako że z obcych zostało już tylko czterech żebraków. Orm i jego domownicy zgodnie, orzekli, że przyjęcie wypadło lepiej, niż się tego można było spodziewać, i że Haraldowi Ormssonowi wyprawiono godne chrzciny, których nikt by się nie powstydział. Tylko Osa miała pewne zastrzeżenia, że żarłoczni goście pochłonęli większość domowych zapasów jada i napojów, co już samo w sobie było niemałym zmartwieniem.

– W piekarni nie zostało nic prócz jednej skrzyni chleba, a w oborze wygląda tak, jak gdyby grasowało tam stado wygłodniałych wilków. I mówię wam, że jeśli będziecie mieć więcej synów, nie wolno urządzać im takich chrzcin, bo zmarnujecie na to cały majątek. Nie będę zbyt narzekać, że tyle przetrwoniono tym razem, gdyż słuszną jest rzeczą, aby pierworodny został należycie uczczony. Ale dopóki nie doczekamy się nowego jęczmienia, dopóty będziecie dostawać do posiłków sam tylko podpiwek.

Orm napomknął, że niechętnie słucha sarkania z powodu spożytego jada.

– Ale myśl twoja jest trafna – przyznał zwracając się do Osy – a gderasz głównie ze starego przyzwyczajenia. Co zaś do podpiwka, to o ile wiem, i on nadaje się do picia.

– I weź jeszcze to pod uwagę, Oso – odezwał się ojciec Willibald – że ta uczta różniła się od innych. Przyniosła korzyść sprawie Chrystusowej i natchnęła pogan do przyjęcia chrztu. Dlatego nie należy ganić zbytku, z jakim się odbyły chrzciny, bo Bóg odda wam za to dziesięciokrotnie.

Osa przyznała, że to może usprawiedliwić wszystko. Ojcu Willibaldowi bowiem nie oponowała, nawet gdy była w najbardziej zjadliwym usposobieniu.

Jego zaś rozpierało szczęście, że dane mu było podczas tych chrzcin dokazać tak wielkich rzeczy i ochrzcić nie tylko wszystkich gości, ale także, jako pierwszemu z sług bożych, udzielić chrztu Smalandczykom.

– Zaiste mogę teraz powiedzieć – zwierzał się – że cierpliwość bywa nagrodzona i że nie na darmo poszedłem z wami do tego kraju. W ciągu tych trzech dni chrzcin czterdzieści siedem dusz otrzymało chrzest z mojej ręki. Co prawda nikt jeszcze nie przyszedł do mnie pędzony prawdziwą tęsknotą serca do Chrystusa, jakkolwiek wiele mówiłem o jego dobroci. Naszych gości skusili mistrzowie z Irlandii, a Smalandczyków ochrzciłem przemocą. Jestem

jednak przekonany, że gdyby sługa boży chciał czekać na tęsknotę serca u tego ludu, długie byłoby to jego czekanie. Z tego zaś, czego dokonałem, może wyniknąć dużo pożytku. Nie moja to jednak zasługa, że tak pomyślnie wszystko się ułożyło, lecz tych obu mistrzów z Irlandii. I z pewnością był to wyraźny palec Boży, że zostali tu zesłani we właściwej chwili, aby dopomóc w świętym dziele.

– Łatwo widzieć, że to tak jest – przyznała Osa.

– Najwyższy czas – rzekł Orm do przybyszów – abyśmy usłyszeli o was coś więcej. Ciekawi jesteśmy, dlaczego wy obaj, mistrzowie, wędrujecie po świecie w żebraczym przebraniu, kim są ci dwaj wasi towarzysze oraz jakie macie zamiary.

Rosły mężczyzna z brodą przetykaną siwizną obejrzał się dokoła siebie, po czym skinął głową i rzekł smutnym głosem:

– Nazywam się Spjalle i pochodzę z Uppsali. Towarzyszyłem królowi Erykowi we wszystkich jego wyprawach wojennych i dla swojej siły i wzrostu stawałem tuż obok niego, aby osłaniać go tarczą. Ale dziś wolny już jestem od tej służby. I jeden mam tylko cel – iść do Uppsali w żebraczej odzieży, z mieczem przywiązany do nogi.

Umilkł, a wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczegoż to nosisz miecz przywiązany do nogi? – zapytała Ylva.

– Dużo by można było o tym mówić – odparł Spjalle. – Być może jednak, że już i tak powiedziałem zbyt wiele, skoro ty, pani, jesteś siostrą króla Svena. Ale jedna wieść jest najważniejsza i najgorsza. Król Eryk, zwany Zwycięzcą, nie żyje.

Przyznali, że wielka to była doprawdy nowina, i chciwi byli usłyszeć coś więcej.

– A mnie nie potrzebujesz się bać, choć jestem siostrą króla Svena – uspokajała Spjalle Ylva. – Taka jest jego miłość braterska, że niedawno nasłał tu siepaczy, by nastawali na nasze życie. Czy to Sven zabił króla Eryka?

– O nie, nie! – odrzekł gniewnie Spjalle. – Wtedy i ja bym już nie żył. To od czarów zmarł król Eryk, wierzę w to głęboko. A rzucili je nań albo bogowie, albo żona królewska, zła kobieta z Westrogocji, Sigryda, córka Skoglar-Toste. Oby za to rwące potoki piekielnej rzeki wlokły jej ciało po ostrzach mieczów i jadowitych wężach! Z potężną flotą plądrował król Eryk Małe Wyspy, a niebawem zamierzał wyruszyć na króla Svena, który siedział w północnej Zelandii. Dobrze nam się wiodło i zadowoleni byliśmy ze swego losu. Kiedy jednak zawinęliśmy do Falster, zaczęło się nieszczęście. Tam bowiem omamiło coś króla i polecił obwieścić wojsku, że zamierza się ochrzcić. Mówił, że jego szczęście w wojnie z królem Svenem będzie wtedy większe i że pokona go ostatecznie. Skusili go zaś do tego kroku księża przybyli od Saksonów, co szeptali mu do ucha swoje rady. Wojsku nie bardzo

się to podobało, a rozsądni ludzie powiedzieli mu otwarcie, że nie godzi się królowi Swijów myśleć o takich marnościach, stosownych może dla Saksonów czy dla Dunów, ale nie dla niego. On jednak patrzył niechętnie na tych, co tak mówili, i szorstko im odpowiadał. A ponieważ wszyscy przywykli, że rozumiał się na wszystkim najlepiej i robił zawsze tak, jak chciał, nikt nie odezwał się już więcej w tej sprawie. Ale żona królewska, szalona Westrogotka, biorąca udział w naszej wyprawie z wszystkimi okrętami odziedziczonymi po ojcu, żywiła w sercu nienawiść do Chrystusa i tych, co mu służą, i nie pozwoliła królowi zamknąć sobie ust. Doszło do wielkiej kłótni, a w wojsku chodziły słuchy, iż królowa krzyczała, że ochrzczony król to widok politowania godny. Król zaś miał jej zagrozić chłostą, gdyby raz jeszcze otwarła usta w tej sprawie. Lecz na próżno już było mówić o chłości. Królowa powinna ją była dostać dawniej, i to nie raz. Doszło do wielkiego rozłamu w wojsku, tak że my, Swije, i ludzie królowej zaczęliśmy patrzeć na siebie wilkiem, obrzucać się wyzwiskami i chwytać często za broń, gdyśmy się gdzieś z sobą spotkali. A czary rzucone na króla taką miały moc, że zachorzał i leżał bez siły. I pewnego dnia wczesnym rankiem, kiedy prawie całe wojsko spoczywało jeszcze pogrążone we śnie, odpłynęła szalona córka Skoglar-Toste z wszystkimi swoimi okrętami. Wielu sądziło, że udała się do króla Svena, a i król tak uważał, gdy się o tym dowiedział. Nic jednak nie można było na to nieszczęście poradzić, a król tak osłabł, że nawet już prawie mówić nie mógł. Wielki strach padł na cały obóz i wszyscy hövdingowie chcieli co rychlej stamtąd odpłynąć. Doszło przy tym do wielkiej kłótni o królewskie skarby i o to, jak je podzielić między wojsko, aby nie wpadły w ręce króla Svena. A mnie zawołał król Eryk do łóża i kazał, abym zaniósł do Uppsali synowi jego miecz, prastary miecz królów swijskich, otrzymany od Froja i stanowiący ich największy klejnot rodowy. „Zanieś mój miecz do domu, Spjalle, i nie dopuść, aby gdzieś przepadł – mówił do mnie król Eryk. – W nim bowiem mieszka szczęście mego narodu”. A potem poprosił o wodę do picia i wtedy zrozumiałem, że już niedługo pociągnie. I rzeczywiście ten, którego nazywano Zwycięskim, umarł wkrótce potem nędznie na swoim łóżu. A zostało nas przy nim do śmierci tak niewiele, że ledwie nam starczyło sił na ułożenie pogrzebowego stosu. Ale sprawiliśmy się z tym, jak najlepiej się dało. Zabiliśmy też królewskich niewolników, a także dwóch księży i złożyliśmy u jego stóp, aby nie stanął przed bogami samotnie i niepocześnie. A kiedy stos jeszcze się dopalał, uderzyli na nas wielką przemocą mieszkańcy wyspy z wojennym okrzykiem. Wtedy szybko uciekłem, aby ocalić miecz i wraz z tymi oto trzema przepравиłem się na łodzi rybackiej do Skanii. A miecz niosę pod odzieżą przywiązany do nogi, aby go ukryć, jak tylko można najlepiej. Ale wciąż jeszcze nie potrafię zrozumieć, jak to będzie na świecie po śmierci Eryka, bo spośród wszystkich królów on był najdoskonalszy,

choć z powodu złej kobiety taki go spotkał koniec, że leży dziś daleko na wybrzeżu Falster, nie mając nawet kopca nad swoimi popiołami.

Tak mówił Spjalle, a wszyscy przyznali, że niepowszednie to nowiny.

– Złe czasy przysły na królów – odezwał się Orm. – Najpierw poszedł Styrbjörn, który był najsilniejszy, potem król Harald, który był najmędrzy, a teraz król Eryk, który był najpotężniejszy. A nie tak dawno doszły nas słuchy, że zmarła także wielka cesarzowa Teofano, władczyni Saksonów i Lombardów. Tylko mój szwagier, król Sven, o wiele gorszy od innych, nie umiera, lecz przeciwnie, wzrasta w siłę i bogactwo. Dobrze byłoby wiedzieć, dlaczego Bóg nie zsyła nań zagłady, a zabiera do siebie co lepszych królów.

– Ręka boska go dosięgnie, gdy przyjdzie na to pora – rzekł ojciec Willibald – tak jak dosięgnęła Holofernesa, któremu odcięła głowę Judyta, lub Sanheriba, władcę Asyryjczyków, zabitego przez synów u stóp bożka, kiedy mu cześć oddawał. Czasem jednak zło twarde ma żywot, a tu w tych północnych krainach diabeł silniejszy jest niż gdzie indziej. Dopiero co mieliśmy na to straszliwy dowód. Siedzi tu bowiem ten Spjalle i opowiada, że brał udział w zarzynaniu sług bożych u stosu pogrzebowego swego króla. Takiego diabelstwa nie ma nigdzie na świecie, tylko tutaj i u najgorszych spośród Wenedów. I niełatwo mi rozstrzygnąć, jak właściwie powinienem zachować się wobec takich postępków i wobec tych, którzy się ich dopuścili. Mógłbym ci powiedzieć, Spjalle, że będziesz za to smażył się w piekle na wieki, ale to byłoby za mało, bo do piekła pójdziesz i tak.

Spjalle obejrzał się niepewnie dokoła.

– W swej głupocie opowiedziałem, jak widać, za dużo – rzekł – i wzbudziłem gniew tego księdza. To jednak, cośmy zrobili, zgodne było z dawnym obyczajem i zawsze tak robiono przy grobie królów swijskich. A ty, o pani, rzekłaś mi, że nie znajduję się tu między wrogami.

– Nie jesteś między wrogami – powiedział Orm – i nie stanie ci się nic złego. Ale nie możesz się dziwić, że my, co wyznajemy Chrystusa, uważamy za zły postępek zabijanie księży.

– Są oni już w gronie świętych męczenników – dorzucił ojciec Willibald.

– Czy jest im tam dobrze? – spytał Spjalle.

– Siedzą po prawicy Boga i jest im stokroć lepiej, niż to sobie mogą wyobrazić ludzie.

– W takim razie stan ich bardzo się poprawił – rzekł Spjalle – bo u króla Eryka zaliczali się do niewolników.

Ylva parsknęła śmiechem.

– I wobec tego uważasz, że zasługujesz raczej na pochwałę niż na naganę za to, żeś dopomógł wysłać ich tam, gdzie się obecnie znajdują – powiedziała.

Ojciec Willibald spojrział na nią surowo i zgał mówiąc, że takie lekkomyślne słowa napawają go przygnębieniem.

– U bezmyślnej dziewczyny można by to jeszcze ścierpieć – mówił. – Ale dziś powinnaś mieć już więcej rozsądku, będąc stateczną mężatką z trojgiem dzieci i otrzymawszy staranne wychowanie.

– Wdałam się w ojca – tłumaczyła się Ylva. – A on nie bardzo się poprawił, choć miał wiele dzieci i choć dużoście go ty i biskup Poppon pouczali.

Ojciec Willibald potrząsnął głową i pogładził się powoli dłonią po ciemieniu, jak to robił zawsze, gdy rozmowa schodziła na króla Haralda. Miał tam bowiem wciąż jeszcze znak po krucyfiksie, którym zdzielił go raz w uniesieniu król Harald wyrwawszy mu go z ręki.

– Bezsprzecznie, król Harald wielkim był grzesznikiem – powiedział po chwili. – I niewiele brakowało, żebym został męczennikiem wtedy, gdy mnie uderzył. Ale pod wielu względami był on jednak podobny do króla Dawida, a najlepiej to widać, gdy go porównać z królem Svenem. I nie sądzę, aby mu się podobało, gdyby słyszał, jak córka jego żartuje, gdy mowa o mordowaniu księży.

– Grzeszni jesteśmy wszyscy, nawet ja – zauważył Orm. – Nieraz bowiem podnosiłem rękę na księży, gdy szturmowaliśmy miasta i palili kościoły w Kastyllii i Leonie. Chrześcijańscy księża walczyli przeciw nam dzielnie, mieczem i oszczepem, a pan mój, Almanzor, wydał rozkaz, aby ich zabijać przede wszystkim. Ale działo się to, zanim jeszcze przejrzałem, i dlatego wierzę, że Bóg nie będzie mi tak surowo liczył tego, co wtedy robiłem.

– Znalazłem się w lepszym towarzystwie, niż przypuszczałem – rzekł Spjalle.

Czwarty z przybyszów, blady młodzieniec o niewielkiej, czarnej bródce, siedział dotychczas cicho ze smutną miną. Teraz westchnął i zabrał głos:

– Wszyscyśmy grzeszni, to prawda. Nikt z was jednak nie dźwiga takiego brzemienia grzechów jak ja. Nazywam się Rainald, niegodny sługa Boży, i jestem kanonikiem u biskupa Ekkeharda w Szlezwiku. Ale urodziłem się w Zülpich, w Lotaryngii, i byłem poprzednio magistrem w szkole katedralnej przy kościele koronacyjnym w Akwizgranie. A tu przybyłem z powodu moich grzechów i mego nieszczęścia.

– Muszę przyznać – wtrącił Orm – że lepszych żebraków od was trudno znaleźć. Wszyscy bowiem macie coś do opowiedzenia. A jeśli twoja historia jest ciekawa, chętnie jej posłuchamy.

– Opowieści o grzechach są zawsze ciekawe – napomknęła Ylva.

– Ale tylko, gdy się ich słucha z powagą i aby się poprawić – dorzucił ojciec Willibald.

– Historia moja pełna jest powagi – rzekł smutno magister.

– Od dwunastego roku życia prześladowa mnie nieszczęście. W przydrożnej lepiance między Zülpich i Heimbach mieszka wróżka Radia, która przepowiada przyszłość. Do niej to zaprowadziła mnie matka chcąc wiedzieć, czy będzie mi się dobrze wiodło w szkole księży. Czułem bowiem wielkie powołanie, by zostać sługą Chrystusa. Wróżka ujęła moje dłonie i długo siedziała bez słowa z zamkniętymi oczyma, kołysząc całym ciałem i jęcząc tak, że umierałem ze strachu.

W końcu zaczęła mówić i powiedziała, że będę dobrym księdzem i że będzie mi się szczęście w wielu rzeczach. „Ale jedno nieszczęście nosisz w samym sobie – mówiła. – Trzykrotnie popełnisz ciężki grzech i drugi z twoich grzechów będzie cięższy od pierwszego, a trzeci najcięższy. Takie jest twoje przeznaczenie i nie możesz go uniknąć”. Więcej nie chciała powiedzieć ani słowa. Wracając od niej do domu, płakaliśmy oboje z matką. Chciałem bowiem zostać człowiekiem świętobliwym, a nie grzesznikiem. Poszliśmy do naszego starego księdza, aby się go poradzić, a on mówił, że szczęśliwy byłby ten, komu udałoby się wykpić tylko trzema grzechami. Ale mnie nie dały jego słowa wielkiej pociechy. Wstąpiłem później do seminarium duchownego w Akwizgranie i nie było kleryka chętniejszego do nauki i pilniejszego ode mnie. Nikt też nie bał się więcej grzechów. W nauce łaciny i liturgii przodowałem, a gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat życia, znałem na pamięć ewangelie i psalterz, a także większość listów do Tessalończyków i Galatów, które dla wielu okazywały się zbyt trudne. Toteż dziekan kapituły, Rumold, wielce mnie wychwalał i przyjął do siebie na diakona. Był to starzec o tubalnym głosie i wielkich wyłupiastych oczach, przed którymi wielu trzęsło się ze strachu. Ponad wszystko na świecie z wyjątkiem Kościoła Chrystusowego kochał on dwie rzeczy – wino z korzeniami i uczoność. Znał nauki tak trudne i rzadkie, że niewielu tylko słyszało ich nazwy – astrologię, mantykę i algorytm. I mówiono nawet, że potrafi rozmawiać z cesarzową Teofano w jej własnym, bizantyjskim języku. Za młodu bowiem przebywał na Wschodzie wespół z uczonym biskupem Liutprandem z Kremony i umiał o tym opowiadać przedziwne historie. Przez całe życie zbierał książki i miał ich ponad siedemdziesiąt. I często wieczorami, gdy zaniósłem mu do jego komnaty grzanego wina, pouczał mnie wuczonych sprawach albo też kazał mi czytać sobie głośno z dzieł dwóch starych poetów, które miał w swojej bibliotece. Jeden z nich nazywał się Stacjusz. Opiewał on trudnymi słowami dawne wojny między Bizantyjczykami pod miastem Teby. Drugi natomiast, który zwał się Ermoldus Nigellus, łatwiejszy był do zrozumienia. Ten sławił bogobojnego cesarza Ludwika, syna wielkiego cesarza Karola,

i opisywał jego wyprawy wojenne na pogan w Hiszpanii. Dziekan często krzychał lub nawet bił mnie laską, gdy myliłem się przy czytaniu Stacjusza. Mówił, że mam kochać tego pisarza i czytać go starannie, ponieważ był to pierwszy rzymski pisarz, który przyjął chrześcijaństwo. Chciałem mu dogodzić i uniknąć uderzeń laską, toteż starałem się, jak mogłem. Ale choć bardzo się starałem, nie mogłem zbyt pokochać tego autora. Dziekan miał jednak dzieła innego jeszcze poety i książka ta oprawiona była w piękniejszą od innych okładki. Czasem widziałem go, jak siedział nad nią, mrużąc coś pod nosem. Wtedy wyglądał na zadowolonego i posyłał mnie po więcej wina. Nigdy jednak nie kazał mi czytać sobie z tej książki. Toteż ciekawość moja rosła coraz bardziej i pewnego wieczoru, gdy dziekan był na wieczerzy u biskupa, wszedłem do jego sypialni, aby poszukać tej książki. Znalazłem ją w końcu w małej skrzyneczce pod ławą przy ścianie. Pierwszą rzeczą, na którą natrafiłem, była Reguła Magistri, to znaczy reguła świętego Benedykta, jak prowadzić życie bogobojne. Dalej znajdowała się tam pochwała czystości, napisana przez pobożnego męża z Anglii, imieniem Aldhelmus. Potem zaś następował długi poemat wykaligrafowany z największą starannością. Nazywał się Ars Amandi, co znaczy Sztuka Miłości, a napisał go pewien poeta z dawnego Rzymu, który zwał się Owidiusz i który na pewno nigdy nie został chrześcijaninem.

W tym miejscu magister spojrzał smutno na ojca Willibalda, a ten przytaknął mu w zamyśleniu.

– Słyszałem o tym utworze – rzekł – i wiem, że słynie wśród nieroztropnych mnichów i przemądrzałych mniszek.

– Jest jak napój sporządzony przez samego Belzebuba, a mimo to słodszy niż miód – mówił magister dalej. – Było to dzieło zbyt trudne, abym je zdołał w pełni zrozumieć, gdyż roi się od słów, których nie znajdziesz ani w ewangeliach, ani w listach apostołskich, ani też u Stacjusza. Ale zapal mój był równie wielki, jak mój strach. O treści tego poematu powiem tylko, że wypełniały go pieszczoty i rozkosz, czarowna melodia i wszelkiego rodzaju lubieżne zabawy, jakie tylko sobie można wyobrazić między mężczyzną a kobietą. Zrazu myślałem, że to ciężki grzech czytać coś takiego. Potem jednak, poduszczony przez diabła, szybko pozbyłem się skrupułów, rozumiejąc, że to, co czyta mądry dziekan, nie może być grzechem dla mnie. Ten hultaj Owidiusz wielkim był zaiste poetą, jakkolwiek całkowicie oddanym diabłu. I to dziwne, że wiersze jego same utrwały się w mej pamięci o wiele lepiej niż list do Galatów, mimo że nad tym ostatnim bardzo się natrudziłem. Czytałem, dopóki nie usłyszałem kroków dziekana przed domem. Tego wieczoru spuścił mi tęgie lanie swą laską za to, że zaniedbałem wyjść mu naprzeciw z latarnią i podpierać go w drodze do domu. Ale

niedużo sobie z tego robiłem, miałem bowiem co innego w głowie. Jeszcze dwukrotnie, pod jego nieobecność, zakradałem się do komory, aż przeczytałem poemat do końca. Od tego czytania dokonały się we mnie wielkie zmiany i odtąd stale chodziłem z głową pełną grzechu i pięknych wierszy. Dzięki mojej uczoności zostałem magistrem w szkole katedralnej i wiodło mi się dobrze, dopóki pewnego razu nie zostałem wezwany przed oblicze biskupa. Oznajmił mi on, że bogaty kupiec Dudo z miasta Maastricht, mąż znany z pobożności, który ofiarował kościołowi wielkie dary, życzy sobie mieć u siebie bogobojnego i uczonego księdza, który wychowałby mu syna w chrześcijańskich cnotach, a także uczył pisania i rachowania. I biskup wybrał do tego właśnie mnie, ponieważ dziekan uważał mię za jednego z najlepszych spośród młodych kleryków i za jedyne, który znał się coś niecoś na trudnej sztuce rachowania. Aby mógł także odprawiać w domu kupca nabożeństwa, wyświęcił mnie dobry biskup na prezbitera z prawem słuchania spowiedzi, po czym udałem się natychmiast do miasta Maastricht, gdzie czekał na mnie diabeł.

Tu młodzieniec przerwał i z głośnym jękiem schwycił się oburącz za głowę.

– Opowiadanie twoje nie było dotychczas zbyt ciekawe – zauważył Orm – ale może teraz się poprawi. Posłuchajmy, jak się odbyło to twoje spotkanie z diabłem.

– Nie spotkałem go w postaci cielesnej – ciągnął dalej magister – ale i bez tego było wystarczająco źle. Kupiec Dudo mieszkał w wielkim domu nad rzeką. Przyjął mnie życzliwie. Co dzień rano i wieczorem odprawiałem modły na intencję jego rodziny. Pilnie nauczałem jego syna i sam Dudo godzinami się temu przysłuchiwał. Był to bowiem zaiste pobożny człek, który często nakazywał mi nie szczędzić różeczki wobec jego syna. Żona jego nazywała się Alchmunda, a w domu znajdowała się jeszcze ponadto jej siostra, wdowa imieniem Apostolika. Obie kobiety były jeszcze młode i piękne dla oka. Zachowywały się cnotliwie i obyczajnie i chodziły powoli ze spuszczonej oczyma, a w porach modlitwy nikt nie przejawiał większej pobożności niż one. A choć rozpustny Owidiusz tkwił mi wciąż jeszcze w duszy, nie bardzo się ośmielałem na nie spojrzeć i nigdy z nimi nie rozmawiałem. I wszystko szło dobrze, dopóki kupiec nie wybrał się w daleką podróż handlową na Południe, do Lombardii. Przed odjazdem wyspowiadał się i ślubował bogate dary dla kościoła za szczęśliwy powrót. Wziął też ode mnie obietnicę, że co dzień będę odprawiał modlitwy na jego intencję, i wezwał do dobrego sprawowania się wszystkich domowników, po czym odjechał ze swym orszakiem. Żona kupca i jej siostra płakały bardzo przy pożegnaniu, ale płacz ten ucichł szybko po rozstaniu i niebawem zaczęły się zachowywać inaczej niż przedtem. W porach modlitwy odprawianej wraz z domownikami nadal okazywały pobożność. Ale chętnie przychodziły teraz przysłuchiwać się lekcjom, które prowadziłem

z moim wychowankiem. Siedziały wtedy szepcząc między sobą, z oczyma wlepionymi we mnie, albo też polecały memu uczniowi iść się pobawić lub odpocząć mówiąc, że chcą się mnie poradzić w ważnych sprawach. Dziwiły się wielce, że tak jestem poważny mimo swej młodości, a pani Apostolika zapytywała, czy to prawda, że wszyscy młodzi księża boją się kobiet. Mówiła także, że można je teraz uważać za wdowy w żałobie i że doprawdy potrzebują pociechy i otuchy. Wyznały mi dalej, że obie chcą przed Wielkanocą wyspowiadać się ze swoich grzechów, a Alchmunda pytała, czy mam prawo udzielać rozgrzeszenia. Odparłem, że biskup dał mi na to pozwolenie, albowiem dom ich znany jest z wielkiej bogobojności, tak że niewiele tam może być do spowiadania. Usłyszawszy to, plasnęły w dłonie z wielkiej radości, że mną zaś zaczął teraz diabeł igrać na dobre i te dwie kobiety coraz więcej zajmowały moje myśli. Aby nie narazić na szkodę dobrej sławy, nie wolno im było wychodzić samym na miasto. Dudo zakazał tego najsurowiej i polecił stróżowi, aby pilnował przestrzegania tego zakazu. To było powodem, że zwróciły oczy na mnie i zaczęły mnie kusić do grzechu. Powiniennem był być stanowczy i napomnieć je surowo albo też natychmiast usunąć się z ich widoku, jak to zrobił mąż Boży, Józef, w domu Putyfara. Ale Józef na pewno nie czytał nigdy Owidiusza i dlatego było mu łatwiej niż mnie. Gdy patrzyłem na nie, spojrzenia moje już nie były czyste i bogobojne, ale grzeszne i pożądliwe, i aż drżałem cały, gdy się do mnie zbliżały. Mimo to – młody i niedoświadczony – nie ważyłem się na żaden śmielszy krok. Lecz te kobiety, podobnie jak i ja pełne grzesznych myśli, a o wiele bardziej zuchwałe, nie straciły z tego powodu odwagi. I pewnej nocy, gdy leżałem pogrążony we śnie w swojej izdebce, zbudziłem się w chwili, gdy do łoża mego wślizgnęła się jakaś kobieta. Ogarnął mnie taki strach i radość, że nie mogłem wymówić ani słowa. A ona zaczęła szeptać, że bardzo się boi, bo nadchodzi burza. Równocześnie zarzuciła mi ramiona na szyję i z zapalem zaczęła mnie całować. W blasku błyskawicy zobaczyłem, że była to Apostolika. I choć kiedy indziej sam bardzo się bałem burzy, teraz nie miałem czasu, aby o tym pomyśleć. Po chwili jednak, kiedy zażyłem już z nią rozkoszy o wiele słodszej od wszystkiego, co opiewał Owidiusz, usłyszałem, że burza zbliża się coraz bardziej. Wtedy obleciał mnie wielki strach i czekałem, aż Bóg natychmiast porazi mnie piorunem. Ale nic podobnego się nie stało. A następnej nocy, gdy przyszła do mnie Alchmunda, równie żarliwa jak jej siostra, nie było słyhać żadnej burzy, a żądza ponosiła mnie tak, że oddałem się grzesznym rozrywkom z zapamiętaniem i radosną zuchwałością. Obie kobiety były życzliwe i łagodne. Nigdy się nie kłóciły ani ze mną, ani z nikim innym i nie było w nich krzty zła prócz ich wielkiej lubieźności. Ale nie czuły też żalu ani strachu prócz wielkiej obawy, aby służące nie zauważyły, co one wyprawiają. Diabeł dopomagał im

jednak wiernie, cóż bowiem może być dlań bardziej radosnego niż doprowadzenie do upadku sługi bożego. A kiedy nadeszła Wielkanoc, domownicy spowiadali się u mnie po kolei, a na samym końcu przyszły Alchmunda i Apostolika. Z całą powagą wyznały mi wszystko, co między nami zaszło, a ja byłem zmuszony dać im całkowite rozgrzeszenie. Była to okropna chwila. Jakkolwiek bowiem cały grzech spadł teraz na mnie, mimo to miałem uczucie, jak gdybym chciał oszukać Boga.

– Mam nadzieję, żeś się zdążył od tego czasu poprawić – wtrącił surowo ojciec Willibald.

– I ja mam tę nadzieję – odpowiedział magister. – Ale taki już mój los, jak to przepowiedziała owa wróżka mówiąc o trzech grzechach. Mimo to nie dałem się jeszcze zupełnie opętać diabłu, gdyż co dzień odprawiałem modły za kupca, jak mu to przyrzekłem. Modliłem się, aby nie spotkało go w drodze żadne nieszczęście i aby szczęśliwie wrócił do domu. A pod koniec robiłem to nawet dwa razy dziennie, aby uspokoić sumienie i złagodzić trochę skrucę i strach, jaki odczuwałem. Strach ten jednak rósł coraz bardziej. Aż wreszcie w noc po Zmartwychwstaniu Chrystusa nie mogłem już dłużej wytrzymać i potajemnie uciekłem z tego domu i z tego miasta, i wędrowałem żebrząc, aż doszedłem do domu mojej matki. Była to kobieta bogobojna, kiedy więc wszystko jej opowiedziałem, bardzo płakała. A potem zaczęła mnie pocieszać mówiąc, że nic w tym dziwnego, iż kobiety tracą głowy na mój widok, i że rzeczy takie dzieją się częściej, niż ludzie przypuszczają. Jedyne, co mi teraz zostaje – mówiła – to wrócić do dobrego dziekana i wszystko mu wyznać. A gdy wyruszałem, aby tak zrobić, pobłogosławiła mnie na drogę. Dziekan Rumold zrobił na mój widok wielkie oczy i pytał, dlaczego wróciłem, ja zaś we łzach opowiedziałem mu wszystko od początku do końca, zgodnie z prawdą i nie tając niczego. Burczał gniewnie, gdy się dowiedział, że czytałem Owidiusza bez jego zezwolenia. Kiedy jednak doszedłem do tego, co mi się przydarzyło z tymi dwiema kobietami, uderzył się po kolanach i wybuchnął grmiącym śmiechem. Kazał sobie o wszystkim dokładnie opowiedzieć i dopytywał się, czy obie kobiety były ze mnie zadowolone. A potem westchnął i zawołał, że młodość to najlepszy okres w życiu i że żaden dziekanat w całym cesarstwie rzymskim niewiele wart w zestawieniu z nią. Kiedy jednak opowiadałem dalej, twarz jego stawała się coraz bardziej mroczna. I gdy doszedłem do końca, uderzył pięścią w stół i krzyknął, że ciężko zawiniłem i że wyrok w tej sprawie wydać może tylko sam biskup. A kiedy stanęliśmy przed biskupem i ten dowiedział się o wszystkim, zgodził się natychmiast z dziekanem, że ciężko przewiniłem i dwukrotnie uchybiłem swoim obowiązkom. Uciekłem bowiem z miejsca, dokąd mnie posłał biskup, i zdradziłem tajemnicę spowiedzi opowiadając matce o tym, co zaszło między mną a owymi

kobietami. „Cudzołóstwo, którego się dopuściłeś – mówił – było bezsprzecznie sprawą poważną, ale raczej dość zwykłą. I nie ma się co nad tym rozwodzić wobec tamtych dwóch pierwszych przewinień, które można odkupić tylko surową pokutą”. Ponieważ jednak uczynki moje spowodowane zostały nierozsądkiem, a nie złą wolą, uchwalili postąpić ze mną z możliwie największą łagodnością i dali mi do wyboru trzy rodzaje pokuty. Mogłem więc albo przez rok pielęgnować trędowatych w szpitalu w Julich, albo udać się w pielgrzymkę do Ziemi Świętej i przynieść stamtąd dla kościoła koronacyjnego olej z Góry Oliwnej i wodę z rzeki Jordan, albo w końcu wyprawić się w misji nawracania Dunów. Ich łagodność i własne gorące pragnienie zmazania grzechów dodały mi siły. Toteż wybrałem pokutę najcięższą i zostałem wysłany do biskupa Ekkeharda w Hedeby. Przyjął mnie życzliwie i niebawem zrobił kanonikiem z powodu mojej uczoności. Przez dwa lata pozostawałem u niego, pilnie służąc Bogu i pełniąc obowiązki magistra w urzędzonej przez niego szkole. Aż dosięgnął mnie znowu los i popełniłem drugi grzech.

– Pierwszy raz widzę takiego jak ty księdza – odezwał się Orm – z tymi twoimi grzechami i zblizowanymi kobietami. Ale wciąż jeszcze nie wiemy, co cię tu przywiodło.

– Dlaczego się nie ożenisz jak rozsądny człowiek – spytała Ylva – kiedy pragnienie kobiet jest u ciebie aż tak silne?

– Niektórzy nauczają, że ksiądz powinien żyć w stanie bezzennym – odparł magister. – I wasz własny kapelan też, jak widzicie, nie ma żony. Ale może jest on bardziej świątobliwy ode mnie i mniej łatwo poddaje się pokusom.

– Miałem co innego do roboty, jak myśleć o kobietach – obruszył się ojciec Willibald. – A teraz Bogu dzięki jestem już dość stary, by nie ulegać takim pokusom. Ale już święci apostołowie różne mieli w tej sprawie poglądy. Sam święty Piotr był człowiekiem żonatym i zabierał z sobą żonę nawet na wyprawy między pogan. Nie podobało się to jednak świętemu Pawłowi, który żył bezzennie, i może właśnie dlatego znalazł czas na dłuższe podróże i więcej pisania. Od dawna już świątobliwi mężowie przychylają się do opinii, że to święty Paweł miał słuszność, a opaci reguły świętego Benedykta głoszą dziś, że ksiądz powinien żyć w stanie bezzennym, a najlepiej także i w czystości. Sądzę jednak, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim wszyscy księża z tym się pogodzą.

– To prawda – rzekł magister. – Wiem, że francuski opat Odon i jego uczniowie głoszą, iż małżeństwo przynosi szkodę sługom Chrystusa, i uważam zdanie ich za słuszne. Ale diabeł zna wiele podstępów, i to niesłuchanie chytrych. I oto widzicie mnie jako wygnańca wędrującego po pustkowiu właśnie za to, że odmówiłem wstąpienia w związki małżeńskie.

To drugi z tych grzechów, które mi wywróżyła wróżka. I aż strach mnie ogarnia, gdy pomyślę, jaki będzie ten trzeci.

Wszyscy byli ogromnie ciekawi usłyszeć, co mu się przydarzyło, kiedy więc magister pokrzepił się podanym przez Ylvę napitkiem, zaczął opowiadać o swoim drugim grzechu.

VIII.

O DRUGIM GRZECHE GRZESZNEGO MAGISTRA I POKUCIE, JAKĄ MU NAŁOŻONO

W pobliżu Hedeby – mówił magister smutnym głosem – mieszka pewna niewiasta imieniem Thordis. Pochodzi ona z wysokiego rodu i należy do najbogatszych w okolicy. Włada nad rozległymi posiadłościami ziemskimi i wielkimi trzodami, a urodziła się i wzrosła w pogaństwie. I jakkolwiek jest zupełnie jeszcze młoda, z powodu swego bogactwa trzy razy już była zamężna, a wszyscy jej mężowie zginęli śmiercią gwałtowną na wyprawach wojennych lub w rodowych waśniach. Kiedy zabito trzeciego, Thordis pomarkotniała i samorzutnie przysłała do biskupa Ekkeharda, mówiąc, że chce szukać pomocy u Boga. Sam biskup uczył ją zasad wiary i ochrzcił, i odtąd często przyjeżdżała konno do kościoła, otoczona wielką drużyną, ze zgiełkiem i szcękaniem broni jak jaki hövding wyruszający na wojnę. Odznaczała się wielką pychą i niesfornym a krnąbrnym usposobieniem i zrazu odmawiała wydania swoim ludziom rozkazu odkładania broni przed wejściem do kościoła. Mówiła bowiem, że wyglądałoby to bardzo kiepsko. Ale biskupowi udało się ją w końcu przekonać, od nas zaś wymagał, abyśmy okazywali jej cierpliwość, ponieważ mogła przynieść wiele korzyści Kościołowi Bożemu. I to prawda, że nieraz przychodziła z obfitymi darami. Mimo to trudno było z nią wytrzymać, a już najtrudniej mnie. Albowiem, gdy tylko oko jej padło na mnie, zaraz zapłonęła pożądaniem. I pewnego razu po mszy samotnie czekała na mnie w komórcy, gdzie składano broń, aby prosić o błogosławieństwo. Udzieliłem go jej, a ona obejrzała mnie od stóp do głów, mówiąc, że gdybym zapuścił włosy i brodę jak przystało na mężczyznę, nadawałbym się do czegoś innego niż odprawianie mszy. Potem zaś dodała: „I pamiętaj, że czekam cię u siebie, gdy tylko przyjdzie ci ochota. A nie będziesz żałował tej wizyty”. I chwyciwszy za szyję, bezwstydnie mnie pocałowała, nie zważając na to, że obok stał mój diakon. Po czym odeszła zostawiając mnie w wielkim wstydzie i przerażeniu. Z boską bowiem pomocą stałem się teraz odporny na kobiece pokusy i chciałem iść dalej przez życie bez ściągnięcia na siebie nowych kar. Oprócz tego zaś Thordis nie mogła się mierzyć co do piękności z tymi dwiema, które mnie uwiodły

w Maastricht. Toteż nie bałem się, że popadnę z nią w grzech, ale czułem lęk przed jej opętaniem. A na nieszczęście, dobrego biskupa Ekkeharda nie było w Hedeby, gdyż pojechał na sobór do Moguncji. Nakłoniłem diakona, aby nie wygadał się z tym, co widział, jakkolwiek w swej naiwności bardzo się z tego śmiał. I tego wieczora modliłem się żarliwie prosząc Boga o pomoc przeciw tej kobiecie. Po modlitwie poczułem się ogromnie pokrzepiony na duchu. Wydało mi się, że drogi nasze skrzyżowały się po to, abym mógł pokazać, jak bardzo jestem teraz nieczuły na cielesne pokusy. Kiedy jednak Thordis przyszła znów do kościoła, ogarnął mnie ogromny strach i nie czekając nawet na zakończenie śpiewów, uciekłem do zakrystii, aby uniknąć z nią spotkania. Ale ona na nic nie zważając dopadła mnie tam, zanim zdążyłem umknąć, i zapytała, dlaczego się u niej nie pokazałem, mimo że mnie zaprosiła. Odpowiedziałem, że wiele ważnych spraw wypełnia mi czas całkowicie. „Nic nie jest ważniejsze od tego – przerwała mi w pół słowa – boś ty jest mężczyzną, którego chcę na męża, mimo żeś golony. I sądziłam, że starczy ci rozsądku, abyś mi nie kazał czekać po tym, com ci ostatnio dała do zrozumienia”. Ogromnie zmieszany, zdołałem tylko odpowiedzieć, że z wielu powodów nie mogłem opuścić kościoła pod nieobecność biskupa. Ale potem nabrałem więcej odwagi i powiedziałem jej z całą należytą powagą, że słudzy Chrystusa powinni żyć w stanie bezzennym i że wszyscy święci ojcowie Kościoła zgodnie potępiają kobiety, które wstępują w związki małżeńskie po raz czwarty. Na te słowa zbladła jak płótno i natarła na mnie, nie dając mi skończyć zdania. „Cóż, czy nie jesteś mężczyzną? A może myślisz, żeś zbyt stara?” Wyglądała groźnie w tym gniewie, więc chwyciłem za krucyfiks i zasłaniając się nim przed nią, zacząłem odmawiać modlitwy na przepędzenie złego ducha. Ona jednak wyrwała krzyż z moich rąk z taką siłą, że aż się poślizgnęła i upadła na wznak, uderzając głową o brzeg wielkiej skrzyni do przechowywania odzieży. Ale natychmiast porwała się znowu na nogi i zaczęła głośno wzywać pomocy. Nie zdając sobie sprawy, co robię, zacząłem i ja krzyczeć o pomoc. I to dopełniło mego losu, przed którym i tak nie ma ucieczki. Albowiem w walce, która wywiązała się w kościele i w komórcie na broń, a także na dworze między drużyną, co pośpieszyła jej na pomoc, a dobrymi ludźmi z miasta, którzy chcieli mnie dopomóc, padli po obu stronach zabici. A wśród nich był pewien subdiakon porąbany mieczem oraz kanonik Andrzej, który nadbiegł od biskupiego dworzyszczka, aby uspokoić walczących, i który dostał kamieniem w głowę i zmarł następnego dnia. Kobietę i tych z jej drużyny, co ocaleli z pogromu, w końcu przepędzano. Moja rozpacz jednak nie miała granic, kiedy zobaczywszy, co się stało, uświadomiłem sobie, że z mego powodu księża potracili życie. A gdy wrócił biskup Ekkehard i dowiedział się o całym zajściu, uznał, że większość winy spada na mnie. Nakazał bowiem,

abyśmy wszyscy odnosili się z największą cierpliwością do owej niewiasty, imieniem Thordis, ja zaś ciężko zawiniłem brakiem tej cierpliwości. Najwłaściwiej byłoby – jak mówił – spełnić jej życzenie. Prosiłem więc, aby mi naznaczył najsurowszą pokutę, gdyż czułem swoją winę, jakkolwiek nie można było jej uniknąć. Opowiedziałem mu też o prorocztwie wróżki i że jest to drugi grzech z trzech, które miałem popełnić. A biskup odrzekł na to, że nie bardzo by chciał mieć mnie u siebie w Hedeby, gdy nadejdzie czas na ten trzeci grzech. W końcu wymyślił dla mnie pokutę. Kazał mi udać się do dzikich Smalandczyków, aby wykupić od pogan gorliwego sługę bożego, ojca Sebastiana, który przed trzema laty wysłany, aby krzewić Ewangelię, od tego czasu jęczał u nich w ciężkiej niewoli. Tam właśnie zdążam i taka jest moja misja. I teraz wiecie o mnie i o moich nieszczęściach tyle, co ja sam.

Na tym magister skończył swoje opowiadania, a Ylva śmiejąc się nalala mu znowu piwa.

– Zdaje się, że trudno ci dać sobie radę z kobietami, bez względu na to, jak się do nich odnosisz – zauważyła. – I to pomimo żeś czytał w księżce, jak powinna wyglądać miłość. To już chyba i w naszych stronach nie pójdzie ci z tym lepiej.

Ale magister Rainald odparł z rezygnacją, że skończył już z wszelkimi takimi marnościami.

– Nie tylko ty w sprawach z kobietami – rzekł Orm – ale i twój biskup musicie być bardzo głupi, skoro sądzicie, że uda ci się wrócić z wykupionym z niewoli księdzem lub choćby z samym tylko życiem, gdy zaniesiesz Smalandczykom okup w srebrze i złocie.

Magister potrząsnął głową i smutno się uśmiechnął.

– Nie niosę srebra ni złota – odrzekł – bo nie za takie rzeczy ma zostać wykupiony ojciec Sebastian. Sam oddam się w niewolę na jego miejsce, a że jestem odeń młodszy i silniejszy, wymiana powinna łatwo dojść do skutku. A przez to odkupię może choć w części swój grzech, że stałem się powodem śmierci dwóch księży.

Ogromnie się zdziwili jego słowom i nie chcieli zrazu wierzyć, że mówi poważnie. Ale on trwał przy swoim niewzruszenie.

– Uważam się za równie dobrego chrześcijanina, jak inni – rzekł Orm. – Lecz mimo to zdaje mi się, że raczej popełniłbym wszystkie możliwe grzechy, niż oddałbym się w niewolę.

Ojciec Willibald przyznał, że taki chrześcijański postępek nie każdemu by przyszedł łatwo, oświadczył jednak, że magister postępuje słusznie.

– I niewola twoja nie potrwa długo – dodał zwracając się do Rainalda. – Albowiem według obliczenia ludzi uczonych pozostało nam już tylko pięć lat do powrotu Chrystusa na ziemię. Jeśli więc będziesz odtąd wystrzegać się kobiet i unikniesz nieszczęść z nimi, może

zdążysz ochrzcić wielu Smalandczyków, zanim nadejdzie ów dzień. A wtedy spokojnie staniesz przed Boskim obliczem.

– To, co mówisz, jest prawdą – rzekł magister – i sam już o tym nieraz myślałem. Najgorsze jednak, że pozostał mi jeszcze do popelnienia trzeci grzech, a według prorocstwa wróżki ma on być najcięższy.

Nikt nie umiał znaleźć dla biednego magistra pociechy. Tylko Orm wyraził nadzieję, że zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim dojdzie do tego trzeciego grzechu.

– Bo niechętnie bym widział, gdybyś go popelnił goszcząc w moim domu. Ale mimo to wiedzcie, że wszyscy czterej możecie u mnie siedzieć, jak długo sami uznacie to za stosowne.

– I ja tak mówię – dodała Ylva.

Przybysze podziękowali im za te słowa. A Spjalle powiedział zaraz, że zamierza zatrzymać się tylko przez parę dni.

– Nie mogę bowiem ociągać się – mówił – mając pod swoją opieką szczęście królów.

Obaj kuglarze oświadczyli, że pragną mu towarzyszyć, gdyż podobnie jak on zdążają do Uppsali. A gdyby nie czuli się tam dobrze, mają do wyboru wielu innych królów.

– Może pójdziemy do Norwegii – mówili – gdzie rządzi teraz Olaf Trygvesson, który, jak mówią, stał się dobrym chrześcijaninem. Albo też powędrujemy na Wschód, do wielkiego księcia Waldemara do Gaardariki*, który wielką cieszy się sławą dla swojej potęgi i bogactwa oraz z powodu szczodrości wobec mężów bieglej sztuce.

– Daleka to droga – zauważył Orm.

– Bezdomniśmy wędrowcy na tej ziemi – odparli. – Dopóki jednak nie zbraknie królów, wędrujemy chętnie, bo wszyscy oni chętnie nas widzą. Jeszcze dalej, za Gaardariką, panuje król Bazyli, którego zwą Bułgarobójcą. Jest to najpotężniejszy z władców na całym świecie, od kiedy nie żyją już król Harald i król Eryk, choć na pewno ani młody cesarz niemiecki, ani król Brian z naszych stron rodzinnych niechętnie by słyszeli te słowa. Od ludzi bywałych wiemy, że kuglarze cesarscy w Miklagrodzie cieszą się dużym poważaniem i umieją pokazywać trudne sztuki. Szczególnie jedna, którą pokazali posłom starego cesarza niemieckiego w czasach, kiedy w Miklagrodzie rządził cesarz Nikifor, wzbudza naszą ciekawość. Polega ona na przedziwnie zgrabnym wspinaniu się po słupku i tej sztuki nie potrafimy, mimo że na ogół umiemy więcej niż inni kuglarze. Toteż warto by było zobaczyć, jak zręczni są mistrzowie z Miklagrodu, i pokazać im, co potrafią mistrzowie z Erynu.

* Gaardarika – Ruś.

I bezsprzecznie wielkim byłoby dla nas zaszczytem pokazać nasze sztuki przed cesarzem Bazylim, a i jego zaszczyciłaby nasza wizyta. Wpierw jednak zamierzamy udać się do młodego króla do Uppsali i w związku z tym najlepiej nam będzie trzymać się Spjalle. Dobry to bowiem towarzysz w żebraczej wędrówce.

Tak się też i stało. W kilka dni później, gdy Spjalle poczuł, że się wzmocnił, przywiązał sobie znowu królewski miecz do nogi, po czym wydobyl torbę i kij żebraczy. A obaj kuglarze naśladowali go we wszystkim. Od Osy i Ylvy dostali na drogę tyle żywności, że – mówili – niewiele mają nadziei, by spotkać się gdziekolwiek po drodze z taką gościnnością.

– Jeśli się jeszcze gdzieś zobaczymy – powiedział Felimid przy pożegnaniu do Orma – pamiętaj, że masz w nas zawsze dobrych przyjaciół.

– Bardzo bym sobie doprawdy życzył, aby was jeszcze kiedyś zobaczyć – odparł Orm. – Jeśli jednak wybieriecie się do Miklagrodu, to skończy się prawdopodobnie na życzeniu. Ja bowiem będę tu sobie cicho siedział i patrzył, jak rodzą się dzieci i wschodzą zboża. I nigdy już chyba nie wyruszę w dalszą podróż.

– Kto wie? Kto wie? – odrzekli na to równocześnie obaj długousi ludkowie.

Potem skłonili się wszystkim i otrzymawszy od ojca Willibalda błogosławieństwo ruszyli za Spjalle w dalszą drogę.

Tylko magister Rainald pozostał jeszcze na jakiś czas u Orma, bo tak było dla niego najsmardziej. Wszyscy zgodnie orzekli, że nie może sam przejść przez granicę, aby szukać ojca Sebastiana, gdyż zanim jeszcze czegoś dokona, Smalandczycy pojną go lub zabiją bez żadnego pożytku dla sprawy. Postanowiono więc, że zostanie w Gröning, aż nadejdzie pora tingu przy głazie Krake. Tam bowiem, zdaniem Orma, da się może coś zrobić dla ułatwienia mu jego zadania.

IX.

O TYM, JAK MAGISTER SZUKAŁ JAŁÓWEK I JAK SIEDZIAŁ NA WIŚNI

Stało się według słów Orma i magister przesiedział przez lato w Gröning. Pomagał ojcu Willibaldowi, gdy ten odprawiał służbę bożą dla domowników i dla tych spośród nowo ochrzczonych sąsiadów, którzy uznali, że warto dotrzymać obietnicy przyjeżdżania do kościoła. Od razu zasłynął szeroko ze swego śpiewu podczas mszy, piękniejszego niż wszystko, co w tamtych stronach dotychczas słyszano. Z początku nowi wyznawcy Chrystusa niezbyt kwapili się z uczęszczaniem do kościoła. Kiedy jednak rozeszły się słuchy o śpiewie magistra, zaczęło ich napływać coraz więcej. A kobietom oczy zachodziły łzami, gdy śpiewał. Ojciec Willibald zaś ogromnie rad był z tej pomocy, sam bowiem nie był wielkim śpiewakiem.

Pod innymi względami jednak marnie było ze zdolnościami magistra. Orm chciał mu dać jakąś robotę na dni powszednie i próbował wybadać, do czego Rainald najlepiej się nadaje. Trudno było jednak znaleźć zajęcie, w którym mógłby się przydać. Nic nie umiał i nie mógł się nauczyć pracować żadnym narzędziem. Toteż Orm mówił:

– Oj, niedobrze. Już niedługo przecież masz zostać niewolnikiem w Smalandii, a samym śpiewaniem nie uczynisz tam sobie życia znośnym. Najlepiej byłoby, abyś nauczył się coś niecoś jeszcze będąc tutaj u mnie, gdyż dzięki temu oszczędzisz sobie wielu pręg na grzbiecie.

Magister wzdychał tylko i przyznawał Ormowi słuszność. Potem brał się do wielu lekkich zajęć, ale nic mu się nie udawało. Kiedy posłano go do koszenia trawy, widok był żaloszny, nie potrafił bowiem nauczyć się ostrzyć kosi. W stolarni był też do niczego, mimo że Rapp, a nawet i sam Orm uczyli go stolarki z wielką cierpliwością. Gdy mu kazano narąbać drewno do piekarni, zaciął się w nogę i leżał na ziemi, jęcząc i krwawiąc, aż ludzie przybiegli mu z pomocą. A kiedy wyzdrowiał i wysłany został wraz z drugim, aby opróżnić sieci zastawione na rzece, złął się wielkiego węgorza, który owinął mu się dokoła ramienia, i przewrócił czółno z dębowej kłody. Cały połów poszedł na marne, a obaj rybacy z wielką tylko biedą zdołali się dostać na brzeg. Tak więc pozostało na tym, że uważano Rainalda za wielkiego bohatera tylko w kościele, no i za dobrego towarzysza w gronie domowników. Wieczorami bowiem, gdy wszyscy siedzieli przy swojej robocie, opowiadał różne przypowieści o świętych Pańskich i sławnych cesarzach. Poza tym jednak miał opinię niezrównanego niedołągi, nierozumiejącego się na niczym, co powinien umieć każdy

mężczyzna. Mimo to nie był nie lubiany. I dało się zauważyć, że kobiety, poczynając od Osy i Ylvy, a kończąc na najmłodszej dziewczce, bardzo się o niego troszczyły i zawsze miały dużo do powiedzenia na jego usprawiedliwienie.

Wczesną wiosną Rapp Jednooki ożenił się z krzepką córką miejscowego kmiecia imieniem Torgunn. Mimo że miał tylko jedno oko, dostał ją bez trudu, bo cieszył się wielkim poważaniem jako człek bywały i biegły we władaniu bronią. Na życzenie Rappa Torgunn natychmiast się ochrzciła i odtąd nigdy już nie zaniedbywała nabożeństwa. Wszyscy ją lubili. Robota paliła jej się w rękach i dobrze im się żyło z Rappem, jakkolwiek on czasem mrucał, że gęba jej się nigdy nie zamyka, natomiast na dziecko jakoś każe mu długo czekać. Ylva bardzo przywiązała się do Torgunn i obie kobiety często prowadziły poufne pogawędki, przy czym żadnej z nich nigdy nie zabrakło słów ni tematu.

Aż tu pewnego razu zdarzyło się, że młode bydło rozbiegło się po lesie i wszyscy wybrali się na poszukiwania, które długo się przeciągnęły. Pod wieczór, gdy Rapp wracał do domu nie odnalazłszy żadnej sztuki, usłyszał nagle jakiś szmer w brzozowym zagajniku. A kiedy podszedł bliżej, zobaczył Torgunn leżącą na trawie koło dużego głazu, a nad nią magistra Rainalda. Więcej nie zdołał dostrzec, bo gąszcze przesłaniały mu widok, oni zaś oboje szybko podnieśli się, gdy usłyszeli jego kroki. Rapp stanął jak wryty, nie mogąc wymówić słowa. Torgunn jednak natychmiast podbiegła doń, kuśtykając na jednej nodze, i od razu się roztrajkotała.

– To szczęście, żeś przyszedł, bo pomożesz mi dostać się do domu – mówiła. – Skręciłam sobie kolano pośliznąwszy się na korzeniu, a Rainald nadszedł, gdy zawołałam o pomoc. Nie dał rady mnie zanieść, ale odmówił modlitwę nad moim kolaniem i zaraz zrobiło mi się lepiej.

– Temu oku, które mi pozostało, nic jeszcze nie brakuje – odrzekł Rapp. – Czy musiał być tak blisko ciebie, gdy się modlił?

– Wcale nie był tak blisko – odcięła się gniewnie Torgunn. – Oj, Rapp, Rapp! Co ci też przychodzi do głowy? Klęczał przede mną, trzymał mnie za kolano i odmawiał nad nim święte zaklęcie trzy razy.

– Trzy razy? – spytał Rapp.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś – ofuknęła go Torgunn. – Najpierw w imię Ojca, potem w imię Syna, a potem w imię Świętego Ducha, to znaczy trzy razy.

Rapp spojrział na księdza. Ten był blady i usta drżały mu nieco, poza tym jednak nie można było po nim nic zmiarkować.

– Gdyby miało być inaczej, tobyś już nie żył – rzekł Rapp chmurnie.

– Przybyłem tu, aby zostać męczennikiem – odparł magister.

– To się może łatwo spełnić – powiedział Rapp. – Ale najpierw niech no spojrzę na twoje kolano, niewiasto, jeśli wiesz, które to jest.

Torgunn jęczała i narzekała, że jeszcze nigdy nie przytrafiła jej się taka bieda, usiadła jednak posłusznie na kamieniu i obnażyła lewe kolano. Trudno było im się z sobą zgodzić, czy widać na nim jakąś spuchliznę, ona jednak krzyczała, gdy naciskał kolano palcami.

– Ale przed chwilą było gorzej niż teraz. I jeśli mnie podeprzesz, zdołam chyba dokuśtykać do domu.

Rapp zastanawiał się przez chwilę z posępnym wyrazem twarzy, po czym rzekł:

– Nie wiem doprawdy, czy ci się coś stało w kolano, bo krzyk nic nie kosztuje. Ale nie chcę, aby Orm później mówił, że zabiłem mu gościa niepotrzebnie. Ojciec Willibald będzie wiedział lepiej i niech on już to rozsądzi.

Poszli w kierunku domu i jakoś z tym było, choć Torgunn musiała często odpoczywać z powodu silnego bólu, a na ostatnim kawałku drogi zmuszona była nawet opierać się na obu mężczyznach, obejmując każdego z nich ramieniem za szyję.

– Ciężko się na mnie opierasz – zauważył Rapp – ale mimo to trudno mi uwierzyć w to, co opowiadasz.

– Wierz, w co chcesz – odrzekła Torgunn – ale ja czuję, że z moim kolaniem nigdy już nie będzie dobrze. Stopa uwięzła mi między dwoma korzeniami, gdy przeskakiwałam przez powalony pień. I już chyba od tego noga mi zeszywnieje na zawsze.

– Na co więc przydało się to całe zamawianie? – spytał ponuro Rapp.

Torgunn poszła zaraz do łoża, a ojciec Willibald pośpieszył do niej, aby ją zbadać. Rapp zaś wziął na stronę Orma i Ylvę i opowiedział, co zaszło, nie tając swoich podejrzeń. Oboje zgodzili się z Rappem, że sprawa jest przykra i że wielka by była szkoda, gdyby z tego miały wyniknąć niesnaski między nim a Torgunn.

– To twoja zaleta – powiedział z uznaniem Orm – że lubisz się zawsze długo zastanawiać. Gdyby nie to, zabiłbyś może Rainalda, a to byłoby niedobrze, zwłaszcza gdyby okazał się niewinny. Bo zabicie księdza ściągnęłoby na nas wszystkich karę Bożą.

– A ja mam o Torgunn lepsze od ciebie mniemanie, Rapp – dorzuciła Ylva. – Łatwo zwichnąć kolano, gdy się łązi wśród pniaków i głazów. A sam przecież powiadasz, żeś nic złego nie widział.

– Wystarczy tego, co widziałem tam w lesie.

– Lepiej nie potępiać zbyt pochopnie w takich sprawach – rzekł Orm. – Pamiętasz sam, jak sędzia mego pana, Almanzora z Kordoby, zawyrokował raz, kiedy to Toke, syn Graagulle, zakradł się do kobiecej komory w domu egipskiego cukiernika, w Zaułku Pokutników. Wiatr odchylił zasłonę u okna i czterech przyjaciół cukiernika, którzy właśnie szli przez dziedziniec, zobaczyło Toke i małżonkę cukiernika w łożu.

– Dobrze to sobie przypominam – odparł Rapp – ale to działo się u pogan.

– Chcę wiedzieć, co się potem stało z ową kobietą – dopytywała się Ylva.

– Cukiernik stanął przed sędzią w porwanych szatach ze swymi czterema świadkami i domagał się, aby jego żona i Toke zostali ukamienowani jako cudzołóżnicy. A mój pan, Almanzor, sam nakazał, aby sprawę tę osądzić ściśle według prawa, mimo że Toke należał do jego straży przybocznej. Sędzia przesłuchał więc starannie świadków, wypytując ich, co zobaczyli. Trzech zeznało, że dokładnie wszystko widzieli. Czwarty jednak był już stary i miał słaby wzrok, tak że nie mógł rozróżnić wszystkiego równie wyraźnie jak tamci. Tymczasem prawo Mahometa, pisane własną ręką Allacha w jego świętej księdze, mówi, że musi być koniecznie czterech pobożnych świadków, którzy widzieli wszystko jasno i wyraźnie. Inaczej nie wolno nikogo skazać za cudzołóstwo. Toteż sędzia orzekł, że Toke i owa kobieta są niewinni, a cukiernika skazał na chłostę za fałszywe oskarżenie.

– To musi być kraj dobry dla kobiet – westchnęła Ylva. – Dużo bowiem może się zdarzyć, zanim ktoś dopuści, aby zobaczyło go czterech świadków. Ale wydaje mi się też, że cukiernika spotkała krzywda.

– Sam on nie był długo tego zdania – odparł Orm. – Zajście to bowiem rozślawiło go wśród całej straży przybocznej. I często chodziliśmy do jego sklepiku, aby z nim pożartować, pijąc słodki syryjski miód, tak że zarobki jego bardzo wzrosły i sławił Allacha za szczęście, jakie nań spadło. Tylko Toke trwał mocno przy tym, że jakkolwiek cała historia skończyła się dobrze, to jednak stanowi dla niego ostrzeżenie, i nigdy już nie odważył się zejść do owej kobiety.

Tymczasem wrócił ojciec Willibald oznajmiając, że istotnie Torgunn niebezpiecznie się potknęła.

– I niebawem noga spuchnie tak, że nawet ty to zobaczysz. Sądzieli, że Rapp odczuje ulgę na te słowa, on jednak siedział ponury i zamyślony, aż wreszcie rzekł:

– Ten magister przez dobrą chwilę trzymał ją za kolano. Trudno mi jednak uwierzyć, aby na tym poprzestał, boć on sam przecież przyznał, że ma bzika na punkcie kobiet i nauczył się z cudzoziemskich ksiązek, jak najlepiej z kobietami postępować. Jestem przekonany, że

zajęty był nie tylko zamawianiem kolana. W innym bowiem razie kolano nigdy by nie było teraz tak spuchnięte, jeśli jest on coś wart jako zamawiacz.

Była to najdłuższa przemowa, jaką słyszano kiedykolwiek z ust Rappa. I nikt nie umiał go nakłonić do zmiany zdania. Aż Ylva zabrała głos mówiąc:

– Naprzód podejrzewałeś ją dlatego, że nie było spuchnięte, a teraz dlatego, że spuchlizna wystąpiła. Ale o tym to i tak szkoda gadać, bo już tacy jesteście wy, mężczyźni, gdy sobie wbijecie coś do głowy. Idę teraz do Torgunn porozmawiać z nią poufnie. Dobre z nas przyjaciółki i powie mi na pewno, jak właściwie było. A gdyby nawet i nie chciała z czymś się wydać, to i tak domyśle się, co przede mną ukrywa. Bo kobieta wie od razu, czy druga kobieta mówi prawdę, czy też kłamie – o wiele lepiej, niż mogą to wiedzieć mężczyźni, za co Bogu niech będą dzięki.

To powiedziawszy poszła do Torgunn, a rozmowa ich odbyła się bez świadków.

– Teraz możesz być spokojny, Rapp – oświadczył Orm – bo dowiesz się wszystkiego. Zapewniam cię, że przebieglejszej kobiety od Ylvy nie ma na całym świecie. Zauważyłem to od pierwszego z nią zetknięcia.

Rapp chrząknął potakująco, po czym zaczęli rozmawiać o dwóch zaginionych jałówkach, których jeszcze nie odnaleziono, zastanawiając się, gdzie ich najlepiej szukać nazajutrz.

Ylva długo nie wracała. A kiedy przyszła, podsunęła Rappowi kułak pod nos i rzekła:

– Wiem już wszystko, było tak, jak przypuszczałam. Nie potrzebujesz się o nic niepokoić, Rapp, nic bowiem złego nie ma w tym ich spotkaniu w lesie. Najgorsze to to, czego sam narobiłeś. Torgunn płacze i śmieje się na przemian, gdy pomyśli o twoich podejrzeniach i ostrych słowach. I wyznała mi, że niemal żałuje, iż nie skusiła do czegoś owego księdza, mając po temu sposobność. „Zdążylibyśmy niejednego dokazać przed przyjściem Rappa – mówiła do mnie. – A jeśli już ma teraz na mnie spaść wstyd i przykrość, to z równym powodzeniem mogłam nie odmawiać sobie i przyjemności”. Tak właśnie powiedziała. I jeśli istotnie jesteś taki roztropny, za jakiego cię uważam, Rapp, nie powinienes nigdy więcej ani jednym słowem wspomnieć o tej sprawie. Bo mówię ci, że wtedy ona mogłaby stać się niebezpieczna. Jeśli natomiast będziesz dla niej dobry, sądzę, że i sam więcej nie usłyszysz o tym od niej ani słowa. I dobrze by było, gdyby Torgunn szybko miała dziecko, wtedy bowiem wyzbyłbyś się wszelkich obaw o tego biedaka magistra.

Rapp gładził się po ciemieniu i coś tam mruzczał, że mu nie brakuje dobrych chęci. I widać było, że słowa Ylvy sprawiły mu dużą ulgę. Toteż dziękował jej bardzo, że wszystko znowu naprawiła.

– Dobrze – mówił – że mi nie brakuje rozumu, jeśli nawet nie jestem tak mądry jak ty, Ylvo. Gdybym bowiem zabił magistra, stałbym tu teraz ze spuszczonym nosem, a wy oboje mielibyście do mnie urazę. No, ale idę do Torgunn, aby ją znowu udobruchać.

Gdy Orm i Ylva zostali sam na sam i poszli do łoża, rozmawiali jeszcze przez chwilę o tej historii przed uśnięciem.

– Wszystko skończyło się lepiej, niż przypuszczałem – zaczął Orm – i twoja to tylko zasługa. Gdyby mi bowiem przyszło sądzić w tej sprawie, przychyliłbym się chyba do tego, że w lesie nie skończyło się na opatrywaniu jej kolana.

Ylva leżała przez chwilę w milczeniu, po czym odezwała się:

– Orm! Twój wyrok byłby trafny! Ale nie wolno ci o tym nigdy nikomu powiedzieć. Obiecałam Torgunn, że jej nie wydam i że porozmawiam z Rappem na rozum. Tak to być musi i nikt się nie może niczego dowiedzieć – nawet sam ojciec Willibald – gdyż łatwo mogłaby z tego wyniknąć wielka bieda dla Rappa i Torgunn, a także dla tego zbzikowanego na punkcie kobiet magistra. Ale tobie powiem całą prawdę, a mianowicie, że między nimi doszło do czegoś więcej niż tylko do modlitwy nad zwichniętym kolaniem. Wyznała mi, że od samego początku polubiła Rainalda za piękny śpiew, a także z powodu ciężącego nad nim złego losu. Nie potrafiłaby też oprzeć się świętemu człowiekowi. Opowiada, że gdy dotknął jej kolana tam w lesie, gdzie upadła, drżała na całym ciele jak schwytyany nietoperz. W mig oboje stracili głowę i nie mogła – jak mówi – nic poradzić na to, co się stało. A kiedy się opamiętali, on biadał i wylewał łzy, po czym zaczął odmawiać modlitwy nad jej kolaniem. Ale miał na to tylko krótką chwilę, bo zaraz nadszedł Rapp. I kolano spuchło jej teraz tak bardzo dlatego, że właściwie powinien był odmówić modlitwę trzy razy. Ona jednak – jak mówi – nigdy nie przestanie dziękować Bogu, że Rapp nie nadszedł chwilę wcześniej. A jeśli piśniesz o tym, co ci mówię, choć słówko do Rappa lub do kogoś innego, unieszczęśliwisz mnie i innych.

Wysłuchawszy Ylvy Orm wybuchnął śmiechem i obiecał, że nigdy się nie wygada ani przed Rappem, ani przed nikim innym.

– I jeśli tylko Rapp nigdy się nie dowie, że został oszukany, szkoda będzie niewielka albo i wcale żadna – ciągnął. – Ale ten magister to jakiś dziwny człowiek. Nie nadaje się do żadnej pracy, którą powinien znać mężczyzna, ale na kobiety ma, jak się zdaje, dobre sposoby. Toteż nie byłoby wskazane, gdyby spotykali się częściej sam na sam z Torgunn. Mogłoby to się źle skończyć, bo Rapp nie dałby się jeszcze raz oszukać. Muszę więc wymyślić dla magistra jakieś zajęcie, aby trzymać go z dala od Torgunn, a ją od niego, gdyż nie wiadomo komu z nich dwojga bardziej zależy na tym, aby się znowu spotkać.

– Ale nie wolno ci być dla niego zbyt surowym – wstawiła się Ylva. – Bo on się jeszcze dosyć nacierpi, biedaczek, kiedy dostanie się między Smalandczyków. Ja zaś dopomogę ci sama, jak tylko potrafię, w tym, aby utrzymać Torgunn i jego z dala od siebie.

Nazajutrz Orm przywołał magistra i oznajmił mu, że już znalazł dla niego odpowiednie zajęcie.

– Niedużoś dokazał we wszystkim, czegośmy z tobą dotychczas próbowali – mówił – ale teraz będzie z ciebie jakiś pożytek. Widzisz tę oto wiśnię, najlepsze drzewo w całym moim sadzie? Niestety nie tylko ja jestem tego zdania, ale i wrony. Wyłaż mi tam na górę i najlepiej, żebyś od razu zabrał jadro i napitek, bo nie wolno ci zleźć, dopóki wrony i sroki nie pozasypiają. Będziesz tam siedział codziennie, i to od wczesnego ranka, bo wrony przylatują o szarym brzasku. Może nadasz się choć do tego, aby upilnować dla nas wiśni, jeśli sam nie zjesz ich zbyt dużo.

Magister spojrział żałośnie na wiśnię. Owoce jej, większe od zwykłych wisienek, zaczynały już przybierać głęboką czerwień dojrzewania. Ptaki były szczególnie łase na te owoce i Rapp oraz ojciec Willibald usiłowali – choć bez większego powodzenia – odpędzić je od drzewa strzelaniem z łuku.

– Zasłużyłem sobie na to – odezwał się po chwili magister. – Ale boję się wspinać tak wysoko.

– Musisz się przyzwyczać – odparł Orm.

– Łatwo dostaję zawrotu głowy.

– Trzymaj się tylko mocno, to ci się nic nie stanie. I pamiętaj, że jak tu stchórzysz, wszyscy cię wyśmieją. A najwięcej kobiety.

– Zaiste, zasłużyłem sobie na to – powtarzał smutno magister.

Wygramolił się w końcu z wielkim trudem na drzewo, a Orm stał na dole i wciąż nawoływał, by się wspiął jeszcze wyżej. Wreszcie, mamrocząc modlitwy, Rainald dotarł do potrójnego rozgałęzienia, które ugięło się pod jego ciężarem. A Orm doradził mu, aby tam już został, gdyż stamtąd był najlepiej widoczny dla ptactwa.

– Siedzisz tam mocno – mówił – i bliżej jesteś nieba niż my. Możesz sobie pojadać i popijać z zapasów, które zabrałeś, no i rozmawiać z Bogiem o swoich grzechach.

Siedział więc magister na wiśni, a wrony, co zewsząd zlatywały się z zapalem do dobrych wisienek, odlatywały w przestkach na niespodziewany widok człowieka siedzącego na drzewie. Krakały potem gniewnie, krążąc nad jego głową, a sroki rozsiadały się w pobliskich krzakach i skrzeczały ze złością.

Spadł z drzewa dopiero szóstego dnia po południu, w czasie wielkiej spieki. Zasnął znużony upałem, a nadlatujący rój pszczoł wybrał sobie jego głowę na miejsce odpoczynku. Rainald ocknął się wtedy ze snu i przerażony zaczął oganiać się rękami, aż zleciał na ziemię, pociągając za sobą pszczoły, wiśnie i połamane gałęzie. Na hałas pierwsze nadbiegły bliźniaczki wraz ze swoim towarzyszem zabaw. Przyglądały się ze zdziwieniem magistrowi, a Ulf zapytał go, dlaczego spadł. Ale magister jęczał tylko i mówił, że nadeszła jego ostatnia chwila. Dzieci zaczęły zbierać smakowite wisienki rozsypane na murawie, ale przstraszyły się pszczoł i podniosły krzyk. Cała czeladź znajdowała się nad rzeką przy ścinaniu sitowia. Na pomoc magistrowi przybiegła sama Ylva z kilku swymi dziewczkami. Położyły go do łóżka w izbie, gdzie stały krosna. A kiedy dziewczki usłyszały, w jaki sposób doszło do wypadku, wybuchnęły takim śmiechem, że Ylva straciła cierpliwość, natarła im uszu i kazała natychmiast sprowadzić znaną z rzeki ojca Willibalda.

Ze współczucia dla magistra starała mu się pomóc, ile mogła, i dała mu się napić kubek najlepszego piwa. Pszczoły nie zrobiły Rainaldowi żadnej krzywdy, ale zdawało mu się, że przy upadku złamał sobie obojczyk. Ylva zastanawiała się głośno, czy to aby nie kara Boska za jego igraszki w lesie z Torgunn. A on zgadzał się z nią, że to istotnie możliwe.

– Ale właściwie co ty wiesz o nas obojgu w lesie? – zapytał.

– Wiem wszystko – odparła – bo Torgunn sama mi o tym opowiedziała. Ale nie potrzebujesz się obawiać, że ktoś się o tym dowie, gdyż i ona, i ja umiemy trzymać język za zębami, gdy potrzeba. A mogę cię także pocieszyć, że nie szczędziła ci pochwał mówiąc, iż nie żałuję tego, co między wami zaszło, mimo że niewiele brakowało, a źle by się to skończyło.

– Ale za to ja żałuję – odpowiedział magister – jakkolwiek wiem, że niedużo mi to pomoże. Albowiem ciąży na mnie przekleństwo Boskie, tak że nie mogę znaleźć się sam na sam z młodą kobietą, aby natychmiast nie o władnęła mną żądza. I nawet te dni spędzone na drzewie nie na wiele się przydały, bo więcej tam myślałem o grzechach cielesnych niż o Bogu.

Ylva roześmiała się.

– Ale pszczoły to ci chyba coś pomogły – rzekła – no i twój upadek z drzewa. Bo jesteś oto ze mną sam na sam i nikt nie może nam przeszkadzać przez dobrą jeszcze chwilę. I choć, jak sądzę, nie wyglądam gorzej od Torgunn, mimo to nie przypuszczam, abyś teraz bardzo nadawał się do grzechu, mój biedaku!

– Nie wiesz, jak silne przekleństwo ciąży nade mną – odparł posępnie i wyciągnął do niej ramiona.

Nikt nie dowiedział się nigdy na pewno, co potem zaszło między tymi dwojgiem. A kiedy ojciec Willibald nadbiegł, aby opatrzyć rany magistra, ten spał już, postępując przez sen, Ylva zaś pilnie pracowała przy kądzieli.

– Szkoda tego człowieka, aby wspinał się po drzewach. I trzeba już z tym skończyć po dzisiejszym wypadku – oznajmiła wieczorem, zwracając się do Orma i czeladzi, kiedy przy wieczerzy z wesołym ożywieniem wyśmiewano się z przypadku magistra na wiśniowym drzewie.

– Czy go szkoda, nie wiem – odparł Orm. – Jeśli jednak powiesz, że jest za głupi, aby wspinać się po drzewach, chętnie się z tobą zgodzę. Nie wiem, do czego jeszcze mógłby się nadawać, ale niech to już lepiej wybadają Smalandczycy. Wiśnie już prawie dojrzały i można je zerwać, zanim ptactwo zdąży je rozkraść. Toteż szkoda z tego niewielka. Ale dobrze w każdym razie, że niedaleko już do tingu.

– A do tego czasu ja sama się nim zaopiekuję – oświadczyła stanowczo Ylva. – Nie chcę bowiem, aby mu urągano i aby mu się przytrafiło coś złego w ostatnich dniach pobytu między chrześcijanami.

– Cokolwiek by mu się przytrafiło, zawsze ma kobiety po swojej stronie – westchnął Orm. – Ale niech ci będzie i rób, jak chcesz.

Wszyscy w gródku pokładali się ze śmiechu, gdy tylko rozmowa zeszła na magistra i jego pszczoły. Ale Osa zawyrokowała, że zdarzenie to stanowi dobry znak dla niego. Często bowiem słyszała od starych, mądrych ludzi, że gdy pszczoły siadają człowiekowi na głowie, oznacza to długie życie i wiele dzieci. A ojciec Wilibald przyznał, że za młodu słyszał to samo od mądrych ludzi na dworze cesarskim w Goslar. Nie był jednak zbyt pewny, czy znaczy to to samo, kiedy chodzi o księdza.

Ojciec Willibald nie znalazł większego uszkodzenia w obolałym obojczyku magistra. Mimo to jednak ten przeleżał przez kilka dni w łóżu, a i potem przesiadywał przeważnie w komorze. Ylva doglądała go pieczołowicie, podkarmiła i dbała o to, aby żadna z młodych kobiet nie zbliżała się zbyt do niego. Orm żartował z tego powodu, pytając, czy i ona straciła głowę dla Rainalda. Trochę go też złościło dobre jedzenie, które zanoszono magistrowi. Ale Ylva odpowiadała z całą powagą, żeby się do tego nie mieszał. Biedny magister potrzebuje zaiste dobrego jada – mówiła – aby trochę się utuczyć przed udaniem się do pogan. Co się zaś tyczy dziewczek, to chce go ona jedynie ustrzec od pokus i złośliwych docinków.

Tak więc pozwolono jej robić, jak chciała. A czas biegł naprzód, aż dla sąsiadów z obu stron granicy nadeszła pora tingu przy kamieniu Krake.

X.

O KOBIECYCH GUSŁACH PRZY KAMIENIU KRAKE I O TYM, JAK WYSZCZERBIŁA SIĘ KLINGA BLOTUNGI

Co trzeci rok, późnym latem w pierwszą pełnię księżyca po zakwitnięciu wrzosowisk, mężczyźni z pograniczy okolic między Skanią a Smalandią spotykają się według pradawnego zwyczaju przy głazie, zwanym kamieniem Krake, aby zawrzeć pokój albo wypowiedzieć sobie wojnę aż do następnego takiego spotkania.

Zjeżdżają się tam hövdingowie i wybrani mężowie z Finnveden, Varend i z wszystkich okolic Goingii. A ting taki trwa zazwyczaj przez kilka dni. Nawet bowiem wtedy, gdy panuje pokój, wiele się zwykle nazbiera spraw do załagodzenia między sąsiadami z pogranicza – sporów o łowy i leśne wypasy, o zabójstwa stąd wynikłe, o skradzione bydło i uprowadzone kobiety i o niewolników, co zbiegli przez granicę. Wszystkie takie sprawy ważą tam i rozsądzą doświadczeni mężowie. Czasem spór załagodzony zostaje polubownie, gdy zabójstwo wyrównuje zabójstwo, a rabunek rabunek, czasem zaś sprawę załatwia się odpowiednimi grzywnami. Kiedy jednak strony okażą się nieustępliwe, a spór staje się tak zażarty, że nie da się osiągnąć zgody, rozstrzygnięcie następuje w pojedynku na udeptanej ziemi przed kamieniem Krake. I przyglądanie się temu uważane bywa przez wszystkich za najlepszą rozrywkę, i mawiają, że zły to był ting, jeśli co najmniej trzech zabitych nie zniesiono z pola przeznaczonego na pojedynki. Najczęściej jednak tingi te pozostawiały pod tym względem dobre wspomnienie, tak że wszyscy rozchodzili się zadowoleni i mieli co opowiadać po powrocie do domu.

Na tingach prowadzono także wielki handel niewolnikami, bronią, wołami, kutym żelazem, odzieżą, skórą, woskiem i solą. I niekiedy kupcy przybywali tam aż z Hedeby i z wyspy Gotland.

Dawniejszymi czasy zdarzało się, że pojawiali się tam także królewscy zaufani z kraju Dunów i od swijskiego króla z Uppsali, aby strzec na tingu królewskiego prawa i wypatrywać zbiegów. Ale z czasem kmiecie zaczęli zabijać tych królewskich wysłańców, po czym głowy ich wędzono w jałowcu i odsyłano królom na znak, że mieszkańcy pogranicza najchętniej sami załatwiają swoje sprawy. Natomiast wciąż jeszcze widywano tam koniuszych i dowódców okrętów przybywających od jarłów ze Skanii i Westrogocji na zaciąg wojowników zdatnych do zamorskich wypraw.

Toteż tingi przy kamieniu Krake wielką były zawsze uroczystością dla mieszkańców pogranicza i ludzie często liczyli czas od tingu do tingu.

Mówiono, że kamień, przy którym odbywały się tingi, położył tam Rolf Krake w czasie, gdy wędrował przez te dalekie rubieże. I ani królowie, ani mieszkańcy pogranicza się odważyli się potem usunąć tego znaku oddzielającego kresowe ziemie Dunów i Swijów. Był to głaz ogromny i wysoki, taki jaki tylko dawniejsi ludzie potrafili na sztorc postawić. Stał na otwartym polu, na wzgórzu, w cieniu olbrzymiego głogu, uważanego za drzewo święte i równie stare jak sam kamień. Zwyczajem u Virdów było, że w wieczór przed tingiem przy kamieniu tym składano bogom w ofierze dwa capy. Odbywało się to przy zachowaniu szczególnego rytuału, a krew zwierząt ofiarnych spływała na ziemię koło głazu. Mówiono, że to z tej krwi rosnący tam głóg czerpie wiele siły, jak również i z krwi, którą przelewano koło głazu przy pojedynkach. I to dzięki temu głóg rósł jeszcze i rozwijał się mimo sędziwego wieku, i zawsze kwitł najobficiej w rok po tingu. Niewielu jednak widziało, jak zakwita, prócz ptaków żyjących wśród jego gałęzi, orłów i kań oraz włóczącej się tamtędy zwierzyny. Na wszystkie bowiem strony rozciągały się wokół głuche pustkowia, ciągnące się milami i zupełnie bezładne.

Gdy Orm przygotowywał się do wyjazdu, do Gröning przybyło wielu kmieci, a wśród nich Gudmund z Uvaberg, Czarny Grim i inni, aby wspólnie udać się na ting. Orm zostawił na gospodarstwie Rappa, zabrał zaś z sobą obu księży i jeszcze dwóch ze swoich ludzi. Wszystkie kobiety roztkliwiały się wielce nad magistrem, który miał teraz oddać się w niewolę, ale on sam mówił, że wszystko jest tak, jak być powinno. Osa i Ylva uszyły mu nowe ubranie, kaftan, koszulę i skórzane spodnie. A Orm uznał, że mogą sobie pozwolić, by go w to wyposażyc, gdyż łatwiej przyjdzie go wymienić, jeśli nosić będzie dobrą odzież, z której przyszły jego pan mógłby mieć pożytek.

– Nie sądzicie bowiem, że on sam długo będzie jej używać – dodał.

Także Torgunn nadbiegła z brzoową kobiałką pełną żywności na drogę dla magistra. Rapp krzywił się na to ze złości, ona jednak postawiła na swoim, mówiąc, że składa ten dar w podziękę za pomoc przy kolanie, a także po to, aby otrzymać błogosławieństwo. Magister, bardzo blady, pobłogosławił z siodła ją i wszystkich innych tak pięknymi słowami, że kobietom stanęły łzy w oczach. Potem ojciec Willibald, który także siedział wysoko na końskim grzbiecie, odmówił modlitwę na intencję szczęśliwej podróży, prosząc Boga o opiekę przed dzikimi zwierzętami i rabusiami oraz wszelkimi innymi niebezpieczeństwami czyhającymi na podróżnych, i całą liczną gromadą wyruszyli dobrze uzbrojeni w drogę na ting.

Dotarli do kamienia Krake tuż przed zmierzchem i wraz z innymi rozłożyli się obozem na miejscu zajmowanym zwykle przez Goińczyków, nad strumykiem wijącym się wśród gąszczy i brzózek na południe od głazu. Widać tam jeszcze było ślady obozowych ognisk z poprzedniego tingu. Po drugiej stronie strumyka obozowali Finiwedingowie. Słychać było stamtąd wielki zgiełk i nawoływania. Mówiono, że obywatnie się bez piwa podczas pobytu przy kamieniu Krake było dla nich jeszcze cięższym wyrzeczeniem niż dla innych plemion, toteż z dawna mieli w zwyczaju zjeżdżać na ting w stanie pijanym. Tak Goińczycy, jak i Finnvedingowie rozłożyli się obozem nieco opodal od strumyka i podchodzili doń tylko po to, aby poić konie i zapelniać wodą kotły. Od niepamiętnych bowiem czasów uważano, że najlepiej bywa, gdy sąsiedzi nie tłoczą się niepotrzebnie za blisko siebie, jeśli ma między nimi panować tingowy mir.

Ostatni przybyli na miejsce tingu Virdowie. Widać było po nich, że to plemię całkiem odrębne, zupełnie niepodobne do żadnego innego ludu. Byli to rośli mężczyźni z srebrnymi kolczykami w uszach i z mieczami dłuższymi i cięższymi, niż nosili inni. Brody mieli golone i tylko po obu stronach ust zwisały im długie kosmyki. Wzrok ich był zimny, a mowa zwięzła i krótka. Wśród sąsiadów mówiono, że wyniosłość ich pochodzi stąd, że rządzą nimi kobiety, czego nie chcą oni pokazać przed obcymi. Ale mało kto ośmielał się ich samych o to zapytać.

Obozowisko Virdów leżało koło zagajnika na wschód od kamienia, w miejscu gdzie strumyk rozlewał się najszerszym korytem. Znajdowali się tam z dala od innych, tak jak to najbardziej lubili. Tylko oni jedni przywiedli na ting kobiety.

Wśród Virdów bowiem od dawna wierzono, że najlepszy lek na bezpłodność kobiet znaleźć można przy kamieniu Krake, jeśli zrobić tam to, co nakazuje prastara mądrość. I młode mężatki, które nie mogły doczekać się dziecka w małżeństwie, pały zawsze chęcią towarzyszenia mężom na tingi. Obrządek musiał się dokonać tegoż wieczoru, w pierwszy dzień nowej pełni. W ten wieczór kamień należał wyłącznie do Virdów, a u Goińczyków i Finnvedingów dobrze wiedziano, jak bardzo Virdom zależy, aby nikt obcy nie oglądał tego, co robiły ich kobiety po wschodzie księżyca. I nieraz się zdarzało, że ci, co z ciekawości zbliżyli się zanadto do kamienia, ostatnim spojrzeniem gasnących oczu oglądali nadlatujący oszczep lub spadający miecz, nim jeszcze zdążyli zobaczyć co innego. Ale ciekawi młodzieńcy z Goingii, a także i ci spośród Finnvedingów, którzy nie byli zanadto pijani, mimo to ochoczo czekali na ten wieczór. I gdy tylko na skraju lasu zamajaczył wschodzący księżyc, niektórzy z nich zaczęli się wspinać na drzewa, skąd roztaczał się daleki widok, podczas gdy inni znów podkradali się wśród gąszczy i krzaków tak blisko kamienia, jak się tylko na to odważyli.

Ojcu Willibaldowi bardzo się to nie podobało. Najbardziej zaś był niezadowolony z tego, że młodzieńcy z drużyny Orma, którzy przyjęli chrzest w czasie wielkiej uczty i czasem zachodzili nawet do kościółka, płonęli tak samo jak inni zapałem zobaczenia, ile się tylko da z guseł przy kamieniu.

– To dzieło diabelskie – biadał Willibald. – Powiadają, że kobiety te biegają wokół kamienia w bezwstydnym nagości. Każdy, kto przyjął chrzest, powinien wobec takich okropieństw uzbroić się w siłę u Chrystusa. Lepiej, żebyście mi dopomogli wyciosać krzyż i postawić przed ogniskiem, aby bronił nas tej nocy przed diabelską siłą. Sam jestem już na to za stary i źle widzę w lesie.

Ale jedyną odpowiedzią, którą otrzymał, było to, że wszystkie krzyże na świecie i cała święcona woda nie powstrzyma ich od przyglądania się, co też będą wyrabiać kobiety Virdów.

Magister Rainald skulony, z opuszczoną głową siedział obok Orma w kręgu otaczającym kocioł ze strawą, kołysząc się tam i z powrotem. Dostał jak inni chleba i wędzonej baraniny, ale nie zdradzał zbyt wielkiego apetytu. Tak bywało z nim zwykle, gdy rozpamiętywał swoje grzechy. Kiedy jednak usłyszał słowa ojca Willibalda, podniósł się i rzekł:

– Dajcie mi topór, zrobię krzyż!

Siedzący koło ogniska śmiali się i pytali, czy to potrafi. Ale Orm rzekł:

– Słusznie robisz chcąc tego spróbować. I większy stąd będzie dla ciebie pożytek niż ze wspinania się na drzewa.

Tak więc magister dostał topór i poszedł w las szukać odpowiednich gałęzi.

Księżyc coraz to chował się za chmury i niekiedy robiło się całkiem ciemno, chwilami jednak ciekawscy mogli dostrzec coś niecoś z tego, co wyczyniali Virdowie przy kamieniu. Zebrało się tam dużo mężczyzn. Paru z nich wykroiło długi i szeroki pas murawy, podniosło go do góry i podparło kołkami. Inni znów znosili chrust i układali go na cztery stosy po czterech stronach kamienia. Gdy byli już z tym gotowi, wzięli znowu broń i podszedłszy kawałek w kierunku obozowisk Gończyków i Finnvedingów, rozstawili się tam na straży zwróceniem plecami do kamienia, a kilku zeszło w dół do strumyka.

Nagle dało się słyszeć beczenie i od obozowiska Virdów nadeszły cztery staruchy prowadząc dwa capy. Z nimi kroczył mały łysy dziadyga o białej brodzie, bardzo stary i pokręcony, z długim nożem w ręku. A za nim dreptała grupa kobiet odzianych w płaszcze podobne do kopic.

Kiedy cały ten orszak doszedł do kamienia, capom związano nogi i przyczepiono im do tylnych nóg długie postronki. Po czym wszyscy przyłożyli ręki, aby dźwignąć je w górę

i zawiesić na wierzchołku głazu tak, by zwierzęta zwisały po obu stronach kamienia głowami na dół. Mały staruch wymachiwał rękami i coś wykrzykiwał, dopóki capy nie zawisły tak, jak sobie życzył. Kiedy w końcu był już zadowolony, kobiety dźwignęły go z wielkim trudem na szczyt kamienia. Podano mu nóż, a on usadowił się okrakiem między capami, podniósł w górę ramiona i zawołał do młodych kobiet grzmiącym głosem:

– Takie jest pierwsze przykazanie – przejdźcie przez ziemię!

Kobiety zaczęły coś między sobą gęgać i nawzajem się wypychać, jak gdyby trochę niepewne, co robić. W końcu zrzuciły z siebie kapice i stanęły całkiem nago. Sznurkiem podeszły do podpartego kołkami kawałka murawy i zaczęły przełazić pod nim jedna za drugą. Nagle w nocnej ciszy rozległ się z daleka, od strony Finnvedingów, głośny trzask, a potem wrzaski i stękania, którym towarzyszył ogromny wybuch śmiechu. Stare, pochyle drzewo, na którym uwiesiło się wielu ciekawych, złamało się pod ich ciężarem i padając przygniotło kilku. Ale kobiety, niczym nie wzruszone, ciągnęły dalej swój ceremoniał, dopóki ostatnia nie skończyła się czołgać. Wtedy staruch podniósł znowu ramiona i zawołał:

– Drugie przykazanie – przejdźcie przez wodę!

Zeszły więc w dół do strumyka i weszły w jego koryto. Usiadły w kucki tam, gdzie woda była najgłębsza, i zasłaniając rękami twarze zanurzały się z głową, wydając trwożne okrzyki, aż włosy unosiły się im na powierzchni nurtu, po czym kobiety znów się szybko wynurzyły.

Staruch podpalił kupy chrustu rozłożone wokół kamienia, a gdy młode kobiety wróciły od strumyka, dziadyga zawołał:

– Trzecie przykazanie – przejdźcie przez ogień!

Zaczęły więc biegać dokoła i skakać zwinnie przez ogniska. Staruch mruczając święte zaklęcia przerzynał gardła uwieszonym na głazie capom. Krew ich spływała po obu stronach kamienia. Dziewięć razy miały kobiety obieć dokoła i dziewięć razy zlizać z kamienia krew, która miała im dać życiodajną siłę i płodność.

Wielka chmura zasłoniła księżyc, ale przy blasku ognisk wciąż jeszcze widać było kobiety skaczące wokół kamienia. Wtem dał się słyszeć jakiś głos śpiewający słowa niezrozumiałe dla nikogo. A kiedy księżyc znowu się wynurzył zza chmur, oświetlił postać zmierzającego w kierunku głazu magistra Rainalda. Niepostrzeżony, przeszedł strumyk za plecami strażników, którzy, gdy zapadła ciemność, odwrócili się, aby przyglądać się tańcowi kobiet.

Witkami związał na krzyż dwie brzozowe gałęzie i niósł je teraz przed sobą, szybko idąc w kierunku głazu.

Staruchy zaczęły wrzeszczeć co sił ze strachu, a także ze złości, a dziadyga siedzący na szczycie kamienia poderwał się z wściekłością, podnosząc skrwawiony nóż i rycząc wielkim głosem. Młode kobiety zatrzymały się w biegu i stały bez ruchu, nie wiedząc, co dalej począć. Ale magister przedarł się przez ich pierścień i podnosząc krzyż ku staruchowi krzyknął:

– Odejdź, szatanie! W imię Jezusa Chrystusa, idź precz, nieczysty duchu!

Dziadyga zląkł się, gdy magister pogroził mu krzyżem. Uchylił się na bok i poślizgnąwszy się spadł na wznak z kamienia i legł u jego stóp ze skrzyżowanym karkiem.

– Zamordował kapłana! – darły się wniebogłosy staruchy.

– To ja jestem kapłanem – wykrzyknął magister – i to o wiele od niego lepszym!

W tej chwili dały się słyszeć czyjeś kroki i jakiś surowy głos zapytał, o co podnosi się tyle krzyku. Ciało magistra przeszedł dreszcz. Schwycił jeszcze mocniej oburącz swój krzyż i przywarł plecami do głazu. Przyciskając krzyż do siebie, zamknął oczy i zaczął mruzczyć bardzo szybko i monotonicznie:

– Jestem gotów, Chryste i wszyscy święci męczennicy, przyjmijcie mnie do wiecznego zbawienia. Jestem gotów, jestem gotów.

Mimo całego babskiego wrzasku strażnicy nie ruszyli się z miejsc, na których stali. Byli tam po to, aby Goińczycy czy pijani Finnvedingowie nie nadbiegli swawolić z kobietami. Także i im samym nie przystało zbliżać się na otwartym miejscu do nagich kobiet należących do innych mężczyzn, gdyż wiele mogło z tego wyniknąć waśni.

Lecz od obozowiska Virdów nadszedł mąż wyglądający na znacznego i znakomitego, nie lękającego się bliskości nagich kobiet. Nosił kapelusz o szerokiej kresie, niebieski kaftan z drogiego sukna i szeroki, srebrny pas. Kobiety usuwały się przed nim z bojaźnią i starały zasłonić swą nagość, jak się dało, a kilka otarło sobie trawą usta z krwi. Wszystkie jednak stały tam, gdzie się zatrzymały.

Przybysz spojrzął na nie i skinął głową.

– Nie bójcie się mnie – rzekł przyjaźnie – bo nic wam ode mnie nie grozi i nie potrzebujecie skakać przez ogień. Nie przeczę, przyglądając wam się z bliska, że wiele spośród was wygląda nago dużo lepiej niż w przyodziewku. I tak też być powinno. Ale kto jest ten mizerak, który stoi z zamkniętymi oczyma w waszym kole? Czyżby nie podobał mu się wasz widok?

– To chrześcijański kapłan! – zakrzyknęły staruchy. – Zabił nam Styrkara!

– Zawsze mówiłem, że kapłani są po to, aby się z sobą kłócić – rzekł ze spokojem przybysz i podszedł do trupa. Zatrzymał się nad nim i zatknąwszy kciuk za pas przyglądał się zwłokom starucha, po czym przewrócił je końcem stopy.

– Martwy jak śledź – odezwał się po chwili. – Więc leżysz tu, Styrkarze, mimo swoich sztuczek i czarów. Nie sądzę, by wielu cię oplakiwało. Nieraz ci mówiłem, żeś stary, złośliwy nicpoń, jakkolwiek nikt nie zaprzeczy, że dobry był z ciebie zaklinacz i biegły w swej sztuce. I teraz idź do trollów, bo tam twoje miejsce, od bogów bowiem dostaniesz kopniaka, gdybyś usiłował się tam dostać. Ale wy, kobietki, dlaczegoż to stoicie wciąż jeszcze bez okrycia w nocnym chłodzie? To nie może wam wyjść na zdrowie.

– Jeszcześmy nie skończyły biegania dokoła kamienia – odpowiedziały chórem. – I cóż mamy teraz począć, gdy Styrkar nie żyje? Mamyż odejść stąd bez żadnej pomocy po wszystkich trudach, które już sobie zadałyśmy? Nie wiemy zupełnie, co robić.

– Co się stało, to się nie odstanie – odparł przybyły – i nie martwcie się z tego powodu, gdyż jestem przekonany, iż lepsze są dla was sposoby niż te stare sztuczki przy kamieniu. Gdy krowy nie chcą się celić, zmieniam byka. I zwykle to pomaga.

– O, nie, nie – biadały kobiety. – Ty się mylisz! Nie jesteście znów takie głupie, jak przypuszczasz.

Nieznajomy roześmiał się, odwrócił i chwycił za kark magistra.

– Stoję tu i plotę bezmyślnie – rzekł – choć wiadomo, żeś najbystrzejszy z mężów. Styrkar nie żyje, ale mam tu w zamian chrześcijańskiego kapłana. A kapłan wart kapłana, wszyscyście jednakowo dobrzy. Można mi wierzyć, bom oglądał różne ich gatunki.

Złapał magistra za kark i nogę i podrzucił na szczyt kamienia.

– Posłuchajmy – rzekł – czy potrafisz gadać jak ksiądz. Otwórz no dziób i czytaj zaklęcia najlepsze, jakie umiesz. I staraj się dobrze spisać, to jeszcze zobaczymy, czy umrzesz, czy też nie. Pamiętaj, że masz wyczarować swoimi najsilniejszymi czarami dzieci dla virdyjskich kobiet. I najlepiej bliźnięta, jeśli dasz radę.

Magister dygotał i dzwonił zębami, stojąc wyprostowany na kamieniu. Ale mężczyzna pod głazem trzymał w ręku obnażony miecz i wyglądał groźnie. Rainald wyciągnął więc przed siebie krzyż i zaczął gorliwie się modlić. A w miarę jak się modlił, głos jego brzmiał coraz wyraźniej.

Przybysz przysłuchiwał się przez chwilę, po czym kiwnął głową i rzekł:

– To prawdziwy ksiądz. Słyszałem już przedtem ten język i wiele się w nim kryje mocy. Nuże, biegnijcie, moje miłe, zanim się zmęczy i nim zgasną ogniska.

Kobiety nabrały otuchy i zaczęły znów biegać. A gdy magister otrząsnął się trochę ze strachu, pogodził się z losem i schylał nad nimi krzyż, gdy podchodziły do kamienia, aby lizać koźlą krew, oraz błogosławił je najlepszymi błogosławieństwami. One zaś drżały na

całym ciele, gdy dotykał ich krzyżem. A gdy było już po wszystkim, zgodnie orzekły, że ten ksiądz jest dobry i że odczuły jego świętą siłę lepiej niż u Styrkara.

– I nie trzeba go zabijać – prosiły. – Niech idzie z nami i zajmie miejsce Styrkara.

– Niech i tak będzie, skoro chcecie – rzekł nieznajomy – i życzę, aby wam z nim było lepiej niż ze Styrkarem.

W tym momencie u stóp wzgórza rozległ się jakiś silny głos:

– Oddajcie zaraz mego księdza!

Orm i jego towarzysze widzieli, jak staruch spadał z kamienia, a wkrótce potem na jego miejscu ujrzeli magistra. Napełniło to ich zdziwieniem.

– Może oszalał – mówił ojciec Willibald. – Ale może być i tak, że to duch boży nim kieruje. Czy widzicie, że w ręku trzyma krzyż?

– Już to nasz magister łatwo daje się skierować tam, gdzie są kobiety – zauważył Orm pośpiesznie. – Hańbą jednak byłoby przyglądać się, jak go będą zarzynać niczym barana.

Wziął z sobą ludzi i poszli chyżo brzegiem strumyka. Księżyc znowu skrył się w chmurach i gdy Orm zawołał w kierunku głazu, nie można tam było dużo zobaczyć. Kobiety odeszły już do obozowiska, a magister także znikł ze szczytu kamienia. Tylko mąż w szerokim kapeluszu zszedł na dół do Orma razem z kilku virdyjskimi strażnikami.

– Kto tam woła? – zapytał.

– Oddajcie księdza, co mi uciekł! – krzyknął ostro Orm.

– A cóżeś ty za jeden, pyskaczu? – odkrzyknął tamten.

Orm nie przywykł, aby się tak do niego odzywano. Toteż chwycił go taki gniew, jaki rzadko tylko go ogarniał.

– Jestem tym, co cię może nauczyć ludzkich obyczajów, i to zaraz! – zawołał.

– Chodź więc tutaj – odpowiedział tamten – to zobaczymy, kto kogo więcej nauczy.

– Czy twoi ludzie zostawią mnie w spokoju? – zapytał Orm.

– Dajemy ci mir – odparli spokojnie Virdowie.

Orm dobył miecza i przesadził strumyk jednym susem.

– Tuś się dostał łatwo, ale z powrotem będą cię nieśli – zauważył jego przeciwnik.

Orm skoczył naprzód i miecze ich starły się, aż iskry poszły. Wtedy przeciwnik Orma rzekł:

Rödnäbbo,

Snadž klingę twardą

Spotkałeś,

Bo skrzy żelazo.

Orm odparował szybki cios tarczą i głos jego zabrzmiał inaczej, gdy odpowiadał:

O druhu!

W porę to padło.

Z Blotungą

Znów miecz twój razem.

Opuścili miecze i stanęli bez ruchu.

– Witaj, Ormie Tostessonie, hövdingu żeglarzy! Co robisz w gromadzie Goińczyków?

– Witaj, Toke, synu Graagulle, zawadiako z Lister! Co robisz pośród Virdów?

Mówili jeden przez drugiego i śmiali się obaj z radości. Albowiem przyjaźń ich była wielka, a niemało wody upłynęło od czasu, jak widzieli się po raz ostatni.

– Dużo będzie do opowiadania – mówił Toke. – I dobrze, żeś biegły w układaniu wierszy, jak cię uczyłem. Gdyby nie to, moglibyśmy się porządnie porąbać sobie samym na utrapienie. Ale przyznaj, że twoje wiersze nie dorównują w pełni tym, co ja układam.

– Nie wezmę ci za złe, jeśli będziesz się uważał za lepszego skalda – odrzekł Orm. – Od czasu rozstania niewiele się wprawiałem.

Toke przeciągnął palcem po ostrzu Rödnäbby.

– W miejscu gdzie się ugryzły, został znak – powiedział. – To pierwsza szczerba na tej klindze.

Także i Orm obmacał klingę swego miecza.

– U mnie to samo – rzekł. – Oreż kuty przez andaluzyjskich płatnerzy może wyszczerbić tylko andaluzyjska klinga.

– Mam nadzieję – zauważył Toke – że te dwie nie ugryzą się już nigdy więcej.

– Jednaką mamy nadzieję, ty i ja – odrzekł Orm.

– Dobrze by było wiedzieć, czy żyje jeszcze ta, co nam dała te miecze – mówił Toke. – I co się dzieje z naszym panem, Almanzorem? Gdzie też niosą dziś przed nim jego wielką chorągiew bojową i czy sprzyja mu jeszcze szczęście?

– Któż może to wiedzieć? – odparł Orm. – To tak daleko stąd i tak dawno temu. Choć prawda, że często myślę o nim. Teraz jednak chodźmy pogadać w spokoju. Kiepsko tylko, że nie mam piwa na twoje przywitanie.

– Nie masz piwa? – wtrącił szybko Toke. – Jakżeż byśmy mogli gawędzić bez piwa? Piwo jest wszak najlepszym druhem przyjaciół.

– Któż brałby z sobą piwo na ting? – rzekł Orm. – Piwo pobudza do kłótni i sędzę, że i ty wiesz o tym równie dobrze, jak inni.

– Szczęście sprzyja nam obu dziś wieczorem – zauważył Toke. – W tej chwili jednak tobie więcej. Jam jest bowiem ten, co zabiera z sobą piwo na ting. Musisz wiedzieć, że zaliczam się do największych kupców w Arend i skóry są moim głównym towarem. Bez piwa zaś nie da się dobić handlu skórą. Prowadzę pięć jucznych koni, które przywiozły piwo na ting. A jeśli dobrze pójdzie, z powrotem dźwigać będą same tylko skóry i ani kropli piwa. Toteż ty pójdiesz teraz ze mną.

– Niech i tak będzie – odparł Orm. – I może znajdę wtedy także mego zbiegłego księdza.

– Zabrały go z sobą kobiety – wyjaśnił mu Toke. – Mówiły, że zadowolone są z jego czarów, niczego mu więc nie zabraknie. Wygląda mi na dziarskiego chłopca, bo zabił swoim krzyżem naszego Styrkara. Ale dopiero ting orzeknie, co się ma z nim stać z powodu tej sprawy.

– Mam tu jeszcze jednego księdza – wtrącił Orm – i to takiego, którego znasz od dawna.

Ojciec Willibald przebrnął przez strumyk, aby dowiedzieć się, co się stało z magistrem, i Toke powitał go z radością.

– Dobrze ciebie pamiętam – mówił. – Musisz koniecznie pójść z nami skosztować mego piwa. Wielką ci jestem winien wdzięczność, boś mi wyleczył nogę na dworze króla Haralda, lepiej niżby to umiał kto inny. Ale co porabiasz tutaj, tak daleko od dworzyszczka króla Dunów?

– Jestem księdzem u Orma – odparł ojciec Willibald – a zajęciem moim jest chrzczyć pogan na tych krańcach świata, podobnie jak i samego Orma przywiodłem już do chrześcijaństwa. I jakkolwiek pamiętam cię jako zakamieniałego bezbożnika, i na ciebie kolej przyjdzie. I wierzę, że to dlatego właśnie spotkaliśmy się tutaj.

– Mam co do tego pewne wątpliwości – odparł Toke. – Mimo to jednak możemy wszyscy trzej zasiąść teraz pospołu w przyjaźni. Bismillahi, errahmani, er rahimi – jak zwykliśmy mawiać, kiedy służyliśmy panu naszemu, Almanzorowi.

– Co ty wygadujesz? – spytał ojciec Willibald. – Co to znowu za język? Czyżbyś i ty popadł w moc szatana?

– To po hiszpańsku – wyjaśnił Toke. – Pamiętam to jeszcze, bo moja kobieta pochodzi z tego kraju i wciąż chętnie mówi swoim językiem, zwłaszcza zaś gdy ogarnie ją złość. Stąd i ja nie odwykam.

– A to, co powiedział Toke, mogę ci przetłumaczyć – dorzucił Orm. – Znaczy to: W imię Boga, miłosiernego i litościwego. Miłosierny to Chrystus, jak wszyscy o tym wiedzą.

A litościwy to chyba Duch Święty. Któż bowiem może okazać więcej litości? Widać z tego, że Toke jest już prawie chrześcijaninem, nawet jeśli udaje, że tak nie jest.

Ojciec Willibald mruczał coś z niedowierzaniem. Ale nie wdając się w dalszą wymianę słów na ten temat, poszedł wraz z nimi w kierunku obozowiska Virdów.

XI.

O TOKE, SYNU GRAAGULLE, I O NIESZCZĘŚCIU, JAKIE GO SPOTKAŁO, A TAKŻE O PEWNYM NIEDOBRYM PODARUNKU FINNYEDINGÓW

Długo w noc siedzieli przy piwie gwarząc o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, kiedy Orm i Toke widzieli się z sobą po raz ostatni. Orm opowiadał o wyprawie do Anglii z Thorkelem Wysokim, o wielkiej bitwie pod Maeldun i o zdobytych łupach. A także o tym, jak spotkał ojca Willibalda i dał się ochrzcić, jak odnalazł córkę króla Haralda (i tu mały księżulo wplątał niejedno do opowiadania). Mówił też o ogromnej ilości srebra, którym musiał wykupić się od Wikingów król Etelred Angielski, o podróży powrotnej z Ylvą i Willibaldem, o wizycie w Jellinge i spotkaniu z królem Svenem oraz o tym, co z tego wynikło. A dalej, jak śpieszył potem z przeprowadzką do matczynej zagrody na pograniczu, aby ujść pomsty królewskiej.

– Ale Sven ma dobrą pamięć i długie ramię – mówił. – I nawet tutaj nastaje na moją głowę, chcąc zemścić się za prztyczek otrzymany od tego zacnego księżyka przy spotkaniu z nami. Nie dalej jak na wiosnę musiałem walczyć w nocy we własnym moim gródku z pewnym wędrownym kupcem, który bawił u mnie w gościnie – człowiekiem z Finnveden, imieniem Östen z Orestad, który przebywał przedtem na morzu z Dunami. Przybył on z silną drużyną, aby mnie zabić zdradziecko i posłać moją głowę królowi Svenowi. Lecz stracił u mnie wielu ludzi, a także konie i towar, i sam wyniósł z tego rozbity czerep. Będzie chyba o tej sprawie mowa i na tingu. Puściłem go bowiem z życiem, gdy mu się łeb wygoił, a z nim także i paru jego ludzi, wpierw jednak skłoniwszy ich do przyjęcia wiary Chrystusowej. A stało się tak głównie dlatego, że ojciec Willibald, któremu niechętnie robię na przekór, wolał, aby ich raczej ochrzcić niż zabić.

– Nawet najmędrsi bywają czasem głupi – zauważył Toke. – A ten, co puszcza z życiem swego wroga, niech sam siebie wini, jeśli mu przyjdzie tego pożałować. Wiem, że chrześcijanie robią tak niekiedy, aby się przypodobać swemu Bogu. W tych jednak okolicach najlepszy jest stary sposób. Następnym razem możesz mieć dużo kłopotu z zabiciem tego, kogoś wypuścił. Z pewnością bowiem zechce zemścić się na tobie za wszystko, co stracił, i za hańbę, której doznał przez to, że został ochrzczony.

– Postąpiliśmy słusznie – rzekł ojciec Willibald – i niech teraz diabeł i jego plemię robią, co potrafią.

– A ręka Boska silniejsza jest może, niż przypuszczasz – dodał Orm. – Czas jednak posłuchać, jak się tobie wiodło od chwili, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Toke zaczął opowiadać o swoich losach. Mówił, że nie wyruszał na żadną dłuższą zamorską wyprawę ani też nie miał tak jak Orm żadnych większych przygód. Mimo to jednak i on nie zaznał wiele spokoju, a nawet może jeszcze mniej od Orma.

– Powrót do domu, do Lister, był bowiem jak gdyby wpadnięciem w gniazdo os – mówił. – Zaledwie dotarł do ojcowskiej zagrody, przywitał się z rodzicami i wprowadził do domu swoją kobietę i dobytek, jak już nadbiegli do mnie mężowie w pilnych sprawach. I niebawem znalazłem się po same uszy w waśni, która rozgorzała w całej okolicy.

Był to zatarg wszczęty przez Ogmunda, Halle i jeszcze dwóch innych ludzi Orma. Po powrocie do domu na łodziach Styrbjörna z dworzyszczą króla Haralda, gdzie pozostali ranni Orm i Toke, stwierdzili oni, że nie byli jedynymi, co ocalili z wyprawy Kruka. Siedem lat przed nimi wrócił do domu Berse z jedną łodzią, mając przy wiosłach tylko trzydziestu dwu ludzi, ale za to przywożąc najcenniejsze skarby z gródka markgraфа, które znajdowały się na jego dwóch łodziach, gdy napadła na nich flotylla andaluzyjska.

– Nikt nie może zaprzeczyć – ciągnął Toke – że Berse był człowiekiem niezwykle mądrym i że sprzyjało mu szczęście, choć niedługo po powrocie umarł z przejedzenia. Był bowiem żarłoczniejszy od innych i żarłoczność ta przyprawiła go o zgubę, gdy osiadł beczynnienie w domu, nurzając się w bogactwie. Co prawda w walce z Andaluzyjczykami poniósł takie straty, że starczyło mu załogi – i to niepełnej – zaledwie do jednej łodzi. Z drugiej jednak, którą zmuszony był porzucić, zabrał wszystko, co najlepsze, i dotarł potem do domu bez żadnej złej przygody. Ludzie jego zaharowywali się przy wiosłach na śmierć, niemniej jednak przez cały czas ogromnie byli radzi. Im mniej ich bowiem zostawało przy życiu, tym więcej łupu przypadało na każdego. Przed wyprawą Kruka wielu z nich nie mogło sobie pozwolić nawet na wyżywienie choćby jednej wszy. Natomiast po powrocie z tej wyprawy nie było prawie w Lister bogacza, który mógłby się z nimi mierzyć. I oto żyli sobie bezpiecznie, we wszystko obfitując, dopóki nie wrócili do domu nasi ludzie i tego nie zobaczyli.

– Lecz i naszym nie brakowało przecież ani srebra, ani złota – wtrącił Orm.

– Nie byli biedni, wcale nie – przyznał Toke. – Byli bowiem rozsądni i dużo z sobą przywieźli z Hiszpanii, oprócz tego, co każdy z nich dostał w udziale za asturyjskich wiosłarzy, których sprzedaliśmy w Jellinge. I dopóki nie dotarli do domu, uważali, że szczęście im sprzyja, i bardzo byli z wszystkiego zadowoleni. Ale kiedy usłyszeli o Berse i jego ludziach, i zobaczyli ich osiadłych na rozległych majątnościach i posiadających płodne

bydło, doskonale łodzie i takie bogactwo, że nawet ich niewolnicy odchodzili od miski z kaszą stękając z przejedzenia i nie mając siły do czysta jej wydrapać, wtedy zmieniło się usposobienie naszych towarzyszy. Ponuro zaczęli rozpowiadać o trudach i mozołach, których zaznali przez siedem lat w kraju Andaluzyjczyków. I wzrastał w nich coraz większy gniew na ludzi Berse, którzy zaledwie dotknęli stopą ziemi hiszpańskiej, aby natychmiast odpłynąć do domu z łodzią pełną srebra i złota. Siedzieli przygarbieni na ławach, spluwając przed siebie w zamyśleniu, i sarkali, że piwo nie ma należytej mocy.

– Czy to poganin, czy to ochrzczony, człowiek jest już taki, że zadowala się swoim tylko dopóty, dopóki nie spotka sąsiada, co posiada więcej – zauważył ojciec Willibald.

– To prawda, że człowiek czuje się najlepiej, gdy jest bogaty – przytaknął Orm.

– Tylko jeden Gunne miał inne troski – ciągnął Toke. – Przed wyprawą Kruka był żonaty, a gdy wrócił Berse, a tych co nie wrócili, uznano za nieżyjących, żona Gunne wyszła za mąż po raz drugi i miała już kupę dzieciaków z nowym mężem. Gunne był zdania, że się postarzała i że wobec tego nie ma się o co użerać, i to zwłaszcza komuś, kto służył w straży przybocznej Almanzora. Swobodnie więc znalazł sobie młodszą i piękniejszą, aby włożyć jej na ramiona piękne, srebrne ozdoby. Ale i jemu nie starczyło tego długo na pociechę w innych przykrościach. Wszyscy czterej bowiem zgodnie uważali, że nie mogą bez odszkodowania pogodzić się z bogactwem ludzi Berse. Obeszli całą okolicę w otoczeniu zbrojnych krewniaków, domagając się godziwej części skarbów, które przypadły tym, co ocalili z obu łodzi Berse. Wszędzie spotykali się z odmową, zamkniętymi wrotami i bronią trzymaną w pogotowiu. Rozjątrzenie ich wzrosło wtedy jeszcze bardziej, do tego stopnia, że zaczęli uważać, iż ludzie Berse nie tylko są im winni wiele marek srebra, ale są też tchórzami bez czci, którzy odpłynęli pozostawiając Kruka i nas na pastwę, wtedy gdy łódź naszą wzięto do niewoli.

– Nie mogli nam nic dopomóc – wtrącił Orm – skoro zostało ich tak niewielu po stoczeniu boju. Widocznie sądzona nam była niewola przy wiosłach.

– Być może – przyznał Toke – ale od krewniaków Kruka roіło się w okolicy, a teraz zaczęli oni myśleć tak jak nasi i zażądali, aby im wypłacono dolę Kruka jako hövdinga. Obie strony chwyciły za broń i spór rozgorzał na dobre, prowadzony z wielką zaciętością. Gdy wróciłem do domu, Halle i Grinulf leżeli ranni po jakimś napadzie. Mimo to jednak nie upadli na duchu i chcieli zaraz ze mną rozmawiać. W napadzie zabito wielu ich wrogów, a dwóch spłonęło w domu podpalonym przez Ogmunda i jednego z braci Kruka. Kilku zaś spośród ludzi Berse, których rozleniwiał dobrobyt, zapłaciło, czego od nich żądano, aby tylko pozostawiono ich w spokoju. Inni jednak pienili się jak szaleni i domagali, aby Ogmunda,

Halle, Gunne i Grinulfa postawić poza prawem, a wraz z nimi także i mnie, gdybym im przyszedł z pomocą.

– Głowę dam – przerwał Orm – żeś nie siedział długo beczynnienie.

Toke skinął głową w zamyśleniu i odrzekł, że najchętniej siedziałby cicho i spokojnie ze swoją kobietą, bardzo sobie bowiem wzajemnie przypadli do smaku, co zresztą wcale się nie zmieniło aż do dziś. Nie mógł jednak odmówić pomocy przyjaciołom, gdyż ucierpiałoby na tym jego dobre imię. Przyłączył się więc do nich natychmiast. A w jakiś czas potem spotkał go na weselu u Gunne przykry wypadek – śmieszność, wstyd i nieszczęście, które sprawiły mu wiele przykrości i kosztowały niejedno ludzkie życie.

– I wieście obaj – ciągnął Toke – że gdy wam teraz opowiem, jak to było, możecie śmiać się do woli i nie sięgnę po broń, mimo że zabiłem już niejednego, co tylko się uśmiechnął z tego, co mnie spotkało. A było to tak. Wieczorem poszedłem pijany do ustępu i usadowiwszy się tam usnąłem, jak to się zdarza niejednemu na dobrych biesiadach. I tam właśnie zostałem pchnięty oszczepem przez dwóch nieznajomych, którzy podczołgali się pod tylną ściankę. Poderwałem się wysoko w powietrze i w mig odeszła mnie senność i miłe upojenie, bo mi się zdawało, że mnie zranili w podbrzusze. A oni obaj tak sądzili, słyszałem bowiem, jak się śmieli, zadowoleni, uciekając. Ale czy to niezdarnie parali się oszczepem, czy też te miały za długie drzewca, dość że trafili mnie w takie miejsce, iż wykpiłem się mniejszymi ranami, niż mi się zrazu zdawało. Niemniej długo musiałem leżeć w łożu, i to przez cały czas na brzuchu. A jeszcze dłużej trwało, nim znowu mogłem z zadowoleniem usiąść na ławie. Z wszystkiego, co mi się w życiu przydarzyło, to było najgorsze – gorsze nawet od niewoli na galerach u Andaluzyczyków.

– A więc nigdy nie dowiedziałeś się, kto cię pchnął? – spytał Orm.

– Dowiedziałem się, kto to był – odrzekł Toke – nie umieli bowiem utrzymać języka za zębami, lecz chępli się przed swoimi kobietami. Tą drogą wyszło na jaw i rozniosło po całej okolicy. Nazywali się Alf i Steinar, dwaj zarozumialcy z dobrego rodu, bratankowie Ossura Pyskacza, co był sternikiem na łodzi Berse i co zawsze się chępił, że po matce wywodzi się od króla Alfa Kochliwego z More. Dowiedziałem się o tym, gdym jeszcze leczył się z ran w łożu, i obiecałem sobie wtedy, że nie posmakuję piwa ani zaznam kobiety, dopóki ich nie zarąbię na śmierć. I wiercie mi albo nie, ale dotrzymałem tej obietnicy. Jak tylko stanąłem na nogi, polowałem na nich codziennie i w końcu szczęście uśmiechnęło się do mnie pewnego dnia, gdy wracaliśmy z połowów na morzu. Niewiele brakowało, a roniłbym łyzy radości widząc, jak przybijają do brzegu. Zaraz też rozgorzała na wybrzeżu walka na miecze, dopóki nie zarąbałem Steinara. Wtedy ten drugi uciekł, a ja puściłem się za nim w pogoń. Piękny to

był wyścig i szparko biegliśmy obaj na przełaj przez gąszcze i pastwiska, a potem dalej przez łąki do jego rodzinnej zagrody. Był to mąż chyzonogi, a przy tym ścigał się o swoje życie. Ale o to samo życie ścigałem się i ja. A także i o to, aby zmyć z siebie hańbę, no i aby oswobodzić się od danej sobie obietnicy. Niedaleko od jego zagrody dopadłem go w chwili, kiedy już mi się zdawało, że mi serce pęknie. I rozciąłem mu łeb aż po zęby, na oczach zniwiarzy. Nigdy chyba nie czułem się lepiej na duchu jak wtedy, gdy leżał tam przede mną nieżywy. Niezaczepiany, wróciłem do domu i przez cały dzień piłem piwo, powiedziawszy mojej kobiecie, że najgorsze jest już za nami. Tak dobrze jednak jeszcze nie było.

– Jakież jeszcze mogłeś mieć troski, kiedyś już osiągnął tak godną pomstę? – zdziwił się Orm.

– Sąsiedzi z całej okolicy, druhowie i wrogowie, nikt nie mógł zapomnieć, w jaki sposób otrzymałem moje rany – ciągnął Toke posepnie. – I naigrawaniom nie było końca. Sądziłem, że zemsta moja położy kres temu, gdy w pojedynkę zabiłem dwóch w otwartym boju. Ale niewiele to pomogło. Niejeden raz musiałem Rōdnābbą oduczać mężczyzn od uśmiechania się na mój widok, ale i to na nic się nie zdało. Bo nawet gdy przychodzili z poważnymi minami, budziła się we mnie złość, gdyż wiedziałem, o czym myślą. Ułożyłem dobrą piosenkę o tym, jak to zabiłem Alfa i Steinara. Ale wnet dowiedziałem się, że w okolicy krążą trzy piosenki o tym, w jaki sposób oni mnie ranili, i że w okolicznych zagrodach zaśmiewają się przy nich do rozpuku. Wtedy pojąłem, że już nigdy nie będę czuł się dobrze w swoich stronach. I wraz z moją kobietą i całym dobytkiem powędrowałem poprzez wielką puszcę do Varend. Miałem tam krewniaków i tam kupiłem sobie zagrodę. Odtąd tam mieszkam, żyję sobie zadowolony i jeszcze bogatszy niż zaraz po przybyciu, dzięki korzystnemu handlowi skórami. Mam trzech synów, którzy – jak na to wygląda – powinni wyrosnąć kiedyś na dorodnych mężów. Mam także córkę, o którą będą się zabijać zalotnicy, kiedy przyjdzie na to pora. Ale o nieszczęśliwym wypadku, który wygnał mnie z Lister, nie pisałem nigdy nikomu ani słowa. Tylko tobie, Ormie, i tobie, mały księżulu, opowiedziałem o tym dlatego, że mogę polegać, iż nikt inny nie dowie się tego od was. Wtedy bowiem znowu zaczęłyby się kpiny i naigrawania, choć minęły już cztery lata od chwili, gdy mi się przytrafiło owo nieszczęście.

Orm przyznał, że opowiadanie było ucieszne, dodając, że Toke nie potrzebuje obawiać się gadulstwa z jego strony.

– Chętnie jednak posłuchałbym piosenek o tobie – dorzucił – choć to prawda, że nikt nie lubi powtarzać szyderczych piosenek o sobie samym.

Ojciec Willibald wychylił dzban i oświadczył, że to, czego wysłuchali – o zazdrości i sporach, pchnięciach oszczepem w to czy owo miejsce, o zemście i o szyderczych

piosenkach oraz o innych tym podobnych sprawach – nie należy do opowieści, których by słuchał z wielkim zadowoleniem, bez względu na to, co w tej sprawie myśli sobie Orm.

– I możesz też być pewny, Toke – dodał – że nie będę latał o tym plotkować, lepsze mam bowiem rzeczy do opowiadania. Jeśli jednak ma ci to wyjść na dobre, powinieś wyciągnąć naukę z tego, co ci się wydarzyło. W dworzyszczu królewskim widziałem i z opowiadań Orma o tobie wiem, że zawsze byłeś śmiały i nieustraszony, wesół i pewny siebie. A mimo to, gdy przytrafi ci się nieszczęśliwy wypadek, który daje głupim ludziskom powód do śmiechu, stajesz się słaby i bojaźliwy do tego stopnia, że musiałeś uciekać ze stron rodzinnych, gdy odkryłeś, że siła twego ramienia nie może ukrócić drwin. To już lepiej jest z nami, chrześcijanami. Dobrzy chrześcijanie bowiem nie troszczą się o to, co myślą sobie ludzie, lecz tylko o to, co się podoba Bogu. Starym jestem człowiekiem i niewiele mam w sobie siły, lecz mimo to silniejszy jestem od ciebie. Nikt bowiem nie przestraszy mnie kpinami i nie wywoła niepokoju i zamętu w moim umyśle. Kto ma oparcie w Bogu, nic sobie nie robi z ludzkiego gadania i nie boi się plotek i pośmiewiska.

– Oto rozsądne słowa, nad którymi warto się zastanowić – zauważył Orm. – Musisz bowiem wiedzieć, Toke, że ten ksiądz ma więcej rozumu niż ty i ja razem wzięci i że warto słuchać jego rad.

– Widzę, że piwo zaczyna działać na was obu – odrzekł Toke – skoro raczycie mnie takim gadaniem. Czy to twój pomysł, mały księżulu, by zrobić ze mnie chrześcijanina?

– Oczywiście – rzekł stanowczo ojciec Willibald.

– Wielkie bierzesz na siebie zadanie – rzekł Toke – i będzie to chyba trudniejsze i bardziej kłopotliwe niż wszelkie inne nawracania na chrześcijaństwo, którymiś się dotychczas zajmował.

– Nie przyniosłoby ci to żadnego wstydu zostać chrześcijaninem – wtrącił Orm. – Widzisz przecież, że ja nim zostałem. Ani nie osłabłem od tego na rozumie, ani też nie stało się słabsze moje ramię, i nigdy też nie potrzebowałem narzekać na moje szczęście od dnia, kiedym się ochrzcił.

– Może być – przyznał Toke – ale ty nie jesteś handlarzem skór tak jak ja. Handlarz skór nie może być chrześcijaninem w tym kraju. Wzbudzałoby to podejrzania u tych, z którymi robię interesy. „On zdradził swoich bogów – powiedzieliby Virdowie – któż więc może na nim polegać w innych sprawach?” Nie i nie. W imię przyjaźni do ciebie, Ormie, i do ciebie, mały księżu, zrobiłbym doprawdy wiele, ale nie to. A Mirah, moja kobieta, wpadłaby chyba w furję. Ze wspomnień z kraju rodzinnego zachowała wciąż jeszcze to, że nienawidzi chrześcijan ponad wszystko. A na mój rozum usposobienie jej jest dostatecznie gwałtowne

i bez tego, lepiej więc nie rozdrażniać jej jeszcze bardziej takimi pomysłami. Dlatego też na próżno usiłujesz mnie namówić, mały księże, mimo że jestem twoim przyjacielem i zamierzam nim pozostać.

Nawet sam ojciec Willibald nie umiał z tego wybrnąć. Orm zaś ziewnął mówiąc, że zrobiła się późna noc i że czas już iść spać. Rozstali się więc z Toke w wielkiej przyjaźni. A Toke i Orm wychwalali obaj swoje szczęście, że się znowu odnaleźli, i postanowili w przyszłości często się spotykać.

Orm i ojciec Willibald udali się z powrotem do swego obozowiska. Panował tam spokój i cisza. Strużki dymu snuły się z wygasłych ognisk, a w świetle księżycy leżeli pochrapując pogrążeni we śnie ludzie. Ale jeden z towarzyszy Orma czuwał jeszcze i uniósł głowę, gdy do niego podeszli.

– Przysłano tu coś dla was obu – rzekł sennym głosem. – Ten oto worek, który tam widzicie. Sowy nie przestają krzyżeć do czasu, kiedy go dostałem. Podeszedłem do strumyka napić się wody i wtedy od strony obozowiska Finnvedingów nadszedł jakiś mężczyzna i spytał o ciebie, Ormie. Powiedziałem mu, żeś poszedł do Virdów. Wtedy on przerzucił przez strumyk ten worek, który upadł u moich stóp. I krzyknął, że jest to pozdrowienie dla Orma z Gröning i dla jego długonosego księdza. Zapytałem go, co jest w worku. „Kapuściane głowy” – odparł śmiejąc się i szybko się oddalił. Ja zaś sądzę, że to coś innego, i to o wiele gorszego. Macie tu worek. Nikt nie tykał rzemienia, którym jest związany.

Położył worek u stóp Orma, po czym legł i natychmiast zapadł w sen.

Orm popatrzył z ponurą miną na worek i podniósł oczy na księdza. Obaj pokiwali głowami.

– Ta jakieś diabelstwo – rzekł ojciec Willibald. – Inaczej być nie może.

Orm rozwiązał rzemień i wysypał zawartość worka. Dwie głowy ludzkie potoczyły się na ziemię, a ojciec Willibald padł z krzykiem na kolana.

– Obaj są goleni – mówił. – To kapłani Chrystusa zamordowani przez pogan! Jakżeż może umysł ludzki zrozumieć w pełni wolę Boską, kiedy diabłu wolno się nacieszyć takim dziełem?

Przyjrzał się bliżej obu głowom i wyciągnął ramiona ku niebu.

– Znam ich obu, znam ich obu, poznaję ich – powtarzał.

– To wielce pobożny ojciec Sebastian, którego nasz szalony magister miał wykupić z niewoli. Bóg go teraz wyzwolił i posadził wysoko na niebiosach, pośród świętych męczenników. Ten drugi zaś to brat Nithard z Reims, który swego czasu przebywał z biskupem Popponem u króla Haralda. Potem udał się do Skanii i odtąd wszelki słuch o nim

zaginał. Musiał i on dostać się do niewoli. Poznaje go po uchu. Zawsze bowiem pałał wielką gorliwością i zapalem dla prawdziwej wiary i razu pewnego na cesarskim dworze jeden z mnichów cesarzowej Teofano, z miasta Konstantynopola, które Normanowie nazywają Miklagrodem, odgryzł mu ucho, gdy spierali się z sobą o pochodzenie Ducha Świętego. Brat Nithard zwykł zawsze mawiać, że poświęcił ucho w walce przeciw herezji i że chętnie oddałby głowę w walce z pogaństwem. I oto teraz stało się tak, jak mówił.

– Jeśli sam sobie tego życzył, to chyba wszystko w porządku – zauważył Orm. – Ale ja sądzę, że Finnvedingowie nie pozbawili tych kapłanów głowy po to, aby im dogodzić, bez względu na to, jak bardzo byli oni świętobliwi. Głowy te przysłano, aby przysporzyć nam wstydu i przykrości. To nagroda za to, żeśmy ochrztili Östena i jego dwóch towarzyszy i żeśmy puścili ich wolno, zamiast zabić, kiedy byli w naszych rękach. Musisz teraz tego żałować, tak samo jak ja.

– Dobry uczynek jest zawsze dobry i nie trzeba żałować niczego, co za sobą pociąga – odparł ojciec Willibald. – A te święte głowy pochowam w moim kościele. Wielka bowiem moc od nich przybędzie.

– Na razie idzie od nich smród – rzekł ponuro Orm – ale może być, że masz słusność.

I na rozkaz ojca Willibalda pomógł mu zbierać trawę i liściaste gałązki, którymi napchali worek. Na podściółce tej ułożyli starannie obie głowy, po czym znów zawiązali worek rzemieniem.

XII.

TING PRZY KAMIENIU KRAKE

Następnego dnia rano każde plemię – Virdowie, Finnvedingowie i Goińczycy – wybrało po dwunastu przedstawicieli. Wybrani podeszli do miejsc, które z dawien dawna dla nich były przeznaczone, i zasiedli półkolem przed kamieniem, każda dwunastka osobno. Dwunastka przedstawicieli Virdów siedziała pośrodku półkola i ich hövding podniósł się pierwszy, aby zabrać głos. Nazywał się Ugge Jąkała, syn Oara. Był to bardzo stary człowiek, o którym mówiono, że jest najmędrszy w całym Varend. Jak sięgnąć pamięcią, zawsze trudno mu było się wysławiać, wszyscy jednak zgodnie uważali, że tym silniejszy był w myśleniu. I opowiadano, że wyróżniał się mądrością już w swoich młodych dniach, kiedy to potrafił czasem przesiedzieć przez trzydniowy ting nie powiedziawszy ani słowa i tylko od czasu do czasu powoli potrząsając głową.

Ugge podszedł do kamienia i zwróciwszy się do koła przemówił:

– Według odwiecznego ojców zwyczaju zebrali się tu mądrzy ludzie. Bardzo mądrzy ludzie z Varend, Goingii i Finnveden. I dobrze się stało. Witam was i ogłaszam mir na czas naszych narad. I niech mądrość wasza wyjdzie wszystkim na pożytek. Przybyliśmy tu, aby radzić nad pokojem. Bo tak już jest z ludźmi, że jedni są takiego zdania, a drudzy znów odmiennego. Stary jestem, wiele przeżyłem i wiem, co o tym myśleć. Uważam, że pokój jest dobrą rzeczą. Lepszą niż spory, lepszą niż pożoga, lepszą niż zabójstwo. Przez całe trzy lata panował między nami pokój i żadna stąd nie wynikła szkoda. Nie będzie też szkody, jeśli pokój trwać będzie nadal. Ci, co mają jakieś skargi, zostaną wysłuchani i rozsądzeni. Ci, co pragną się nawzajem pozabijać, mogą to zrobić od razu tu, pod tym wielkim głazem, według tingowego prawa i zwyczaju. Lecz pokój jest najlepszy.

Gdy skończył mówić, Virdowie rozejrzeli się dokoła, dumni ze swego hövdinga i jego mądrości. Po czym podniósł się hövding Goińczyków na ting. Nazywał się Sone Jasnowidz i był tak sędziwy, że dwóch najbliższych siedzących wzięło go pod ramiona, gdy się chciał podnieść. On jednak odepchnął ich gniewnie od siebie i podreptał żwawo do kamienia, gdzie stanął obok Ugge. Był wysoki i kościsty, wysuszony i przygarbiony od starości, z twarzy sterczał mu długi nos, a okalała ją cętkowana broda. I choć wrześnie słońce mocno przygrzewało w bezwietrznej pogodzie, miał Sone na sobie futrzany kubrak po kolana, a na głowie ciepłą lisią czapę. Wyglądał na ogromnie mądrego i cieszył się od dawna niezmiernym rozgłosem. Wszyscy wiedzieli o jego jasnowidztwie. Potrafił znaleźć ukryte skarby, czytał

przyszłość i umiał przepowiedzieć nieszczęście. Ponadto był siedem razy żonaty i miał dwudziestu trzech synów i jedenaście córek. A mówiono, że zawsze dążył do tego, aby mieć równe dwunastki obojga gatunków. I za to właśnie cieszył się największą sławą pośród Goińczyków.

Także i on ogłosił mir dla tingu i wielu pięknymi słowy wychwalał pokojowość Goińczyków, tak wielką, że od całych czterech lat nie podejmowali żadnej wyprawy wojennej na Virdów ani na Finnvedingów.

– Obcy – mówił – mogliby może tłumaczyć to tym, że lenistwo i zniewieściałość zaczynają się krzewić w Goingii. Ale ci, co tak myślą, mylą się. Bo Goińczycy tak jak ich ojcowie zawsze gotowi są dać ostrzem miecza naukę każdemu, kto chciałby im wyrządzić szkodę. Może zresztą o tym poświadczyć niejeden spośród tych, co tego próbowali. Błędem też byłoby sądzić, że pokój panował dlatego, iż lata te były pomyślne, zbiory obfite, pastwiska żyzne, a bydło nie znało, co to zaraza. Albowiem syty Goińczyk nie gorszym jest wojem od wygłodniałego ani też nie ma odeń łagodniejszego usposobienia. Nie – mówił – wszystko polegało na jednym, a mianowicie, że znaleźli się mądrzy i roztropni mężowie i że słuchano ich rad.

I dopóki takich mężów nie zabraknie i cieszyć się będą posłuchem – ciągnął Sone – dopóty będzie się nam dobrze wiodło we wszystkim. Jest ich jednak co roku mniej, a prócz Ugge i mnie samego nie widzę tu na tingu niemal nikogo, na kim można by w pełni polegać. Dlatego też bardziej niż kiedykolwiek trzeba, aby młodszy pokolenie, co nie mają jeszcze ani siwego włosa w brodzie, słuchali nas, aby w ten sposób nauczyć się czegoś z tej mądrości, której sami niewiele jeszcze mają. Dobrze jest bowiem, gdy rządzą starzy, a młodzi rozumieją, że ich własny rozum jest niewielki.

Jako trzeci wystąpił obecnie hövding Finnvedingów i stanął obok dwu swoich poprzedników. Nazywał się Olof Motyl i choć jeszcze zupełnie młody, cieszył się już wielkim rozgłosem. Był to mężczyzna rosły i smagły, o bystrym spojrzeniu i dumnej postawie. Przebywał kiedyś na Wschodzie, na służbie u wielkiego kniazia w Kijowie i u cesarza w Miklagrodzie, skąd wrócił do domu z wielkim bogactwem. Przydomek Motyla nadano mu po powrocie do domu, z powodu przepychu i pięknych kolorów, którymi odznaczała się zawsze jego odzież. Sam on lubił ten przydomek.

Wszyscy Finnvedingowie, zarówno z grona członków tingu, jak i zebranego za nimi pospólstwa, wznosili radosne okrzyki, gdy Olof szedł w kierunku głazu. Wyglądał bowiem doprawdy jak hövding. A kiedy stanął przed kamieniem obok tamtych dwóch, różnica między

nimi była ogromna. Miał na sobie zielony płaszcz szyty złotą nicią i lśniący, srebrny hełm na głowie.

Ogłosivszy także ze swej strony mir dla tingu, Olof oświadczył, że jego zaufanie do mądrości starców nie jest być może tak wielkie jak ich własne. Zdrowy rozsądek – mówił – można znaleźć i gdzie indziej, a może nawet głównie gdzie indziej. Mimo to nie chce sprzeciwiać się starcom, gdy utrzymują, że pokój to dobra rzecz. Wszyscy powinni jednak wziąć pod uwagę, że coraz trudniej utrzymać ten pokój, a to głównie z powodu zaburzeń, które tu i ówdzie zaczynają wywoływać chrześcijanie swoją złością i podstępą przebiegłością.

– A mówiąc o chrześcijanach wiem, o czym mówię – ciągnął. – Wszystkim bowiem wiadomo, że przez pięć lat przebywałem w Miklagrodzie i służyłem tam u obu cesarzy, Bazylego i Konstantyna. Napatrzyłem się do syta, jak źli są chrześcijanie nawet wtedy, gdy tylko siebie wzajemnie mają do dręczenia. Dla drobnostki wrywają sobie nosy i uszy ostrymi obcęgami lub trzebią nawzajem na rzezańców. Młode kobiety, nawet piękne, zamykają często w kamiennych domach, zakazując im wszelkiego obcowania z mężczyznami. Taka zaś, co przekroczy ten zakaz, zostaje zamurowana żywcem w dziurze w kamiennej ścianie, gdzie musi umrzeć głodową śmiercią. Zdarza się czasem, że ludowi temu sprzykrzy się ich cesarz lub nie spodobają się nakazy. Wtedy łapią cesarzy wraz z synami i przykładają im blisko do twarzy rozpalone żelazo, dopóki źrenice nie zajądą im mgłą ślepoty. A wszystko to ludzie ci robią z powodu chrześcijaństwa, które wyznają. Uważają bowiem za mniejszą nieprawość okaleczyć niż zabić. I z tego możecie sobie sami wyobrazić, co to za gatunek ludzi. Jeśli postępują tak z sobą nawzajem, jakimież okazaliby się dopiero wobec nas, którzy nie jesteśmy tak jak oni chrześcijanami, gdyby tylko nabrali dostatecznej siły? Toteż niech każdy zawczasu dobrze rozważy, co robić, aby niebezpieczeństwo takie można było odeprzeć, zanim się wzmoże. Czyż nie byliśmy niedawno wszyscy świadkami, jak chrześcijański kapłan przedarł się aż do tego kamienia i dokonał zabójstwa na oczach virdyjskich kobiet? Przywiedli go tu Goińczycy, być może w jakichś złych zamiarach. Ale to jest już sprawa między nimi a Virdami i nie obchodzi wcale nas, Finnvedingów. Z pewnością jednak byłoby dobrze, gdyby tu na tingu postanowiono, że wszystkich chrześcijańskich księży, co przychodzą do Goińczyków, Virdów i Finnvedingów, należy natychmiast zabijać, a nie trzymać przy życiu w niewoli, a tym bardziej dopuszczać, by wędrowali bez przeszkód ze swymi sztuczkami i gadaniną. Takim bowiem postępowaniem można by zapobiec wielu niepożądanym zajściom i łatwiej dałoby się utrzymać pokój.

Tak mówił Olof Motyl, a wielu przytakiwało z uznaniem jego słowom.

Potem wszyscy trzej mówcy zasiedli na trzech przeznaczonych dla hövdingów głazach, na murawie przed kamieniem Krake, i rozpoczął się ting. Zgodnie ze starym zwyczajem spory wynikłe na miejscu zebrań tingu rozstrzygano natychmiast, toteż sprawa magistra pierwsza weszła pod obrady. Ugge zażądał grzywny za zabitego Styrkara i zapytał, do kogo należy kapłan i skąd się wziął na tingu. Orm, który zasiadał w kręgu, podniósł się i odpowiedział, że ksiądz należy chyba do niego, jakkolwiek jest wolnym człowiekiem, a nie niewolnikiem.

– I kogoś łagodniejszego można by długo szukać – dodał. – Nie jest on gwałtownikiem i jedyne, na czym się rozumie, to czytanie pisma, śpiewanie i wkradanie się w łaski kobiet. Na ting zaś sprowadziła go sprawa, która stała się już płonna.

Opowiedział o magistrze i o tym, jak to wysłano go z Hedeby, aby zajął miejsce księdza trzymanego w niewoli u Finnvedingów, lecz tymczasem już przez nich zabitego.

– I o tym pomówimy jeszcze później – dorzucił. – Jak zaś było ze śmiercią Styrkara, o tym niech świadczą ci, co to widzieli. Ja bowiem nie wierzę, aby ten ksiądz zdolny był do zabójstwa.

Także i Sone Jasnowiedz wyraził zdanie, że trzeba przesłuchać świadków.

– Ale bez względu na to, jak się potoczy sprawa – dodał – nie wyniknie stąd żadna niezgoda między Virdami a Goińczykami. Ty sam, Ugge, będziesz sędzią w tym sporze. Człowiek, o którego chodzi, to cudzoziemiec, niewiele wart, a w dodatku chrześcijanin. Toteż niewielka będzie po nim żałoba bez względu na to, jaki wydasz wyrok. No i od nas, Goińczyków, nie możesz się domagać grzywny za zabójstwo – czyn człowieka, który jest dla nas obcy.

Przesłuchano świadków. Wielu widziało, jak Styrkar zlatywał na wznak z kamienia z głośnym krzykiem, nikt jednak nie widział, by trafił go jakiś cios. Nawet Toke Graagulleesson, który zasiadł w dwunastce Virdów i który pierwszy pojawił się na miejscu wydarzenia, nie umiał powiedzieć nic pewnego w tej sprawie. Wyjaśnił jednak, że krzyż, trzymany przez chrześcijańskiego księdza w rękach i będący jedyną jego bronią, sklecony był z tak wątych gałązek, że nadawałby się co prawda nieźle do zabicia wszy, lecz nie można nim było zrobić wielkiej szkody takiemu żywotnemu, staremu lisowi jak Styrkar. On, Toke, przypuszcza więc, że staruch poślizgnął się i skrzył kark przy upadku. Jak jednak było istotnie, powinny najlepiej wiedzieć kobiety, które znajdowały się na miejscu wypadku, jeśli naturalnie zechcą powiedzieć prawdę.

Ugge po namyśle przyznał w końcu, że nie ma innej rady, jak tylko wysłuchać świadectwa kobiet.

– Kobiety Virdów są według naszego prastarego prawa pełnowartościowymi świadkami – ciągnął – choć nikt nie potrafi wytłumaczyć, jak można było coś podobnego postanowić. To też prawda, że nie zwykliśmy wzywać ich świadectwa bez istotnej potrzeby. Albowiem szukać prawdy u mężczyzny to tak, jak szukać kukułki w głębokim lesie. Szukać zaś prawdy u kobiet to tak, jak szukać echa po kukułczym kukaniu. Tutaj jednak tylko kobiety widziały, co zaszło naprawdę. A zabójstwo kapłana na świętym miejscu to sprawa, którą należy osądzić z całą starannością. Niech więc i kobiety złożą swoje świadectwo.

Kobiety trzymały się w pogotowiu. Wystąpiły całą gromadą i te młode, co skakały dookoła kamienia, i baby, które pomagały Stykarowi. Wszystkie miały na sobie najlepsze szaty i najpiękniejsze ozdoby, bransolety i naszyjniki, grube zapinki i barwne chusty na głowach. Gdy stanęły przed sędziami, wyglądały zrazu na spłoszone. Wiodły z sobą magistra. Ten wyglądał nędznie i siedł z rękami związanymi do tyłu. Na szyi miał postronek, na którym kilka bab prowadziło go tak, jak poprzednio prowadziły capy do kamienia. Na ten widok grzmiący śmiech rozległ się wśród członków tingu i tingowego pospólstwa.

Ugge przekrzywił głowę i drapiąc się za uchem, przyglądał się kobietom z zafrasowaną miną. Wyjaśnił im potem, że mają opowiedzieć, jak było ze śmiercią Stykara i czy ich więzień zabił go, czy też nie. Powinny mówić prawdę. A byłoby także dobrze – dodał – gdyby zechciały świadczyć tylko po dwie, trzy naraz.

Kobiety bały się zrazu dźwięku własnych głosów i szeptały tylko między sobą, bezskutecznie namawiając się, aby któraś rozpoczęła. Niebawem jednak otrząsnęły się z nieśmiałości i zaczęły świadczyć na dobre. Ich więzień mówiły – podszedł do kamienia wołając coś głośno i uderzył Stykara w łeb krzyżem, tak że tamten głośno krzyknął. A potem więzień przyłożył Stykarowi krzyż do brzucha i strącił go z kamienia. Tak wszystkie zgodnie zeznały i tylko mówiły, że ksiądz chrześcijański uderzył Stykara raz, podczas gdy drugie utrzymywały, że dwa razy. I co do tego doszło nawet między nimi do sprzeczki.

Gdy magister usłyszał te zeznania, zbladł jak płótno ze strachu i zdumienia. Podniósł związane ręce ku niebu i zawołał wielkim głosem: „Nie, nie!” Nikt jednak nie troszczył się o to, co on zamierzał powiedzieć więcej, a baby szarpały za postronek, aby go uciszyć.

Ugge stwierdził, że świadectwo to jest więcej niż wystarczające, gdyż zeznania kobiet winny być uznane za wiarygodne, gdy tak wiele ich mówi to samo. To zaś, czy zabójca uderzył raz, czy dwa razy, nie ma zbyt wielkiego znaczenia dla sprawy, która stanowi wyraźny wypadek zabójstwa kapłana w miejscu świętym.

– Przewinienia te – ciągnął Ugge – należą z dawien dawna do najcięższych z wszystkich przestępstw. I zdarzają się tak rzadko, że niejednen przesiedzi całe życie na tingach i ani razu

nie ma sposobności sądzić w takiej sprawie. Toteż może nikt oprócz nas starych, Sone i mnie, nie zna nawet kary za tę zbrodnię, ustanowionej bardzo dawno temu. Chyba że ty, Olofie, co się uważasz za mądrzejszego od nas, także ją znasz?

Po Olofie widać było, że nie w smak mu poszło to pytanie. Odpowiedział jednak szybko, że często słyszał, iż za takie przestępstwa wiesza się zabójcę za stopy na najniższej gałęzi drzewa z głową umieszczoną w mrowisku.

Ugge i Sone uśmiechnęli się na te słowa z zadowoleniem.

– Można się było spodziewać, że za młody jeszcze jesteś, aby to wiedzieć – zauważył Ugge. – Bo osiągnięcie mądrości i uczoności zabiera więcej czasu, niż sądzisz. Właściwa kara za tę zbrodnię polega na tym, że zabójcę oddaje się Yggowi, jak w dawnych czasach ojcowie nasi nazywali Odyna. I niech Sone powie jak to się odbywa.

– Bierze się dwadzieścia oszczepów bez wady – zaczął Sone – oszczepów o drzewcach nie tkniętych próchnicą. Na każdym z tych oszczepów, tuż poniżej okucia, należy mocno przytwierdzić poprzeczkę. Potem wbija się oszczepy w ziemię do połowy ich długości, gęsto obok siebie, ostrzami do góry. I na ostrza te rzuca się zabójcę, który ma tak na nich tkwić, dopóki kości jego nie spadną na ziemię.

– Tak to jest – potwierdził Ugge. – Ale o jednym zapomniałeś, Sone. Należy go rzucić tak, aby upadł grzbietem na ostrza oszczepów i leżał twarzą zwrócony ku niebu.

Pomruk zadowolenia przeszedł przez całe zgromadzenie, gdy ludzie usłyszeli o tej karze, tak rzadkiej i starej, że nikt jej nigdy na własne oczy nie oglądał. Magister uspokoił się już tymczasem i stał z zamkniętymi oczyma, mruczając coś pod nosem. Natomiast wśród kobiet powstał wielki niepokój. Wołały głośno, że to szaleństwo i że one tak sobie tego nie wyobrażały. A parę z nich, spokrewnionych z Ugge, przedarło się aż do niego, nazywając go starą purchawką i pytając, dlaczego im tego nie powiedział, zanim złożyły swoje świadectwo. Zeznały tak, jak zeznały, dlatego że chciały zachować tego księdza – mówiły. Polubiły go bowiem i uważają za lepszego od Styrkara, a sądziły, że jeśli powiedzą inaczej, zostanie puszczony wolno i odejdzie z Gończykami.

Ale najgłośniej darła się jedna ze starych bab, siostrzenica Styrkara, i w końcu inne umilkły, aby posłuchać tego, co mówiła. Rosła i grubokoścista, trzęsła się ze złości, przemawiając do Ugge. Wołała, że w Varend nie będzie ładu, dopóki nie zaczną sądzić kobiety, a starców nie zasadzi się w drwalni, by grali z sobą w patyczki.

– Przez wiele lat opiekowałam się Styrkarem, czarownikiem, i miałam z niego dochody! – krzyczała. – Z czegoż będę teraz żyła, gdy go już nie ma? Słyszysz, co mówię, ty stary dziadu? Oto przychodzi inny kapłan, piękny, młody człowiek, wyglądający na mądrego

i potulnego, i przyprawia Styrkara o śmierć. I nikt nie może zaprzeczyć, że był już na to najwyższy czas. A ty co wtedy robisz? Jakie odszkodowanie mi obiecujesz? Każesz rzucić tego młodzieńca na groty oszczepów, bez żadnego pożytku dla nikogo! Ale ja ci powiadam, że macie go mnie przysądzić w zamian za Styrkara, którego straciłam. To zdatny kapłan i zakończenie tańca dokoła kamienia załatwił ku ogólnemu zadowoleniu, a za dziewięć miesięcy całe Varend dowie się, jak poskutkowały jego zaklęcia. Do takiego kapłana wielu się będzie zwracać po radę, przynosząc różne podarki, i wtedy ja będę mieć na swoje utrzymanie, jeśli wezmę go za męża czy za niewolnika. Co po nim, jeśli go nadziać na oszczepy? Połóż się na nich lepiej sam, skoro się już robisz ślepy ze starości i uczoności! Jeśli jest jeszcze jakaś sprawiedliwość na świecie, to ja muszę dostać tego księdza jako grzywnę za zabójstwo. Słyszysz, co ci mówię?!

Podsunęła Ugge pod nos zaciśnięte pięści i wydawało się, że ma zamiar napluć mu w twarz.

– Ona ma słuszość! Ona ma słuszość! Katla ma słuszość! – wykrzyknęły kobiety. – Chcemy go mieć zamiast Styrkara! Potrzebujemy takiego jak on kapłana.

Ugge oganiał się oburącz i krzyczał z całych sił, aby je uciszyć. Siedzący zaś obok niego Olof Motyl omal nie przewalił się na grzbiet z głazu, na którym siedział, tak go rozbawiły tarapaty mędrca.

Ale Sone Jasnowidz podniósł się i przemówił głosem, od którego wszyscy zamarli bez ruchu.

– Mir ogłoszono dla tego tingu – rzekł – i wielka jest cierpliwość mądrych mężów wobec kobiet. Źle byłoby, gdybyśmy musieli stwierdzić, że mir został zakłócony. A najgorzej wyszłybyście na tym wy, kobiety. Wtedy bowiem moglibyśmy was skazać na chłostę witkami brzozowymi lub z giętej leszczyny na oczach całego tu zebranego ludu. A to byłaby dla was ciężka hańba do dźwigania. Wszyscy śmieliby się wtedy na wasz widok do końca waszego życia i żadna z was chyba sobie tego nie życzy. Dość już więc krzyków i obelg. O jedno tylko chcę was jeszcze zapytać, nim odejdziecie z tego miejsca. Czy kapłan chrześcijański uderzył Styrkara, czy też nie?

Kobiety uspokoiły się tymczasem. Jednomyślnie odpowiedziały, że ksiądz nie tknął wcale Styrkara, lecz tylko coś wołał i podniósł oczy w górę, a wtedy stary upadł na wznak z kamienia i zabił się. Tak – mówiły – wygląda cała prawda. Bo i one umieją powiedzieć prawdę, tak jak każdy inny, byleby tylko wiedziały, co z tego może wyniknąć.

Kazano im teraz odejść – wszystkim, nawet Katli z jej więźniem, a Ugge naradzał się ze swoją dwunastką. Kilku było zdania, że księdza trzeba uśmiercić, albowiem jasne, iż to on

pozbawił Stykara życia przy pomocy czarów. Księża chrześcijańskich należy zabijać – mówili – a im prędzej się go pozbęda, tym lepiej. Inni jednak przeciwstawiali się temu, utrzymując, że taki, co umiał czarami pozbawić życia Stykara, wart jest, by pozostawić go przy życiu. Wtedy bowiem z pewnością przyniesie pożytek także i kobietom. Trzeba ponadto myśleć również i o tym, co mówiło owo babsko, zwłaszcza że od Goińczyków nie można, jak widać, domagać się żadnej grzywny. Koniec był taki, że Ugge orzekł, że Katla zatrzyma księdza jako niewolnika aż do czwartego tingu i przez ten czas ma prawo zarabiać na nim, ile potrafi. Ani Sone, ani nikt inny nie miał temu wyrokowi nic do zarzucenia.

– Sam nie zawyrokowałbym lepiej – wyznał Orm ojcu Willibaldowi, gdy rozmawiali później o tej sprawie. – Magister musi teraz starać się żyć w zgodzie z babami. I tak przecież szedł oddać się w niewolę Smalandczykom.

– Duch Święty musiał go natchnąć mimo jego ułomności, gdy wystąpił przeciw pogańskiemu guślarzowi i tym okropieństwom przy kamieniu – mówił ojciec Willibald. – I może być, że dane mu będzie dokonać wielkich rzeczy na chwałę Bożą.

– Być może – rzekł Orm. – Najlepsze jednak wydaje mi się to, żeśmy się go pozbyli z głowy. Mężczyzna może czerpać rozkosz z kobiety – i to nie tylko ze swojej – gdy jest na wojennej wyprawie. I nic tu się nie da zarzucić. Mam jednak odrazę do takiego jak ten, w dodatku niedojdy i chrześcijańskiego księdza, dla którego wszystkie kobiety tracą głowy, jak tylko go zobaczą. Coś takiego wydaje mi się niesłuszne i sprzeczne z naturą.

Wiele będzie musiał odpokutować, gdy ta Katla dostanie go w swoje pazury – pokiwał smutno głową ojciec Willibald. – I jedno jest całkiem pewne, że wolałbym znaleźć się w jaskini wygłodniałych lwów razem z prorokiem Danielem, o którym ci opowiadałem, aniżeli w jego skórze. Ale taka jest widocznie wola Boska.

– Oby i nadal była dla nas tak łaskawa! – zakończył z nabożeństwem Orm.

Ting ciągnął się przez cztery dni i wiele spraw rozsądzono. A mądrość Ugge i Sone wychwalali pod niebiosa wszyscy prócz tych, przeciw którym obracały się ich wyroki. Nawet Olof Motyl okazał się roztroprnym sędzią i mimo swoich młodych lat wielce doświadczonym, tak że sam Ugge nieraz dawał do zrozumienia, iż z czasem może jeszcze coś z niego wyrosnąć. Przy trudnych sporach, gdzie pojednanie między stronami było niemożliwe i gdy opinie sędziów z ich dwunastki ostro od siebie odbiegały, przy ustalaniu jednolitego wyroku pomagał według – starego zwyczaju trzeci sędzia, już bez swojej dwunastki. I parę razy, gdy wynikł spór między Virdami a Goińczykami, Olof Motyl zasiadał jako bezstronny trzeci sędzia i wywiązał się ze swego zadania zaszczytnie.

Tak więc dotąd wszystko szło dobrze. Wśród tingowego pospólstwa zaznaczał się jednak coraz większy niepokój, albowiem nie doszło jeszcze do żadnego ciekawego pojedynku. Co prawda drugiego dnia obrad, przy sporze między pewnym Finnvedingiem a pewnym Goińczykiem w sprawie kradzieży koni, ting postanowił rozstrzygnąć spór pojedynkiem. Nie było bowiem świadków, a obie strony odznaczały się równym uporem i pomysłowością w kłamaniu. Kiedy jednak przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie na udeptanym polu, zachowali się obaj tak niezdarnie, że od razu przeszli sobie nawzajem brzuchy mieczami i padli bez życia jak dwie skorupy rozbitego glinianego dzbana. Nikt więc nie nacieszył się tą walką i tingowe pospólstwo krzywiło się kwaśno po tym wydarzeniu, uważając, że ting źle przebiega.

Dopiero trzeciego dnia humory się poprawiły, gdyż przyszło do osądzenia trudnego sporu, który wyglądał na bardzo obiecujący.

Dwaj Virdowie, imieniem Askman i Glum, obaj mężowie znaczni i cieszący się poważaniem, wystąpili ze skargą o porwanie dwóch kobiet. Stracili oni córki na wydaniu w najpiękniejszym rozkwicie młodości, porwane w leśnej głuszy na wschód od Wielkiej Drogi Turów.

Rabusiów znano. Jeden z nich nazywał się Agne ze Slewem i był synem Kolbjörna Pogorzelca, drugiemu zaś było na imię Slatte, a przezwisko miał Lis i był bratankiem Gudmunda z Uvaberg, który zasiadał w dwunastce Goińczyków. Porwania dokonano przed rokiem, a młode kobiety znajdowały się, jak przypuszczano, wciąż jeszcze w mocy tych, co je porwali. Askman i Glum domagali się obecnie potrójnego wiana za każdą dziewczynę, a także godziwej grzywny za krzywdę wyrządzoną wdowie Gudny, siostrze Gluma. Była z dziewczętami, gdy nastąpiło porwanie, i rabusie tak z nią potem postąpili, że przez długi czas chodziła na wpół zwariowana. Oskarżyciele mówili, że przywiedli wdowę na ting. Słynie ona z prawdomówności i wielu może poświadczyć, że wróciła już w pełni do zdrowych zmysłów, może więc najlepiej zaświadczyć, jak z tym porwaniem było.

Kazano więc wystąpić przed tingiem wdowie Gudny. Była to kobieta silna i postawna i jeszcze nie tak stara, aby odstraszać mężczyzn. Opowiadała dokładnie i z powagą, jak wszystko się odbyło. Wybrała się z dziewczętami do puszczy, aby zbierać lecznicze zioła, co przeciągnęło się przez cały dzień, gdyż zioła te zaczynają się obecnie stawać rzadkością. Odbiły się od domu dalej, niż zamierzały, i nagle złapała je gwałtowna burza z piorunami, gradem i ulewnym deszczem. Przełęknięte i przemoczone, zabłądziły w puszczy. Błąkały się nie umiejąc odnaleźć ścieżki ani ludzkiego śladu, aż przy jakiejś rzeczce natrafiły na szałas, gdzie znalazły schronienie. Z zimna, zmęczenia i głodu były już wtedy ogromnie wyczerpane.

W szałasie spotkały dwóch mężczyzn, myśliwych, którzy mieszkali tam podczas łowów na wydry. Mężczyźni przyjęli je życzliwie, posadzili przy ognisku, nakarmili i напоili grzanym piwem, ona zaś doznała pewnej pociechy widząc, że myśliwi nie wyglądają niebezpiecznie. I tak siedzieli tam wszyscy razem, dopóki nie skończyła się burza, a wtedy już zapadła na dworze ciemna noc.

Do tej pory – mówiła wdowa Gudny – bała się ona tylko burzy, a także bólu w krzyżach od marznięcia w przemoczonej odzieży. Teraz jednak obleciał ją strach o dziewczęta, i to już była poważniejsza sprawa. Mężczyźni bowiem okazali wielkie zadowolenie i mówili, że nie mogła im się trafić lepsza gratka, jako że od dawna już nie widzieli kobiet. Szczodrze też częstowali piwem z beczułki, którą mieli ze sobą, i młodym a niedoświadczonym dziewczętom, pojonym grzanym piwem dla ochrony od zimna, zakręciło się w głowie. Wdowa Gudny zaczęła więc usilnie się dopytywać o drogę powrotną, którą też łowcy dokładnie jej opisali. Ale poza tym jedno mieli tylko w głowie, to jest przysiąść się do dziewcząt i sprawdzać, czy zdążyły już całkiem obeschnąć. I niebawem sprawy tak się posunęły, że Slatte Lis, wzięwszy do ręki dwie niewielkie trzaski, wezwał dziewczęta, aby pociągnęły losy, z którym z nich każda ma spać. Wtedy wdowa Gudny surowo nakazała dziewczętom, aby natychmiast udały się do domu, starając się w miarę możliwości znaleźć drogę w ciemnościach. Sama zaś, jak mówiła, musi pozostać w szałasie, a to z powodu przykrego bólu, którego nabawiła się od wilgoci.

– A powiedziałam tak myśląc, że mężczyźni łatwiej się z tym pogodzą i pozwolą dziewczętom odejść w spokoju, jeśli ja u nich zostanę. Wydawało mi się zaś, że lepiej będzie dla dobra dziewcząt, jeśli wezmę to na siebie. Mniejszą bowiem odniosę z tego szkodę, bez względu na to, co by ze mną zrobili. Tymczasem jednak oni wpadli we wściekłość i obrzucili mnie najgorszymi wyzwiskami. A potem chwycili mnie obaj i wyrzucili z szałas, wołając, że jeśli się szybko stamtąd nie wyniosę, pomogą mi strzałą wypuszczoną z łuku. Całą noc błąkałam się sama po lesie w strachu przed dzikim zwierzem i zjawami. A kiedy w końcu trafiłam do domu i opowiedziałam, co się stało, ludzie, co wyszli do lasu na poszukiwania, znaleźli szałas opuszczony przez myśliwych, którzy zabrali z sobą dziewczęta i wydrze skóry. Rozchorowałam się potem i długo leżałam w gorączce, mającąc i ogromnie cierpiąc z powodu tego, co mnie spotkało ze strony tych niegodziwych mężczyzn.

Tak zeznawała wdowa Gudny, a pod koniec mówiła przez łyzy. Potem podniósł się Gudmund z Uvaberg i oświadczył, że będzie przemawiać w imieniu obu młodych mężczyzn. Albowiem jest od nich mądrzejszy, łatwiej więc przychodzi mu układać swoje słowa, a przy tym nieraz już słyszał o tym wszystkim od swego bratanka Slatte i od Agne ze Sleven, a także

od obu młodych kobiet. Toteż zna całą tę sprawę równie dobrze, jak ktokolwiek inny, a może nawet lepiej. I o zeznaniu złożonym przed chwilą przez wdowę Gudny może powiedzieć, że wiele jest w nim prawdy, ale większość to jednak nie tak.

– Slatte i Agne twierdzą – ciągnął dalej Gudmund – że schronili się przed burzą do szalasu. Burza była tak gwałtowna, że obawiali się nawet podtrzymywać ogień. Gdy usłyszeli na dworze kroki, Slatte wylazł na zewnątrz i ujrzał w deszczu trzy postacie w spódnicach zarzuconych na głowę. Zląkł się zrazu, myśląc, że to leśne trolle. A tak samo myślały kobiety o nim, gdy zobaczyły, jak wystawił głowę. Oskoczyły więc, krzycząc głośno z przerażenia. Wtedy dopiero pojął, że ma przed sobą ludzkie stworzenia. Podszedł do nich i uspokoił je, a one poszły za nim chętnie i usiadły przy ogniu. Dziewczęta były zmęczone i popłakiwały, wdowa natomiast nie płakała i nie znać było po niej zbytniego zmęczenia. Susząc się przy ognisku, nie spuszczała z oczu obu mężczyzn prosząc, by jej rozcierali plecy i otulali wszędzie wydrzymi skórami. A gdy opiała się jak bąk grzanego piwa, rozochociła się i zrzuciła z siebie prawie całe odzienie, mówiąc, że tak lepiej poczuje ciepło, a miłe ciepło to właśnie to, czego jej najbardziej potrzeba.

Slatte i Agne to młodzi mężczyźni – ciągnął dalej Gudmund – ale nie głupszy od innych. Dobrze wiedzieli, co roi się w głowie wdowom, kiedy patrzą na mężczyzn. Gdy więc wdowa kazała dziewczętom położyć się w jednym kącie, chcąc, jak mówiła, nad nimi czuwać, aby nic im nie przytrafiło się we śnie, zwachali pismo nosem i spojrzeli na siebie. Opowiadali mi potem obaj, że chętnie by jej dogodzili, gdyby przyszła do nich sama. Wydawało im się jednak, że to niezbyt po męsku dzielić się jedną wdową, mając na podorędziu dwie nadobne dziewczęta, może równie chętne jak ona. Każdy bowiem rozsądny człowiek, który by o tym słyszał, wyśmiałby ich potem. Toteż przysiedli się do dziewcząt, uspokajając je i pomagając im rozgrzać stopy przy ogniu. A one, gdy się rozgrzały, najadły i napiły, nabrały otuchy, ale ciągle jeszcze nie ośmielały się patrzeć na mężczyzn czy też do nich odezwać. Tym bardziej je za to polubili, gdyż świadczyło to o wstydlivości i dobrym wychowaniu. I tak je sobie upodobali, że postanowili zawczasu ciągnąć losy, aby nie doszło do kłótni, lecz aby każdy dostał swoją dziewczynę. Kiedy jednak zaczęli o tym mówić, wdowa, która siedziała opuszczona, poderwała się jak szalona, krzycząc, że dziewczęta muszą natychmiast iść do domu, bo inaczej wyniknie z tego wielkie nieszczęście. Są młode – mówiła – i wytrzymają nocną wędrówkę, ona sama jednak musi ich poprosić o gościnę i nocleg, gdyż w innym razie z pewnością zginie ze zmęczenia i bólu. Ogromnie zdumieni pytali, czy chce narazić dziewczęta na niebezpieczeństwo utraty życia. Tak bowiem stałoby się z pewnością, gdyby wyгнаła je w dziką puszcę, w ciemność i deszcz, pomiędzy zjawy i straszysła. Mówili, że

jeszcze nigdy nie słyszeli o takim okrucieństwie. I dodali, że nic z tego nie będzie, bo postanowili uchronić dziewczęta od jej szalonych pomysłów. Zależy im jednak także i na własnym życiu, toteż nie chcą mieć u siebie w szałasie takiej okrutnej istoty, gdyż mogłoby im się przydarzyć coś złego, kiedy usną. Kazali jej więc odejść mówiąc, że nie grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ wygląda na silną jak wół, tak że nawet niedźwiedź czy wilk spotkawszy się z nią zemknie. Potem zaś chwycili ją obaj i wyrzucili z szałasu, a w ślad za nią jej odzież. Następnego dnia rano uznali, że lepiej zabrać się stamtąd, a dziewczęta poszły z nimi chętnie, pomagając im nieść siła i skórki. A na tingu obecni są ludzie, co słyszeli to z własnych ust owych dziewcząt, które obecnie wyszły za nich za mąż, są zadowolone ze swego losu i mają już dzieci.

Nie można więc, jak mi się zdaje, nazywać tego porwaniem, kobiet – zakończył Gudmund. – Oskarżeni raczej uratowali życie tym młodym kobietom, i to nie jeden, lecz dwa razy. Po raz pierwszy, gdy je przyjęli do swego szałasu dając im ciepłe schronienie, potem zaś, gdy nie dopuścili do wygnania ich do puszczy, jak to chciała zrobić okrutna wdowa. Toteż gotowi są złożyć zwyczajne wiano, ale nic ponadto.

Tak mówił Gudmund i słowa jego spotkały się z przyklaskiem u Gończyków, natomiast wśród Virdów nie znalazły uznania. Askman i Glum trwali mocno przy swoim żądaniu. Twierdzili, że gdyby myśliwi porwali wdowę Gudny, mogliby ją dostać tanio. Z dziewczętami jednak inna sprawa, jak to każdy łącznie zrozumie. Nikt zaś rozsądny nie musi zbyt wierzyć w to, co powiedział Gudmund w obronie rabusiów. Uważali też nadal, że wdowa Gudny powinna otrzymać odszkodowanie za to, co wycierpiała. Znają ją bowiem dobrze i nie pamiętają, by kiedykolwiek okazała się tak łasa na mężczyzn, jak to przedstawia obecnie Gudmund. Mimo to, jeśli chodzi o wdowę, zadowolą się tym, co ofiarowuje strona przeciwna. Natomiast co się tyczy porwanych dziewcząt, nie chcą nawet słyszeć o żadnych ustępstwach czy targach.

Przesłuchano świadków obu stron, takich, co słyszeli, jak młode kobiety opowiadały o tym wydarzeniu, i takich, którzy słyszeli, co mówiła wdowa Gudny po powrocie do domu. Ugge i Sone głowili się nad tą ciężką sprawą, a w tingowym pospólstwie rosły nadzieje. Tutaj bowiem, jeśli wszystko dobrze się potoczy, można było spodziewać się pojedynku czterech mężów.

Ugge wyraził szczerą ochotę, aby Sone sądził w tej sprawie, w uznaniu dla jego wielkiej mądrości i ze względu na ich starą przyjaźń. Nie udało mu się jednak pozyskać dla tej myśli swojej dwunastki i jako trzeciego sędziego w sporze przybrano Olofa Motyla. Ten oświadczył, że nie odczuwa z tego powodu zbyt wielkiej radości. Stawka jest bowiem duża, czy to

w srebrze, czy w krwi, i sędzia, bez względu na to, jak sprawiedliwie by sądził, mógł spodziewać się urazy i obelg od wielu. Naprzód więc próbował załagodzić spór polubownie, wnosząc, by złożono podwójne wiano w miejsce potrójnego. Ale ani Goińczycy, ani Virdowie nie chcieli nawet słyszeć o tym. Gudmund oświadczył, że Slatte, żyjąc z polowania na wydry i bobry, nie zdołał zebrać większego bogactwa z powodu złych cen na skórki i nie ma na zapłacenie takiej sumy. Agne ze Sleven zaś stracił cały spadek, gdy spaliła się zagroda jego ojca. Toteż zwykle wiano to wszystko, co mogą zapłacić, a i to przyjdzie im z trudnością, jeśli im ktoś nie pomoże. Natomiast dwunastka Virdów uważała ze swej strony, że Askman i Glum wcale nie żądając więcej, niż to jest słuszne i godziwe.

– Z dawien dawna bowiem my, Virdowie, otaczamy swoje kobiety szczególną czcią. Nie możemy więc dopuścić do tego, aby wśród sąsiadów sądzono, że nasze dziewczęta można łowić w lesie jak tanią zdobycz – mówili.

A niektórzy uważali, że już lepiej, aby doszło do walki między stronami, i wierzyli, że Askman i Glum mimo różnicy wieku wywiążą się z honorem z takiego spotkania.

Przez dobrą chwilę walcowano ten pomysł, ale tak Sone, jak i Ugge przeciwni byli walce.

– Nikt nie może powiedzieć – mówił Ugge – że obie porwane kobiety ponoszą tu jakąś winę. I zły byłby doprawdy wyrok, gdyby je narażał na nieszczęście utraty albo mężów, albo ojców.

– Jeśli mamy dojść do porozumienia co do wyroku – zauważył Olof Motyl – musimy naprzód ustalić, czy to, co się stało, jest porwaniem kobiet czy też nie. Wiem, co sam o tym myślę, wpierw jednak chciałbym usłyszeć, co powiedzą starsi ode mnie.

Ugge oświadczył, że nie ma wątpliwości, iż to, co zaszło, trzeba określić jako porwanie kobiet.

– I nic tu nie pomoże twierdzenie, że młode kobiety poszły z nimi dobrowolnie – ciągnął. – Zrobiły tak bowiem dopiero następnego dnia rano. A każdy rozsądny człowiek wie, że młoda kobieta zawsze chętnie idzie za mężczyzną, którego łoże dzieliła, zwłaszcza jeśli był dla niej pierwszy.

Sone ociągał się, jak mówił, z wypowiedzeniem swego zdania, w końcu jednak rzekł:

– Sędzia musi zawsze mówić prawdę, nawet gdy to wychodzi na niekorzyść jego własnych ziomków. Nie da się zaprzeczyć, że to było porwanie kobiet. Wyrzucając z szafasu wdowę Gudny, pozbawili dziewczęta przemocą ich opiekunki, a przez to porwali je spod jej opieki.

Wielu Goińczyków głośno jęknęło, usłyszawszy słowa Sone, nikt jednak mu się nie przeciwstawił, zbyt był bowiem szanowany.

– Dotąd jesteśmy jednomyślni – stwierdził Olof Motyl – albowiem i ja to uważam za porwanie kobiet. A w takim razie zgodni jesteśmy chyba także, że należy tu przysądzić większą grzywnę niż ta, którą ofiarowuje Gudmund. Ale daleko nam jeszcze do końca sprawy. Jakżeż bowiem mamy nakłonić strony, aby zgodziły się na nasz wyrok, skoro odmówiły pogodzenia się przez wpłacenie podwójnego wiano? Mnie się zaś wydaje, że jeśli komuś ma się stać zadość, to przede wszystkim Virdom.

Orm siedział dotąd cicho, teraz jednak zapytał, jak Virdowie obliczają wiano – czy w wołach, czy w skórach – i ile by to wyniosło, gdyby wszystko obliczyć w srebrze.

Ugge odpowiedział mu na to, że w Varend od niepamiętnych czasów płaci się za dziewczyny skórami – trzydzieści sześć skórek kunich za córkę zacnego kmiecia w wieku najlepszym do zamążpójścia, w pełni zdrowia na ciele i umyśle i bez żadnej wady czy kalectwa. A skórki mają być najlepsze, zimowe, bez uszkodzeń od grotów strzał. Albo też może to być trzydzieści skórek bobrowych, również najlepszego gatunku. A za to dostaje się dziewczynę tak jak stoi, bez innych dodatków do zwykłej odzieży, prócz nowego giezła lnianego do ślubnego łoża, rogowego grzebienia, trzech igieł z uszkiem i nożyczek.

– Będzie to więc osiemnaście tuzinów skórek kunich, jeśli policzymy potrójne wiano za dwie dziewczyny – ciągnął. – Albo też piętnaście tuzinów skórek bobrowych, jeśli to dobrze wyrachował. Ogromna to ilość i przeliczyć to na srebro może okazać się zadaniem trudnym nawet dla najmądrzejszego.

Z pomocą pośpieszyło mu kilku doświadczonych mężów z tingu, a między nimi Toke Graagullesson, biegły w liczeniu skórek i srebra. A gdy się przez chwilę nabiedzili, oświadczyli wspólnie i jednomyślnie, że cała suma – potrójny wykup za dwie dziewczyny – wyniesie siedem marek srebrem i ćwierć. Ani mniej, ani więcej.

– A dla równości odliczyliśmy jeden i trzy ósme öre za ślubne giezła, których chyba już nie potrzeba – dodał Toke.

Gdy Gudmund z Uvaberg usłyszał tę sumę, wybuchnął śmiechem i zawołał:

– Nie, nigdy się na to nie zgodzę! Czy myślicie, żem zwariował? Niech się biją, tak będzie taniej bez względu na wynik.

– Niech się biją! – rozległy się liczne głosy pospólstwa. Podniósł się Orm i rzekł, że przysłała mu myśl, która może przyda się na coś w tym przykrym położeniu. Należy on bowiem do tych, co uważają, że byłoby źle, gdyby doszło do przelewu krwi.

– Prawda, co mówił Gudmund – ciągnął – że siedem marek srebrem i ćwierć to wielka grzywna, mogąca przygnębić każdego. I niewielu jest takich, co by w rękę mieli tyle srebra naraz z wyjątkiem tych, co wyprawiali się na Franków lub brali udział w podziale łupów przez pana mego, Almanzora w Andaluzji, albo też pobierali okup od króla Etelreda Angielskiego lub też służyli u cesarza w Miklagrodzie. Jeśli jednak weźmiemy trzecią część tej sumy, to wypadnie nam dwie i jedna trzecia marki srebrem i do tego jeszcze jedna dwunasta, a jeśli to podzielimy na pół, to zostanie jedna i jedna szóstka marki srebrem i do tego jeszcze jedna dwudziesta czwarta. A wszyscy słyszeliśmy, że Slatte i Agne ze Sleven gotowi są złożyć zwyczajne wiano. W ten sposób więc mamy spokój z dwiema szóstymi całej sumy. Mnie zaś wydaje się, że wcale nie byłoby hańbą dla ich krewnych i sąsiadów, gdyby im dopomogli taką sumą. Znam Gudmunda z Uvaberg i nie chcę uwierzyć, aby był skąpszy od innych. A jedna i jedna szóstka marki srebrem i jedna dwudziesta czwarta do tego, to nie jest coś, co by go mogło przerazić, nawet gdyby miał to sam jeden zapłacić. Z pewnością znajdzie się więcej takich, którzy będą gotowi dopomóc Slatte, a tak samo jest zapewne i w rodzinie Agne. I gdyby tak było, mielibyśmy już cztery szóste grzywny. I zostałyby do pokrycia tylko ostatnia jedna trzecia część. Co do niej zaś pomyślałem sobie, że w naszym tingu zasiadają mężowie, którzy chętnie zechcą coś zrobić dla dobrej zgody sąsiedzkiej, a i dla własnej powagi i znaczenia. Osobiście życzylibym sobie być bogatszy, niż jestem, mimo to jednak wezmę na siebie godziwą część, która na mnie przypadnie. A jeśli znajdzie się jeszcze trzech czy czterech albo i więcej takich, co byliby gotowi wziąć na siebie tyle samo co ja, to uzyskalibyśmy w ten sposób ostatnią trzecią część i wszystko zostałoby zapłacone.

Gdy Orm skończył mówić i usiadł, mężowie zasiadający w tingu spojrzeli na siebie i rozległ się wśród nich pomruk uznania. Pierwszy zabrał głos Sone Jasnowidz.

– Dobrze słyszeć – powiedział – że rozsądni ludzie nie wymrą wraz ze mną i Ugge. Mądrze mówiłeś, Ormie z Gröning, pomimo swego młodego wieku. I chcę teraz powiedzieć nie tylko, że pomysł twój jest dobry, ale że i ja jestem gotów przyczynić się do zapłacenia ostatniej trzeciej części grzywny. Dla wielu może się to wydać dziwne. Wszyscy bowiem wiedzą, jak wielką gromadę dzieci mam w domu. Ale i to może nieraz wyjść człowiekowi na pożytek. Nawet bowiem jeśli przypadnie na mnie czwarta część ostatniej trzeciej części, wiem, jak sobie potrafię z tym poradzić. Ściągnę wtedy swoją część z szesnastu dorosłych synów, którzy trudnią się głównie łowami. A jeśli wezmę tylko choćby po dwie skórki od każdego, pozostanie mi jeszcze parę skórek po zapłaceniu mojej części. I skórkami tymi dopomogę Agne ze Sleven, ponieważ jego matka była siostrą mojej czwartej żony. A teraz

niech się nikt nie wstydzi, lecz wszyscy, którzy chcą się przyczynić, niech swobodnie zabierają głos i okrywają się chwałą przed zebranymi na tingu.

Toke Graagulleesson podniósł się natychmiast i oświadczył, że nie jest jego zwyczajem skąpić tam, gdzie inni okazują szczodrość.

– I mówię to, choć jestem tylko łupionym ze skóry handlarzem skór, co ani nie posiada wielkiego majątku, ani też nigdy go nie zdobędzie. A wie o tym wielu z tu obecnych, którzy zdzierają ze mnie ciężkie pieniądze za swoje liche skórki. Ale jeszcze tyle posiadam, że mogę stanąć obok Orma i Sone i wyłożyć tyle, ile oni.

Ugge Jąkała zaczął się strasznie jąkać, co zdarzało mu się głównie, gdy się czymś rozpałił. W końcu wy dobył z siebie, że to, co słyszał, przynosi zaszczyt Virdom i Goińczykom i że on sam chce także wyłożyć tyle, co inni.

Z dwunastki Goińczyków wykrzyknęli teraz dwaj, Czarny Grim i Thorkel Zajęczce Ucho, że nie dadzą się prześcignąć Virdom. A Olof Motyl oświadczył, że nie dopuści, aby cała chwała przypadła innym, i ofiaruje dwa razy tyle, co każdy.

– I radzę też – dorzucił – abyśmy natychmiast zebrali nasze udziały. Łatwiej to bowiem idzie, dopóki zapał nie ostygnie. Oto mój hełm, do którego zbierajcie. Ty zaś, Toke, synu Graagulle, będąc kupcem masz chyba coś, na czym można będzie zważyć sprawiedliwie część każdego.

Toke posłał pacholka po wagę do srebra, a tymczasem podnosiło się coraz więcej członków tingu Virdów i Goińczyków, zgłaszając swój udział w zapłacie. Teraz bowiem, gdy było ich już wielu, mogli tanio okryć się chlubą, gdyż udział każdego stawał się coraz mniejszy. Olof Motyl zauważył jednak, że jeszcze nic nie słyszeli od Gudmunda z Uvaberg o tej części, która miała przypaść na niego i na innych krewniaków Slatte i Agne.

Gudmund podniósł się ociągając i ze zmartwioną miną oświadczył, że sprawa wymaga zastanowienia. Na niego bowiem i na jego ród przypada dużo, bo aż szósta część całości.

– I choć prawda, że się nie zaliczam do skner – mówił – najgorsze jednak to, że jestem biedny. Tu bowiem Orm z Gröning się pomylił. I w domu moim nie uświadczysz srebra, a tak samo jest u innych krewniaków Slatte. Takie brzemie będzie więc dla nas bardzo ciężkie. Gdyby jednak obeszło się połową owej szóstej części, wtedy moglibyśmy to zapłacić. Tutaj zaś siedzi tak wielu znacznych i poważnych mężów z pasami nabitymi srebrem, że nie zrobiłoby to wielkiej różnicy, gdybyście zebrali jeszcze dodatkowo połowę szóstej części oprócz tej trzeciej części, którąście wzięli na siebie. Zaszczyt dla was byłby wtedy jeszcze większy, mnie zaś pomoglibyście w mojej biedzie.

Na te słowa zaczęli jednak i sędziowie, i dwunastki, a nawet stojące za nimi pospólstwo tingowe głośno śmiać się i hałasować. Wszyscy bowiem wiedzieli, że jedyne, co u Gudmunda było większe od jego bogactwa, to jego skąpstwo. A kiedy on spostrzegł, że nie może liczyć u nikogo na poparcie, ustąpił w końcu. Także i dwaj inni, co przemawiali w imieniu rodziny Agne, oznajmili, że ich szósta część zostanie zapłacona.

– Byłoby najlepiej – zwrócił się teraz Sone do Gudmunda – żebyś i ty zebrał swoją część od razu. Masz tu chyba pod dostatkiem krewnych i przyjaciół. Krewniaków Agne zaś ja sam obejmę.

Tymczasem przyniesiono wagę do odważania srebra i Toke zaczął obliczać.

– Jest nas do tego trzynastu i każdy płaci tę samą część z wyjątkiem Olofa, który płaci podwójnie. Razem będzie to więc czternaście części. A nawet najlepszy rachmistrz z Gotlandii nie powie, ile to jest czternasta część trzeciej części siedmiu marek srebrem i jednej ćwierci. Jednakowoż człowiek sprytny znajdzie i na to radę. I jeśli policzymy to w skórkach, łatwiej dojdziemy do ładu. Będzie to wtedy czternasta część sześciu tuzinów skórek kunich, czyli siódma część trzech tuzinów. I trzeba to obliczyć w całych skórkach, bo zawsze tracą coś na wadze, jak wiem z dawnego doświadczenia. Wówczas na każdego przypadnie w srebrze tyle, ile wynosi cena sześciu skórek. I tak oto trzynastu mężów okryło się wielką chlubą za tanią cenę. Tutaj zaś macie wagę i ciężarki, które każdy niech zbada, zanim zacznę ważyć.

Doświadczeni mężowie zbadali wagę dokładnie, gdyż wagi kupców często były urządzone tak chytrze, że próba taka mogła się opłacać. Odważniki natomiast można było wypróbować tylko na oko. A gdy paru wysunęło zastrzeżenia co do ich dokładności, Toke wyraził natychmiast gotowość stoczenia z nimi pojedynku.

– Bo do zawodu kupca należy i to – mówił – że musi być gotów bić się o swoje odważniki. A na takim, co się na to nie odważy, nie można polegać.

– Nie będzie o to sporu – przeciął stanowczo Ugge. – Całe srebro zebrane do hełmu idzie natychmiast do rąk Gluma i Askmana. Jakąż więc korzyść miałby Toke ważąc fałszywie, skoro jego własne srebro jest tam także.

Każdy więc wyjął z pasa trochę srebra i kładł na wagę, aby zapłacić swoją część. Niektórzy dawali małe srebrne pierścionki, inni zaś plecione nitki srebra albo srebro pokrajane na czworokątne kawałki. Większość jednak składała srebrne monety. A były tam monety z wszystkich zakątków świata i z krain tak odległych, że nikt nie umiał nawet wymówić ich nazwy. Orm zapłacił monetą andaluzyjską, bo wciąż jeszcze miał ich mnóstwo.

Olof Motyl zaś pięknie cyzelowanymi pieniędzmi bizantyjskimi, na których widniał wizerunek wielkiego cesarza Jana Zimiskesa.

Gdy już wszyscy złożyli swoją część, Toke przesypał zebrane srebro do małego woreczka i zważył wszystko naraz. Okazało się wtedy, że wszystko się zgadza, a nawet zostało trochę srebra ponad to, co na nich przypadło.

– Za mało tego, aby podzielić i zwrócić – stwierdził Toke. – Tak małej ilości nie mogę rozważyć na mojej wadze.

– Cóż więc z tym zrobić? – spytał Ugge. – Nie wydaje mi się bowiem słuszne, aby Glum i Askman dostali więcej, niż żądają.

– Oddajmy to wdowie Gudny – poddał Orm. – W ten sposób i ona dostanie coś za swoje zmartwienie i za to, jak z nią postąpiono.

Wszyscy chętnie się na to zgodzili. Niebawem wrócili też Sone i Gudmund z szóstymi częściami zebranymi wśród krewnych i przyjaciół znajdujących się na tingu. W tym, co zebrał Sone, waga się zgadzała, u Gudmunda natomiast brakowało dość dużo, mimo że przyniósł wiązkę skórek i dwa miedziane kotły, aby pokryć niedobór srebra. Biadał głośno, wyrażając gotowość złożenia przysięgi, że nie mógł zebrać więcej, i prosił, aby to, czego brakuje, pożyczył mu któryś bogacz z tingu. Nikt jednak się do tego nie kwapił, bo wszyscy wiedzieli, że pożyczać Gudmundowi srebro to tak jakby wrzucić je do morza.

– Wielki z ciebie uparciuch, Gudmundzie, i dobrze o tym wiemy – rzekł w końcu Sone Jasnovidz. – Mimo to jednak można chyba ciebie przekonać tak jak innych. Przypominam sobie teraz, że słyszałem, iż Orm Tostesson z Gröning, zaraz po swoim osiedleniu się w naszych okolicach, przekonał ciebie raz, gdy nie chciałeś mu sprzedać zboża i paszy po godziwej cenie. Mówiono wtedy coś o jakiejś studni, ale już prawie wszystko zapomniałem, zaczynam się bowiem starzeć. Podczas więc kiedy ty, Gudmundzie, będziesz się namyślać, w jaki sposób uzupełnić swoją szóstą część grzywny, może ty, Ormie, zechcesz nam opowiedzieć, jak to wtedy było, gdy ci się udało przekonać Gudmunda. Myślę, że warto by o tym posłuchać.

Żywo temu przykłaśnięto, a Orm podniósł się i powiedział, że opowiadanie jest krótkie i proste. Ale zaraz poderwał się Gudmund krzyżąc, że nie chce o tym słyszeć.

– Od dawna już się z Ormem pojedналиśmy – wołał – i nie ma o czym opowiadać! Poczekajcie chwileczkę, przypomniałem sobie jeszcze kogoś, co mi może pożyczyć. Zaraz wrócę z tym, czego brakuje.

Pobiegł w tłum. A wielu zaczęło głośno się domagać opowiadania o tym, jak Orm przekonywał Gudmunda. Orm jednak oświadczył, że muszą chyba zwrócić się do kogo innego.

– To prawda bowiem – ciągnął – co mówi Gudmund, że od dawna już się pojednali. Dlaczego więc mam go niepotrzebnie drażnić, kiedy poszedł już po srebro w obawie, że w przeciwnym razie opowiem o tym wydarzeniu? Przecież to tylko dlatego mądry Sone zaczął mówić o tej sprawie.

Nie zdążył powiedzieć więcej, gdy od obozowiska nadbiegł zdyszany Gudmund niosąc brakujące srebro. A gdy Toke je zważył, wszystko się zgadzało. Dwie trzecie części grzywny nałożonej na Slatte i Agne Ugge oddał zaraz w ręce Gluma i Askmana. Ci zaś uznali rabusiów swoich córek za dobrych i nienagannyh zięciów. Zapłacenie zaś ostatniej części grzywny, którą mieli pokryć Agne i Slatte sami, odłożono do wiosny, aby wtedy mogli złożyć ją w skórkach.

Ale gdy tylko to załatwiono, odezwał się Olof Motyl, że jednak chętnie by usłyszał obiecane opowiadanie o tym, jak to Orm przekonywał Gudmunda. Członkowie tingu przyklasnęli mu z zapalem i sam Ugge zabrał też głos w tej sprawie.

– Dobrze jest – mówił – słuchać pouczających opowiadań. Tego zaś nigdy nie słyszałem. I choć Gudmund sprzeciwia się, to jednak musi wziąć pod uwagę, że narobił nam dużo kłopotu i że zapłaciliśmy za niego jedną trzecią część grzywny, jakkolwiek mógłby chyba sam temu poddać. I za tyle srebra możesz, Gudmundzie, doskonale wytrzymać, aby opowiedziano o tym wydarzeniu. Jeśli zaś już koniecznie chcesz, możesz nam to sam opowiedzieć. A wtedy Orm Tostesson dopomoże ci tylko, gdyby zawiodła cię pamięć.

Gudmund wpadł na to we wściekłość i zaczął ryczeć. Od dawna miał ten zwyczaj i stąd też nazywano go niekiedy Rykałą.

Wcisnął głowę w ramiona, trząsł się cały, wymachiwał pięściami i ryczał jak wilkołak. Miał nadzieję, że wezmą to za szał berserkera, bo kiedy był młodszy, istotnie udawało mu się czasem kogoś tym przestraszyć. Teraz jednak już ten sposób nie wystarczał i im więcej Gudmund ryczał, tym więcej się śmiano. Nagle ucichł i potoczył wzrokiem dokoła.

– Niebezpieczny ze mnie człowiek – powiedział – i kto mnie drażni, pożałuje!

– Gdy członek tingowej rady zakłóca tingowy mir – odezwał się na to Toke – groźbą czy też obelżywą mową, pijanym zgiełkiem czy też niedobrymi odgłosami, zostaje ukarany grzywną... Ale jaką to właściwie grzywną go się karze? Inni wiedzą to zapewne lepiej ode mnie.

– Sędziowie i rada polecają mu oddalić się ze swego miejsca – rzekł Sone – a jeśli opiera się lub powróci nie przyzwany, płaci za to brodą. Tak mówi pradawne prawo.

– Tylko dwa razy w życiu brałem udział w obcinaniu brody członkowi rady – rzekł Ugge z namysłem. – I żaden z nich nie potrafił już długo żyć po takiej hańbie.

Wielu członków rady złych było na Gudmunda nie za to, że ryczał, bo nikt sobie z tego nic nie robił, ale za to, że chluba, którą się dzięki swojej szczodrości okryli, kosztowała ich tyle srebra. Winę zaś przypisywali Gudmundowi. Toteż krzyczeli teraz na niego ze złością, aby sobie poszedł, jeśli nie chce stracić brody. A broda ta była wielka i piękna i widać było, że starannie ją pielęgnował. Posłuchał więc wołania i wyszedł z tingowego koła, nie chcąc narażać swej brody na niebezpieczeństwo. Ale słyszano, jak mruczał odchodząc:

– Każdy, kto mnie zechce drażnić, pożałuje!

Orm więc został zmuszony do opowiedzenia o swoim pierwszym spotkaniu z Gudmundem i o tym, jak trzymał go za nogę nad studnią przemawiając mu do rozumu. Opowiadanie wywołało ogromną radość u słuchaczy, sam Orm nie był jednak zbytnio z tego zadowolony i mówił potem, że niejednego może się teraz spodziewać od Gudmunda.

Na tym zakończył się ów ciężki spór o porwanie kobiet. Wielu okryło się przy tym chlubą, wszyscy jednak podnosili, że to Olof Motyl i Orm z Gröning na największą zasłużyli pochwałą za to, co w tym sporze działali.

Przez cały czas trwania tingu Orm spodziewał się, że usłyszy coś od Finnvedingów o Östnie z Ore, a także o dwóch głowach przerzuconych do jego obozowiska przez strumyk zaraz pierwszego wieczoru. Kiedy jednak nic takiego się nie wydarzyło, postanowił sam dowiedzieć się, co się u nich dzieje, i wieczorem trzeciego dnia tingu udał się samotnie do obozowiska Finnvedingów – otrzymawszy poprzednio od nich mir – aby rozmówić się w cztery oczy z Olofem Motylem.

Ten przyjął go, jak na hövdinga przystało. Kazał rozścielić owcze skóry i zaprosił Orma, by usiadł. Potem częstował go smażoną kielbasą, kwaśnym mlekiem i chlebem i polecił pachołkowi postawić przy nich gościnny dzban. Był to wysoki gliniany dzban z uchem i cienką szyją zatkaną ołowianą zatyczką. Postawiono go ostrożnie na równym gruncie pomiędzy nimi, a obok dwa niewielkie srebrne kubki.

– I na tingu, i tutaj widać, żeś hövding – rzekł z uznaniem Orm.

– Źle się gawędzi bez piwa – odparł Olof Motyl – a gdy wielmoża gości wielmożę, powinno się znaleźć do picia coś innego niż tylko woda ze strumienia. Bywały z ciebie mąż, tak jak i ze mnie, i mozesz już kosztować tego napoju. U nas jednak rzadko nim częstują.

Wyjął zatyczkę i napełnił kubki. Orm kiwnął głową.

– To wino – powiedział – cudzoziemski trunek. Kosztowałem tego czasem w Andaluzji, gdzie dużo piją wina po kryjomu, mimo że zakazane jest przez ich Proroka. A później piłem je też raz u króla Etelreda w Anglii.

– W Konstantynopolu, który my nazywamy Miklagrodem, piją je wszyscy rano i wieczorem – mówił Olof Motyl – a najczęściej księża, którzy rozcieńczają je wodą i piją trzy razy tyle, co inni. Uważa się je za święty trunek. Moim zdaniem jednak piwo jest lepsze. Twoje zdrowie! Witaj w moim obozowisku!

Obaj wychylili swoje kubki.

– Po tłustej i słonej kielbasie dobrze poczuć w gardle słodycz – rzekł niepewnie Orm. – Nie będę się jednak sprzeciwiał temu, coś mówił o piwie. Ale czas powiedzieć, po co tu przyszedłem, co zresztą już może sam odgadłeś. Chcę wiedzieć, czy to od twego krewniaka, Östena z Ore, pochodziły owe dwie głowy ludzkie przerzucone do mnie przez strumyk. Głowy te należały do chrześcijańskich księży, wziętych do niewoli. I chcę także wiedzieć, czy oznacza to, że ów Östen wciąż jeszcze nastaje na moje życie. Jeśli bowiem tak jest, to robi to bez powodu. Darowałem mu życie i puściłem wolno, gdy znajdował się w mojej mocy, kiedy to wiarołomnie wkradł się do mojego gródka, aby zdjąć mi głowę, jak to sobie ułożyli z królem Svenem. Wiesz zapewne, że jestem ochrzczony i trzymam się Chrystusa, ja zaś wiem, że uważasz chrześcijan za złoczyńców naoglądawszy się ich w Miklagrodzie. Ale jedno mogę ci powiedzieć, że nie jestem z gatunku tych, którychś tam oglądał. Tu zaś, na tingu, przekonałem się, że i ty nie jesteś człowiekiem, którego by cieszyło zło i bezecność. Dlatego przyszedłem tu do ciebie, co w innym razie mogłoby mnie drogo kosztować.

– Nie rozumiem, jak mogłeś zostać chrześcijaninem – odparł Olof Motyl – bo wiem, żeś dobry człowiek. Trudno mi także wyznać się na twoim małym, łysym księdzu. Słyszę, że pomaga tu na tingu wszystkim chorym, co do niego przychodzą, nie żądając nic za swój trud. Obu was uważam też za ludzi tak dobrych, jak gdybyście nigdy nie powąchaliby chrześcijaństwa. A mimo to musisz przyznać, Ormie, że ty i twój ksiądz ostro postąpiliście z moim krewniakiem Östenem, zmuszając go, aby się ochrzczył. Od tej hańby oszalał, choć może i cios toporem też tu trochę pomógł. Stroni od ludzi i albo błądzi po lesie, albo leży w komorze i biada nad sobą. Nie chciał przybyć na ting. Tych zaś obu księży kupił za drogie pieniądze, zaraz odrąbał im głowy i posłał je tu przez pacholka, aby je oddano tobie i twemu księdzu z pozdrowieniem od niego. Surową otrzymał zaiste karę za swój zamach na ciebie. Nie tylko bowiem został ochrzczony, ale i stracił całe bogactwo, którym ty się obłowileś, a na dodatek i rozum. Ale choć jest on moim krewniakiem, nie będę utrzymywał, że na to nie zasłużył. Był bowiem zbyt bogaty i poważany, aby wdawać się w takie konszachty z królem

Svenem. Powiedziałem mu to już, dodając, że nie podejmiemy z tobą sporu z powodu niego. Na pewno jednak Östen chętnie by cię zabił, gdyby mu się trafiła sposobność. Wierzy bowiem, że odzyska zdrowie i radość, gdy uda mu się zgładzić ciebie i twego małego księdza.

– Dziękuję ci za to, coś powiedział – rzekł Orm. – Wiem teraz, jak sprawy stoją. Dla tych obu księży, którym uciał głowy, nic się już nie da zrobić. Nie będę też szukał po nich pomsty. Przed nim zaś będę się miał na baczności, gdyby szaleństwo doprowadziło go do nowej próby zamachu.

Olof Motyl kiwnął głową i napełnił ponownie kubki winem. W obozowisku panowała cisza przerywana tylko pochrapywaniem i oddechami śpiących. Wietrzyk wionął w chaszczach i zaszeleściły liście osiki. Znowu przepili do siebie, a kiedy Orm wychylił kubek, usłyszał za sobą w krzakach trzaśnięcie gałązki. Gdy zaś pochylił się, aby postawić kubek na ziemi przed sobą, z krzaków dało się słyszeć sapnięcie, jak gdyby ktoś zaczerpnął głęboko tchu. Olof Motyl spojrzał bystro i krzyknął. Orm zaś okręcił się do połowy i zobaczywszy kątem oka jakiś ruch w krzakach, zdążył pochylić się jeszcze bardziej.

– Szczęście, że mam dobry słuch i szybko się ruszam – opowiadał potem – bo oszczep przemknął tak blisko, że mi zadrasnął szyję.

Z gąszczów rozległo się wycie i wyskoczył stamtąd mężczyzna z mieczem. Był to Östen z Ore. I zaraz można było poznać, że jest szalony, gdyż oczy stanęły mu w słup jak u upiora, a w kącikach ust widniała piana. Orm nie zdążył wydobyć miecza ani wstać. Rzucił się tylko na bok i zdołał złapać szaleńca za nogi, a ten przewalił się przez niego i upadł na twarz, zadając mu przy tym cios w biodro. Potem zaś dało się słyszeć cięcie i jęk, a kiedy Orm zerwał się, zobaczył, że Olof Motyl stoi z dobytym mieczem, Östen zaś leży tam, gdzie padł. Nie żył już – cios krewniaka trafił go w kark.

Nadbiegli ludzie zbudzeni ze snu rykiem. Olof Motyl, poblady, przyglądał się zabitemu.

– Padł z mojej ręki – rzekł – choć był moim krewnym. Nie chcę jednak, aby napadano u mnie na gościa, choćby to robił szaleniec. Oprócz tego zaś rozbił mi mój gościnny dzban, a za to zabiłbym każdego.

Na ziemi leżały skorupy rozbitego dzbana i wszyscy współczuli Olofowi wielce z powodu tej szkody, albowiem taki skarb trudno było odzyskać.

Olof kazał swoim ludziom zanieść zabitego do grzędawiska, wrzucić go tam i przytwierdzić zwłoki zaostrozonymi kołkami. Inaczej bowiem szaleńcy chętnie wracają do żywych, stając się najgorszymi z upiorów.

Orm wykpił się zadrażnieniem na karku i raną na biodrze. Ta ostatnia nie była niebezpieczna, gdyż ostrze miecza trafiło w nóż i łyżkę, które nosił u pasa. Toteż mógł

o własnych siłach wrócić do swego obozowiska. A kiedy rozstawali się z Olofem, podali sobie ręce.

– Straciłeś piękny dzban – rzekł Orm – i wielka to szkoda. Ale stałeś się za to bogatszy o jednego przyjaciela, jeśli może ci to dać jakąś pociechę. I dobrze by było, gdybym ja sam tyle dziś zyskał.

– Zyskałeś – odparł Olof Motyl – i niemały stąd zysk dla nas obu.

Wielka przyjaźń panowała odtąd zawsze między nimi.

Ostatniego dnia uchwalono powszechny mir do następnego tingu. I na tym zakończył się ten ting u kamienia Krake, który w pamięci wielu zapisał się niezbyt chlubnie, ponieważ nie stoczono na nim żadnego sławnego pojedynku.

Ojciec Willibald udał się do obozowiska Virdów, aby odszukać magistra Rainalda i pożegnać się z nim. Ale magistra już tam nie było, zabrała go bowiem Katla. Orm zapraszał z sobą Toke, ten jednak nie mógł pójść z nim z powodu handlu skórami. Umówili się tylko, że co roku będą przyjeżdżać do siebie w gościnę i że przyjaźń ich trwać będzie zawsze.

Rozjechali się więc każdy w swoją stronę. A Orm wielce był zadowolony, że się pozbył zarówno magistra, jak i swego wroga, Östena z Ore. A kiedy nadeszły święta, do Gröning przyjechali w gościnę Toke z andaluzyjską żoną Mirah. I wszystko, co mieli sobie do powiedzenia Orm i Toke, było tylko błahą drobnostką w porównaniu z tym, co miały sobie do zwierzenia Ylva i Mirah.

Z nadejściem wiosny żona Rappa, Torgunn, urodziła chłopca. Rapp bardzo był z tego zadowolony, ale kiedy policzył wstecz miesiące, ogarnęły go pewne podejrzenia. Wszystko bowiem niezłe się zgadzało z owym dniem, kiedy to magister odmawiał modły nad chorym kolanem Torgunn. Domownicy jednak, tak mężczyźni jak i kobiety, wychwalali dzieciaka, podnosząc jego podobieństwo do ojca, i Rapp znalazł w tym trochę pociechy. Mimo to nie czuł się zupełnie spokojny. Jedynym człowiekiem, któremu ufał bez zastrzeżeń, był Orm. Poszedł więc do niego z prośbą, aby przypatrzył się dziecku i powiedział, do kogo jest ono podobne. Orm dokładnie przyjrzał się malcowi, a potem rzekł:

– Jedną wielką różnicę można zauważyć od razu. Dziecko ma dwoje oczu, a ty tylko jedno. Źle byłoby wszakże, gdybyś się na to skarżył. Sam bowiem też miałeś dwoje oczu, kiedyś zaczynał życie. Poza tym jednak nigdy nie widziałem dziecka bardziej przypominającego swego ojca.

Uspokoilo to Rappa i odtad cieszył się wielce synem. Chciał, aby ojciec Willibald ochrzcił go imieniem Almanzora, kiedy jednak ten odmówił nadania dziecku pogańskiego imienia, skończyło się na tym, że chłopca nazwano Ormem i sam Orm trzymał go do chrztu.

W czternaście dni później Ylva powiła swego drugiego syna. Był czarnowłosy i śniady, mało krzyczał i rozglądał się dokoła poważnymi oczyma. A kiedy mu podano klingę miecza, lizał ją łapczywiej, niż to zrobił Harald Ormsson. Wszyscy zgodnie przepowiadali, że to urodzony wojownik, i mieli pod tym względem słuszość. Ylva utrzymywała, że jest podobny do Guld-Haralda, bratanka króla Haralda, słynnego wikinga, którego pamiętała z lat dziecinnych. Osa przeciwstawiała się jej jednak, twierdząc, że chłopak wdał się najbardziej w Svena o Szczurzym Nosie, który odznaczał się taką samą śniadością skóry. Nie można jednak było go ochrzcić ani imieniem Svena, ani Haralda i skończyło się na tym, że Orm nadał mu imię Svarthöfde. Podczas chrztu chłopak zachowywał się cicho i poważnie, i ugryzł ojca Willibalda w wielki palec. Stał się potem najukochańszym dzieckiem swoich rodziców i największym wojownikiem w okolicy. A znacznie później, po wielu latach, nie było w tinglidzie* Kanuta Wielkiego, króla Danii i Anglii, hövdinga o większej sławie niż krewniak królewski Svarthöfde Ormsson.

* Tinglid (tingmannalid) – stała armia złożona z nordyckich wojowników, stworzona przez Kanuta Wielkiego dla ochrony jego włości.

CZEŚĆ DRUGA

ZŁOTO BUŁGARÓW

I.

O KOŃCU ŚWIATA I O TYM, JAK WZRASTAŁY DZIECI ORMA

Nadszedł rok, w którym miał nastąpić koniec świata. Orm kończył wtedy trzydzieści pięć lat życia, a Ylva zaczynała dwadzieścia osiem. Jak wierzyli chrześcijanie, Chrystus w roku tym, tysięcznym po jego urodzeniu, miał objawić się w chmurach jako król otoczony płomiennymi hufcami i sądzić wszystkich ludzi, bądź to posyłając ich do nieba, bądź skazując na piekło. Orm tak często słyszał o tym od ojca Willibalda, że przyzwyczaił się już do tej myśli.

Ylva nigdy nie była zupełnie pewna, czy wierzyć w to, czy też nie. Osa natomiast była bezgranicznie rada, że dane jej będzie wziąć w tym wszystkim udział za życia i w świątecznej odzieży i że uniknie pojawienia się na sądzie w pogrzebowym całunie.

Dwie rzeczy jednak przysparzały Ormowi zmartwienia, a jedną z nich było to, że Toke nadal wzbraniał się przyjąć chrzest. Podczas ostatniej bytności w jego domu Orm poważnie próbował namówić go do tego, wyliczając wszystkie płynące stąd korzyści, które niebawem staną się widoczne dla każdego. Toke nie dał się jednak przekonać i trochę się naśmiewał z gorliwości Orma.

– Wieczorami będzie nudno w królestwie niebieskim, jeśli Toke nie dostanie się tam wraz z nami – mawiał nieraz Orm do Ylvy. – Brak będzie w ogóle wielu przednich mężów, których znam, a którzy nigdy tam się nie dostaną – Kruka i Almanzora, Styrbjörna i Olofa Motyla, i wielu jeszcze innych oprócz wymienionych. Z ludzi, na których mi zależy, będziemy tam tylko my sami, nasze dzieci i nasza starowinka, ojciec Willibald i Rapp oraz czeladź z gródka, a także biskup Poppon i twój ojciec król Harald, z czego ogromnie się cieszę. Byłoby jednak lepiej, aby i Toke dostał się tam wraz z nami, ale jego kobieta mu w tym przeszkadza.

– Pozwól im układać sobie życie, tak jak się im podoba – mitygowała go Ylva. – Wszystko to będzie może wyglądać inaczej, niż przypuszczasz. Bogu nie śpieszy się być może tak bardzo ze zniszczeniem tego świata, nad stworzeniem którego tyle się natrudził. Ojciec Willibald twierdzi, że mają wyrosnąć nam skrzydła. I kiedy sobie wyobrażę jego albo ciebie czy Rappa ze skrzydłami, nie mogę się powstrzymać od śmiechu. A sama nie chcę żadnych skrzydeł. Chcę natomiast móc zabrać z sobą swój naszyjnik, nie przypuszczam jednak, aby mi to było wolno. Toteż wcale się tak bardzo do tego wszystkiego nie palę i muszę wpierw zobaczyć, zanim w to uwierzę.

Inne troski Orma tyczyły się zasiewów. Dopytywał się, w jakiej porze roku Chrystus przyjdzie z sądem, ale o tym sam ojciec Willibald nic pewnego nie potrafił powiedzieć. Orm zaś wahał się, czy opłaci mu się siać, ponieważ zboże to nigdy już nie będzie nikomu potrzebne, nawet gdyby zdążyło wzejść i dojrzeć przed przyjściem Chrystusa. Rychło jednak udało mu się przezwyciężyć te wątpliwości.

Od początku tego roku młode chrześcijańskie kobiety bardziej łaknęły miłości niż kiedykolwiek przedtem. Nie wiedziały, jak to będzie z miłością w królestwie niebieskim, i chciały dlatego nasycić się tym, czego można było zażyć na ziemi, dopóki jeszcze był na to czas. Ziemiński bowiem sposób miłowania wydawał im się najlepszy, bez względu na to, co mogło przynieść królestwo niebieskie. Młode niezamężne dziewczyny wpadały nierzadko w rozpasanie i biegały za mężczyznami, gdy tylko im na to czas pozwalał. A nawet i u zamężnych kobiet zaznaczyła się wyraźna różnica w zachowaniu, choć te ostatnie cnotliwie trzymały się własnych mężów, wszystko inne bowiem wydawało im się niewskazane wobec takiej bliskości sądu Bożego. Z tej to przyczyny większość kobiet w gródkiem Orma już na wiosnę tego roku zdążyła zająć w ciążę. A kiedy Orm stwierdził, że w odmiennym stanie znajduje się Ylva, Torgunn i inne kobiety, ulżyło mu na duchu i polecił, by zasiewy odbyły się jak zwykle.

– Albowiem dzieci nie rodzą się w niebie – mówił – a w takim razie muszą urodzić się na ziemi. Te kobiety zaś nie wydadzą dzieci na świat w tym roku, lecz dopiero z początkiem następnego. Widocznie więc albo ksiądz coś źle wyliczył, albo Chrystus zmienił zdanie. I wiem teraz także, jaki jest niezawodny znak, kiedy należy spodziewać się końca świata. Będzie to w dziewięć miesięcy potem, jak kobiety przestaną być płodne. Wtedy musimy się przygotować, ale przedtem nie ma potrzeby.

Ojciec Willibald nie umiał znaleźć odpowiedzi na to rozumowanie, zwłaszcza że w miarę jak rok mijał i on także zaczynał odczuwać wątpliwości. Toteż mawiał tylko, że jest istotnie możliwe, iż wyroki Boskie uległy zmianie, ponieważ tylu jest jeszcze na ziemi grzeszników, którym nie zdążono dotąd ogłosić Ewangelii.

Jesienią owego roku od wschodu przywędrowała gromada obcych, którzy przeciągnęli przez całe pogranicze. Byli to wojownicy i wszyscy nosili na sobie blizny, a niektórzy mieli nawet krwawiące jeszcze rany. Było ich jedenastu. Szli od zagrody do zagrody, prosząc o żywność i nocleg, a gdzie im tego udzielano, zostawali na jedną lub na dwie noce, po czym ruszali w dalszą drogę. Mówili, że są Norwegami i zdążają do domu, ale więcej nie chcieli nic powiedzieć. Zachowywali się spokojnie i nie dopuszczali się żadnych gwałtów. A gdy im gdzieś odmawiano noclegu, odchodzili bez słowa, jakby to ich mało obchodziło.

Przyszli w końcu do Gröning i Orm wyszedł im na spotkanie mając u boku ojca Willibalda. Gdy zobaczyli księdza, padli na kolana prosząc z powagą, aby ich pobłogosławił. Wyglądało, że cieszą się z tego, iż dotarli do zagrody chrześcijańskiej, najbardziej jednak z tego, że spotkali księdza. Jedli i pili tak, jak to robią ludzie wygłodniali, a kiedy się już nasycili, siedzieli pogrążeni w swych myślach, niezbyt się przysłuchując temu, co mówiono dokoła. Ojciec Willibald opatrzył im rany, najzarliwiej jednak łaknęli jego błogosławieństwa i wciąż się o nie dopraszali. A kiedy dowiedzieli się, że następnego dnia przypada niedziela, poprosili, aby im pozwolono zatrzymać się i wysłuchać mszy i kazania, Orm zaś chętnie przystał na to, choć trochę go drażniło, że nie chcą nic mówić o sobie.

Dzień niedzielny był piękny i do kościoła zjechało sporo ludzi spośród tych, co dotrzymywali obietnicy danej przy chrzcie ojcu Willibaldowi. Obcych przybyszów posadzono na samym przedzie, a oni słuchali uważnie słów księdza. Willibald mówił, jak to czynił zwykle w owym roku, że niedługo już należy spodziewać się końca świata – choć nikt nie może powiedzieć o tym nic pewnego – i że dla każdego chrześcijanina najlepiej jest być stale w pogotowiu. Przy tych słowach widziano, jak niektórzy z przybyszów uśmiechali się lekko, nie zdradzając jednak miną żadnej radości, innym zaś pociekły po policzkach łzy. Po mszy znowu poprosili o błogosławieństwo, a ojciec Willibald nie odmówił ich prośbie.

– Dobry z ciebie człowiek – powiedzieli potem do Willibalda – nie wiesz jednak, że koniec świata już nastąpił. Chrystus wziął króla do siebie, a o nas zapomniał.

Nikt nie mógł zrozumieć, co mieli na myśli, a trudno było coś więcej z nich wydobyć. W końcu jednak opowiedzieli, co im się stało. Mówili nie rozwodząc się nad niczym szczegółowo, głosem obojętnym, jak gdyby nic pod słońcem nie miało już dla nich żadnego znaczenia.

Opowiedzieli, że król ich, Olaf Tryggvesson z Norwegii, którego uważali za najlepszego z wszystkich ludzi, co żyli na świecie, oprócz samego Chrystusa, padł w wielkiej bitwie z Dunami i Swijami. Ich zaś Swijowie wzięli do niewoli, gdy z wielką przewagą wtargnęli na ich łodzie, a oni nie mogli już nawet unieść ramienia z powodu odniesionych ran lub też, zmęczeni, dali się brać między tarcze. Ci, co mieli większe szczęście, poszli za królem do Chrystusa. Wraz z wielu innymi jeńcami umieszczono ich potem na jednym z swijskich okrętów, który odpływał do domu. Było ich razem czterdziestu. Pewnej nocy okręt zatrzymał się u wejścia jakiejś rzeki, a ktoś im powiedział, że rzekę tę nazywają świętą. Nazwa ta zachęciła ich do próby ucieczki. Zerwali więc pęta – wszyscy, którym starczyło na to sił – i stoczyli ze Swijami walkę na okręcie. Pozabijali swoich wrogów, a z ich własnej gromady także większość poszła na tamten świat do Olafa. Zostało szesnastu i dopóki im starczyło sił,

wiosłowali w górę rzeki. Pięciu najbardziej porąbanych zmarło z uśmiechem na ustach przy wiosłach. Oni zaś – jedenastu pozostałych – uzbroili się w broń Swijów i porzucili okręt, aby przedostać się lądem na drugą stronę do Hallandii, a stamtąd do Norwegii. Teraz bowiem zrozumieli, że są najgorszymi z królewskich wojów, gdyż król pozostawił ich na ziemi, podczas gdy innym wolno było pójść za nim. A nie śmieli odebrać sobie życia z obawy, że ich potem nie zechce uznać za swoich ludzi. Uważali, że kara nałożona na nich polega na tym, iż mieli udać się do Norwegii, aby opowiedzieć, co się stało z ich królem. Co dzień – mówili – odmawiali modlitwy, jakie tylko umieli, choć niedużo tego było, i przypominali sobie nawzajem wszystkie przykazania dla chrześcijańskich wojowników, które kiedykolwiek słyszeli od swego króla. Obecnie zaś radzi są, że dane było im spotkać księdza, wysłuchać mszy i otrzymać błogosławieństwo. I czas im już ruszać w dalszą drogę, bo śpieszno im dotrzeć do Norwegii, aby opowiedzieć, co się stało. Wierzyli, że gdy tego dokonają, dowiedzą się – może z ust samego króla – iż stali się godni, aby pójść do niego, mimo że są najgorsi.

Powędrowali więc dalej, podziękowawszy za wszystko Ormowi i księdzu. Nigdy więcej nie słyszano już w Gröning o nich ani o końcu świata.

Gdy ów rok dobiegł do końca i żadne znaki nie pojawiły się na niebie, na pograniczu zaczął się okres długotrwałego pokoju. Mir ze Smalandczykami utrzymywał się, a wśród samych Goińczyków nie działo się nic godnego wzmianki, prócz zwyczajnych zabójstw przy biesiadach i wypadków śmierci przy pożarach wzniecanych w sporach sąsiedzkich.

W Gröning życie toczyło się swoim zwykłym trybem. Ojciec Willibald pracował dla Chrystusa i nierzadko narzekał na powolność, z jaką wzrastała jego parafia mimo wysiłków, których nie szczędził. Szczególnie zaś oburzało go to, gdy ktoś przychodził doń i wyrażał gotowość przyjęcia chrztu, jeśli otrzyma za to cielaka lub jałówkę. Często jednak przyznawał Willibald, że mogłoby być jeszcze gorzej. Mówił też, iż przypuszcza, że kilku spośród nawróconych przez niego nie jest już tak zatwardziałych w grzechu jak przed chrztem. Osa robiła zawsze, co było w jej mocy, aby księdzu dopomóc. A choć zaczynała się już starzeć, wciąż jeszcze była bardzo ruchliwa i wiele miała zajęcia przy wnukach i służebnych dziewczkach. Z Ylvą zgadzały się obie dobrze i rzadko się kłóciły. Osa bowiem przeważnie pamiętała, że jej synowa z królewskiego jest rodu, i gdy Ylva w jakiejś sprawie wyraziła stanowczo swoją wolę, świekra ustępowała jej, mimo że czasem widać było, jak wiele ją to kosztuje.

– Jedno jest bowiem pewne – mawiał Orm do Ylvy – że stara jest jeszcze bardziej żądna władzy niż ty, a to wcale nie mała. I dobrze, że stało się tak, jak się tego od początku spodziewałem, to jest, że nigdy nie odważy się poważnie na ciebie złościć.

Orm i Ylva nadal żyli z sobą dobrze. Pokłóciwszy się nie mieli zwyczaju przebierać w słowach i mówili sobie prawdę w oczy bez ogródek. Ale do kłótni takich dochodziło między nimi rzadko i mijały one szybko, a żadne z nich nie chowało w sercu urazy. Orm odznaczał się tym, że nigdy nie bił żony. I nawet gdy wpadł w wielką złość, okazywał pod tym względem powściągliwość. Tak więc kończyło się co najwyżej na przewróceniu stołu czy rozwaleniu drzwi. Z czasem Orm zauważył wszakże, że on sam ma zawsze najwięcej kłopotu z naprawianiem tego, co porozbijał. To zaś, o co się pokłócili, kończyło się zawsze tak, jak chciała Ylva, choć ona ani nie wywracała stołów, ani nie rozwalala drzwi, a tylko czasem rzuciła w twarz ścierkę lub rozbiła gliniany dzban na podłodze przed jego nogami. Kiedy to zmiarkował, uznał, że nie oplaca mu się z nią swarzyć, i mijały teraz lata bez tego, by jakieś ostre słowo zakłóciło ich pożycie.

Urodziło im się jeszcze dwoje dzieci – syn, którego po Ivarze Długorękim nazywano Ivarem i który, jak się spodziewała tego Osa, miał z czasem zostać księdzem, i córka, której dano imię Sigrun. Na chrzest tej córki przybył jako najprzedniejszy gość Toke Graagulleesson. To on właśnie nadał dziewczynce to imię, dopiero jednak po długim spieraniu się z Osą. Chciała bowiem, by mała nosiła imię chrześcijańskie. Toke natomiast utrzymywał, że nie ma imienia kobiecego piękniejszego ani też okrytego większą chwałą w starych pieśniach niż Sigrun. A że zarówno Orm, jak i Ylva pragnęli mu okazać cześć, życzeniu jego stało się zadość. Toke orzekł, że dziewczuszka, gdy podrośnie, wyjdzie za jednego z jego synów, jeśli naturalnie wszystko dobrze będzie się układać. O obu starszych córkach Orma nie mógł myśleć, gdyż żaden z jego synów nie był w odpowiednim dla nich wieku.

– I wielka to doprawdy szkoda – mawiał patrząc na Oddny i Ludmiłę.

Obie dziewczynki zaczęły podraść i nikt już nie miał wątpliwości, co z nich wyrośnie. Obie były czerwonowłose i zgrabne i wczesnie zaczęły przyciągać do siebie męskie spojrzenia. Łatwo jednak można było zauważyć różnicę między nimi. Oddny miała usposobienie łagodne i ustępliwe i wczesnie okazała się zręczna w kobiecych zajęciach. Słuchała chętnie rodziców i tylko bardzo rzadko sprawiała jakąś przykrość Ylwie czy Osie. A jeśli już kiedy się coś takiego zdarzyło, to była to zazwyczaj wina jej siostry, gdyż od małości Oddny przywykła słuchać we wszystkim Ludmiły. Tej zaś z trudnością przychodziło posłuszeństwo, bardzo chętnie natomiast rozkazywała. Gdy ją chłostano, darła się więcej ze złości niż z bólu i pocieszała się tym, że niebawem będzie już na tyle duża, aby

móc oddać. Niechętnie dawała się zasadzić do maślnicy czy do krosien, woląc strzelać z łuku, w czym wnet nabrała takiej zręczności jak jej nauczyciel, Ulf Wesoły. Orm nie umiał sobie z nią poradzić i przeważnie śmiał się tylko z jej butności i przekory. A gdy Ylva skarżyła się przed nim na krnąbrne usposobienie Ludmiły i na to, że biega ona wciąż z łukiem po lesie w towarzystwie Ulfa Wesołego i Haralda Ormssona, Orm odpowiadał tylko:

– Czy mogłaś się spodziewać, że będzie inaczej? Przecież to królewska krew. A ona dostała jej za wiele, bo i za siebie, i za Oddny. Trudne będzie to żrebię do okiełznania, miejmy jednak nadzieję, że największe z tym kłopoty przypadną nie nam, ale komu innemu.

W zimowe wieczory, gdy wszyscy siedzieli z robotą przy kominie, Ludmiła potrafiła czasem utrzymać się w ryzach i umiała nawet okazać pilność przy kądzieli. Ale tylko wtedy, gdy opowiadano coś ciekawego, na przykład gdy Orm mówił o swoich przygodach w obcych krajach albo Osa o rodzinnych dziejach, albo ojciec Willibald o wielkich wydarzeniach z czasów Jozuy i króla Dawida, albo Ylva o królu Haraldzie. Najwięcej lubiła, gdy w Gröning gościł Toke. Mówił on bowiem chętnie i ciekawie oraz znał stare pieśni i wiele opowieści o dawnych bohaterach. A gdy czasem zdawało się, że chce zamilknąć, zawsze Ludmiła szybko podbiegała, aby napełnić mu dzban piwem i dopraszać się o dalszą opowieść. I rzadko tylko potrafił jej odmówić.

Albowiem od jej najwcześniejszej młodości mężczyznom trudno było się oprzeć Ludmile. Miała cerę bladą, szczupłą twarzyczkę i ciemne brwi. A choć jej szare oczy nie różniły się zbytnio kolorem od oczu wielu innych dziewcząt, mężczyznom, którzy z bliska spotkali się z ich spojrzeniem, zdawało się, że drugiej takiej pary oczu nie znajdziesz na całym pograniczu.

Pierwsze doświadczenie z mężczyznami spotkało Ludmiłę, kiedy skończyła czternaście lat. Wtedy to przyjechał latem do Gröning Gudmund z Uvaberg, aby prosić Orma o przyjęcie do służby dwóch parobków. Od czasu kiedy Orm wyrządził mu przykrość opowiadając na tingu o ich pierwszym spotkaniu, Gudmund nie pokazywał się nigdy w Gröning i przestał też przyjeżdżać na tingi. Teraz jednak pojawił się, bardzo przyjaźnie usposobiony, mówiąc, że chce zrobić Ormowi przysługę, aby dawna uraza została zapomniana.

– Przywiodłem tu z sobą dwóch najlepszych parobków, jakich kiedykolwiek miałem – mówił – i chcę ci ich odstąpić. Obaj to ludzie wolni i każdy z nich robi za dwóch albo i więcej. Toteż przychodząc z nimi do ciebie, oddaję ci wielką, przyjacielską przysługę. To prawda jednak, że i ty wyświadczysz mi przysługę przyjmując ich do służby, bo są to nieprawdopodobni żarłocy. Służą u mnie od czterech miesięcy, ale nie mogę zatrzymać ich dłużej. Nie mam bowiem takiego majątku jak ty i utrzymanie ich zaczyna kosztować mnie

zbyt wiele. Gdybym zaś chciał ograniczyć im wyżywienie, grożą, że mogą stać się niebezpieczni. Jeśli bowiem nie najedzą się do syta w obiad i na wieczerzę, ogarnia ich szaleństwo. Chętnie natomiast pracują dla tego, kto może ich nakarmić do syta, wtedy nikt się nie może z nimi równać.

Orm podejrzewał jakiś podstęp i zaczął dokładnie o wszystko wypytywać zarówno Gudmunda, jak i samych parobków. Ci jednak nie ukrywali swoich wad, lecz wyznali uczciwie, jacy są i czego żądają za swoją pracę. A że Orm potrzebował właśnie silnych parobków, skończyło się na tym, że przyjął ich do służby, a Gudmund odjechał do domu.

Przybysze nazywali się Ullbjörn i Greip. Byli to ludzie młodzi, o pociągłych twarzach i lnianych włosach, a siła ich rzucała się w oko na pierwsze wejrzenie. Natomiast z rozumem nie było u nich tak dobrze. Po wymowie można było poznać, że przybywają z daleka, sami zaś powiadali, że pochodzą z kraju położonego na północ od Westrogocji, a zwanego Jarnbaraland, czyli Krainą Żelaza. W kraju tym – jak mówili – mężczyźni i niedźwiedzie równą się odznaczają siłą i mocują się z sobą ze zmiennym szczęściem. Obecnie nastał tam wielki głód i dlatego udali się na południe, chcąc dotrzeć tak daleko, żeby mogli się najeść do syta. Pracowali w wielu miejscach w Westrogocji i w Smalandii, a gdy tylko wyżywienie zaczynało im się gdzieś wydawać za skąpe, zabijali swoich gospodarzy i ruszali w dalszą drogę.

Orm napomknął, że musieli natrafić na jakichś bardzo niedołącznych gospodarzy, co się dawali tak łatwo zabijać. Ale młodzieńcy patrzyli na niego poważnie i prosili, aby zapamiętał, co mu mówią.

– Berserkerowski szal ogarnia nas wtedy – mówili – i nikt nie może się nam oprzeć. Jeśli jednak dostaniemy pod dostatkiem jedzenia, spokojnie robimy, co nam każe gospodarz. Tak to już z nami jest.

– Jadła dostaniecie, ile potraficie w siebie wepchnąć – odparł Orm. – A jeśli okażecie się w robocie takimi, jak mówicie, toście tego warci. Wiedźcie jednak, że jeśli chodzą wam po głowie jakieś berserkerowskie szaleństwa, źle trafiliście przychodząc do mnie. Tego bowiem nie ścierpię.

Spojrzeli na niego z zafrasowaną miną i zapytali, czy daleko do obiadu.

– Bo lada chwila możemy poczuć głód – dodali.

Tak się złożyło, że obiad wniesiono, zanim rozmowa potoczyła się dalej. Przybysze zabrali się żwawo do dzieła i jedli tak żarłocznie, że wszyscy przyglądali się im ze zdziwieniem.

– Najedliście się za trzech – rzekł Orm po obiedzie – teraz zaś chciałbym zobaczyć, żebyście pracowali za dwóch, a może i jeszcze lepiej.

– I zobaczysz – obiecywali. – Bo z posiłku jesteście zadowoleni.

Orm kazał im naprzód kopać studnię i musiał niebawem przyznać, że to, co o sobie mówili, nie było przechwałką. Szybko bowiem wykopali doskonałą studnię, szeroką i głęboką, o ścianach wyłożonych kamieniem.

Dzieci przychodziły często przyglądać się im, jak pracowali. Obaj parobcy nic się do nich nie odzywali, ale widać było, że często zerkali na Ludmiłę, która wpadła im w oko. Ona zaś nie bała się ich wcale i dopytywała, jak wygląda berserkerowski szal. Nie dostawała jednak na to żadnej odpowiedzi. Gdy skończyli studnię, Orm polecił im zbudować szopę na łodzie w dole nad rzeką. Także i z tego zadania wywiązali się szybko i zaszczytnie.

Ylva zakazała córkom zbliżać się do budowy, dopóki pracowali tam obaj przybysze, mówiąc, że nigdy nie wiadomo, co takim półtrollom może strzelić do głowy.

Gdy uwinęli się z budową szopy, Orm kazał im zrobić porządek w oborze. Całe bydło wypuszczono już na zieloną paszę i tylko byk stał jeszcze w oborze, gdyż zbyt był dziki, aby go wypuszczać. W przegrodach leżał gnój z całej zimy, Ullbjörn i Greip nie mało więc mieli tam roboty.

I dziatwa, i cała czeladź bała się trochę obu parobków z powodu ich siły i dziwaczności. Ullbjörn i Greip nie rozmawiali prawie z nikim, czasem jednak, gdy ich ktoś zagadnął, opowiadali krótko o swoich czynach i o tym, jak dławili gardła lub łamali gołymi rękami kręgosłupy ludziom, którzy skąpili im jedzenia.

– Nikt się nam nie oprze – powtarzali. – Tutaj jednak czujemy się syci i jest nam dobrze. I dopóki to będzie trwać, nic nikomu nie grozi.

Jedna tylko Ludmiła nie czuła przed nimi lęku. Często chodziła się przyglądać, jak pracowali w oborze, czasem z rodzeństwem, a czasem zupełnie sama. Oni zaś przypatrywali się jej zawsze pilnie i choć młodziutka, dobrze zrozumiała, co im się roi w głowie.

Pewnego dnia, gdy znalazła się tam sama, odezwał się Greip:

– Dobra byłaby z ciebie dziewczyna dla mnie.

– I dla mnie także – dodał Ullbjörn.

– Jeśli się nie boisz, chciałbym z tobą pobaraszkować w sianie – mówił dalej Greip.

– A ja potrafię baraszkować z tobą w sianie jeszcze lepiej niż Greip – dorzucił Ullbjörn.

Ludmiła śmiała się.

– A więc obaj mnie lubicie? – spytała. – To bardzo źle. Jestem bowiem dziewicą, i to królewskiego rodu, więc się nie zadowolę byle jakim włóczęgą. Ale z was obu może wolę jednego bardziej niż drugiego.

– Mnie? – zapytał Greip odstawiając łopatę.

– Mnie? – wykrzyknął Ullbjörn rzucając miotłę.

– Tego, który jest silniejszy – powiedziała Ludmiła. – I chcę zobaczyć, który to będzie.

Obaj rozpalili się bez miary. Stali nieruchomo, patrząc na siebie gniewnie.

– Temu, który pokona drugiego, może pozwolę posiedzieć z sobą trochę nad rzeką – szepnęła cicho Ludmiła.

Natychmiast zaczęli ryczeć jak wilkołaki i chwycili się za bary. Wyglądali na jednako silnych i żaden nie mógł poradzić drugiemu. Tarzali się szepieni z sobą, aż trzeszczały ściany i podpory. Ludmiła cofnęła się do drzwi, aby usunąć się im z drogi.

Stała u wejścia do obory, kiedy nadszedł Orm.

– Co to za krzyki? – zapytał. – Co się tam dzieje w środku?

– Biją się – wyjaśniła.

– Biją się? – powtórzył za nią Orm podchodząc bliżej. – A o co to się biją?

– O mnie – powiedziała z zadowoleniem Ludmiła. – I to jest już chyba berserkerowski szal.

Po czym szybko uciekła zobaczywszy po minie Orma, że ogarnął go tak wielki gniew, w jakim go jeszcze nigdy dotąd nie widziała.

On zaś wyrwał kij z stojącej pod ścianą starej miotły i tylko weń uzbrojony wpadł do obory, zatrzasnąwszy za sobą wrota. Jego głos zapanował przez chwilę nad rykiem walczących z sobą parobków, a potem nastąpiła cisza. Wnet jednak ryki odezwały się znowu, i to ze wzmożoną siłą. Dziewki służebne powychodziły na podwórze i stały, trwożnie się przysłuchując, nikt jednak nie kwapił się otworzyć wrót obory, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Ktoś wołał Rappa, aby biegł z toporem, nie było go jednak w pobliżu. A potem otworzyła się z łoskotem jedna połowa wrót i z obory wyleciał przerażony byk z zerwanym postronkiem i popędził do lasu. Wszyscy zakrzyknęli głośno na ten widok. A Ludmiła złękła się i zaczęła płakać, przyszło jej bowiem do głowy, że nawarzyła większego piwa, niż zamierzała.

W końcu wszystko ucichło i z obory wyszedł zadyszany Orm. Tarł ramię i czoło i kulał nieco, odzież na nim była porwana, a jeden policzek odarty miał częściowo z brody. Dziewczyny otoczyły go, zasypując pytaniami i okrzykami. A on spojrział na nie i powiedział, że nie trzeba już stawiać misek Ullbjörna i Greipa do wieczerzy.

– A także i później – dodał. – Co do mnie zaś, nie wiem, jak jest z moją nogą.

I pokuśtykał do domu, aby szukać pomocy Ylvy i księdza.

Wewnątrz w oborze zniszczenie było duże, a berserkerzy leżeli w jednym jej rogu – Greip ze sterczącym z gardła szpicem kija od miotły, a Ullbjörn z wywalonym na wierzch jęzorem. Obaj nie żyli.

Ludmiła chodziła w strachu, że dostanie porządne lanie, a Ylva uważała, że słusznie jej się ono należy za to, że poszła samotnie do parobków. Ale Orm wstawił się za córką, tak że się jej upiekło lepiej, niż się mogła spodziewać. A o zajściu w oborze opowiadała sama w taki sposób, że nie można jej było ganić. Kiedy okazało się, że skaleczenia Orma nie były ciężkie, nie przejawiał on zbytnio niezadowolenia z tego wypadku. Bo choć uważał teraz za pewne, że cała ta historia z obu parobkami była próbą zemsty ze strony Gudmunda z Uvaberg, promieniał, że sam dokonał tego czynu i nie używając broni pokonał dwóch berserkerów.

– Sprytnieś to zrobiła, Ludmiło – mówił – podjudzając ich na siebie, gdy się do ciebie dobierali. Bo nie wiadomo, czy dałbym sobie z nimi radę, gdyby nie byli trochę zmęczeni bójką. Toteż wybacz jej, Ylvo, i nie karz biciem za to, że głupia poszła do nich sama. Jest jeszcze taka młoda, że nie rozumie w pełni, co chodzi po głowie mężczyznom, gdy na nią patrzą.

Na te słowa Ylva potrząsnęła z powątpiewaniem głową. Ale stało się tak, jak Orm chciał.

– Wszystko skończyło się dobrze – ciągnął on dalej. – Nikt nie może zaprzeczyć, że ci dwaj szaleńcy niejedno zdziałali, odkąd tu przyszli. I oto ja mam studnię i szopę na łodzie, i jeszcze większy mir, Gudmund zaś został wystrychnięty na dudka. Wszystko jest więc tak, jak być powinno. Ale dam mu do poznania, iż jeśli jeszcze raz będzie próbował jakichś wobec mnie kawałów, taką dostanie nauczkę, że będzie już potem siedział cicho.

– Pójdę wtedy z tatą – odezwał się poważnie Svarthöfde, który przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Jeszcześ za mały, aby nosić miecz – odrzekł Orm.

– Mam toporek, który wykuł dla mnie Rapp. Mówi on, że mało jest takich, co miałyby lepsze ostrze.

Orm i Ylva roześmiali się oboje, ale ojciec Willibald bardzo się zgorszył, że chrześcijańskie dziecko odzywa się w ten sposób.

– I mówię ci, Svarthöfde – pouczał – a słyszałeś to już nie pięć i nie dziesięć razy, że mniej masz myśleć o broni, a więcej o tym, aby się nauczyć modlitwy, która się zwie Pater noster i którą ci wciąż tłumaczę, usiłując doprowadzić do tego, abys ją zapamiętał. Brat twój Harald umiał tę modlitwę już w siódmym roku życia, tobie zaś idzie na dwunasty i jeszcze jej

nie umiesz. – Niech więc Harald modli się za nas obu – odparł spokojnie Svarthöfde. – Mnie się wcale z tą księżą mową nie śpieszy.

Tak to mijał czas w Gröning bez większych wydarzeń. A jedynym pragnieniem Orma było, aby móc żyć w spokoju do końca dni swoich. W rok jednak po tym, jak zabito obu berserkerów, dosięgła go wieść, która sprawiła, że wyruszył w swą trzecią daleką wyprawę.

II.

O PRZYBYSZU ZE WSCHODU

Do Gröning przyjechał z dziesięciu towarzyszami Olof Motyl, serdecznie przez wszystkich witany. Zatrzymał się u Orma przez trzy dni, bo przyjaźń między nimi była wielka. Mówił jednak, że udaje się dalej, aż na wschodnie wybrzeże, do Kivik, gdzie czasem zawijają okręty z Gotlandii i gdzie chce kupić zapas soli. A kiedy Orm o tym usłyszał, postanowił mu towarzyszyć w tym samym celu.

Nadeszły teraz takie czasy, że prawie nie można było dostać soli bez względu na to, ile ktoś chciałby za nią zapłacić. A przyczyną tego był król duński, Sven, i szczęście, które mu zawsze we wszystkim sprzyjało. Król Sven pływał bowiem po morzach z takimi chmarami okrętów, o jakich dawniej nikomu się nawet nie śniło, napadając każdego, na kogo tylko się natknął. Splądrował i spustoszył Hedeby. Obrócił podobno w perzynę kraj Fryzów. I wiadomo było też, że zamierza podbić całą Anglię, a jeśli mu czasu starczy – jeszcze więcej. Gardził handlem, a znaczenie miały dlań tylko długie łodzie i wojownicy. I doszło w końcu do tego, że ostatnio przestały zupełnie przychodzić z zachodu statki wiozące sól. Nikt nie ważył się zapuszczać do nordyckich wybrzeży. Można więc było dostać tylko sól przywożoną przez Gutów od Wenedów. A o nią dobijali się mieszkańcy wybrzeża tak zapalczywie, że do wnętrza kraju nie dochodziło nic albo tylko bardzo niewiele.

Orm wziął ośmiu ludzi i udał się wraz z Olofem Motylem do Kivik, gdzie długi czas czekali na jakiś statek z solą. Z wszystkich stron zbierali się tam ludzie w tym samym celu. W końcu pojawiły się dwa ciężko wylądowane okręty z Gotlandii i rzuciły kotwice w dobrej odległości od portu. Głód soli był bowiem tak wielki, że Gutowie prowadzili handel z ogromną ostrożnością, aby nie pozabijali ich zapalczywi nabywcy. Okręty Gutów były to wielkie statki o wysokich dziobach, dobrze obsadzone załogą. A kupujący mieli podpływać do nich w łódkach i wpuszczano ich na pokład tylko po dwóch naraz.

Orm i Olof Motyl wynajęli łódkę rybacką i kazali się zawieźć do okrętów. Ubrani byli w czerwone płaszcze i lśniące hełmy i Olof narzekał na to, że łódka jest taka mała, wolałby bowiem pojawić się u Gutów z większą okazałością. Gdy przyszła na nich kolej, wspięli się na pokład jednego z gockich okrętów, na którym powiewał proporzec dowódcy. A wioślarze, jeden z ludzi Olofa i jeden z ludzi Orma, wywołali przy tym głośno imiona swoich panów, tak by Gutowie natychmiast pojęli, że to przybywają hövdingowie.

– Olof Styrsson, Wspaniały – hövding Finnwedingów, przez wielu zwany Olofem Motylem! – wołał jeden.

– Orm Tostesson, Bywały – hövding żeglarzy, którego przeważnie nazywają Rudym Ormem! – wołał drugi.

Gdy rozległy się te imiona, na statku powstało poruszenie i kilku ludzi przecisnęło się naprzód, aby powitać przybywających. Byli to mężowie, którzy znali Olofa z czasów spędzonych przezeń na Wschodzie. Kilku zaś brało udział w wyprawie Thorkela Wysokiego na Anglię i pamiętało Orma z owych czasów.

Człowiek, który siedział przy burcie, tuż obok miejsca, którędy dostali się na pokład, gwałtownie jęcząc szukał ich po omacku jedną ręką. Był to mąż rosły o gęstej brodzie, która zaczynała już siwieć. Na twarzy nosił szeroką przepaskę, przesłaniającą mu oczy, a gdy wyciągnął ramię, widać było, że prawa dłoń ucięta jest przy samym przegubie.

– Patrzcie na ślepcę – mówili marynarze. – On czegoś chce.

– Wygląda na to, że zna któregoś z was – rzekł hövding Gutów. – Nie ma on języka, nie może więc nic powiedzieć i nie wiemy dlatego, kim jest. Przyprowadzili go do nas na statek kupcy ze Wschodu, gdy staliśmy na rzece Dźwinie, na targowisku Kurów. Powiadali, że chce się dostać do Skanii, a że ma srebro na opłacenie podróży, wziąłem więc go z sobą. Rozumie dobrze, co się do niego mówi, i po długim dopytywaniu udało mi się dowiedzieć, że ma rodzinę w Skanii. Więcej jednak nie wiem o nim nic. Nawet imienia jego nie znam.

– Język, oczy i prawa ręka – zdziwił się Olof Motyl. – To wygląda na robotę Bizantyjczyków.

Na te słowa ślepiec kiwnął głową.

– Jestem Olof Styrsson z Finnveden i służyłem w straży przybocznej cesarza Bazylego. głową. Czy mnie znasz?

Ślepiec potrząsnął przecząco głową.

– To może w takim razie znasz mnie – odezwał się Orm – choć ja nie wiem, kim ty jesteś. Nazywam się Orm i jestem synem Toste, który był synem Thorgrima z Grimstad koło Kullen. Czy to ja jestem ci znany?

Ślepiec przytaknął żywo głową, wydając z gardła niezrozumiałe dźwięki.

– Czyś był może z nami, kiedyśmy płynęli do Hiszpanii z Krukiem? Albo w wyprawie do Anglii z Thorkelem Wysokim?

Nieznajomy dał znak przeczenia i Orm znów się zastanowił.

– A może ty pochodzisz z okolic Kullen? – spytał po chwili.

Obcy znów potaknął, a ciało jego przeszedł dreszcz.

– Dawno już, jak się stamtąd wyniosłem – ciągnął Orm. – Jeśli jednak mnie znasz, musieliśmy tam mieszkać równocześnie. Czyś długo przebywał poza krajem?

Nieznajomy głęboko westchnął i powoli skinął głową. Potem podniósł dłoń, która mu pozostała, rozcapierzył palce i znów zwinął ją w pięść. Powtarzał to pięć razy, po czym wystawił tylko cztery palce.

– Rozmowa idzie lepiej, niżby się można było spodziewać – napomknął Olof Motyl. – Jeśli dobrze go zrozumiałem, chce przez to powiedzieć, że był poza krajem przez dwadzieścia dziewięć lat.

Ślepiec potwierdził kiwnięciem głowy.

– Dwadzieścia dziewięć lat – zwrócił się do niego Orm z namysłem. – To znaczy, że ja miałem trzynaście, kiedyś ty wyruszył w świat. Powinienem więc pamiętać, kto z okolicy udał się w owym czasie na Wschód.

Ślepiec podniósł się i stanął przed Ormem. Wargi jego poruszały się bezgłośnie, a ręką zrobił ruch, jakby chcąc przynaglić Orma. Ten zaś nagle wykrzyknął zmienionym głosem:

– Czyżbyś był moim bratem Are?

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na twarzy ślepcy. Skinął głową potakująco, a potem zachwiał się na nogach i osunął na ławę, drżąc na całym ciele.

Cała załoga nie mogła się nadziwić temu spotkaniu. Wszyscy uważali, że byli świadkami czegoś, o czym warto będzie opowiadać. A Orm frasobliwie przyglądał się ślepcowi.

– Byłoby nieprawdą, gdybym twierdził, że cię poznaję – rzekł w końcu. – Znadto jesteście wynędzniali i zbyt wiele czasu upłynęło, od kiedy cię widział po raz ostatni. Ale wezmę cię z sobą do domu, gdzie jest ktoś, kto cię pozna natychmiast, jeśliś ten, za kogo się podajesz. Bo starowinka żyje i wciąż jeszcze ciebie wspomina. I zaiste to chyba sam Bóg prowadził twoje kroki, skoro ślepy potrafiłeś znaleźć drogę do mnie i do matki.

Orm i Olof wzięli się teraz do załatwiania swoich zakupów soli i obaj nie mogli się nadziwić chciwości Gutów, tam gdzie chodziło o handel. Wielu z załogi miało udział w okręcie i jego ładunku, a wszyscy byli tacy sami, dobrodusznymi pod innymi względami, ale twardzi jak żelazo w tym, co się tyczyło ich towaru.

– Nikogo nie zmuszamy do kupowania soli czy czegoś innego – mówili. – Ale kto chce od nas kupować, musi zapłacić tyle, ile żądamy, albo odejść z niczym. Jesteśmy bogatsi od innych i chcemy wzbogacić się jeszcze bardziej. My bowiem, Gutowie, mamy najwięcej rozsądku. Nie należymy do rabusiów i zabijaków jak wielu innych, ale zapewniamy sobie zysk uczciwym handlem. Co zaś warta jest obecnie sól, wiecie lepiej od nas. Chwała niech będzie królowi Svenowi, który sprawił, że możemy dużo żądać za swój towar.

– Niech się nie chełpi swoim rozsądkiem ten, kto wychwala króla Svena – odparł z rozgoryczeniem Orm. – I wydaje mi się, że łatwiej jest dojść do ładu z rabusiami i zbójcami niż z wami.

– Często słyszymy takie o nas zdanie – odrzekli Gutowie – a przecie to nieprawda. Spójrz na swego nieszczęsnego brata, któregoś u nas znalazł. Ma on w pasie srebro, i to wcale niemało. Ale nikt z nas nie tknął tego, z wyjątkiem sumy, którą obiecał nam zapłacić za podróż i wyżywienie. Inni zabraliby mu srebro, a jego samego wrzuciliby do morza. My jednak jesteśmy uczciwi, choć to prawda, że wielu nie chce nam tego przyznać. Gdyby jednak brat twój miał przy sobie złoto, byłoby z nim gorzej. Bo złotu nikt nie potrafi się oprzeć.

– Zaczynam znów tęsknić za morzem – rzekł Orm. – Jeśli nie z innego powodu, to dlatego, że chciałbym spotkać taki okręt jak wasz.

– Wielu tak myśli – odrzekli śmiejąc się Gutowie. – Ci jednak, co się na nas porywają, mocno muszą się lizać po spotkaniu. Bo musisz wiedzieć, żeśmy silni i nie boimy się walki, gdy potrzeba. Tylko Styrbjörna lękaliśmy się, ale po nim już nikogo. A teraz mówcie, czy chcecie coś kupić, czy też nie, bo wielu czeka na swoją kolej.

Olof Motyl nie mówiąc wiele zapłacił za swoje worki z solą, Orm natomiast nie przestawał gderać odliczając zapłatę. Wtem poczuł czyjeś dotknięcie. To brat jego Are podawał mu garść srebra, starając się ostrożnie przesypać monety w dłoń Orma.

– Widzisz sam, że jest tak, jak opowiadaliśmy – mówili Gutowie. – On ma srebra pod dostatkiem. I nie potrzebujesz już wątpić, że jest twoim bratem.

Orm popatrzył na srebro z wahaniem, po czym rzekł:

– Od ciebie, Are, przyjmę to srebro. Nie chcę jednak, abys sądził, że mam skąpy albo ubogi. Mam tyle, że starczy tego i dla mnie, i dla ciebie. Zawsze jednak przykro płacić kupcom monetą, a już najprzykrzej, gdy są tacy jak ci oto.

– Są od nas silniejsi – wtrącił Olof – sól zaś musimy mieć za wszelką cenę. Ale to prawda, że trzeba być bogaczem, aby móc się zadawać z Gutami.

Pożegnali się krótko i wróciwszy z solą na ląd pojechali z powrotem do domu. A Orm nie bardzo wiedział, czy się cieszyć, czy martwić, że wiezie do domu odzyskanego brata tak bardzo okaleczonego.

W drodze powrotnej Orm i Olof próbowali na postojach za pomocą wielu pytań dowiedzieć się o losie, jaki dotknął Are. Olof Motyl, który sam służył w straży przybocznej w Miklagrodzie, nigdy się z nim tam nie spotkał. Po długim dopytywaniu udało się im w końcu dojść do tego, że Are był dowódcą na jednym z okrętów wojennych cesarza. Okaleczenie nie było wynikiem jakiejś kary. Doznał go w niewoli, do której dostał się po

walce. Jedno tylko było całkiem pewne, że sprawcą tego byli Bizantyjczycy. Ale mimo zadawania najbardziej pomysłowych pytań więcej nie umieli wydobyć z Are, gdyż jedyne, co mógł odpowiadać, to „tak” albo „nie”. I widać było po nim, że bardzo go męczy to, że nie umieją znaleźć właściwych pytań, a on nic im w tym nie może dopomóc. Połapali się tylko, że przydarzyło mu się coś zupełnie niezwykłego, co miało związek ze złotem i zdradą. I okazało się, że wiedział o czymś, co im koniecznie chciał przekazać. Próżne były jednak ich wysiłki, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Musimy uzbroić się w cierpliwość – rzekł w końcu Orm. – Nie warto, abyśmy się dłużej męczyli bezużytecznym odgadywaniem, bo i tak nie zgadniemy. W domu ksiądz nam pomoże i znajdziemy może jakiś lepszy sposób, by się porozumieć, choć nie wiem, jak by to można zrobić.

– Najtrudniej chyba pojąć, jak on potrafił przebyć całą drogę do domu, będąc tak okaleczonym – odparł Olof. – I jeśli coś takiego było możliwe, to miejmy nadzieję, że znajdzie się również jakaś rada, aby dowiedzieć się, co chce nam powiedzieć. I na pewno nie wyjadę z Gröning, dopóki się czegoś więcej nie dowiem.

Are wzdychał tylko, ocierając pot z czoła, i siedział bez ruchu.

Gdy zbliżali się do Gröning, Orm poszedł pierwszy, aby uprzedzić Osę. Bał się bowiem, że radość i przerażenie mogą stanowić dla niej zbyt wielki wstrząs. Z początku oszołomiło ją istotnie to, co opowiadał, i zaczęła rzewnie płakać. Potem jednak padła na kolana i z głową opartą o ławę dziękowała Bogu, że oddał jej syna, którego przez tak długi czas uważała za zaginionego. A gdy zobaczyła Are, pobiegła mu z jękiem na spotkanie i trudno jej się było od niego oderwać. Natychmiast też zaczęła łąać Orma, że zrazu wątpił, iż ma do czynienia z bratem. Uspokoiwszy się oświadczyła, że robi Are piękniejszą przepaskę na oczy, a gdy się dowiedziała, że jest głodny, natychmiast humor jej się poprawił i poszła, aby własnymi rękami przygotować mu potrawy, które – jak pamiętała – lubił najlepiej. Przez wiele dni chodziła jak ogłuszona i nie umiała myśleć o niczym innym jak tylko o odzyskanym synu i jego wygodach. Gdy okazywał apetyt, przyglądała mu się uszczęśliwiona, a gdy raz poklepał ją po ręce na znak podziękowania, z radości wybuchnęła płaczem. Kiedy zaś czasem znużyła go paplaniem bez końca, tak że zatykał uszy dłonią i kikutem i głośno jęczał, natychmiast milkła i potrafiła siedzieć cicho przez dobrą chwilę, zanim zaczęła paplać na nowo. Wszyscy w zagrodzie czuli dla Are współczucie i okazywali mu pomoc. Dzieci bały się go z początku, ale wnet nauczyły się go lubić i dopomagać mu. Z upływem czasu pozwalał chętnie wyprowadzać się rankami nad rzekę, gdzie siadywał łowiąc ryby

w towarzystwie kogoś, kto mu pomagał przy zakładaniu przynęty i zarzucaniu wędki. Najlepiej lubił towarzystwo Svarthöfde, a także i Rappa, gdy ten ostatni miał wolny czas, może dlatego, że obaj, podobnie jak on sam, chętnie siedzieli w milczeniu.

Od samego początku jednak, gdy Orm powtórzył to, czego dowiedział się od Are w drodze do domu, wszyscy byli ogromnie ciekawi, aby usłyszeć coś więcej o jego nieszczęściu. Olof Motyl odesłał towarzyszy z solą do domu, zatrzymując przy sobie tylko dwóch, i oświadczył Ylwie, że chciałby zostać w Gröning, dopóki nie dowiedzą się od Are czegoś więcej. Czuje bowiem, że mogą to być rzeczy ważne. Ylva zaś rada była temu, że się zatrzymał dłużej, lubiła go bowiem i chętnie widziała gościem w swoim domu. Ponadto zaś spostrzegła, że oczy jego coraz to zatrzymują się na Ludmile, która skończyła lat piętnaście i była już zupełnie dorosłą dziewczyną, a z dnia na dzień stawała się coraz dorodniejszą.

– To dobrze, że zostajesz – mówił także Orm. – Bez twojej pomocy nie zajdziemy daleko z Are, albowiem jesteś jedynym, który zna Miklagród i tamtejszych ludzi.

Ale choć bardzo się wysilali i choć pomagały im teraz także kobiety i ksiądz, nie udało im się odkryć nic więcej z historii Are. Jedyne, czego się jeszcze dowiedzieli, to to, że nieszczęście przytrafiło mu się na rzece Dniepr, w kraju Pieczyngów, tuż obok miejsca, gdzie na długiej przestrzeni trzeba przeciągać łodzie łądem na klocach, aby wyminąć porohy. Ale, jak mówił Olof Motyl, niełatwo było się domyślić, co z tym mieli wspólnego Bizantyjczycy, więcej zaś nie potrafili wydobyć z Are pytaniami.

Orm wymyślił w końcu coś, co powinno było dużo pomóc. Are znał runy* i Orm kazał sporządzić deskę z lipowego drzewa – białą i gładziutką – na której Are miał kreślić węglem słowa jedyną pozostałą mu ręką. Are wziął się ochoczo do dzieła i długo się wysilał. Ale szło mu to opornie, bo mając tylko lewą rękę i będąc ślepyim mieszał runy tak, że nikt nie mógł zrozumieć tego, co on napisał. W końcu więc porwał go gniew, odrzucił deskę i węgiel i nie chciał więcej próbować.

Dopiero Rapp wspólnie z księdzem wymyślili w końcu coś lepszego, nagłowiwszy się nad tym porządnie. Rapp wyciosał klocek, obrócił go i wygładził, a potem wyciął na nim runy – wszystkie szesnaście po kolei – bardzo duże i wyraźne, oddzielone od siebie głębokimi nacięciami. Położyli ów klocek przed Are prosząc, aby go obmacał. A kiedy zrozumiał, o co im chodzi, widać było, że doznał wielkiej ulgi. Odszukiwał tedy dłonią runę po runie i układał słowa potrzebne do opowieści, a ojciec Willibald siedział obok niego z piórem i zapisywał na

* Runy – prastare pismo Normanów.

baraniej skórze znaki, w miarę jak Are je pokazywał. Z początku szło im to niesporo, niebawem jednak poprawiło się znacznie i wszyscy otaczali ich pełni radości i nadziei, gdy na skórze pojawiały się zrozumiałe słowa. Co wieczora ksiądz odczytywał to, co zapisali w ciągu dnia. Wszyscy słuchali chciwie i po trzytygodniowej pracy opowiadanie było skończone. Ale pierwszą jego część, o tym, gdzie leży schowany skarb, Willibald przeczytał tylko Ormowi.

III.

OPOWIADANIE O ZŁOCIE BUŁGARÓW

Jestem najuboższy ze wszystkich, bo odebrano mi oczy, język i prawą rękę i straciłem syna, którego zabił cesarski skarbnik. Ale mogę też nazywać się najbogatszym, ponieważ wiem, gdzie jest ukryte złoto Bułgarów. Powiem teraz, gdzie to jest, aby nie stało się tak, że umrę, zanim to zostanie powiedziane. Ty zaś, księżo, przeczytaj to tylko memu bratu i nikomu innemu, a on już postanowi, czy powiedzieć to komuś więcej.

W rzece Dniepr, przy długiej przeprawie przez porohy, tuż poniżej trzecich porohów, gdy iść od południa, przy prawym brzegu równo w połowie odległości pomiędzy wzgórzem, gdzie Pieczyngowie umieszczają czaszki zmarłych, a niewielką skałą wystającą z fal rzeki, na której rosną trzy różane krzewy, pod wodą, w wąskim korycie w szczelinie skalnej, ukryte pod wielkimi głazami, których występy nie pozwalają dojrzeć dna, leży złoto Bułgarów. Ja zaś jestem jedynym, który o tym wie. Jest tego złota tyle, że dwóch tęgich mężów miałoby co dźwigać – cztery skrzynki opatrzone cesarską pieczęcią. I do tego jeszcze srebro w pięciu skórzanych worach, a wory te są ciężkie. Skarb ten należał naprzód do Bułgarów, którzy narabowali go od wielu innych narodów. Potem znów dostał się cesarzowi, od którego ukradł go skarbnik Teofil Lakenodrako. W końcu zaś stał się moim i to ja ukryłem go tam, gdzie obecnie spoczywa.

Opowiem, jak z tym było. Gdy ongiś przybyłem do Miklagrodu, wstąpiłem do służby w straży przybocznej, gdzie służy wielu Normanów. Są tam Swije, Dunowie i mężowie z Norwegii, a nawet woje z położonej daleko na morzu Islandii. Służba jest dobra, a żołd sowity. Ja jednak przybyłem tam za późno, aby wziąć udział w plądrowaniu pałacu po śmierci cesarza Jana Zimiskesa.

Było to plądrowanie, jakich mało, i długo je jeszcze potem wspomniano. Bo od dawna jest tam zwyczaj, że straż przyboczna plądruje pałac cesarski, gdy umrze jakiś cesarz. Dużo byłoby jeszcze do opowiadania, księżo, powiem jednak tylko to, co niezbędne, gdyż mężczyźnie to macanie po desce.

Długo służyłem w straży przybocznej i tam też się ochrzciłem i ożeniłem. Kobieta nazywała się Karbonopsina, co po naszymu znaczy „brunatna jak węgiel”. Pochodziła z dobrego rodu, według tego, co sądzą Bizantyjczycy, jako że ojciec jej był bratem żony drugiego szatnego trzech księżniczek.

Bo w Miklagrodzie oprócz cesarza Bazylego, który jest bezdzietny, także i brata jego Konstantyna nazywają cesarzem. Prawdziwym cesarzem jest Bazyli. On rządzi państwem, gromi buntowników i co roku wyrusza w pole przeciw Arabom i Bułgarom. A Konstantyn przesiaduje w pałacu i rozkoszuje się swymi skarbami, otoczony dworzanami i rzezańcami, co się wokół niego tłoczą. A gdy któryś z nich powie mu, żeś jest równie wielki jak brat Bazyli albo i jeszcze większy, Konstantyn uderza pochlebcę w głowę małą, czarną laseczką z złotym orłem cesarskim. Uderzenie to jest jednak lekkie, a pochlebca otrzymuje potem podarek. Ale Konstantyn bywa też niekiedy surowy, gdy zmieni się jego usposobienie, a najgorszy jest, gdy się upije.

To on właśnie jest ojcem trzech księżniczek. Uważają je za istoty lepsze od kogokolwiek na świecie z wyjątkiem samych cesarzy, jako że stanowią jedyne potomstwo cesarskiego rodu. Są to Eudokia, garbata i ospowata, którą trzymają w ukryciu, Zoe, która należy do najpiękniejszych pośród kobiet i która płonie pożądaniem do mężczyzn od swoich najwcześniejszych lat, oraz Teodora, która jest pobożna i niespełna rozumu. Wszystkie są niezamężne, albowiem, jak mówią cesarze, nie ma dla nich dość dobrego małżonka. I dla Zoe stanowi to od dawna ogromne zmartwienie.

My, cośmy służyli w straży przybocznej, przebywaliśmy na przemian w polu z cesarzem lub też jako straż w pałacu u jego brata. Dużo mam wspomnień, ale opowiadanie idzie mi wolno. Opowiem więc teraz o moim synu.

Kobieta nazwała go Georgios i tak też kazała go ochrzcić. Ja bowiem znajdowałem się z cesarzem w polu, w chwili gdy się urodził. I za to wychłostałem ją tęgo, a jego nazwałem Halvdanem – co znaczy połówka – a więc odpowiednim dla niego imieniem. A gdy dorósł, znano go pod obu imionami. Z matką i innymi rozmawiał po grecku, który to język jest mową kobiet i księży. Ze mną zaś mówił po naszemu, choć przychodziło mu to z większą trudnością.

Gdy Halvdan miał siedem lat, matka jego przejadła się mięczakami i umarła, a ja nie wziętem po niej nowej kobiety. Bo niedobrze jest mieć żonę z obcego szczepu, a kobiety w Miklagrodzie niewiele są warte. Gdy tylko wyjdą za mąż, stają się głupie, gnuśne i leniwe, a po urodzeniu dzieci szybko się starzeją i tracą jędrność. Na domiar złego są nieposłuszne, a gdy je chłostać, biegną z krzykiem do księży i biskupów. Nie są one takie jak nasze kobiety, które mają zdrowy rozsądek i spełniają swoje obowiązki, a po urodzeniu dzieci stają się coraz dorodniejsze. Takiego zdania byliśmy wszyscy w straży przybocznej. A wielu zmieniało żony co roku, lecz nigdy nie byli zadowoleni.

Ale syn stanowił moją radość. Był zgrabny i szybkonogi, wyszczekany i wesoły. Niczego się nie bał – nawet mnie. Kobiety oglądały się za nim na ulicy, kiedy jeszcze był mały, a robiły to o wiele szybciej, gdy podrosł. I to było jego nieszczęściem, nikt jednak nic nie mógł na to poradzić. Halvdan już nie żyje, ale rzadko tylko przestaję o nim myśleć. Jedyne, o czym potrafię jeszcze przemyśliwać, to on i złoto Bułgarów, które mogło mu przypaść, gdyby wszystko dobrze się udało.

Po śmierci kobiety, która była jego matką, syn mój zaczął dużo przebywać u jej krewniaków, szatnego Symbatiosa i jego żony. Byli to ludzie starzy i bezdziejni, albowiem szatny pełniący służbę w kobiecych komnatach musi być rzezańcem. Mimo to Symbatios był żonaty, jak to często bywa w zwyczaju u Bizantyjczyków. Oboje staruszkowie kochali Halvdana, którego nazywali Georgiosesem, i kiedy wyruszałem z cesarzem w pole, opiekowali się nim. Pewnego razu, gdym wrócił do domu, stary przyszedł do mnie, płacząc z radości. Opowiedział mi, że syn mój został towarzyszem zabaw księżniczek, że najwięcej bawi się z Zoe i że oboje już się z sobą pocubili, przy czym okazało się, że siły ich są równe, bo Zoe była starsza od niego o dwa lata. I mimo sprzeczeki księżniczka oświadczyła, że woli bawić się z Halvdanem niż z siostrzenicami metropolity Leona, które padały na kolana i łkały, gdy ona szarpała na nich odzież, albo z synem protovestiariosa* Nikifora, który miał zajęczą wargę. Sama cesarzowa Helena – opowiadał dalej Symbatios – pogłaskała chłopca po głowie, nazywając go małym Waregiem i mówiąc, że nie wolno mu ciągnąć za włosy Jej Cesarskiej Wysokości Księżniczki Zoe, kiedy będzie dla niego niedobra. Chłopak popatrzył wówczas na cesarzową i spytał, kiedy w takim razie ma to robić. Na to cesarzowa raczyła głośno się roześmiać, co – jak mówił staruszek – było najszczęśliwszą chwilą w jego życiu.

Dziecinne to sprawy, ale wspomnienie ich to jedyna radość, jaka mi pozostała. Z czasem wszystko się zmieniło. Pomijam wiele – opowiadanie trwałoby za długo. Mniej więcej w pięć lat potem zostałem dziesiątnikiem w straży przybocznej. I wówczas Symbatios przyszedł znów do mojej komnaty i płakał, ale tym razem nie były to łzy radości. Bo owego dnia zaszedł on do najskrytszej garderoby cesarskiej, gdzie przechowywano szaty koronacyjne i gdzie rzadko ktoś zachodził, aby zobaczyć, czy nie załęgły się tam szczury. Ale zamiast szczurów znalazł tam – ku swemu ogromnemu przerażeniu – Halvdana i Zoe pograżonych w nowego rodzaju zabawie na łożu z wielu szat koronacyjnych, które powyciągali ze skrzyń, gdzie je przechowywano. Gdy stanął nad nimi, nie mogąc wymówić słowa, porwali swoją

* Protovestiarios – pierwszy szatny.

odzież i uciekli. A szaty koronacyjne z purpurowego jedwabiu z kraju Sererów* tak były pogniecione i pomięte, że nie wiedział, co na to poradzić. Wygładził je, jak umiał najlepiej, i powkładał ostrożnie do schowków. I gdyby to wyszło na jaw, jednego tylko może się spodziewać – mówił dalej staruszek – to jest utraty głowy. Na szczęście cesarzowa leżała chora, a wszyscy wysocy dostojnicy dworu skupili się w jej komnacie i nikt nie myślał o niczym innym. Z tego też powodu nadzorowano Zoe tak niedbale, że księżniczce udało się wymknąć na schadzkę z Halvdanem. Cała wina – mówił Symbatios – była na pewno po jej stronie, nie można bowiem przypuszczać, aby chłopak, który dopiero zaczął trzynasty rok życia, samorzutnie wpadł na coś podobnego. Ale nikt nie potrafi odmienić tego, co się stało, a co Symbatios uważał za najgorsze nieszczęście, jakie go kiedykolwiek dotknęło.

Śmiałem się z opowiadania Symbatiosa, myśląc, że syn mój wdał się widać we mnie. Próbowałem go też pocieszyć, że Halvdan jest jeszcze za mały, aby zrobić księżniczce Zoe małego cesarzyka, choćby nie wiadomo jak się starał. Cała szkoda więc polega tylko na tym, że szaty koronacyjne się pomięły. Staruszek jednak nie przestawał biadać. Mówił, że chodzi tu o życie nas wszystkich, jego własne, jego żony, mego syna i moje. Bo cesarz Konstantyn kazałby natychmiast nas zabić, gdyby się dowiedział, co się wydarzyło. I niech nie sądzę – mówił – że Zoe przestraszyła się, gdy ją przyłapał na schadzce z Halvdanem. Ma już piętnaście lat i z natury przypomina więcej ognistą diabolicę niż wstydlive dziewczę. Toteż niebawem znowu popróbuje szczęścia z Halvdanem, a wtedy szybko wszystko się wykryje i księżniczka Zoe dostanie upomnienie od biskupa, nas zaś skazą na śmierć.

Gdy tak mówił Symbatios, obleciał mnie strach. Przypomnieli mi się wszyscy ci, których za mojej służby w straży przybocznej okaleczono i pozbawiono życia, gdy dotknął ich gniew cesarski. Odszukaliśmy z Symbatiosem mego syna i wyrzucaliśmy mu jego postępek, on jednak wcale nie żałował tego, co zrobił. Mówił, że to nie pierwszy raz schodzi się z Zoe i że nie jest dzieckiem, które trzeba do tego wabić. Pojąłem, iż nic nie zdoła ich utrzymać z dala od siebie i że nieszczęście jest pewne, jeśli sprawa ta będzie ciągnąć się dłużej. Zamknąłem go więc u Symbatiosa, a sam poszedłem do naczelnego dowódcy straży przybocznej.

Nazywał się Zachariasz Lakenodrako i miał tytuł pułkownika, nosiciela miecza, u Bizantyjczyków godność wysoka i wielce zaszczytna. Był to stary mężczyzna, jeszcze dorodny i postawny, o palcach upierścienionych czerwonymi i zielonymi szlachetnymi kamieniami. Mowa jego pełna była mądrości i powagi. Jak wszystkich, którzy zajmowali

* Sererowie – od chińskiego słowa ser – jedwab – średniowieczna nazwa Chińczyków.

wysokie stanowiska w Miklagrodzie, cechowała i jego ogromna chytrość i przebiegłość. Skłoniłem się przed nim z należną czcią, prosząc, aby mnie przeniósł na resztę okresu mojej służby u cesarza na okręt wojenny, gdyż nie czuję się już dobrze w straży przybocznej. Zastanawiał się przez chwilę i orzekł, że sprawa nie jest łatwa do przeprowadzenia. W końcu oświadczył, że może mi to ułatwić, jeśli w zamian za to wyświadczę mu pewną przysługę. Życzeniem jego jest – ciągnął – aby archimandryta Sofron, spowiednik cesarza Konstantyna, dostał porządne cięgi. Archimandryta jest bowiem jego największym wrogiem i zaczął go ostatnio szkalować przed cesarzem. Nie chodzi tu – mówił – o jakiś krwawy mord, ale tylko o to, aby archimandrytę dobrze zaswędziała skóra od kijów. A najlepiej tego dokonać wieczorem za cesarskimi ogrodami, gdy Sofron wraca z pałacu na swoim białym mule.

Odpowiedziałem mu na to, że jestem już od dawna chrześcijaninem i że to wielki grzech obić świątobliwego kapłana. On jednak wyjaśnił mi po ojcowsku, że się co do tego myślę. Archimandryta jest bowiem heretykiem – tłumaczył – który przekręca obie natury Chrystusa. Właśnie o to poróżnili się ze sobą po raz pierwszy.

– Toteż spuścić mu lanie będzie dobrym uczynkiem – ciągnął. – Trudno jednak sobie z nim poradzić, powinieneś więc wziąć z sobą do pomocy dwóch pewnych ludzi. Bo zanim Sofron został mnichem, był przywódcą bandy zbójckiej w Anatolii. I jeszcze dziś z łatwością obala człowieka pięścią. Dlatego jedynie przedni woje ze straży przybocznej potrafią mu dać cięgi, które mu się należą. Najwięcej spodziewam się po twojej sile i rozsądku. Weź tęgą pałę i mocnych chłopów.

Tak mówił protospatharius Zachariasz, i tymi słowami zwiódł mnie i skłonił do grzechu. I kara Boża spotkała mnie za to, że uderzyłem świątobliwego męża. Albowiem Sofron był na pewno zły, ale miał przecież w sobie świętość. Lecz tego jeszcze wtedy nie rozumiałem. Wziąłem więc z sobą dwóch ludzi – Ospaka i Skulę – na których mogłem polegać. Dałem im wina i pieniędzy i powiedziałem, że mamy złożyć skórę komuś, kto przekręca natury Chrystusa. Dziwili się, że trzeba nas aż trzech do wygarbowania skóry jednemu, kiedy jednak spotkaliśmy się z archimandrytą, przestali się dziwić. Bo gdyśmy do niego podbiegli, oberwałem kopniaka od jego muła. Archimandryta różańcem z ciężkich ołowianych kulek, który nosił na napiętku, tak zdzielił w skroń Skulę, że ten runął i został bez ruchu. Ale Ospak, przedni mąż z wyspy Oland i człek o niedźwiedziej sile, porwał Sofrona z siodła i cisnął o ziemię. I w rozdrażnieniu zbiliśmy go wtedy gorzej, niż zamierzaliśmy. Archimandryta ryczał, miotał na nas przekleństwa i darł się o pomoc, ale nikt nie przychodził. W Miklagrodzie jest już bowiem tak, że gdy się rozlega wołanie o pomoc, wszyscy uciekają w przeciwną stronę, aby nie zostać schwytanym i obarczonym winą. W końcu usłyszeliśmy

zbliżających się jeźdźców. Byli to chazarscy łucznicy ze straży miejskiej. Wtedy puściliśmy archimandrytę, który ledwo pełzał, i uciekliśmy. Ale Skulę musieliśmy zostawić tam, gdzie padł.

Następnego dnia poszedłem znów do nosiciela miecza Zachariasza. Taki był zadowolony, że postąpił ze mną uczciwie. „Wszystko wyszło doskonale” – rzekł mi z uśmiechem na ustach. Gdy pojawiła się straż, Skule już nie żył. Archimandryta siedział w więzieniu oskarżony o bójkę uliczną i zabójstwo, i były duże nadzieje, że nie wypuszczą go na wolność, dopóki mu nie obetną uszu. Bo cesarz Konstantyn bał się swego brata, ten zaś był ogromnie surowy wobec niespokojnych mnichów i nie lubił, gdy mu zabijano ludzi ze straży przybocznej. Toteż Zachariasz nie zwlekał z nagrodą dla minie. Rozmawiał już z wysoko postawionymi przyjaciółmi w flocie cesarskiej i oznajmił mi, że w niedługim czasie zostanie mianowany dowódcą na jednym z czerwonych okrętów, które zaliczano do najlepszych.

Tak się też stało, gdyż nawet bizantyjscy dygnitarze umieją czasem dotrzymać słowa. Dostałem dobry okręt i wraz z synem uszedłem od niebezpieczeństw, które groziły nam w cesarskim pałacu. Niebawem popłynęliśmy z flotą na zachód do kraju zwanego Apulią. Toczyliśmy tam boje ze sługami Mahometa z Sycylii i krajów położonych jeszcze dalej. Przebywaliśmy tam długi czas, ale za dużo byłoby opowiadać wszystko, cośmy przeżyli. Syn mój wyrósł na pięknego i silnego młodzieńca. Przydzieliłem go do łuczników na moim okręcie. Dobrze czuł się na morzu i tam wiodło się nam obu najlepiej. Na lądzie natomiast łatwo tracił głowę dla kobiet, jak to się często zdarza młodym, i nawet czasem pod tym względem dochodziło między nami do sprzeczek. Gdy staliśmy w portach cesarskich, w Modon i Nepanto, gdzie mieszczą się wielkie stocznie i gdzie odbywa się wypłata żołdu, było tam pod dostatkiem kobiet do wyboru. Bo kobiety gromadzą się chętnie tam, gdzie przybywają żeglarze z łupem i żoldem. Ale w portach tych mieli swoją siedzibę także cesarscy dowódcy, zwani strategami, i dowódcy floty, których odznakę stanowią małe srebrne tarcze, a wreszcie i wysocy dygnitarze, zwani sekretykami i logothetami, zarządzający wypłatą żołdu, ściąganiem podatków i innymi tego rodzaju sprawami. Mieli oni z sobą żony, kruche kobietki o głosie synogarlic, białych dłoniach i podmalowanych oczach, pełne wszelakiego diabelstwa. I jak to często mówiłem Halvdanowi, kobiety te nie były odpowiednie dla żeglarzy.

On jednak mało mnie słuchał w tych sprawach. Już taki był jego los, że kobiety łatwo traciły dlań głowę. Sam zaś uważał, że tylko to, co najlepsze, nadaje się dla tego, kto miał stosunek z córką cesarską. Bizantyjskie kobiety są z natury ogniste i łatwo zdradzają mężów, kiedy im przyjdzie tylko zachcianka. Ich mężowie zaś bardzo tego nie lubią. A wysoko

postawieni każą zabijać młodych mężczyzn, których mają w podejrzeniu, a czasem także i własne żony wraz z nimi, aby móc ożenić się ponownie z nadzieją na lepsze szczęście następnym razem. Toteż zawsze radziłem Halvdanowi, aby dał spokój kobietom zamężnym i zadowalał się innymi. I gdyby mnie był słuchał, nie doszłoby do tego, co się stało. Halvdan żyłby jeszcze, a i ja nie wyglądałbym tak, jak widzicie. I nie miałbym też nic do opowiadania o skarbniku Teofilu i o złocie Bułgarów, i tak byłoby o wiele lepiej.

Ale nie z powodu kobiety został zabity Halvdan, lecz z powodu złota. Kobieta sprawiła jednak, żeśmy się z sobą rozstali, a z tego wynikło wszystko inne.

Przyszła chwila, gdy protospatharius Zachariasz Lakenodrako wypłuł komunię w twarz swemu wrogowi, archimandrycie Sofronowi, który od dawna już znowu znajdował się w łaskach u cesarza, wołając przy tym głośno wobec całego dworu, że archimandryta włożył truciznę do jego komunii. Archimandrytę wychłostano i zamknięto w odległym klasztorze. Lecz protospatharius Zachariasz został zdjęty z urzędu i obcięto mu uszy za brak szacunku okazany Chrystusowi. Uważano bowiem, że człowiek pobożny powinien z ufnością przełknąć ciało Chrystusa, kiedy znalazło się już ono w jego ustach, nawet gdyby poczuł, że włożono tam truciznę. Gdy wieść ta nadeszła z Miklagrodu, roześmiałem się głośno. Trudno mi było bowiem rozsądzić, który z obu wrogów był gorszy, a mimo to udało im się dokonać zbożnego dzieła, że nawzajem przyprawili się o obcięcie uszu.

Zachariasz miał syna, imieniem Teofil, który liczył sobie już lat trzydzieści i sprawował urząd przy dworze. Kiedy ojca oszelmowano i wygnano z cesarskiego otoczenia, poszedł syn do obu cesarzy i rzucił się przed nimi na twarz. Mówił, że przewinienie ojca było zaiste ciężkie, a kara tak łagodna, iż na myśl o tym nie może powstrzymać łez wdzięczności. I wychwalał cesarską dobroć z takim zapalem, że cesarz Bazyli zrobił go skarbnikiem we flocie. I odtąd on to miał pod swoim zarządkiem cały podział łupów i wypłatę żołdu.

Zawinęliśmy z czerwoną flotą do Modon, aby oczyścić dna okrętów i pobrać żołd. W Modon znajdował się już wtedy skarbnik Teofil wraz ze swoją żoną. Nie widziałem jej nigdy, ale syn mój szybko ją zauważył, a ona jego. Zobaczyli się po raz pierwszy w kościele. I choć on był tylko młodym łucznikiem, a ona wysoko postawioną damą, zaczęli się niebawem spotykać po kryjomu i zaznali z sobą rozkoszy. Nic o tym nie wiedziałem, dopóki Halvdan nie przyszedł do mnie i nie powiedział, że jest już znudzony pobytem na morzu i że ma dostać lepsze stanowisko w otoczeniu skarbnika. Owa kobieta bowiem sprawiła, że skarbnik dowiedział się, iż Halvdan jest synem człowieka, który ongiś dopomógł jego ojcu w zemście nad archimandrytą. W ten sposób stał on obecnie wysoko nie tylko w łaskach tej kobiety, ale i jej męża skarbnika.

Gdy się o tym dowiedziałem, ostrzegłem go, że z równym powodzeniem może od razu przebić się mieczem, jak zrobi to, co zamierza. I dodałem jeszcze, że byłoby z jego strony niewłaściwością opuszczać mnie dla kobiety o malowanych powiekach. On jednak upierał się przy swoim i nie chciał słuchać rozsądnych słów, mówiąc, że kobieta ta jest jak płomień i tak niezrównana we wszystkim, iż on nigdy jej nie porzuci. Ponadto w służbie u skarbnika czeka go bogactwo i znaczenie, a więc nie będzie już musiał dłużej żyć jako biedny łucznik. I nie trzeba się obawiać, aby mógł się z czym zdradzić i narazić na śmierć. Prosił mnie bowiem, abym sobie przypominał, że jest on w połowie Bizantyjczykiem i dlatego lepiej ode mnie rozumie się na kobietach i wielu innych rzeczach. Na te słowa ogarnęła mnie wściekłość i zacząłem przeklinać jego matkę, po czym rozstaliśmy się z sobą.

Wielka była to dla mnie troska. Myślałem jednak, że gdy owa kobieta się nim znudzi lub ona jemu zubożnieje, Halvdan zateknie do mnie. A wtedy, sądziłem, po zakończeniu mojej służby powróci ze mną do kraju, weźmie sobie tutaj żonę i rychło zapomni o swym bizantyjskim pochodzeniu.

Czas mijał i cesarz Bazyli, największy z wodzów, jacy kiedykolwiek zasiadali na tronie w Miklagrodzie, rozpoczął nową wojnę z Bułgarami. Dobrzy to wojownicy i wielcy rabusie wciąż plądrujący swoich sąsiadów. Toteż wielu cesarzy miało z nimi dużo kłopotu. Cesarz Bazyli zaprzysiął więc sobie zdruzgotać ich państwo, wytępić ich zupełnie i powiesić bułgarskiego króla w żelaznych okowach na bramie Miklagrodu. Wtargnął z wielkim wojskiem w granice bułgarskiego państwa, a czerwona flota pożeglowała na jego rozkaz na Morze Czarne, aby pustoszyć bułgarskie wybrzeże.

Dwanaście najlepszych okrętów, a wśród nich i mój, wydzielono do specjalnego zadania. Wzięliśmy na pokład tyle wojska, ile tylko okręty mogły pomieścić, i popłynęliśmy wzdłuż wybrzeży na północ, aż do ujścia rzeki Dunaj, największej z wszystkich rzek. Przewodził tym dwunastu okrętom Bardas, dowódca największego z nich. A gdy płynęliśmy w górę rzeki, trzema równoległymi rzędami, doszły mnie słuchy, że na okręcie Bardasa znajduje się sam skarbnik floty cesarskiej. „Ucieszyłem się z tego, spodziewając się, że będzie mi dane znowu ujrzeć syna, jeśli jest on jeszcze przy życiu. Nikt jednak nie umiał powiedzieć, po co skarbnik płynie z nami.

W końcu dotarliśmy do gródka zbudowanego przez Bułgarów i trąby zagrały sygnały bojowe. Twierdza leżała na wzgórzu nie opodal rzeki, otoczona potężnymi wałami i ostrokołem. Dookoła rozciągały się bagna i pustacie i jak okiem sięgnąć, nie było widać nic oprócz sitowia i ptactwa. Wszyscy dziwiliśmy się wielce, po co cesarz wysłał nas do takiego miejsca. Ale to tam właśnie wysadzono na ląd wojsko, które poszło do szturm, mając do

pomocy łuczników zabranych z okrętów. Bułgarzy walczyli dzielnie na wałach i dopiero na drugi dzień uzyskaliśmy nad nimi przewagę. Przy szturmie strzała przeszła mi ramię, wróciłem na swój okręt, gdzie mi ją wydobyto i opatrzono ranę. A kiedy zapadła noc, usiadłem na pokładzie, przyglądając się płonącemu gródkowi, i widziałem, jak ludzie skarbnika wracali stamtąd, prowadząc jeńców objuczonych ciężkim brzemieniem. Okręt dowodzony przez Bardasa, gdzie znajdował się także skarbnik floty, stał wysunięty najdalej w dół rzeki, bardzo blisko twierdzy. Dwa inne okręty oddzielały go od mojego, powyżej mnie uszeregowana była w górę rzeki reszta floty. W chwilę po zapadnięciu ciemności na którymś ze stojących poniżej okrętów dał się słyszeć zgiełk i zamieszanie. Na innym zaczęto się przekrzykiwać, dopytując się, co się dzieje. Myślałem, że to maruderzy, których Bardas kazał wychłostać. Niebawem jednak wszystko ucichło i znów nastał spokój przerywany tylko wyciem wilków wietrzących padlinę. Ja zaś dalej leżałem bezsennie z powodu bólu w ramieniu.

Nagle obok mego okrętu wynurzył się jakiś pływak. Słyszałem go w wodzie, ale nie mogłem w ciemności dojrzeć. Chwyciłem oszczep i zapytałem, kto to, po Bułgarach bowiem można się było spodziewać wszystkiego. Ale uradowałem się bardzo usłyszawszy odpowiedź, bo był to głos mego syna. Gdy mu pomogłem wydostać się na pokład, usiadł dysząc ciężko.

Powiedziałem doń: „Dobrze jest znowu cię zobaczyć, a nie miałem już na to wielkiej nadziei”. On zaś odparł cichym głosem: „Bardas zabity, a z nim wielu innych. Skarbnik i jego ojciec uciekli ze złotem. Jest tego więcej, niż kiedykolwiek widziałem. Musimy ich ścigać i złoto odebrać. Czy masz na okręcie łuczników?” Dałem mu pić, aby odzyskał oddech, i odpowiedziałem, że na okręcie jest około piętnastu łuczników, pozostali bogiem byli jeszcze na łądzie. Prosiłem jednak, aby mi powiedział coś więcej o tym złocie, gdyż dotąd nic jeszcze o nim nie słyszałem. Ogromnie był podniecony. Opowiedział, że złoto stanowiło własność króla Bułgarów, który je trzymał w ukryciu w tej twierdzy. Cesarz dowiedział się o tym i wysłał nas tutaj, przydzielając skarbnika, do którego miał zaufanie. „Widziałem to złoto – mówił Halvdan – gdy je przyniesiono na okręt, i pomagałem je opieczętować cesarską pieczęcią. Ale od czasu, gdy ojca jego spotkała hańba, skarbnik krył w duszy nienawiść do cesarza. Zabrał więc ojca z sobą i razem uknuli ten spisek. Przeciągnęli na swoją stronę najbliższe swe otoczenie i gdy zapadł zmrok, zabili Bardasa i innych dowódców, a także znajdujących się na okręcie łuczników, co poszło lekko, gdyż nikt się niczego nie spodziewał. Ja jednak pomyślałem sobie: „Dopiero co złoto należało do cesarza i nie mógł go tknąć nikt oprócz tych złoczyńców. Teraz należy do skarbnika. Czyjeż będzie, gdyby mu je odebrać?”

Tak sobie pomyślałem i kiedy nikt nie widział, ześlizgnąłem się do wody i przypląnąłem tutaj. A oni sądzą, że zostałem zabity i utonął.

„I odpowiedz mi teraz na moje pytanie: Czyje będzie złoto, gdyby je im odebrać?”

„Teraz rozumiem – odrzekłem – dlaczego skarbnik kazał zakotwiczyć swój okręt najniżej, aby najłatwiej mu było umknąć w ciemnościach. Jeśli już odpłynęli, złoto przypadnie temu, kto je potrafi wziąć i utrzymać. Tak zawsze bowiem jest na morzu. Spłyną zapewne z prądem rzeki w zupełnej ciszy i wezmą się do wiosł dopiero wtedy, gdy nikt ich nie będzie mógł usłyszeć. Potem zaś, gdy rozwidnieje, podniosą żagle i przy tym wietrze mogą łatwo w niedługim czasie znaleźć się daleko na morzu. Dobrze by było wiedzieć, dokąd chcą się udać. Trzeba się nad wszystkim dokładnie zastanowić. Niczego nie podejmę, dopóki nie będę wiedział, jak najlepiej postąpić”.

Halvdan rzekł mi na to: „Skarbnik mówił mi poufnie, że uciekniemy do Tmutorokan, po tamtej stronie Krymu. Tam mieliśmy podzielić skarby, a potem udać się do Chazarów, u których bylibyśmy bezpieczni. Stamtąd zaś każdemu wolno będzie iść w swoją stronę. Tak mówił do mnie i do innych także. I dlatego jestem całkiem pewny, że właśnie tam nie zamierza się udać. Tuż jednak przed wyruszeniem na tę wyprawę słyszałem, jak raz, gdy nadeszły nowiny, szeptał coś ze swym ojcem. Stary powiedział wtedy, że to dobrze, iż wielki książę kijowski zaczął płodzić dzieci z nałożnicami i że nie szanuje już swojej dostojnej małżonki, siostry cesarskiej. Na tym bowiem zaczyna cierpieć przyjaźń między nim a cesarzem. Słyszałem, jak to mówił, i dlatego sądzę, że to do Kijowa oni się teraz wybierają”.

„Nie brak ci rozumu, Halvdanie – odrzekłem – i myślę, żeś odgadł trafnie. A jeśli istotnie udają się oni do Kijowa, zdążają w najlepszym dla nas kierunku i pomogą nam przewieźć złoto spory kawałek drogi do domu. Jeśli zaś dopadniemy ich dopiero w Kijowie, znajdą się tam przedni mężowie do pomocy, gdyby zaszła tego potrzeba. Teraz zaś nie ma pośpiechu. Nie możemy bowiem ścigać ich przez morze w zasięgu widzenia. Wystraszyliby się wtedy i może skręciliby w innym kierunku. Odpłyniemy stąd bez hałasu na chwilę przed brzaskiem. Nawet najlepsi marynarze śpią wtedy na wachtach. Bardzo bolałem, żeś mnie opuścił, Halvdanie, ale może dobrze się stało. Wszystko wskazuje, że wyniknie z tego wielkie szczęście dla nas obu”.

Tak to mówiłem wtedy, nie wiedząc, jak bardzo jestem w błędzie. Nie ma jednak takiego Boga, co by lubił słyszeć, jak ludzie chełpią się przedwcześnie swoim szczęściem.

Spytałem Halvdana o kobietę, która go uwiodła. Odpowiedział, że znudziła się skarbnikowi i kazał ją zamknąć w klasztorze, ponieważ nabrała zwyczaju odpowiadania

razami na razy, gdy ją chłostał. „A gdy odkryłem, że oprócz mnie zabawiała się także i z innymi młodzieńcami – dodał Halvdan – miałem jej również dość”.

Ucieszyłem się słysząc to i obiecywałem mu o wiele lepsze kobiety, gdy wrócimy ze złotem do domu.

Gdy nadeszła odpowiednia chwila, podnieśliśmy kotwicę i skręciwszy w główny nurt rzeki, z wyciągniętymi wiosłami i wioślarzami śpiącymi na swoich ławach, popłynęliśmy z prądem w dół rzeki, przez nikogo niezauważeni i niezaczepiani okrzykami. Gdy marynarze i łucznicy obudzili się, kazałem im wydać lepsze niż zwykle jedzenie i więcej wina, po czym oznajmiłem im, że ścigamy złodziei, którzy uszli z dobrem cesarskim. Ale nie powiedziałem im nic więcej. Nie zamierzałem postąpić haniebnie i ukraść cesarzowi okrętu i załogi. Chciałem tylko pożyczyć ich, dopóki nie załatwię swojej sprawy. I uważałem, że mam do tego prawo, bo cesarz był mi winien jednoroczny żołąd.

Wyszliśmy z rzeki na morze i popłynęliśmy przed siebie, nie wiedząc, czy ścigani są przed nami. Ale gdy dopłynęliśmy do ujścia Dniepru, od spotkanych tam rybaków dowiedzieliśmy się, że poprzedniego dnia jeden z czerwonych okrętów cesarskich szedł w górę rzeki. Okręt mój był mniejszy od okrętu skarbnika, nie czułem jednak żadnego lęku. Miałem na pokładzie dobrych chazarskich i lezgińskich łuczników, on natomiast tylko ludzi z własnego otoczenia.

Zaczęło się teraz ostre wiosłowanie z krótkimi tylko odpoczynkami, a gdy wioślarze zaczynali utyskiwać, dostawali podwójną rację wina. I myślałem sobie, że skarbnik musi mieć jeszcze większe trudności ze swoim ciężkim okrętem. Na brzegach nie było widać koni ani Pieczyngów, co bardzo nas cieszyło. Gdy bowiem Pieczyngowie znajdują się na łupieskich wyprawach albo gdy pasą swoje stada w tych okolicach, uważają rzekę za swoją wyłączną dziedzinę z wszystkim, co po niej pływa, i nikt z podróżujących po rzece nie może wtedy gotować strawy na łądzie. Są to najbutniejsi ludzie na świecie i najwięksi rabusie i sam cesarz płaci im co roku daninę przyjaźni.

Czwartego dnia spłynęły obok nas z prądem trzy ludzkie trupy. Ze znaków na grzbietach widać było, że to wioślarze skarbnika, którzy pomarli przy wiosłowaniu. Wziąłem to za dobry znak i nabrałem nadziei, że go dopadniemy przy porohach. Następnego dnia znów przepłynęły koło nas trupy, ale nie byli to już ludzie skarbnika. A potem znaleźliśmy jego okręt, osiadły na mieliźnie i opuszczony na jakimś cyplu. Zrozumiałem natychmiast, że widocznie musieli spotkać jakiś rzeczny statek i zabrali go, aby szybciej i łatwiej przedostać się przez przepławę. Albowiem okręty wojenne trudno jest przeciągać lądem na klocach.

Ósmego dnia pod wieczór usłyszeliśmy szum porohów i dotarliśmy do przeprawy. Nie było tam żywej duszy oprócz dwóch wioślarzy skarbnika, pozostawionych z powodu osłabnięcia. Gdy daliśmy im wina, odzyskali przytomność i powiedzieli nam, że tegoż dnia skarbnik postawił swój nowy statek na kłocach do przepraw. Nie zdołał jednak wynająć ani koni, ani wołów, gdyż na brzegu nie było żywej duszy. Tak więc do przeciągnięcia statku miał tylko swoich wioślarzy, wszystkich ogromnie znużonych. Toteż nie mogli chyba zejść daleko.

Obaj z Halvdanem słuchaliśmy tego z szaloną radością. Wzięliśmy łuczników i poszliśmy śladem przepławiających się. Dojrzelśmy ich między drugimi a trzecimi porohami. Wtedy skręciliśmy w głąb łądu i szybko pobiegliśmy za ozdobiony ludzkimi czaszkami grób wodza Pieczyngów, stojący na wzgórzu. Tam zatrzymaliśmy się, czekając z łukami w pogotowiu, aż się zbliżą. Widziałem, jak skarbnik i jego ojciec kroczą obok statku w pełnym uzbrojeniu, z mieczami w dłoniach. Kazałem czterem łucznikom wziąć ich na cel. Inni mieli mierzyć w tych, co pilnowali wioślarzy ciągnących statek.

Zadźwięczały cięciwy i zaczęli padać ludzie. My zaś dobyliśmy mieczy i z bojowym okrzykiem pobiegliśmy naprzód. Wioślarze ciągnący liny, do których przymocowany był statek, oswobodzili się i pierzchnęli, i wielkie powstało zamieszanie. Ale skarbnik i jego ojciec nie padli, bo diabeł i pancerze chroniły ich dobrze. Protospatharius Zachariasz, draśnięty strzałą, uciekał pierwszy młodzieńczymi susami.

Uwaga moja jednak zwrócona była głównie na skarbnika. Widziałem, jak odwrócił się zaskoczony, gdy dosięgły ich nasze strzały i okrzyki, pokazując blade oblicze okolone czarną brodą. Udało mu się zebrać dookoła siebie kilku ludzi i ryczał coś do nich potężnym głosem. Albowiem musiało mu być ciężko rozstawać się z taką masą złota. I byłoby dobrze, gdyby nie ruszył się stamtąd, dopóki go nie dogoniłem.

Wraz z Halvdanem i dowódcą łuczników, Lezgińczykiem imieniem Abchar, dobiegliśmy pierwsi i starliśmy się z ludźmi otaczającymi skarbnika. Widziałem, jak wyszczerzył zęby, poznawszy Halvdana. Nie mogliśmy się jednak do niego dobrać, gdyż ludzie jego walczyli dzielnie, mimo że on sam trzymał się z tyłu. Nadbiegli nasi łucznicy i przyparliśmy przeciwników do statku. Ale kiedy obaliliśmy tych, których mieliśmy przed sobą, sam skarbnik i kilku jego ludzi przepadło gdzieś bez śladu.

Zbliżał się zmierzch i nie wiedziałem, co dalej robić. Dowódca łuczników zawsze słuchał mnie bez pytania, kazałem mu więc wziąć swoich ludzi i ścigać uciekających w górę rzeki jak tylko może najszybciej i wytrwać na ich tropie niestrudzenie do zapadnięcia ciemności. Powiedziałem mu, że cesarz wyznaczył nagrodę w wysokości stu srebrnych monet

za głowę skarbnika i tyleż za głowę jego ojca, a wszystko to zostanie wypłacone temu, kto mi przyniesie ich głowy. Zaraz też Abchar ruszył pośpiesznie w pościg wraz ze swymi ludźmi, a ja zostałem teraz tylko z Halvdanem i poszliśmy na statek skarbnika. W ładowni znaleźliśmy skarb ukryty za worami i beczkami. Były to cztery nieduże skrzynki i siedem skórzanych worów, wszystko opatrzone cesarską pieczęcią. Ale na widok tego bogactwa odczułem lęk i wielką troskę. Trudno mi było bowiem wymyślić, co teraz zrobić i jak zabrać z sobą ten skarb do domu, nie zdradzając się z nim przed innymi. Halvdan odezwał się: „Zanim wrócą łucznicy, musimy ukryć skarb”. A ja odparłem: „Gdzie znajdziemy kryjówkę na takie bogactwo?” A na to on: „Może w rzece”. „Masz słuszość – odrzekłem. – Zostań tu i czuwaj, a ja się rozejrzę dokoła”.

Poszedłem do rzeki i znalazłem tam owo miejsce, nad którym przepływała spieniona woda. Przenieśliśmy we dwójkę skarb i ukryliśmy go dobrze. A po namyśle zostawiłem na statku dwa worki srebra.

Abchar ze swymi ludźmi przynieśli trzy głowy, ale nie te, które najchętniej bym oglądał. Najedliśmy się i napili z zapasów znalezionych na statku skarbnika, a potem powiedziałem do Abchara: „Czy widzisz te dwa wory z pieczęcią cesarską? To właśnie ten skarb, który skarbnik Teofil i jego ojciec ukradli cesarzowi. Nie wiem, czy jest to srebro, czy złoto, gdyż pieczęć cesarska musi pozostać nietknięta. Sprawa wygląda kiepsko, ponieważ przede wszystkim skarb ten trzeba bezpiecznie odstawić do cesarza. Mnie jednak z jego rozkazu nie wolno wracać bez głowy skarbnika. Toteż musimy zrobić tak. Wraz z synem udam się w górę rzeki, aby ścigać skarbnika, choćby aż do samego Kijowa. A z nami pójdzie także dwóch twoich ludzi na ochotnika. Ty zaś z pozostałymi wrócisz do Miklagrodu, a my, po załatwieniu naszej sprawy, będziemy musieli jakoś sami dobrać do domu”.

Tak powiedziałem, a Abchar kiwnął głową na znak zgody, obmacując worki i badając ich wagę. Pomówił ze swymi ludźmi i dwóch Chazarów wyraziło gotowość pójścia z nami. Abchar z resztą łuczników odeszli zabierając worki ze srebrem, a ja bardzo byłem zadowolony, że do tej pory wszystko poszło gładko. Dwóch łuczników zatrzymałem do pomocy przy szukaniu łodzi, kiedy ruszymy w górę rzeki. Bo tam można było spodziewać się rabusiów, a może i skarbnik, gdy się opamięta, zechce się na nas gdzieś zacząć. Sądziłem bowiem, że wciąż jeszcze ucieka, ale bardzo się co do tego myliłem.

Byliśmy mocno zmęczeni, toteż tej nocy czuwałem naprzód ja sam, a potem objął straż jeden z Chazarów. Musiał jednak zasnąć i wtedy stało się to nieszczęście. Gdy bowiem nocy tej spaliśmy koło statku, skarbnik napadł na nas ze swoim ojcem i czterema ludźmi, którzy mu pozostali. Zbudził mnie chrobot kamieni, o które ktoś się potknął. Poderwałem się

natychmiast z mieczem gotowym do boju. Leciało na mnie dwóch. Ale w świetle księżyca zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak skarbnik obalił jednego z Chazarów i sam pędził na Halvdana z podniesionym mieczem. Halvdan musiał spać twardo i ledwo zdołał dobyć miecza. A ja oddałbym życie i całe to złoto, gdybym tylko w czas mógł zdążyć mu na pomoc. Przeciwnicy moi padli bez życia, zanim zdążyłem im poświęcić choćby jedną tylko myśl. Kiedy jednak dopadłem skarbnika, Halvdan leżał już nieżywy. Ciąłem z obu rąk i był to mój najlepszy cios w życiu. Miecz przeciął hełm i misiurkę skarbnika i rozłupał mu czaszkę tak głęboko, że widziałem, jak zęby wypadają mu z pyska. Ale w chwili gdy śmierć brała go już w swoje objęcia, mieczem zawadził o moje oko. Padłem na ziemię, czując, że umieram. Ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, gdyż myślałem: „Halvdan nie żyje, a ja go pomściłem. Teraz już koniec”.

Jestem zmęczony i powiedziałem wam już wszystko. Pamiętam jeszcze tylko, że gdy się ocknąłem, leżałem związany, a obok mnie siedział protospatharius Zachariasz i śmiał się śmiechem, który nie przypominał ludzkiego. Powiedział mi, jak mnie okaleczą, i dużo krakał o złocie. Plunąłem mu w twarz, prosząc, aby mi pokazał swoje uszy. Był z nim jeszcze jeden z jego ludzi i razem obcięli mi dłoń, zalewając kikut przygotowanym w tym celu gorącym olejem, wziętym ze statku, abym zbyt prędko nie umarł. Obiecywał mi szybką śmierć, jeśli powiem, gdzie jest złoto. Ale nie doczekał się tego ode mnie, a ja nie czułem zadawanych mi męczarni, gdyż dusza moja była martwa. Powiedziałem mu, że złoto jest w drodze do cesarza, a on uwierzył w moje słowa. Więcej nie mówiliśmy z sobą.

Gdy się ocknąłem – ślepy i bez języka – doszedł mnie ludzki krzyk, ktoś jęknął i zaczął charczeć, a później nastąpiła cisza. Potem znalazłem się w łodzi, którą ktoś ciągnął po ziemi. Dano mi pić i znów straciłem przytomność. A gdy ją ponownie odzyskałem, łódź płynęła po rzece, a ja leżałem w niej jak martwy. Wioślarz, który prowadził łódź, dużo mówił, a ja sporo z tego zrozumiałem. Był to nasz drugi Chazar. Podśpiewywał i pogwizdywał ze szczęścia i radości. Uciekł w czasie napadu na nasze obozowisko i pobiegł aż do mego okrętu, którego jednak już nie było tam, gdzie go zostawiliśmy. Wtedy wrócił, podkraść się do tych dwóch, co się mną zajmowali, i zabił ich z łuku. Nie wiadomo, dlaczego zadał sobie trud, aby ratować to, co ze mnie zostało. Może zrobił to dlatego, że był zacnym człowiekiem, jak to często bywa z Chazarami. Z drugiego brzegu rzeki przepравиło się jakichś dwóch biedaków, aby obdrzeć trupy. Chazar podarował im statek skarbnika ze wszystkim, co na nim było, a oni w zamian za to dali mu swoją łódkę i pomogli przeciągnąć ją wraz ze mną przez przeprawę. Tak to się odbyło, a wiem o tym tylko z jego słów.

Chazar dużo się śmiał i chwalił swoje szczęście. Albowiem przy zwłokach skarbnika i jego ojca znalazł sporo srebra i złota, broń zaś i zbroje, które zabrał z sobą, były najwyższej jakości. Także przy innych zabitych znalazł monety i ozdoby, a przy moim synu piękny pierścień. Mówił, że kupi sobie teraz w Kijowie konie i jedną lub dwie kobiety i że powróci do swoich jako bogacz w pancerzu. Opiekował się mną jak umiał najlepiej, opowiadając mi o tym wszystkim. Ja zaś chciałem wypełznąć z łodzi i utopić się, ale byłem na to zbyt słaby.

Chazar wiedział, że chciałem się dostać do Kijowa, i kiedyśmy tam dotarli, zostawił mnie u mnichów. Dawałem mu w nagrodę srebro, bo miałem na sobie swój pas nietknięty, on jednak nie chciał nic wziąć. Mówił, że ma dosyć swego, tym zaś, co zrobił dla mnie, przypodobał się Bogu.

Zostałem więc u mnichów, którzy mnie pielęgowali. I w końcu zrobiło mi się lepiej i zacząłem znowu myśleć o złocie. Ludzie z naszych stron, którzy zachodzili do klasztoru, zadawali mi różne pytania. Wiedzieli, że pragnę wrócić do domu, i pytali, ile mogę zapłacić za drogę. No i wyruszyłem w podróż w górę rzeki. Jeden przekazywał mnie drugiemu, aż dostałem się na statek Gutów, gdzieśmy się spotkali.

A przez cały czas ciężko mi było na duchu, gdym myślał, że nie potrafię opowiedzieć o złocie Bułgarów, nawet gdybym dotarł do krewnych i rodziny. Z twoją jednak pomocą, mądry księżu, wszystko jest już powiedziane. I mogę teraz umrzeć spokojnie.

Ze złotem zaś niech Orm robi, co uzna za najlepsze. Wielki to skarb, którego starczy dla wielu. I nikt nie potrafi powiedzieć, ile warte jest całe to złoto ani też ile krwi przelano z jego powodu. Leży ono tam, gdzie mówiłem, i tym, którzy to wiedzą, nie powinno być trudno je odnaleźć. A jest jeszcze jeden znak w pobliżu miejsca, gdzie jest ono ukryte. To obrane do czysta przez kruki kości skarbnika Teofila i protospathariusza Zachariasza – oby ich dusze wiecznie błądziły bezdomnie nad rzeką – oraz kości mego syna Halvdana, któremu oby dopomógł Bóg!

IV.

O TYM, JAK SIĘ NARADZALI, JAK PRZYWIEŹĆ ZŁOTO

Orm wysłał gońca do Toke, gdy tylko dowiedział się o złocie.

– Powiedz mu – przykazywał – że chodzi o wyprawę na Wschód po wielki skarb i że to z nim przede wszystkim chcę się nad tym naradzić. Dobrze więc byłoby, aby się pośpieszył.

Toke nie dał się długo prosić i zanim Are skończył przy pomocy księdza swoje opowiadanie, przybył do Gröning, płonąc ciekawością usłyszenia czegoś więcej o zamierzonej wyprawie. Gdy tylko go powitali i postawili przed nim piwo, odezwał się:

Przyszła wieść

O wzdętym żaglu,

Skrzypie burt

I złocie Wschodu.

Długi szlak

I nęci zapach

Słonych mórz

I smolonych łodzi.

Ale Orm odpowiedział zafrasowany:

Męski wiek

I myśl rozważna

Nie skłania

Do wypraw trudnych.

Nieprędko

Wezmą mężowie

Daleki

Skarb Miklagrodu.

– Skarb ten jest jednak bezmiernie wielki – dodał – i nigdy jeszcze nie byłem w takiej rozterce. Ylva nie chce mi nic doradzić. Mówi, że sam to muszę postanowić, a nieczęsto się zdarza, by tak mówiła. Toteż przywołałem na pomoc ciebie. Jest też u nas Olof Motyl, który

sam przebywał na Wschodzie i odznacza się wielką mądrością. Ale przy ważnych naradach lepsze trzy głowy od dwóch.

Usłyszał więc Toke całą historię o losach Are i o złocie Bułgarów. Tylko o miejscu, gdzie było ukryte złoto, Orm nie powiedział ani słowa.

– Tę wiadomość zachowuję dla siebie samego, dopóki tam nie przybędziemy – mówił. – Złoto bowiem bywa przyczyną wielu nieszczęść. I jeśli przedwcześnie będzie wiadomo, gdzie leży skarb, może to dojść do cudzych uszu i ktoś mógłby mnie uprzedzić. A jeśli już ma ono być stamtąd zabrane, to chcę je zabrać ja sam. Mój to bowiem spadek po Are, który uważa się już za nieżyjącego. Ale z tymi, co mi pomogą, podzielę się bez skąpstwa, jeśli wyprawa dojdzie do skutku. Źle ze mną, od kiedym się dowiedział o tym złocie. Chwilami nie mogę zmrużyć oka z powodu nawału sprzecznych myśli. Najwięcej trapi mnie to, że trzeba by długo przebywać na obczyźnie i że przez cały czas będę się niepokoił o dom i rodzinę. Drugie zaś zmartwienie to to, że na okręt nadający się na taką wyprawę trzeba wyłożyć mnóstwo pieniędzy, nie mówiąc już o zapłacie dla żeglarzy. I gdyby na końcu okazało się, że ktoś inny znalazł skarb, ja zaś zostałem wystrychnięty na dudka, dużo bym wtedy roztrwonil majątku bez żadnego pożytku.

Toke oświadczył bez wahania, że jest gotów wziąć udział w wyprawie.

– I dobrze ci radzę, Ormie, mówiąc, żeś powinien jechać. Inaczej będziesz chodził przemyśliwając o tym złocie, aż nie będziesz mógł ani jeść, ani spać, i nigdy nie zaznasz chwili spokoju. A może dojść i do tego, że będziesz się trapił i gryzł, aż zupełnie stracisz rozum. Musisz zrozumieć, że to twój los każe ci przywieźć to złoto, a o gorszych słyszałem losach. Długa to będzie podróż, to prawda, ale to chyba jasne, że warto się natrudzić dla takiego skarbu. Jeśli chodzi o mnie, to sprawa ma się tak, że handel skórą idzie kiepsko, a moja kobieta spodziewa się dziecka, toteż mogę ci towarzyszyć bez zmartwienia.

– Także i Rapp doradzał mi jechać – rzekł Orm – ale było to wtedy, gdy się jeszcze spodziewał, że i on weźmie udział w wyprawie. Od kiedy jednak powiedziałem mu, że musi zostać w domu i pilnować gródka i rodziny, zmienił zdanie i zaczął mi doradzać, abym zapomniał o złocie i nie opuszczał domu. Ojciec Willibald znowu radzi na swój sposób. Mówi, że jestem już dość bogaty i dość stary, aby myśleć raczej o dobrach niebieskich niż ziemskich. Trudno mi jednak w tej sprawie zgodzić się z jego zdaniem.

– Książdz się tu myli – przyznał Toke – choć pod wielu względami bardzo jest mądry. Bo tak już jest z człowiekiem, że coraz więcej myśli o majątku i złocie, gdy się zaczyna starzeć. Przykładem król Harald, jak mi to mówiła moja kobieta. A był to najmądrzejszy z wszystkich ludzi, choć to prawda, że dał się raz wywieść w pole. A i ja sam z roku na rok odczuwam

coraz większą złość na gockich kupców z Kalmaru, mimo że nie płacą mi za skórki mniej niż poprzednio.

– Lata przynoszą z sobą jeszcze inne zmiany – zauważył Orm. – I nie jestem pewny, czy wytrzymam długą wyprawę równie dobrze, jak dotychczas.

– Jestem starszy od ciebie – sprzeciwiał się Toke – a mimo to nie ciążyą mi jeszcze lata. Nie tak dawno chełpiłeś się, żeś zabił dwóch berserkerów kijem od miotły. Był to czyn nie lada, który w moich oczach świadczy, że młodość cię wciąż jeszcze nie opuściła, choćbyś nawet sam nie chciał w to wierzyć. Podobno biegali za twoją Ludmiłą. Muszą jej dziś bardzo tego zazdrościć wszystkie kobiety i wielu się zapewne koło niej kręci mężczyzn. Ale teraz chciałbym wiedzieć, co ty, Olofie, doradzasz w tej sprawie.

– Dużośmy o tym mówili z Ormem – odparł Olof z namysłem. – I waham się tak samo jak on, i nic nie umiem doradzić. Wiem najlepiej, jaka długa to podróż i jakie może w sobie kryć niebezpieczeństwa. Ale z okrętem o dobrej załodze na wiele się można porywać. Orm chce, abym i ja wziął udział w wyprawie, gdyby do niej doszło, ale mam z tym pewne trudności. To prawda jednak, że mógłbym się przydać, bo znam całą drogę do Miklagrodu, a także wielką rzekę i jej niebezpieczeństwa. W końcu jednak powziąłem postanowienie i rada moja jest taka. Wypraw się po złoto, Ormie, a ja pojedę z tobą, jeśli mi dasz twoją córkę Ludmiłę za żonę.

Orm spojrział na niego ze zdziwieniem.

– A co, nie mówiłem! – wykrzyknął śmiejąc się Toke. – Oto pierwszy zalotnik.

– Przecież masz już żonę – zwrócił się do Olofa.

– Mam dwie – odparł Olof – bo taki jest u nas zwyczaj dla hövdingów. Obie jednak przepędzę, gdy dostanę twoją córkę.

– Nie jesteś najgorszy na zięcia – rzekł Orm z zastanowieniem – i może dobrze by było wydać ją za męża, zanim jacyś berserkerzy zaczną znów biegać za nią z rykiem. Ale ważna to rzecz i wymaga namysłu. Czyś już o tym rozmawiał z moimi kobietami?

– Źle bym zrobił, gdybym mówił z nimi, zanim ciebie zapytałem. Ale sądzę, że Ylva nie będzie mi przeciwna. Wie ona równie dobrze jak ty, żeś najbogatszy hövding w całym Finnveden i że mam półtorasta krów nie licząc jałówek, a ród mój jest jeden z najstarszych.

– Nie mówię nic o moim, choć jest on może lepszy od innych – odrzekł Orm. – Mam bowiem Długorękiego wśród przodków i po nim to nosi imię mój najmłodszy syn. Ale musisz mieć na uwadze, że dziewczyna jest wnuczką króla Haralda i podobnej partii nie znajdziesz, choćbyś szukał w całej Smalandii. Toteż myślę, że jeśli chcesz dostać moją córkę, musisz

przepędzić swoje żony dalej niż do piwowarni czy czeladnej. I uprzedzam cię, że Ludmiła źle się będzie z tobą zgadzać, jeśli potem nie dochowasz jej wierności.

– Warta jest tego – odparł Olof – i zdążyłem już zauważyć, że spokój domowy cierpi na tym mocno, gdy się ma więcej niż jedną kobietę. Wielką jest dla mnie radością, że nie sprzeciwiasz się mojej prośbie, i bardzo ci za to dziękuję.

– Nie dziękuj za wcześniej – odrzekł Orm. – Naprzód posłuchamy, co powie o tym Ylva. Stanowię o wszystkim sam, ale mądry człowiek pozwala zawsze żonie wypowiedzieć swoje zdanie w takich jak ta sprawach.

Wezwali na naradę Ylvę, a gdy ta się dowiedziała, o czym mowa, przyznała, że nie jest to dla niej taką zupełną niespodzianką.

– I takiemu zalotnikowi nie należy odmawiać – mówiła. – Bo ty, Olofie, jesteś i bogaty, i z dobrego rodu, tak że równego tobie trudno by było znaleźć w tych okolicach. A oprócz tego masz dużo rozsądku, co zawsze wydawało mi się wiele warte. To prawda, że gdybyś był jeszcze mądrzejszy, niż jesteś, starałbyś się o Oddny, która jest łagodna i ustępliwa, a równie zgrabna jak jej siostra. Ale mężczyzna postępuje w tych sprawach, tak jak umie, i na nic lepszego nie potrafi się zdobyć. A dla mnie dobrze, żeś wybrał Ludmiłę, bo jest krnąbrna i trudna do prowadzenia. Może jednak poprawi się, gdy dostanie męża.

– Oczywiście – zapewnił Toke. – Przecież i teraz nic złego nie można powiedzieć o dziewczynie. Usposobienie jej nie jest gorsze, niż było twoje wtedy, gdyśmy cię obaj z Ormem ujrzeni po raz pierwszy w królewskim dworzyszczu. A przecież dość szybko dałaś się poskromić i nigdy nie słyszałem, aby Orm na ciebie narzekał.

– Ot, pleciesz, Toke – zaperzyła się Ylva. – Nie zostałam poskromiona, bo nas, cośmy z krwi Gorma, nikt nie potrafi nigdy poskromić. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i tylko sam Bóg może nas sądzić. Pamiętaj jednak, że Orm zabił Sigtrygga i dał mi złoty łańcuch Almanzora. I wtedy zrozumiałam, że on mi jest przeznaczony, bo nikt inny oprócz niego nie potrafiłby tak postąpić. Ale nie wyłaż mi tu z gadaniem, że mnie poskromiono.

– Z tego łańcucha dobry był pożytek – wtrącił Orm – i nikt temu nie zaprzecza. A jeśli sprowadzimy tu złoto, znajdzie się chyba taki sam również i dla Ludmiły. Pomów z nią więc sam, Olofie, a potem będzie się ją uważać za twoją narzeczoną. Wesele zaś urządzimy po powrocie z wyprawy, jeśli do tego czasu zdołasz się pozbyć swoich żon.

Olof odparł, że w Finnveden nie ma z tym trudności. Trzeba tylko kobietom uczciwie zapłacić i kazać im odejść. To zaś da się załatwić szybko. Wydawało mu się także, że byłoby najlepiej, aby małżeństwo z Ludmiłą zostało zawarte przed wyprawą. Ale i Orm, i Ylva sprzeciwili się temu i w końcu Olof musiał uzbroić się w cierpliwość.

Jeśli nawet nie we wszystkim stało się tak, jak tego chciał, dotychczas sprawy układały się Olofowi pomyślnie. U Ludmiły spotkał się z dobrym przyjęciem i wciąż mieli coś z sobą do pomówienia. Widać było, że dziewczyna jest zadowolona, choć później wyznała Ylwie i Oddny, że sądziła, iż taki hövding jak Olof przyjdzie się oświadczyć z pełnymi garściami klejnotów. Wypytywała go, czy jest kłótniwy, gdy się upije, i czy jest bardziej rzeński rano czy wieczorem. Dopytywała się też dokładnie, jak wyglądają obie kobiety, których miał się pozbyć z jej powodu, a także pytała o jego zagrodę i krowy, o to, ile ma parobków i dziewczek i jakie bogactwo kryją jego skrzynie. A on na wszystko odpowiadał jej tak, że była zadowolona.

Ale ojciec Willibald zrobił surową minę, gdy się dowiedział o zamierzonym ożenku. W pośpiechu bowiem nikt nie pomyślał, że Olof Motyl nie jest chrześcijaninem, a to według ojca Willibalda było niedobrze. Bo, jak mówił, chrześcijańskie dziewczę, które on sam ochrzcił, nie może zostać wydane za poganina. Małżeństwo może dojść do skutku tylko wtedy, gdyby Olof wpierw dał się ochrzcić.

Doszło do ostrej wymiany zdań między kobietami, albowiem Osa trzymała z księdzem, natomiast Ylva i Ludmiła występowały przeciwko niemu. W końcu Orm nakazał skończyć kłótnię mówiąc, że trzeba myśleć o wyprawie, a o innych sprawach czas mówić później. I jeśli Olof zechce się ochrzcić, to dobrze, jeśli zaś nie, to i tak dostanie dziewczynę.

– A potem już ona sama będzie miała dosyć czasu, aby zrobić z niego chrześcijanina, jeśli uzna, że warto – zakończył.

Osa strofowała go ostro za te słowa, on jednak prosił ją, aby pomyślała o Are i uprzytomniła sobie, że to ludzie chrzczeni tak się z nim obesli.

Ojciec Willibald siedział ponury i narzekał, że od kiedy minął rok tysięczny i sąd ostateczny nie nastąpił, zaczęto z mniejszym oddaniem służyć Chrystusowi.

– I jeśli tak dalej pójdzie – ciągnął – diabeł w końcu zwycięży i wy wszyscy znowu staniecie się poganami.

Ale Orm prosił go, aby nie tracił ducha i o nich tak źle nie myślał.

– Bo ja jestem zadowolony z Chrystusa, a mam nadzieję, że i on jest zadowolony ze mnie – mówił – nawet jeśli wydam moją córkę za męża tak, jak sam to uważam za najlepsze. I ani myślę go porzucić, gdyż zawsze dobrze mi we wszystkim pomaga.

Toke wtrącił, że skoro już o tym mowa, ma on do opowiedzenia nowiny z Varend.

– Zapewne jeszcze pamiętacie księdza Rainalda – mówił – tego, co to dla Chrystusa zabił przy kamieniu starego Styrkara. Baba, u której był w niewoli, już nie żyje i stał się wolnym człowiekiem, wysoko cenionym przez wielu. I wciąż jeszcze jest kapłanem, ale już

nie u Chrystusa, który mu się znudził w czasie niewoli u tej baby. Przeklina więc teraz wszystko, co ma związek z Chrystusem, i zamiast tego służy Frejowi* i zbiera wszelkie bogactwo swoimi gusłami. A kobiety go słuchają i uważają za najprzedniejszego kapłana, jakiego kiedykolwiek oglądano u Virdów. Mówiono mi też, że zaczął zbierać drużynę i wyrósł już na coś w rodzaju hövdinga motłochu.

Ojciec Willibald słuchał tego ze zgrozą. Odtąd – powiedział – nie będzie już odmawiać modłów za tego człowieka. Pierwszy też raz słyszy o chrześcijaninie, który tak otwarcie oddał się diabłu.

Ylva napomknęła, że ten Rainald miał i swoje zalety. Szkoda – mówiła – że tak mu źle poszło w życiu.

Orm jednak tylko się śmiał. Dajcie im obu, Rainaldowi i diabłu, pogodzić się ze sobą w spokoju – mówił. – My mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Nie wahał się już bowiem z wyprawą po złoto. Postanowiono, że jeśli na wybrzeżu uda im się kupić dobry okręt, odpłyną na midsommar.

– Najgorzej będzie z załogą – mówił Orm. – Trzeba nam doświadczonych żeglarzy, a takich mało tu we wnętrzu kraju. Najmować zaś obcych może być niezbyt bezpiecznie przy takim ładunku, który mamy przywieźć. Mądrze byłoby zabrać niewielu ludzi, bo wtedy zapłata będzie mniejsza. Ale chyba mądrzej będzie wziąć wielu, bo nie wiemy, jakie nas czekają niebezpieczeństwa.

* Frej albo Fröj – w mitologii nordyckiej bóg płodności i urodzaju.

V.

O TYM, JAK ŻEGLOWALI DO VI, STOLICY GUTÓW

Olof Motyl wyruszył do domu, aby przygotować się do wyprawy i zaciągnąć żeglarzy spośród mężów, których znał w Hallandii, a Orm, Toke i Harald Ormsson udali się na wybrzeże, by szukać okrętu. Przy ujściu rzeki znaleźli jeden, który był do nabycia. Właściciel jego zaczynał się już starzeć i chciał go sprzedać, aby podzielić spadek pomiędzy córki.

Obejrzelili łódź dokładnie i stwierdzili, że była w dobrym stanie. Miała dwadzieścia cztery pary wiosł, a takie okręty uchodziły już za pokaźne, Orm jednak uważał, że nie szkodziłyby, gdyby łódź była większa. I Toke przyznawał mu pod tym względem słuszność.

– Bo wielcy hövdingowie mają żeglować na tym okręcie – mówił – trzydzieści par wiosł nie byłoby dla nas za dużo.

– Przy przeprawach, gdzie trzeba statki przeciągać lądem, jak to nam opowiadał Olof Motyl, uznamy może, że nasza łódź jest dostatecznie duża – odezwał się na to Harald Ormsson.

– Masz takie szczęście, Ormie – rzekł z uznaniem Toke – że nie tylko sam odznaczasz się mądrością, ale przechodzi ona w spadku i na twoje dzieci.

– Źle się dzieje, gdy męża poucza jego syn – rzekł surowo Orm – i nie wejdzie to w zwyczaj, dopóki ja rządzę. Tym razem jednak przyznaję, że chłopak ma słuszność. Bo większa czeka nas pewnie mitręga niż wtedy, kiedyśmy wlekli dzwon świętego Jakuba.

– Byliśmy wtedy młodzi – rzekł Toke. – Teraz zaś jesteśmy wielkimi hövdingami i nie potrzebujemy sami brać się do liny. Młodzież będzie harować, my zaś będziemy kroczyć obok z kciukami zatkniętymi za pas i wyrażać zdziwienie, że tak mało mają krzepy. Ale może i prawda, że taka łódź jak ta aż nadto wystarczy na ich siły.

Po długich targach Orm zakupił w końcu okręt.

Przy ujściu rzeki znajdowały się duże gospodarstwa i tam też Orm nabył woły, wieprze i chmiel i umówił się z kmieciami o warzenie piwa oraz o bicie i wędzenie mięsa, aby zaopatrzyć okręt dobrze w jedzenie i picie. W osłupienie wprawilo go, gdy zobaczył, ile to wszystko miało kosztować w srebrze. Kiedy zaś zaciągnął po zagrodach pewną liczbę młodych zuchów na jednoroczną daleką wyprawę, zmartwił się jeszcze bardziej i wracając z towarzyszami do domu sarkał, że to złoto Bułgarów doprowadzi go chyba do nędzy i ubóstwa.

– Jednego się nauczyłem – rzekł Harald Ormsson – a to, że trzeba dużo srebra, aby zdobyć złoto.

– Dobrześ to powiedział – przyznał Toke – i jeśli będziesz się dalej tak rozwijał, jak się zapowiadasz, staniesz się równie mądry jak twój dziadek ze strony matki. Starzy mówią, że z naramiennika Odyna spada co srode jeden nowy pierścień. Jest już ich zatem wiele, gdyby jednak nie miał pierwszego, nie miałby żadnego. I nie staraj się nigdy zostać żeglarzem ani handlarzem skór, jeśli nie masz pod dostatkiem srebra. Taka jest moja rada. Tylko skaldowie umieją zdobywać bogactwo dwoma próżnymi rękami, wtedy jednak muszą umieć składać pieśni lepsze od innych i na tym polega cała przykrość związana z tym zawodem.

W drodze powrotnej zajechali do Sone Jasnowidza, Orm miał bowiem z nim coś do załatwienia.

Zagroda Sone była wielka i obszerna, i wszędzie roilo się od jego synów i ich dzieci. Sam Sone był już nad miarę sędziwy i bardzo marzył, siedział więc wciąż przy ogniu, mrużąc coś pod nosem. Orm przywitał go z szacunkiem i po chwili Sone go sobie przypomniał. Kiwnął mu przyjaźnie głową, zapytał o nowiny i zaczął mówić o swoim zdrowiu. Stwierdził, że choć nie czuje się już tak dobrze jak dawniej, nie ma jednak powodów do narzekania. A największą jego radość stanowi to, że zachował rozum, który wciąż jeszcze służy mu lepiej niż innym.

Czereda jego synów zesła się, aby przywitać przybyszów i posłuchać nowin.

Byli to krzepcy mężczyźni w różnym wieku. Gdy usłyszeli, że ojciec ich mówi o swoim rozumie, wykrzyknęli, że to tylko pusta gadanina starego, który już dawno postradał cały rozum i któremu został tylko jęzor do paplania. Na to Sone wpadł w gniew i zaczął stukać kijem, aż ich w końcu uciszył.

– Bzdury plotą – mówił do Orma. – Myślą, że zużyłem cały rozum na to, by ich spłodzić, i że nic mi już nie zostało dla mnie samego. Ale tak nie jest i łatwo to można zauważyć, bo – jak widać – niewiele im z mojego rozumu przypadło. Zdarza się jednak, że niekiedy płacę ich imiona albo nawet zupełnie zapominam, jak który się nazywa, co ich doprowadza do takiej wściekłości, że źle o mnie mówią. Rzecz jednak w tym, że imiona te niezbyt są warte zapamiętania.

– Przybywam tu zarówno po to, aby ciebie odwiedzić, jak i z powodu twoich synów – odpowiedział Orm. – Wybieram się na daleką wyprawę, na Wschód, do Miklagrodu, aby odebrać tam spadek. Łódź już sobie kupiłem. A może to być wyprawa, w której przydadzą się dzielni woje. Często słyszałem, jak wychwalano twoich synów jako bitnych zuchów,

i pomyślałem sobie, że byłoby dobrze zabrać z sobą kilku z nich. Płacę dobrze, a jak wszystko skończy się pomyślnie, znajdzie się może trochę srebra do podziału po powrocie.

Usłyszawszy to Sone wpadł w zapał.

– Lepszej nowiny dawno już nie słyszałem – mówił – i chętnie poślę z tobą gromadkę synów. Przyda im się zobaczyć trochę świata i nauczyć się dobrego ułożenia i rozsądku. W domu zaś zrobi się trochę mniejszy ścisk. Za dużo ich mam na starość – ciągnął. – Weź sobie połowę, a będzie to z pożytkiem dla nas obu. Lecz nie bierz ani najstarszych, ani najmłodszych, tylko z dziesiątek średnich. Nigdy nie byli na morzu, ale w boju dobrze się nadadzą.

Kilku z jego synów wyraziło natychmiast swą gotowość, inni zrobili to po namyśle. Wszyscy słyszeli, jak Orm zabił obu berserkerów, toteż wydawał się wymarzoną hövdingiem. Po naradzie, która przeciągnęła się do późnego wieczoru, jedenastu synów Sone postanowiło wyruszyć z Ormem. Obiecali, że będą gotowi na midsommar, i Orm miał wtedy po nich przyjechać.

Toke uważał, że zaciąg się udał, bo mężczyźni ci wyglądali obiecująco. Sam Orm też był zadowolony i gdy następnego dnia rano odjechali i opuścili domostwo Sone, jego zły humor rozwiął się całkowicie.

W domu wszyscy wybiegli im na spotkanie z żałobną nowiną. Are nie żył. Ciało jego dopiero co wyłowiono z rzeki. Jedynym świadkiem tego, co zaszło, był Svarthöfde, ale i on niewiele miał do opowiedzenia. Siedzieli razem z Are nad rzeką, każdy nad swoją wędką, i Are zachowywał się tak jak zawsze, prócz tego, że parę razy pogłodził Svarthöfde po włosach i policzku. A po chwili podniósł się, przeżegnał trzykrotnie znakiem krzyża, po czym wszedł szybkimi krokami do rzeki i znikł w miejscu, gdzie była największa głębina. Nie pojawił się więcej na powierzchni i Svarthöfde nie zdążył nic zrobić, aby go uratować. Długo trwało, zanim Rappowi udało się odnaleźć zwłoki.

Osa legła po tym nieszczęściu do łóża. Mówiła, że najchętniej chciałaby umrzeć. Orm usiadł przy niej i pocieszał ją, jak umiał. Mówił, że każdy mógłby stracić ochotę do życia, gdyby go spotkał taki los jak Are, i że nic dziwnego, iż tęsknił on w swej niedoli do Boga, wykonawszy już zadanie, które sobie postawił w związku ze złotem.

– Pomyśl, że Bóg odda mu teraz wzrok, dłoń i język. A jak dobrze pójdzie, Are spotka tam także syna. Niemały to zysk i każdy mądry człowiek postąpiłby tak samo.

Osa zgadzała się z tym, lecz mimo to było jej tak ciężko pogodzić się ze stratą syna, że dopiero po trzech dniach otrząsnęła się z żaloby. Pochowali Are koło kościoła, tuż obok miejsca, gdzie ojciec Willibald złożył do ziemi głowy obu świątobliwych mężów, odcięte

przez Östena z Ore. A Osa wybrała sobie miejsce zaraz obok Are, bo jak mówiła, i ona już długo nie pociągnie.

Toke odjechał potem do domu, aby przygotować się do podróży. A przed midsommar obaj z Olofem Motylem ściągnęli znowu do Gröning, każdy z wyborową drużyną. Olof wiele miał do załatwienia przed odjazdem. Obu swoim żonom dał sute odszkodowanie i przepędził je z zagrody, mimo że jedna nie chciała iść i twardy stawiała opór. Toteż obecnie nie było już żadnej przeszkody do uczciwego ożenku z Ludmiłą i Olof znów wystąpił z prośbami, aby stało się to natychmiast. Orm jednak trwał przy tym, co powiedział, i uważał, że byłoby na opak myśleć o weselu przed podróżą.

– Jest ci przeznaczona – mówił do Olofa – i tym musisz się zadowolić. Świeżo upieczony małżonek źle się nadaje do dalekiej wyprawy. Raz się dogadaliśmy i przy tym niech już zostanie. Naprzód przywieziemy złoto, a gdy tego dokonamy, dostaniesz moją córkę w nagrodę za pomoc. Nigdy jednak nie jest w zwyczaju płacić za pomoc z góry.

Olof Motyl był człowiekiem uczciwym i prawym, nie mógł więc zaprzeczyć, że Orm ma słuszość w tym, co mówi. Na swoją obronę mógł się chyba powołać tylko na to, że zadurzył się w dziewczynie do nieprzytomności, aż wszystkich to ogromnie bawiło. Gdy się zbliżała, wciągał głęboki oddech i głos mu się zmieniał. Sam przyznawał, że jeszcze czegoś podobnego nie przeżywał. Ludmiła też uważała podobnie jak Olof, że wesele powinno się odbyć zaraz, potrafiła jednak zmiarkować po ojcu, że nie warto się wysilać na namowy. Ale wnet doszli z Olofem do wniosku, że nie trzeba upadać na duchu, skoro oboje jednakowo czują.

Przed odjazdem Orm wydał dokładne zarządzenia na czas swej nieobecności. Rapp miał zostać w domu i doglądać wszystkiego, choć do ostatka opierał się i prosił, by go z sobą zabrali. Orm zostawił mu też dosyć ludzi do roboty i obrony gródka. O wszystkim jednak miała stanowić Ylva i nic ważnego nie wolno było zrobić bez jej pozwolenia. Także Harald miał pozostać w domu, Orm bowiem nie chciał narażać pierworodnego syna w tak niebezpiecznej wyprawie, a i sam Harald nie zdradzał zbytniego zapału. Wzięli natomiast z sobą Ulfa Wesołego, a w końcu także i Svarthöfde, który długo się o to napraszał u Orma i Ylvy. Ylva nieraz płakała ze zmartwienia i ze złości z powodu jego uporu i pytała, czego może trzynastolatek szukać pośród wojów. Ale nic nie pomagało. Svarthöfde zagroził, że ucieknie z domu i wyruszy w świat na obcej łodzi, jeśli go z sobą nie zabiorą, a Ulf Wesoły przyrzekł, że będzie się o niego troszczyć bardziej niż o siebie samego. Svarthöfde twierdził, że nie potrzebuje takiej opieki, i obiecywał, że będzie sam na siebie bardzo uważał. Odgrażał się jednak, że chce się bić ze złymi ludźmi, którzy wyłupują drugim oczy, jeśli tylko szczęście

zrządzi, że się z nimi spotka. Miał już własny miecz i oszczep i czuł się w pełni wojownikiem. Orm rad był, że będzie go mieć przy sobie, choć nie zdradzał się z tym przed Ylvą. Ojciec Willibald wygłosił wielkie kazanie. Mówił o tych, co wyruszają i pobłogosławił ich wszystkich długim błogosławieństwem. Toke, Olof Motyl oraz pogańscy woje z ich drużyn wysłuchali też tego kazania i wszyscy zgodnie twierdzili, że czują się wyraźnie pokrzepieni błogosławieństwem. Wielu z nich przyszło potem do księdza i wyciągnawszy miecze prosiło, aby i je pobłogosławił. Przy pożegnaniu kobiety bardzo płakały, a i wśród odjeżdżających znaleźli się tacy, którzy posmutnieli. Większość jednak wyruszała wesoło, obiecując, że przywiozą do domu z wyprawy cenne rzeczy. Orm zaś z otuchą w sercu odjeżdżał na czele tak świetnej drużyny.

Zajechali do Sone Jasnowidza po jego synów, którzy wnet gotowi byli do drogi. Stary siedział na ławie pod ścianą domu i grzał się na słońcu. Kazał przyjść do siebie synom – tym jedenastu, co mieli odjechać w drogę – bo chciał się z nimi pożegnać. Gdy przed nim stanęli, przyjrzał im się z uwagą i mruczał ich imiona nie pomyliwszy się ani razu. Potem zaś siedział przez chwilę w milczeniu, wpatrując się prosto przed siebie. Nagle wstrząsnął nim dreszcz, po czym stary oparł głowę o ścianę domu i zamknął oczy. Na ten widok synowie się zaniepokoiли i zaczęli się cofać mamrocząc ze strachem: „On widzi! On widzi!” Po chwili Sone znowu otworzył oczy i rozejrzał się dokoła nieobecny wzrokiem jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Potem znów stał się sobą i skinął na synów, że teraz mogą już jechać.

– Co widziałeś? – zaczęli go dopytywać.

– Wasz los – odpowiedział.

– Czy wrócimy? – chcieli pytać.

– Siedmiu wróci.

– A co z czterema?

– Zostaną tam, gdzie zostaną.

Wszystkich jedenastu obiegiło go teraz, prosząc usilnie, aby powiedział, którzy są ci czterej.

– Bo jeśli czterech z nas ma tam umrzeć, to lepiej niech zostaną w domu, aby nic im się nie stało.

Ale stary uśmiechnął się smutno.

– Głupio mówicie, jak to się wam często zdarza – rzekł. – Widziałem przędzę Prządek i dla czterech z was starczy ona tylko na krótki czas. A nici Prządek nikt nie nadsztukuje. Czterech z was umrze, dokądkolwiek by się udali. I w porę się o tym dowiedzą.

Trząśł głową i jakby się namyślał. Po czym dodał:

– To żadna radość dla człowieka widzieć palce Prządek. I niewielu tylko je widziało. Mnie jednak objawia się ten widok, choć chętnie bym go uniknął. Ale twarzy Prządek nie widziałem nigdy.

Znów zamilkł, spojrzął na synów i kiwnął głową.

– Idźcie już! – powiedział. – Siedmiu z was wróci. Dość na tym.

A oni dłużej się nie upierali, bo zdjęła ich jak gdyby bojaźń przed starym. I tak samo stało się z Ormem i całą jego drużyną. Ale gdy już odjechali, synowie Sone nie przestawali jeszcze przez dobrą chwilę mruczeć gorzko o starym i jego dziwactwach.

– Chętnie bym go zapytał o siebie – odezwał się Toke – ale nie miałem odwagi.

– I ja miałem ochotę – rzekł Olof Motyl – ale też nie śmiałem.

– Może być, że to wszystko pusta gadanina – mówił Orm – choć prawda, że moja staruszka też czasem widzi we śnie jak na jawie.

– Tylko taki, co go nie zna, może sądzić, że to próżne gadanie – wtrącił jeden z synów Sone, który jechał w pobliżu nich. – Tak się stanie, jak powiedział, bo zawsze tak było. I gorszą nam tym wyświadcza przysługę, niż przypuszcza.

– I mnie się zdaje, że on wie więcej niż inni – rzekł Toke.

– Pocięchą dla was może być w każdym razie to, że siedmiu wróci cało i zdrowo.

– To prawda – odparł tamten ponuro. – Ale których siedmiu? Nie będziemy teraz mieli jednej wesołej chwili, dopóki czterech nie umrze.

– Tym większa będzie za to wasza radość wtedy – zauważył Orm, a synowie Sone odchrząknęli niepewnie.

Gdy dotarli do łodzi, odesłali z powrotem konie, a Orm kazał zaraz brać się do malowania smoczego łba na nowo. Jeśli bowiem okręt ma przynosić chlubę, łeb smoczy musi lśnić czerwienią jak świeża krew. Załadowali się potem i każdy dostał swoje miejsce w łodzi. Orm nie chciał z początku dać w ofierze capa na intencję dobrej podróży, ale wszyscy opowiedzieli się przeciw niemu i w końcu musiał ustąpić.

– Na lądzie możesz sobie być największym chrześcijaninem – mówił Toke – ale na morzu najlepsze są dawne zwyczaje. I jeśli się do nich nie zastosujesz, możesz równie dobrze skoczyć do morza na największej głębiny.

Orm czuł, że jest w tym trochę prawdy. Ale ciężko mu się było pogodzić z tym, że cena capa miała dojść do wszystkich innych wydatków, które poczynił na tę wyprawę, zanim się jeszcze zaczęła.

Wszystko było w końcu gotowe. I gdy krew capa spłynęła po dziobie okrętu, odbili od brzegu w piękną pogodę i o pomyślnym wietrze. Z młodych dni Toke znał szlak aż do

Gotlandii, podjął się więc prowadzić okręt do miasta Gutów, Vi. Tam zaś mieli nająć do pomocy sternika, których u Gutów było pod dostatkiem.

Orm i Toke z przyjemnością znaleźli się znowu na morzu i czuli się dobrze, tak jak gdyby spadło z nich nagle wiele trosk związanych z życiem na lądzie. Gdy w dali zamajaczyły brzegi Lister, Toke napomknął, że wprawdzie handlarz skór miewa swoje kłopoty, on jednak czuje się obecnie równie beztrosko jak wówczas, gdy wypływał z Krukiem na morze.

– I sam nie mogę zrozumieć, dlaczego tak długo trzymałem się z dala od morza – ciągnął. – Bo łódź z dobrą załogą to najlepsze z wszystkiego. Dobrze jest żyć w dostatku na lądzie i nikt nie potrzebuje się tego wstydzić. Ale daleka wyprawa po łupy i ten zapach morza w nozdrzach – to najlepsze, co może spotkać człowieka, i najskuteczniejszy lek na starość i nudę. To dziwne, że my, Normanowie, siedzimy tyle w domu, choć znamy się na morzu lepiej od innych i choć cały świat stoi przed nami otworem do plądrowania.

– Może to dlatego tak się dzieje, że wielu woli zestarzeć się na lądzie niż wyprawiać się po najpewniejszy lek na starość – śmierć, z którą tak często spotykają się żeglarze – odparł Orm.

– Czuję tu dużo zapachów – odezwał się zmartwiony Svarthöfde – ale żaden z nich nie wydaje mi się dobry.

– To dlatego, żeś nie przyzwyczajony i jeszcześ się na tym nie poznał – rzekł Orm. – Choć to prawda, że zapach morza nie jest tu taki sam jak na Zachodzie. Tam morze jest bardziej zielone od soli i zapach jego jest silniejszy. Ale i na ten tutaj nie można narzekać.

Svarthöfde nic już nie odpowiedział, bo chwyciła go morska choroba. Zrazu bardzo się wstydził, ale ulżyło mu, gdy zobaczył, że również wielu z załogi, zwłaszcza spośród tych z głębi kraju, zwisa przez burtę. A niebawem ten i ów zaczął słabym głosem błagać, aby przybić do brzegu, zanim wszyscy poginą.

Orm i Toke stali przy sterowym wiośle, nie przejmując się tym wcale.

– Muszą przywyknąć, biedaki – mówił Orm. – Swego czasu i ze mną tak było.

– Patrz na synów Sone – rzekł doń Toke. – Co innego im teraz w głowie niż prorocstwo ojca. To trwa zwykle pewien czas, zanim mieszkańcy lądu zrozumieją, jak dobrze im się dzieje w łodzi. Przy tym wietrze mogą rzygać nie opryskując twarzy najbliższego sąsiada. A przez to unika się wielu kłótni między drażliwymi ludźmi. Niech jednak nikt nie sądzi, że czują z tego powodu radość. Nikt nie nabiera na morzu rozsądku za darmo. Trzeba tu jeszcze przyzwyczajenia.

– Przyjdzie z czasem i ono – uspokajał Orm. – Gdy wiatr ustanie, będą musieli wziąć się do wiosła, a to trudna zabawa dla nieprzyzwyczajonych, przy takiej fali jak dzisiaj. Wtedy z zalem myśleć będą o tym, jak to niedawno wolno im było rzygać w spokoju, bez żadnego trudu.

– Najlepiej będzie zrobić Olofa nadzorcą przy wiosłowaniu – podsunął Toke. – Potrzeba do tego takich, co przywykli, aby ich słuchano.

– Słuchać go może i będą, ale wziętość, którą się cieszy, ucierpi na tym. Wiosłowanie to ciężka robota, a najgorzej, gdy wiosłarzami są wolni ludzie, których nie można chłostać.

– Wszelako może go to rozochoci – mówił Toke. – Bo robi wrażenie, jakby myślni błędził gdzie indziej, co mnie zresztą wcale nie dziwi.

Olof Motyl w niewesołym usposobieniu położył się na dnie łodzi tuż obok miejsca, gdzie stali. Wydawał się senny i nic nie mówił. Po chwili jednak zamruczał, że nie wie, co go właściwie dręczy, morską chorobą czy miłosną tęsknotą, i że chciałby się dowiedzieć, czy łódź przybije na noc do brzegu. Ale Orm i Toke jednomyślnie uważali, że nie byłoby to mądrze, jeśli wiatr się utrzyma i niebo będzie nadal czyste.

– Skusiłoby to nieprzyzwyczajonych i niejedni ulotniłby się w ciągu nocy – mówił Toke. – Mogliby bowiem łatwo znaleźć drogę do domu, radzi, że się wykręcili od wyprawy. Natomiast gdy dotrzemy do Gotlandii, przywykną już trochę i wtedy można im będzie pozwolić znowu postawić stopę na stałym lądzie.

Olof Motyl westchnął, ale nic się nie odezwał.

– Zaoszczędzimy też w ten sposób dużo jedzenia, którym by się napchali na lądzie, by je później wyrzygać bez żadnego pożytku – dorzucił Orm.

Miał pod tym względem słuszość. Pomyślny wiatr utrzymywał się, i w czasie żeglugi do Gotlandii zaledwie połowa załogi wykazywała większy apetyt przy posiłkach. Svarthöfde otrząsnął się z morskiej choroby szybko, a Ulf Wesoły wcale jej nie odczuwał. I wielką dla nich stanowiło radość, gdy mogli zajadać i wychwalać jedzenie, oglądani z zazdrością przez wyblakłych i pozbawionych apetytu nieboraków. Lecz gdy tylko wypłynęli na spokojniejsze wody koło Gotlandii, chorzy zaczęli sobie odbijać szkodę i Orm twierdził, że nigdy jeszcze nie widział większych żarłoków.

– Ale niech im wyjdzie na zdrowie – dodawał. – Może to znak, że zaczęli się już trochę przyzwyczajać do morza.

W porcie Vi stało tyle okrętów, że Orm wahał się z początku, czy odważyć się tam zawinąć. W końcu jednak zdjęli smoczy łeb i wywiesiwszy tarczę pokoju wpłynęli do portu o wiosłach, niezaczepiani przez nikogo. Miasto było pokaźne, pełne żeglarzy i bogatych

kupców. A gdy Orm i jego ludzie wyszli na ląd, znaleźli tam wiele do oglądania. Stały tam domy budowane całkowicie z kamienia. Niektóre z nich przeznaczone były wyłącznie na to, aby pić w nich piwo. A bogactwo tego miasta było tak wielkie, że ladacznice nosiły tam w uszach kolczyki z czystego złota i pluły na każdego, kto im nie przynosił co najmniej garści srebrnych monet. Ale jedna z osobliwości tego miasta zadziwiła Wikingów najbardziej i nie chcieli w to uwierzyć, dopóki sami tego nie zobaczyli. Był tam mianowicie pewien człowiek z kraju Saksonów, który przez dzień cały trudnił się zdrapywaniem zarostu z bród miejscowych bogaczy. Dostawał za to miedziaka od tego, kogo odrapał, nawet gdy go przy tym poranił do krwi. Ludzie Orma uważali ten zawód za dziwniejszy od wszystkiego, o czym kiedykolwiek słyszeli czy co widzieli, i za niezbyt godzien pozazdrosczenia.

Olof Motyl otrząsnął się już z przygnębienia i razem z Ormem wyszedł na poszukiwanie biegłego sternika. Niewielu tylko z załogi pozostało w łodzi, wszyscy bowiem chcieli rozprostować nogi i ugasić pragnienie. Ale Toke został, aby pilnować okrętu.

– Piwo Gutów jest tak mocno sycone – mówił – że raz za moich młodych lat tego się spiłem w tym mieście. Zacząłem się potem rozbijać i w burdzie, która z tego wynikła, zabito człowieka. Ja zaś z trudem tylko umknąłem z życiem, rzuciwszy się do wody. A Gutowie są pamiętliwi i źle by było, gdyby mnie rozpoznali teraz, gdy mamy inne, ważniejsze rzeczy na głowie. Toteż zostanę lepiej w łodzi. Wy zaś, wychodząc na ląd, dobrze się miejcie na baczności, bo oni krótką cierpliwość mają dla cudzoziemców, którzy narobią im jakiegoś kłopotu.

Orm i Olof wrócili do łodzi ze sternikiem Gutem. Był to niewielki, przysadzisty i szpakowaty mężczyzna imieniem Spof. Wielokrotnie wyprawiał się na Wschód i znał wszystkie tamtejsze szlaki, a teraz chciał obejrzeć okręt, zanim się zdecyduje. Nie mówił dużo, przeważnie tylko kiwał głową, w końcu zaś poprosił, by mu dali posmakować piwa, które z sobą wieźli. Było to piwo pędzone przy ujściu rzeki i nikt dotąd na nie nie narzekał. Spof posmakował go i zafrasował się.

– Czy macie tylko to piwo? – zapytał.

– A czy nie jest ono dostatecznie dobre? – odpowiedział Orm.

– Wystarczy w łodzi – odrzekł Spof. – Ja też piję je chętnie. Ale czy ludzie twoi mają spokojne usposobienie, chętnie pracują i zadowolają się byle czym?

– Zadowolają się byle czym? – zdziwił się Orm. – Prawie nie można zadowolić ich łakomstwa, gdy tylko nie gnębi ich morska choroba. I nie dla spokojnego usposobienia ich dobierałem. Co się zaś tyczy trudów i harówki, to nie sądzę, by je lubili więcej od innych.

Spof kiwał głową z namysłem.

– To tak, jak myślałem – rzekł. – Do przeprawy dotrzemy w najgorsze upały i musisz wtedy mieć lepsze piwo, przydatne do przeciągania łodzi, jeśli ma się to udać.

– Powiniennem był o tym pamiętać! – wykrzyknął Olof Motyl.

– To prawda, co on mówi!

– Piwo przydatne do przeciągania łodzi? – zapytali równocześnie Orm i Toke.

– My, Gutowie, należymy do tych, którzy najczęściej pływają po rzekach Gaardariki i najdalej dotarliśmy. Znamy najodleglejsze szlaki rzeczne poza przeprawą w krainie Mererów, szlaki, dokąd nikt oprócz nas nie próbował dotrzeć wielkimi łodziami. I właśnie tylko z pomocą piwa, przydatnego do przeciągania łodzi, docieramy tam, skąd inni muszą zawracać. Piwo to musi być najwyższego gatunku, by dawało moc i silną zachętę. I daje się je do picia załodze, gdy przeciąga łódź przez przeprawy, a poza tym nigdy. My, Gutowie, wymyśliliśmy to i dlatego u nas też pędzi się najtęższe piwo, z którego pochodzi nasze bogactwo.

– Jeśli się nie mylę, nie sprzedajecie tego piwa tanio? – rzekł Orm.

– Jest ono o tyle droższe od innego, o ile góruje nad nim nie tylko smakiem, ale i mocą – wyjaśnił Spof. – Jest jednak warte swej ceny, gdyż bez jego pomocy nikt nie może dostać się do Gaardariki.

– Ile nam tego piwa potrzeba? – pytał Orm.

– Zaraz policzymy – rzekł Spof. – Łódź o dwudziestu czterech wiosłach, sześćdziesięciu sześciu ludzi, dolnym szlakiem do Kijowa. Będzie tam siedem małych przepraw, ale te nie wymagają wielkiego wysiłku. Ciężka jest tylko długa przeprawa lądem do rzeki Dniepr. Pięć wielkich beczek powinno wystarczyć.

– Jedno jest pewne, że żeglarze na Zachodzie podróżują taniej – orzekł Orm.

A gdy już zakupili piwo i Spof otrzymał połowę swej zapłaty, jak się tego domagał, Orm jeszcze bardziej się upewnił, że tak jest istotnie. Toteż, odliczając Spofowi srebro, mruczał ponuro, że do Kijowa dotrze jako zupełny żebrak z kijem w dłoni, zastawiwszy po drodze u Gutów tak okręt, jak i broń.

– Ale ty wyglądasz mi na dzielnego chłopca, biegłego i rozsądnego – dodał zwracając się do Spofa. – I może nie będę żałował, że cię dostałem na sternika, choć niemałego żądasz wynagrodzenia.

– Tak jest ze mną jak z tym piwem do przepławiania łodzi – odparł spokojnie Spof. – Jestem drogi, ale jest ze mnie pożytek.

Przez trzy dni stali w Vi, a Spof kazał ludziom wyciosać z drzewa mocne podstawy pod beczki z piwem, aż piwo zostało ustawione tak, jak on tego chciał. Beczki zajęły dużo miejsca i obciążyły mocno łódź. Ale załoga chętnie znosiła niewygodę, poznawszy się na łądzie, jak to piwo smakuje. Już pierwszego dnia pobytu w Vi wielu przepiło całe swoje srebro. Nachodzili potem ciągle Orma, domagając się dalszej zaliczki, ale nie zdaje się, aby komuś udało się ją odeń wy dostać. Wtedy niektórzy próbowali wymienić na piwo swoje skórzane kaftany, inni zaś hełmy. A gdy Gutowie nie chcieli iść na takie zamiany, doszło do bójek. Skończyło się na tym, że na okręt przyszli stróże prawa i porządku, domagając się wysokich grzywien. Orm i Toke przesiedzieli z nimi pół dnia i udało im się uzyskać obniżkę grzywien do połowy, ale i tak uważali, że suma jest wystarczająco duża. Toteż potem nie wypuszczali już na ład nikogo, nie odebrawszy mu wprzód broni, którą musiał zostawić w łodzi.

Synowie Sone należeli do ludzi zamożnych i pili tęgo na łądzie, ale mimo to trudno im było rozproszyc złe myśli. Drugiego dnia postoju wrócili do łodzi całą gromadą, przynosząc w dziesięciu jedenastego, który słabe tylko dawał oznaki życia. Mówili, że go ostrzegali, lecz on nie zważał na to. Podkradł się do jakiejś młodej dziewczyny, która okopywała kapustę na półku za chatą, i obalił ją na ziemię siłą, przemawiając do niej czułymi słowami. Ale z chaty wybiegła zaraz stara baba i wyrznęła go motyką w łeb. I na to nie było już żadnej rady.

Toke obejrzał pobitego i orzekł, że długo nie pociągnie. Istotnie zmarł w nocy, a bracia pogrzebali go starannie i wypili za jego powodzenie w drodze do krainy zmarłych.

– Taki był jego los – mówili. – Stary wiedział, co mówił!

I choć odczuwali pustkę po zmarłym i wyrażali się o nim w samych najlepszych słowach, widać było, że wszystkim im trochę ulżyło na duchu. Teraz bowiem, jak mówili między sobą, tylko trzech jeszcze spośród nich miało spotkać nieszczęście. I w ten sposób odpadła jedna czwarta część ich zmartwień.

Następnego dnia rano wypłynęli na morze, biorąc kierunek na północ, a przy wiosle sterowym stał Spof. Orm mówił, że wprawdzie nie wiadomo, co ich jeszcze czeka, spodziewa się jednak, że nie będą już zmuszeni zawijać do portów tak drogich jak miasto Gutów, Vi.

VI.

O TYM, JAK PŁYNEŁI DO DNIEPRU

Okrzyżyli Gotlandię i popłynęli na wschód, mijając Osyssę, po czym dotarli do rzeki Dźwiny. W górę tej rzeki wiódł dolny szlak do Miklagrodu używany głównie przez Gutów. Górny szlak, stanowiący drogę Swijów, prowadził w górę rzeki Wotów do Ładogi, a stamtąd przez Nowogród do Dniepru.

– Nikt nie wie, który z tych szlaków jest trudniejszy – mówił Spof. – I nawet ja sam nie potrafię tego powiedzieć, choć znam je oba. Bo tak już jest, że trudy podróży pod prąd sprawiają, iż na gorszą wygląda zawsze ta droga, którą się wybrało. Jedno dobre dla nas, że przybywamy późno i unikniemy wiosennych roztopów.

Gdy dotarli do rzeki, ludzie pełni byli otuchy, choć wiedzieli, że czeka ich obecnie wielki wysiłek. Podzielili się pracą przy wiosłach tak, że po trzech dniach wiosłowania przypadał na każdego dzień odpoczynku. Płynęli teraz przez kraj Liwów i Semgallów, gdzie tu i ówdzie spotykali małe wioski rybackie. Potem kraj stawał się coraz bardziej pusty i nie było widać nic prócz koryta rzeki i gęstego lasu po obu jej stronach. Odczuwali lęk przed tym krajem. Czasem, gdy przybili na noc do brzegu, słyszeli przy obozowych ogniskach wycie zwierząt, których nie znali. I mruczełi między sobą, że może to jest Żelazny Las, o którym starzy ludzie opowiadają, że przebywa tam potomstwo Loke.

Pewnego dnia spotkali trzy łodzie idące jedna za drugą w dół rzeki, ciężko obciążone i dobrze obsadzone załogą. Tylko sześć par wiosł wysuniętych było na każdej. Byli to Gutowie wracający do domu. Wychudli i mocno ogorzali od słońca mężczyźni z ciekawością przyglądali się łodzi Orma. Kilku z nich poznało Spofa i pozdrowiło go okrzykiem, a gdy łodzie powoli się mijały, wywiązała się rozmowa od burty do burty. Gutowie płynęli z Wielkiej Bułgarii nad Wołgą, dostawszy się wprzód tą rzeką aż do Morza Słonego*, gdzie handlowali z Arabami. Mówili, że wiozą cenny ładunek – tkaniny, srebrne naczynia, niewolnice, wino i pieprz. A trzech spośród załogi środkowej łodzi podniosło w górę nagą kobietę i trzymając ją za ramiona i włosy za burtą, wołało, że jest na sprzedaż za dwanaście marek srebrem, a więc tanio, jak to między przyjaciółmi. Kobieta darła się i fikała nogami, gdyż bała się, że spadnie do wody, a ludziom Orma zaparło na ten widok dech w piersiach.

* Kaspijskiego

Kiedy jednak nikt nie wyraził chęci dokonania zakupu, a niewiastę wciągnięto znów do łodzi, zaczęła coś ze złością wykrzykiwać i pokazywać im język.

Dowódcy Gutów dopytywali się, kim jest Orm, dokąd zmierza i jakie wiezie towary.

– Nie jestem kupcem – odpowiedział im. – Udaję się do Kijowa, aby odebrać spadek.

– Musi to być duży spadek, jeśli ci się opłaca ta wyprawa – mówili z niedowierzaniem Gutowie. – Ale jeśli szukasz zdobyczy, zwróć się do kogo innego, my bowiem podróżujemy zawsze w bezpiecznej gromadzie.

Po czym łodzie minęły się i poszły w przeciwnych kierunkach.

– Kobieta była niezła – mówił Toke. – Nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia lat, choć trudno powiedzieć coś pewnego o kimś, kto wisi z rękami wyciągniętymi nad głową. Ale też trzeba Gutów, aby żądać dwanaście marek za niewolnicę, nawet młodą. Mimo to jednak myślałem, że ty, Olofie, coś zaofiarujesz.

– Może i mógłbym – rzekł Olof – gdyby nie to, co się ze mną dzieje. Tylko jedna dziewczyna mi w głowie i nieprędko mi to chyba minie.

Lecz Orm patrzył za łodziami Gutów z ponurą miną.

– Choć jestem spokojny człowiek – odezwał się wreszcie – skończy się chyba na tym, że się kiedyś pobiję z Gutami. Wielka jest ich pycha i zaczynam już mieć tego dość, aby zawsze mieli ostatnie słowo.

– Można by o tym pomyśleć w drodze powrotnej – przyznał Toke – gdyby wszystko inne źle nam poszło.

Ale Spof oświadczył, że w takim razie Orm musi się postarać o innego sternika. On bowiem nie chce brać udziału w walce ze swoimi rodakami.

Tegoż dnia po południu mieli jeszcze jedno spotkanie. Usłyszeli głośny skrzyp wiosel i zza najbliższego zakrętu rzeki pojawiła się łódź, która zbliżała się szybko. Wszystkie wiosła były wysunięte, a wiosłarze wiosłowali z całej siły.

Na widok łodzi Orma łódź zwolniła pędu. Miała podobnie jak Ormowa dwadzieścia cztery pary wiosel i roilo się w niej od zbrojnych.

Orm zawołał natychmiast do wiosłarzy, aby także wiosłowali co sił i równo. Wszystkim innym zaś kazał sposobić się do boju. A Toke, który stał przy wiosle sterowym, zmienił nieco kierunek, aby w razie gdyby doszło do walki, móc przybić do nieznanego statku bez obawy zderzenia.

– Kim jesteście? – rozległy się okrzyki od obcych.

– Skanowie i Smalandczycy – odpowiedział Orm. – A wy co za jedni?

– Ostrogoci.

Rzeka była w tym miejscu szeroka, a nurt niewielki Toke zawołał do wiosłarzy lewej burty, aby wiosłowali szybciej, do tych zaś, co siedzieli przy prawej burcie, aby zaprzestali wiosłować.

I w ten sposób szybko wykręcił łódź kładąc ją obok statku Ostrogotów tak blisko, że obie łodzie sunęły obok siebie z prądem, niemal stykając się wiosłami.

– Ot co zrobilibyśmy z wami, gdybyśmy chcieli! – krzyknął z zadowoleniem Toke. – I to mimo że prąd wam sprzyjał. Nieraz już tego dokonywaliśmy dawniej.

Głos Ostrogota złagodniał, gdy zobaczył ich gotowość do walki.

– Czyście spotkali na rzece Gutów? – pytał.

– Przed południem minęliśmy trzy łodzie – odrzekł Orm.

– Rozmawialiście z nimi?

– Nader przyjaźnie. Wieźli cenny ładunek i pytali o Ostrogotów.

– Pytali o Ostrogotów? Z lękiem?

– Mówili, że im nudno bez nich.

– To do nich podobne – rzekł dowódca Ostrogotów. – Trzy łodzie, mówicie? A jaki wy wieziecie ładunek?

– Broń i mężów. Czy może sobie czegoś życzysz?

– Tak jest z wami, jak i z nami i nie ma się o co bić w takim razie – odrzekł tamten. – Posłuchajcie mojej rady i ruszajcie wraz z nami w pościg za tamtymi. Zdobycz dobrze nam się opłaci, a podzielimy się po bratersku.

– Dlaczego masz z nimi na pieńku? – zapytał Spof.

– Są bogaci, a ja nie mam nic. Czy to nie wystarczy? Szczęście nie sprzyja nam w drodze powrotnej. Obłowiliśmy się na Wołdze, ale przy przeprawie czyhali na nas w zasadzce Mererzy. Tam straciliśmy naszą drugą łódź i większość zdobyczy. A nie chcemy wracać do domu jak biedacy. Płynicie z nami, jeśliście tacy, na jakich wyglądacie. Gutowie warci są zachodu. Ludzie mówią, że u siebie w domu zaczęli podkuwać konie srebrnymi podkowami.

– Mamy sprawę gdzie indziej i nie cierpi ona zwłoki – odparł Orm. – Ale Gutowie radzi będą, gdy was zobaczą. Trzy łodzie przeciw jednej to może właśnie to, czego sobie życzą najbardziej.

– Będzie, co będzie – odrzekł tamten ponuro. – Zawsze mówiłem, że Skanowie to świńskie brzuchacze, co myślą tylko o sobie i nigdy nie wyświadczą nikomu przyjacielskiej przysługi.

– To prawda, że rzadko myślimy o Ostrogotach bez potrzeby – odparł Orm. – Ale dość już zmitrężyliśmy czasu z waszego powodu. Żegnajcie!

Łódź Orma została nieco w tyle, a Toke znów wykręcił i skierował ją pod prąd. Ale podczas tego zwrotu rósł gniew hövdinga Ostrogotów. I nagle cisnął oszczepem w Orma.

– Masz, abyś pamiętał! – zawołał, gdy oszczep mknął w powietrzu.

Tuż obok Orma stał Olof Motyl. I teraz dokonał on czegoś, o czym często opowiadano, lecz co niewielu tylko widziało na własne oczy. Zrobił krok w przód, chwycił w locie nadlatujący oszczep tuż poniżej grotu, odwrócił go w dłoni i posłał z powrotem tak szybko, że zaledwie paru zdążyło zobaczyć, co się dzieje. Ostrogot nie był przygotowany na tak szybką odpowiedź i oszczep trafił go w ramię, tak że zachwiał się i usiadł.

– To pozdrowienie z Finnveden! – krzyknął Olof.

– Tak to się u nas robi! – zawołali jego ludzie rozglądając się z dumą dokoła i promieniejąc z radości z powodu czynu swego hövdinga. A cała załoga cieszyła się wraz z nimi, jakkolwiek wszyscy byli pewni, że Ostrogoci rzucą się teraz na nich. Ci jednakże upadli na duchu i popłynęli dalej z prądem w dół rzeki, aż znikli im z oczu i więcej się nie pokazali.

– Nigdy nie widział podobnego rzutu – rzekł Orm. – Dziękuję ci za to, Olofie.

– Władam bronią równie biegle jak inni – mówił Toke – ale tego rzutu nie potrafiłbym naśladować. A musisz wiedzieć, Olofie Styrssonie, że dużo trzeba, by Toke Graagullsson coś takiego przyznał.

– To dar – powiedział Olof – choć może prawda, że rzadki. Nauczyłem się tego jeszcze jako młody chłopak bez większego trudu. Nigdy jednak nie umiałem nauczyć tego kogoś innego.

Wieczorem, gdy rozłożyli się na nocleg na brzegu rzeki, dużo mówiono w obozowisku o tym spotkaniu i zastanawiano się, co to będzie, gdy Ostrogoci dopadną Gutów.

– Choć są wściekli, nie mogą napaść jedną łodzią na trzy – rozważał Toke. – Pewnie popłyną za nimi do ujścia rzeki, licząc na burzliwą pogodę na morzu. I gdyby wtedy łodzie Gutów zostały rozpędzone na cztery wiatry, Ostrogotom łatwiej będzie do nich się dostać. Ale z Gutami czeka ich ciężka przeprawa.

– Ostrogoci to ludzie niebezpieczni – mówił Orm. – Byli z nami w wyprawie Thorkela Wysokiego do Anglii. Są dzielnymi wojownikami, ale sami uważają się za najdzielniejszych z wszystkich. Dlatego trudno im żyć w zgodzie z innymi i mało się też o to starają. Weselą się tylko po pijanemu, na trzeźwo natomiast kiepsko znoszą żarty. A już najgorzej, gdy sądzą, że ktoś się z nich śmieje ukradkiem. Wtedy wolą już raczej natknąć się prosto na grotty oszczepów. Toteż wystawimy tej nocy dobre straże, bo mogą się rozmyślić i wrócić, by na nas napaść.

Ale nic takiego nie zaszło. I pokrzepieni na duchu spotkaniem z pobratymcami, powiosłowali dalej, zapuszczając się coraz bardziej w głąb bezkresnego kraju.

Dotarli do miejsca, gdzie spieniona woda burzyła się, spływając po wielkich kamieniach. Tam wyciągnęli łódź na ląd i opróżnili ją z wszystkiego, po czym przeciągnęli obok porohów idąc utartym śladem i znów spuścili ją na wodę. A gdy już i całą zawartość łodzi przeniesiono tą samą drogą i ponownie załadowano, ludzie zapytali z nadzieją, czy nie czas spróbować owego tęgiego piwa przeznaczonego do użycia przy przeprawach. Ale Spof oświadczył, że tylko nowicjusze mogą tak myśleć.

– To nie jest wcale przeprawa – mówił – to tylko maleńkie przeniesienie. Jedynie przy prawdziwych przeprawach używa się tęgiego piwa.

Nieraz natrafiali na podobne miejsca i na inne, jeszcze trudniejsze. Ale Spof wciąż mówił to samo i oni zaczęli się coraz mocniej głowić, jak też będzie wyglądać ta prawdziwa przeprawa.

Co wieczora, gdy już przybili na noc do brzegu, łowili w rzece ryby i połów bywał zawsze obfity. Toteż nie cierpieli biedy, choć większość spyży, zabranej na łodzie, została już zjedzona. Mimo to siedzieli ponuro przy ogniskach, przy których piekła się ryba, odczuwając tęsknotę za świeżym mięsem. I zgodnie uważali, że od częstego jedzenia ryb człowiek robi się smutny. Zaczynali też odczuwać nadmiar ciężkiego wiosłowania, ale Spof pocieszał ich, że niebawem zobaczą dopiero, co to znaczy wiosłować.

– Ciężkie wiosłowanie – mówił – jeszcze się nawet nie zaczęło.

Synowie Sone najgorzej nie cierpieli ryb i co wieczora wychodzili na łowy. Brali oszczepy i luki i zręcznie umieli wysledzić ścieżki i wodopoje leśnej zwierzyny. Ale choć byli wytrwali i zawsze wracali do obozowiska późną nocą, długo trwało, zanim coś znaleźli. W końcu udało im się upolować łosia, którego zapędzili do jakiejś rozpadliny. Wrócili wtedy do obozu dopiero na drugi dzień o świtaniu. Rozłożyli w lesie ognisko i najedli się do syta, a mięsem, które z sobą przynieśli, niechętnie dzielili się z innymi.

Odtąd polowano jeszcze więcej. Ulf Wesoły i Svarthöfde przyłączyli się do synów Sone, a za ich przykładem poszła i reszta. Orm zły był na siebie, że nie zabrał pary swoich wielkich brytanów, które mogły im się tutaj bardzo przydać.

Pewnego wieczoru przybiegł do obozowiska zdyszany Svarthöfde wołając o ludzi i postronki. Mówił, że starczy mięsa dla wszystkich, że myśliwi zapędzili na bagna i zabili pięć wielkich zwierząt, a teraz trzeba było wielu rąk, aby je stamtąd wyciągnąć. Wszyscy pośpieszyli ochoczo na pomoc i wnet piękna zdobycz leżała już na suchym gruncie.

Zwierzęta wyglądały jak wielkie, brodate woły, lecz takich wołów Orm nigdy jeszcze nie widział.

Ale kilku z drużyny Toke wyjaśniło, że są to tury, jakie jeszcze dotąd żyją przy jeziorze Aasnen w Varend, uważane tam za święte stworzenia.

– Jutro zrobimy dzień odpoczynku i urządzimy sobie ucztę – postanowił Orm.

Była to uczta, która zadowoliła wszystkich. Wychwalali tury jako zwierzyne niezrównaną pod względem smaku i soczystości mięsa – wypili przy biesiadzie resztę zabranego z kraju piwa.

– Ale to nie szkodzi – mówił Orm – bo i tak już zaczynało kwaśnieć.

– Gdy dotrzemy do miasta Połoczan, można tam będzie kupić miód – radził Spof. – Ale nie daj się nikomu skusić do naruszenia zapasu tęgiego piwa.

Gdy się podnieśli po tym obżarstwie i wyruszyli w dalszą drogę, szczęście im sprzyjało i przez cały jeden dzień mogli korzystać z żagla. Dotarli teraz do okolic, gdzie zaczęły się znów pojawiać ślady ludzkie.

– Tu zaczyna się kraina Połoczan – mówił Spof. – Ale nie zobaczymy ich, dopóki nie dotrzemy do ich miasta. Ci, co mieszkają w puszczy, nie podchodzą do rzeki, gdy spodziewają się nieznanymi łodzi. Boją się, by ich nie wzięto na wioślarzy i nie sprzedano potem w obcych krajach.

Spof opowiadał także, że ci Połoczanie nie mieli innych bogów prócz żmij, które mieszkają w ich chatach. Ale Orm spojrział na niego bystro, mówiąc, że i on już był przedtem na morzu i nie bardzo wierzy w to opowiadanie.

Dotarli do stolicy Połoczan, Połocka, miasta okazałego, otoczonego wałem i ostrokołem. Wielu mężczyzn chodziło tam goło, natomiast nie było widać nagich kobiet. Niedawno bowiem ściągano podatki i naczelnik miasta przykazał, że żadnemu mężczyźnie nie wolno nosić odzieży, dopóki nie zapłaci tego, co winien wielkiemu księciu. Kilku z tych mężczyzn wyglądało jeszcze kwaśniej od innych. Opowiadali, że zapłacili podatki, ale i tak muszą chodzić nago, bo po uiszczeniu podatków nie pozostało im nic z odzieży. Aby poprawić swoje położenie, stręczyli żony za kaftan, a córki za parę obuwia. I dobili targu z ludźmi Orma.

Naczelnik tego miasta pochodził z rodu swijskiego i zwał się Faste. Przyjął ich uprzejmie, ciekaw usłyszeć nowiny. Był to mąż podeszły w latach, który długo służył wielkiemu księciu. Trzymał w domu połoczańskie kobiety i miał z nimi wiele dzieci. A gdy sobie podpił, mówił językiem Połoczan lepiej niż swoim własnym. Od niego zakupił Orm miód i wieprzwinę w polciach oraz wszystko, czego potrzebował.

Gdy mieli już wyruszyć w dalszą drogę, Faste przyszedł do Orma z prośbą, aby zabrał z sobą jego pisarza, który udawał się do Kijowa z koszem uciętych głów. Wielki książę lubił gorliwych horodniczych, a szczególnie cieszył się, gdy mu przysyłali ścięte głowy zbrodniarzy. Ostatnio jednak nikt się nie wybierał do Kijowa i Faste nie chciał przepuścić nadarzającej się obecnie sposobności. Pisarz jego był to młody człowiek z Kijowa. Zabierał z sobą wyprawioną owczą skórę, na której zapisane były nazwiska byłych właścicieli głów i przestępstwa, jakich się dopuścili.

Po wszystkich uprzejmościach doznanych od Faste Orm nie mógł odmówić jego prośbie, choć spełniał ją niechętnie. Głowy budziły w nim ponure myśli, zwłaszcza że już przedtem miał z czymś takim do czynienia. A przyszło mu także na myśl, że i jego własną głowę sprzedano kiedyś królowi Svenowi, choć handel ten nigdy nie doszedł do skutku. Toteż uważał kosz z obciętymi głowami za rzecz przynoszącą nieszczęście, a tak samo myślała i załoga. W letniej spiekocie dało się też zauważyć, że głowy nie były już świeże. Toteż nie zdążyli daleko ujechać, gdy ludzie zaczęli narzekać na ciężki smród. Pisarz siedział przy swoim koszu i nie wyglądało, by coś odczuwał. Rozumiał jednak mowę Normanów i sam podsunął myśl, aby kosz umocować na linie i wlec w wodzie za łodzią. Myśl ta zdobyła wielkie uznanie i zaraz też rzucono kosz za burtę, przymocowawszy go wpierw mocno postronkiem. Płynęli znów przy podniesionym żaglu i posuwali się szybko. A koło południa zawołał Svarthöfde, że kosz się urwał i gdzieś przepadł.

– Pozostaje ci tylko skoczyć do wody i szukać swoich skarbów – zwrócił się Toke do pisarza. – Inaczej źle to się może dla ciebie skończyć, dokądkolwiek się udasz.

Pisarz zmartwił się przykrym wypadkiem, lecz nie zdradzał zbyt niepokojów. Mówił, że najważniejsza jest dlań owcza skóra i dopóki ją ma, reszta nie znaczy zbyt dużo. Głównie było tylko dziewięć i przypuszcza, że będzie mógł je sobie pożyczyć u przyjaciół spośród kijowskich urzędników. Mają oni zazwyczaj pod dostatkiem zbrodniarzy, których trzeba ukarać.

– Jeden wspomaga drugiego dla miłosierdzia Boskiego – mówił. – A wszystkie głowy są jednakie.

– Więc jesteście chrześcijanami w tym kraju? – spytał Orm.

– W Kijowie to jesteśmy – odparł pisarz. – Tak bowiem nakazał wielki książę, a najlepiej robić tak, jak on sobie życzy.

Dotarli do miejsca, gdzie dwie rzeki zlewały się w jedną. Dalsza ich droga wiodła korytem prawej, zwanej Ulla. I tam dopiero zaczęło się ciężkie wiosłowanie. Prąd bowiem był tu bardziej bystry, a rzeka szybko się zwężała, często więc musieli przeciągać łódź lądem

obok niespławnych miejsc. Nastąpił teraz długi okres twardej harówki, którą odczuwali nawet najmocniejsi. I załoga z zalem wspominała dobre dni spędzone na Dźwinie. W końcu pewnego dnia Spof kazał im przybić do brzegu, mimo że słońce stało jeszcze wysoko na niebie.

– Tutaj – powiedział – zaczyna się wielka przeprawa.

Na miejscu tym leżało porzucane drzewo pozostawione tam przez podróżników zdążających z przeciwnej strony. Były to kawałki desek i okrągłaki oraz coś w rodzaju z gruba ciosanych płóz. Część ich nadawała się do użytku, to zaś, czego brakło, załoga musiała wyciosać ze zwalonych drzew. Wyciągnięto łódź na brzeg i po wyłożonej ciesiołce przymocowano do łodzi płozy z przodu i z tyłu po obu stronach stępki. W czasie tej roboty z położonego opodal lasu wysunęło się paru ludzi i przystanęło z ociąganiem. Spof ucieszył się na ich widok. Zaraz zaczął do nich machać ręką, po czym podniósł w górę dzban, wykrzykując przy tym, jak umiał w ich języku. Były to tylko dwa słowa – woły i srebro. Ludzie podeszli bliżej. Zaproszono ich, aby się napili, a pisarz bardzo się teraz przydał, bo potrafił się z nimi rozmówić.

Woły były do wynajęcia, ale tylko dziesięć sztuk, choć Spof wolałby więcej. Znajdowały się na pastwisku głęboko w lesie, gdzie nie mogli ich znaleźć ani rabusie, ani poborcy podatków. Ich właściciele obiecywali, że przyprowadzą je za trzy dni. Zapłata, której żądali, nie była duża, i bardziej niż w srebrze woleli otrzymać ją w płótnie żaglowym, ponieważ ich kobiety lubiły pasiaste tkaniny. Żądali jednak, aby im także obiecano należne odszkodowanie, na wypadek gdyby któryś wół padł. A Orm uznał ich żądania za uzasadnione, co mu się dotychczas nie zdarzyło w tej wyprawie.

Wzięli się teraz pilnie do ciesiołki. Sporządzili szeroki wóz o mocnych krążkach dębowych zamiast kół. Załadowali na niego beczki z tęgim piwem i silnie je przymocowali. Umieścili tam także resztę ładunku z łodzi.

Ludzie z wołami przyszli tak, jak obiecali. I gdy wszystko już było gotowe, zaprzężono dwa woły do wozu, pozostałe zaś do łodzi.

– Gdybyśmy mieli jeszcze trzy pary wołów – mówił Spof – wszystko byłoby w porządku. A tak musimy pomagać przy przeciąganiu. Bądźmy jednak wdzięczni za to, cośmy dostali, bo bez pomocy wołów gorsze to od wszystkiego, co człowieka może spotkać.

Zaczęła się przeprawa. Naprzód szło kilku ludzi, którzy usuwali z drogi przewrócone drzewa i wyrównywali ślad. Potem jechał wóz. Woły, które go ciągnęły, prowadzono z całą ostrożnością, a gdy z kół zaczynało dymić, smarowano osie sadłem i smołą. Z tyłu sunęła łódź, którą oprócz wołów ciągnęło na postronkach wielu ludzi z załogi. Gdy ślad prowadził

w dół lub szedł po murawie i mchu, woły wlokły swój ciężar same. Kiedy jednak wznosił się pod górę, ludzie musieli ciągnąć co siły, a w szczególnie ciężkich miejscach trzeba było podkładać pod płozy okrągłaki. Poganiacze wołów przemawiali przez cały czas do swoich zwierząt, a chwilami śpiewali im piosenki, przy których chętnie ciągnęły. Ale gdy Orm spróbował rozmawiać z nimi tak, jak to zwykł robić z wołami u siebie w domu, nie było z tego żadnego pożytku, ponieważ woły nie rozumiały tego, co mówił. Ludzie dziwowali się temu wielce, biorąc to za dowód, iż woły to zwierzęta o wiele mądrzejsze, niż przypuszczali dotychczas. Były bowiem w tym podobne do ludzi, którzy także nie rozumieją obcej mowy.

Męczył ich wielce upał, harówka i ustawiczne bieganie przy podkładaniu okrągłaków. Pracowali jednak niestrudzenie, bo ogromną pociechą dla nich było to, że widzieli przed sobą wóz z tęgim piwem. Robili więc, co się dało, aby dotrzymać mu kroku. Gdy tylko rozłożyli się wieczorem na odpoczynek, zaczęli się domagać tęgiego piwa. Ale Spof oświadczył, że ten pierwszy dzień był dosyć lekki i że na razie wystarczy jeszcze miód kupiony od Faste. Pili zrędcząc i szybko pozasypiali, a następny dzień był jeszcze cięższy. I po południu wielu z nich zaczęło słabnąć. Ale Orm i Toke dodawali im otuchy, a chwilami sami brali się do roboty dla przykładu. Gdy zapadł wieczór tego drugiego dnia, Spof zawyrokował w końcu, że nadeszła chwila na tęgę piwo. Otwarli jedną beczkę i każdemu wymierzono godziwą miarę. I choć wszyscy kosztowali tego piwa na postoju w mieście Gutów, Vi, orzekli zgodnie, że dopiero teraz w pełni zrozumieli, jakie jest znakomite, i że dobra to nagroda za trudy i mozoły. Orm nakazał, aby dać po miarce także i poganiaczom wołów. A ci pili z radością i natychmiast sobie podchmielili i dużo śpiewali, bo byli przyzwyczajeni tylko do słabego miodu.

Trzeciego dnia przeprawy dotarli rychło do długiego i wąskiego jeziora, położonego między dwoma łańcuchami górskimi. Tu czekało ich trochę wytchnienia. Wóz ciągniony przez woły poszedł dalej łądem, podczas gdy łódź zepchnięto na wodę razem z płozami. Po czym przy łagodnym wietrze pozęglowali przez jezioro i zatrzymali się przy jego przeciwległym brzegu. Niedaleko od ich obozowiska, na zboczu spadającym w stronę jeziora, leżała wioska, poniżej której rozciągały się bujne pastwiska. I choć jeszcze daleko było do zmierzchu, zobaczyli, jak z pastwiska spędzają do wsi tłuste bydło. Wioska sprawiała wrażenie dużej osady. Chroniło ją obwałowanie, które wyglądało dziwnie, gdyż miejscami stanowił je wysoki wał ziemi i głazów, podczas gdy w wielu innych miejscach wznosił się tylko częstokół z grubych pni, na pozór nietrudny do pokonania.

Wśród załogi panował dobry duch, był to bowiem najlepszy dzień, jaki mieli od długiego czasu. A na widok bydła poczuli znowu pragnienie świeżego mięsa. Ani Orm, ani Olof jednak

nie chcieli wydawać srebra na zakup mięsa, uważając to za niepotrzebne po wszystkich wydatkach, jakie dotąd mieli. Ale wielu z załogi, którzy nie potrafili się poskromić, postanowiło mimo wszystko zabrać z wioski to, czego chcieli. Pisarz wyjaśnił, że ci, co mieszkają w tych okolicach, to dzicy ludzie ze szczepu Dregowiczów, jeszcze nie obłożeni podatkami. Można – jak mówił – robić z nimi, co się komu żywnie podoba. A Spof powiedział, że gdy był tu poprzednim razem, przed siedmiu laty, wioska znajdowała się dopiero w budowie. Wtedy jednak nie widać tam było bydła, więc osiedleńców zostawiono w spokoju. Orm oznajmił ludziom, że nie wolno im zabijać niepotrzebnie nikogo z wioski ani zabierać więcej bydła, niż potrzeba, po czym ci, co chcieli mięsa, poszli. A najgorliwsi byli synowie Sone, bo od czasu, gdy podróżowali w górę rzeki Ulli, skończyły się z powodu wielkich trudów wieczorne łowy.

Niedługo potem przybyli do obozowiska ci, którzy ciągnęli drogą lądową. A gdy poganiacze wołów dowiedzieli się od pisarza, że ludzie poszli do wioski, aby zabrać stamtąd bydło, zaczęli pokładać się ze śmiechu. Orm i wszyscy inni dziwili się, co ich tak rozweseliło, a pisarz na próżno na nich ryczał, aby się czegoś dowiedzieć. Odpowiedzieli tylko, że niedługo wszyscy sami zobaczą, po czym zaczęli śmiać się na nowo.

Nagle od wioski rozległy się dzikie krzyki i na zboczu ukazała się cała gromada tych, co się wybrali po bydło. Biegli co sił w nogach, opędzając się rękami i krzycząc, choć nie było widać nic oprócz nich samych. A paru upadło wijąc się na ziemi i zostało bez ruchu. Inni jednak dopadli jeziora i powskakiwali do wody.

Cały obóz patrzył na nich zadziwiony.

– Czyżby uciekali przed diabłami lub zjawami? – spytał Orm.

– To muszą być pszczoły – rzekł Toke.

Było jasne, że miał słuszność, i wszyscy zaczęli się teraz śmiać tak jak poganiacze wołów, którzy wiedzieli to od początku. Ścigani musieli przez dobrą chwilę siedzieć w jeziorze, dopóki pszczoły się nie zmęczyły i nie odleciały z powrotem do wioski. Wrócili do obozowiska markotni i z popuchniętymi twarzami. Siedzieli potem bez słowa, uważając, że okryli się hańbą uciekając przed pszczołami. Ale najgorsze było to, że z tych, co przewrócili się na zboczu, trzech leżało bez życia. Byli to dwaj ludzie Olofa i jeden z synów Sone. Zapanowała żałoba, bo zdatni to byli mężowie. A Orm oświadczył, że będą tego wieczoru pić tęgie piwo ku pamięci zmarłych i aby pokłuci przez pszczoły szybciej przyszli do zdrowia.

Poganiacze wołów opowiadali teraz o Dregowiczach, a pisarz tłumaczył ich słowa.

– Ci Dregowicze – mówili poganiacze – chytrzejsi są od innych ludzi i znaleźli sposób, aby móc żyć w swoich wioskach w spokoju. Posiadają oni wiele pszczelich rojów, które żyją w pniach częstokołu. I gdy tylko jakiś obcy dotknie pni lub próbuje przez nie przeleźć, pszczoły wylatują i tną. I to szczęście, że ludzie wybrali się do wioski w dzień, gdyż w nocy dostałoby im się jeszcze gorzej. Pszczoły bowiem strzegą wioski tylko w dzień, gdyż w nocy śpią. Toteż mądrzy Dregowicze trzymają także niedźwiedzie, które chwytają za młodu i tresują, dobrze się z nimi obchodząc. I gdy rabusie przychodzą w nocy, spuszczone na wolność niedźwiedzie rozrywają ich na strzępy, po czym powracają do swoich panów, aby dostać w nagrodę plastry miodu. Toteż nikt – nawet okrutni urzędnicy ściągający podatki dla wielkiego księcia – nie waży się dobierać do wiosek Dregowiczów.

Zatrzymali się tam także następnego dnia i pogrzebali zmarłych. Kilku z załogi chciało, aby dla zemsty podpalić wioskę, ale Orm surowo tego zakazał, ponieważ nikt z wioski nie podniósł ręki na zmarłych, którzy byli sobie sami winni. Największe jednak zmartwienie mieli z pociętymi przez pszczoły, gdyż byli oni ciężko chorzy. Ale poganiacze wołów poszli do wioski i zachowując bezpieczną odległość wołali do jej mieszkańców, a po chwili wrócili prowadząc z sobą trzy stare kobiety. Te obejrzały pociętych przez pszczoły, po czym przyłożyły im maść składającą się z węzowego sadła, kobiecego mleka i miodu z dodatkiem soku z leczniczych ziół, a chorzy zaraz poczuli się lepiej. Orm dał kobietom piwa i srebra, a one piły skwapliwie, dbając, aby nie uronić ni kropelki, i dziękowały mu pokornie. Pisarz rozmawiał z nimi, one zaś patrzyły na niego poważnie, po czym dygnęły i odeszły z powrotem do wioski.

Po chwili nadeszło stamtąd kilku chłopów wiodąc z sobą trzy świnki i dwa młode wołki. Pisarz wyszedł im na spotkanie, oni jednak odsunęli go na bok i stanąwszy przed Ormem i Olofem, zaczęli coś namiętnie mówić. Pisarz przysłuchiwał się temu stojąc obok, nagle jednak wydał głośny okrzyk i pobiegł w kierunku lasu. Nikt nie mógł zrozumieć mieszkańców wioski oprócz poganiaczy wołów, ci zaś niewiele tylko znali słów normańskich. Ale z zachowania się mówiących i ich gestów jasne było, że Dregowicze chcą ofiarować Ormowi świnię i wołki w zamian za pisarza, którego chcieli puścić między swoje niedźwiedzie, gdyż bardzo nie lubili ludzi wielkiego księcia. Orm nie mógł przychylić się do ich życzenia, ale kazał im dać piwa i zapłacić za bydło i świnię, po czym rozstali się w wielkiej zgodzie. Później w ciągu dnia przyszły znowu stare kobiety przynosząc wielkie oselki sera, które wymieniły za dobrą miarkę tęgiego piwa dla każdej. Normanowie, zajęci pieczeniem mięsa, uznali, że wszystko poszło lepiej, niż się tego można było spodziewać.

Szkoda tylko – mówili – że te, co tu przybyły, to stare baby, a nie młode kobiety. Ale Dregowicze nie wypuszczali tych ostatnich ze wsi.

Pod wieczór wrócił z kryjówki w lesie pisarz, zwabiony swądem pieczeni. Zależało mu, aby co prędzej stąd wyruszyć – od tych dzikich, jak ich nazywał, ludzi. I groził, że doniesie wielkiemu księciu, jak Dregowicze się zachowują.

Pociągnęli dalej i doszli do jeszcze jednego jeziora, większego od poprzedniego. A siódmego dnia dotarli do rzeki, którą Spof nazywał Rzeką Bobrów, poganiacze wołów zaś Berezyną. Na jej widok wielka radość zapanowała wśród załogi. Tam też wypili ostatek tęgiego piwa, gdyż trudy przeprawy były już za nimi.

– Nie mamy już wcale piwa na podróż powrotną – rzekł Orm do Spofa.

– To prawda – odrzekł Spof – ale jest ono potrzebne tylko w jedną stronę. Bo z ludźmi jest tak jak z końmi. Gdy droga wiedzie do domu, ciągną chętnie i nie potrzebują podniety.

Zapłacili poganiaczom wołów, i to więcej, niż żądali. Bo Orm bywał co prawda często skąpy wobec kupców, których przeważnie uważał za rodzaj rabusiów lub coś jeszcze gorszego, nigdy jednak nie skąpił ludziom, którzy oddali mu dobre usługi. Ponadto czuł już, że znajduje się bliżej złota Bułgarów. Poganiacze wołów z wdzięczności za to, zanim odeszli w swoją drogę, udali się ze Spofem i Toke do pobliskiej wioski, gdzie pomówili z ludźmi w sprawie wynajmu wołów w drodze powrotnej. A Orm polecił zrobić kryjówkę, gdzie złożono nadające się do użytku drzewo. Trzy pary płóz zużyli do szczętu w czasie przeprawy. Wóz zaś zabrał Orm w dalszą drogę, mógł im się bowiem jeszcze przydać przy porohach.

Płynęli teraz w dół rzeki, mijając chatki rybaków i bobrowe groble, i ciesząc się, że podróż idzie im tak gładko. Rzeka toczyła swe czarne, błyszczące fale wśród bujnego liściastego lasu, a Normanowie uważali, że ryby z niej smakują lepiej niż te, które łowili w Dźwinie. Do wiosła nie trzeba było teraz wielu ludzi. Reszta siedziała wygodnie i w spokoju, opowiadając sobie różne gadki i zastanawiając się, czy cała ta wyprawa obejdzie się bez walki.

Rzeka rozszerzała się coraz bardziej, aż wreszcie dotarli do Dniepru. Orm i Toke zgodnie orzekli, że nawet największe rzeki w Andaluzji nie mogą się z nim mierzyć. A Olof Motyl dodał, że z wszystkich rzek jedynie Dunaj jest większy. Tylko Spof uważał, że największa z wszystkich jest Wołga, i dużo opowiadał o wyprawach, w jakich poprzednio brał udział.

Spotkali cztery łodzie, które przedzierały się, ciężko wiosłując, w górę rzeki, i rozmawiali z ich załogą. Byli to kupcy z Birki w drodze do domu z Krymu. Zmęczeni, opowiadali, że handel był korzystny, ale droga powrotna okropna. Przy porohach musieli

stoczyć bój i stracili wielu ludzi. Albowiem Pieczyngowie posunęli się na zachód, prowadzili wojnę przeciw wszystkim i usiłowali zamknąć żeglugę na rzece. Kupcy ostrzegali, że nikt nie powinien udawać się Dnieprem na południe dalej niż do Kijowa, dopóki Pieczyngowie nie odejdą od rzeki i nie pociągną znowu na swoje wschodnie dzierżawy.

Nowiny te zaciekały Orma wielce i po rozstaniu się z kupcami długo siedział milcząc, pogrążony w zadumie.

VII.

O TYM, CO SIĘ WYDARZYŁO PRZY POROHACH

Owego wieczoru zatrzymali się na noc w pobliżu wioski, gdzie można było kupić barany i miód.

Gdy się już najedli, Orm zasiadł z Olofem i Toke do narady nad wiadomościami, które usłyszeli, i aby zastanowić się, jak najlepiej wszystkim pokierować teraz, kiedy zaczynają się już zbliżać do swego celu. Aby móc mówić swobodnie i bez słuchaczy, udali się do pustej łodzi i zasiedli tam społem w wieczornej ciszy. Panny wodne igrały na powierzchni wody, a rzeka cicho pluskała wokół łodzi.

Orm żalił się, że gnębi go wiele zmartwień.

– Jestem w takim położeniu – mówił – że jeśli mamy doprowadzić naszą wyprawę do pomyślnego końca, musimy ułożyć mądry plan. Oprócz mnie i was – no i obu chłopców, którzy umieją trzymać język za zębami – nikt nie wie, gdzie się znajduje skarb. Załoga wie tylko, że jedziemy do Kijowa, aby odebrać spadek, i nawet Spofowi nie powiedziałem nic więcej. Ale obecnie musimy im niedługo powiedzieć, że udajemy się do porohów i że to tam ukryty jest ów spadek. Jeśli jednak im to powiemy, to zaraz po przybyciu do Kijowa dowie się o tym całe miasto. Bo ludzie, którzy piją w wielkiej przystani, nie potrafią zachować niczego w tajemnicy dłużej niż do trzeciego dzbana, nawet gdy za gadulstwo grozi kara śmierci. A jeśli o naszej sprawie dowie się wielki książę i jego urzędnicy, wtedy nieszczęście gotowe. Albowiem natychmiast znajdzie się wielu takich, co zechcą dzielić się z nami srebrem i złotem albo jeszcze chętniej zabić nas i zachować skarb wyłącznie dla siebie. A na dodatek do tego wszystkiego mamy jeszcze Pieczyngów, którzy czyhają przy porohach.

Olof i Toke przyznali, że wiele rzeczy wymaga namysłu. A Toke pytał, jak daleko jest z Kijowa do porohów i czy po drodze można dostać żywność.

– Z Kijowa do porohów jest dobrych dziewięć dni drogi – odrzekł Olof. – Ale lepiej ode mnie może o tym powiedzieć Spof. Wtedy, gdym tutaj podróżował, wymieniliśmy sobie żywność od nadbrzeżnych pastuchów, a także zabraliśmy niemało w jednej bogatej wiosce u Siewierzan. Ale teraz, gdy czasy są niespokojne, może z tym być inaczej.

– Niemądrze byłoby zatrzymać się w Kijowie, nie powiedziawszy ludziom, jak naprawdę sprawy stoją – mówił Toke. – Bo dużo tam pokus i wielu mogłoby odmówić dalszej podróży, gdybyśmy wciąż mówili, że tylko Kijów jest naszym celem.

– Najgorsze to to, że wielki książę natychmiast zechce wziąć do służby wielu z naszych ludzi, a najchętniej nas wszystkich – rozważał Olof. – Służyłem u księcia Włodzimierza i wiem, jak to bywa w Kijowie. Dobry żołd płaci on zawsze, a jeśli prowadzi teraz wojnę, to płaci pewnie lepiej niż zwykle. I nigdy mu nie dość Normanów w drużynie. Uważa ich bowiem za najlepszych wojów – co jest prawdą – i wielce ich miłuje od czasu, gdy Swijowie dopomogli mu kiedyś za młodu zdobyć tron książęcy. A wiele ma sposobów, aby skłonić Normanów do pozostania w Kijowie, jeśli nawet nie dadzą się natychmiast skusić jego złotem. Orm kiwnął głową i zamyślony wpatrywał się w wodę.

– Dużo przemawia przeciw temu, abyśmy odwiedzili wielkiego księcia Włodzimierza – odezwał się po chwili – Mimo to rozgłos jego jest tak wielki, a jego mądrość tak słynna, że przykro byłoby przejeżdżać obok i go nie zobaczyć. Być może, jest podobny do samego Króla Haralda. I mówią, że obecnie w starości uważany jest za świętego, choć przez długi czas trudno mu było tego dopiąć. My jednak musimy myśleć przede wszystkim o tym, co najważniejsze. Jeden mamy cel, a jest nim zabranie skarbu. A gdy go już znajdziemy, wtedy celem naszym stanie się bezpieczne przewiezienie go do domu. Toteż myślę, że wszyscy jednego jesteśmy zdania, że najlepiej płynąć prosto do porohów.

– Tak jest – rzekł Toke. – Mimo to dobrze byłoby może wysłuchać jeszcze rady Spofa. Zna on drogę najlepiej z nas, a być może wie także trochę więcej od nas o tych Pieczyngach.

Przyznali mu słuszość i przywołali Spofa. A Orm opowiedział mu o skarbie.

– Nie mówiłem ci o tym nic przedtem, bo cię jeszcze wtedy nie znałem – tłumaczył. – Teraz jednak wiem, żeś dobry chłop pod każdym względem.

– Dłuższa to będzie droga, niż myślałem – rzekł Spof – a także bardziej niebezpieczna. Mówiłeś, że zapłata, której zażądałem, jest wysoka. Ale gdybym wiedział, że mamy płynąć aż do porohów, kosztowałoby cię to jeszcze drożej.

– Nie zostaniesz oszukany przy zapłacie. Za drogę do porohów możesz doliczyć tyle, ile uznasz za stosowne. I mówię ci też, biorąc na świadków Toke Graagulleessa i Olofa Styrsa, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostaniesz i ty swoją część skarbu. A będzie to pełny udział sternika.

– W takim razie jestem zadowolony – odrzekł Spof. – My, Gutowie, czujemy się najlepiej wtedy, gdy wiemy, na jakie zyski możemy liczyć.

Rozważywszy to wszystko i Spof także doradzał, aby udać się prosto do porohów.

– O żywność nie ma obawy – mówił. – Jest nawet tańsza tam w dole rzeki. Sam byłem przy tym, jak za szeroki topór dawano pięć tłustych świń i worek prosa na dodatek. Mamy teraz przed sobą aż do Kijowa, a i dalej, same bogate wsie i możemy w nich dostać tyle

żywności, aby starczyło na drogę do porohów i z powrotem. I najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli kupować to, czego będziemy potrzebowali, tak jak robiliśmy dotychczas, jeśli naturalnie starczy ci na to srebra. Bo niemądrze byłoby zabierać coś gwałtem w drodze w dół rzeki, gdyż łatwo może się to zemścić, kiedy będziemy wracać tą samą drogą.

Orm odpowiedział, że błąka mu się jeszcze w pasie trochę srebra, choć większość tego, co zabrał, już wydał.

– Najgorsza sprawa z Pieczyngami – ciągnął dalej Spof. – Być może, że będziemy zmuszeni zapłacić im za wolną drogę. Ale możliwe też, że nie zechcą nas w ogóle puścić. I byłoby dobrze, abyś mi powiedział, na którym brzegu znajduje się skarb i jak głęboko wśród porohów.

– Skarb leży po wschodniej stronie – rzekł Orm – między drugimi a trzecimi porohami, licząc od południa. Ale dokładnego miejsca nie dowie się ode mnie nikt, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

– To spory kawałek drogi od początku przeprawy – orzekł Spof. – Najlepiej, żebyśmy tam poszli nocą. Ale byłoby też dobrze mieć z sobą kogoś, kto rozumie mowę Pieczyngów, w razie gdyby doszło do przyjaznej rozmowy z nimi. Na to jednak nie ma rady.

– Jest na to rada – sprzeciwił się Toke. – Zabierzemy z sobą do porohów pisarza wysłanego przez Faste. Wystarczy, gdy dotrze do Kijowa w drodze powrotnej. I jeśli wdamy się w rozmowę z tymi Pieczyngami, to zawsze znajdzie się wśród nich ktoś, kto zrozumie jego mowę, nawet jeśli on nie będzie rozumieć ich języka.

Na tym narada się zakończyła. Następnego dnia rano, przed wyruszeniem w dalszą drogę, Orm przemówił do załogi. Powiedział im, że udadzą się w dół rzeki, dalej niż do Kijowa – do miejsca, gdzie jest ukryty spadek po jego bracie.

– Może tam dojść do walki – mówił. – I jeśli wtedy okażecie swoją dzielność i spadek dostanie się w moje ręce, przypadnie wam może coś do podziału oprócz sówitej zapłaty, którą wam już obiecałem.

Ludzie nie mieli dużo do powiedzenia. Tylko synowie Sone mruzcili między sobą, że dwóch z nich tam zginie i że woleliby dostać piwo w miejsce słodkiego trunku, jaki piją w tym kraju, a to, aby móc się bić z pełnymi siłami.

W dole rzeki wstępowali nieraz do wiosek Polan, gdzie panowała duża zamożność. Orm kupował tam żywność i picie i w końcu byli równie dobrze zaopatrzeni, jak wtedy gdy wyruszyli z domu. A pewnego wieczoru, późną godziną, gdy mgła leżała nad rzeką, przepłynęli obok Kijowa, niewiele widząc z tego miasta.

Pisarz zaniepokoił się, gdy nie przybili tam do brzegu.

– Jak wszyscy wiecie, mam ważną sprawę do wielkiego księcia – mówił.

– Postanowiliśmy, że pojedziesz z nami do porohów – odparł Orm. – Umiesz zręcznie rozmawiać z ludźmi i możesz się nam tam przydać. W Kijowie zaś wysadzimy cię na łódź w powrotnej drodze.

Pisarz okazywał zrazu wielką obawę. Kiedy jednak Orm zaprzysiął mu na Świętą Trójcę i świętego Cyryla, że nie sprzeda go Pieczyngom i nie będzie go zmuszać do wiosłowania, uspokoił się i oświadczył, że wielki książę może poczekać.

Wioski na brzegu rzeki pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie znikły. Zaczęły się stopy, na których koczowali Pieczyngowie. Z łodzi widać było niekiedy stada owiec i koni przy wodopojach, strzeżone przez konnych pastuchów w wysokich futrzanych czapkach i z długimi dzidami w ręku. Spof uważał za dobry znak, że widzieli stada na lewym brzegu rzeki, a nie na prawym. Oznaczało to, że stan wody jest wysoki – mówił – i Pieczyngowie nie mogą przepawić swoich stad na prawy brzeg, gdyż wtedy straciliby wiele zwierząt na brodach. Odtąd łódź przybijała zawsze do brzegu po bezpiecznej stronie, ale mimo to przy każdym noclegu wystawiali czujne strażę, aby strzegły ich od napadu.

Gdy zostało im już tylko trzy dni drogi do porohów, zaostrzyli czujność jeszcze bardziej i płynęli tylko nocą. W ciągu dnia trzymali łódź w ukryciu w wysokim sitowiu, w zatoczkach na prawym brzegu rzeki. Ostatni dzień przeleżeli w ukryciu, dokąd z oddali dochodził szum piennej się na porohach wody. A gdy zapadła ciemność, podpłynęli do lewego brzegu, w miejscu gdzie zaczynał się ślad przeprawy.

Toke z dwudziestu ludźmi wyznaczeni zostali losem do strzeżenia łodzi. Mieli wypłynąć na środek rzeki i stać tam przez noc na kotwicy, dopóki nie usłyszą z brzegu znajomych głosów. Toke niechętnie zostawał w łodzi, ale musiał usłuchać, gdy los padł na niego. Orm bardzo chciał zostawić z nim Svarthöfde, ale nie zdołał postawić na swoim.

Orm i Olof Motyl z resztą załogi ruszyli śladem przeprawy, mając Spofa za przewodnika. Wszyscy uzbrojeni byli w miecze i łuki. Spof, który nieraz już odbywał tę drogę, mówił, że cel ich znajduje się za szóstymi porohami, licząc je od północy. Dostanie się tam zabierze im trzy godziny szybkiego marszu. Z trudem więc tylko zdążą wrócić przed świtem, jeśli wydobycie skarbu pochłonie trochę czasu. Wiedli z sobą wóz z poprzedniej przeprawy, aby załadować nań skarb. Zabrali też pisarza, choć temu niezbyt to się uśmiechało. Noc była bezksiężycowa, gdy wyruszyli w drogę, ale księżyc miał niebawem wzejść. I przy całym swoim niepokojem Orm rad był z tego, bał się bowiem, że w przeciwnym razie nie potrafi rozróżnić znaków wskazujących miejsce, gdzie miał znajdować się skarb.

Ale gdy księżyc wzeszedł, natychmiast przyniósł im zmartwienie. Bo pierwszym, kogo oświetlił, był jeździec w wysokiej czapie i długim płaszczu, stojący nieruchomo na wzgórku przed nimi. Na ten widok natychmiast zatrzymali się w milczeniu. W zapadlinie, w której stali, było jeszcze ciemno. Ale wyglądało, że jeździec wypatruje czegoś z ich strony, jak gdyby ostrzegły go kroki czy też skrzywienie wozu.

Jeden z synów Sone trącił Orma końcem łuku.

– Za daleko – szepnął – i trudno trafić przy księżycu. Ale wydaje nam się, że jeśli każesz, potrafimy go unieszkodliwić.

Orm wahał się przez chwilę. Po czym odmruknął, że nie zamierza pierwszy wszczynać nieprzyjaznych kroków.

Jeździec na wzgórzu wydał gwizd, który brzmiał jak krzyk czajki, i zaraz pojawił się obok niego drugi. Pierwszy jeździec wyciągnął ramię i coś powiedział. Przez chwilę trwali bez ruchu, po czym nagle zawrócili konie, zjechali ze wzgórza i znikli.

– To musieli być Pieczyngowie – rzekł Orm. – I źle teraz z nami, bo na pewno nas widzieli.

– Dochodzimy do piątych porohów – odparł Olof. – Szkoda byłoby wracać zaszedłszy już tak daleko.

– Walka z jazdą to rzecz niezbyt ponętna, zwłaszcza gdy natrą z przewagą – wahał się Orm,

– Może zostawią nas w spokoju do świtu – rzekł Spof. – Bo światło księżyca jest równie niedobre dla nich, jak i dla nas.

– Idziemy dalej – rozstrzygnął Orm.

Śpieszyli się, jak mogli, a kiedy minęli szóste porohy, Orm zaczął się rozglądać dookoła.

– Kto ma najostrzejszy wzrok, niech mi pomoże – powiedział. – Gdzieś tu ma być na rzece skałka z trzema różanymi krzakami, choć o tej porze roku róże nie kwitną.

– Tam widzę skałkę, na której rosną jakieś krzaki, ale nie wiem, czy różane – odezwał się Svarthöfde.

Zeszli w dół do rzeki i odkryli jeszcze trzy skaliste wysepki na wodzie, na których jednak nic nie rosło. A Orm znalazł szczelinę w skalnym występie, przez którą woda płynęła dokładnie tak, jak to opisywał Are.

– Jeśli potrafimy jeszcze odnaleźć miejsce, zwane wzgórzem czaszek, tośmy niedaleko od tego, czego szukamy.

Nie zabrało to dużo czasu, bo Spof wskazał na wysokie wzgórze opodal, mówiąc:

– Słyszałem, że Pieczyngowie pochowali tam jednego ze swoich wodzów. I na jego cześć zwykli na tym wzgórzu wbijać głowy na pale, gdy stoczą jakąś bitwę przy porohach.

– Śpieszmy się więc – rzekł Orm – aby nasze tam nie zawisły.

Poszedł szybko wzdłuż szczeliny aż do miejsca położonego prosto między skalistą wysepką z trzema krzewami a owym wzgórzem czaszek.

– To tu ma być skarb – oświadczył – i wnet się dowiemy, czy zrobiliśmy tę wyprawę na próżno.

Ogarnęło ich wielkie podniecenie i zaczęli mierzyć oszczepami głębokość wody w rozpadlinie.

– Rosłych potrzeba chłopów do tego połowu – rzekł Orm. – Ale namacałem tu na dnie pod skalną ścianą kupę kamieni. I tak to miało być.

Dwaj bracia z drużyny Olofa, Długi Staf i Skule, Hallandczycy z pochodzenia, najwyżsi wzrostem spośród całej drużyny, wyrazili gotowość wejścia do wody i zrobienia, co się da. Woda sięgała im po szyję, a Orm kazał zanurzyć się i odrzucać kamienie z kupy usypanej pod skałą. Wychynęli po chwili na powierzchnię z dużymi głazami w dłoniach i przez chwilę dyszeli z wytężenia, narzekając, że to ciężka robota. Ale gdy przeszła im zadyszka, znów wzięli się do dzieła. Nagle Skule krzyknął, że zaczepił palcami o coś, co nie jest kamieniem, ale że nie może tego wydostać.

– Bierz ostrożnie – radził Orm – a wprawdzie odsuń wszystkie kamienie.

– Tu też jest coś, co nie jest kamieniem! – zawołał Długi Staf podnosząc jakiś ciężar. Był to worek tak ciężki, że Staf nie mógł go porządnie uchwycić. I właśnie w chwili, gdy trzymając przed sobą dźwignął go już do połowy skalnego występu, wór pękł w połowie, ponieważ skóra, z której był zrobiony, zmurszała w wodzie. A wszyscy wydali okrzyk bólu i rozpacz, gdy rześisty strumień srebrnych monet trysnął z worka i z pluskiem wpadł do wody. Długi Staf usiłował zatkać worek twarzą i rękami, a ludzie rzucili się jeden przez drugiego, aby wydobyć go i uratować, co się da. Ale dużo z jego zawartości zdążyło się już wysypać.

– Dobrze się zaczyna – wyrzucił Orm gorzko. – To tak obchodzisz się ze srebrem? Ile tego zostanie dla mnie, jeśli tak będziesz postępował? Ale przynajmniej wiemy, żeśmy trafili do celu – dodał spokojniej – i że nikt inny tu nie trafił przed nami. Tylko uważaj z resztą, Hallandczyku! Mają tam być jeszcze cztery takie worki.

Ludzie łajali ostro Długiego Stafa, aż ten rozżłościł się i chciał wyleźć z wody, mruczając, że to nie jego wina, iż worek zmurszał. Gdyby on sam posiadał tyle srebra – mówił – i chciał

je ukryć, starczyłoby mu rozsądku, aby je zapakować w lepsze wory. A teraz niech inni staną na jego miejscu i pokażą, czy potrafią lepiej wykonać tę pracę.

Ale kiedy Orm i Olof przyznali, że nie ponosi on winy za to, co się stało, Długi Staf uspokoił się z wolna i wziął się dalej do roboty.

– Macie tu jeszcze coś – odezwał się nagle Skule podnosząc do góry przedmiot, który wydobył z wody. – I jest to cięższe niż kamień.

Była to mała miedziana skrzyneczka, zupełnie zaśniedziała i bardzo ciężka, owiązana wzdłuż i wszerz cienkimi, czerwonymi postronkami, które opieczętowano ołowiem.

– Tak, tak, skrzynki – przytaknął Orm. – Omalże o nich zapomniałem. Powinny tam być cztery takie małe skrzynki, pełne różnego kobiecego kramu. Ale całe srebro jest w worach.

Z resztą worów powiodło im się lepiej i wydobyli je na powierzchnię, niczego nie uroniwszy. Radość ich wzrastała z każdym nowym przedmiotem, który odnajdywali, i nikt już nie myślał więcej o Pieczyngach ani o tym, że czas mijał. Dwóch ostatnich skrzynek musieli szukać długo, ponieważ ugrzęzły głęboko w żwirze na dnie rozpadliny. W końcu jednak udało im się je odnaleźć i wszystko załadowali na wóz.

Noc kończyła się i gdy tylko znaleźli się w drodze powrotnej, ogarnęła ich znowu obawa przed Pieczyngami.

– Przyjdą, gdy zacznie się rozjaśniać – mówił Spof.

– Orm ma więcej szczęścia od innych, a i ja mam go немало – odrzekł Olof Motyl. – Być może więc, że uda nam się zupełnie uniknąć tego spotkania. Bo dużo już czasu upłynęło od chwili, gdy dwaj jeźdźcy ujrzeli nas, potem zaś nie widzieliśmy żywej duszy. Może Pieczyngowie czekają na nas na dole, przy ostatnich porohach, tam gdzie kończy się ślad przeprawy. Nie mogą przecież wiedzieć, że mieliśmy dojść tylko do połowy drogi, a potem wrócić. Toteż nie zaczną nas ścigać, dopóki nie pojmą swej pomyłki. A wtedy, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może uda nam się wrócić do łodzi przed ich pojawieniem się.

Ale słowa jego się nie sprawdziły, choć niedużo do tego brakowało. Albowiem tuż przed świtaniem, gdy znajdowali się już niedaleko od łodzi, z tyłu dał się słyszeć donośny tętent kopyt końskich i Pieczyngowie spadli na nich jak burza zesłana przez Odyna.

Orm kazał drużynie natychmiast się zatrzymać i ustawić przed wozem z łukami w pogotowiu.

Wśród wikingów panował doskonały duch i gotowi byli walczyć o srebro z Pieczyngami, choćby ich miało być nie wiadomo ilu.

– Nikomu nie damy tknąć tego wozu, dopóki choć tylko czterech z nas zostanie przy życiu – mówili spokojnie.

Ale bitność Pieczyngów była również wielka i niełatwo było z nimi walczyć. Nie atakowali ludzi Orma wprost, lecz co koń wyskoczy przelatywali obok wikingów w odległości strzału z łuku, zasypując ich chmurą strzał w chwili, gdy ich mijali. Potem skupiali się znowu i po krótkiej przerwie nadlatywali w ten sam sposób z innej strony. Drużyna Orma składała się w większości z wprawnych myśliwych i zręcznych łuczników. Odpłacali więc przeciwnikom pięknym za nadobne, wydając okrzyki radości, gdy jakiś nieprzyjaciel zlatywał z konia. Ale i strzały Pieczyngów osiągały czasem celu i po chwili Orm i Olof doszli zgodnie do wniosku, że długo w ten sposób nie wytrzymają.

W przerwie między dwoma napadami Orm przywołał Svarthöfde i Ulfa Wesołego. Obaj doznali zadrapań od strzał, ale byli dobrego ducha. Chwalili się, że każdy z nich trafił już po jednym przeciwniku. W miejscu gdzie się wikingowie zatrzymali, skały spadały w kierunku rzeki. I to było szczęściem napadniętych, bo Pieczyngowie nie mogli ich atakować od tamtej strony. Orm kazał chłopcom wślizgnąć się możliwie niepostrzeżenie między skały. Potem mieli podążyć śpiesznie wzdłuż brzegu w kierunku łodzi i wołać na Toke, przyzywając go jak najszybciej na pomoc z wszystkimi, którzy byli z nim w łodzi.

– I od was zależy teraz, czy walka się skończy szczęśliwie – mówił. – Niebawem bowiem zabraknie nam strzał.

Chłopcy, dumni, że powierzono im tak ważne zadanie, natychmiast wyruszyli w drogę. Niedługo znowu nadlecieli Pieczyngowie i przy tym ataku Olof Motyl trafiony został strzałą w pierś. Strzała wbiła się między pierścienie kolczugi i utkwiała mocno w ranie.

– Tęgo oberwałem – powiedział Olof do Orma. – Już po mnie.

Chwiał się, lecz wciąż jeszcze trzymał się na nogach. Podszedł do wozu i położył się z głową opartą o worek srebra. Leżeli tam już także i inni ranni.

Gdy Pieczyngowie nadlecieli następnym razem, ludzie Orma wypuścili ostatnie strzały. Równocześnie jednak dał się wśród nich słyszeć szmer zadowolenia.

– Już nic nam nie grozi! – wołali. – Tam oto leży Finn, syn Sone. Strzała sterczy mu z gardła i jest już nieżywy. Kolbjörn, brat jego, padł w tej chwili jako czwarty. To już wszyscy, którym było sądzone.

I tak też było istotnie. Od strony rzeki rozległy się nagle bitewne okrzyki wskazujące, że Toke wylądował na brzegu. Pieczyngom nie poszło to w smak i podczas gdy ludzie Orma gorączkowo szukali wystrzelonych strzał, które mogły się jeszcze nadawać do użytku, tętent kopyt napastników zamarł w oddali.

Orm zakazał dobijać rannych przeciwników, opuszczonych na polu walki.

– Zostawcie ich w spokoju tam, gdzie leżą – mówił. – Ich rodacy wrócą chyba, aby ich zabrać.

Swoich rannych, którzy nie mogli iść o własnych siłach, złożyli wikingowie na wozie. Siedmiu padło trupem i tych podjęli również i zabrali z sobą, aby wyprawić im uczciwy pochówek, jak będzie po temu odpowiednia chwila. Bo śpieszno im było teraz dostać się do łodzi, zanim Pieczyngowie powrócą.

Pisarz zaginął, ale gdy ruszyli wóz z miejsca, odkryli go pod nim śpiącego. Zbudzono go drzewcem oszczepu i bardzo się zeń wyśmiewano. On zaś oświadczył, że nie miał nic wspólnego z tą walką. Jest urzędnikiem podatkowym, nie chciał więc nikomu wchodzić w drogę. Ponadto zaś zmęczony był marszem. Wikingowie przyznali, że dobrze o nim świadczy, iż zasnął w czasie boju.

Niebawem spotkali się z Toke i jego oddziałem i radość z tego była wielka po obu stronach. Toke nie miał wiele kłopotu z nieprzyjacielem. Gdy tylko uderzył na Pieczyngów z wojennym okrzykiem, szyjąc z łuków, ci niemal natychmiast pierzchli. Wikingowie przypuszczali, że może także i im zabrakło już wtedy strzał.

Dochodzili prawie do łodzi, gdy Orm obejrzał się dokoła.

– A gdzież są chłopcy? – zapytał.

– Chłopcy? – zdziwił się Toke. – Byli przecież z tobą.

– Posłałem ich brzegiem rzeki, aby cię przywołali na pomoc – odrzekł Orm zmienionym głosem.

– Gdzież się mogli podziać? – zmartwił się Toke. – Słyszałem tętent koni i bojowe okrzyki i widziałem, jak Pieczyngowie nadlatują galopem i zawracają. Wtedy przybiełem do brzegu, aby iść ci na pomoc. Ale chłopców nie widziałem.

Lecz jeden z ludzi Toke oznajmił, że zanim łódź przybiła do brzegu, widział wśród skał nadbrzeżnych trzech Pieczyngów, którzy szli pieszo, wlokąc coś za sobą. Mogły to być ciała zabitych albo jeńcy. Pieczyngowie poszli w kierunku swoich koni, a potem Toke już o nich nie myślał, gdyż łódź przybiła do brzegu i zaczął się bój.

Orm stał jak oniemiały. Zdjął z głowy hełm i opuszczył go na ziemię. Potem usiadł na nadbrzeżnym kamieniu z twarzą zwróconą do rzeki i siedział bez ruchu, a nikt nie ośmielał się mu przeszkadzać.

Ludzie skupili się i szeptali między sobą, patrząc na niego, i nawet Toke stał cicho, nie umiając nic doradzić. Spof i pisarz znosili tymczasem rannych do łodzi.

Wreszcie Orm podniósł się z kamienia, podszedł do Toke i odpiął od pasa swój miecz, Blotungę. A gdy to wikingowie zobaczyli, przeszedł ich dreszcz strachu.

– Idę do Pieczyngów – odezwał się Orm do Toke. – Ty zaś czekaj na mnie z łodzią przez trzy dni. Jeśli wróci Svarthöfde, oddaj mu miecz. Jeśli nie wróci nikt, zawieź miecz do domu Haraldowi.

Toke wziął od niego Blotungę.

– To źle – rzekł krótko.

– Skarb podziel sprawiedliwie – dodał jeszcze Orm – tak jak byśmy go podzielili, gdybym żył. Niewiele przyniósł on dotąd szczęścia naszemu rodowi.

VIII.

O TYM, JAK ORM UWOLNIŁ SVARTHÖFDE I SPOTKAŁ STAREGO DRUHA

Orm zabrał ze sobą pisarza i poszli szukać na pobojuwisku. Znaleźli tam rannego Pieczynga, młodego człowieka, któremu strzała utkwiała w boku, a druga przebiła kolano. Ranny nie stracił otuchy i siedział żując kawałek suszonego mięsa, z długą drewnianą flaszką w drugiej ręce. Jego koń pał się obok niego.

Człowiek ten zrozumiał coś niecoś z tego, co mówił pisarz, i bardzo się ucieszył, gdy się dowiedział, że nie przyszli po jego głowę. Orm polecił pisarzowi powiedzieć rannemu Pieczyngowi, że pomogą mu dosiąść konia i że chcą udać się z nim razem do jego obozu. Gdy pisarz powtórzył to kilkakrotnie, Pieczyng kiwnął głową na znak zrozumienia i pokazał na swoje kolano. Strzała przebiła je na wylot i szpic beltu sterczał po wewnętrznej stronie rzepki, tak że ranny nie umiał go sam sobie wydobyć. Orm przeciął skórzane spodnie Pieczynga i wiercił przez chwilę strzałą, wprowadzając brzechwę w głąb ciała, dopóki cały belt nie wynurzył się po przeciwnej stronie tak, że można go było odciąć i wyjąć brzechwę z rany. Przez cały czas, gdy Orm to robił, Pieczyng strzelał palcami i cicho gwizdał. A gdy było już po wszystkim, przyłożył do ust flaszkę i opróżnił ją do dna. Po czym sam już wyciągnął sobie drugą strzałę.

Orm wydobył teraz garść srebra i dał ją rannemu, a ten przyjął to chętnie i twarz jego rozjaśniła się radością.

Opodal stały konie przy trupach swoich zabitych panów. Uciekały, gdy Orm i pisarz próbowali się do nich zbliżyć, ale gdy Pieczyng zawołał na nie specjalnym jakimś dźwiękiem, podeszły do niego i dały się złapać.

Pomogli rannemu wdrapać się na konia. Ten zaś położył zranioną nogę przed sobą na siodle, aby mu nie przeszkadzała.

Pisarz nie miał ochoty im towarzyszyć, ale Orm rozkazał mu iść z sobą.

– Jeśli będziesz się wzbraniał, ukrećę ci kark – dodał. – To ja zostanę ich jeńcem, a nie ty.

Pisarz mruczał, że urzędnik podatkowy nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, ale mimo to usłuchał i więcej nie było już o tym mowy.

Wjechali w królestwo Pieczyngów. Orm opowiadał później, że gorszego kraju długo trzeba by szukać, a i to może nie udałoby się znaleźć. Nie było tam bowiem ani lasu, ani wody, ani zwierząt, ani ludzi, lecz jak okiem sięgnąć dokoła, trawa i trawa, i pusta przestrzeń.

I tylko czasem pojawiały się jakieś wielkie szczury, przemykające między kępami trawy. Pieczyng zatrzymywał dwukrotnie konia i wskazywał na ziemię, rozmawiając z pisarzem, jak się dało, a ten zląził z siodła i zrywał zioła wskazane przez rannego. Miały one szerokie liście, którymi Pieczyng okładał sobie kolano przymocowując je cięciwą łuku. I wyglądało, że łagodzą one ból w ranie, gdyż jechał potem dalej, nie odczuwając znużenia.

Kiedy słońce stanęło w połowie drogi do zenitu, dotarli do obozu Pieczyngów, leżącego w jarze, przez który przepływał strumyk. Wzdłuż strumienia stały setki namiotów. Gdy nadjechali, psy i dzieci podniosły ogromny zgiełk i obóz zaroił się od ludzi i koni. Ranny jechał dumnie ze swymi jeńcami, a gdy mu dopomóżono przy zejściu z konia, pokazał srebro, które otrzymał, wskazując przy tym na Orma.

Orm kazał pisarzowi oznajmić, że chce rozmawiać z wodzem Pieczyngów. Zrazu wyglądało na to, że nikt nie pojął słów pisarza, w końcu jednak nadszedł jakiś krzywonogi mężczyzna, który go zrozumiał i umiał mu odpowiedzieć w jego własnej mowie.

– Powiedz mu – rzekł Orm – że obaj moi synowie, bardzo młodzi chłopcy, dostali się ubiegłej nocy do niewoli w czasie boju przy porohach. Jestem hövdingiem i przychodzę, aby ich wykupić. A przychodzę bez broni, aby okazać moją przyjaźń i uczciwość.

Krzywonogi pogładził z namysłem swe długie wąsy i rozmawiał przez chwilę z rannym Pieczyngiem, który ich przyprowadził do obozu. Orm uważał, że paplanina ta przypomina raczej hukanie sowy niż ludzką mowę. Mimo to wyglądało, że rozumieją się bez trudności. Wielu z tych, co ich otaczali, szczyrzyło do Orma zębami w szerokim uśmiechu i wyjmując noże przeciągało nimi po szyi. Najgorsza to była chwila – jak opowiadał później Orm – gdyż mogło to znaczyć, że poderżnęli już gardła swoim jeńcom. Ale pocieszał się nadzieją, że zamierzali tak zrobić raczej tylko z nim samym. A to wydawało mu się mniejszym zmartwieniem, gdyby tylko udało się uratować Svarthöfde, powiedział więc do pisarza:

– Zapytaj go, czy obaj jeńcy żyją.

Krzywonogi kiwnął głową i wywołał trzech mężczyzn, aby wystąpili naprzód. Byli to ci, którzy mieli jeńców w swoich rękach. Orm zwrócił się znów do pisarza:

– Powiedz im tak: „Chcę wykupić jeńców za wiele srebra. To moi synowie”.

Trzej mężczyźni zaczęli coś bełkotać, ale krzywonogi kazał Ormowi i pisarzowi iść z sobą do wozów. Poszli więc w kierunku trzech namiotów, większych od pozostałych, i weszli do środkowego z nich.

Trzech starców z ogolonymi głowami, odzianych w futra, siedziało na owczych skórkach na ziemi, na skrzyżowanych nogach, jedząc owsiany kleik z wielkiej, glinianej miski. Krzywonogi zatrzymał się przy wejściu, dając znak Ormowi i pisarzowi, aby zachowywali się

cicho. Starcy jedli z godnością, dmuchając na łyżki i cmokając z zadowoleniem. Gdy miska się opróżniła, oblizali łyżki i schowali je w zanadrze, po czym udali, że dopiero teraz zauważyli przybyszów.

Jeden z nich skinął na krzywonogiego. Ten skłonił się i zaczął mówić, a wodzowie Pieczyngów, czkając po jedzeniu, obojętnie mu się przysłuchiwali.

Ten, który siedział w środku, mniejszy był od obu pozostałych i miał bardzo duże uszy. Przekrzywił głowę i patrzył pilnie na Orma. Krzywonogi skończył mówić i zapadło milczenie. Mały staruch wyskrzeczwał kilka słów, a krzywonogi skłonił się z godnością i wyszedł z namiotu, zabierając z sobą pisarza.

Wtedy mały wódz odezwał się powoli:

– Witam cię, Ormie Tostessonie! Najlepiej może, abyśmy udawali, że się z sobą nie znamy. Dawno to już zaprawdę, jak widzieliśmy się po raz ostatni. Czy żyje jeszcze Ylva, córka króla Haralda, która igrała ongiś na moich kolanach?

Orm nabrał głęboko tchu. Poznał go natychmiast, gdy tylko tamten zaczął mówić. Był to Felimid, jeden z kuglarzy króla Haralda.

– Żyje i pamięta cię dobrze – odpowiedział. – I to jej syn dostał się tu do niewoli. Oto doprawdy spotkanie, które może zadziwić i oby wyszło nam ono na dobre. Czy zostałeś wodzem Pieczyngów?

Felimid kiwnął głową potakująco.

– Gdy przychodzi starość, trzeba się zadowolić tym, co się nadarza – odrzekł. – Ale ja nie narzekam.

Powiedział coś do obu pozostałych wodzów, po czym zawołał w głąb namiotu. Weszła kobieta z wielkim dzbanem jakiegoś trunku. Puścili go kołem i szybko wypróżnili do dna. Kobieta napełniła dzban na nowo, a gdy go znowu opróżnili, obaj wodzowie podnieśli się z trudem i wyszli z namiotu.

– Poszli spać – rzekł Felimid do Orma, gdy zostali sami. – Ci ludzie łatwo się upijają, a wtedy natychmiast kładą się spać na cały dzień. To proste dusze. I teraz nikt nam nie będzie przeszkadzać. Powiedz, czy daleką masz drogę za sobą i czy jesteś głodny?

– Tak jest, jak mówisz – przyznał Orm. – Mniej się już trapię, od kiedy ciebie spotkałem, i trzech rzeczy pragnę – zobaczyć mego syna, jeść i pić.

– Zobaczysz go, gdy się umówimy co do wykupu – odparł Felimid. – Będzie cię on bowiem kosztować sporo srebra, choć jesteś moim przyjacielem, gdyż inaczej cały szczepek wpadłby we wściekłość. Ale na razie jesteś moim gościem.

Znów wydał rozkazy i do namiotu weszło sześć kobiet. Na macie, rozścielonej na ziemi, zaczęły rozstawiać jedzenie.

– To moje żony – wyjaśnił Felimid. – Może ci się to wyda za dużo dla starego mężczyzny, ale taki tu już obyczaj. A coś przecież muszę mieć, aby rozpędzić nudę, odkąd Ferdiad nie żyje i skończyła się kuglarka.

– Przykro usłyszeć to o twoim bracie – rzekł Orm. – Jak umarł? I jak się tu dostaliście?

– Jedz, a ja będę opowiadał. Sam jestem już syty. Piwa nie mamy, ale masz tu trunek, który robimy z mleka klaczy. Skosztuj! Nie jest to takie złe.

Był to napój przejrzysty, słodko-kwaśny w smaku, i Orm nie uważał, aby było co chwalić. Wnet jednak poczuł, że trunek ten jest mocny.

Mistrz Erynu zmuszał Orma do jedzenia wszystkiego, co przed nim postawiono, i wołał na kobiety, by przyniosły więcej. A podczas gdy Orm zajadał, Felimid opowiadał o swoich i swego brata przygodach.

– Jak ci to mówiliśmy rozstając się z tobą, powędrowaliśmy dalej w świat, aż doszliśmy do wielkiego księcia w Kijowie. U niego pozostaliśmy przez dwa lata, pokazując kuglarskie sztuczki ku radości wszystkich i ciesząc się wielkimi honorami. Spostrzegliśmy jednak, że zaczynamy przybierać na wadze. Przejął nas wtedy strach i znów ruszyliśmy w świat, choć bardzo nas zatrzymywano. Bo tak, jak to zamierzaliśmy od początku, chcieliśmy dostać się do cesarza w Miklagrodzie jeszcze w pełni naszych sił. Ale nie dotarliśmy tam nigdy. Przy porohach wzięli nas do niewoli Pieczyngowie. Uważali, że jesteśmy za starzy, aby był z nas jakiś pożytek, i chcieli nas zabić, a nasze głowy wbić na pał, jak to jest u nich w zwyczaju. Wtedy zaczęliśmy im pokazywać sztuczki, te najprostsze, aż z nabożnym zachwytem padli przed nami na twarz i oddali nam cześć. Ale wypuścić nas nie chcieli. I gdy potem nauczyliśmy się ich języka, wybrali nas na wodzów z powodu naszej mądrości i kuglarskich umiejętności. Szybko przywykliśmy do naszego losu, bo łatwiej jest być wodzem niż kuglarzem. Ponadto zaś od pewnego czasu zrozumieliśmy, że starość zbliża się do nas nieubłagane. I prawdą jest to, co powiedział ongiś arcybiskup Cormac Mac Cullenan: „Skończywszy pięćdziesiąt lat, mędrzec nie powinien już ani upijać się do nieprzytomności, ani szaleć z miłości w chłodzie wiosennych nocy, ani tańczyć na rękach”.

W tym miejscu Felimid pociągnął z dzbanka i kiwnął smętnie głową.

– Tak i jest – ciągnął dalej – ale zapomniał o tym pewnego razu mój brat, Ferdiad, gdy jedna z jego kobiet powiła bliźniaki płci męskiej. Wypił on wtedy dużo tego napoju z kobyłego mleka i tańczył na rękach przed całym szczeplem, podobnie jak ongiś król żydowski przed Bogiem. I w tańcu tym nagle padł i został bez ruchu, a gdyśmy go podnieśli,

już nie żył. Wielce go opłakiwałem i wciąż jeszcze opłakuję. Nikt jednak nie może zaprzeczyć, że była to śmierć godna mistrzowskiego kuglarza. Odtąd żyję w spokoju wśród tych Pieczyngów, którzy są jak dzieci i bardzo mnie szanują. I tylko rzadko robią coś wbrew mej woli, chyba że wyruszają polować na głowy. Jest to u nich stary zwyczaj i nie umieją się tego wyrzec. A teraz chciałbym posłuchać o tobie.

Orm opowiedział Felimidowi wszystko, o co tamten pytał. Ale doszedłszy do skarbu przy porohach, zastanowił się i powiedział, że składa się on tylko z trzech worów srebra. Nie chciał bowiem stracić na wykupienie Svarthöfde i Ulfa więcej srebra, niż to było konieczne. Na koniec opowiedział też o bitwie, a gdy skończył, Felimid rzekł:

– To szczęście, że twego syna i wychowanka wzięto do niewoli żywcem. A stało się tak dlatego, że są młodzi. Ci, co ich schwytali, liczyli, że dużo zarobią sprzedając ich natychmiast Arabom lub Bizantyjczykom. Toteż musisz być przygotowany na zapłacenie sporego okupu i dobrze, że masz na podorędziu ten skarb.

– Zapłacę, co uznasz za godziwe – odparł Orm – uważam to za więcej niż słuszne, że wnuk króla Haralda będzie drogo kosztował.

– Jeszcze go nie widziałem – rzekł Felimid – nie mieszam się bowiem do sprawek moich poddanych z wyjątkiem wypadków, gdy jest to konieczne. Polują oni stale przy porohach na ludzi i łupy. Ale czas już, abyśmy to załatwili.

Wyszli z namiotu i Felimid wydał rozkazy. Zbudzono dwóch innych wodzów, którzy także wyszli z namiotów. A gdy Felimid zasiadł wraz z nimi i z Ormem na stoku zagłębienia, zbiegli się Pieczyngowie z całego obozu i otoczyli ich dokoła. Przyprowadzono jeńców. Byli bladzi, a Svarthöfde miał we włosach krew. Gdy zobaczyli Orma, twarze ich się rozjaśniły. A pierwsze słowa Svarthöfde brzmiały:

– Gdzie twój miecz?

– Przyszedłem tu bez broni, aby was uwolnić – odparł Orm. – To moja wina, żeście się dostali do niewoli.

– Zaszli nas od tyłu, spomiędzy skał – powiedział Svarthöfde posępnie – i nie zdążyliśmy się obronić.

– Ogłuszyli nas uderzeniami w głowę – dodał Ulf Wesoły – i ocknęliśmy się dopiero przywiązani do końskich grzbietów.

Felimid przemówił do obu pozostałych wodzów i do wojowników, którzy wzięli jeńców do niewoli. Nastąpiły długie narady, jakiego należy żądać okupu.

– Taki jest u nas zwyczaj – powiedział do Orma Felimid – że wszyscy, którzy brali udział w boju, mają dostać swoją część okupu. Ci zaś, którzy wzięli jeńców do niewoli,

dostają podwójny udział. Powiedziałem im, żeś hövding, ale przemilczałem, że Svarthöfde jest wnukiem wielkiego króla. Wtedy bowiem okup byłby zbyt duży.

W końcu postanowiono, że następnego dnia pojedą do łodzi i za Ulfa Wesołego Orm zapłaci tyle srebra, ile się zmieści w czterech pieczyngowskich czapach. Natomiast za Svarthöfde miał Orm zapłacić tyle srebra, ile chłopak waży.

Orm uważał, że okup był wygórowany. Kiedy jednak pomyślał, co przeżył tego dnia rano, gdy się dowiedział, że Svarthöfde dostał się do niewoli, doszedł do przekonania, że jednak wszystko poszło nadszpodziewanie dobrze.

– Chłopak nie jest ciężki – pocieszał go Felimid. – Byłoby gorzej, gdybyś miał zapłacić tyle, ile sam ważysz. A syn więcej wart od srebra. Widać po nim, że to syn Ylvy. Największe moje zmartwienie to to, że sam nie mam żadnego syna. Miałem jednego, ale zmarł niemowlęciem i zostały mi same córki. Synowie Ferdiada zostaną po mnie wodzami.

U schyłku dnia przybyli do obozu Pieczyngowie, którzy wybrali się do porohów, aby pozbierać rannych. Zabitych zostawili na pobojuwisku, gdyż nie było u nich w zwyczaju kłopotać się o nich, chyba że chodziło o jakiegoś wielkiego wodza. Wysłancy wrócili wielce niezadowoleni, że ludzie Orma pozabierali swoich zabitych, gdyż w ten sposób stracili ich głowy. Uważali, że Orm ma im zapłacić także i za tę stratę.

Felimid krzyczał na nich gniewnie, że żądania te są bezpodstawne. Ale kiedy się upierali, powiedział do Orma, iż nie powinien im się zbyt ostro sprzeciwiać, gdyż zapal zbierania głów stanowi istne szaleństwo, na które nie ma żadnej rady.

Orm pomarkotniał, uważając, że ci Pieczyngowie chcą go zupełnie obedrzeć ze skóry. Ponieważ jednak znajdował się w ich mocy, nie mógł odmówić tym żądaniom. Mimo to myślał z bólem, że jego wory ze srebrem dużo stracą na wadze po wypłaceniu sowitego okupu za chłopców. A dojdzie jeszcze i to, co będzie trzeba wypłacić w udziale własnym jego ludziom. Kiedy jednak zastanowił się chwilę, znalazł radę.

– Wykupię głowy moich ludzi, jeśli mi tak radzisz – powiedział do Felimida – i zrobię to w taki sposób, że twoi ludzie zyskają więcej, niż się spodziewają. Gdy zabieraliśmy skarb, bardzo nam się śpieszyło, bo baliśmy się, że zostaniemy napadnięci przez przewyższającą siłę. Pękł przy tym jeden worek i większa część jego zawartości wysypała się do wody. Były to same piękne srebrne monety, ale w pośpiechu nie mogliśmy ich pozbierać. Toteż trzecia część skarbu leży wciąż jeszcze tam, gdzie leżała przedtem. I jeśli ludzie twoi nie boją się wody, mogą tam zdobyć wielki majątek.

Opisał miejsce, gdzie wysypały się monety, mówiąc, jak łatwo je poznać po gładzi, które leżą na skalnym występie. Felimid tłumaczył jego słowa i zanim jeszcze skończył, młodzi wojownicy rzucili się do swoich koni, aby być pierwszymi przy połowie srebra.

Aby nacieszyć się Ormem, Felimid wydał ucztę na pamiątkę dawnych dni. Wiele mówił o królu Haraldzie i o swoim zmarłym bracie, przypominając także chwile spędzone w gościnie u Orma, kiedy to obaj kuglarze pomagali ojcu Willibaldowi w nawracaniu pogan.

– Ale dziś mistrzowie Erynu skończyli swe sztuki – mówił – i nie ma już wcale dobrej kuglarki. My obaj byliśmy ostatnimi z rodu O’Flann, który wydawał królewskich kuglarzy od czasów króla Conchobara Mac Nessy. Nudzając się tutaj samotnie, próbowałem nauczyć młodzież coś niecoś z moich sztuczek, ale mi się to nie udało. Chłopcy okazali się zupełnie do niczego, a kiedy wzięłem dziewczęta i próbowałem je nauczyć tańczyć tak, jak to umieją mistrzowscy kuglarze, i one nie zdołały jakoś opanować tej sztuki, choć poważnie się wysilałem i pokazywałem im, jak to trzeba robić. Ale przyznać muszę, że dziewczęta nie są tak niezdarne jak chłopcy tego szczepu. I znalazła się nawet jedna, która robiła takie postępy, że umiała znośnie tańczyć na rękach i przygrywać sobie przy tym na piszczałkach. Ale to było wszystko. I ani jej gra na piszczałce, ani przebieranie nogami nie było takie, jak być powinno.

Splunął przed siebie i pokiwał głową.

– Choć była tylko nieudolną uczennicą – ciągnął dalej – zrobiła się od tego taka zarozumiała, że znudziło mi się na nią patrzeć i podarowałem ją Gzakowi. O tym Gzaku musiałeś chyba słyszeć, gdyż jest to jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie. Jest najwyższym wodzem wszystkich Pieczyngów i pasie swoje tabuny przeważnie na stepach Krymu. Ucieszył się wielce tą dziewczyną, bo prosta to dusza i niewiele się rozumie na takich sprawach. Gzak posłał ją później w darze cesarzowi Miklagrodu w podziękę za wielkie pieniądze przysłane mu przez cesarza na znak przyjaźni. W Miklagrodzie zaś musi być kiepsko z tańcem i kuglarką, tam bowiem tańczyła ona przed cesarzem i jego dworem i wielką zyskała sławę, aż po roku umarła z pychy. A teraz ja mam z tego powodu kłopoty. Bo w zimie Gzak przysłał do mnie gońców po dwie dalsze tancerki, chcąc znowu sprawić radość cesarzowi. Pracuję teraz nad nimi. I choć sam wybierałem je starannie, wprawiają mnie w wielkie rozgoryczenie swoją tępotą i niezgrabnością. To dla ciebie żadne widowisko, Ormie, ty bowiem widziałeś mnie i mego brata. Ale jeśli chcesz, mogłyby pokazać, co potrafią, a może widok ich ucieszy twoich chłopców.

Orm chętnie się na to zgodził i Felimid wydał odpowiednie rozkazy. Gdy to usłyszano, podniosły się radosne okrzyki i wrzawa.

– Cały szczerp jest z nich dumny – mówił Felimid – a matki ich myją je co dzień mlekiem, aby skóra ich była czysta i jasna. Ale one nie nauczą się nigdy tańczyć tak, jak należy, choćbym nie wiem jak się o to starał.

Na otwartej przestrzeni przed wodzami rozpostarto teraz dywany. Przyszli ludzie z pochodniami. Potem wystąpiły tancerki, powitane szmerem uznania całego szczerpu. Były zgrabne i wyglądały na trzynaście lub czternaście lat. Na czarnych włosach nosiły czerwone kapelusze, a na piersiach sznury zielonych szklanych paciorków. Ubrane były w szerokie spodnie z żółtego jedwabiu z kraju Sererów, związane u dołu na kostkach.

– Dawno już, jak widziałem ostatni raz tancerki – mówił Orm. – Było to jeszcze wtedy, gdy służyłem panu memu, Almanzorowi. Ale jedno wiem, że nigdy nie widział takich, które by wyglądały śliczniej od tych.

– To nie o wygląd chodzi, lecz o sztukę – odparł Felimid.

– Ale strój ich wymyśliłem ja sam i jest on zaiste godzien pochwały.

Tancerkom towarzyszyli dwaj chłopcy w tym samym co one wieku. Przykucnąwszy zaczęli grać na fletach, a obie dziewczyny skakały dokoła w świetle pochodni, do taktu, robiąc szybkie susy i dumnie się wyginając, fikając w tył koziółki i wirując szybko na jednej nodze. Wszyscy z wyjątkiem Felimida z wielkim zadowoleniem im się przyglądali. I gdy skończyły, podniosła się wrzawa radosnych okrzyków, a one również wyglądały na ogromnie zadowolone, że także i obcym podobał się ich taniec. Potem zaś spojrzały nieśmiało na Felimida. A on kiwnął im obojętnie głową i odwrócił się zaraz do Orma.

– Nic o ich tańcu nie powiem, bo zaraz by się tym zasmuciły, a wraz z nimi cały szczerp – odezwał się. – No i dziś wieczór starały się jak najlepiej, wiedząc, że przyglądają się im obcy. Największe moje zmartwienie jednak to fleciści, gdyż są oni dużo gorsi od dziewcząt. A przecież to chazarscy niewolnicy, wielce w tej sztuce ćwiczeni, a Chazarów uważa się za doskonałych flecistów. Czcze to jednak gadanie.

Zaczął się nowy taniec, lecz po krótkiej chwili Felimid ryknął gniewnie, tak że wszyscy zamarli bez ruchu.

– Szczęście miał mój brat Ferdiad, że uniknął słuchania tego! – krzyknął zwracając się do Orma. – Bo był jeszcze wrażliwszy ode mnie.

Zawołał coś do flecistów i jeden z nich podszedł, aby mu podać swój flet.

Niewypowiedziany czar pojawił się w dźwiękach fletu, gdy Felimid sam zaczął na nim grać. Było to tak, jak gdyby tchnienie jego wydobywało z fletu szczęście i radość, żarty i śmiech, piękno kobiecej urody i błysk mieczów, poranną jutrzeńkę nad jeziorem i wiosenny wiatr. Svarthöfde i Ulf kołysali się w przód i w tył i widać było, że trudno im usiedzieć

spokojnie. Obaj wodzowie po bokach Felimida kiwali błogo głowami, aż zapadli w sen. Pieczyngowie tupali nogami i klaskali w dłonie; śmieli się i płakali. A tancerki fruwały dokoła, jakby przemienione dźwiękami fletu Felimida w powiewne puszki.

Odjął wreszcie flet od ust i wachlował się z zadowoleniem dużymi uszami, jak to umiał czynić.

– To było wcale znośne – rzekł.

– Nie ma drugiego takiego mistrza jak ty – wykrzyknął Orm – i nic w tym dziwnego, że ci ludzie padli przed tobą na twarz, gdyś do nich przyszedł! Ale nikt nie potrafi zrozumieć, w jaki sposób umiesz wydobyć taki ton z tego fletu.

– To dobroć drzewa, z którego zrobiony jest flet, jeśli zrobiony jest jak należy – wyjaśnił Felimid. – Lecz zaleta ta wychodzi na jaw tylko wtedy, gdy na flecie gra ktoś, kto ma dobroć duszy, a prócz tego cierpliwość do szukania tego, co flet w sobie kryje. A dusza taka nie może być drewniana.

Podszedł pisarz i padł na kolana przed Felimidem prosząc, aby mógł dotknąć fletu. Po policzkach jego spływały łzy.

– Na co ci on? – zapytał Felimid. – Czy umiesz grać na flecie?

– Nie, nie umiem – odrzekł pisarz. – Jestem urzędnikiem podatkowym. Ale nauczę się. Zostanę u ciebie i będę grać na flecie.

Felimid wręczył mu flet, a pisarz przyłożył go do ust i zaczął dąć. Czasem udało mu się wydobyć jakiś pisk, ale przeważnie flet nie wydawał żadnego dźwięku i Pieczyngowie aż się pokładali od śmiechu na widok jego próżnych usiłowań. Ale on się nie zrażał i próbował dalej, blady, z wytrzeszczonymi oczyma, a Felimid wpatrywał się w niego poważnie.

– Czy coś widzisz? – zapytał.

Pisarz wstrząsany szlochem oddał mu flet.

– Widzę to, co grałeś – odpowiedział. Felimid kiwnął głową.

– Możesz zostać u mnie – rzekł. – Będę cię uczył. Może okażesz się godny, aby grać przed cesarzem, gdy nauczę te dziewczęta tańczyć. Zatrzymaj flet.

Na tym zakończył się ten wieczór. A następnego dnia rano Felimid i jego goście pojechali w otoczeniu silnego oddziału Pieczyngów do miejsca, gdzie stała łódź. Przed wyruszeniem w drogę Felimid rozdawał pożegnalne podarki. Orm, Svarthöfde i Ulf dostali każdy po nożu o cyzelowanej złotem rękojeści i kunsztownej srebrnej pochwie. A dla Ylvy dał Felimid sztukę sererskiego jedwabiu. Podziękowali mu za to, martwiąc się, że nie mają nic ładnego, co by mogli mu ofiarować w zamian na znak przyjaźni.

– Mało jest rzeczy, na których mi zależy – uspokajał ich Felimid – a srebro i złoto nie należą do nich. Szkoda więc nie jest wielka, bo waszą przyjaźń mam i tak. Mimo to jednak znajdzie się coś, co chciałbym od was dostać, gdyby przytrafiła się sposobność. Powiedz, Ormie, czy masz jeszcze swoje wielkie brytany?

Orm odpowiedział, że brytany wciąż jeszcze czują się u niego dobrze i że gdy wyjeżdżał z domu, było ich czternaście sztuk.

– Niedługo już, Svarthöfde, staniesz się dorosłym wojownikiem – rzekł na to Felimid zwracając się do chłopca. – I wtedy wybierzesz się z pewnością w daleką wyprawę, skoro tak wczesnie zacząłeś. Może wyprawisz się do Kijowa albo może do Miklagrodu. I gdyby tak było istotnie, zabierz dla mnie dwa albo trzy z tych wielkich brytanów. To byłby doprawdy dar przyjaźni, najlepszy ze wszystkich, jakie moglibyście mi dać. Psy te bowiem pochodzą z Erynu, tak jak i ja.

Svarthöfde odparł, że na pewno o tym nie zapomni, gdyby wybierał się w te strony. A potem wyruszyli w drogę. Pisarz machał do nich na pożegnanie, gdy go mijali, ale widać było, że jest zaprzątnięty ważniejszymi sprawami. Razem z chazarskimi niewolnikami ćwiczył pilnie na flecie. Svarthöfde i Ulf zostaliby obaj chętnie dłużej u Pieczyngów, aby nacieszyć się tańcem i innymi wesołymi sztuczkami, Orm jednak niecierpliwiał się, aby co rychlej wrócić do swojej łodzi i drużyny. Mówił też, że bez miecza przy boku czuje się źle, jak gdyby był na wpół nagi.

Gdy zbliżyli się do rzeki, Pieczyngowie zatrzymali się z dala od brzegu, aby nie doszło do jakiegoś zatargu między nimi a ludźmi Orma. Ani właściciele jeńców wszakże, ani inni ich rodacy nie chcieli puścić wolno Svarthöfde i Ulfa, dopóki nie zostanie im zapłacony okup. Orm poszedł więc sam w kierunku łodzi, a gdy go wikingowie zobaczyli, podnieśli radosne okrzyki i przybili do brzegu. Toke wręczył mu zaraz Blotungę, dopytując, jak się wszystko odbyło. Orm opowiedział o Felimidzie i jego przyjaźni, a także o okupie, który musi zapłacić za Svarthöfde i Ulfa Wesołego. Usłyszawszy to Toke zaśmiał się z zadowoleniem. – Na nasze szczęście też nie potrzebujemy narzekać i może nie będziesz potrzebował trwonić srebra, aby uwolnić chłopców. Złapaliśmy bowiem dziewięciu Pieczyngów, a to chyba wystarczy na okup. Leżą tam związani w łodzi.

Opowiedział, że Spof, Długi Staf i jeszcze kilku innych nie mogło zapomnieć o srebrze, które wysypało się do wody.

– Tak długo mnie męczyli i błagali, aż ustąpiłem – mówił.

I Spof wyruszył z dwudziestu ludźmi prawym brzegiem rzeki, gdzie nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Pomiędzy porohami przepawili się przez rzekę, w miejscu gdzie prawie

nie trzeba było płynąć, i o zmierzchu podeszli ostrożnie do rozpadliny, gdzie uprzednio leżał ukryty skarb. Słyszeli dochodzące stamtąd wesołe okrzyki i widzieli opodal pasące się konie, wpadli więc na Pieczyngów zajętych wyławianiem srebra. Bez trudności wzięli ich wszystkich do niewoli, bo Pieczyngowie nie mieli przy sobie broni i schwytani zostali, zanim zdążyli wyleźć z wody. Nasi zdobyli tam także mnóstwo srebra, które wyłowili dla nich owi Pieczyngowie. I właśnie naradzaliśmy się w łodzi, aby puścić jednego i posłać go do jego rodaków, by uwolnili ciebie i chłopców.

Orm przyznał, że to nowina wielce radosna, choć może Pieczyngowie nieco innego będą zdania. Przez chwilę zastanawiał się i wahał, aż wreszcie rzekł:

– Nie będę domagał się okupu za tych jeńców. I nikt nie odniesie z tego powodu szkody oprócz mnie samego. Ale nie wypuści się ich, dopóki chłopcy nie będą wolni.

– Wielki jesteś hövding – rzekł Toke – i musisz postępować stosownie do tego. Ale ludzie ci nie zasługują na taką szczodrość. To oni pierwsi szukali z nami zwady, a nie my z nimi.

– Nie znasz Felimida – odrzekł Orm. – Wart on takiego daru. Tak ma być, jak postanowiłem.

Obaj z Toke wzięli worek srebra i zanieśli go do czekających na nich Pieczyngów. A ci zaczęli zaraz biegać i mierzyć swoje czapy, aby wybrać największe. Lecz rozzłoszczony tym Felimid zdjął swoją i rozkazał odmierzyć srebro. I tak też się stało.

Potem wysłano ludzi na poszukiwanie kawałków drzewa, porzuconych u początku przeprawy. Po jakimś czasie wrócili przynosząc z sobą kłodę, którą położono na kamieniu, równo ją wyważając, po czym na jednym jego końcu usiadł Svarthöfde. Na drugim końcu pała Pieczyngowie zawiesili juki, do których Toke sypał srebro, dopóki ciężar nie podniósł Svarthöfde. I jak mówił Felimid, Pieczyngowie zgodnie przyznali, że ważenie to odbyło się, jak na hövdinga przystało. Uważali bowiem, że gdyby Svarthöfde rozebrał się do naga, dużo srebra dałoby się zaoszczędzić, a nie mogliby wystąpić z zarzutami.

Gdy było już po wszystkim, Toke wrócił do łodzi z resztą srebra, a Orm rzekł do Felimida:

– Dużo miałem szczęścia w tej wyprawie i nie na ostatnim miejscu stawiam to, że spotkał ciebie. Gdy wyruszyliśmy z twego obozu, ofiarowałeś nam dar przyjaźni, a teraz ja mam coś w zamian dla ciebie. Patrz, kto tam nadchodzi!

Ukazali się jeńcy, których Toke kazał wypuścić, a Felimid i jego ludzie patrzyli na nich ze zdumieniem.

– To ci, co się wybrali na połów srebra – wyjaśnił Orm. – Moi woje poszli tam w tej samej sprawie i pojмали ich. Obecnie zaś oddają ci ich bez wykupu, choć wielu może uważać będzie mój postępek za dowód wielkiej głupoty. Ale z tobą, Felimidzie, nie chcę handlować.

– W pełni wart jesteś swojego szczęścia – odparł Felimid.

– A z tymi brytanami też będzie tak, jakeśmy się z tobą umówili – odezwał się Svarthöfde. – Zabiorę je z sobą, gdy następny raz przybędę w te strony. A może nie potrwa to długo, bo czuję się już dorosły, odkąd zważono mnie na wagę srebra.

– Obyś wtedy miał tancerki, kąpane w mleku i równie piękne jak te, cośmy oglądali – dodał Ulf Wesoly.

Felimid podrapał się za uchem.

– Uważacie więc, że stary do tego się najlepiej nadaje, aby trzymać dla was w pogotowiu tancerki, gdy tu przybędziecie – rzekł. – Ale ja wybiorę je starannie spośród najbrzydszych i każę wykąpać w końskim moczu. Bo inaczej pusta młódz mogłaby uznać za dobry pomysł ukraść je staremu Felimidowi, który tyle się nad nimi nabiedził.

Pożegnali się ze starym kuglarzem i jego Pieczyngami i wrócili do łodzi. Zaraz też odbili udając się w drogę powrotną. Stan rannych nie budził obawy i nawet Olof Motyl, najciężej trafiony, dobrego był ducha. Załoga chętnie wzięła się do wiosła, mimo że mieli teraz przed sobą długie wiosłowanie pod prąd. A najweselsi z wszystkich byli synowie Sone, choć w łodzi leżały zwłoki dwóch ich braci. Miano ich pogrzebać, wraz z innymi zabitymi, na najbliższym obozowisku. Toke nie mógł się nadziwić, jak to mu się dotąd układa ta wyprawa, bo mimo długiej drogi, jaką przebyli, dotąd jeszcze nie obnażył miecza. Sądził, że Rödnäbba zapewne będzie mieć więcej do roboty w drodze powrotnej, gdy taki jest skarb do pilnowania. Ulf i Svarthöfde z wielkim zadowoleniem opowiadali załodze o swoich przygodach u Pieczyngów. Jeden tylko Orm siedział milcząco, pogrążony w myślach.

– Czyżbyś zaczął żałować, żeś wypuścił jeńców bez okupu? – spytał go Toke.

– Nie o to chodzi – odrzekł Orm. – Ale szczęście nazbyt mi dotąd sprzyjało i ogarnia mnie teraz lęk. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w domu.

IX.

O POWROCIE DO DOMU I O TYM, JAK OLOF MOTYL PRZYRZEKŁ ZOSTAĆ CHRZEŚCIJANINEM

Pochowali swoich zabitych w miejscu, które wydawało się im dla ich spokoju najlepsze, i popłynęli w górę wielkiej rzeki bez żadnych przygód, wspomagani pomyślnym wiatrem, dmącym w żagle. Stan zdrowia Olofa Motyla poprawiał się bardzo powoli. Nie miał apetytu, a rana nie chciała się goić. Zaczęli więc mówić o zatrzymaniu się w Kijowie, aby sprowadzić do niego kogoś, kto zna się na leczeniu. Ale Olof nie chciał nawet o tym słyszeć, gdyż śpieszyło mu się do domu tak jak Ormowi. Wikingowie powiosłowali więc chętnie dalej. Czuli się wszyscy bogatymi i nie chcieli trwonić swego srebra pośród obcych.

Gdy dotarli do Rzeki Bobrów i trzeba było wiosłować jeszcze ciężiej, Svarthöfde wziął się do wiosła tak jak inni. Mówił bowiem, że zalicza się już do dorosłych. Szło mu ciężko, ale choć pozdzierał sobie skórę z dłoni, nie ustawał, aż przyszła nań kolej, aby zostać zluzowanym. Zdobył za to uznanie Spofa, który nie zwykł obsypywać ludzi pochwałami.

W wiosce przy przeprawie dostali pod dostatkiem wołów pociągowych, tak że podróż łądem poszła tym razem łatwiej. A gdy dotarli do wioski Dregowiczów, gdzie znajdowały się pszczoły i niedźwiedzie, odpoczywali przez trzy dni w swoim starym obozowisku i wezwali z wioski mądre babiny, aby opatrzyły Olofa, któremu się pogorszyło podczas przeprawy łądem. Baby grzebały w ranie i lały w nią sok z mrówek i piołunu, aż Olof krzyczał głośno z bólu. Mówiły, że dobry to znak i że im głośniej krzyczy, tym lepiej. Posmarowały potem ranę maścią z bobrowego sadła i dały mu do picia gorzki napój, który bardzo go wzmocnił. Przyniosły też z wioski duże naręcze świeżego siana i przyprowadziły dwie tłuście młode kobiety. Rozdziały potem Olofa do naga i zmyły mu ciało sokiem z brzeziny, po czym zrobiły mu posłanie w sianie na niedźwiedziej skórze. A młode kobiety ułożyły się po obu jego bokach, aby go wygrzewać. Następnie babiny dały Olofowi napić się jeszcze więcej owego gorzkiego napoju i nakryły wszystkich troje wołowymi skórami. I Olof wnet zasnął i spał przez dwie noce i dzień w miłym cieple. A gdy się zbudził, młode kobiety zawołały, że zaczyna przychodzić do zdrowia. Babinom suto zapłacono za to leczenie, a i młode kobiety wynagrodzono przyzwoicie, choć poważnie się wzbraniały wygrzewać kogo innego.

Olof Motyl szybko się potem poprawiał. A gdy dotarli do miasta Połoczan, rana była już całkiem zagojona i mógł on jeść i pić równie dobrze jak inni. W Połocku hövdingowie udali

się znowu w gościnę do Faste i opowiedzieli mu, co się stało z jego pisarzem, czego on – jak się zdaje – nie wziął sobie zbyt do serca.

W mieście tym wikingowie czuli się jak u siebie w domu. Przez trzy dni pili i swawolili z miejscowymi dziewczętami, ku wielkiej ucieście biednej ludności miasta, po czym wygodnie spłynęli w dół Dźwiną w porze opadania liści i dotarli do morza, gdy zaczęły się nocne przymrozki.

Pewnego ranka, koło Osyssla, napadli na nich estońscy rozbójnicy, w cztery małe łodzie pełne zbrojnych. Spof spostrzegł ich pierwszy, gdy wynurzyli się z mgły, i natychmiast kazał wiosłarzom wiosłować ile tchu w piersiach. A gdy Estowie zbliżyli się, aby wziąć ich okręt między swoje dwie łodzie, Spof dokonał szybkiego zwrotu, uderzając przy tym jak taranem w jedną z napastniczych łodzi tak, że tonąc powlokła się w kierunku lądu. Druga łódź zrównała się z nimi i zdołała zarzucić żelazne osęki. Ale nim się stało coś więcej, do łodzi Estów wskoczyli synowie Sone i bez tarcz uderzyli na nich z wesołymi okrzykami, tnąc mieczem i toporem. I szybko oczyścili łódź z napastników bez żadnej prawie pomocy. Gdy inni Estowie to zobaczyli, pojęli, że natrafili na berserkerów, i szybko odpłynęli w swoją stronę.

Synów Sone obsypano za to pochwałami, ale kilku z nich sarkało i źle mówiło o swoim ojcu. Jeden bowiem stracił dwa palce, drugiemu oszczep rozpruł policzek, trzeciemu zaś zmiądzono nos, a inni także nosili na sobie ślady walki. Ci, którzy doznali największych uszkodzeń, mówili, że to wina ich ojca, który swoim gadaniem skusił ich do nadmiernego zuchwalstwa. Czuli się bowiem pewni, że nic im się nie stanie. Ale pozostali wystąpili przeciw temu, twierdząc, że stary obiecywał tylko, iż siedmiu wróci z życiem do domu, nie jednak nie mówił o ranach i szramach. I mało co nie doszło o to do bójki między braćmi. Ale Orm i Toke uspokoili ich mądrymi słowy i podróż przebiegała dalej bez żadnych ważniejszych wydarzeń.

Pomyślna pogoda sprzyjała im przez całą drogę od Osyssla aż do ujścia rzeki, skąd wyruszyli na wyprawę. Podczas żeglugi Orm odmierzył każdemu z załogi w srebrze zapłatę i udział w skarbie. I nie było niezadowolonych, bo dawał każdemu więcej, niż się spodziewali.

Pewnego ranka o świtaniu, gdy Toke stał przy sterowym wiośle, a wszyscy jeszcze spali, Orm przysiadł się do niego ponury i markotny.

– Inny czułby się na twoim miejscu szczęśliwy – odezwał się Toke. – Wszystko poszło składnie, zdobyłeś wielkie bogactwo i wnet już będziemy w domu.

– Ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój – odrzekł Orm. – I ciąży mi to złoto.

– Jak może ci złoto ciążyć? – zdziwił się Toke. – Jesteś teraz bogaty jak król, a królowie nie zwykli siedzieć z opuszczoną głową z powodu swojego bogactwa.

– Za dużo tego dla mnie – rzekł Orm posępnie. – Ty i Olof dostaniecie przyzwoitą część, ale mimo to wciąż jeszcze jest za dużo. Oszukałem ludzi mówiąc im, że to kobiece błyskotki w tych skrzynkach. I może mnie za to spotkać nieszczęście.

– Za wcześnie się niepokoisz – uspokajał go Toke. – Nikt nie wie, co się kryje w tych skrzynkach. A mówiąc o kobiecych błyskotkach, postąpiłeś mądrze i ja zrobiłbym tak samo. Bo nawet najlepsi łatwo stają się nieposkromieni, gdy wiedzą, że w pobliżu jest złoto.

– Powiem ci coś i Bóg mi świadkiem, że tak zrobię – rzekł nagle Orm. – Otworzę jedną z tych skrzynek. I jeśli znajdę w niej złoto, podzielę zawartość między załogę. Zostaną nam jeszcze trzy inne. A z tych jedną dostaniesz ty, drugą Olof, trzecia zaś będzie moja. I zaraz mi ulżyło, kiedym to postanowił.

– Zrobisz jak zechcesz – odparł Toke. – A jeśli chodzi o mnie, nie będę już więcej handlował skórą.

Orm przyniósł jedną z małych skrzynek i postawiwszy ją przed nimi, przeciął czerwone sznurki z cesarską pieczęcią. Skrzyneczka zamknięta była na mocny zamek. Orm wyłamał go nożem, po czym podniósł wieko skrzynki. Obaj w milczeniu patrzyli na jej zawartość.

Nawet Fajner

W dawnych dniach

W lepszym nie

Spoczywał gnieździe

– rzekł Toke z nabożeństwem, a Orm nic na to nie odpowiedział, choć kiedy indziej starał się zwykle dorównać Toke w mówieniu wierszem.

Słońce weszło właśnie i promienie jego padły na skrzynkę. Była ona pełna złota, które nie szerniało od leżenia w wodzie. Najrozmaitsze monety wypełniały ją aż po brzegi. A wśród monet leżały zmieszane z nimi klejnoty i ozdoby – wielkie i małe pierścienie, łańcuchy i ogniwa, zapinki i naszyjniki i różne inne kosztowności. Podobnie jak smaczne kęski wieprzowiny w gęstej, grochowej zupie – jak to określił Toke.

– To ci dopiero będzie uciecha dla kobiet, gdy otworzymy te skrzynki w domu – mówił.
– Żeby tylko na ten widok nie powariowały z radości.

– Niełatwo to będzie sprawiedliwie podzielić – rzekł Orm. Ludzie zaczęli się budzić ze snu. Orm powiedział im, że jedna ze skrzynek z kobiecymi błyskotkami zostanie pomiędzy nich podzielona i że zawartość jej, jak się okazało, przekracza wszelkie spodziewania.

Dzielenie zajęło cały dzień. Na każdego wypadło osiemdziesiąt sześć monet, większych i mniejszych. A tyle samo odliczono dla zabitych, do podziału między spadkobierców. Udział sternika, który otrzymał Spof, wynosił cztery razy tyle. Najtrudniej było podzielić kosztowności i czasem nie znajdowali innej rady, jak rąbać pierścienie i inne ozdoby na kawałki, aby dokonać sprawiedliwego podziału. Ale często ludzie dogadywali się z sobą, oddając sobie monety, aby otrzymać piękny klejnot nietknięty. Między kilkoma omal nie doszło przy tym do bójkii, ale Orm oświadczył im, że muszą z tym poczekać, aż przybiją do brzegu. Wśród załogi znaleźli się i tacy, którzy nigdy w życiu nie widzieli złotej monety. I gdy Spof powiedział im, ile srebra wypada na złoto, siedzieli, gapiąc się przed siebie i obejmując głowę rękoma, i nie umieli ogarnąć całego ogromu swego bogactwa, choć bardzo się wyteżali.

Po dokonaniu podziału wielu wzięło się pilnie do igły, aby odpowiednio poszerzyć swoje pasy. Inni znów tarli i czyścili złoto, aby wydobyć z niego jaśniejszy połysk. I z ogromną radością rozprawiali o swoim szczęściu, o powrocie do domu i o tym, jak tego sobie wtedy podchmielą.

Dotarli do ujścia rzeki i powiosłowali pod prąd, aż dopłynęli do zagrody mieszkającego na wybrzeżu kmiecia, znajomego Orma. Tam wyciągnęli łódź na krę z świeżego lodu z minionej nocy i umieścili ją w szopie. Wynajęli konie i kilku rozjechało się od razu w swoje strony, większość jednak pozostała w gromadzie.

Spof wahał się, co robić.

– Może byłoby najlepiej – mówił – zostać na zimę w zagrodzie u tego kmiecia, o którym powiadają, że dobry z niego człowiek. A na wiosnę znaleźć statek zmierzający do Gotlandii. Ale niepewna będzie to dla mnie zima – ciągnął strapiony. – Jakież bowiem kmieć jest aż tak zacny, że nie zabije mnie natychmiast we śnie, gdy się dowie, że mam tyle złota w pasie? I bez tego chętnie zabijają Gutów, zbytnio się nie dopytując, tylko z powodu bogactwa, o które się ich podejrzewa.

– Jedź ze mną – odrzekł Orm – i zostań moim gościem przez zimę. Dobrześ sobie na to zasłużył. A na wiosnę wrócisz tu i poszukasz statku, co cię zabierze do domu.

Spof podziękował mu i chętnie pojechał dalej z nimi.

Wyruszyli więc w drogę. I nie wiadomo było, kto więcej tęskni do Gröning – Orm czy Olof Motyl.

W miejscu gdzie droga się rozgałęziła i jedna jej odnoga wiodła do zagrody Sone, siedmiu braci zatrzymało się z kwaśnymi minami i zaczęło się drapać w głowę. Orm zapytał, co im się stało.

– Jest nam teraz dobrze – odrzekli – lepiej niż komu innemu. Bogaciśmy i nic się nam nie może stać, dopóki nie wrócimy do domu. Ale gdy tylko znowu zobaczymy się ze starym, jego zaklęcie przestanie działać. Możemy wtedy zginąć tak samo jak wszyscy inni. Dawniej nie baliśmy się śmierci, teraz jednak szkoda umierać mając tyle złota.

– Możecie pojechać ze mną – powiedział Orm – i wypić w Gröning za powrót do domu. Zacznie z was chłopcy i znajdzie się jakieś miejsce, aby was przezimować. Potem zaś możecie znowu wyruszyć na wojenną wyprawę, jeśli wam się tak spodoba, i żyć, jak długo zechcecie.

Wysłuchali tego z wielką radością i obiecywali sobie, że dużo wody upłynie, zanim znowu zajrzą do starego Sone. Najbezpieczniej będzie – uważali zgodnie – wyruszyć znowu do Gaardariki.

– Wstąpcie do mojej drużyny – podsunął im Svarthöfde. – Wybieramy się tam z Ulfem, gdy przyjdzie na to pora.

– Wcześniej zaczynasz przemawiać jak hövding – strofował go Orm. – Trochę mógłbyś jeszcze z tym poczekać.

Gdy zbliżali się do Gröning, Orm nie posiadał się z niecierpliwości i obaj z Olofem wyprzedzili innych. Pierwsze, co zobaczyli, to byli ludzie, którzy naprawiali wielkie wrota. Zaraz potem spostrzegli, że kościółek spłonął. Na ten widok Orma ogarnęło takie przerażenie, że prawie nie miał odwagi podejść bliżej do gródka. Pracujący przy wrotach ujrzeli go i podnieśli krzyk, na co nadbiegła Ylva. Ulżyło mu, gdy ją zobaczył, rad, że przynajmniej ona została przy życiu.

– Dobrze, żeś wreszcie wrócił do domu – mówiła doń Ylva – ale lepiej, gdybyś to zrobił pięć dni temu.

– Czy duże są szkody? – pytał Orm.

– Rabusie napadli na nas w nocy – opowiadała Ylva – cztery dni temu. Harald jest ranny, a Rappa i jeszcze trzech innych zabili. Porwali Ludmiłę, zagrabilili naszyjnik i wiele innego dobra i zabrali także trzy z moich kobiet. Ojciec Willibald dostał pałką w głowę i leży na wpół martwy. Ja uszłam w porę z małymi dziećmi, Oddny i starą. I przesiedziałyśmy ukryte w lesie przez cały następny dzień. Byli to Smalandczycy. Zabrali także bydło, ale psy ruszyły za nimi w pościg i przywiodły z powrotem czternaście krów. Osa mówi, że to mogło skończyć się gorzej, a i ja jestem teraz tego zdania, gdyż ty już wróciłeś.

– Jeszcze mało nieszczęścia? – wykrzyknął Orm. – Rapp zabity, Ludmiła porwana, a ksiądz pobity niemal na śmierć.

– I jeszcze naszyjnik – dodała Ylva.

– O naszyjnik się nie martw – odrzekł Orm. – Kosztowności dostaniesz, ile zechcesz. To dobrze, że mam z sobą ludzi, bo nie można tego zostawić bez pomsty.

– Stanie się tak, jak mówisz, Ormie – potwierdził Olof. – To musi zostać pomszczone. Czy ktoś wie, skąd przyszli rabusie?

– Nikt nic nie wie – odparła Ylva. – Harald został ranny zaraz na początku. Zaczął się do łaźni i tam legł. Ale może ojciec Willibald będzie mógł coś powiedzieć, gdy przyjdzie do przytomności. Dziwne, że napastnicy podłożyli ogień tylko pod kościół. I to właśnie koło kościoła został pobity ojciec Willibald. Plądrowali, ile się dało, a po mowie poznano, że to Smalandczycy. Wielka ich była gromada. Zabrali ze sobą swoich zabitych. Pięciu padło z ręki Rappa i jego ludzi, w walce przy wrotach. I to jest wszystko, czego się zdołałam dowiedzieć.

Nadjechała drużyna Orma i Ylva rozjaśniła się zobaczywszy znowu Svarthöfde. Orm wysłał zaraz konnych po żywność do bogatych sąsiadów. Od napadu rabusiów w Gröning niewiele zostało w oborze, a w piwiarni były zupełne pustki.

Potem obejrzał pobitych. Haraldowi oszczep utkwiał w piersiach, a prócz tego był ranny w ramię. Ale nie tracił otuchy i mówił, że szybko stanie znowu na nogi. Wyrwał się też ogromnie, aby usłyszeć opowiadanie Ulfa i Svarthöfde o ich przygodach.

Księżka pielęgnowała Osa, jak tylko umiała. Z głową owiazaną szmatami leżał na wpół jeszcze zamroczony. Gdy zobaczył Orma, oczy mu zabłyśły i słabym głosem powiedział: „Witaj w domu!” Ale potem znowu popadł w odrętwienie, a Osa mówiła, że ciągle mruczy coś pod nosem, ona zaś nie może zrozumieć, o co mu chodzi.

Sama cieszyła się ogromnie z widoku Orma, lecz natychmiast zaczęła mu wyrzucać, że nie wrócił do domu w porę. Kiedy jednak dowiedziała się, że przywiózł z sobą skarb Are, złagodniała i powiedziała, że napad, który ich spotkał, to nic w porównaniu z tym, co widziała za młodych lat. I nic dziwnego, że porwano Ludmiłę – mówiła – gdyż jak to przepowiadała od początku, dziewczyna otrzymała nieszczęśliwe imię. Ojciec Willibald wróci na pewno do zdrowia, choć bliski był śmierci – mówiła. – Bo chwilami zaczyna ona już rozumieć coś niecoś z tego, co on mruczy, a to dobry znak. Najwięcej martwiła ją pusta obora i bydło, które stracili.

Toke, Spof i Svarthöfde wzięli ludzi i poszli tropem rabusiów, aby zobaczyć, dokąd prowadzi. Nietrudno będzie ich wyśledzić – mówili synowie Sone – bo po napadzie nie było jeszcze deszczu. Pod ich nieobecność Orm wypytywał dokładnie tych z ludzi Rappa, którzy

przeżyli napad, aby dowiedzieć się czegoś więcej o rabusiach. Oni jednak nie mogli mu powiedzieć dużo ponad to, czego się już dowiedział od Ylvy.

Dzień przed napaścią – mówili – wypadło święto, które ksiądz nazwał dniem Wszystkich Świętych. Ojciec Willibald wygłosił do nich kazanie, a wieczorem pili na pamiątkę świętych. Potem wszyscy spali mocno przez całą noc, aż do szarego brzasku, kiedy to uderzyli na nich rabusie. Nikt się niczego nie spodziewał, dopóki psy nie zaczęły ujadać. A w tej samej chwili napastnicy uderzyli na wrota, bijąc w nie kłodami, aż je rozwalili. Z obrońców pierwsi wypadli Rapp i Harald, a inni tuż za nimi. Robili, co mogli, tak że większości kobiet udało się umknąć tyłami wraz z dziećmi, a potem wzdłuż rzeki przemknąć się do lasu. Ale przewaga napadających była znaczna i obrońcy nie zdołali się długo utrzymać przy wrotach. Ksiądz, który ostatnio zaczął coraz bardziej głuchnąć, nie zbudził się od razu pomimo zgiełku i wrzawy. Kiedy wyszedł na dwór, Rapp był już zabity i wszędzie roilo się od napastników. Willibald zobaczył, że podpalali właśnie kościół i pobiegł tam niezwłocznie. Dlatego właśnie nikt nie spuścił psów w porę.

I to jest – jak mówili – wszystko, co wiedzą. Kiedy bowiem zobaczyli, że zginął Rapp, a z nim wielu innych i kiedy znaleźli się w obliczu wielkiej przewagi, zaniechali boju i uciekli. Dopiero potem, gdy zbójce już sobie poszli, spuszczone psy. Albowiem rabusie nie wazyli się sami do nich zbliżyć. Brytany poszły śladem i nie było ich przez cały dzień, a kiedy wróciły, przywiodły z sobą kilka krów.

Orm słuchał tego wszystkiego posepnie i wiele znalazł do zarzucenia. Ale nie uważał, by warto było tracić teraz czas na nagany. O tym zaś, że ludzie myśleli tylko o ratowaniu własnego życia, gdy zabrakło Rappa i Haralda, wołał nie mówić.

Nie wiedział, kogo więcej żałować – Rappa czy Ludmiły. Ale im więcej myślał o tym wszystkim, tym większy wzbierał w nim gniew i gorączka, aby co rychlej rozprawić się z bandą zbrojecką. Za najprawdopodobniejsze uważał, że byli to ludzie z Varend, choć na pograniczu panował spokój i Orm nie przypominał sobie, by miał tam jakichś nieprzyjaciół.

Następnego dnia ojcu Willibaldowi rozjaśniło się trochę w głowie, jakkolwiek wciąż jeszcze bardzo był słaby. Miał wiele nowego do opowiedzenia. Gdy wybiegł na dwór, napastnicy zdobyli już bramę – opowiadał – i pierwsze, co zobaczył, to płonący stos, którym zbójce obłożyli już ściany kościółka i zdążyli zapalić. Pobiegł więc tam krzycząc, żeby zostawili w spokoju kościół Boży.

– Wtedy wyszedł mi naprzeciw mężczyzna z czarną brodą. Śmiał się i głośno wołał: „Kościół Boży spłonie, bo ja wyparłem się Boga! To mój trzeci grzech i odtąd nie ma już grzechu dla mnie”. Tak mówił i znowu się śmiał, a ja go poznałem. Był to ksiądz Rainald,

który przebywał tu u nas jakiś czas temu, a potem oddał się w ręce Smalandczyków na tingu. To był on we własnej osobie. Już dawniej słyszeliśmy, że zaprzedał się diabłu. Przekląłem go i pobiegłem w kierunku stosu. Lecz jeden z nich zderzył mnie w głowę i potem nic już nie pamiętam.

Na tę nowinę wszyscy głośno wykrzyknęli ze zdziwienia, a ojciec Willibald zamknął oczy i kiwnął głową.

– Tak to jest – powiedział. – Ten, co był ongiś sługą Bożym, spalił mój kościółek.

Osa i Ylva wybuchnęły płaczem. Ten ksiądz, który służył teraz diabłu, wydał im się bowiem czymś nad miarę strasznym.

Olof Motyl wyszczerzył zęby i dobył miecza. Wbił go w podłogę, tak że miecz utkwiał tam mocno, po czym splótł obie dłonie na jego głowicy.

– Oto, co ślubuję – powiedział. – Nie usiądę przy stole ani nie usnę w łóżu, ani nie zaznam uciechy w wesołym gronie, dopóki nie przebiję tym mieczem owego mężczyzny, imieniem Rainald, który był księdzem Bożym i który porwał Ludmiłę, córkę Orma. A jeśli Chrystus dopomoże mi, abym ją znowu odzyskał, trzymać się go będę na zawsze.

X.

O TYM, JAK SIĘ ROZPRAWILI Z SZALONYM MAGISTREM

Gdy tylko sąsiedzi dowiedzieli się o napadzie i o powrocie Orma, ściągnęli żądni odwetu do Gröning z końmi i czeladzią. Uważali, że rzadko się teraz zdarza taka gratka, i spodziewali się z tego wiele uciechy. Ci, którzy byli chrześcijanami, mówili, że przypada na nich część zemsty za gwałt na księdzu i spalenie kościołka. Orm witał ich wszystkich z otwartymi rękoma i czekał tylko na powrót ludzi wysłanych na zwiady.

Wrócili trzeciego dnia pod wieczór. Szli śladami rabusiów daleko na północ i na wschód. A najlepsze było, że przyprowadzili z sobą Torgunn, żonę Rappa, którą znaleźli w głuszy, zagłodzoną i na wpół żywą. Tam też zawrócili. Torgunn zbiegła od rabusiów i uciekała, póki jej sił starczyło, potem zaś woje z pościgu nieśli ją na zmianę. Trzech z nich już zaczęło się do niej zalecać i zaraz się od tego lepiej poczuła. Ale – jak mówili – nie chciała wierzyć, aby któryś z nich mógł się równać z Rappem.

Torgunn miała do opowiedzenia ważne nowiny. Było tak, jak mówił ojciec Willibald. Wodzem bandy był ten, którego zwali magistrem. Poznał ją i rozmawiał z nią podczas drogi do siedziby zbójów. Mówił, że wyparł się Boga i może teraz robić wszystko, co chce. Kościół spalił, aby pozbyć się Boga z sąsiedztwa. Po jego spłonięciu bowiem w całej okolicy nie było już więcej kościoła.

– Drużyna magistra – mówiła Torgunn – składa się z wyjętych spod prawa oraz z wszelkiego rodzaju złoczyńców i zbiegów szukających u niego schronienia, niekiedy aż z Westrogocji i Njudung, i utrzymujących się z grabieży. Było ich wielu i nie bali się nikogo. A magister miał nad nimi wielką władzę.

O Ludmile nie wiedziała Torgunn nic poza tym, że trzymała się dzielnie i groziła magistrowi i innym szybką pomstą. Zbóje wiedli je z sobą do swojego gniazda, a po drodze dopadły ich Ormowe psy. Paru z rabusiów pogryzły, a jednego zadławiły na śmierć. Odbiły też część ukradzionego bydła, co wielce zbójów rozsierdziło. Torgunn i Ludmiła próbowały wtedy ucieczki, ale zostały ponownie schwytane.

Zaprowadzili je do siedziby rabusiów, która leżała w pobliżu północnego krańca bardzo dużego jeziora. Jezioro to minęli po prawej ręce w czasie drogi. Zbóje nazywali swoją osadę Księżą Wioską. Torgunn przydzielono tam losem mężczyźnie imieniem Saxulf, wielkiemu i nieokrzesanemu chłopu, który bardzo był niedobry. Związaną położył na futrzanych skórkach w swej chacie i przyszedł do niej pijany wieczorem. Rozwiązał jej wtedy pęta, ale nie

przyniósł z sobą nic do jedzenia ani do picia dla niej. Wiedziała, że jest wdową, ale bardzo ją złościło, że musi spać z człowiekiem, który zachowuje się w taki sposób. Toteż w chwili potem, gdy usnął, wysunęła się ostrożnie z futer i chwyciła w obie ręce wałek do ciasta. Siły – mówiła – Bóg jej nie poskąpił, a wzmogła ją jeszcze złość i chęć pomszczenia Rappa. I kiedy Saxulf dostał wałkiem po czerepie, nawet nie zipnął i tylko trochę zadygotał nogami. Potem Torgunn wysliznęła się w nocy z chaty i odeszła z wioski przez nikogo nie zauważona. Ponad dobę szła pośpiesznie w wielkim strachu śladem, którym przyszli. Tu i ówdzie znajdowała trochę jagód, którymi krzepiła się, a potem przez dłuższy czas leżała bez siły, czekając na śmierć w paszczy jakiejś dzikiej bestii, aż znaleźli ją i nakarmili Svarthöfde i jego ludzie. Do Gröning przyjechała na barkach mężczyzn i już czuje się lepiej.

Tak brzmiało opowiadanie Torgunn. Dużo z niego mieli korzyści, bo się dzięki niemu dowiedzieli, gdzie się mieści gniazdo rozbójników. Ci, co szli śladem, mówili, że owo wielkie jezioro nazywa się Aasnen. A wśród ludzi Olofa znalazło się paru, którzy znali tamtejsze pustkowia i ścieżki. Podjęli się oni doprowadzić drużynę do zbójckiego gniazda. Ale najlepiej by było – doradzali – po dniu drogi zboczyć i pójść bardziej na zachód, aby zejść rabusiów od tamtej strony. A Orm i inni uznali, że była to mądra rada, gdyż w ten sposób przyprą zbójów plecami do jeziora.

Orm miał obecnie stu dwunastu ludzi w swej drużynie i na drugi dzień postanowił wyruszyć w drogę. Obawiał się jednak o złoto Bułgarów. Późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali, wziął z sobą Toke, Olofa i Svarthöfde i ukrył skrzynki w bezpiecznej kryjówce w głębi lasu, z dala od wszelkich ścieżek, gdzie nikt nigdy nie zachodził. Natomiast wcale nie troszczył się, aby ukryć mnóstwo srebra, które posiadał. Do srebra bowiem już się – jak mówi – przyzwyczał. I może ono również dobrze leżeć w skrzyniach u Ylvy, choć gródek strzeżony będzie teraz tylko przez niewielu ludzi, których zamierzał tam zostawić.

Następnego dnia wszyscy wstali przed świtaniem. Wiele jeszcze było do zrobienia przed wyruszeniem, bo chcieli z sobą zabrać wielkie brytany. A te musiały wpierw przywyknąć do wszystkich nowo przybyłych, aby potem nie wynikły żadne pomyłki i psy nie pogryzły swoich. Przyzwyczajały się do niektórych szybko, tak że uważały ich za przyjaciół, obwąchawszy ich zaledwie raz czy dwa razy. Wobec innych jednak były nieufne, warczały i nie chciały się dać przekonać, że nie należy ich natychmiast rozszarpać. Wzbudzało to dużo śmiechu, bo ludzie, którzy nie budzili w psach ufności, łatwo wpadali w gniew, uważając, że pachną tak dobrze jak inni, podczas gdy tamci różnie się o tym wyrażali.

W końcu wszystko było gotowe i drużyna wyruszyła z psami, które wiedli na smyczy pewni ludzie.

Ciągnęli śladem rabusiów przez cały dzień, aż doszli w pobliże miejsca, gdzie znaleziono Torgunn. Tam rozłożyli się na nocleg, a następnego dnia rano zбочyli w lewo, mając na czele obu przewodników Olofa. Przez trzy dni przedzierali się teraz przez bezdroża, grzęzawiska i chaszczce, nie widząc ni jednej chaty i nie spotykając ludzkiej duszy. Brytany dobrze czuły, na jakie to łowy je wiedą, i mało zwracały uwagi na ślady dzikiej zwierzyny. Miały bowiem tę wielką cnotę, że w pościgu za ludźmi nie wydawały głosu, dopóki ich nie spuszczone ze smyczy.

Po południu, czwartego dnia po wyruszeniu z Gröning, doszli do miejsca, gdzie krzyżowały się dwa ślady. Tam się zatrzymali, a przewodnicy oznajmili, że mają teraz jezioro przed sobą i że wioska rozbójników leży nieco dalej w kierunku jeziora. Droga była męcząca, ale Orm i Olof Motyl zgodnie postanowili, że natarcie nastąpi natychmiast. Zapasy bowiem kończyły się, a oni obaj nie posiadali się już z niecierpliwości. Kilku młodych wspięło się na drzewo stojące na wzgórzu i potrafiło dokładnie określić położenie wioski. A Orm podzielił stosownie do tego drużynę na trzy części. Jednej przewodził Toke, drugiej Olof, a nad trzecią sam objął dowództwo, zatrzymując przy sobie psy, których nie pozwolił spuścić przedwcześnie ze smyczy. Toke miał natrzeć od północy, Olof Motyl – od południa. W oddziale Toke znajdował się Svarthöfde, a z nim poszli i synowie Sone, którzy już zaczęli się uważać za jego drużynę. Orm zakazał ludziom podpalać domy i źle się obchodzić z kobietami, bo w wiosce mogły znajdować się jeszcze inne branki. Gdy Toke zadmie w róg, obie pozostałe drużyny mają ruszyć do natarcia, każda ze swojej strony, bez bojowych okrzyków.

Drużyna Toke i Olofa odeszły w ustalonym kierunku, a Orm i jego ludzie poszli ostrożnie przez gąszcze, aż dotarli do brzegu lasu przy nowinie otaczającej wieś. Tam rozsiedli się i w oczekiwaniu na głos rogu Toke zaczęli pochłaniać resztę jedzenia, która im jeszcze została.

Orm zabrał z sobą Spofa i obaj podczołgali się w gąszcz krzaków kruszyny. Tam legli i patrzyli na wieś rozciągającą się przed ich oczami. Wyglądała pokaźnie. Wiele domów było całkiem nowych. Widać było mężczyzn i kobiety krzątających się między domami przy swoich zajęciach. Zdaniem Spofa w takiej wiosce łatwo mogło się znaleźć półtorasta mężczyzn. Między nimi a wioską w niewielkim zagłębieniu było źródło, tworząc mały stawek. Stara baba z dwoma wiadrami zawieszonymi na nosidle przyszła po wodę, po czym kołysząc się jak kaczką pokuśtykała z powrotem do wioski. Potem zjawili się dwaj mężczyźni z czterema końmi do pojenia. Gdy konie się napiły, zaczęły niespokojnie tańczyć i Orm

myślał już, że poczuły bliskość psów. Ale brytany przywarowały spokojnie za Ormem i zachowywały się cicho, wietrząc i drżąc na całym ciele.

Mężczyźni przy źródle poskromili konie i wrócili do wioski. Minęła chwila i znów pojawiły się trzy kobiety z wiadrami, w towarzystwie dwóch mężczyzn wyglądających na strażników. Orm wciągnął głęboko oddech, bo najwyższa z nich była Ludmiłą. Szepnął to do ucha Spofowi, a ten odszepnął, że odległość w sam raz dla łuku. Róg Toke nie odzywał się, a Orm nie mógł przedwcześnie zdradzić się ze swą drużyną. Dał jednak znak dwu wojom w pobliżu, którzy brali udział w bitwie przy porohach i zaliczali się do najpewniejszych łuczników. Przypuszczali, że potrafią położyć obu mężczyzn przy źródle, i podnieśli się, stając każdy za swoim drzewem i kładąc strzały na cięciwy. Ale Orm kazał im jeszcze poczekać.

Tymczasem kobiety napełniły wiadra i zawróciły do wioski. Wtedy Orm krzyknął dwukrotnie, naśladując głos myszołowa. Chętnie ten głos naśladował i dzieci jego dobrze znały ten znak. I widać było, że Ludmiła usłyszawszy go wyprostowała się. Zrobiła powoli kilka kroków za innymi, po czym potknęła się i wylała wodę z wiader. Wykrzyknęła i zawróciła do źródła, aby znowu napełnić wiadra. Szło jej to opornie, a gdy już z tym była gotowa, usiadła trzymając się za stopę. Obaj mężczyźni powiedzieli coś do niej surowym głosem i podeszli, aby zabrać ją z sobą. Wtedy Ludmiła wyciągnęła się jak długa na ziemi i podniosła krzyk.

Od strony Toke wciąż jeszcze było cicho. Ale nie można już było czekać dłużej, bo gdy psy usłyszały głos Ludmiły, zaczęły warczeć.

Orm rzucił łucznikom rozkaz i oba łuki brzękły równocześnie. Celowali dobrze i strzały trafiły tam, gdzie trzeba. Ale mężczyźni przy źródle nosili grube, skórzane kaftany i choć trafieni, trzymali się jeszcze na nogach. Wyrwali strzały, wrzeszcząc, a Ludmiła poderwała się i wyrznęła najbliższego wiadrem w głowę, po czym zaczęła uciekać co sił w kierunku lasu. Obaj mężczyźni nieustraszenie puścili się za nią w pogoń, następując jej na pięty. I widać było też, jak z domów w wiosce wysypują się inni, aby zobaczyć, co to za krzyki przy źródle.

– Puście psy! – krzyknął Orm wybiegając z gęstwiny, a w tejże chwili od strony, skąd miał nacierać Toke, rozległ się głos rogu.

Ujadanie spuszczonej ze smyczy brytanów zagłuszyło wrzask rogu i bojowe okrzyki. Obaj ścigający zatrzymali się przerażeni, zobaczywszy nadbiegające psy. Jeden zawrócił i uciekał bez opamiętania, aż pierwszy z brytanów zrobił susa, chwycił uciekającego zębami za kark i obalił na ziemię. Drugi z uciekających nie stracił natomiast przytomności umysłu

i pobiegł do stawku. Wskoczył do wody i wyrwał miecz z pochwy, a trzy brytany rzuciły się nań równocześnie. Jednego trafił mieczem, ale inne zwały go z nóg. Znikł pod wodą i tylko psy pojawiły się znowu na powierzchni.

Ludmiła skakała z radości, spotkawszy się z Ormem. Zaraz zaczęła się dopytywać o Olofa i złoto, i musiał jej o wszystkim opowiedzieć. Sama mówiła, że rabusie postępowali z nią jak z córką hövdinga i że nie musiała sypiać z nikim prócz szalonego księdza, który był dość znośnym nicponiem. Uważała więc, że mogło być doprawdy gorzej.

Orm zatrzymał Spofa i paru starszych mężczyzn i kazał im zostać na skraju lasu z Ludmiłą, dopóki nie załatwi się z wioską. Podeszły teraz do nich także i dwie pozostałe kobiety, mówiąc, że i one należały do księdza. W czasie starcia z psami rzuciły się na twarz i leżały bez ruchu, toteż psy ich nie tknęły.

Gdy Orm i jego ludzie dobiegli do wioski, toczył się tam już bój. Drużyna Olofa biła się z gromadą rabusiów na ścieżce między dwoma domami, sam zaś Olof ryczał przekrzykując bitewny zgiew, że mężczyźni z czarnymi brodami przeznaczeni są dla miecza Olofa Styrssona. Orm wpadł w sam środek boju z drugiej strony, tracąc ludzi od strzał, którymi szyto z okien domów. Zbójów otoczono, wycięto w pień, choć bronili się zażarcie, i wnet ludzie Orma wdarli się do domów i wdali w walkę z ich obrońcami. W jednym z domów Orm zobaczył dwa psy przeszyte oszczepami. Leżały martwe na trupach zagryzionych rabusiów. Inne brytany słychać było szalejące nad jeziorem. Spotkawszy Olofa Motyla, okrwawionego i z mocno porąbaną tarczą, Orm zawołał doń:

– Ludmiła uratowana i nic jej już nie grozi!

– Dzięki niech będą Chrystusowi! – wykrzyknął Olof. – Ale gdzie się podział ten czarnuch? On jest mój!

Na największy opór natrafiła drużyna Toke, bo przeciw niemu pośpieszyło najwięcej zbójów, gdyż od tej strony rozległy się bojowe okrzyki. Teraz spadły na nich od tyłu oddziały Orma i Olofa. I tam też doszło do najcięższego boju, w którym gęsto padali ludzie, gdyż rabusie walczyli jak wściekli. Orm pobiegł za węgieł domu w pościgu za jednym, który rzucił się do ucieczki. Wtem z drzwi domu wypadli i rzucili się na niego dwaj zbrojni – jeden w kolczudze i z mieczem, drugi, łysy, z toporem. Orm ciał zbója w kolczudze tak, że ten potoczył się po ziemi, sam zaś uskoczył przed ciosem topora wymierzonym przez drugiego napastnika. Poślizgnął się przy tym na kupie gnoju i upadł na wznak, przy czym zobaczył, że łysy podnosi topór do nowego ciosu. W chwili upadku wspomniał – jak to później opowiadał – bój pod Maeldun, stoczony dawno temu, i tarcze, którymi go wówczas przykryli towarzysze. I nie odczuwał żadnej radości na myśl, że następny nocleg spędzi w Królestwie

Niebieskim. Ale łysy wybałuszył nagle oczy i rozdziawił gębę, wypuścił topór z dłoni, osunął się na czworaki i został tak z wytrzeszczonymi oczami. A gdy Orm podniósł się znowu na nogi, usłyszał swoje imię wywoływane z dachu domu stojącego naprzeciwko. Siedzieli tam okrakiem synowie Sone i wymachiwali łukami na znak, że mu w porę pomogli.

Orm, trochę oszołomiony od upadku, stał rozglądając się dokoła. Wszędzie panowało dzikie zamieszanie. Kobiety krzyczały, mężczyźni ścigali się po domach, krowy i świnie biegały bezładnie wokoło, a większość rabusiów, którzy pozostali jeszcze przy życiu, uciekała w kierunku jeziora. Podeszli doń Toke i Svarthöfde. Miecz Toke ociekał czerwienią, a on wołał do Orma, że od młodych dni nie przytrafiła mu się taka uciecha. Śpieszyło mu się, więc zawołał tylko na swoich ludzi i puścił się w pogoń za uciekającymi. Natomiast Svarthöfde zatrzymał się i kazał swoim zleźć z dachu domu. Wtem rozległ się donośny krzyk i obok przemknął chryząmi susami czarnobrody mężczyzna, któremu deptał po piętach Olof Motyl. Zobaczywszy Orma, uciekający skręcił, przeskoczył zagrodzenie i gnał dalej. Lecz Svarthöfde odwrócił się, podbiegł doń i ciął go w czoło, tak że czarnobrody upadł na ziemię.

– On jest mój! On jest mój! – wołał Olof, zadyszany. Czarnobrody toczył się po ziemi. Olof dopadł go i chwyciwszy miecz oburącz, pchnął go nim przez kolczugę tak, że ostrze utkwilo mocno w ziemi.

– Boże! – wykrzyknął przebity dwukrotnie straszliwym głosem, po czym zamilkł na zawsze.

– Spełniłem swój ślub – odsapnął z zadowoleniem Olof.

– Czy to aby ten? – zapytał Orm. – Bo trudno go rozpoznać.

– Źle jest nosić w boju na widoku zrabowane dobro – odparł Olof schylając się nad zabitym. – Spójrz tutaj!

Nad kolczugą widać było złoto. Olof zdjął je z trupa. Był to łańcuch Almanzora.

– Zgadza się – rzekł Orm. – A teraz przyszło mi do głowy jeszcze coś. Któż inny prócz niego mógłby w tym zbójckim gnieździe wzywać Boga? Zastanawiam się, czego też mógł on chcieć od niego.

XI.

O ŁOWACH WIELKICH BRYTANÓW

Kilku zbójów szalonego magistra zdołało ujść w łodziach. Ale nie było ich wielu, gdyż ludzie i psy ścigali ich na wybrzeżu. Rannych podobijano, bo uważano ich za złoczyńców. Z ludzi Orma padło dwudziestu trzech, a wielu odniosło rany. I wszyscy zgodnie twierdzili, że świetna to była walka, o której długo będą opowiadać.

W wiosce znaleźli pod dostatkiem piwa. Zabili wiele wieprzów i urządzili ucztę ku pamięci poległych, których pochowali we wspólnym grobie. Nad grobem usypali kopiec. Porwanym kobietom znalezionym w wiosce pozwolono udać się, dokąd zechcą. Każda dostała krowę i taką część łupu, jaką zdołała udźwignąć. Wśród nich odnalazły się też obie młode dziewczki Ylvy, które okazywały wielką radość z powodu oswobodzenia. Opowiadały, że wiele musiały przejść i że trzymano je starannie zamknięte od chwili, gdy uciekła Torgunn. Ich pragnieniem było teraz wyjść za mąż za tęgich chłopów.

Psy ogromnie wychwalano za to, czego dokonały. Tylko dwa z nich zostały zabite. A gdy spędzono całe bydło, aby zabrać je do Gröning jako łup, Orm zawyrokował, że psy mogą bez trudności pędzić to stado same, gdyż przywykły do takiego zajęcia. Dla wszystkich rannych znalazły się konie. I gdy stan ich poprawił się o tyle, że mogli już znieść podróż na końskim grzbiecie, Orm wyruszył z pustej wioski rozbójników i pociągnął do domu najkrótszą drogą, która wiodła brzegiem jeziora na południe.

Także i Ludmiła jechała wierzchem, a Olof nie odstępował jej ani na krok. Ubłagał Orma i Toke, aby nie opowiadali za dużo o tym, jak to w wiosce Dregowiczów cucily go dwie młode kobiety, gdyż bał się, że rozdrażni to Ludmiłę. Obaj śmieli się z niego i mówili, że musi chyba być postrzelony i niespełna rozumu, skoro zwraca się do nich z takimi głupstwami. Olof jednak odpowiedział z całą powagą, że ponieważ jest o wiele starszy od Ludmiły, musi być bardzo we wszystkim ostrożny.

Wędrowali powoli ze względu na ciężko rannych. A na samym przodzie psy wiodły bez pośpiechu swoje stado oganiając je wiernie. Gdy tylko jakaś krowa próbowała uciekać czy zawrócić, brytany wnet zaganiały ją z powrotem do stada.

Wcześniej rozbili obozowisko i opatrzyli rannych. A następnego dnia rano pociągnęli w dalszą drogę wzdłuż jeziora, aż do miejsca zwanego przez starych ludzi Łakami Tyra. Mieszkali tam ongiś ludzie i wielkie boje stoczono na tych łąkach w dawnych czasach. Stąd też wywodziła się ich nazwa. Mówiono, że na łąkach Tyra przelano tyle krwi, iż trawa rosła

tam wciąż jeszcze bujniej niż gdzie indziej. Ale po ludziach nie zostało tam już obecnie ani śladu.

Gdy zbliżyli się do tych łąk, psy ogarnął jakiś dziwny niepokój i ludzie zaczęli się zastanawiać, czy aby nie trafiły na trop niedźwiedzia albo czy nie czują wciąż jeszcze zapachu dawno przelanej krwi. Brytany pobiegły w gąszcze, nie troszcząc się o swoje krowy, i nagle kilka z nich zaczęło bardzo donośnie ujadać. Zawtórowały im inne i niebawem wszystkie ujadały jak szalone coraz głębiej w lesie, jak gdyby znowu poszczuto je do walki. Ormowi wydało się to dziwne, bo żadni zbóje nie uciekli w tę stronę. I cała kawalkada zaczęła się śpiesznie wspinać na porośnięte wrzosem zbocze obok ścieżki, aby lepiej zobaczyć, co się stało.

Przed nimi, po prawej stronie, widać było wśród chaszczy otwierającą się polanę, po której goniło bydło mając za sobą psy.

– To tury! – zawołał jeden z ludzi Toke. – Psy gonią tury!

Wyglądało na to, że psy ubrdały sobie, iż zwierzęta te należą do ich stada i że należy je zaganiać tak jak krowy. Brytany miały z tym wiele kłopotu i ludzie na zboczu widzieli, jak biją się z opornymi zwierzętami, aby skłonić je do zawrócenia we właściwym kierunku. Turom nie podobało się to i ich ryk mieszał się z ujadaniem psów. W końcu jednak większość z nich zbiła się w stado i znikła na południu między leśnymi pagórkami, wciąż jeszcze goniona przez psy.

Nic nie można było na to poradzić i musieli teraz sami pędzić krowy. Ludzie Toke, którzy znali te tury, opowiadali, że czasem przychodziły one z początkiem zimy od strony Westrogocji na Łąki Tyra. Starcy uważali je za święte, w czasie gdy pasły się na łąkach boga wojny. Dawano im więc tam przetrzymać i nie zakłócano im spokoju. Ongiś były one podobno o wiele liczniejsze, ale w tutejszych okolicach spotyka się je teraz tylko na Łąkach Tyra, a i tam nieczęsto.

Odnaleźli znowu ślady gonionych przez psy turów na wschód od kamienia Krake. Ale w gęstych lasach na południe od tego kamienia psom trudno było dopilnować ich wszystkich, gdyż z tropów było widać, że stado zmniejsza się coraz bardziej. Kilka sztuk psy zdołały jednak utrzymać w kupie i gdy Orm dotarł do domu, dowiedział się, że brytany przypędziły do Gröning dwa byki, pięć krów i kilka turzych cieląt. Pozostawiona w domu czeladź usiłowała je schwytać, ale bez powodzenia. A kiedy stado poszło dalej na południe, brytany uznały, że spełniły swój obowiązek, i przypadły do koryta, bardzo zmęczone i z obolałymi łapami. Tury zaś widziano potem w wielu stronach, zwłaszcza w zalesionych okolicach. I od bardzo dawna nie zdarzyło się nic, co by wzbudziło takie zdumienie u Goińczyków. Bo od

kiedy na własne oczy ujrzeli, że tury wróciły, orzekli, że obecnie można spodziewać się wszystkiego. I wspominali stare przysłowie, że żaden król u nich się nie pojawi, dopóki tury nie wrócą. A najmądrzejsi mówili, że obecnie trzeba być na przyjęcie króla przygotowanym i trzymać w pogotowiu łuki i oszczepy. Niektórzy z ochrzczonych utrzymywali, że to Chrystus przyjedzie do Goingii na wielkim wozie ciągniętym przez tury. Ale nie znajdowali zbyt wiele posłuchu. Większość bowiem spodziewała się króla Svena. A gdy nadeszła pewna wieść, że zmarł on w Anglii z twarzą poczerniałą od gniewu na tamtejszych ludzi, wśród Goińczyków wybuchła taka radość, że zabrakło w końcu piwa, a ludzie siedzieli ochrypli i spragnieni, nie mając na ugaszenie pragnienia nic oprócz mleka.

Ale oczekiwania tych, co żyli dostatecznie długo, sprawdziły się w końcu, gdy do ujścia rzeki przybył syn Svena, Kanut Wielki, król Danii i Anglii, z największą flotą, o jakiej kiedykolwiek słyszano, i stoczył na świętej rzece bitwę z królami Swiów i Norwegów.

I to jest koniec opowiadania o Ormie Tostessonie i jego szczęściu. Nigdy już nie wyruszył on na wyprawę, ale przeważnie powodziło mu się doskonale. Jedyne, na co się skarżał, to ból w krzyżu, który go czasem chwycił, a na który sam ojciec Willibald nie zawsze umiał zaradzić.

Olof Motyl ożenił się z Ludmiłą. Żyli z sobą szczęśliwie, choć mówiono, że nie miał on odtąd tyle do powiedzenia w swoim domu co poprzednio.

Spof wytrwale zalecał się do Torgunn. Ona zaś opierała się długo, uważając, że jest trochę za mały i zbyt siwą ma brodę. Ale gdy w końcu zaniechał ostrożności i wyłożył przed nią skarby, które nosił w pasie, nie umiała mu się dłużej oprzeć. I gdy wiosną nadeszła odpowiednia pora, odpłynęli oboje do Gotlandii łodzią, którą Orm zostawił w szopie u ujścia rzeki. A z nimi zabrali się Svarthöfde, Ulf Wesoły i synowie Sone, aby na własną rękę spróbować dłuższej wyprawy. Wzięli ze sobą parę brytanów, jak to obiecali Felimidowi. I nie było ich przez siedem lat.

Po powrocie do domu Ulf ożenił się z Oddny, która nigdy nie chciała słyszeć o nikim innym. Natomiast Svarthöfde udał się do Anglii i w bitwie nad rzeką Helgą walczył na łodzi samego króla Kanuta.

Toke Graagullsson miał wiele radości ze swej skrzynki złota i ponawiając na żonie i córkach tyle kosztowności, że gdy nadchodziły w świątecznym stroju, szczęk i pobrzękiwanie słychać było z daleka, zanim się jeszcze pojawiły. Toke sprzedał swoją zagrodę w Varend i zbudował sobie gródek tuż koło Gröning. Obaj z Ormem, podobnie jak Ylva i Mirah, czuli się tam doskonale, choć ani Toke, ani jego żona nigdy się nie dali

ochrzcić. A gdy dorosła do właściwych lat najmłodsza córka Orma, wyszła za mąż za najstarszego syna Toke, tak jak ojcowie ich od dawna postanowili.

Orm i Toke dożyli obaj późnego wieku, do ostatka niezmęczeni życiem, ale do najpóźniejszej starości nie mogli się nigdy dość naopowiadać o czasach, gdy wiosłowali na statku kalifa i służyli panu swemu, Almanzorowi.

KONIEC